

Maxime Chattam

Tajemnice chaosu

Les arkanes du chaos

Przełożyła Joanna Kluza



Gdybyście przypadkiem zechcieli sprawić sobie tę przyjemność i zabarwić niniejsze słowa dodatkową nutką emocji, proponuję ścieżki dźwiękowe do następujących filmów, które towarzyszyły mi podczas pisania tej książki:

– *Dom z piasku i mgły Jamesa Homera*

– *Bardzo długie zaręczyny* Angela Badalamentiego – *eXisten* z Howarda Shore’a

– *Powrót Batmana* Hansa Zimmera i Jamesa Newtona Howarda

– *Życie, którego nie było* Jamesa Hornera.

Niech zabiorą was równie daleko, jak zabrały mnie.

Edgecombe, 20 października 2005 roku

PROLOG

Fragment blogu Kamela Nasira, 12 września

Ta historia jest prawdziwa.

Powierzam ją w ciszy tego pokoju komputerowi, mając nadzieję, że wkrótce przedostanie się ona do pamięci zbiorowej. Tylko, że człowiek nigdy nie rozdrapuje rany od razu – czeka, aż się zablizni. Aby odważył się zakwestionować bolesną przeszłość, potrzeba czasu. Zrobiłem, co się tylko dało, żeby to wszystko opowiedzieć.

Spisując niniejszą relację, starałem się zachować jak największy obiektywizm. Opierałem się głównie na dokumentach, które możecie zdobyć bez trudu. Wszystko jest prawdą.

Czytając te słowa, nie macie jeszcze pojęcia, co was czeka.

Wstrząs wywołany prawdą, która wyszła na jaw. Nagromadzeniem drobnych pytań, które od pewnego czasu mieliście na końcu języka, a które nagle nabierają sensu.

Gdybyż wielu z was je sobie zadawało...

Nigdy nie zapomniało.

Przede wszystkim zaś - gdyby wielu z was się zjednoczyło.

Bo inaczej oni nas połkną. Już zaczęli.

Oni są potężni. Bezlitośni.

Yael w to nie wierzyła.

Thomas i ona przeszli na drugą stronę.

Następnym razem to możecie być wy.

*Bo wszystko może się zmienić w jednej chwili.
Właśnie to przytrafiło się moim przyjaciołom.
Kto będzie następny, kto będzie następną?*

CZĘŚĆ PIERWSZA

ŚWIAT CIENI

1

To był czwartek. Yael odpoczywała w gorącej kąpieli. Jej dłonie przebiły się przez warstwę gęstej, miękko syczącej piany. Trzymała w nich czasopismo i pióro. Dziewczyna upięła nad karkiem włosy, które utworzyły burzę brązowych loków.

Przynajmniej raz psychozabawa z „Cosmopolitana” nie była całkowicie idiotyczna. Co nie znaczy, że była inteligentna! *Dziesięć pytań, które pozwolą ci ocenić własną sytuację.* Cały plan działania. Yael postanowiła wykazać się największą szczerością, zakreślając najprawdziwsze odpowiedzi, jakich mogła udzielić.

1. W miłości jesteś raczej:

- A. Samotnym długodystansowcem.
- B. Przymusową adeptką szybkich randek.
- C. Zwolenniczką związków trwających... jakiś czas.
- D. Kobieta, która ma jednego na środę, jednego na sobotę i jeszcze innego na niedzielę, jeżeli tylko jest słodki.
- E. Poszufladkowana i poukładana.

Yael westchnęła. Minęła już fazę „C”, teraz zaś wahała się między „A” i „B”, czyli między kochankiem z przypadku a długimi

okresami celibatu.

– Niech będzie odpowiedź „B”.

2. *W życiu zawodowym jesteś:*

- A. Pełną wątpliwości stażystką.
- B. Bezrobotna lub „przy mężu”.
- C. Zgryźliwą pracoholiczką.
- D. Studentką, która wie, czego chce.
- E. Aktywno-pasywna.

Umieszczenie „bezrobotnej” w jednym rzędzie z „przy mężu” wiele mówi na temat mentalności niektórych osób, dotyczy to nawet kobiet... Yael zdziwiła się również brakiem określenia „kwitnąco aktywna”. „Coraz lepiej, nie ma co!” W jej wypadku odpowiedź nie nastęrczała żadnych trudności: „C”.

3. *Twoim zdaniem, z wyglądu jesteś:*

- A. Następne pytanie.
- B. W porządku, bo co?
- C. Mówią, że jestem pełna wdzięku.
- D. Raczej ładna, ale ile mnie to kosztuje!

E. Oglądają się za mną.

Yael przewróciła oczami. „Kretyńskie pytanie”. Westchnęła. Pasowało do niej „B”. Zbyt skromność – koleżanki twierdziły, że podoba się mężczyznom. „C” mogłoby odpowiadać rzeczywistości, mimo że kryło się za tym coś w rodzaju: „pełna wdzięku, ale za to suka”, co wcale nie przypadło jej do gustu. „Dobra, koniec z tą fałszywą skromnością – niech będzie «D»”. Przecież nie przestrzegала drakońskiej diety i nie katowała się gimnastyką bez powodu.

4. Weekend to dla ciebie:

- A. Siedzenie przed telewizorem.
- B. Czytanie, spacer.
- C. Spokojne wieczory wśród przyjaciółek.
- D. Disco fever baby!
- E. Z ukochanym pod pierzyną.

Yael zakreśliła odpowiedzi „A”, „B” i „C”.

„Jednym słowem – stara panna, tak?” W końcu wybrała „B”, bo najbardziej odpowiadało jej zwyczajom. W wolne dni jej ulubioną rozrywkę stanowiło snucie się po Paryżu i pochłanianie komiksów, podobnie zresztą jak szaleństwo telezakupów w czasie deszczu!

Szybko odpowiedziała na następne pytania i po przeliczeniu punktów przeszła do rozwiązania testu, które miało określić, jaka jest.

Jeśli wśród odpowiedzi przeważa „C”:

W weekendy należysz do amateerek domowych pieleszy, w pracy raczej się nie realizujesz, Kopciuszka uważasz zaś za dziwkę, bo znalazł księcia z bajki. Nie przejmuj się, nie ty jedna! To nieszczęście naszych czasów! Oto dobra wiadomość: to da się wyleczyć! Za pomocą babskich wieczorów, do których będziesz musiała sama się zmotywować, ponieważ to właśnie one pozwolą ci odetchnąć pełną piersią w szerokim tego słowa znaczeniu. Dokonaj bilansu własnej pracy – jeśli naprawdę nie przynosi ci zadowolenia, rozejrzyj się za nową! Dodaj pieprzyku swojemu życiu, zdobywając TEJ WYMARZONĄ PRACĘ. Nic trudnego, wystarczy pozbyć się luksusu lenistwa i niepotrzebnego lęku.

Co do tej odrobiny nienawiści, która rośnie w tobie na widok wszystkiego, co cię otacza – społeczeństwa, polityki, a nawet ludzi – będziesz musiała się zdobyć na pewien wysiłek... Dalej! Seans masażu z olejkami eterycznymi, mityng z przystojniakami z Greenpeace albo wieczór spędzony w towarzystwie przyjaciółek, żeby poplotkować o nowym kalendarzu francuskiej drużyny rugbistów, a przekonasz się, że życie w grupie ma swoje zalety!

Yael rzuciła pismo na dywanik przed wanną.

Po raz setny przysięgła sobie, że już nigdy więcej nie będzie traciła czasu na podobne idiotyzmy. Mając dwadzieścia siedem lat, powinna już chyba znaleźć inny sposób na poprawianie sobie nastroju.

Chwyciwszy leżącą na brzegu wanny maszynkę do golenia marki Bic, przejechała nią po nogach, po czym się wyprostowała. Para zasłoniła jej wysoką postać, niewidoczną w lustrze nad umywalką. Kiedy zamazyście przetarła lustro ręcznikiem, pojawiły się kwadratowe ramiona (pamiątka po latach spędzonych w siłowni, po okresie dorastania), krągłe, spore piersi, brzuch, który nie był już tak twardy... Wzięła w dwa palce skórę pod pępkiem. „Na razie nic wielkiego, ale jeśli się za to nie zabiorę...”

Yael popatrzyła sobie w oczy.

Szarobiałe oczy. Niemal zbyt jasne. „Spojrzenie psa husky” – jak mawiała jej matka. Tworzyły czarujący kontrast z ciemnymi włosami. Kilka znaków piękności na twarzy: „Drogowskazy dla pieszczoł” – jak szeptała jej pierwsza wielka miłość. Bardzo wąski nos i usta, których nie cierpiała. Zbyt szerokie, zbyt mięsiste. Przyciągała mężczyzn – wiedziała to na podstawie doświadczenia. Tylko, że Yael wcale się to nie podobało. Nigdy nie zdołała się pogodzić z zależnością między swoją zmysłową urodą a seksualnym pożądaniem, jakie wywoływała.

Przed uchem sterczał jej poskręcany, zwiewny kosmyk... Działo się tak za każdym razem, kiedy związywała włosy. Oznaczało w pewnym sensie ją samą – zewnętrzne przedłużenie tego, czym była wewnątrz. Niezdolność naginania się do tego, co jej narzucano. Zawsze

musiała się wyzwolić z więzów: w pracy, w życiu uczuciowym i oczywiście z tych, które łączyły ją z rodzicami, kiedy była młoda. Zmieniała szkołę za szkołą, poznała co to internat... i ucieczka. Jej wyrozumiała, lecz bezlitosna matka, władczy ojciec...”Sytuacja prawie banalna” – stwierdziła, gdy dorosła. Wydawało się jej, że jest jedyna w swoim rodzaju, tymczasem okazało się, że jej historia – nawet rozwód rodziców, który nastąpił pięć lat temu – należy do banalnych. Ich błędzenie, „Kocham cię – ja ciebie też”, sprzeczki, godzenie się i znów kłótnie. Wreszcie problem, kto weźmie mieszkanie...

Zamiast je sprzedać po rozwodzie, ojciec zaproponował, żeby każde z nich poszło w swoją stronę, zabierając to, co mu się należy, i żeby zostawić mieszkanie ich córce, Yael.

Wszyscy byli zadowoleni.

Oprócz Yael, której nikt nie spytał o zdanie, W wieku dwudziestu dwóch lat z dnia na dzień została sama. W tym wielkim mieszkaniu.

Później ojciec ubzdurał sobie, że napisze powieść swojego życia – tę, o której mówił od dwudziestu lat. Zaszły się w tym celu w głębokiej Bretanii, którą uwielbiał, jego rękopis zaś pęczniał wraz z upływem czasu. Matka z kolei ułożyła sobie życie z pewnym restauratorem z południowego zachodu. Szczęście trwało pięć lat, do 13 kwietnia, do tego fatalnego dnia cztery miesiące temu, kiedy oboje spłonęli w wypadku samochodowym. To był piątek trzynastego. Nieco zbyt suto zakrapiana kolacja z przyjaciółmi, za duża prędkość na bocznych wiejskich drogach obsadzonych bukami, po czym samochód

wypadł z zakrętu i owinał się wokół pnia. Yael załamała się. Pograżyła się w depresji, dopóki czas, ów uniwersalny lek, nie uleczył jej duszy. Matka była całą jej rodziną. Yael nigdy nie czuła się związana z ojcem, dziadkowie zaś rozstali się już z tym światem po latach skromnego, cichego życia. Nie dostała też żadnych wieści od obu braci matki. Jeden mieszkał w Anglii, drugi w Marsylii, nie miała jednak pojęcia, co się z nimi dzieje. W rodzinie Mallanów nikt nigdy nie przejmował się za bardzo genealogią – raczej milczano i hołdowano zasadzie: „każdy sobie rzepkę skrobie”. Dziadek Yael zginął na wojnie, gdy jego syn miał zaledwie roczek, dlatego zawsze uważał się za półsierotę wychowanego przez milczącą matkę, której śmierci wcale nie opłakiwał.

Yael przeszły dreszcze.

Kropelki wody z domieszką balsamu utworzyły na jej skórze perłowy naszyjnik. Yael otuliła się ręcznikiem.

Włożyła legginsy, w których bardzo lubiła snuć się wieczorem po domu, i podkoszulek bez rękawów.

Już miała wychodzić z łazienki, już położyła dłoń na wyłączniku światła...

Właśnie wtedy to się stało.

Na obrzeżach jej pola widzenia.

Ledwie dostrzegalny ruch.

Tak delikatny, że Yael uznała go za cień otwieranych drzwi.

I właśnie tym to się stało – cieniem.

Poruszającym się wewnątrz lustra.

Po czym łazienka pogrążyła się w ciemnościach.

Piątek był dniem Shoggotha.

Yael uwielbiała Shoggotha. Imię to do niego pasowało. Shoggoth, którego lubiła udawać w internacie, był galaretowatym potworem mającym ponad sto par oczu rozmieszczonych na całym ciele. Zupełnie jak jej piątkowy klient. Otyły mężczyzna w gabardynowym nieprzemakalnym płaszczu, do którego przypinał dziesiątki gałek ocznych.

Bo Yael sprzedawała oczy.

Między innymi.

A także martwe zwierzęta.

Pracowała u Deslandesów – w paryskiej firmie zajmującej się preparowaniem zwierząt, działającej od półtora wieku. Podjęła się tego zajęcia dwa lata temu, letnią porą, żeby trochę zarobić. Było ono interesujące i oryginalne. Miała to być praca tymczasowa, okazała się jednak zajęciem długotrwałym, które wciągnęło ją na ścieżkę zawodową bardzo odległą od zdobywanego przez nią wykształcenia i uzyskanych dyplomów.

Nauka na studiach była dla niej trudna. Nie wiedząc, co z sobą zrobić po maturze, zdecydowała się na studia z zakresu literatury współczesnej. Zdobywszy licencjat po czterech latach, wyjechała na piąty rok nauki... do Stanów Zjednoczonych. Po przeczytaniu jakiejś broszury coś jej nagle odbiło, zaparła się więc pazurami, żeby napisać pracę zatytułowaną *Literatura a przełamywanie barier językowych*.

Spędziła rok w Portland w stanie Oregon. Był to raczej umiarkowanie udany rok, nie czuła się tam bowiem swobodnie i wróciła, kiedy po mieście zaczął grasować seryjny morderca, siejąc psychozę, która sprawiała, że atmosfera stała się nie do zniesienia. Przez następny rok usiłowała na próżno zrobić magisterium, chwytając się drobnych zajęć: pracowała wieczorami jako kelnerka, później jako sprzedawczyni odzieży, aż wreszcie pewnego poranka minęła wystawę tego osobliwego sklepu. W przyklejonym do szyby ogłoszeniu przeczytała, że szukają kogoś na lato... Tak minęły dwa lata, a ona nadal tutaj jest. Za to zapał do napisania i obronienia magisterium zdążył się ulotnić.

Praca w sklepie była urozmaiconym zajęciem.

Przyjmowała klientów, doradzała im, sortowała dostawy minerałów i owadów w gablotkach, suszyła motyle, które następnie wysyłano całymi skrzynkami. Wypychanie zwierząt nie należało do jej obowiązków – zajmował się tym kolega, Lionel. Patroszenie psów klientek w podeszłym wieku i wypychanie martwych zwierząt pakułami specjalnie jej nie pociągało. Co tydzień, w czwartek wieczorem, Yael przyjmowała transport szklanych oczu dla preparowanych zwierząt. Każda para była wyjątkowa, od ich dostawcy wymagano bowiem, żeby nigdy nie trafiły się dwa takie same egzemplarze.

Z kolei co piątek, systematycznie od ponad czterech miesięcy, zjawiał się Shoggoth, aby zobaczyć wszystkie spojrzenia, jakie Yael była w stanie mu zaoferować. Wyrabiał z nich biżuterię, przyczepiając do każdej szklanej gałki szpilkę, żeby móc ją przymocować do płaszcza obok całej reszty albo nosić na serdelkowatych palcach jako

pierścionki.

Shoggoth oceniał szklane oczy, przekrzywiając głowę i okazując niestosowną czułość. Jego pokryty sztywnymi włoskami kark zginał się, żłobiąc bruzdy w tłustej szyi. Gładził przedmioty swojego pożądanego czubkiem palca wskazującego, oblizując wargi, na koniec zaś potrząsał głową na znak zadowolenia. Po czym oddalał się wraz z cennymi relikwiami.

Mimo jego zachowania i odpychającego wyglądu, Yael poczuła doń w końcu pewną sympatię. Był przynajmniej zabawny i niegroźny, czego nie dało się powiedzieć o pozostałych klientach. Najgorsza była pani Cauchérine, zgryźliwa starucha, która co kwartał przyprawiała nowego psa, za każdym razem domagając się stanowczo, żeby go wypchano. Z początku Yael źle zrozumiała życzenie klientki, usiłowała zatem wyjaśnić, że wszystko zostanie należycie załatwione, kiedy biedne zwierzę umrze. „Wówczas należy je przywieźć w ciągu dwudziestu czterech godzin, przechowując do tego czasu w lodówce owinięte w prześcieradło” – zawsze powtarzała te słowa, nie mogąc jednocześnie uwierzyć, że płyną z jej ust. Pani Cauchérine pokręciła jednak głową z rozdrażnieniem: chciała, żeby wypchano jej psa natychmiast. Dość go już pokochała, teraz zaś stał się nieznośny z tym ciągłym szczekaniem. Pragnie żyć tylko jego wspomnieniem, które „musi jej odtąd wystarczyć”. Yael odprowadziła ją do drzwi, uparcie tłumacząc, że to niemożliwe do wykonania i że człowiek nie może się w ten sposób rozstać ze swoim psem. Trzy miesiące później staruszka znów zjawiała się przy ladzie – z innym psem, ale z tym samym

żądaniem. Yael wezwała policję, którą cała ta historia nieźle ubawiła. Wówczas do akcji wkroczyło Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Bez rezultatu, pani Cauchérine wracała bowiem trzy do czterech razy w roku z kolejnym psem, domagając się niezmiennie jego uśmiercenia, aby móc go wypchać. Wyniosła i wzdurliwa, przypominała Cruellę z filmu *101 dalmatyńczyków* Walta Disneya. W końcu Yael zaczęła marzyć o nowym trofeum wiszącym na ścianie między łbami jeleni i danieli: popiersiu pani Cauchérine.

Praca w sklepie wiązała się z poznawaniem mnóstwa różnych ludzkich dziwactw, ale także z wieloma wzruszającymi spotkaniami. Niekiedy trzeba było pocieszać klienta czy klientkę przez dobrą godzinę. Dla niektórych osób, często leciwych i samotnych, utrata psa lub kota oznaczała utratę jedynego kochającego towarzysza. Przychodziły się tutaj wyplakać jak na pogrzebie krewnego. Z czasem Yael nauczyła się, żeby nie oceniać ludzi, którzy zjawiali się ze zleceniem wypchania swojego zwierzaka. Jedni pragnęli przerobić martwego kota na dywanik, aby nadal móc z nim spać, drudzy zaś chcieli mieć łeb pieska na obudowie kominka, żeby móc ciągle go głaskać. Za każdym z tych osobliwych żądań, które Yael uznawała początkowo za makabryczne, kryło się cierpienie i głęboka tęsknota.

Ludzie wypychali ukochane stworzenia, aby ich nie stracić.

Właśnie wszystkie te spotkania, wszystkie te istnienia – jakże odmienne, jakże wyjątkowe – skłaniały ją do pozostania w sklepie, z każdym miesiącem coraz mocniej wpajając przekonanie, że firma Deslandesów to rodzaj klubu skupiającego członków, z których jeden

jest większym oryginałem od drugiego.

Shoggoth, który akurat wszedł, uklonił się Yael i natychmiast zapytał:

– Dostała pani jakieś nowe?

Yael wyszeptała to samo pytanie równocześnie z nim. Brzmiało zawsze identycznie i zawsze padała ta sama odpowiedź.

– Tak, jak zwykle.

Schyliwszy się, otworzyła jedną z szafek pod ladą, po czym na blacie przed grubym jegomościem ustawiła obie wyłożone aksamitem gabloty.

– Proszę, niech pan spojrzy – dodała.

Przełknął ślinę, zacierając ręce i przyglądając się wszystkim wpatrzonym weń szklanym źrenicom. Jego własne oczy błyszczały z pożądania.

Yael obserwowała go, stojąc oparta o wysokie szafy, w których mieściły się dziesiątki szerokich i płytkich szuflad.

Pomieszczenie, w którym się znajdowali, emanowało uśmierzającym spokojem.

Yael zawsze zastanawiało, skąd bierze się ten spokój. Czyżby wynikał z samej architektury tego miejsca (starej kamienicy z początków XVIII wieku), czy też z milczenia wszystkich tych zgasłych zwierząt? Między ich stanem a tym, co z nich promieniowało na zewnątrz, istniała jakaś paradoksalna alchemia. Ta skóra, ta sierść, wszystkie te zatopione w spokoju głowy zdawały się gloryfikować śmierć. Udowodniać, że ona nie może wszystkiego zniszczyć.

Wszystkiego zabrać.

Shoggoth potrząsnął gwałtownie swoją ciężką głową – już dokonał wyboru.

– Wezmę te dwa. Niebieskawe i tamto wielkie.

Yael zapakowała szklane gałki oczne w błyszczący papier, po czym wzięła od mężczyzny pieniądze. Banknot był wilgotny. Shoggoth pocił się z gorąca.

Zniknął w głębi korytarza, w innym pomieszczeniu, podążając ku schodom wiodącym na parter.

Dzień ciągnął się powoli aż do zamknięcia sklepu.

Yael związała gumką włosy i wyszła na wieczorny skwar.

Uwielbiała sierpniowy Paryż. Jego ulice o srebrzystych reliefach, ostrych niczym brzytwa z powodu zaduchu i panującego za dnia upału. Włożywszy okulary przeciwsłoneczne dla ochrony zbyt jasnych oczu, ruszyła ulicą du Bac. Jej wysoka sylwetka tańczyła, kołysząc się wśród błysków rzucanych przez wystawy sklepów. Nikogo nie minęła po drodze. Nawet samochodu. Całe miasto było jak opustoszałe.

Yael szła aż do Denfert-Rochereau, gdzie mieszkała. Po miękkim asfalcie ślizgały się leniwie nieliczne samochody. Dotarłszy w ciągu pięciu minut do ulicy Dareau, pchnęła ciężkie drzwi, przemierzyła dziedziniec otoczony parkanem z krzewów posadzonych w obszernych drewnianych donicach, po czym wspięła się po zewnętrznych schodach prowadzących na piętro, do jej domu.

Mieszkanie, które jej rodzice zajmowali przez wiele lat, było

jedynie w swoim rodzaju. Stanowiło owoc architektonicznych majaków pewnego urbanisty pracującego dla miejskiej sieci komunikacyjnej Paryża w latach osiemdziesiątych. Weszła do przedpokoju, odstawiła płócienną torbę i zdjęła sandały. Naprzeciw drzwi wejściowych wisiało długie lustro.

Salon stanowił serce mieszkania. Było to pięćdziesięciometrowe pomieszczenie z sufitem wznoszącym się na wysokości siedmiu metrów i antresolą, do której prowadziły schody z podestami, a która zajmowała dwie ściany. Pierwszy podest zamieniono na gabinet. Przestronny i oryginalny, rozciągał się w szerokiej wnęcie, górując nad salonem na wysokości dwóch metrów. Następny podest tworzył korytarz otaczający pokój centralny i prowadził do sypialni na piętrze. Całość zaś wieńczył dach z imponującymi oknami, przez które do wnętrza dostawało się światło. Oryginalność salonu kryła się jednak w podłodze, która była ze szkła.

Raczej egzotyczne meble – kanapa o afrykańskich motywach, stół przywołujący na myśl Maghreb oraz azjatyckie parawany – stały na olbrzymiej tafli z czarnego szkła, kontrastującej z beżowymi ścianami.

Przenikające przez sufit słońce oświetlało ciepłe obicia foteli i wiszące gdzieś tkaniny. Złote promyki, o dziwo, spadały na podłogę, nie załamując się – przechodziły przez nią. Pod grubą warstwą ciemnego szkła można się było domyślać piwnicy, mury zagłębiały się bowiem w ziemię na wiele metrów, łącznie piętnaście, zacierając się coraz bardziej, w miarę jak nikały w ogromnej kałuży gęstych ciemności.

Yael odruchowo włączyła światło.

Wykute w kamieniu dziesięć metrów pod szklaną taflą reflektory ożyły. Gdzieś w dole, daleko pod powierzchnią ulic, otworzyła się ku światłu cząstka wnętrza Paryża: naprzeciw cysterny połączonej z miejskimi ściekami pojawiły się dwa kolektory wody.

Architekt zamierzał odsłonić część tych podziemi drenujących odpady wytwarzane przez obywateli. Dokonał nacięcia w ochronnej (maskującej – powtarzał z uporem) powłoce, aby ukazać tę skomplikowaną sieć, wycinając gruby kwadrat tej szarej skóry i stawiając na tym miejscu dom. Przy deszczowej pogodzie można było wyraźnie zobaczyć, jak z obu kolektorów wylewają się strumienie piany i wpadają do bulgoczącego zbiornika.

Kiedy Yael nacisnęła wyłącznik, mrok otchłani znów zalał jej stopy, bardziej ochoczo niż gejzer pod ciśnieniem. Szklana tafla zgęstniała tak bardzo, że zatraciła swoją przezroczystość.

Zjawisko to wprawiało w zakłopotanie większość gości, wywołując obawy przed upadkiem i zawroty głowy wobec tak piekielnego krajobrazu. Dla Yael przeciwnie – stanowiło ono źródło kontemplacji, rodzaj osobistego generatora energii wewnętrznej.

Mogła siedzieć beczynn timerami, obserwując ruchy wody przepływającej w półmroku.

Minęła dwudziesta.

Nagle na antresoli rozległo się pełne dezaprobaty miauknięcie. Po schodach zbiegł czarno-płowo-brązowy dachowiec ze zjeżoną

sierścią na policzkach.

– Kardec... – szepnęła Yael. – Uspokój się, przecież wróciłam.

Kot rzucił się ku jej kostkom, żeby się o nie otrzeć, mrużąc. Jego imię świadczyło o młodzieńczej pasji Yael – ezoteryzmie. Miała w swoim życiu okres zainteresowania magią, kiedy to oglądała filmy o czarownicach, kupowała „księgi czarowników” i organizowała babskie spotkania, na których próbowano porozumieć się ze zmarłymi, siedząc wokół stołu. Kot, będący wyrazistym symbolem w różnych mitologiach, został ochrzczony na cześć ojca spirytyzmu – Allana Kardeca.

– Wiem, ja też za tobą tęskniłam – powiedziała, pochylając się, żeby go pogłaskać.

Dopiero co odebrała go od sąsiadki, u której kot spędził dwa tygodnie, Yael bowiem wyjechała na wakacje na Rodos.

Minąwszy łuk oddzielający wielki salon od kuchni, zeszła po kilku stopniach wiodących na nieco niższy poziom. Przez wszystkie trzy okna wlewało się światło, w którym uwidaczniały się żywe barwy kafelków. Yael nalała sobie szklanek świeżego soku pomidorowego, po czym zawróciła, żeby rozsiaść się wygodnie w miękkim fotelu.

Kardec natychmiast wskoczył jej na kolana. Jego oczy zwęziły się ze szczęścia.

Yael wypila kilka łyków, zanim spostrzegła migającą czerwoną lampkę na telefonie. Wyciągnęła ramię, żeby włączyć sekretarkę.

– *Jedna wiadomość* – obwieścił głos automatu. – *Siedemnasta dwadzieścia*. Cześć, śliczna! Tu Tiphaine. Słuchaj, naprawdę mi

przykro, ale nie mogę przyjść dziś wieczorem. Pat poprosił, żebym pojechała z nim na długi weekend do jednego z hoteli Relais et Chateaux... Bardzo cię przepraszam, zrobimy sobie babski wieczór, kiedy tylko wrócę. Buziaki. Aha! Ee... wyjdź gdzieś wieczorem, nie siedź w domu jak zadzumiona. Mamy sierpień, jest gorąco, ulice są pełne przystojnych turystów, żar się z nieba leje! Jazda! Wykorzystaj to! Całuję. *Nie masz więcej wiadomości.*

Yael westchnęła, zagłębiając się w fotelu.

Wsunęła dłoń między kocie uszy.

– No to nici z piątkowej imprezy – oznajmiła zawiedziona. – Ale ciebie to urządza, co? Bo oznacza pieszczoty przez cały wieczór i wylegiwanie się przed telewizorem, czyli twój ulubiony sport.

Nagle zadzwonił telefon.

Yael podniosła słuchawkę.

– Tak?

Cisza.

– Halo! – powiedziała z naciskiem. – Słucham?!

Odczekała jeszcze kilka sekund, przekonana, że to ktoś z komórki gubiącej zasięg. Po czym rozległ się trzask.

Suchy i dźwięczny.

Przypominający brzęk tłuczonego szkła.

– Halo!

Trzask się powtórzył, stając się dłuższy. Zupełnie jakby pękło lustro albo szyba.

Następnie stuknięcie oznaczające przerwanie połączenia – ktoś

odłożył słuchawkę. Yael uczyniła to samo, lekko zaskoczona. Odczekała jeszcze chwilę, aby się upewnić, czy ten ktoś nie spróbuje połączyć się ponownie, mieszkanie jednak pograżyło się w ciszy.

Nawet Kardec przestał mruczeć.

Siedząca pośrodku salonu Yael sączyła resztkę soku pomidorowego, zastanawiając się, jak ma spędzić wieczór. Zaczęła od wybadania własnych nastrojów.

Chciała pobyć wśród ludzi. Odprężyć się. Tiphaine ma rację: musi wyjść, korzystać z pogody.

Decyzja została podjęta w jednej chwili. Wystarczy, żeby poszła na ulicę Montagne-Sainte-Genevieve do dobrze znanego sobie Violon Dingue, gdzie zaglądają wszyscy przyjezdni Anglosasi. Mogłaby wypić kilka drinków, porozmawiać po angielsku i trochę się rozerwać.

Odepchnąwszy delikatnie kota, Yael weszła na piętro i odkręciła prysznic.

Tymczasem Kardec, który pozostał na dole, usiadł na poręczy fotela i podniósł głowę, spoglądając na antresolę.

W ciszy korytarza odbijał się w lustrze obraz drzwi wejściowych i szafy obok wieszaka.

Wszędzie panował spokój – ot, piękny sierpniowy wieczór.

Właśnie wtedy z lustra wyłonił się bardzo powoli jakiś cień, zasłaniając jego powierzchnię.

Kot zeskoczył z poręczy i wdrapał się na piętro z brzuchem przy ziemi.

Cień w lustrze zastygł, nie czyniąc najmniejszego hałasu.

Po czym w lustrze znów zaczęły się odbijać leniwe dekoracje,
jakby ktoś zdjął z niego czarną zasłonę.

Alkohol jest jak czekolada.

Fałszywy przyjaciel.

Zdrajca.

Yael od kwadransa nie przestawała sobie tego powtarzać. Wprawdzie każde z nich potrafi poprawić nastrój i działa dopingująco, to jednak tylko złudzenie. Gorzej: szkodzą na figurę, jednocześnie psując ten nastrój z powrotem. Yael się powstrzymała. „Nie zamawiaj od razu następnego malibu, jesteś już trochę wstawiona!”

Przyjrzała się uważnie pustemu kieliszkowi uwieczonemu w jej długich palcach.

Pop-rockowa muzyka zagłuszała przerwy w rozmowach nielicznej, jak na piątkowy wieczór, klienteli. Yael kręciła się na swoim stołku – miała ochotę z kimś pogadać, nawiązać znajomość, tego wieczoru była spragniona nowości, należało zatem to wykorzystać, niezbyt często jej się to bowiem ostatnio zdarzało.

Rzuciła okiem na małe grupki rozsiane po dużej sali. Przy barze siedziało dwóch samotnych mężczyzn – jednemu z nich przyglądała się od kilku chwil. Około trzydziestki, raczej przystojny, opalony, kasztanowe włosy i trzydniowy zarost, wszystko zaś opakowane w elegancką koszulę i płócienne spodnie. Rozluźniony, ale zadbany.

Yael przyciągnęła spojrzenie jego jasnych oczu, kiedy mijali się przy toalecie. Niezbyt romantyczne miejsce, mimo to rozpałiło w nich iskłę. O mało jej nie potracił wychodząc, i chwycił ją mocno za ramię.

Zanim ją puścił, przeprosił po angielsku, uśmiechając się z zażenowaniem.

Teraz, kiedy jej nieśmiałość rozwiewała się powoli w oparach alkoholu, nie mogła się powstrzymać, żeby nie przyjrzeć mu się z większą starannością. Podobała jej się jego gestykulacja. Przerzucił leżące na blacie baru czasopismo o tematyce mieszkaniowej, jednocześnie sącząc przez słomkę koktajl.

Sprawiał wrażenie całkowicie oderwanego, zupełnie pochłoniętego odszyfrowywaniem ogłoszeń.

W pewnej chwili podniósł głowę i popatrzył po sali w zamyśleniu. Jego wzrok powędrował ku spojrzeniu Yael. Kiedy się zorientował, że go obserwuje, na wargach pojawił mu się uśmiech. Po czym zanurzył się ponownie w lekturze czasopisma.

Yael westchnęła.

„Uspokój się, moja kochana! Zgoda, to śliczny chłopak – i co z tego? Co teraz zrobisz? Zeskoczysz ze stołka i pójdziesz z nim porozmawiać? Zaczepisz go tak po prostu? Bez żadnego skrepowania?”

Yael zerknęła na pusty kieliszek.

Przypomniała sobie psychozabawę – test, który rozwiązywała poprzedniego wieczoru w wannie. Ten słynny bilans. W jakim punkcie znajdowała się teraz? Dwadzieścia siedem lat, tymczasowe zajęcie, które okazało się stałe, perspektywa niewielu zmian lub zupełny ich brak, życie uczuciowe zredukowane do zera lub prawie do zera. Bez ryzyka, a zatem i bez cudów. Normalka.

Ten mężczyzna ją pociągał. Dlaczego nie miałyby do niego

podejść? Zrobić pierwszego kroku i zacząć rozmowę... a potem zastanowić się co dalej? Przetestować go, a jeśli nie przypadnie jej do gustu, wrócić do domu i położyć się spać?

Chyba, że woli wrócić sama, i to natychmiast, z głową pełną wyrzutów sumienia.

Yael zaczęła bębnić palcami po barze, nieco zdenerwowana. Nigdy dotąd tego nie robiła. To niemożliwe. Jaka kobieta zaczepiłaby w barze mężczyznę, żeby go poderwać?

„Skończ z tymi idiotyzmami! Cholerna hipokrytka! Przecież to nie jest średniowiecze!”

W pamięci zahuczał jej głos Tiphaine: „W dzisiejszych czasach prawdziwa wulgarność to zniszczyć związek miłosny, choćby nawet najkrótszy, pod pretekstem moralności albo wahania! Żyjesz w wieku nowoczesności, moja droga, gdzie wszystko idzie szybko: komunikacja, informacja, TGV, dobre posunięcia. Jednym słowem: życie. Rusz więc tyłek i bzykaj się! Książę z bajki zjawi się albo i nie. Ale przynajmniej nieźle się zabawisz, szukając go”.

Prawdę mówiąc, nie była to filozofia wysokich lotów, podkreślała jednak przynajmniej tę prawdę, żeby zmierzać prosto do celu. Niekiedy Yael odnosiła wrażenie, że należy do starszej, bardziej lękliwej generacji, w której każdy miał poniekąd swoje miejsce. Mężczyźni i kobiety. Czasem wydawało jej się to normalne, zdarzały się jednak chwile, gdy uważała samą siebie za staromodną.

Tylko, że należało iść z postępem. Przynajmniej tak miała się sprawa z miłością. Nie z uczuciem samym w sobie, lecz z

poszukiwaniem, ze sposobem jego znajdywania, postrzegania. Jeśli przesiadzi tak jeszcze godzinę, powtarzając sobie w duchu, że ten mężczyzna jej się podoba, na koniec zaś, patrząc jak odchodzi, pozostanie jej tylko żal, który zatruje całą noc.

Teraz albo nigdy.

„Niech się dzieje, co chce!”

Yael zamówiła następne malibu, po czym uzbrojona w kieliszek wstała i ruszyła ku niemu.

„Odbiło mi!” – powtarzała sobie w duchu.

Nagle poczuła ogromny podziw dla kobiet, które potrafią podejść do nieznanego, żeby go poderwać. To wymaga niezłej porcji odwagi.

Kiedy się zbliżała, mężczyzna, jej cel, przerwał lekturę czasopisma.

Na jego twarzy odmalował się osobliwy wyraz: z początku brwi uniosły się ze zdziwienia, po czym wargi rozciągnęły w radosnym uśmiechu, który zdawał się dlań typowy.

– *Hi! – rzuciła zamiast wstępu. – I’ve been watching you from...*

Wyciągnął przed siebie otwartą dłoń.

– Może pani mówić po francusku – odparł z ledwie słyszalnym akcentem. – Słyszałem, jak pani zamawiała drinka.

Yael ukryła zakłopotanie, udając, że poprawia niesforny kosmyk włosów.

– Przykro mi, myślałam, że pan jest... Przed chwilą przepraszał mnie pan po angielsku.

– To odruch. Mam na imię Thomas – dodał, wyciągając do niej rękę. – Tom.

Yael uściśniła mu dłoń, której brzegi były bardzo delikatne, wewnątrz zaś twarde.

– Tak naprawdę to jestem Kanadyjczykiem.

– Yael.

– Ładne imię.

– Jest hebrajskie. To nazwa górskiej kozy. Niezbyt wyszukane!
– odrzekła ze śmiechem. – Ale raczej wzruszające. To tak, jakby powiedzieć „koteczku” po francusku.

Thomas uniósł swój kieliszek.

– W takim razie do pani pasuje. Miło mi.

Kieliszki stuknęły się z cichym dzwonieniem.

Thomas przesunął się na sąsiedni stół, chcąc zrobić miejsce, i zaprosił Yael, aby usiadła. Jego kasztanowe włosy były krótko ostrzyżone, przez co prawie nie dało się dostrzec, że się kręca. Miał kwadratową szczękę i różowe usta podkreślające opaleniznę.

– Szuka pan mieszkania w Paryżu? – zapytała, wskazując czasopismo. Przelknęła łyk malibu. W gruncie rzeczy to wcale nie było takie trudne.

– Zastanawiam się nad tym. Pochodzę z Vancouveru, z zachodniego wybrzeża Kanady, ale coraz częściej przebywam zawodowo we Francji.

– I odnalazł pan swoje szczęście? – drążyła dalej, zerkając na okładkę czasopisma.

– Nie, nie tutaj. Jestem wybredny i rzadko bywam u siebie, zwłaszcza że naprawdę to lubię. Jestem...

– Proszę pozwolić mi zgadnąć, jaki ma pan zawód! – zawołała.

Sądząc po budowie ciała, był wysportowany, dbał o siebie, ale bez przesady... Przypuszczała, że często podróżuje. Nie wykonuje pracy fizycznej ani wymagającej zbytniego wysiłku intelektualnego...

– Pan jest... fotografem! – wykrzyknęła.

Thomas uniósł brwi ze zdziwienia.

– Prawie! – przyznał rozbawiony. – A pani kim jest? Wróżką? W gruncie rzeczy jestem dinozaurem. Wykonuję zawód na wymarciu. Jestem reporterem, wolnym strzelcem. W czasach, kiedy wszyscy dziennikarze pracują dla koncernów prasowych, mnie ciągle się udaje zachować wolność i niezależność!

Zajrzał dziewczynie głęboko w oczy, po czym zapytał:

– Reporter to czasami także trochę fotograf. Ma pani nosa czy pracuje pani dla służb specjalnych?

Yael wzruszyła ramionami.

– Oddałam głos szóstemu zmysłowi.

Upiła kolejny łyk malibu w nadziei, że zdoła ukryć zachwyty. Świetnie mówił po francusku, z ledwie słyszalnym akcentem, z bliska zaś okazał się jeszcze bardziej czarujący. Kiedy wspominał o swojej pracy, oczy mu błyszczały. Prawdziwy pasjonat.

– A pani? Poza tym, że jest pani jasnowidzem?

Yael otrząsnęła się z zadumy.

– Ee... jestem...

Zamilkła na chwilę, po czym podniosła obie dłonie do góry i dodała:

– Nikt panu jeszcze nie powiedział, że przy panu każdy wydaje się mniej ciekawy?

Na twarzy Thomasa odmalowało się rozbawienie.

– Dalej, proszę mówić.

Yael zrobiła tajemniczą minę, która go rozśmieszyła.

– Pozwolę panu snuć wyobrażenia.

Alkohol sprawił, że poczuła się wesoła jak szczygiełek.

Nagle Thomas zerknął pospiesznie na zegarek.

– Niestety, nie posiadam takiego daru jak pani i za minutę muszę lecieć.

Skinął na barmana, żeby przyniósł mu rachunek. Euforia Yael rozwiała się w jednej chwili.

– No, niechże się pani ze mną nie droczy – ponaglił, czekając na rachunek. – Proszę zaspokoić moją ciekawość.

Yael odpowiedziała z marszu, pokrywając przyjazną stanowczością coś, co uznała za porażkę:

– Obawiam się, że to niemożliwe. Nie ma czasu, nie ma odpowiedzi.

– To nie fair! – obruszył się, płacąc kartą kredytową.

– Pani wie więcej ode mnie.

– Na informację trzeba zasłużyć, panie Tom! Sprzedaję mój zawód za czas.

Wymiana przybrała formę uwodzenia.

Tymczasem barman podał mu paragon i pióro. Thomas nabazgrał coś na czasopiśmie, żeby je wypróbować, po czym złożył podpis.

– Bardzo chciałbym ciągnąć tę rozmowę, Yael, ale naprawdę powinienem już iść. Dzielę mieszkanie z przyjacielem.

Wyciągnął palec w kierunku ogłoszeń w gazecie.

– Koniecznie muszę znaleźć własny kąt! – oświadczył z naciskiem. – Uniezależnić się!

Yael skinęła głową, starając się ukryć rozczarowanie. Miał wszystko, co trzeba, żeby się podobać, ale właśnie zniknął.

– A jeśli pewnego dnia zechcę zamówić u pana reportaż, co mam zrobić? – zapytała.

Poczuła, jak policzki zalewa jej fala gorąca. Powiedziała to zniecierpliwiona, grając *va banque*. Natychmiast też pożałowała swojego pytania. Za kogo ją teraz weźmie?

– Jestem w nieruchomościach – rzucił, kierując się do drzwi i puszczając do niej oko. – Do widzenia, Yael.

Po czym wypadł na ulicę i rozpląnął się w jednej chwili.

Dziewczyna oparła łokcie na barze i położyła brodę na dłoniach.

„Wyszłaś na idiotkę, i tyle! Byłaś zbyt natarczywa, zachowałaś się jak nimfomanka... Od tej pory koniec z alkoholem!”

Było jej wstyd.

– „Jestem w nieruchomościach” – powtórzyła cicho.

– Co to znaczy dla niezależnego reportera?

Spostrzegła leżącą na barze gazetę.

„Chyba że...”

Widziała, jak wypróbowała na niej pióro przed podpisaniem paragonu.

Był tam. Zapisany w pośpiechu piórem.

Numer jego komórki.

Yael wróciła do domu trochę po północy.

Kardec przywitał ją, ocierając się o jej nogi, jakby był wystraszony.

– Co ci jest?

Przykucnęła, żeby pogłaskać go po łebku tam, gdzie lubił, między uszami. Kot pozwolił na pieszczotę z półprzymkniętymi oczami.

Yael czuła się świetnie. Nie umiałaby powiedzieć, czy to efekt działania malibu, czy też spotkania z Thomasem. Prawdopodobnie i jedno, i drugie. Kardec w końcu zaczął mrużyć.

– Nareszcie...

Yael wyjęła numer telefonu wydarty z gazety i położyła na stoliku przy wejściu, dumna niczym dobra uczennica, która przyniosła dzienniczek ze stopniami. Nie wiadomo tylko, co z nim teraz zrobi.

Wszystko w swoim czasie.

Rozpiąwszy bluzkę, ruszyła do kuchni po butelkę wody evian, po czym poszła się odświeżyć do łazienki.

Nacisnęła włącznik na ścianie.

Rozbłysło światło, przepędzając mrok.

Na lustrze pozostał jednak nieco dłużej jakiś nieprzenikniony cień. Tak jakby szkło zaparowało. Yael zamrugła oczami.

Lustro znów wyglądało normalnie. Wszystko trwało zaledwie sekundę.

„To się dzieje w twojej głowie! Musisz się położyć spać”.

Pochyliła się nad umywalką, żeby opryskać twarz zimną wodą. Po czym się wyprostowała.

Właśnie wtedy go ujrzała.

Tuż za sobą.

Tym razem to nie było żadne złudzenie optyczne ani skutek zmęczenia.

W lustrze odbijała się ludzka postać. Wysoka i potężna. Tuż za zasłoną od prysznicza.

Nie było co do tego żadnych wątpliwości.

Niecały metr od niej.

Yael wrzasnęła.

Był to krzyk, w którym strach mieszał się z wściekłością.

Chwyciwszy stojący na umywalce flakon perfum, obróciła się na pięcie i cisnęła nim z całej siły w zasłonę prysznicza.

Flakon uderzył miękko w plastik, po czym spadł na brzeg wanny i roztrzaskał się w eksplozji kryształu i bursztynu.

Yael ruszyła właśnie do drzwi, żeby uciec, gdy uzmysłowiła sobie nagle, że cień zniknął.

Znieruchomiała na moment, łapiąc oddech. Jej źrenice przeszukiwały chciwie każdy kąt łazienki.

Nic. Nikogo.

Nic nie rozumiała. Przecież wyraźnie go widziała.

Pochyliła się w kierunku lustra i czym prędzej odskoczyła do tyłu.

Cień tam był. Yael obejrzała się szybko za siebie, aby się upewnić, czy nikt za nią nie stoi. Naprawdę. Ale nie – nic.

Ciemna postać była wyłącznie wewnątrz lustra.

– Co to...? – szepnęła, uświadamiając sobie jednocześnie, że serce wali jej jak młotem.

Pierwotny lęk, że zostanie napadnięta przez intruza, ustąpił miejsca innemu strachowi – bardziej przenikliwemu, całkowicie irracjonalnemu.

„Jakim cudem cień mógł się pojawić w lustrze, nie znajdując się

w łazience?”

Głośno przełknęła ślinę.

Cień na szybie się poruszył. Powoli. Prześliznął się pod gładką powierzchnią w kierunku brzegu. Po czym wyszedł z lustra.

Yael zamruwała powiekami. Cień zniknął.

Nie pozostał po nim ślad. Wszystko wróciło do normalności.

Nogi jej drżały, uginając się pod jej ciężarem.

Dziewczyna wolno osunęła się po ścianie i usiadła wśród odłamków szkła z rozbitego flakonu perfum. Po czym długo trwała w tej pozycji.

Usiłowała zrozumieć. Musiało istnieć jakieś wytłumaczenie. Z pewnością.

Wtedy poczuła ból. Na kafelkach widniała krew. W stopie utkwiał jej trójkącik szkła.

Chwyciwszy go delikatnie, pociągnęła. Skóra zafalowała, a spomiędzy jej fałdów wyciekła na posadzkę strużka krwi.

Wtem zaskrzypiał sufit. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło.

Dom nigdy nie skrzypiał.

Yael powstrzymała wydobywający się z jej gardła szloch.

Czuła, jak po strachu i oszołomieniu przychodzi kolej na przygnębiecie.

Otrząsnęła się i podniosła gwałtownie, żeby zajrzeć do lustra, zobaczyła w nim jednak tylko odbicie własnej wykrzywionej twarzy i nic poza tym. Zmusiła się, by opatrzyć ranę, skupić umysł na prostych, konkretnych czynnościach. Zdezynfekować skaleczenie. Założyć

opatrunek.

Rozlane po podłodze perfumy napełniły łazienkę uporczywym, odurzającym zapachem.

Yael weszła na antresolę znajdującą się nad salonem. Naprzeciwko, na podeście, lśniło widmowym blaskiem biurko.

Monitor komputera był włączony.

Yael otworzyła usta. Była pewna, że nie świecił, kiedy wróciła do domu. Absolutnie pewna.

– Pozwól sobie na luksus wątpliwości, dobrze? – szepnęła drżącym głosem.

Coś działo się w kącie z roślinami zielonymi i klaserami. Komputer pracował.

Yael przeszła wzdłuż całej poręczy, następnie po stopniach schodów...

Na ekranie widniało menu programu arkusza kalkulacyjnego, które natychmiast zniknęło. Po czym komputer sam włączył odtwarzacz mp3, który równie szybko się wyłączył. Uruchomił w ten sposób wiele programów, jakby szukał tego właściwego. W końcu zaczął działać edytor tekstów. Cały ekran wypełniła biała strona.

Kursor migał na kształt uderzeń serca. W oczekiwaniu na polecenie napisania litery, słowa. Na treść.

– Co tu się dzieje? – szepnęła Yael.

Mówienie dodawało jej pewności siebie.

Odciągnąwszy fotel, żeby usiąść na wprost ekranu, położyła dłoń na myszy.

Już miała zamknąć okno programu, gdy nagle kursor się poruszył. Na ekranie pojawiły się słowa:

Powoli. Jakby z trudem.

Jesteśmy...

Litera po literze.

... tutaj.

Yael zagłębiła się w fotelu.

Pokazały się następne słowa.

Razem... z tobą...

Kursor znieruchomiał, po czym zaczął mrugać.

Yael siedziała wpatrzona w ekran, niezdolna oderwać od niego wzroku. Zdolałszy wreszcie rozprostować drżące palce, przyłożyła wilgotne dłonie do klawiatury.

To wszystko wydawało się szalone. Musiało jednak istnieć jakieś wytłumaczenie. Ktoś włamał się do jej komputera i zabawiał się w najlepsze, napędzając jej stracha.

Jakiś cichutki wewnętrzny głos radził jej jednak, żeby nie czepiała się tego wyjaśnienia. Nie po tym, co się wydarzyło w łazience.

Co powinna zrobić? Na początek podnieść słuchawkę. I powiadomić... Policję? „Na pewno nie! Uznają mnie za histeryczkę!” W takim razie kogo? Ojciec wyjechał właśnie na trekking do Indii, przez miesiąc będzie więc nieosiągalny. Tiphaine miało nie być przez kilkanaście dni. Kogo zatem? Wszystkie nieliczne osoby, z którymi czuła się blisko, były nieobecne.

Zawahała się przed położeniem palców na klawiaturze.

Był to jednak pomysł wcale nie gorszy niż inne.

Zabrała się powoli do pisania. Przez działanie oswajała strach paraliżujący umysł:

Kim jesteście?

Czekała, nie spuszczając z oka ekranu komputera.

– Kretynstwo... – powiedziała cicho.

Stało się coś nieprawdopodobnego. Na ekranie ukazała się odpowiedź:

Jesteśmy... po drugiej... stronie.

Yael pokręciła głową.

W... ciemnościach. W tych... po drugiej stronie... luster.

Dziewczyna chwyciła klawiaturę z większą pewnością siebie.

Napisała:

Nie rozumiem. Nie wierzę.

Nic się nie wydarzyło.

Nagle jej słowa zniknęły z ekranu. Yael drgnęła.

Wkrótce też pojawiła się odpowiedź:

W fundamentach.

Wtem cały dom zaczął skrzypieć, jakby struktura, na której się wspierał, została zaatakowana przez jakąś tytaniczną siłę.

Yael krzyknęła, podwijając nogi pod siebie i przyciskając łokcie do boków.

Chociaż nic się nie poruszyło, ściany wydały długi, niepokojący jęk skargi.

Po czym znów zaległa cisza.

Yael, która zawsze uważała się za kobietę silną i niebojaźliwą, uświadomiła sobie, że po policzkach płyną jej łzy.

Aż kipiała od emocji, które sprawiały coraz większy ból, w miarę jak usiłowania, żeby wytłumaczyć to wszystko racjonalnie,

rozwiewały się w czymś w rodzaju chaosu. Zawrotu głowy.

Nagle pojawił się kolejny napis:

Jesteśmy... tutaj. W ścianach. Lustra... to... nasze... okna.

Po chwili ukazały się następne słowa:

Jesteśmy... w ciemnościach. W symbolach... W tym, co niewiadome...

Yael westchnęła głęboko, pragnąc uspokoić bicie serca, które waliło jak szalone.

Listwa pod ścianą, po prawej stronie, pierwsza na dole schodów. Symbole.

Wtem strona zniknęła z ekranu, komputer zaś gwałtownie się wyłączył.

Yael zastygła w przerażeniu.

Przez pięć minut nie była zdolna się poruszyć. Po czym nie zmieniając pozycji, zdołała przyjrzeć się drewnianym listwom pod ścianą po swojej prawej stronie.

Stopniowo powróciła kontrola nad własnymi gestami, Yael wiedziała bowiem, co będzie dalej.

Wstała i podeszła do schodów. Uklękła i zaczęła ostukiwać pierwszą listwę drżącymi dłońmi.

„Nie zastanawiaj się! Rób to, co podpowiada ci instynkt, nie próbuj myśleć racjonalnie, to nie jest właściwy moment. Jazda!”

Drewno wydawało się puste.

Serce Yael załomotało mocniej.

W środku musiało coś być.

Yael obluzowała listwę paznokciami i szarpnęła.

W kamieniu była wydrążona jama nie większa od kostki masła. Westchnąwszy głęboko, Yael zaczęła przeszukiwać ją opuszkami palców.

Po chwili wyciągnęła znajdujący się tam przedmiot i rozwinęła go, nie wierząc własnym oczom.

Banknot jednodolarowy.

Blog Kamela Masira. Fragment drugi

Dnia 11 września 2001 roku rozpoczął się nowy wiek, wiek luster, wraz z obrazem naszego świata, jaki się w nich odbija – pozorami oraz tym, co znajduje się za nimi – subiektywną wizją rzeczywistości. Obawiam się, że dla wielu ludzi żyjących w społeczeństwie uwarunkowanym od pokoleń znaczeniem pozorów są one zbyt silne i że przywódcy polityczni i religijni po raz kolejny posługują się nimi dla osiągnięcia własnych celów, manipulując sporą częścią nas wszystkich.

Obawiam się, że ten wiek będzie wiekiem kolejnej sztucznie wywołanej wojny między dwoma stronnictwami, dwiema kulturami, dwoma pojęciami Boga, w której staniemy się wyłącznie pionkami, podczas gdy pozostająca w cieniu garstka osobników będzie pociągać za sznurki, żeby wyciągnąć z niej jak największe korzyści.

Moje słowa to krzyk ostrzeżenia, pamiętajcie o tym.

Zamierzam bowiem ujawnić w tym blogu po kolei wszystkie wydarzenia i dowody, aby pokazać nieprawdopodobne szachrajstwo, jakie odbywa się teraz, przed naszymi zamkniętymi oczami, niech się wam jednak nie wydaje, że chodzi tutaj o świadectwo dotyczące wyłącznie naszych czasów i tego jedyne go aspektu naszej historii.

Wręcz przeciwnie: dawno już wkroczyliśmy w nową erę. Narzędzia władzy istnieją, niektórzy ludzie zaś doskonale potrafią się nimi posługiwać. Słuchając tego, co mam wam do powiedzenia, być może nauczycie się – jeśli tak się już nie stało – rozszyfrowywać te

metody, aby to się nigdy więcej nie powtórzyło.

Istnieje stałe zagrożenie.

Nierozłącznie związane z naturą ludzką i społeczeństwem w takim kształcie, jaki ono przybrało.

Proszę was tylko o jedno: doczytajcie to wyznanie do końca. Zapewne wyda się wam ono absurdalne, może nawet przesadzone, wobec tego sprawdźcie sami każdy wymieniony w nim fakt. Przekonacie się, że wszystko to prawda.

Wkrótce na zawsze przestaniecie postrzegać świat w ten sam sposób.

Gwarantuję wam to.

6

Pierwsze piętro budynku Deslandesów składało się z ciągu obszernych i wysokich pomieszczeń, ich ściany zaś niknęły za starymi szafami, których szuflady skrywały entomologiczne i geologiczne zbiory domu. Wypchana fauna nadawała temu miejscu osobliwy nastrój: niedźwiedzie brunatne z wyszczerzonymi kłami stały tu obok wielkich i groźnych drapieżników oraz całego zastępu mniej lub bardziej imponujących ssaków.

Całość wydawała się jeszcze większa za sprawą lustra o wymiarach sześć na trzy metry, oprawionego w ozdobną ramę. Od chwili swojego przyścia Yael starannie unikała tej okolicy.

Stuletni parkiet był tak wypaczony, że miejscami potworzyły się wypukłości, poza tym trzeszczał przy każdym kroku jeszcze mocniej niż pokład żaglowca na pełnym morzu. Yael znajdowała się w ostatnim pomieszczeniu, na samym końcu, pod olbrzymią zieloną kopułą górującą nad imponującą kolekcją szczęk rekinów, odgradzoną od tego nieruchomego zoo starym zakurzonym kontuarem. Naprzeciwko siedział przy stole jej kolega Lionel, zajęty układaniem ogromnych zasuszonych ptaszników w gablotkach. W obszernej kamienicy, która stanowiła siedzibę firmy, panowały cisza, chłód i półmrok, gdyż większość okien zasłaniały grube kotary mające chronić szczególnie delikatne eksponaty.

Yael od rana była milcząca. Zastanawiała się, jaki obrać kierunek działania. Była rozdarta między potrzebą zwierzenia się

komuś, oddalenia od siebie lęków, które dręczyły ją przez większość nocy, a chęcią przemilczenia wszystkiego z obawy, że zostanie uznana za wariatkę. Za nawiedzoną.

Lionel nie należał do gadatliwych – mógł spędzić cztery godziny z rzędu w towarzystwie swoich zwierzaków, ani na chwilę nie otwierając ust, całkowicie pochłonięty wykonywanym zajęciem, toteż nie zadał jej żadnego innego pytania poza odwiecznym porannym: „Jak leci?“, na które wcale nie oczekiwał odpowiedzi. Wygląd skatera klócił się z domatorskim charakterem: długie włosy, zawsze wytarte spodnie za kolano, vansy i podkoszulek w jaskrawych kolorach.

Lionel miał dwie życiowe pasje: przyrodę i heavy metal, najostrożniejszy z możliwych.

Połączyła go z Yael nić porozumienia oparta właśnie na braku zbędnych słów. Rozmawiali naturalnie, bez niepotrzebnych wstępów ani owijania w bawełnę. Mówili niewiele, ale i tak wiedzieli o sobie to, co istotne. Lionel był milczącym marzycielem, podróżującym po wszystkich krajach świata za pośrednictwem zwierząt, którymi się w danym momencie zajmował. On nie umieszczał po prostu w wykazie motyla czy stawiał na półce fenka – nie, on odgarniał jednocześnie liany w puszczy tropikalnej Gujany albo maszerował w duchocie i skwarze po pustyni. Miał nieograniczoną ciekawość w dziedzinie geografii, zoologii, botaniki i geologii. Z kolei nie wykazywał ani odrobiny zainteresowania w stosunku do istot ludzkich. Yael zachęcała go, żeby podjął na nowo studia, ze swoją wiedzą i pasją mógł się bowiem pokusić o doktorat, który otworzyłby przed nim o wiele

bogatsze i szersze możliwości niż siedzenie w tym starym budynku, gdzie tylko wegetował.

Wczesnym rankiem Yael o mało nie wyjawiała mu wszystkiego. Jej przebudzenie po kilku godzinach snu okazało się straszne. Odłamki szkła i odurzający zapach perfum rozlanych w łazience dodatkowo wzmocniły to wrażenie. Wzięła prysznic po ciemku, nie chcąc stawać nago przed dużym lustrem. Nie spojrzała w nie zresztą ani przez chwilę. Całkowicie wyczerpana, o mały włos nie schroniła się w zwierzeniach.

Jednakże po śniadaniu, które zjadła samotnie na tarasie herbaciarni, wróciła do Deslandesów z postanowieniem, żeby nie wyjawiać tajemnicy Lionelowi. Mimo że był niezwykle wyrozumiały, jego kartezyjski umysł mógł tym razem wystawić na szwank ich przyjaźń. Yael potrzebowała wsparcia, a nie uznania za wariatkę.

Co wcale nie przeszkadzało, żeby poszukała innej, pośredniej formy pomocy.

– Lionel, mogę cię o coś zapytać?

Chłopak odpowiedział zaabsorbowanym mruknięciem, które oznaczało, że słucha.

– Słyszałeś kiedyś o symbolach na jednodolarowym banknocie?

Lionel wyprostował się i zgasił lampę, która trzymała się na jego czole na gumce.

– Symbolach z amerykańskiego banknotu? – powtórzył.

Yael ciągle miała w pamięci to zdanie, tę litanię: „Jesteśmy... w ciemnościach. W symbolach... W tym, co niewiadome...”.

– Tak – odparła. – Szukam związku między niewiadomym,

symbolami lub ciemnościami a banknotem jednodolarowym.

Zakołysał się na taborecie.

– Jasne – powiedział swoim zwyczajem. – Na banknocie jest cała seria symboli, ale wszyscy to wiedzą.

– Ja nie wiem – mruknęła.

– Nigdy o tym nie słyszałaś? To jest w Internecie i w książkach; wszystkie symbole na banknocie jednodolarowym, sama podstawa i symbol gospodarki Stanów Zjednoczonych.

Wierny swojej zwykłej dokładności i pamięci bez dna, wyrecytował ze spokojem:

– Tajemna liczba trzynaście jest w wielu miejscach na banknocie. Widniejąca na nim piramida ma trzynaście stopni, podobnie orzeł trzyma w swoich szponach trzynaście strzał, a gałąź, którą ścisła z drugiej strony, ma trzynaście liści i trzynaście rozrzuconych oliwek. Na tarczy na tym orle znajduje się trzynaście pasków, a nad jego głową jest trzynaście gwiazd. Z kolei na pieczęci Departamentu Skarbu możesz naliczyć pośrodku trzynaście gwiazd. To już nie jest przypadek. Są jeszcze dwie dewizy, nie pamiętam już jak one...

– *E pluribus unum* i *Annuit Coeptis* – oznajmiła Yael, która oglądała szczegółowo banknot przez sporą część nocy, aż wreszcie nauczyła się na pamięć słów i detali. – Co oznacza: „Z wielu jedno” i „(Bóg) spojrział życzliwie na nasze przedsięwzięcie”, sprawdziłam w encyklopedii.

– Jasne. Jeśli się uważnie przyjrzyysz, zauważysz, że w każdej łacińskiej dewizie jest trzynaście liter. A na awersie, nad jedyneką w

prawym górnym rogu, widać maleńką sowę, która jest prawie zupełnie schowana.

Yael wyjęła z kieszeni banknot i podsunęła go sobie pod nos.

Lionel podał jej lupe, która leżała wśród jego narzędzi pracy.

Sowa rzeczywiście tam była. Niewidoczna, jeśli się jej nie szukało.

– To drapieżnik – wyjaśnił – podobnie jak orzeł znajdujący się na rewersie, tylko że ten jest nocny. To ptak ciemności, w przeciwieństwie do orła, który jest bardziej słoneczny. Sowa zaś pojawia się bez przerwy w symbolice ezoterycznej: ma związek z wszelkiego rodzaju praktykami... To tak, jakby ktoś chciał podkreślić dwoistość, mrok i światło, umieszczając na przedzie to ostatnie, podczas gdy pierwsze jest obecne wszędzie na banknocie, ale zawsze sprytnie ukryte.

Lionel pociągnął za gumkę ściskającą mu głowę i odłożył lampkę na biurko. Na czole pozostał mu wyraźny ślad.

– Co jeszcze znajduje się na tym cholernym banknocie? – zastanawiał się na głos. – A! Ta obcięta piramida z okiem na szczycie. Podobno to potężny symbol masoński, znak tych, którzy kryją się za wszystkimi tymi liczbami i rysunkami ezoterycznymi. Dla jednych to sekta iluminatów, dla innych to czyste bzdury.

– A dla ciebie?

– Chcesz znać moje zdanie? Otóż nie mam zdania! Nigdy nie zgłębiłem tego zagadnienia, po prostu wiem, co się na ten temat mówi, i tyle. Mogę jedynie stwierdzić, że tyle tajemnych symboli naraz to nie

przypadek i że kryje się za tym świadomy zamiar. Ale jaki? Dlaczego? Nie mam pojęcia. Ja nie przepadam za całą tą teorią spisku i całą tą paranoją.

Nagle załała ich cisza starej kamienicy.

Yael przyglądała się sobie przez lupę.

Dlaczego umieszczono ją na drodze tych symboli?

„Świat cieni”.

Kim oni są?

– Zamierzasz produkować fałszywe pieniądze? – zażartował

Lionel.

Yael odłożyła lupę i schowała banknot do kieszeni.

– To... coś w rodzaju zagadki, którą ktoś mi podrzucił.

– Rozumiem. Nie zadawaj się z facetami, którzy włóczą się po nocy w pelerynie z kapturem, to źle działa na nerwy.

Co powiedziawszy, wrócił do pracy, nie zadając więcej pytań i jak zwykle nie przejawiając zainteresowania sprawami bliźnich.

Lionel chwycił plecak i pożegnał się z Yael. Jego dniówka dobiegła końca.

Ponieważ przez całe popołudnie nie było żadnego klienta, dziewczyna wyszła razem z nim, żeby wyrwać się z odrętwienia. Usiłowała jakoś wyjaśnić całą tę historię z symbolami i ciemnościami, nie rozumiejąc, dokąd ją to wszystko powinno zaprowadzić. Czyżby ktoś chciał skierować ją na trop tajnych stowarzyszeń? Mało prawdopodobne – istniały przecież bardziej subtelne i skuteczne

sposoby, żeby to osiągnąć. Znużona wielogodzinnym rozmyślaniami i wyczerpana brakiem snu, znalazła sobie zajęcie, jednocześnie pogrążając się powoli w letargu.

Hol na parterze był pusty, właścicielka spędzała bowiem większość czasu na zapleczu, na samym końcu korytarza. Kiedy zjawiał się klient, dzwonek nad drzwiami powiadamiał ją o jego przybyciu.

Gdy znaleźli się na chodniku, Lionel włożył na głowę słuchawki od walkmana i ruszył w paryską ciszę. Prawdziwa rzadkość.

Powietrze było naelektryzowane, upał zaś ustępował, w miarę jak nad dachami gęstniały czarne chmury przesłaniające słońce i pogrążające ulice w grobowej poświacie. Od jakiegoś czasu nad miastem wisiała – to oddalając się, to powracając – burza, której wściekłość narastała równie szybko jak zalewające je ciemności.

Yael delectowała się zbawienną bryzą, która natychmiast się rozwiała. Po czym zawróciła.

Wspiąwszy się na szczyt schodów, okrążyła brunatną sylwetkę niedźwiedzia zastygłego w atakującej pozie, z lśniącymi kłami, starannie omijając gigantyczne lustro. Przyjrzała się różnym stworzeniom, obserwującym ją swoimi żółtymi, zielonymi i czarnymi ślepiami, po czym przemierzyła korytarz, który za sprawą szaf zamienił się w wąską kiszkę, aż dotarła wreszcie do swojego kontuaru, położonego w ostatnim, największym pomieszczeniu.

W tej samej chwili na znajdującą się osiem metrów wyżej kopułę spadły pierwsze krople deszczu.

Yael zamierzała właśnie usiąść, gdy spostrzegła, że drzwi

ewakuacyjne są otwarte. Prowadziły one na schody przecinające pionowo cały budynek od poddasza aż do podziemi, lecz z wyjątkiem Lionela i kilku przypadkowych dostawców nikt ich nigdy nie używał. Podłoga zaskrzypiała potwornie pod jej ciężarem.

Lionel musiał je otworzyć przed wyjściem, ona zaś tego nie zauważyła. Drzwi zamknęły się bez trudu i bez hałasu.

Deszcz zaczął bębnić w szklaną kopułę z całej siły, po czym w ciągu kilku zaledwie minut na Paryż spadł prawdziwy potop. Było ciemno jak w nocy, toteż chcąc sortować dalej fiszki kolekcji straszaków, była zmuszona zapalić na biurku lampę.

Starła się nie myśleć o tym, co się wydarzyło w nocy. Nie myśleć zwłaszcza teraz, kiedy była sama.

Niebo zagrzmiało.

„Szczyt wszystkiego. Mam prawo do *full option*. Teraz jeszcze burza”.

Nagle błyskawica przecięła gruby płaszcz chmur, rysując na ich powierzchni ulotną sieć żyłek i rozświetlając każdy zakamarek wokół niej.

Górujące nad kontuarem potężne szczęki rekinów przybrały niesamowity wygląd, a ich trójkątne zęby stały się straszniejsze niż kiedykolwiek.

Gdzieś na piętrze głośnie trzasnęły drzwi.

Yael wyprostowała się gwałtownie.

Po krótkim wahaniu zerwała się z miejsca, przebiegła pół tuzina metrów i przystanąła na progu długiego korytarza przecinającego

budynek. Był pograżony w ciemnościach. W gęstych ciemnościach.

Westchnęła.

„Daje popalić”.

Właściwie wcale nie musi tam iść. Powodowało ją co najwyżej poczucie, że źle wykonuje swoją robotę: pozostawiła otwarte okno, rzykując, że deszcz uszkodzi jakieś zwierzę.

Weszła w mrok.

Podłoga falowała pod jej stopami, skrzypiąc przy każdym powolnym kroku. Yael posuwała się naprzód, muskając opuszkami palców długie szuflady, które skrywały setki skarbów przywiezionych z całego świata, z najbardziej nieprawdopodobnych miejsc.

Nagle salę w głębi, za plecami Yael, przecięła kolejna błyskawica, zalewając cały korytarz widmowym światłem.

Fundamenty zdrząły pod wpływem grzmotu.

Drzwi wokół niej były pootwierane. Za jednymi z nich znajdował się warsztat zavalony narzędziami i materiałami, za drugimi i dwojgiem następnych był magazyn. Piąte były zamknięte. Właśnie te, które trzasnęły. Otworzywszy je, Yael ze zdziwieniem stwierdziła, że wszystko jest w porządku: dziesiątki gadów biegnących po stołach i ścianach, stare wypchane szczątki. Sprawdziła dokładnie pomieszczenie, szukając źródła przeciągu, ale nic nie znalazła. Już miała wyjść, gdy wtem drzwi się poruszyły. Zatrzasnęły się lekko raz, potem drugi, jakby bawił się nimi duch dziecka, po czym zaczęły stukać coraz szybciej, aż wreszcie rąbnęły z mocą w futrynę.

W innych okolicznościach Yael uznałaby, że to przeciąg albo

jakieś zachwianie równowagi; cokolwiek, byleby tylko było racjonalne. Tkwiła bez ruchu przed drzwiami, nim w końcu wyciągnęła drżącą dłoń ku klamce, aby je otworzyć. Prześliznęła się na korytarz, nie spuszczać ich z oczu. Ledwie zdążyła z powrotem przekroczyć próg, drzwi się zatrzasnęły, odcinając jej drogę do pomieszczenia.

Yael się cofnęła.

„Tego już za wiele”.

Przebiegła przez korytarz, aby znaleźć się w bezpiecznym miejscu przy kontuarze. Wchodząc do sali, wiedziała jednak, że coś jest nie tak.

Jej spojrzenie przyciągnęło delikatne światło.

Ostatniej wiosny wydobyła ze strychu starą lampę z kutego żelaza, postawiła ją na kontuarze i włożyła do środka świeczkę, aby była gotowa do użytku w dniu, kiedy zdecyduje się z niej skorzystać.

Świeczka była zapalona.

Podobnie jak te umieszczone na świeczniku, który stał na założonym dziewiętnastowiecznymi podręcznikami stoliku przed drzwiami służbowymi.

Te ostatnie zresztą były znów otwarte.

Teraz na progu lśniły dziesiątki światel, zalewając blaskiem schody, które prowadziły na niższy poziom.

Płonęły wśród grzmotów, tworząc ognistą ścieżkę.

I zapraszając Yael, żeby zeszła na dół.

Stopy nie chciały przejść przez próg.

Dyszała, niezdolna zapanować nad drżeniem rąk. Niebo zacharczało, po czym wydało potworny ryk.

Żarówki na schodach, które zajęły miejsce świeczek, mrugały, jakby z trudem utrzymywały się przy życiu.

Yael przywołała całą siłę rozumu: bez względu na wyjaśnienie, jakie dałoby się tu zastosować, gdyby ktoś chciał jej wyrządzić krzywdę, już by to zrobił – usiłowano ją po prostu nastraszyć.

„Wyjaśnienie? Nie istnieje żadne wyjaśnienie! Nie można wytłumaczyć obecności cienia w lustrze, skoro nie ma...”

Musi albo uciec, albo pogodzić się z tym, że nie rozumie. Tu już nie ma miejsca na zdrowy rozsądek.

Powinna podjąć jakąś decyzję... Zamierza zejść czy nie? Spojrzała na schody.

Mimo wrażenia, że pogrąża się w otchłani, nie mogła uciec. Musi dotrzeć do końca źródła strachu, żeby się od niego uwolnić.

Yael przekroczyła próg i zaczęła schodzić w dół. Stopień po stopniu. Niczym automat.

Nikt ich nigdy nie używał poza jej kolegą. Było je czuć piwniczną wilgocią. Bardzo szybko Yael uświadomiła sobie, że jedyny drogowskaz stanowią mrugające lampy. Kiedy światło słabło, ściany i stopnie znikwały.

Chwyciła się kurczowo poręczy.

Dotarłszy na parter, stwierdziła, że drzwi są zamknięte, żarówki zaś oświetlają z przerwami drogę do podziemi. Właśnie tego się obawiała: piwnic, gdzie umieszczano zwłoki zwierząt, aby je zamrozić, jeśli nie można ich było od razu pozbawić wnętrzości.

Było to królestwo Lionela: tylko on tam schodził i właśnie tam patroszył ciała „na świeżo” – jak sam mawiał, z dala od ludzkich spojrzeń, wykonując pracę preparatora.

Drzwi wiodące do podziemnych korytarzy były otwarte. Drogę znaczył krąg światła.

Yael weszła, schylając głowę. Smród ścisnął ją za gardło – woń stęchlizny i rozkładu.

Pokonała trzy stopnie w kierunku lodówek. Przywołało to złe wspomnienia. Zeszłego lata nastąpiła przerwa w dostawie prądu. Po wielu dniach Lionel włączył ponownie lodówki, nie sprawdzwszy ich zawartości – zgniła magma złożona z mięsa i krwi utworzyła kilkunastocentymetrową warstwę odpadów na dnie pojemników.

Teraz panowały całkowite ciemności. Jedyne i ostatnie światło docierało tutaj z daleka, na samym końcu, w strefie, w której na ogół pracował jej kolega.

Yael minęła po omacku rozwalające się kartonowe pudła, tablice anatomiczne oraz szkice roślin i owadów.

Gdzieś tam pluskał hałaśliwie deszcz, przelewając się z rynny w takt monotonnej krystalicznej melodii.

W ustawionych rzędem flakonach znajdowały się motyle zabite cyjankiem potasu. Poczula znajomy dotyk zimnych pojemników.

Nagle za załomem muru ukazał się warsztat Lionela i jego narzędzia ułożone starannie na kawałku płótna. Skalpele lśniły w blasku lampy kreślarskiej, przymocowanej do ogromnego lustra zamieszczonego w kącie.

Yael dostała gęziej skórki. Nigdy dotąd nie przykładała tak wielkiej wagi do luster. Zresztą obecność tego tutaj nie miała żadnego sensu.

Lampa odbijała się w jego wnętrzu. Yael pochyliła się ku niemu, jak ktoś, kto zagląda do mętnej wody.

Co chciano jej pokazać?

Obejrzała brzegi, następnie szklaną powierzchnię.

Wewnątrz rozciągała się piwnica: podobna, a jednak inna – jej perspektywa i nierówności były widoczne w dwóch wymiarach.

Yael widziała się w lustrze. Swoje brązowe kręcone włosy, jasne niczym śnieg oczy i usta, których nie lubiła.

Wtedy wokół jej twarzy pojawiły się cienie. Jeden po drugim.

Wiedziała, że nie warto się oglądać – znajdowały się wewnątrz lustra i otaczały ją.

Było ich coraz więcej.

Cienie kładły się na policzkach Yael.

Tym razem nie było żadnej wyraźnej postaci, tylko delikatne i ruchliwe spirale przypominające bezkształtne robaki, które wiły się, skręcały, ocierały o jej twarz, sadowiąc się coraz mocniej.

I nagle na oczach przerażonej Yael cienie zbiły się w gromadę.

Aby utworzyć litery. Słowa.

Na tle piwnicy.

Illuminaci...

Skull and Bones...

Złudzenia...

... wszystko drzewa, za którymi... kryje się las.

Yael zamrugła oczami.

Cienie rozproszyły się, po czym skupiły na nowo, formując napis:

Władcy marionetek, a mimo to kukły.

Po chwili znów się poruszyły, układając się w przesłanie:

Do zobaczenia dziś w nocy.

Po czym zniknęły.

Yael siedziała na swoim zwykłym miejscu, a za jej plecami szumiał parujący elektryczny czajnik.

Grzmiało coraz mocniej, strugi deszczu zalewały kopułę,

zamieniając ją w gigantyczną szarą meduzę, przecinaną srebrzystymi błyskami w regularnych odstępach czasu.

Yael zamknęła drzwi ewakuacyjne i pogasiła świece. Od chwili, gdy wróciła na górę, nie rozstawała się z komórką.

Chciała do kogoś zadzwonić, ale do kogo?

Słowo „policja” nie dawało jej spokoju, chociaż w głębi duszy czuła, że nie należy jej wzywać pod żadnym pozorem. Jak bowiem wytłumaczyć w racjonalny sposób to, co się tutaj działo? Nie, tą metodą wkrótce trafiłaby do Świętej Anny.

Zaczęła gorączkowo przeszukiwać spis telefonów w komórce.

Lionel. I do diabła z dumą!

W słuchawce rozległ się syntetyczny jęk.

– Ha-alo-o! – odezwał się głos kolegi.

– Lionel, to ja, Yael.

– Yael? – zdziwił się chłopak.

Rzadko do niego dzwoniła, na dodatek wyłącznie w sprawach służbowych.

– Za... zastanawiałam się – zaczęła – czy... No więc, ciągle jeszcze jestem w sklepie i...

W jaki sposób wyrazić wątpliwości, jak się zwierzyć plastikowemu pudełku? To śmieszne. Uzna ją za kretynkę, jeśli mu powie o cieniach w lustrze.

– Co? Co się dzieje? – zaniepokoił się.

– Ja... Hm... To znaczy... Schodziłeś dzisiaj do piwnicy?

– Jest sobota, Yael. Dobrze wiesz, że moja działka to minerały i

owady. Co się stało? Tylko mi nie mów, że znów nawaliła lodówka! Mam po dziurki w nosie zeszkrobrywania zgniłego ścierwa!

– Nie... Nie, zajrzałam na dół i... drzwi były otwarte, chciałam więc tylko zapytać czy przez zapomnienie, czy może ktoś tam schodził.

– Ach, nie zawracaj sobie tym głowy. To nic takiego, to stara chałupa. Dobra, muszę kończyć, kumple na mnie czekają. Miłego weekendu, do wtorku.

Po czym się rozłączył.

Yael nie była w stanie mówić. Nie była w stanie rzucić się na głęboką wodę. Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo ostatnie przeżycia spychały ją na margines. Opowiadanie o tego typu rzeczach inaczej niż żartem wydawało się niepojęte i mogło ją na zawsze ośmieszyć. Przyjaciele odsunęliby się od niej tak daleko, że poczułaby się jeszcze bardziej samotna. Nie powinna oczekiwać w tym względzie żadnej pomocy ani współczucia. Bez wątpienia strach po kryjomu zrobiłby swoje.

Wówczas z nieodpartą logiką przed oczyma stanął jej obraz pogodnej, spokojnej twarzy człowieka, którego nie sposób byle czym zaskoczyć.

Thomas.

„Przecież nawet go nie znam! Jak mogłabym zaufać facetowi, którego poznałam zaledwie wczoraj! Nie wspominając o śmieszności!”

Tymczasem druga Yael odpowiedziała: „A na co ci instynkt? Jesteś aż tak zarozumiała, żeby sama to wszystko wyjaśnić? – Parsknęła śmiechem. – To byłby już szczyt wszystkiego!”

Wzruszyła ramionami. Logiczne czy nie, w tej chwili Thomas oznaczał dla niej, poza urokiem osobistym, pocieszenie, możliwość odzyskania pewności siebie. Zresztą skoro i tak się nie znali, czym ryzykuje, mówiąc mu o wszystkim? Tym, że weźmie ją za wariatkę i ucieknie gdzie pieprz rośnie? W ten sposób nie posunie się wprawdzie do przodu, ale przynajmniej spróbuje.

Z braku przyjaciółki od serca właśnie ten mężczyzna wzbudzał jej zaufanie. Wpatrywała się w telefon komórkowy. Długą chwilę. Nigdy nie odważy się zadzwonić.

W czajniku elektrycznym zawrzała woda. Wyłączywszy go, Yael zaparzyła sobie kubek rozpuszczalnej kawy.

Powinna się czymś zająć, a nie siedzieć beczynn timer, bo inaczej wątpliwości o bezwładnią ją jeszcze bardziej.

Przysunawszy krzesło do laptopa, otworzyła go i uruchomiła.

Podłączyła się do Internetu i znalazła wyszukiwarkę *Google*.

Mówiąc o banknocie jednodolarowym, Lionel wymienił nazwę „iluminaci”.

Na ekranie zaroilo się od stron internetowych. Dokonała pospiesznego wyboru, decydując się na te, które wyglądały na udokumentowane i poważne.

Zakon iluminatów został założony w 1776 roku – identyczna data widnieje u podstawy piramidy na banknocie jednodolarowym. Właśnie ta ścięta piramida z okiem na czubku stanowiła ich symbol. Celem iluminatów była całkowita zmiana świata, polegająca na obaleniu władzy monarchistycznej i wszelkiego porządku religijnego, i

ustanowieniu nowego porządku oraz rozdzieleniu władzy na nowo, z korzyścią dla siebie. Byli nawet tacy, którzy nie zawahali się przed twierdzeniem, że zakon odegrał poważną rolę w rewolucji francuskiej i uzyskaniu niepodległości przez Stany Zjednoczone, pociągając za sznurki, udzielając finansowego i strategicznego wsparcia temu a nie innemu obozowi. Związki łączące masonów i iluminatów miały powtarzający się charakter – powiadano wręcz, że pierwsi znajdowali się pod wpływem drugich. Wygląda jednak na to, że wraz z upływem wieków iluminaci całkowicie zniknęli.

Yael przebiegła po wszystkich, nieco wątpliwych, odnośnikach satanistycznych.

Jak podawały rozmaite strony, iluminaci zostali stworzeni przez Adama Weishaupta, i to właśnie jego wizerunek, a nie Jerzego Waszyngtona, zdobi banknot jednodolarowy.

Powątpiewając, Yael porównała jego portret z portretem amerykańskiego prezydenta. Trzeba przyznać, że występuje wyraźne podobieństwo.

Weishaupt zmarł 18 listopada 1830 roku, a więc w trzysta dwudziestym drugim dniu roku.

Ta sama liczba widnieje na herbie Skull and Bones – dosłownie: Czaszka i Kości – tajnego stowarzyszenia działającego w Stanach Zjednoczonych. Herb ten składa się z dwóch skrzyżowanych piszczeli z umieszczoną nad nimi czaszką i wspomnianą liczbą. Tą samą trupią główką, którą odnajdujemy na mundurach SS z drugiej wojny światowej.

Yael przytknęła do ust filiżankę. Wystukawszy na klawiaturze nazwę Skull and Bones, zabrała się do przeglądania pierwszych stron.

Początkowo to tajne stowarzyszenie było studenckim bractwem, założonym w 1832 roku na terenie kampusu uniwersyteckiego Yale. Skupiało kilku młodzieńców pochodzących z „najlepszych” amerykańskich rodzin. Następnie przekształciło się w organizację werbującą każdego roku piętnastu członków spośród elity Yale w celu utworzenia spójnej sieci wpływów na całym świecie. Trudno zatem zliczyć ile osobistości politycznych, a nawet prezydentów, wchodziło w skład Skull and Bones. Podobnie rzecz się miała ze światem mediów i służb informacyjnych.

Organizacja ta starannie dobierała swoich członków, chcąc zapewnić narodowi amerykańskiemu odnawialność elity politycznej i ekonomicznej oraz aby jej zaszcześcić wartości, dzięki którym jej działania będą długowieczne i osiągną cel wiadomy jedynie wtajemniczonym.

Ku swemu zdziwieniu Yael stwierdziła, że wcale nie ma do czynienia z mitem, lecz z oficjalną organizacją, która ma okazałą siedzibę, a nazwiska jej słynnych członków są powszechnie znane, gdyż rzadko się oni ukrywają.

Uważa się, że to tajne stowarzyszenie pragnie zapanować nad światem przez obsadzanie strategicznych punktów. Trzeba jednak przyznać, że mimo dwóch wieków istnienia organizacja ciągle pozostaje hermetyczna i że na jej temat nie wiadomo nic konkretnego – znana jest zaledwie garstka nazwisk „uczniów”, jak choćby

przedstawiciele rodziny Bushów, z której pochodzi obecny prezydent, i to od trzech pokoleń.

Politycy zawsze wspierali organizację. W 1943 roku stan Connecticut zwolnił Russell Trust Association, zarządzającą majątkiem tajnego stowarzyszenia, z przedstawienia sprawozdania z działalności, które każde inne przedsiębiorstwo jest zobowiązane złożyć. Majątkiem tym zarządzał następnie były pracownik Prescottta Busha, ojca i dziadka prezydentów.

Najgorsza jednak okazała się analiza historyczna. Otóż wszelkie brzydkie zagrywki, jakie wystąpiły w amerykańskiej polityce, a więc inwazja na Zatokę Świń, afera Watergate, zamach stanu przeciwko Salvadorowi Allende, opracowanie doktryny nuklearnej, wojna w Iraku... wydarzyły się na bezpośrednie polecenie lub pod naciskiem członków Skuli and Bones. Zawsze kluczowe stanowiska obsadzał jeden lub wielu ludzi z bractwa.

Yael kliknęła myszą, żeby zamknąć stronę. Wszystko to jeszcze bardziej namieszało jej w głowie.

Najpierw banknot jednodolarowy, naszpikowany symbolami ezoterycznymi i powiązaniami z iluminatami. Potem Skull and Bones, fabryka kształcąca klasy rządzące, na koniec zaś wiadomość pozostawiona przez... Cienie: „...wszystko drzewa, za którymi kryje się las. Władcy marionetek, a mimo to kukły”.

Yael dopiła kawę.

Oczyrna duszy ujrzała ostatnie słowa napisane na lustrze.

Do zobaczenia dziś w nocy.

Wkrótce wróca. Znów się odezwą.

Nie może zostać sama.

Z nerwami napiętymi jak postronki, wyczerpana presją ostatnich godzin, czuła się niezdolna do jakiegokolwiek rozumowania. Ten natłok informacji stanowił dla niej jedynie bełkot bez początku i końca.

Żeby wypłynąć na powierzchnię, potrzebowała pomocy. Musiała się na kimś wesprzeć.

Jej serce biło coraz mocniej, gdy chwyciła słuchawkę i wystukała cyfra po cyfrze numer telefonu, w którym pokładała całą nadzieję.

Deszcz chłostał ulicę, zalewając bulwar Grands-Augustins strugami spienionej wody.

Mimo bliskości placu Saint-Michel w ten sobotni wieczór dzielnica świeciła pustkami, podobnie zresztą jak Paradis du Fruit, gdzie Yael czekała na swojego gościa.

Przyszła pół godziny wcześniej, żeby zdążyć się pozbyć nerwowości, w nadziei, że ogromny koktajl ze świeżych owoców zdoła rozproszyć jej niepokój. W głowie kłębiło jej się tyle pytań. Im bliżej było do umówionego spotkania, tym usilniej się zastanawiała, czy stanie na wysokości zadania. Czy będzie umiała żartować, słuchać tego, co mówi, czy też pograży się w otchłani wątpliwości, które zatruwały jej umysł?

Kiedy Thomas wpadł biegiem do środka, obie kelnerki stały leniwie oparte o ścianę. Dziennikarz trzymał w dłoni egzemplarz „Canard enchainé”, którym osłaniał głowę przed deszczem.

– Niedługo po Grands Boulevards będą pływać łódki! – stwierdził, zdejmując ociekający wodą płaszcz.

Rzuciwszy krótkie spojrzenie na restaurację i jej egzotyczny wystrój, usiadł naprzeciwko Yael.

– Dzięki, że pan przyszedł mimo tego potopu – powiedziała na powitanie Yael.

– Pani telefon tak bardzo mnie zaskoczył, że nie mogłem odmówić – zażartował. – Jeśli mam być szczerzy, nie sądziłem, że

jeszcze kiedyś się pani odezwie.

– Bo wcale nie zamierzałam do pana dzwonić – skłamała.

– To miłe, że zmieniła pani zdanie – odrzekł, zaglądając do karty dań.

– Proszę mi wybaczyć, to było narwane.

– Narwane? Nie znam tego słowa.

– Dziwi mnie to. Pan tak doskonale mówi po francusku! To znaczy: trywialne albo, jeśli pan woli, głupie. Gdyby nie ten leciutki akcent, mógłby pan uchodzić za nauczyciela literatury! Mówi pan lepiej niż większość z nas!

– Ponieważ dużo czytam po francusku. Przez telefon powiedziała pani, że ta kolacja będzie okazją, żebyśmy się lepiej poznali. Ciągle pragnę się dowiedzieć, co pani robi w życiu!

Yael przewróciła oczami.

– To nie jest coś, z czego byłabym najbardziej dumna.

– Dalej! Jeśli nawet nie jest to pasjonujący zawód, zawsze może pani powiedzieć, że wykonuje go pani dla pieniędzy, i wymienić wszystkie pasje, jakie pochłaniają cały pani czas.

Yael roześmiała się cicho.

– Nie wywinę się, prawda? A więc dobrze. Pracuję u Deslandesów, w starej firmie zajmującej się preparowaniem zwierząt. Taksydermia, kolekcje geologiczne i entomologiczne oraz materiał do badań.

– To oryginalne! Dlaczego pani się wstydzi?

– Nie wiem. Może dlatego, że nie wybrałam sobie sama takiego

zawodu. To tymczasowe zajęcie, które się przeciąga, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

Skinął potakująco głową.

– W takim razie z czego jest pani najbardziej dumna w życiu?

– Z tego, co dopiero nastąpi.

Czym prędzej potrząsnęła dłonią.

– To znaczy z mojej przyszłości.

Roześmiał się ubawiony.

– Nie jest pani... narwana, ale chyba zdenerwowana.

„Nawet nie wiesz jak bardzo” – pomyślała. Jego powaga i jowialność uspokajały ją jednak już od pierwszych chwil, kiedy tylko tutaj wszedł. Czuła, jak lęk ją opuszcza, a uśmiech, jakim go obdarzyła, był całkowicie szczery.

Złożyli zamówienie, pragnąc oddać się ucztom owoców, czekolady i lodów.

– W jakie zakątki świata zaniósł pana praca niezależnego reportera?

– Wszędzie po trochu. Tam, gdzie znajduję pomysły. Moje ulubione rejony to Azja i Afryka. Bez względu na to, co się mówi, właśnie tam jest przyszłość.

– A jak się potoczyły pańskie losy?

– Obawiam się, że bardzo banalnie. Najpierw studia dziennikarskie w Vancouverze, później staż w Toronto i Ottawie, na koniec przeprowadzka do Nowego Jorku. Uczyłem się francuskiego w szkole, pogłębiając jego znajomość dzięki waszej literaturze, naturalną

koleją rzeczy przyjechałem więc dwa lata temu do Paryża. Przedstawiłem raport na temat mafii motocyklowej w Quebecu, spodobał się i drzwi stanęły przede mną otworem.

– Mafii motocyklowej? Przypuszczam, że pozostała po tym niezła kolekcja tatuaży i para pięknych wysokich butów!

– Nie, *bikers* to tylko wykonawcy, a mnie interesowali bardziej ich szefowie, oni zaś chodzą w garniturach... Tak czy inaczej, do tej pory moje kontakty w Paryżu się poszerzyły. Właśnie dlatego zamierzam się tu osiedlić na stałe. Stąd moje poszukiwania mieszkania i życzliwi przyjaciele, którzy przygarniają mnie do siebie na zmianę, dopóki czegoś nie znajdę.

Thomas nakreślił jej obraz bardzo spokojnej rodziny oraz syna jedynaka, którego rodzice wykładają na uniwersytecie, po czym zaczęli rozmawiać o związkach uczuciowych. Przez pięć lat żył z kobietą z Toronto, ale ciągle przeprowadzki i ogromne pokłady energii, jakie pochłaniała jego profesja, zniszczyły to małżeństwo. Potem miał kilka dłuższych lub krótszych i bardziej lub mniej poważnych romansów, z czego niewiele z Francuzkami – wbrew opinii łatwych, jaką mają one w innych krajach. Jak zauważył, sporo cudzoziemców, którzy świeżo zawitali do Paryża, poznając „córy Francji”, stwierdza, że są bardzo skomplikowane. „Słodki eufemizm – pomyślała Yael – żeby powiedzieć «upierdliwe»”. Odsunąwszy na bok swoje *ego*, pominęła to nieco upraszczające uogólnienie.

Thomas mówił z werwą, niekiedy pomagając sobie gestami. Patrząc na jego owalną twarz, lekko kręcone włosy i uwodzicielskie

spojrzenie, Yael doszukała się nieznacznego podobieństwa do Matthew McConaugheya.

Przegadali w ten sposób dwie godziny, podczas których Yael ujawniła strzępy własnej przeszłości, wspominając o śmierci matki i swoim samotniczym usposobieniu. Po czym uświadomiła sobie, że z pewnością można ją zaszufłdować jako „dziewczynek skomplikowaną”. Tylko co mogła na to poradzić? Czy samo to, że żyła, czyniło z niej osobę upierdliwą? Jeśli tak, to ona głośno protestuje.

Wieczór dobiegł końca.

Nadal zwracali się do siebie *per* pan i pani, Thomas nie zaproponował bowiem przejścia na „ty”, ona zaś uważała tę formę za wprawdzie nieco przestarzałą, za to sympatyczną.

Mimo stresu i zmęczenia Yael zjadła miłą kolację i zdołała odsunąć od siebie choć na jakiś czas to, co ją dręczyło: lustra, cienie... W miarę jednak jak zbliżała się pora powrotu do domu, narastał w niej niepokój. Nie mogła uciec, wynająć pokoju w hotelu. Cienie i tak by ją bowiem dopadły, jak to zdarzyło się u Deslandesów.

Ruszyła w kierunku restauracyjnego tarasu. Deszcz trochę ustał – krople spadały teraz rzadziej i bardziej nieśmiało.

Thomas, który uparł się, że ureguluje rachunek, dołączył do niej po chwili.

– Spędziłem cudowne chwile, Yael. Naprawdę.

Yael zawahała się przez moment.

– Hm... Nie zechciałby pan wpaść do mnie na drinka? – zapytała w końcu. – To nie jest podryw z mojej strony, po prostu chciałym

jeszcze trochę porozmawiać.

Kolacja i początkowe godziny wzajemnego wybadywania się potwierdziły pierwsze wrażenie: Thomas był zrównoważony i troskliwy. Ich spotkanie dało jej poczucie bezpieczeństwa – mogła mu o wszystkim powiedzieć, on zaś wysłuchałby, jak obnaża przed nim swoje lęki, po czym zniknął jak nieznajomy, którego nigdy więcej nie zobaczy, i nigdy nie będzie musiała dźwigać ciężaru wstydu. Albo zostanie, żeby dodać jej otuchy, a wtedy wygra całą pulę. Musi zdobyć się na odwagę, nie może pozwolić, żeby odszedł.

Widząc jej zmieszanie i zażenowanie, Thomas uśmiechnął się nieco zakłopotany.

– Co się dzieje, Yael?

Westchnęła odrzucając głowę do tyłu.

– Jestem niemądra. Nie zapraszam pana do siebie, żeby... Chcę tylko pogadać, niech pan sobie nie myśli, że zamierzam się na pana rzucić, wcale nie o to mi chodzi...

Uzmysłowiwszy sobie, że sytuacja staje się coraz bardziej niezręczna, otworzyła usta, nie wydobył się z nich jednak żaden dźwięk.

Thomas zmarszczył brwi.

– A gdyby tak powiedziała pani, czego chce, bez owijania w bawełnę?

Po trzech sekundach milczenia wreszcie wypaliła:

– Nie chcę być dzisiaj sama. Chciałabym... czyjejs obecności. – Odetchnąwszy głęboko, dodała: – A skoro nie ma pan gdzie mieszkać,

pomyślałam sobie, że to by urządziło nas oboje. Coś w rodzaju przysługi.

– Yael, prawie mnie pani nie zna. To trochę ryzykowne, nie?

– Tak pan sądzi? Chyba nie bardziej niż w wypadku tych wszystkich dziewczyn i chłopaków, którzy spędzają z sobą jeden wieczór, na przykład w dyskotecie, a po czterech godzinach idą do łóżka? Otwieram przed panem drzwi do pokoju dla gości, bo nie chcę być dziś w nocy sama, to wszystko. Robię to dla własnego spokoju. Zgoda, to trochę śmiałe lekarstwo, ale na miarę moich potrzeb.

Thomas spoglądał na nią z lekką rezerwą. Yael pojęła, że musi zastanawiać się nad nią, nad jej zdrowiem psychicznym. Zapewne plując sobie w brodę, że znów natknął się na wariatkę.

– Proszę o tym zapomnieć – rzuciła czym prędzej. – Przepraszam pana.

– Nie, nie – odrzekł z zapałem. – Proszę się nie przejmować. Nie oceniam pani, jeśli tego się pani obawia. Po prostu staram się postawić na pani miejscu. I podziwiam odwagę, jaką trzeba mieć, żeby poprosić mężczyznę o to, o co pani prosi, zwłaszcza w dzisiejszych czasach.

Pogłodził ją przyjaźnie po ramieniu.

– Widzi pani, przy moim zawodzie sypiałem już w dość dziwnych miejscach i warunkach, proszę mi wierzyć, spokojnie więc przeżyję i noc u pani.

Zachęciwszy ją, żeby poszła za nim, dodał tym samym prześmiewczym tonem:

– Ale proszę mi powiedzieć, czy w drzwiach od tego pokoju gościnnego jest chociaż jakiś zamek?

Yael zadrżała na widok lustra przy wejściu, po czym natychmiast się odsunęła, pokazując obszerny salon.

– To tutaj...

Thomas spojrział w górę na biegnące wzdłuż ściany schody w kształcie litery „L”, które zatrzymywały się przed dużym pomieszczeniem służącym jako gabinet, żeby doprowadzić do antresoli. Wysoko nad nimi przez przezroczystą piramidę wpadał popielaty blask nocy.

– Największe wrażenie robi to, co ma pan pod stopami – oświadczyła Yael. – Gotów?

Thomas nie od razu zrozumiał, podłoga bowiem lśniła niczym ogromna, nieprzenikniona czarna kałuża.

Kiedy Yael wcisnęła wyłącznik, nieprzeniknioność się rozproszyła. Chodził po szkłe. Oszalającą otchłań rozświetlały małe reflektory.

Z dwóch kolektorów przelewała się deszczówka, wpadając do zbiornika, który znajdował się wiele metrów niżej.

– Och! To... robi wyjątkowe wrażenie – stwierdził.

– Nie na wszystkich.

– Mogę to zrozumieć. To architekt wpadł na ten pomysł?

– Tak. Napije się pan czegoś?

Podziękowawszy, usiadł na kanapie, gdzie odwiedził go Kardec.

Kot położył uszy po sobie.

– Chodź tutaj – powiedział Thomas, pochylając się, żeby go złapać.

Kot pacnął pazurami po zbliżającej się dłoni i miauknął nerwowo. Na palcu wskazującym Thomasa pojawiło się zadrapanie. Yael, która właśnie wchodziła do salonu, czym prędzej postawiła napoje i podbiegła, żeby go przeprosić.

– Zwykle nie zachowuje się w ten sposób, ale w tej chwili jest trochę rozdrażniony... Niech pan pokaże palec.

Chociaż rana nie była głęboka, krew ściekała aż do wnętrza dłoni.

– To nic poważnego – zapewnił.

– Pójdę do łazienki po coś, czym da się to zdezynfekować.

Pokonawszy kilka pierwszych stopni schodów, Yael znieruchomiała, uświadamiając sobie, że za chwilę stanie sam na sam z lustrem.

– Lepiej niech pan pójdzie ze mną, tak będzie prościej – poprawiła się.

Trzy minuty później Thomas siedział na brzegu wanny z opatrunkiem przykrywającym dwa palce. Przyglądał się z uwagą swojej towarzyszce.

– Yael?

Podniosła ku niemu głowę.

– Chociaż tak naprawdę się nie znamy, widzę, że od pewnego momentu czuje się pani nieswojo. Mogę wiedzieć, co się dzieje? Nie

należy pani do tych osób, które boją się być same w domu, co zresztą sama pani powiedziała, a ja chętnie w to wierzę. Więc... dlaczego dzisiaj?

Potoczył wzrokiem po łazience, mając na myśli cały dom.

– Czy... Czy pani się kogoś boi? Tego, że on tu przyjdzie? Jeśli ktoś panią napadł, trzeba...

– Nie – przerwała mu. – To... bardziej skomplikowane.

Odetchnęła głęboko, nie potrafiąc ubrać myśli w słowa. Thomas uniesieniem brwi zachęcił ją, żeby mówiła dalej.

– Ja... od ostatniej nocy widzę dziwne rzeczy.

Thomas siedział niewzruszony, mimo to potrząsnęła głową, gotowa dać spokój.

– Uzna mnie pan za chorą umysłowo...

– Yael, nawet gdyby tak było, to co za różnica? Przecież nie opowiem tego pani przyjaciołom, bo nawet ich nie znam. Ale przynajmniej podzielenie się tym... tymi obawami dobrze pani zrobi. Prawda?

Przejechała dłonią po twarzy, jakby chcąc rozwiać wątpliwości.

– Widzę cienie w lustrach.

Zaczęła mówić coraz szybciej, żeby nie zdążył jej przerwać, nie zdążył wybiec z mieszkania.

– Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale kiedy patrzę w lustro, widzę cienie, dokładnie ten sam rodzaj cieni, jaki moje ciało właśnie w tej chwili rzuca na podłogę, tylko że cieni, które ja widzę, naprawdę nie ma w pokoju. To nieprawdopodobne... zgoda, właściwie to niemożliwe,

ale właśnie to mi się przydarza. I nie jestem wariatką.

Thomas zerknął ukradkiem na duże lustro wiszące naprzeciwko.

– To jeszcze nie wszystko – ciągnęła. – One do mnie mówią.

Wyrzucając z siebie te słowa, przymknęła powieki, jakby uginając się pod ich ciężarem.

– One próbują mi coś powiedzieć. I powinny się odezwać dziś w nocy.

– Skąd pani wie?

W zachowaniu Thomasa nie było nic, co wskazywałoby na to, że jej nie wierzy.

– One... One mi to powiedziały.

– W jaki sposób mają się z panią porozumieć?

Yael pokręciła głową.

– Nie wiem, za pomocą lustra albo komputera... Thomas skinął głową z powagą, po czym pochylił się ku odbijającej powierzchni i dotknął jej palcami.

– Pewnie istnieje jakieś wytłumaczenie...

Przerwała mu podniesionym głosem:

– Nie widzę żadnego wytłumaczenia! – krzyknęła. – Poza takim, że mi odbija.

Strach, stres i obawa, że Thomas zaraz sobie pójdzie, nagle wzmogły jej napięcie.

Thomas posłał jej twarde spojrzenie.

– Spokój – nakazał.

Dotknęła czoła opuszkami palców.

– Przykro mi – wyznała przybita i zawstydzona. Obejrzawszy dokładnie powierzchnię lustra, Thomas się odsunął.

– Nic nie widzę, co wcale nie znaczy, że nic tam nie ma.

– Nie powinnam była panu o tym mówić.

Yael odkręciła wodę, żeby opryskać sobie twarz, po czym wyszła. Natychmiast jednak przystanąła.

– Co jest? – zaniepokoił się Thomas.

– Komputer. Jestem pewna, że był wyłączony, kiedy wchodziliśmy na górę. Nie włączałam go od ostatniej nocy.

– No i?

Wyprzedziwszy ją w pośpiechu, wpadł do gabinetu, który mieścił się w pokoju po drugiej stronie salonu i w którym świecił się ekran monitora.

Właśnie uruchamiał się edytor tekstów.

Na ekranie pojawiła się biała strona z drgającym kursorem.

Po chwili zaczęły się pokazywać słowa.

10

Yael i Thomas siedzieli przed ekranem.

Otwórz oczy na Cienie.

Zdania pojawiały się same.

Nie bądź jednym z nich wśród żywych. Twoje miejsce jest tutaj, z nami.

Yael przytknęła palec do ust i zaczęła nerwowo ogryzać paznokieć.

Thomas pozostał niewzruszony, wpatrując się w monitor bez mrugnięcia powieką.

– Próbowala już pani odpowiedzieć? – zapytał łagodnie.

– Tak. To działa. Są w stanie odczytać.

– Proszę zapytać, kim oni są.

– Już to zrobiłam. Powiedzieli: Jesteśmy w ciemnościach. W tych po drugiej stronie luster.

– Proszę jeszcze raz zapytać, kim są i skąd przychodzą. Bardzo chcę to zobaczyć.

Yael pchnęła klawiaturę w jego stronę.

– Wolalabym z nimi nie rozmawiać – odparła.

Thomas dał jej znak, że nie zamierza pisać.

– Yael, moim zdaniem to haker, pirat informatyczny, jakiś sprytny facet, który włamał się do komputera przez Internet. Jeśli jest taki dobry, pewnie przechwycił jeden z programów używanych przez rząd amerykański do badania siły nacisku na klawisze. To program

stosowany szczególnie chętnie przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego. [Zadaniem amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego jest między innymi dbanie o bezpieczeństwo rządowych systemów komunikacji i szpiegowanie komunikacji w innych krajach. To najbardziej tajna amerykańska agencja informacyjna i najbardziej niezależna. Dysponuje kolosalnym budżetem, który w 2000 roku wynosił 20 miliardów dolarów (przyp. autora).] Analizuje on sposób uderzania w klawiaturę, szybkość uderzeń, czas trwania, częstotliwość i typ popełnianych błędów, stosowaną składnię i tak dalej. Kiedy tylko program panią zarejestruje i przeanalizuje, będzie w stanie bardzo szybko stwierdzić, czy to pani pisze na klawiaturze, czy też ktoś inny. Jeśli się okaże, że to nie pani, może sprawdzić w banku danych, czy ta druga osoba już w nim figuruje i czy może ją rozpoznać. To bardzo skuteczny i praktyczny program. Moim zdaniem lepiej by było, gdyby ten komputerowy geniusz myślał, że pani jest sama.

– Nie sędzę, żeby to był haker. Nie byłby w stanie włamać się do lustra – odrzekła Yael, siląc się na spokój.

– Mimo wszystko spróbujemy, zgoda? W tej chwili to jedyna rzecz, jaką możemy zrobić.

Yael niechętnie chwyciła mysz.

– Co mam im powiedzieć?

– Zacznijmy od tego... kim są albo za kogo się uważają.

Dziewczyna spełniła polecenie.

Natychmiast pojawiła się odpowiedź:

Jesteśmy wszędzie. Po drugiej stronie.

Thomas dyktował kolejne pytania:

– *Czego ode mnie chcecie? Dlaczego właśnie ja?*

Powinnaś wiedzieć. Być z nami.

Słowa układały się w zdania, tym razem szybko.

Ale najpierw musisz zrozumieć. Lincoln i Kennedy.

– Co? – zdumiała się głośno Yael.

Szukaj. Zrozum. To ważne... dla ciebie... Yael.

Natychmiast odsunęła się od biurka.

– Oni znają moje imię!

Thomas podniósł dłoń w uspokajającym geście, po czym okrążył komputer i odłączył kabel od modemu.

– Proszę bardzo, przynajmniej to mamy z głowy. Kimkolwiek jest, teraz nie będzie już się z panią bawił. Przynajmniej nie za pośrednictwem komputera.

Tymczasem Yael zakryła usta dłońmi, wbijając wzrok w ekran.

Słowa pojawiały się nadal.

Nie zapominaj, Yael: Lincoln i Kennedy. Gorzej... Morgan Robertson i... Titanic.

Uwierz. A będziesz gotowa. Do zobaczenia wkrótce.

Komputer wyłączył się, mrużąc.

Przez długą minutę ciszę zakłócało jedynie bębnienie deszczu o świetlisty dach. Po czym Yael popatrzyła w oczy swojemu towarzyszowi, który odwzajemnił jej spojrzenie.

– Nadal pan uważa, że to haker? – zapytała.

Potańił sobie skroń w zamyśleniu.

– Sam nie wiem – przyznał wreszcie.

Zaczął się przechadzać po podłodze niewielkiego pomieszczenia w tę i z powrotem, aż w końcu stanął przed Yael z uśmiechem.

– Przykro mi, że muszę zadać to pytanie, ale czy nie ma pani przypadkiem...

Przerwała mu nieco oschle:

– Thomas, czy moglibyśmy mówić sobie po imieniu?

Skinąwszy głową na znak zgody, ciągnął dalej:

– Czy jest coś szczególnego, co powinienem wiedzieć na twój temat?

– Jak to?

– Coś nietypowego w pani, przepraszam, w twojej rodzinie albo coś, co zrobiłaś, coś, co wykracza poza normalność?

– Thomas, przecież wszystko ci powiedziałam. Czego ty szukasz?

– Nie mam pojęcia. Szukam jakiegokolwiek wytłumaczenia, które pomogłoby nam wyjaśnić to, co się dzieje w twoim domu. Nie masz żadnych rodzinnych sekretów? Nie było żadnego dramatycznego wydarzenia w twoim życiu...?

Zamarł. Yael wpatrywała się weń z uwagą. Właśnie przypomniał sobie to, co mówiła na temat śmierci swojej matki, która nastąpiła cztery miesiące temu.

– Mój ojciec nie jest tajnym agentem – zapewniła.

– Matka zginęła wiosną w wypadku samochodowym. To była wyłącznie jej wina: za dużo alkoholu i zmęczenia, a za mało

koncentracji. Co do mnie, moje życie zawsze mieściło się w normie. Jako dziecko cały czas chciałam być mistrzynią sportu, mocno trenowałam lekkoatletykę i byłam raczej dobra aż do wypadku na skuterze, kiedy potracił mnie samochód i pękła mi miednica, przez co nie wolno mi uprawiać sportu wyczynowo. Skończyłam najbanalniejsze studia z możliwych, nie mogę tylko zdobyć się na napisanie magisterium. Co roku wyjeżdżam na wakacje, mam prawo jazdy i uwielbiam sok pomidorowy. Co mogłabym jeszcze powiedzieć? Prowadzę takie życie jak przeważająca większość Francuzów!

Thomas położył jej dłonie na ramionach.

– Uspokój się. Nie jesteś wariatką, zgadza się. Ja też to wszystko widzę. To przynajmniej jakaś dobra wiadomość. Teraz musimy zrozumieć, co to jest. Co albo kto. I dlaczego.

Yael potulnie skinęła głową.

– Co ci powiedzieli na początku? Zanim wspomnieli o Kennedym i Lincolnie.

Yael wyciągnęła z kieszeni płóciennych spodni banknot jednodolarowy.

– Kazali mi szukać symboli na zielonym banknocie. A jest ich sporo i wszystkie mają podtekst ezoteryczny. Można je powiązać z pewną starą sektą, z zakonem iluminatów. Później podsunęli mi inną organizację, równie tajemniczą, za to bardziej konkretną: Skull and Bones. Ta ostatnia wygląda jak przedłużenie tej pierwszej. Ale ledwie natrafiłam na ślad tych grup... Cienie powiedziały, że to wszystko to tylko... iluzja, drzewa, które zasłaniają las.

– A teraz Lincoln i Kennedy, niejaki Morgan Robertson i Titanic. I nic więcej! – przypomniał Thomas. – Musimy trochę poszperać, żeby odnaleźć powiązania, żeby połączyć z sobą te nazwiska i zrozumieć, dokąd oni zmierzają.

Zanim zdążył uruchomić komputer, Yael położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nie dzisiaj. Nie chcę, żebyśmy znów włączali tę maszynę.

– Yael, przez Internet mielibyśmy dostęp do...

– Nie u mnie w domu, proszę cię.

Thomas dostrzegł w jej oczach tak wielkie znużenie, że przestał nalegać.

– Świetnie. W takim razie jutro pójdziemy do Biblioteki Narodowej – stwierdził.

– My?

Skinął potakująco głową. Emanowała z niego ogromna łagodność.

– Po tym, co widziałem, nie zostawię cię samej. Pójdę z tobą, jeśli się zgodzisz. Z ostrożności.

„I z ciekawości?” – pomyślała z uśmiechem Yael.

Ponieważ się nie odezwała, Thomas podszedł do balustrady, chcąc spojrzeć na salon z góry.

– A skoro wcale nam się nie chce spać, moglibyśmy to wykorzystać, żeby uporządkować dokładnie wszystko to, czego się do tej pory dowiedziałaś. W jaki sposób naprowadzili cię na ślad jednodolarowego banknotu?

– Był tam – odparła, pokazując listwę u stóp schodów.

– Schowany w ścianie. To... to oznacza, że byli tutaj, wydrążyli tę dziurę i włożyli do niej ten cholerny banknot.

Przytknęła dłoń do drżących warg.

– Byli w moim domu...

Thomas pochylił się ku niej.

– Uspokój się. Oni nie chcą cię skrzywdzić, bo inaczej już by to zrobili. Spróbujemy się dowiedzieć, kim są. I dlaczego wybrali akurat ciebie. Nie jesteś już sama, w porządku? Teraz ja jestem przy tobie.

Musnął jej policzek opuszkami palców.

Yael i Thomas pokonali długi tunel podziemny, prowadzący ku wschodniemu wejściu do Biblioteki imienia François Mitterranda. Dotarli na miejsce w południe, tuż przed godziną niedzielnego otwarcia instytucji.

Futurystyczny, niemal postapokaliptyczny budynek wznosił ku niebu swoje trójkątne wieże, podczas gdy jego serce było zakopane pod ziemią, sama struktura zaś mocno zakotwiczona w Sekwanie, naprzeciwko porośniętego trawą wzgórza Bercy.

Zapłaciwszy za wstęp, ruszyli niekończącym się korytarzem pokrytym czarną wykładziną, która tłumiała ich kroki. Ściana po lewej stronie składała się jedynie z długiej szyby, za którą było widać prawdziwy las zajmujący cały hektar, daleko pod powierzchnią. Nadmorskie sosny kołysały się obok dębów, grabów i brzoź, strzegąc ścieżki, na którą nie mógł się zapuścić żaden gość, dzikie sanktuarium na łonie planu w samym środku królestwa wiedzy.

Nowoczesne materiały – lampy z plecionej stali nierdzewnej, stalowe pilastry i filary z drobnoziarnistego betonu – mieszały się z drewnem: lśniącymi parkietami i krzesłami o wygodnych oparciach. Przeciwnieństwa i perspektywa oszołomiły Yael, która nigdy jeszcze tutaj nie była. Spoglądając z góry na czarne sosny stanowiące część prostokąta zieleni, poczuła się lekka. Jej kroki na grubej wykładzinie nic nie ważyły, ciało przecinało powietrze, a w ciszy czytelnicy i boksów słyszała swój spokojny oddech.

Wstali późnym rankiem, po czym Yael przygotowała obfite śniadanie, podając świeże rogaliki. Mimo okoliczności ze zdziwieniem stwierdziła, że z przyjemnością dzieli tę chwilę we dwoje. Zapach świeżego soku pomarańczowego, słodkiego pieczywa, kawy i obracająca się w kuchni płyta Nicka Drake'a – wszystko to stwarzało odprężający nastrój zadowolenia. Bezpieczeństwa.

Thomas prowadził ją teraz przez korytarze biblioteki, gdzie często zaglądał, żeby zebrać dokumentację do swoich reportaży.

Zeszli na poziom pośredni zachodni, do czytelni poświęconej naukom społecznym – filozofii i historii, która interesowała ich najbardziej. Pomieszczenie to miało taki sam wygląd jak cały budynek: było zarazem obszerne i przytulne, chwilami charakteryzujące się rozmachem, chwilami dyskretne. Yael nie umiałaby powiedzieć, czy jej się to podoba, czy nie. Wśród regałów z encyklopediami znajdowały się stoły do pracy z gabońskiej afzeli, ciemnego egzotycznego drewna, obok nich zaś stały odpowiednio dopasowane krzesła, a na blatach lampy do czytania. Mimo wielu miejsc siedziało tam tylko dwóch czytelników, każdy w osobnym kącie, otoczony trójkątem łagodnego światła.

Przez szerokie okno w głębi było widać zarys ogrodu, gdzie promienie słońca przenikały przez sito liści, spowijając wszystko klasztornym półmrokiem.

Thomas usiadł przy stoliku z komputerem i wyciągnął notes z kieszeni koszuli.

– Gotowa? – zapytał dla porządku.

Nie czekając na odpowiedź, wszedł do bibliotecznego katalogu BN-Opale-plus i zaczął szukać informacji na temat Johna Fitzgeralda Kennedy'ego.

– Powiedzieli „Lincoln i Kennedy” – przypomniał.

– Zobaczymy, co można o nich znaleźć.

Kiedy na ekranie pojawiły się wyniki poszukiwań, zabrał się do wybierania tytułów.

– Thomas... Chciałam ci podziękować za to, że zostałeś ze mną dzisiaj w nocy... I że nadal jesteś dzi...

– Daj spokój! – przerwał. – Tak się mówi, nie? Nie mogłem cię zostawić... A poza tym... Przyznaję, że mnie to zaciekało.

– Zboczenie zawodowe – mruknęła Yael.

– Nie – odparł, nie odrywając wzroku od ekranu. – Drażnienie tematu do samego końca to u mnie naturalne. Właśnie dlatego zostałem reporterem.

Dokonawszy takiej samej selekcji tematycznej w wypadku dzieł na temat Abrahama Lincolna, wstał i poszedł poprosić o książki, które sobie wybrał. Po kilku minutach bibliotekarka przyniosła mu stos woluminów.

Thomas podzielił je na dwie części, z których jedną popchnął w stronę Yael.

– Mam nadzieję, że jesteś cierpliwa i że lubisz czytać. Od tej chwili każda anegdota, każdy szczegół z życia obu prezydentów wykraczający poza przeciętność musi się znaleźć tutaj – oznajmił klepiąc się po głowie. – Nie wolno nam niczego przeoczyć.

– Zaraz mi się przypomniały studia – zażartowała Yael.

Wyjęła z plecaka termos i dwa plastikowe kubki.

– Zabrałam paliwo... Masz jakiś pomysł, czego powinniśmy szukać?

– Żadnego. Ale skoro... Cienie, czy ktokolwiek to jest, podsunęły ci ten ślad, nie dodając nic konkretnego, myślę, że kiedy zaczniemy czytać, to się samo rzuci w oczy.

Następne trzy godziny spędzili bardzo pracowicie. Każde z nich przeglądało kolejne strony, starając się wyłowić jakieś informacje, które następnie notowali w pośpiechu, przez cały czas popijając letnią kawę.

Wreszcie Thomas zrobił przerwę. Wstał, aby rozprostować nogi, po czym rozmasował sobie kark. Yael przyłączyła się do niego.

– O u mnie nic nie ma – oświadczyła znużona lekturą.

– Nic, co pozwoliłoby powiązać Lincolna, iluminatów, Skuli and Bones albo symbole na dolarze. A u ciebie?

Thomas pogrążył się w zadumie.

– O czym myślisz?

– Właśnie o symbolach. Doszedłem do wniosku, że wszystko, co ci na razie pokazują, jest tajemnicze, ma związek z ciemnością, symbolicznie można by to rozszerzyć na śmierć... Lincoln i Kennedy to dwaj prezydenci, których zamordowano.

– Masz na myśli symbolikę w rodzaju „śmierć władzy demokratycznej”, coś w tym guście?

– Nie, coś bardziej konkretnego. Przyszło mi to do głowy, kiedy przeczytałem, że Kennedy był zafascynowany Lincolnem. Masz jakieś

notatki na temat zabójstwa Lincolna?

Wrócili do stolika, gdzie każde chwyciło swoje zabazgrane kartki.

– Został zamordowany w piątek czternastego kwietnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego roku, kiedy wychodził z teatru, strzałem w kark, przez Johna Wilkesa Bootha.

– Kennedy zginął w piątek dwudziestego drugiego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku w Dallas. Lee Harvey Oswald strzelił mu w głowę.

– Identyczne okoliczności śmierci i morderstwo w tym samym dniu tygodnia – zauważył Thomas. – Zaczekaj... Do Lincolna strzelano w teatrze Forda, a Kennedy siedział w lincolnie!

– Wyprodukowanym przez Forda! – dokończyła Yael, która orientowała się trochę w tej dziedzinie, gdyż samochody były pasją jej pierwszej miłości. – Niezły zbieg okoliczności.

Thomas strzelił palcami.

– Może właśnie o to chodzi! O zbieg okoliczności. Sprawdźmy, czy jest ich więcej.

Przerzucił notatki, podczas gdy Yael czytała mu przez ramię, porównując ze swoimi.

– Chwileczkę! – zawołała, kładąc palec na jakiejś dacie.

– Lincoln został wybrany w tysiąc osiemset sześćdziesiątym roku – odwołała się do syntezy sporządzonej przez Thomasa.

– Z kolei Kennedy w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku. Dokładnie sto lat później. Przedtem Kennedy'ego wybrano do

Kongresu w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku.

– Masz coś na temat Lincolna, jeśli chodzi o tę datę? Yael parsknęła suchym, nerwowym śmiechem.

– Chyba tak. Lincoln został wybrany do Kongresu... w tysiąc osiemset czterdziestym szóstym roku. Dokładnie sto lat wcześniej. Zaczyna być tego trochę za dużo.

– A co wiadomo o ich rodzinach? – zapytał Thomas. Przebiegli wzrokiem wiadomości, które zdążyli zgromadzić.

– Każdy z nich stracił dziecko, kiedy urzędował w Białym Domu.

– Przyjrzyjmy się morderstwom obu prezydentów – wtrącił Thomas. – Zarówno Lee Harvey Oswald, jak i John Wilkes Booth zostali zabici po aresztowaniu. Nigdy nie zdołali przemówić. Zaczekaj... to niesamowite! Booth uciekł z teatru i został aresztowany na jakimś strychu, który służył do magazynowania rupy, podczas gdy Oswald strzelał z magazynu, za to aresztowano go w kinie, czyli po angielsku *theatre!* To się naprawdę robi interesujące.

– Nie do wiary. Mam więcej podobieństw! Dotyczy to szczególnie ludzi, którzy przejęli władzę po obu zamordowanych prezydentach. Po Lincolnie nastąpił Andrew Johnson, a po Kennedyim Lyndon Johnson. To samo nazwisko.

Thomas policzył po cichu.

– Każde nazwisko składa się z jednakowej liczby liter. Imiona i nazwiska zabójców mają razem po piętnaście, prezydentów po siedem, z kolei ich zastępców: po trzynaście.

Po chwili dodał:

– Coraz lepiej: Andrew Johnson urodził się w tysiąc osiemset ósmym roku, a Lyndon Johnson w tysiąc dziewięćset ósmym...

Yael nabazgrała pospiesznie wszystko to, co dotychczas ustalili:

Lincoln i Kennedy wybrani do Kongresu w 1846 i 1946 roku.

Lincoln i Kennedy wybrani na prezydentów w 1860 i 1960 roku.

Ich nazwiska mają po siedem liter.

Obaj zginęli w piątek: Lincoln w teatrze Forda, Kennedy w lincolnie wyprodukowanym przez Forda, przy czym morderca mierzył każdemu z nich w głowę.

Imiona i nazwiska obu zabójców składają się każde z piętnastu liter.

Booth ucieka z teatru i zostaje aresztowany na strychu (w magazynie), Oswald ucieka z magazynu i zostaje aresztowany w kinie (po angielsku theatre).

Obaj zabójcy giną, zanim zdążą coś powiedzieć.

Każdy z prezydentów stracił dziecko podczas swojej kadencji.

Obaj następcy zamordowanych prezydentów nazywają się Johnson, imię i nazwisko każdego z nich składa się z trzynastu liter. Pierwszy urodził się w 1808, drugi w 1908 roku.

Yael przeciągnęła się, kręcąc głową.

– Sama nie podjęłabym się tych poszukiwań, nie uwierzyłabym w to.

– Coś mi mówi, że to nie koniec niespodzianek. Cienie wspominały też o niejakiem Morganie Robertsonie i Titanicu.

– Teraz, kiedy już wiemy, czego szukamy, może moglibyśmy sprawdzić, czy w Internecie jest coś na ten temat, nie? – zaproponowała Yael.

Thomas usiadł naprzeciw komputera i uruchomił przeglądarkę Netscape.

– Na wszelki wypadek zerknę na Lincolna i Kennedy’ego. Jest za dużo zbiegów okoliczności, żeby to pozostało niezauważone. To musi być gdzieś tu.

Wkrótce znalazł. Na większości stron wymieniano szczegóły, które właśnie odkryli, a także podawano następne. Niektórzy dziennikarze i historycy pokusili się nawet o sporządzenie dokładnej tabelki zawierającej wszystko to, co wiadomo na pewno, kreśląc wyraźną granicę między rzeczywistością a mitem. Wszystko to, do czego się dokopali Yael i Thomas, znalazło potwierdzenie.

– Aż ciarki chodzą po plecach – szepnął Thomas, zabierając się do czytania kolejnych wskazówek.

Aby rozpocząć wirtualne śledztwo, wszedł na stronę Wikipedii. Kiedy ukazały się informacje na temat Titanica, przejrzeni je starannie. Nie musieli wcale długo szperać.

Okazało się, że nazwisko, którego szukali, ma bezpośredni związek z katastrofą liniowca.

Morgan Robertson. Z zawodu pisarz.

I jasnowidz – można by dodać na stronie.

Yael była podniecona do maksimum.

– Spójrz na nagłówek! *Przeczcucie artysty?* – przeczytała Thomasowi przez ramię.

Nagle poczuła jego dłoń na swoim kolanie. Dziennikarz siedział naprzeciwko niej i właśnie wsunął rękę pod stolik, żeby chwycić ją za nogę. Naciskając z boku, dał jej znak, żeby odwróciła się w prawo.

Yael nie od razu zrozumiała. Po chwili podniosła wzrok na salę. Obok głównego wejścia stał oparty o betonowy filar jakiś mężczyzna trzymający w ręku książkę. Kiedy Yael go zauważyła, przestał się w nich wpatrywać i powrócił do lektury.

Wyraz ekscytacji, który jeszcze przed chwilą gościł na twarzy Yael, przekształcił się w grymas powątpiewania.

– Mów do mnie – polecił Thomas. – Udawaj, że mówisz.

– Naprawdę myślisz, że na nas patrzy? To znaczy... że nas śledzi? – zapytała dostatecznie cicho, żeby nikt jej nie usłyszał.

– Robi to wyraźnie od dobrych pięciu minut, więc to nie może być przypadek – odparł Thomas, udając, że czyta z ekranu.

Yael nie mogła się powstrzymać, żeby nie przyjrzeć się ukradkiem mężczyźnie. Zbliżał się do czterdziestki, miał delikatną, niemal chudą sylwetkę, jego skórę zaś przecinały ciemne żyły. Wydawał się składać z samych nerwów. Jego twarz o wąskich ustach, wystających kościach policzkowych i wysokim, łysiejącym czole nie zdradzała żadnych emocji. Miał lodowaty wzrok. „Jego intensywnie

niebieskie oczy są zdolne odgadnąć, co kryje się pod pozorami” – domyśliła się Yael. To spojrzenie kogoś, kto zbyt wiele już widział. Żrenice ostre niczym brzytwy.

„Odbija ci...”

Yael zamarła, zahipnotyzowana jego wzrokiem. Dopiero po dziesięciu sekundach dotarło do niej, że oboje wpatrują się w siebie nawzajem. W końcu mężczyzna odwrócił oczy. Odłożył książkę, włożył ręce do kieszeni dżinsów i ruszył do drzwi, żeby dostać się na piętro.

Ledwie zniknął, Thomas podniósł się z krzesła.

– Szukaj dalej – powiedział – a ja pobiegnę za tym facetem, żeby sprawdzić, dokąd pójdzie. Nigdy nie wiadomo.

– Thomas, nie mam zbyt dobrych przeczuć co do niego. Moim zdaniem powinieneś dać sobie spokój...

– W ten sposób niczego się nie dowiemy. Zaraz wracam.

Po czym, ruszając ku oszklonym drzwiom, dodał:

– Jeśli nie wrócę w ciągu popołudnia, spotkamy się u ciebie wieczorem.

I zniknął za obrotowymi drzwiami.

Wyłoniwszy się z jednej z wind nad ogrodem, tuż przy zachodnim wejściu, Thomas stwierdził ze zdumieniem, że mężczyzna wcale nie skorzystał z najbliższych drzwi. Podążył energicznym krokiem długim korytarzem wznoszącym się nad lasem.

Thomas przyspieszył kroku, aby zmniejszyć nieco dystans

między nimi. Nieznajomy nieznacznie odwracał głowę to ku górze, to w prawo, i choć robił to bardzo subtelnie, jego gesty nie uszły uwagi Thomasa. Czego szukał?

W regularnych odstępach pojawiały się otwory wentylacyjne otoczone gładką blachą, w której odbijał się korytarz. Nie było w tym nic niezwykłego.

Thomas nie widział nic oprócz przeszklonej ściany ciągnącej się na długości około stu metrów. W odrobinie słońca, jaka docierała na dno tej głębokiej fosy, oświetlając głównie przeciwległy, wschodni brzeg parku, tańczyły wierzchołki drzew. Na tle krajobrazu ukazała się postać Thomasa.

Wtedy do niego dotarło.

Naprzeciwko, na kolejnej szklanej ścianie promienie słońca wzmocniały efekt odbicia, sprawiając, że cały korytarz był doskonale widoczny. Mężczyzna pilnował tyłów. Właśnie z tego powodu nie wyszedł od razu. Chciał się upewnić, że nikt go nie śledzi.

„Zawodowiec” – pomyślał Thomas.

Postanowił przyspieszyć kroku, żeby na pewno go nie zgubić.

Mężczyzna wyjął ręce z kieszeni.

Przez sekundę Thomas zastanawiał się, co się stanie.

Mężczyzna nagle wydłużył krok i zaczął biec.

Thomas rzucił się za nim w pościg.

Ponieważ podeszwy adidasów nie ślizgały się po wykładzinie, mógł dawać dalekie susy.

Dotarłszy do końca korytarza, mężczyzna nieznacznie zwolnił i

skręcił do następnego holu, który przemierzył na oczach osłupiałego personelu, po czym wyszedł przez portyk, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. Thomas zrobił to samo, tym razem jednak posypały się na niego okrzyki oburzenia ze strony portiera, który usiłował zagrozić mu drogę. Thomas zdołał go wyminąć w ostatniej chwili i wypadł na zewnątrz. Rampa, po której dudniły kroki pędzącego nieznajomego, wychodziła na powierzchnię. Thomas stracił w stosunku do niego jakieś dziesięć metrów.

Kiedy znalazł się na górze, ominął ochroniarza, lecz musiał zwolnić, chcąc omieść wzrokiem esplanadę, częściowo zacienioną przez jedną z masywnych wież.

Deski z brazylijskiej ipekakuany zamieniły to miejsce w pokład liniowca, po którym ślizgały się cienie chmur.

Wypatrzwszy nieznajomego przyczajonego wśród kęp ogrodzonych ostrokrzewów, rzucił się za nim w pościg, po czym dotarł na szczyt schodów górujących nad ulicą Emile-Durkheim. Po lewej drzewa porastające brzeg Sekwany... Po prawej... Mężczyzna przeskakiwał po dwa stopnie naraz, żeby znaleźć się na ulicy.

Thomas wkrótce deptał mu po piętach.

Biegł zawzięcie, świadom, że jest w znakomitej formie, powinien więc zaraz go dopaść. Przemknął między przechodniami przed kompleksem MK2, po czym wyprysnął na aleję de France, nie zważając na samochody.

Rozległ się pisk hamulców, podczas gdy jakiś fiat panda zjechał gwałtownie na chodnik. Thomas podniósł ręce w przepaszającym

geście, nie zwolnił jednak ani trochę. Tym razem pędził ścieżką rowerową pośrodku alei.

Między rowerami lawirowało dwóch sprinterów, którzy usiłowali omijać rolkarzy.

Mężczyzna znów znacznie go wyprzedził.

Wbiegł po schodach, po czym błyskawicznie skręcił w ruchomy chodnik, który prowadził do podziemi.

Metro. Linia numer 14.

Przeskoczywszy stopnie schodów, Thomas zagłębił się w korytarze. Brakowało mu tchu. Już długo nie wytrzyma.

Mężczyzna wsunął właśnie bilet do czytnika przy bramie. Piętnaście sekund później Thomas oparł się o kasownik, wybił i wylądował miękko po drugiej stronie.

Znajdowali się teraz na kładce ponad torami, całą stację zaś otaczało szkło. Przez ułamek sekundy Thomas pomyślał, że z tej perspektywy miejsce to wcale nie przypomina stacji metra, tylko rzymską świątynię, z olbrzymimi kolumnami podtrzymującymi łuki skapane w świetle fontann.

Mężczyzna ruszył w kierunku nadjeżdżającego pociągu. Nie biegł już, tylko szedł szybkim krokiem, rozglądając się wokoło. Peron był prawie pusty – na kolejkę czekało zaledwie pół tuzina podróżujących. Wreszcie pociąg stanął. Thomas był już niedaleko.

Automatyczne drzwi otworzyły się wraz z drzwiami do pociągu.

Thomas przyspieszył kroku i w ostatniej chwili udało mu się wskoczyć do tego samego wagonu co człowiek, na którego polował,

spocony i zdyszany.

Tamten trzymał się poręczy i uważnie przyglądał otoczeniu. Pociąg był nowy. Należał do tych modeli, które nie mają drzwi między wagonami, ale jedynie przegubowe połączenia. Większość pasażerów znajdowała się z przodu, z dala od Thomasa. Wraz z nimi wsiadła tylko jedna osoba.

Omiótlszy spojrzeniem cały wagon, uciekinier zatrzymał wzrok na Thomasie, który stał pośrodku.

Dziennikarz nie spuścił oczu, wytrzymując jego spojrzenie, które uznał za wyzwanie. Tym razem nie było żadnej drogi ucieczki. Stalowy wąż zatrafił i ruszył po szynach. Drzwi się zatrzasnęły.

Właśnie wtedy Thomas zauważył na twarzy tamtego szydarczy grymas. Skierowany do innego pasażera uśmiezek zadowolenia, któremu towarzyszyło nieznaczne skinienie głową.

Odwróciwszy się, Thomas stwierdził, że jest obserwowany. Wówczas zrozumiał. Mężczyzna miał współlnika.

To było ich miejsce spotkań.

Sytuacja właśnie się odwróciła.

Z łowcy Thomas zamienił się w zdobycę.

Rzucił pospieszne spojrzenie na skład pociągu. Był pusty na przestrzeni kilkudziesięciu metrów.

Obaj mężczyźni jednocześnie puścili się poręczy i ruszyli na Thomasa, biorąc go w kleszcze.

Blog Kamela Hasira. Fragment trzeci

Wiecie, na czym polega istota władzy?

Na demagogii.

Żeby panować, trzeba rządzić, trzeba się spodobać narodowi. Okłamać go, jeśli to konieczne. Ale mówić to, co ludzie chcą usłyszeć. Działanie to sprawa drugorzędna. Należy uciszać gniew i łagodzić rozczarowanie kolejną porcją demagogii. Potem nadchodzi moment zwrotu: kiedy naród ma już kłamstw po dziurki w nosie, ustępuje się miejsca partii przeciwnej.

Wtedy partia opozycyjna przejmuje stery i robi to samo.

Dokładnie to samo: sprawuje władzę. Za pomocą demagogii. Mniej lub bardziej szczerze według jednych i drugich.

Aż do chwili ustąpienia miejsca poprzedniej partii, która powraca do tego, co już zrobiła, i tak dalej.

Prawda, to niezbyt pochlebna wizja polityki. Niestety, jak się zdaje, wizję tę podziela sporo ludzi...

A wiecie, co jeszcze różni partie ekstremistyczne od tych bardziej „otwartych”, oprócz ciasnoty poglądów? Częstotliwość kłamstw. Partie ekstremistyczne kłamią na szerszą skalę i w bardziej niebezpieczny sposób.

W dalszej części moich rozważań skupię się na pewnej szczególnej partii. Na systemie. Ponieważ zaszedł on bardzo daleko w swoich kłamstwach. Tak daleko, że przybrał formę partii ekstremistycznej. Nie zapominajmy jednak ani na chwilę, że mogło się

to przytrafić wielu przywódcom politycznym i że nazwiska te powinny tylko wzmacniać naszą czujność każdego dnia. Nawet jeśli zabrzmią jak echo dawno minionej przeszłości.

Oni stanowią dowód na to, że to jest możliwe, że to się zdarza. I że może powrócić.

Czy to się komuś podoba, czy nie, od drugiej wojny światowej świat pozostaje pod wpływem Amerykanów. Ten naród opanował całą planetę. Pod względem gospodarczym, kulturalnym, politycznym i militarnym.

A zatem skupię moją uwagę właśnie na tej, przypuszczalnie stanowiącej wzór, ziemi.

Na garstce przywódców, którzy doskonale ilustrują moje słowa, moje obawy.

Czy mogę sobie pozwolić na jedno pytanie, zanim przejdziemy dalej?

Czy chcielibyście mieszkać w kraju bez rządu? W kraju, którego jedynymi przywódcami byłiby właściciele największych przedsiębiorstw? To nie zapewniłoby poczucia bezpieczeństwa, prawda? Choć dzieje się tak w wielu państwach, jak choćby Francja, moim zdaniem jeszcze bardziej rzuca się to w oczy w Stanach Zjednoczonych, przynajmniej w chwili, gdy piszę te słowa!

Schemat organizacyjny amerykańskich przywódców politycznych jest nierozzerwalnie związany z systemem wielkich korporacji przemysłowych.

Można by tu wymienić kilka nazwisk. Dick Cheney, ten jakże

groźny wiceprezydent, pozostający w cieniu prezydenta Busha, był przez pięć lat dyrektorem generalnym Halliburtona, spółki inżynierii cywilnej, zresztą działającej w świecie ropy naftowej; spółki, która – nawiasem mówiąc – zgarnęła zawrotną liczbę kontraktów w odbudowującym się Iraku...

Carl Rove, doradca prezydenta, był akcjonariuszem Boeinga, który, warto przypomnieć, zajmuje ważną pozycję w sektorze wojskowym. Podobnie ma się rzecz z Donaldem Rumsfeldem (sekretarzem obrony), który stał na czele koncernu farmaceutycznego Searle, z Co linem Powellem (doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego prezydenta Reagana, następnie między innymi sekretarzem stanu), Richardem Perle'em (szarą eminencją prezydenta) czy Paulem Wolfowitzem (byłym numerem dwa w Pentagonie), którzy pracowali w sektorze zbrojeniowym. Nawiasem mówiąc, ten ostatni od 1 stycznia 2005 roku jest prezesem Banku Światowego.

Mógłbym tu wymienić wszystkich członków rządu, jak choćby Condoleezę Rice i spółkę...

Skoro schemat rządu pokrywa się często ze schematem wielkich koncernów amerykańskich, można by powiedzieć to samo o powiązaniach ekonomicznych, strategicznych, militarnych i politycznych łączących, niekiedy w tajemnicy, Stany Zjednoczone i Arabię Saudyjską. Z pewnością to nie przypadek, że dwa dni po zamachu z 11 września prezydent Bush gościł na kolacji w cztery oczy ambasadora Arabii Saudyjskiej, bardzo potężnego księcia Bandara. Nikt nie wie, o czym rozmawiano tamtego wieczoru.

Powiązania między rządem, przemysłem (kompleks militarno-przemysłowy nie pozostaje dłużny) i Arabią Saudyjską zdają się nie mieć końca. Pamiętajmy, że zanim George W Bush został prezydentem, założył spółkę naftową Arbusto Energy. Z powodu nieudolnego zarządzania kilkakrotnie groziło jej zamknięcie. Kto ratował ją za każdym razem zastrzykiem milionów? Rodzina bin Ladena. Napisano to czarno na białym. Może się wydać dziwne, że saudyjscy milionerzy mieszkający w państwie, które zajmuje pierwsze miejsce wśród producentów ropy naftowej, pompują pieniądze w jakąś teksańską spółkę nieprzynoszącą dochodów. Inny przykład: adwokat broniący George a W. Busha, kiedy tamten był oskarżony o to, że kiedy był związany z koncernem Harken (znajdującym się w jednej czwartej w rękach Saudyjczyków i wypłacającym Bushowi sto dwadzieścia tysięcy dolarów rocznie jako „konsultantowi”!), posłużył się dla osobistej korzyści poufnymi informacjami, nazywał się Robert Jordan, a następnie został, niby przypadkiem, mianowany ambasadorem w Arabii Saudyjskiej.

Tak czy inaczej, Saudyjczycy wpompowali prawdopodobnie ponad miliard czterysta milionów dolarów w przedsiębiorstwa, dla których pracował Bush.

Nie zamierzam się zbytnio rozwódzić nad tymi powiązaniem, zależało mi jednak na ich ujawnieniu. Chciałem podkreślić, że neutralność rządów nie istnieje, wszystkie one bowiem są w taki czy inny sposób związane z przemysłowymi imperiami, a także przypomnieć oczywiste konszachty Stanów Zjednoczonych i Arabii Saudyjskiej.

Zamierzam przedstawić punkt po punkcie rzeczy, które wydadzą się wam dziwne, jeśli popatrzyście na każdą z nich z osobna, za to myślę, że pod koniec niniejszych wywodów doznacie olśnienia.

A wtedy zadrżycie.

Yael ogryzała paznokcie w pogrążonej w ciszy bibliotece.

Nie była w stanie skupić się nad tym, co czyta, jej myśli bowiem bez przerwy powracały do Thomasa. Nie podobało jej się, że wybiegł w pośpiechu. Rzucił się w pogoń za zupełnie nieznanym człowiekiem, który prawdopodobnie nie zrobił nic złego.

„Oczywiście...”

W tym względzie usiłowała samą siebie przekonać metodą Coue, istniały bowiem marne szanse, żeby ten gość znalazł się tam przez przypadek. Wyraźnie ich szpiegował. Sala jest szeroka, co wcale mu nie przeszkadzało stanąć w pobliżu, aby podsłuchiwać ich rozmowę. Po co stał, skoro nie brakowało miejsc siedzących, jak nie po to, żeby lepiej ich widzieć? Kto to był? I jaki miał związek z tym, co się działo, ze wszystkimi tymi cieniami i całym tym natłokiem dziwnych informacji?

Wsparta łokciami o stolik Yael położyła czoło na dłoni.

Na ekranie widniało nazwisko Morgana Robertsona.

Był to powieściopisarz, który w 1898 roku wydał książkę zatytułowaną *Futility, or the Wreck of the „Titan”*. Opisał w niej legendarny liniowiec, który wyglądał tak samo jak powstały czternaście lat później Titanic. Z powodu tego niewiarygodnego zbiegu okoliczności książka została wznowiona we Francji. Yael urzekło podobieństwo między obydwojma statkami, dzięki czemu wróciła jej zdolność koncentracji, toteż wkrótce zaczęła odnajdywać coraz więcej

powiązań, aż wreszcie natrafiła na porównanie liczbowe między liniowcem wymyślonym przez Robertsona a Titanikiem.

Przynajmniej mogła się skupić na czymś innym niż ten tajemniczy szpicel.

Parametry Titana były bardzo zbliżone do parametrów Titanica: pierwszy miał 45 tysięcy ton, drugi 46 tysięcy ton, pierwszy rozwijał prędkość 25 węzłów, drugi od 22 do 24 węzłów. Oba były wyposażone w trzy śruby napędowe. Titan miał 19 przedziałów wodoszczelnych, z kolei Titanic – 16. Oba pływały pod brytyjską banderą. Lista ciągnęła się przez całą książkę, o której wspominały liczne strony internetowe odnalezione przez Yael. Mimo że dane techniczne obu statków nie pokrywały się idealnie, były bardzo zbliżone.

Najgorsza jednak wydawała się dramatyczna fabuła powieści. Robertson rozwdził się nad zaletami i luksusowym charakterem Titana, który uważano za niezatapialny, dopóki w kwietniu, pływając po wodach północnego Atlantyku, nie uderzył prawą burtą o górę lodową. Titan, który nie dysponował dostateczną liczbą szalup ratunkowych, zatonął, pociągając na dno ponad tysiąc ofiar... A wszystko to działo się w fikcji z 1898 roku.

14 kwietnia 1912 roku Titanic, tym razem zupełnie realny i również uważany za niezatapialny, zatonął na północnym Atlantyku, uderzywszy prawą burtą o górę lodową, nie mając wystarczającej liczby szalup ratunkowych – zginęło wówczas 1500 osób. Titan płynął z Nowego Jorku do Wielkiej Brytanii, Titanic zaś z Wielkiej Brytanii do Nowego Jorku.

Oba wydarzenia łączy tak wiele podobieństw, że można by się zastanawiać, czy przypadkiem Robertson nie był jasnowidzem. Opisane przezeń okoliczności, w jakich doszło do katastrofy, bardzo przypominały zatonięcie Titanica. Tyle, że nastąpiły czternaście lat wcześniej.

Yael nie posiadała się ze zdumienia. Zaczęła drażyć dalej.

Na temat Titanica krążyło mnóstwo mitów. Do najczęściej powtarzających się pogłosek należała ta mówiąca o wielkości steru, który uznano za zbyt mały, mimo że odpowiadał normom. Otóż istnieje założenie, że tej wielkości ster przy takim tonażu niesie z sobą niesłychane ryzyko. Jak podkreślali niektórzy internauci, równie lekkomyślne było rozpędzenie Titanica do maksymalnej prędkości na morzu, gdzie aż roi się od gór lodowych, na dodatek w środku nocy i przy słabej widoczności. Tym bardziej że bocianie gniazdo, służące do wypatrywania gór lodowych, nie było wyposażone w lornetkę! Kolosalne i nietypowe niedbalstwo. Tak jakby sam kapitan albo ktoś, kto wydał mu rozkaz (prezes kompanii?), chciał za wszelką cenę doprowadzić do katastrofy, chociaż Titanic od dwóch dni otrzymywał od Rappahannocka, Caronii, Noordama, Baltica, Ameryki i od Californiana ostrzeżenia o ogromnej ławicy lodowej i gór lodowych! Mimo to kapitan Smith płynął z maksymalną prędkością, z każdą chwilą ryzykując coraz bardziej zderzenie i zatonięcie. Zwłaszcza, że przedziały wodoszczelne na górze... wcale nie były szczelne! Cały statek uważano za niezatapialny, ponieważ w najgorszych hipotezach wychodzono z założenia, że tylko pięć przedziałów zostanie zalanych,

zapominając, że jest to liniowiec, który może rozwinąć prędkość 24 węzłów! Jest to znaczna szybkość, która w razie zderzenia powoduje szkody na takiej długości bez możliwości hamowania i wykonywania jakichkolwiek manewrów, że z całą pewnością zostałyby uszkodzonych więcej niż tylko pięć przedziałów, nie mówiąc już o tym, że Titanic był wyposażony w podwójny kadłub. Czyżby projektujący go inżynierowie byli aż do tego stopnia roztargnieni, że zapomnieli o tak podstawowych parametrach?

Poza tym stwierdzono, że stal, z której wykonano kadłub, była wadliwa, zawierała bowiem zbyt dużo siarki, a za mało manganu, więc mogła zbyt łatwo pękać przy niskich temperaturach – takich jak występujące na Atlantyku na tych szerokościach geograficznych.

Przy takim nagromadzeniu ludzkich błędów aż ciarki chodzą po plecach. Jak można było spędzić wiele miesięcy, a nawet lat, z nosem w planach i obliczeniach, później zaś zlekceważyć tak oczywiste czynniki?

Należy jeszcze wspomnieć o postawie kapitana Edwarda J. Smitha. Chociaż cieszył się legendarną sławą jako dowódca, tamtej nocy jednak wydawał się zupełnie innym człowiekiem. Nigdy zresztą nie udało się ustalić, co robił przez ostatnie dwie godziny agonii swojego statku... Jeden z internautów stwierdził, że początkowo rejs inauguracyjny Titanica przewidziano na marzec, co przystawało do powieści Robertsona. Jednakże pół roku wcześniej Olympic, kolejny liniowiec kompanii White Star Line, został poważnie uszkodzony w wyniku zderzenia z innym statkiem. Natychmiastowa naprawa

odciągnęła część robotników od pracy przy Titanicu, przez co musiano przełożyć jego wodowanie na kwiecień. Podczas wypadku okrętem dowodził nie kto inny jak... Edward J. Smith. Ten sam internauta wysunął paskudną hipotezę, według której Smith zrobił to celowo, aby opóźnić wypłynięcie o miesiąc. Zupełnie jakby wszystko od samego początku zostało zaplanowane, żeby historia Titanica powieliła dzieje Titana. Internauta sugerował, że „wywarło wpływ” na naczelnego architekta, aby upodobnił bardziej Titanica do Titana – w tym celu nie powinien myśleć o pewnych szczegółach o kapitalnym znaczeniu, jak choćby niezatapialność. Następnie przekupiono bądź zastraszone w taki czy inny sposób kapitana Smitha, zmuszając go do podjęcia błędnych decyzji. Powoływał się także na zeznania Bruce’a Ismaya (właściciela statku i jedyne go oficera wykonawczego kompanii White Star Line obecnego na pokładzie, mimo że był to rejs największego i najpiękniejszego liniowca wszech czasów, jak wtedy zapewniano) przed komisją śledczą po katastrofie. Ismay twierdził, że spał w momencie zderzenia z górą lodową i że właśnie ono go obudziło, podczas gdy większość pasażerów utrzymywała, że uderzenie było tak lekkie, że nawet go nie zauważyli. Podobnie niejasna była jego opowieść na temat okoliczności, w jakich zdołał się uratować. Otóż zarzekał się, że wszedł do szalupy ratunkowej, gdzie było jeszcze miejsce, a kiedy odpływał, na pokładzie statku nie znajdował się żaden pasażer, którego mógłby z sobą zabrać, nikt też nie usiłował skoczyć do wody – co przeczy zeznaniom wszystkich innych świadków, którzy wspominali o powszechnej panice, zgiełku i tłumie usiłującym się

dostać do jedynej wolnej szalupy... Tak czy inaczej, Ismay przeżył bez problemów, następnie zaś zabronił, żeby ktokolwiek czynił w jego obecności jakiegokolwiek aluzje na temat Titanica.

Poza tym był jeszcze wybuch, który sporo pasażerów usłyszało po zderzeniu z górą lodową, a który właściwie pominięto w śledztwie.

Strona internetowa sugerowała istnienie spisku mającego na celu zatopienie Titanica, bliźniaka Titana, w tych samych okolicznościach.

Hipoteza ta była niesłychana, lecz rewolucyjna.

Wszelkie zbiegi okoliczności i pytania bez odpowiedzi występowały w tak olbrzymiej liczbie, że budziło to niepokój.

„Zupełnie jak Lincoln i Kennedy” – stwierdziła w myślach Yael.

– Dlaczego usiłujecie zwrócić uwagę akurat na te fakty z historii? – szepnęła.

Zwracała się do Cieni. Co starały się udowodnić? Działalność jakiejś siły wyższej w tajnikach historii?

Yael przypomniała sobie ich słowa:

Jesteśmy wszędzie. Po drugiej stronie.

Uwierz. A będziesz gotowa.

Czy to możliwe, że jakieś... istoty żyją w historii i wywierają na nią wpływ?

Yael sama nie wiedziała, co myśleć.

Zerknęła na zegarek. Dochodziła osiemnasta. Thomas wybiegł z biblioteki blisko godzinę temu. Yael wstała i pozbierała swoje rzeczy.

Zgodnie z umową spotkają się u niej w domu. Nie powinna się martwić. Nie powinna popuszczać wodzy fantazji. Człowiek bowiem zawsze wyobraża sobie najgorsze.

Wydostawszy się na zewnątrz, Yael zaczęła się delektować promieniami słońca, które zdołały nieco uśmierzyć jej lęki. Podeszła do zaparkowanego w pobliżu samochodu i ruszyła w kierunku Czternastej Dzielnicy, gdzie mieszkała.

Mały niebieski peugeot 206 skręcił z alei w bulwar, korzystając z sierpniowego kurzu na drogach, żeby po krótkim czasie znaleźć się na ulicy Dareau.

Kiedy Yael wróciła do siebie, przywitał ją serdecznie Kardec, który zaczął się ocierać o jej nogi.

Czym prędzej sprawdziła sekretarkę. Światelko nie mrugało, a więc nie było żadnej wiadomości. Ciągłe brak wieści od Thomasa.

Kot nie przestawał się przymilać, chcąc choć na chwilę skupić na sobie jej uwagę. Yael uklękła obok niego, żeby w końcu usiąść na dywanie, głaszcząc futrzaną kulę, która zaczęła mruczeć.

Przez świetlik na samej górze wpadało gorące światło dnia, zalewając swoim blaskiem cały salon, gdzie dziewczyna położyła się w końcu obok kota. Czekwała.

Stopniowo zmęczenie wzięło nad nią górę.

Zasnęła.

Z trudem podniosła powieki.

Ścierpł jej cały prawy bok.

Do mieszkania wtargnęła noc.

Na Paryż spadały ciężkie krople deszczu, waląc o szyby, uderzając o dachy i spływając tysiącem strumyczków aż do wnętrzości ziemi.

Yael czuła suchość w ustach.

Mimo mrowienia w prawym ramieniu wsparła się na łokciu. Długo spała – musiało już być po dwudziestej drugiej. Kot gdzieś zniknął.

„Niewdzięcznik!”

Przekręciwszy się na niezdrętwiały bok, znalazła się poza dywanem, na czarnej szklanej płycie, z brodą dwadzieścia centymetrów nad zimną taflą. Położyła dłonie po obu stronach twarzy, jakby zamierzała robić pompki, i już miała się podnieść, gdy nagle coś przykuło jej uwagę. Poczowała dobrze znane wrażenie, to lekkie ostrzegawcze szarpnięcie na czubku głowy i za uszami. Tak jakby ciało uświadomiło sobie niebezpieczeństwo prędzej niż umysł.

Coś się poruszyło.

W podłodze.

To jej się nie przyśniło. To się wydarzyło na skraju jej pola widzenia. Jakiś ruch pod podłogą.

„To niemożliwe, sama sobie napędzam stracha... Pod tą szklaną płytą jest piętnaście metrów próżni...”

Napięła mięśnie ramion, żeby wstać, lecz właśnie wtedy pojawiły się dwie białe plamy.

Tuż obok jej dłoni ukazały się dwie inne, po drugiej stronie

szkła. Dwie ręce o białej, niemal przezroczystej skórze.

Yael odskoczyła do tyłu.

Po czym z mroku wyłoniła się blada twarz i przywarła do szklanej tafli. Mężczyzna o wytrzeszczonych oczach i otwartych ustach. Z początku Yael nie wyczytała na niej żadnego lęku, nic oprócz zdumienia, które wkrótce ustąpiło miejsca gniewowi. Wściekłości.

Po czym widmowa twarz zaczęła wrzeszczeć.

Yael również wrzasnęła, zeszywniała z przerażenia, nie odrywając wzroku od zjawy. Ona jednak zaczęła tymczasem się opuszczać, żeby zniknąć w rozpościerającej się pod nią ciemnej otchłani.

Yael nie mogła złapać tchu.

Nie spostrzegła dwóch dłoni zbliżających się do niej z tyłu.

Krzyk zamarł jej na ustach, kiedy chwyciły ją za ramiona.

Yael usiłowała się wyswobodzić, odepchnąć napastnika, wyrwać się z tego silnego uścisku, który unieruchamiał jej obojczyk.

Jej ramiona ciągle młóciły powietrze, z gardła zaś wydobywał się krzyk.

Wtedy jej wrzask zagłuszył czyjś niski głos:

– Uspokój się! To ja! Uspokój się, Yael!

Przez strach i zasłaniające jej twarz włosy zdołała wreszcie rozpoznać tego, kto starał się ją uciszyć.

– Tak już lepiej – powiedział Thomas. – Uspokój się. Wystraszyłaś mnie. Czekałem na ciebie na zewnątrz przez pięć minut. Potem pukałem do drzwi, ale bez skutku. Aż wreszcie usłyszałem twój wrzask.

Yael powoli dochodziła do siebie. Prawdopodobnie obudziła się wtedy, kiedy zapukał.

– Ktoś... jest pod szklaną taflą – wyjąkała, wskazując miejsce, w którym ukazała się zjawa.

Nie była w stanie oderwać oczu od podłogi, czekając, aż znów się pojawi.

– Idź, usiądź na kanapie, potrzebujesz spokoju. Chcesz szklanek wody?

Yael oderwała wreszcie wzrok od czarnej powierzchni i spojrzała na Thomasa. Jej źrenice drżały.

– Słyszysz, co mówię? – zapytała wzburzona. – Powiedziałam,

że pod spodem ktoś jest. I to nie zwyczajny facet! On był bardziej blady niż trup!

Thomas wyciągnął ku niej dłoń.

– Zgoda, ale pod spodem jest co najmniej piętnastometrowa przepaść. Rozumiesz, co mam na myśli? Pewnie nie zdążyłaś się jeszcze całkiem rozbudzić i...

– To nie był sen! – obruszyła się Yael. – Nie traktuj mnie jak stukniętej, nie po tym, co sam widziałeś!

Thomas skinął głową.

– Masz rację, przepraszam. Upewnimy... upewnimy się, że nic tam nie ma, w porządku? Gdzie się zapala światło?

Yael pokazała mu włącznik. Zauważyła sportową torbę, którą postawił na podłodze. Reflektory natychmiast odmieniły cały pokój.

Thomas zmarszczył brwi.

– Co? – zaniepokoiła się dziewczyna.

– Zda... zdaje się, że widziałem jakiś cień znikający w dole, po prawej stronie, kiedy dotarło tam światło.

– Gdzie po prawej stronie?

– W kącie obok wielkiego zbiornika, tam, gdzie wpada woda z kolektorów. To na pewno złudzenie optyczne...

– Nie – ucięła Yael. – Nie możesz go stąd zobaczyć, ale w tym miejscu jest przejście. Początek korytarza dla pracowników serwisowych. Skoro widziałeś w tym miejscu cień, to nie był przypadek, tylko ktoś tamtędy przechodził.

Thomas dostrzegł na jej twarzy determinację. Zdecydowanie

miała silny charakter.

– Doskonale, pójdę sprawdzić – oświadczył. – Jest jakaś droga na dół?

Przełknęła ślinę, gdy dotarło do niej, co ich czeka.

– W kuchni, przez drzwi prowadzące do piwnicy. Tamtędy można się dostać do szybu, żeby móc naprawić reflektory.

Thomas przeszedł pod łukiem, przeskakując trzy stopnie wiodące do kuchni, i zaczekał, aż Yael weźmie klucze.

– A tak w ogóle, to nie zostawiaj otwartych drzwi od mieszkania – ostrzegł. – Właśnie dzięki temu mogłem przybiec, kiedy krzyczałaś. Tym razem okazało się to praktyczne, ale wcale nie jest rozsądne.

Przytaknęła nieco oszołomiona, nadal wstrząsana dreszczami.

– A ty? – zapytała. – Co robiłeś przez ten czas?

– To... długa historia. Wolę ją zachować na później, kiedy uporamy się z tym, co najpilniejsze.

Wyczuwając niepewność w głosie swojego towarzysza, Yael drążyła dalej:

– Nie stało się nic poważnego? Pociesz mnie.

– Nie wiem.

Patrzyła z konsternacją, jak popycha drzwi do piwnicy i zanurza się w wilgotny mrok.

Nieosłonięta niczym żarówka oświetlała niemal puste skrzynki, nie licząc pół tuzina butelek stojących w kącie – osobistej kolekcji, którą niezbyt biegła w enologii Yael gromadziła powoli.

W przeciwległym rogu buczał masywny kocioł, z jego palnika zaś wydobywał się niebieskawy blask.

Yael przystanąła przed znajdującymi się w głębi drzwiami, po czym otworzyła je jednym obrotem klucza.

– Nie musisz iść ze mną – uprzedził Thomas.

Zamiast odpowiedzi uchyliła drzwi i wsunęła się do środka.

Między ścianami rozbrzmiewał łoskot wody, która wylewała się z obu kolektorów do zbiornika dziesięć metrów niżej. Yael była tu zaledwie dwukrotnie, za każdym razem w towarzystwie ojca i za każdym razem z przeświadczeniem, że stoi na szczycie podziemnego wodospadu, na dnie przepaści cuchnącej amoniakiem.

Deszczówka spadała, wirując, rozpylając w powietrzu uporczywą mgłę, która pokrywała wszystko i sprawiała, że zejście stawało się śliskie i niebezpieczne.

Chwyciwszy się szczebla drabiny, Thomas ruszył na spotkanie hałaśliwej głębi. Tymczasem Yael obejrzała dokładnie sufit. Widząc wyraźnie swój salon, uświadomiła sobie, że dla kogoś, kto zdołałby dotrzeć aż tutaj, podglądanie jej ukradkiem nie stanowiłoby żadnego problemu. Rzadko zapalała reflektory.

Odepchnąwszy od siebie nieprzyjemną wizję bezradności,

podążyła w ślad za Thomasem. Mimo dużej wysokości Yael nie czuła żadnych zawrotów głowy. Pewnie stawiała stopę na każdym kolejnym szczeblu, niespiesznie przemierzając dziesięciometrową różnicę poziomów.

Znalazszy się na dole, okrążyli zbiornik, następnie dziewczyna wskazała wnękę, za którą zaczynał się wykuty w kamieniu korytarz.

Docierające tutaj światło reflektorów straciło na intensywności; niektóre zakamarki były pograżone w mroku.

– Przypomnij mi, żebym nigdy nie zamawiał domu u tego architekta – zażartował Thomas, przekrzykując hałas.

Yael zdała sobie sprawę, że w rzeczywistości wcale nie czuje się taki swobodny i że mówi, aby ją uspokoić. Zaczęła się zastanawiać nad tym, co mu się przydarzyło po południu.

Thomas posuwał się naprzód korytarzem, który stawał się coraz ciemniejszy, aż wreszcie po pięciu metrach przybrał całkiem czarną barwę. Przeszukawszy kieszenie, wyjął zapalniczkę, którą z trudem zapalił w panującej wokół wilgoci. Po czym wstał.

Na ścianach drgały jedynie ich cienie.

Nikogo nie było.

Drogę zagradały stalowe drzwi.

Na których widniał duży czerwony napis: „666”.

Cyfry były całkiem świeże.

Farba ściekała jeszcze wzdłuż drzwi.

– Zdaje się, że powinienem cię przeprosić – powiedział Thomas.

– Rzeczywiście ktoś tu był.

– Nie podoba mi się to – szepnęła Yael. – Ja... Chyba będzie lepiej, jak wrócimy na górę.

Thomas spojrzął jej w oczy.

– A co potem? Będziemy czekać, aż ci ludzie znów cię zaczną prześladować? Ktoś próbuje ci powiedzieć coś jeszcze za pomocą tych cyfr. – Pokręcił głową. – Musimy to znosić właśnie dlatego, że nie wiemy, o co chodzi. Ale kiedy tylko zdołamy to wyjaśnić, będziemy w stanie ich uprzedzić. Trzeba iść tędy – dodał, wskazując oznaczone drzwi.

W ciągu krótkiej chwili niepewności, jaka nastąpiła, Yael przeanalizowała sytuację. Miał rację: nie wolno dłużej potulnie tego znosić. Należy przystąpić do czynu.

– Myślisz, że chcą, abyśmy przeszli przez te drzwi? – zapytała.

– Tak. Trzy szóstki same w sobie nic nie znaczą. To biblijna bestia, liczba diabła, nic więcej. Musimy ją powiązać z czymś innym, z czymś, co prawdopodobnie czeka po drugiej stronie. Co tam jest?

– Nie wiem, nigdy tam nie zaglądałam. Według mojego ojca Paryż to jeden wielki ser szwajcarski, gdzie wszystko łączy się z sobą. Ścieki, korytarze metra, piwnice i katakumby.

– Urocze – stwierdził dziennikarz z obrzydzeniem.

Podszedł do ciężkich drzwi i ukląkł przed zamkiem bez klamki.

– To prosty mechanizm. Nie są zaryglowane.

– Tylko, że ja nie mam klucza...

Thomas pomacał dziurkę.

– Złamałaś sobie coś kiedykolwiek?

Zaskoczona Yael powoli skinęła głową.

– Tak... jako nastolatka miałam wypadek na skuterze. Złamałam miednicę.

– Zachowałaś zdjęcia z prześwietlenia?

– Tak.

– Będą mi potrzebne. I coś do poświęcenia, jeżeli masz.

Yael spełniła polecenie, po czym niezwłocznie wróciła, niosąc w jednej ręce duże zdjęcie rentgenowskie, w drugiej zaś latarkę. Thomas wsunął sztywną kliszę między drzwi a futrynę, pod zamkiem. Następnie zaparłszy się nogami, pchnął całym ciałem. Ledwie zdjęcie się wśliznęło, uniósł je powoli ku zapadce, która schowała się na swoje miejsce.

Drzwi były otwarte.

– Gdzie się tego nauczyłeś? – zdziwiła się Yael.

– W moim zawodzie najważniejsze są dwie rzeczy, żeby przetrwać. Po pierwsze, bardzo dobry notes z adresami, po drugie, umiejętność radzenia sobie w różnych sytuacjach. Przy czym to drugie jest bardziej niezbędne.

Położywszy na ziemi kliszę, chwycił latarkę, którą natychmiast zgasił. Yael właśnie pchnęła drzwi.

W wykutej w skale wnęce stały dwie płonące świece.

Wąskie i niskie przejście przypominało tunel w piramidzie i prowadziło, wijąc się, w głąb miasta. Nieco dalej paliły się następne świece.

Ktoś na nich czekał.

Thomas przesunął latarkę w ten sposób, aby zamieniła się w maczugę.

Podążali tunelem, za którym rozpościerał się prostopadły korytarz prowadzący do licznych chodników. Drogę wyznaczały płonące świece rozstawione co jakieś piętnaście, dwadzieścia metrów.

Drżące światło toczyło zażartą walkę z wszechobecnym mrokiem, prześlizgującym się po ścianach, zsuwało się z sufitu, wynurzało z wgłębień w podłodze. Między kamieniami świszcział wiatr, który wzmagął długość korytarzy i zakręty labiryntu, muskając płomień świec i grożąc przy każdym powiewie, że je zgasi.

– Czy wiesz, gdzie jesteśmy? – szepnął Thomas, gdy posuwali się naprzód.

Yael odpowiedziała tym samym tonem – tonem, jakiego zwykle używamy w kościołach i bibliotekach.

– To są stare kamieniołomy paryskie, pochodzące z czasów rzymskich. Początkowo były pod gołym niebem, ale wraz ze wzrostem liczby ludności w dwunastym i trzynastym wieku Filip August postanowił powiększyć stolicę. Istniało znaczne zapotrzebowanie na kamień, tym bardziej że powstały olbrzymie place budowy, jak choćby katedra Notre Dame. Wkrótce kamieniołomy zeszły pod ziemię, aby budowniczy mogli zyskać więcej powierzchni.

Thomas gwizdnął przez zęby.

– Niezłe opanowanie tematu...

– Mój ojciec uwielbia historię Paryża. Kiedy byłam mała, czytał mi wieczorami po kawałku, żebym szybciej zasnęła! Dzięki za koszmary nocne... Zwłaszcza kiedy opowiadał o powstaniu katakumb. W osiemnastym wieku cmentarz Niewiniątek, jeden z największych w Europie, był przepelniony, jednym słowem wszędzie aż się przelewało. To było siedlisko zarazy. Dzisiaj to miejsce zajmują Hale.

Błąkali się, podążając za płomieniami. Thomas zszedł pierwszy. Słuchał jednym uchem opowieści Yael, jednocześnie uważnie omiatając wzrokiem ciemne plamy między ścianami.

– Brud, ryzyko epidemii, „przeludnienie”. Cmentarz Niewiniątek był raną w samym sercu Paryża. Próbowano wszelkich możliwych rozwiązań, jak na przykład postawienie wokół wału ochronnego i umieszczenie wykopanych kości w stropach, żeby zyskać wolną przestrzeń, ale nic nie pomogło: cmentarz był przepelniony, przelewał się, śmierdział na setki metrów, jednym słowem: horror w samym środku stolicy. Pewnego dnia ściana przyległej piwnicy zawałiła się pod naporem zbyt przepelnionej zbiorowej mogiły. Możesz sobie wyobrazić minę właściciela, kiedy zszedł zobaczyć, co się stało. Poza tym do cmentarza przylegały Hale i oprócz odoru zgnilizny, który mieszał się z zapachami żywności, targowisku coraz bardziej brakowało miejsca. Wobec nagłej konieczności zdecydowano przenieść zwłoki, żeby zrównać cmentarz z ziemią.

Yael wpatrywała się w kamień, który właśnie minęła, pieszcząc w myślach historię zatopioną w skale.

– W ciągu prawie trzydziestu lat opróżniono większość

paryskich cmentarzy i przeniesiono ciała do dawnych kamieniołomów, które zamieniły się w katakumby. Co raz dokonywano makabrycznego rytuału. Okryte kirem wozy ciągnęły swój ładunek w eskorcie mężczyzn z pochodniami i księży śpiewających pieśni żałobne. Wyobrażam sobie tę scenę, która powtarzała się noc w noc przez te wszystkie lata. Ekshumowano sześć milionów zmarłych, a następnie „ulożono” ich tutaj, obok nas. To oblicze historii, o którym raczej rzadko się mówi. Myślę, że ludzie wolą o nim zapomnieć.

– Szkoda – wtrącił Thomas. – Ta strona... rytuału pogrzebowego pod miastem stanowiłaby dodatkowy atut dla Amerykanów.

– W takim razie trzeba by im było wyjaśnić, że smród zgniłych jaj unoszący się na niektórych stacjach metra, jak choćby po stronie Hal, to zapach ziemi przesiąkniętej od wieków płynami ustrojowymi rozkładających się ludzkich ciał i że zapach ten zdążył się już wgryźć na stałe. Zdaje się, że niedawno Zarządowi Transportu Miejskiego udało się trochę złagodzić tę niedogodność. Od czasu do czasu na pewno czuć bardziej, zwłaszcza przy dużych upałach.

– Mam nadzieję, że ojciec nie opowiadał ci o tym na dobranoc?

– Nie o wszystkim. Zostawił bardziej makabryczne szczegóły na później... To była jego metoda, żeby mnie uspokoić. Wiem, niezbyt pedagogiczna. Właściwie ja i mój ojciec nie bardzo potrafimy z sobą rozmawiać.

Gdy chodnik ponownie zakręcił, przeszli wzdłuż ciemnej sali, za którą znajdował się kolejny odcinek liczący kilkaset metrów. Ciszę przerwała Yael:

– Myślisz, że dokądś dojdziemy w ten sposób? Bo pod Paryżem jest ponad trzysta kilometrów tuneli, i to tylko po dawnych kamieniołomach.

Thomas wzruszył ramionami. Wiedział tyle samo co ona i nie potrafił jej uspokoić, nie kłamiąc.

Nagle ziemia zaczęła drżeć.

Rozległ się łoskot, który narastał coraz bardziej, przenoszony przez skałę. Pierwszy obraz, jaki nasunął się Yael, była to olbrzymia dżdżownica wyłaniająca się na powierzchnię.

Tyle, że ta dżdżownica była metalowa i śmierdziała rozgrzaną gumą.

A wydrążony dla niej tunel przebiegał tuż pod ich stopami.

Tunel dla szybkiej kolejki podmiejskiej.

Huk wszedł w stan apogeum.

Po czym się oddalił, oni zaś ruszyli naprzód.

Po pewnym czasie ujrzeli po prawej stronie długą kratę zamykającą korytarz i chociaż świece wskazywały przeciwny kierunek, Yael podeszła do niej.

Był to gigantyczny ul. Jego ściany składały się z sieci plastrów.

Thomas włączył latarkę i skierował strumień światła za kraty.

W rzeczywistości plastry okazały się wydrążonymi oczodołami, pochodzącymi z tysięcy ludzkich czaszek, starannie poukładanych jedna na drugiej obok piszczeli, kości ramieniowych i innych kości długich.

Yael chwyciła się kurczowo kraty. Kiedy przemówiła, w jej

głosie słyhać było wzruszenie:

– Przedstawiam ci Monteskiusza, Racine’a, Camille’a Desmoulins, Robespierre’a, Dantona, Marata, Człowieka w Żelaznej Masce i wielu nieznanym, którzy spoczęli na wieki w tej pępnej grocie.

Kurz tańczył w wiązce światła latarki niczym gruby osad w zapomnianym akwariu. Biała aureola prześlizgiwała się od rogu do rogu, od zagłębienia do szerszej wnęki, omiatając to bezkresne królestwo, którego granice stanowiły mury złożone wyłącznie z bezimiennych kobiet, mężczyzn i dzieci.

– To zbiorowisko kości mogą zwiedzać wyłącznie przygotowani turyści – oznajmiła z szacunkiem Yael. – Obszerny zespół korytarzy i sal pełnych szkieletów.

Na kluczu sklepienia łuku oddzielającego dwie sale snop światła latarki utkwiał na wyrzeźbionym rysunku. Był to kompas. Dalej na jakiejś kolumnie pojawiły się dwa obeliski, jeden czarny, drugi biały. Symbole masońskie. Yael przypomniała sobie cztery wieże Biblioteki imienia François Mitterranda – prezydenta i miłośnika okultyzmu – w kształcie trójkąta; kolejny symbol masoński, delikatne, choć nie niewinne mrugnięcie okiem. Teraz, kiedy uwrażliwiła się na ten temat, stwierdziła, że na całym świecie aż roi się od ezoterycznych wskazówek i okultystycznych znaków. Historia została zapisana w większości w podręcznikach. Istniała jednak także historia równoległa – dzieje Lincolna, Kennedy’ego i wielu innych. Każda czaszka, której nagość lśni bez niedomówień, kryje swoją tajemniczą historię. Każda z tych

kości przeżyła swoją prawdę, która uległa subiektywnej manipulacji. Każda, jedna po drugiej, przeżyły jakąś prawdę zniekształconą przez czyjś subiektywizm. Czymże więc jest historia, jeśli nie wypaczoną sumą istnień, którą należałoby uporządkować, żeby móc spisać dla potomności to, co zostało? I kto to porządkuje? Kto pociąga za sznurki, pozostając w cieniu? Szare eminencje. Wszędzie. Nierzadko powiązane z sobą za pośrednictwem tajnych stowarzyszeń.

Czy istnieje jednak jakiś zdrowy rozsądek? Czy dzieje ludzkości, nawet jeśli ulegają zniekształceniu, błędzą bezładnie, czy też dążą do określonego celu, narzuconego przez te tajne stowarzyszenia? Czy rola tych ostatnich polega jedynie na igraniu z ludźmi, aby wykonywali stopniowo ich zamierzenia?

Świat jest pełen znaków. Obfitują w nie zbiegi okoliczności, których jest zbyt dużo, aby mogły być przypadkowe; symbole, które mnożą się, kiedy tylko zechcemy je dostrzec.

Yael zaczęła sobie z tego zdawać sprawę.

Właśnie tego chciały Cienie.

Musisz wiedzieć. Być z nami – powiedziały.

Uwierz. A będziesz gotowa.

Gotowa na co?

– Ej, nic ci nie jest? – upewnił się Thomas.

Yael otrząsnęła się gwałtownie z zadumy.

– Chodź, nie stójmy tak.

Ruszyli śladem świec ku bardzo długiej linii, niekończącej się girlandzie płomieni, która wskazywała im drogę. Małe stożki

pomarańczowego światła tworzyły pośrodku ciemności uspokajające nisze, zawieszane nad ciągiem zbawiennych tarasów, między którymi musieli lawirować, przeskakując z jednego na drugi ponad przerażającą otchłanią. Yael wypatrywała ich z niecierpliwością. Ledwie opuszczali bezpieczną strefę i zanurzali się w mroku, pragnęła przyspieszyć kroku, żeby jak najprędzej dotrzeć do następnej.

Powoli zbliżali się do końca tunelu.

Nie widząc, że za ich plecami świece zaczynały gasnąć.

Jakby zdmuchiwała je jakaś istota podążająca ich śladem.

Po widoku stosów tysięcy czaszek Yael przestawała traktować przeciągi, które owiewały jej kostki, tak beztrosko jak przedtem. Przemykały obok jej nóg niczym zbiegłe dusze, zimne i świszczące, błakając się pod miastem w poszukiwaniu materii.

Wrażenie to nasiliło się, kiedy weszła w głęboką kałużę.

– Cholera! – rzuciła przestraszona.

Nim ruszyli dalej, Thomas upewnił się, że nic jej nie jest.

Podłoga pod nimi falowała, a płomienie świec umieszczonych na kamieniach lub w szczelinach murów rozjaśniały się osobliwie, po czym przygasaly.

„Woda” – zrozumiała Yael. Ziemię przykrywała woda. Wkrótce zaczęła im sięgać do pól łydki. Potem do kolan. Oleista, gęsta woda.

Pluskała pod wpływem ich ruchów, a jej delikatne fale uderzały o zagłębienia tunelu.

Sufit wydawał się teraz niższy, ściany były węższe.

Oddychali z większym trudem.

Znajdowali się pod ziemią, z dala od świata, i to znacznie dalej niż pozwalało przypuszczać te kilka metrów skały pod ich głowami. Czuli się opuszczeni. „To ja porzuciłam świat, schodząc tutaj!” – poprawiła się Yael. Otaczały ją tony wapienia. Nie sposób uciec, wyjść, aby odetchnąć czymś innym niż to ciężkie powietrze pełne wyziewów.

Jej oddech stawał się coraz krótszy.

Uświadomiła sobie, że za chwilę po prostu nastąpi atak

klaustrofobii.

„To nie jest odpowiednia chwila. Uspokajam się. Oddycham. Wszystko w porządku”.

Po napadzie lęku powietrze mogło się wydawać gorące, za to woda była lodowata.

Jej poziom podnosił się, w miarę jak posuwali się naprzód.

Teraz sięgała im do pól uda.

– Chodźmy trochę szybciej – zaproponował wędrujący przed nią Thomas.

– Chyba już wystarczy, nie? Brodzimy w tym co najmniej od dwudziestu minut.

– Chodźmy szybciej – upierał się Thomas, nawet nie oglądając się do tyłu.

Po czym wycelował palec w jedną ze świec, która paliła się w szczelinie muru.

Yael minęła ją, lecz nic nie zauważyła.

– Dlaczego mamy iść szybciej?

Kiedy znaleźli się przy kolejnej świecy, Thomas zwrócił jej uwagę na knot i niewielką ilość wosku, który zdążył z niej skapnąć.

– Bo ktoś je przed chwilą zapalił.

Natychmiast ruszył dalej.

– Nie wiem kto albo co to robi, ale znajduje się tuż przed nami – dodał cicho.

Yael przyspieszyła kroku, chociaż była coraz mniej przekonana o konieczności rzucenia się prosto w paszczę lwa.

Wówczas woda opadła, stając się zaledwie ciągiem kałuż. Z obojga poszukiwaczy obficie kapąło. Mając pełne buty wody, musieli stąpać z wielką ostrożnością, żeby nie pośliznąć się na skale. Nagle korytarz skręcił i się urwał. Znaleźli się w ślepych zaułku.

Yael przechyliła głowę i skierowała trzymaną przez Thomasa latarkę w głąb przejścia. Błotnisty otwór pozwalał przedostać się na drugą stronę. Thomas westchnął z niezadowoleniem. Wcale mu nie przypadł do gustu pomysł, żeby się tamtędy czołgać. Upewniwszy się jednak, że nie ma żadnego innego sposobu, by posuwać się dalej, ukląkł i włączył latarkę, chcąc oświetlić miejsce, w którym miał się zagłębić głową naprzód.

– Nie widać nic szczególnego. Zdaje się, że to dość krótkie i że dalej się rozszerza.

Mówiąc te słowa, posłał Yael ostatnie spojrzenie, po czym zgiął się, żeby wejść w coś, co wyglądało jak paszcza jakiejś bestii. „Pokracznego golema stworzonego z ziemi” – wyobraziła sobie Yael.

Kiedy golem połykał nogi Thomasa, w głębi ziejącej paszczy rozległ się obrzydliwy odgłos ssania spowodowany przez błoto.

Po chwili dotarł też głos Thomasa:

– Możesz wejść.

Yael zrobiła naprędce węzeł z włosów, po czym weszła do golema.

Odpychała się kolanami i łokciami, żeby na koniec dotrzeć do sali mającej mniej więcej trzydzieści metrów kwadratowych.

Sklepienie kamieniołomu podtrzymywały niezgrabne kolumny

wykonane z ułożonych w stosy głazów. Dwie trzecie pomieszczenia zajmowały prostokątne ławy wykute w skale, tworząc dwa rzędy obok siebie. W głębi dwa ciemne chodniki wiodły gdzieś w mrok. Między nimi zaś dopalała się ostatnia świeca stojąca na wielkim ołtarzu wyrąbanym w wapieniu.

Thomas pomógł swojej towarzyszce wstać. Mokre spodnie przykleiły się do skóry i zaczynało jej być zimno.

– Chyba to koniec naszej wędrówki – powiedział, pokazując na stół.

Przemierzywszy odległość dzielącą ich od wyrzeźbionego bloku, pochyłili się, żeby sprawdzić, co znajduje się w kamieniu ołtarza. Była to czara.

Okrągła czara z czarnego porfiru, wielkości patelni i nie głębsza niż na ćwierć palca. Na dnie lśniła jakaś gęsta srebrzysta ciecz.

– Co to takiego? – zdziwił się Thomas.

– Rtęć. – Yael rozejrzała się dokoła. – A my znajdujemy się chyba w starej kaplicy. Ojciec mówił, że można jeszcze takie spotkać. Jedne zbudowali mnisi w czasach, kiedy eksploatowali kamieniołomy, inne sami kamieniarze, jeszcze inne bogaci mecenasami pod własnymi pałacami. Pobożność i boska chwała nie cofają się przed żadnym poświęceniem... – dodała ze szczyptą ironii.

– Po co cała ta droga? Po co nas tu zwabiono? Z pewnością musi być jakiś powód...

– Nie wiem – wzruszyła ramionami Yael. – Przypuszczam, że dla symboliki. Przecież właśnie o to chodzi od samego początku, nie?

Thomas chwycił ją za ramię i ponownie pochylił się nad czarą.

Rtęć właśnie zadrżała: od epicentrum, które znajdowało się w samym środku tafli, zaczęły się rozchodzić maleńkie koncentryczne fale.

Wtem rtęć się poruszyła. Rozdzieliła się na dziesiątki drobnych osobnych kulek, następnie cofnęła, popychana jakąś niewidzialną siłą, odsłaniając dno czary. W ten sposób powstało mnóstwo smug różnej wielkości, biegnących w różnych kierunkach, po czym niektóre się w końcu połączyły, ciecz zaś rozstała się niczym morze przed Mojżeszem.

Dziury wydłużyły się i połączyły przybierając wyraźne kształty.

Liter.

– Oni coś mówią – stwierdziła na głos Yael.

Zaczynała się oswajać z metodami, jakie stosowały Cienie.

W czarze pojawiły się czarne słowa na wypukłym srebrnym tle:

To, co znajduje się po drugiej stronie, jest najprawdziwszą prawdą.

Yael ogarnęło zdumienie. Właśnie o tym pomyślała na widok stosu szkieletów: o ukrytej prawdzie.

Wgłębienia wypełniły się rtęcią, po czym ukazały się kolejne słowa:

Każda rzecz jest tylko pozorem.

Trzeba patrzeć z drugiej strony.

Historia w książkach to tylko pozór.

Miasta to tylko pozór.

Ciecz prześlizgiwała się i rozstępowała zaskakująco posłusznie, łącząc litery w słowa, jakby nie mogła się doczekać końca.

Podziemia miasta to naga dusza jego cywilizacji, jego tajemnice.

Tak samo jest ze wszystkim.

Tajemnice człowieka tkwią w jego fundamentach.

W jego historii.

Przejdź na drugą stronę.

I naucz się czytać w mrokach historii.

Yael zadrżała. Po wszystkim, czego się dowiedziała z jednodolarowego banknotu na temat Lincolna i Kennedy'ego, przeczuwała, że to dopiero początek. Na dodatek skromny początek.

Nie zapomnij: każda rzecz jest tylko pozorem.

Za każdym pozorem zaś kryją się jego tajemnice: jego rzeczywista esencja, jego prawda.

Odkrycie jej to poznanie świata. Władza.

Władza, Yael.

Powierzchnia rtęci wyrównała się z cichym pluśnięciem, tworząc nieruchomą kałużę, jak na początku.

Ani Yael, ani Thomas nawet nie otworzyli ust.

Płomień czarnej świecy sprawiał wrażenie radosnego, jakby nie był w stanie trzymać się prosto i śmiał się z tych dwóch osłupiałych istot ludzkich.

– Waham się między strachem przed tym, co się dzieje, a tym, co może nastąpić – wykrztusiła wreszcie Yael.

Thomas złapał się obiema rękami za włosy, pograżając się w zadumie.

– Masz plastikową torbę? – zapytał ni stąd, ni zowąd.

– Jasne – odrzekła Yael. – Zawsze spaceruję po paryskich katakumbach z czymś takim.

Omiótł pomieszczenie wzrokiem, ale nie znalazł rozwiązania. Po czym szarpnął gwałtownie za rękaw koszuli, odrywając go całkowicie. Włączywszy latarkę, zdmuchnął płomień świecy i owinął ją delikatnie w tkaninę.

– Co robisz?

– Może są na tym odciski palców.

Yael skinęła głową, chociaż pomysł wydał jej się dziwaczny.

Thomas ciągle jeszcze czepiał się racjonalnego wyjaśnienia.

Kiedy zbliżali się do wyjścia, nagle przystanąła.

– Zaczekaj – poleciła.

– Co jest?

– Przed chwilą Cienie... Przesłały mi wiadomość, że każda rzecz to tylko pozór. I że trzeba patrzeć z drugiej strony.

– I co z tego?

– Zastanawiam się...

Thomas przerwał jej, kładąc palec na ustach.

– Co? – szepnęła Yael.

– Usłyszałem jakiś hałas.

– To pewnie...

Nakazawszy jej gestem milczenie, pochylił się nad otworem.

Słysząc było odgłos kroków po wodzie.

– Ktoś idzie w naszą stronę – oznajmił Thomas prostując się. –
Musimy uciekać jednym z tych chodników.

Yael czuła, jak ogarnia ją coraz większa panika.

„Jestem spokojna, jestem spokojna. Teraz nie marnuję
oddechu”.

Skupić się na czymś. „Musisz zająć czymś umysł”.

– Zanim stąd wyjdziemy, chcę coś sprawdzić, zgoda? – nie dała
za wygraną.

– Nie mamy czasu.

Nie zważając na jego słowa, złapała czarę i spróbowała ją
podnieść.

– Jest za ciężka, pomóż mi.

– Yael, musimy natychmiast stąd wiać.

– Pomóż mi! – upierała się.

Thomas zaklął pod nosem, ale chwycił za drugi brzeg czary.
Wspólnymi siłami zdołali ją podnieść. Ważyła znacznie więcej niż
pozwalala przypuszczać jej wielkość. Ostatnim wysiłkiem postawili ją
na krawędzi ołtarza.

W kamieniu byk wydrążona dziura, którą do tej chwili
zasłaniała czara.

– Każda rzecz to tylko pozór, trzeba przejść na drugą stronę –
powtórzyła z pewną dumą Yael, mimo że ogarniał ją lęk.

Włożyła rękę do otworu.

Jej palce dotknęły jakiejś gładkiej powierzchni.

Skóra. Pomacała zagłębienie i wydobyła książkę.

Niewielkiego formatu, ale grubą, oprawioną w jedwabistą skórę, która nadawała jej wygląd starego dzieła.

Biblia.

Thomas chwycił ją za ramię i zaciągnął do jednego z bocznych chodników.

Za plecami Yael usłyszała wyraźny sygnał alarmowy: golem połknął właśnie łakomie kolejnego gościa.

Yael i Thomas biegli w białawej smudze światła latarki, która trzęsła się od podskoków i w której blasku źle było widać czyhające na ziemi niebezpieczeństwa.

Tuż za nimi rozległ się jakiś męski głos dochodzący z kapliczki:
– Tam są!

Yael poczuła, że Thomas przyspiesza, podejmując coraz większe ryzyko. Przeszkody – kamienie i szczeliny, które były wystarczająco szerokie, żeby złamać nogę – dostrzegali dopiero w ostatniej chwili.

W chodniku rozbrzmiewał odgłos ciężkich kroków kogoś, kto ruszył za nimi w pościg.

Uciekająca para minęła pierwsze rozwidlenie, nawet nie próbując zmieniać kierunku. Przy następnym Thomas pociągnął Yael w lewo, nie wiedząc wprawdzie dokąd biegać, za to w nadziei, że zdołają zgubić pędzących za nimi mężczyzn.

Mimo zakrętów, jakie narzucał tunel, zdradzało ich światło latarki.

Kiedy stało się oczywiste, że nie uda im się uciec przed pościgiem, Thomas zaczął, aż dotrą do kolejnego skrzyżowania, tym razem złożonego z czterech dróg, po czym zgasił latarkę.

Zaskoczona Yael stanęła jak wryta.

Obróciła się wokół własnej osi. W kompletnych ciemnościach.

– Thomas? – wyszeptała bez tchu.

– Cicho! – nakazał. – Chodź tu, schowaj się.

Usiłowała rozpoznać, skąd dobiega jego głos, on zaś miał nadzieję, że jej się to uda. Emocje i zmęczenie fizyczne jednak zupełnie odebrały jej orientację. Zaczęła macać wilgotną ścianę.

– Pospiesz się! – ponaglił.

– Gdzie jesteś? – zapytała, coraz bardziej zestresowana. Pościg się zbliżał – było już słychać oddechy i odgłosy kroków.

Yael dotykała po omacku zimnego kamienia.

Nagle rozbłysły światła latarek. Będą tu za sekundę. Mur pod dłonią Yael się urwał.

Otwór.

Blask zamienił się błyskawicznie w poruszające się snopy światła.

Yael rzuciła się do przesmyku.

Weszła do środka, wyciągniętą ręką badając ciemności, drugą zaś gładząc skałę, aby mieć jakiś punkt orientacyjny.

Mimo strachu przed potknięciem wydłużyła krok, modląc się, żeby na jej drodze nie stanęła żadna przeszkoda.

Po czym znieruchomiała, wstrzymując oddech i czyhając, aż ktoś się być może pojawi.

Wówczas dotarł do niej czyjś zduszony głos:

– Idę tędy.

Towarzyszył mu błysk latarki, wskazujący kierunek, gdzie się właśnie znajdowała.

„Och, nie...”

Zaczerpnęła potężny haust powietrza i pomknęła dalej. „Gdzie ten Thomas? Na pewno poszedł w inną stronę”.

„Pewnie jest trochę dalej” – pomyślała z nadzieją, przyspieszając kroku.

Podążający jej śladem mężczyzna miał latarkę, mógł więc biec, nie bojąc się, że skręci kark. Jeżeli ona nie zrobi tego samego, wkrótce ją dopadnie.

Nic nie widziała. Prawa dłoń była pokaleczona od ocierania o ścianę.

Nagle pomacała się po kieszeni dzinsów.

W jej głowie rozbłysła iskierka nadziei.

Wyjęła telefon komórkowy i wcisnęła klawisz włączający latarkę, która zaświeciła niebieskawym światłem, wystarczającym, żeby patrzeć pod nogi.

Yael natychmiast puściła się biegiem.

Kiedy pokonała stopień, o który z całą pewnością by się przewróciła w ciemnościach, z jeszcze większą dumą pogratulowała sobie pomysłu. Umocniło ją to w wierze i pozwoliło przyspieszyć.

Niepokoilo ją jednak to, że w ogóle nie słyszała żadnych innych głosów. Jeśli wpakuje się w ślepy zaułek, będzie po niej.

Przebierała nogami w zawrotnym tempie.

Skręciła gwałtownie, nie tracąc rozpędu.

W zbawiennym blasku komórki widziała pod stopami niestabilne, usiane drobnymi kamykami podłoże.

Nagle otworzyła się przed nią przepaść.

Zamiast ziemi widać było olbrzymią otchłań.

Jeszcze jeden krok do przodu, a zleciałaby w dół.

W ostatniej chwili zdążyła odchylić całe ciało do tyłu.

Najpierw ramiona, za którymi usiłowały przeważyć ręce, na koniec zaś brodę.

Straciła równowagę; przeciwwaga sił sprawiła, że się wywróciła i klapnęła na pupę.

Tuż nad przepaścią.

Zdyszana podniosła komórkę. Korytarz kończył się ziejącą dziurą.

Pochyliła się do przodu, na kolanach.

Pięć metrów niżej, pod brunatną i błotnistą wodą, można było dostrzec początek kolejnego poziomu. Yael słyszała o tym od ojca: niższe piętra zdarzały się rzadko i najczęściej były podtopione.

Wstała, żeby wybadać brzegi.

Nie było żadnej innej drogi. Mogła więc tylko zawrócić.

Właśnie wtedy pojawiło się światło latarki jej prześladowcy, niczym jakiś złowróźbny księżyc.

Loïc Adam zamierzał zawrócić.

Mężczyzna i kobieta, których ścigał, na rozwidleniu skręcili prawdopodobnie w inną stronę. Mimo to dobiegł aż do następnego wirażu, mocniej zaciskając dłoń na kolbie swojej beretty. Nie wolno ryzykować. Oświełszy ciasny korytarz, ujrzał ślepy zaułek.

W ziemi otwierała się szeroka, nieobramowana kamieniami studnia.

Nie mogli przecież pójść tędy. Co więc zrobili? Skoczyli?

Dla spokoju sumienia Loïc zajrzał do przepaści.

Yael widziała, jak się zbliża, poczuła, jak ociera się o nią, przechodząc obok maleńkiej szczeliny, w której schowała się w ostatniej chwili.

Kiedy tylko się odwróci, ona na pewno wpadnie w jego ręce.

Najgorszy był ten przedmiot, który trzymał w dłoni. Broń palna.

Kim on jest?

W co ona się wpakowała?

Mężczyzna doszedł nad krawędź przepaści.

Yael wiedziała, co powinna zrobić.

Nie miała innego wyjścia.

Woda złagodzi upadek. W najgorszym razie coś sobie złamie.

„Zrób to!”

Yael wyskoczyła wściekle ze swojej kryjówki, z ramionami do przodu, po czym pchnęła mężczyznę w plecy z całą siłą, jaką może wyzwolić strach.

Patrzyła, jak traci równowagę, gorączkowo próbując się czegoś złapać.

Sekundę później z niższego poziomu dobiegł odgłos uderzenia.

Yael zadrżała z obrzydzenia.

Ośmieliła się spojrzeć dopiero wtedy, gdy zmobilizowała całą odwagę.

Ledwie podtopiona przez błoto latarka oświetlała całą scenę.

Mężczyzna leżał wyciągnięty w ciemnej wodzie, z dziwnie wykręconą głową.

Yael otworzyła szeroko oczy ze zgrozy.

„Jego kark!”

Palce drgały mu konwulsyjnie, podobnie jak wystająca z lepkiej mazi noga. Przede wszystkim jednak uwagę przyciągały jego oczy. Wstrętne. Poruszały się na wszystkie strony, odzwierciedlając ogarniającą go zimną falę.

Yael przyglądała się temu z płaczem. Rozpoznała go. To był ten mężczyzna o przenikliwym i lodowatym wzroku, którego widziała w bibliotece. Ten sam, którego Thomas ścigał po południu.

Drgawki się nasiliły, toteż błoto rozchlapało się po całej jaskini. Jego oczy wyrażały ślepy strach – tym razem świadomość zbliżającej się śmierci stawała się namacalna. Mężczyzna był prawie martwy, i wiedział o tym.

Yael uzmysłowiła sobie całą grozę powiedzenia „czuć, że się umiera”.

W ostatniej sekundzie mężczyzna wbił szalony wzrok w jej oczy.

Błagał ją.

Po czym powoli zanurzył się w błocie.

Kiedy obaj mężczyźni rozdzielili się i każdy ruszył w przeciwną stronę, Thomas zawrócił, znów włączając latarkę, i zaczął szukać Yael.

W panice zgubił jej ślad.

Wydało mu się, że po raz ostatni słyszał ją w biegnącym tuż obok tunelu. Tylko, że jeśli rzeczywiście tak było, jeden z mężczyzn szedł za nią.

Pędzić jej na ratunek. Oto, co powinien zrobić. Do diabła z niebezpieczeństwem, przecież nie może jej zostawić samej.

Odczekawszy wystarczającą chwilę, żeby nie zostać zauważonym, Thomas ruszył w pościg za dziewczyną.

Po minucie marszu rozległy się kroki.

Potem znów nastąpiła cisza.

Tuż po niej zaś odgłos uderzenia. Głuchy dźwięk.

Serce podskoczyło mu do gardła.

Wyobraźnia podsunęła mu najgorszy scenariusz z możliwych, odepchnął go jednak od siebie, gnając ku czemuś, co uznał za walnę.

Po czym wpadł na roztrzęsioną Yael.

– Zabiłam go.

Rzuciwszy szybkie spojrzenie na scenę w dole, wziął ją za rękę.

Pociągnął ją ku ostatniemu rozwidleniu, ona zaś wcale nie protestowała.

Czym prędzej dobiegli do kapliczki, kiedy zaś znaleźli się po drugiej stronie otworu, poprosił Yael, aby pomogła mu podnieść olbrzymi kamień, którym zatkali dziurę.

– W pojedynkę, z głową przy ziemi, życzę mu powodzenia w odpychaniu go. Będzie musiał znaleźć inne wyjście, dzięki czemu zyskamy trochę czasu.

Yael wyrwała się z milczenia:

– Czasu na co?

– Żeby się spakować. Nie możesz tam zostać.

– Nie rozumiem – odparła, ciągle jeszcze w szoku.

– Wyjaśnię ci, kiedy tylko się stąd wydostaniemy. Niedawno natknąłem się na te typy w metrze. – Po czym, chwyciwszy dziewczynę za ramiona, dodał: – Grozi ci niebezpieczeństwo, Yael.

Dłonie wrzucające byle jak ubrania do walizki nie należały do niej.

Yael przyglądała się z niedowierzaniem temu, co robi jej ciało, sama jednak w tym nie uczestnicząc. Znajdujący się tuż obok Thomas wydawał rozkazy, stosując na przemian to łagodność, to stanowczość, do której zmuszała go potrzeba chwili, a cielesna powłoka dziewczyny spełniała polecenia.

Pocztówki przypięte pinezkami wśród fotografii, wspomnienia z podróży, książki i cała czuła otoczka – wszystko to, co stanowiło jej emocjonalne i chronologiczne dziedzictwo – przemykało jej przed oczyma, jakby znalazła się u jakiejś nieznajomej. Właśnie traciła część siebie.

Tkaniny wpadały do walizki z przygnębiającą powolnością, nawet głos Thomasa docierał do niej po nienaturalnie długiej chwili.

Każdy zmysł przytłaczał fragment morderstwa, które właśnie popełniła.

Na języku czuła smak błota.

W nosie zapach krwi.

Na widok pokoju nakładał się obraz przerażonej twarzy tamtego mężczyzny.

Akt świętokradztwa, jakiego dopiero co się dopuściła, układał się bez przerwy niczym puzzle na ołtarzu jej sumienia.

Wkrótce przestała nad czymkolwiek panować, stając się

biernym więźniem własnych ruchów.

Nie było już nic oprócz jej ruchów i głosu Thomasa gdzieś w oddali, jakby za warstwą waty, tłumiała go jednak za swoim pancerzem, z każdą minutą stając się bardziej samotna.

Nagle zdała sobie sprawę, że idzie ulicą z kotem w ramionach, podążając za Thomasem, który wstawił do bagażnika peugeota 206 jej walizkę i własną torbę sportową, przyniesioną wcześniej tego wieczoru. Trzymał w dłoni kluczyki i usiadł za kierownicą.

Krajobraz migał za szybą, również zawieszony między dwoma światami. Światem pozorów, hermetycznych fasad, i tym przezroczystym, który przesunął się za oknem... Przed sklepem kolonialnym rozprawiała o czymś grupka facetów, każdy z butelką wina w dłoni. Nieco dalej, na czerwonym świetle, czekała para czterdziestolatków trzymających się za ręce. Jakaś nastolatka prowadziła psa, wpatrując się w niebo. Stara kobieta maszerowała z trudem, ze wzrokiem wbitym w pustkę.

Ku ulotnej nieskończoności swojego istnienia.

Wreszcie po twarzy Yael popłynęły łzy.

Jej powieki otworzyły się powoli.

Była wyczerpana. Jej zdrętwiałe ciało leżało nieruchomo pod pościelą.

W pokoju, którego nie знаła, panował nocny mrok. Był wyposażony w podstarzałe meble bez ozdób.

Odwróciwszy głowę, spojrzała na budzik, którego cyfry

świeciły na czerwono.

4:18

Wyprostowała się i zapaliła lampkę wiszącą nad stolikiem nocnym.

Kardec, zwinięty w kłębek w nogach łóżka, miauknął z dezaprobatą w kierunku światła, które wyrwało go z krainy snów.

Leżący w bliźniaczym łóżku Thomas natychmiast otworzył oczy. Jego źrenice zastygły w bezruchu, zatopione w królestwie marzeń sennych, zanim naprawdę wypłynął.

– Nie martw się – powiedział zaspanym głosem. – Jesteśmy w hotelu.

Powoli skinęła głową, nic nie rozumiejąc.

– Ale gdzie? Ale gdzie? – powtarzała tępo.

Thomas prześliznął się na jej stronę i wyciągnął nagie ramię. Poglaskał ją po włosach.

– Odpręż się, teraz musisz spać.

Yael położyła się z powrotem.

– Co się z nami dzieje? – zapytała, nadal odrętwiała.

– Porozmawiamy o tym jutro.

Na wpół pogrążona we śnie, wybelkotała:

– Chcę... Chcę... zapomnieć. Żeby to wszystko...

Thomas nie przestawał delikatnie zanurzać palców w jedwabistych włosach dziewczyny.

– ... w ogóle się... nie zdarzyło.

Kiedy zasnęła, Thomas pogrążył się w zadumie nad tym

szalonym dniem i jego konsekwencjami. Wypiwszy kilka łyków wody prosto z butelki, spojrzął na stół, gdzie leżała czarna świeca, którą przyniósł w rękawie koszuli.

Stanowiła dystans, którego im brakowało.

Sposób przejścia do działania.

Wystarczyło skłonić ją do mówienia.

CZEŚĆ DRUGA

KRÓLESTWO TEORII

Blog Kamela Masira. Fragment czwarty

Wspominałem o powiązaniach między mieszkańcami Białego Domu a imperiami finansowymi, istnieje jednak pewna grupa, o której w gruncie rzeczy niewiele się mówi. Być może dlatego, że tak naprawdę niezależna prasa w Stanach Zjednoczonych nie istnieje, w pozostałych częściach świata zaś jest jej coraz mniej. Wszystkie gazety i stacje telewizyjne o dużym zasięgu należą do koncernów, którymi zarządzają miliarderzy kierujący się niewątpliwie interesami politycznymi i strategicznymi.

Pozostaje faktem, że Bush był członkiem rady nadzorczej koncernu Carlyle, w którym pracował jego ojciec, Bush senior, a którym kierował niejaki Frank Carlucci, były wicedyrektor CIA i sekretarz obrony za Reagana. Przy trzynastu miliardach dolarów aktywów i szesnastu miliardach dolarów rocznego zysku, koncern ten stanowi najważniejszy prywatny fundusz inwestycyjny Stanów Zjednoczonych. Jeśli skupimy się przez chwilę na Carluccim, stwierdzimy, że jest on podejrzany o ułatwienie przejęcia władzy generałowi Mobutu, jednocześnie będąc zamieszany w zabójstwo jego rywala, Patrice'a Lumumby. Po zakończeniu kariery politycznej i, jak mówią złe języki, po naszpikowaniu rządu wtykami, Carlucci wkracza w świat interesów, głównie zbrojeń i ubezpieczeń, via Sears World Trade z jednej strony (które w 1986 roku ogłasza bankructwo, gdy tymczasem wybucha skandal; Sears World Trade służyło bowiem jako przykrywka dla nielegalnych operacji przeprowadzanych przez tajne służby), z

drugiej zaś via Wackenhut, prywatne towarzystwo ubezpieczeniowe, którego wątpliwa reputacja świadczy o tym, że służy ono jako parawan dla CIA i że ma powiązania ze skrajną prawicą amerykańską. W ciągu zaledwie czterech lat Carlucci, nim objął fotel prezesa koncernu Carlyle, zostaje miliarderem). [Chociaż to absolutnie nie umniejsza wszystkich jego powiązań ani tego, czego mógł dokonać w koncernie Carlyle w ciągu blisko piętnastu lat, Carlucci ustępuje w końcu miejsca Louisowi Gerstnerowi, byłemu szefowi IBM, prawdopodobnie z powodu polemiki, która stawała się zbyt ostra, mimo że nigdy nie podano tego jako oficjalny powód. Gerstnerowi, który zajmował bardzo poważne stanowisko w American Express, RJR Nabix (przemysł tytoniowy!) oraz McKinsey & Company (znana również jako „Firma”, która zajmuje się doradztwem w dziedzinie zarządzania, a jej klientami są trzy spośród najpotężniejszych spółek światowych i dwie trzecie z tysiąca największych spółek amerykańskich!)... jednym słowem - człowieka mającego wpływy i koneksje, rozwijającego się wśród osób tworzących gospodarkę Ameryki, a nawet świata. W 1997 roku zapowiedział, że będzie stał na czele IBM aż do sześćdziesiątki. Po czym objął szefostwo nad koncernem Carlyle dokładnie w wieku sześćdziesięciu lat... Niezły czas. Jak podkreślił „Business Week”, *Carlyle gmatwa teorie spisku...* (przyp. autora).]

W przededniu wyborów George W. Bush podpisał z koncernem Carlyle wart dwanaście miliardów dolarów kontrakt zbrojeniowy na nowy system artylerii, chociaż wszyscy eksperci z Pentagonu uznali, że jest nieadekwatny do potrzeb.

Jeszcze dziwniejsza rzecz: rankiem 11 września 2001 roku, dokładnie w chwili, gdy pierwszy samolot uderzył w World Trade Center, w Waszyngtonie rozpoczęło się doroczne posiedzenie akcjonariuszy Carlyle'a. Uczestniczy w nim rodzina bin Ladena, która zainwestowała pieniądze w ten koncern. (Zdecydowanie liczba powiązań między amerykańskim rządem, przemysłowcami a Arabią Saudyjską jest zdumiewająca!). Dwa dni później, mimo że ruch powietrzny jest całkowicie sparaliżowany, terytorium amerykańskie opuszcza samolot mający specjalne zezwolenie. Samolot ten przewozi na swoim pokładzie członków rodziny bin Ladena do Arabii Saudyjskiej. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby ich przesłuchać. Co gorsza, aby maszyna mogła wystartować, było potrzebne pozwolenie z samej góry...

To niezaprzeczalne fakty – wystarczy sprawdzić.

Jeśli człowiekowi wiadomo, że rodzina bin Ladena płaci Colinowi Powellowi dwieście tysięcy dolarów za piętnastominutową konferencję na uniwersytecie w Bostonie, na dodatek na tydzień przedtem nim został on sekretarzem stanu, człowiek zaczyna sobie zadawać pytania.

Trzeba sobie uświadomić, że Saudyjczycy stanowią integralną część gospodarki amerykańskiej i że posiadają w tamtejszych bankach prawie tysiąc miliardów dolarów! Zainwestowali we wszystko, głównie w imperia mediów, takie jak AOL Time-Warner. Są wszędzie. Idą ręką w rękę z amerykańskimi przemysłowcami.

Pierwszy punkt zatem: istnieją nierozzerwalne więzy między

koncernami przemysłowymi, amerykańskim rządem a rodzinami saudyjskimi.

Drugi punkt: teoria demaskuje spisek.

Był to poniedziałkowy poranek przypominający następny dzień po zbyt suto zakrapianej imprezie.

Yael miała ciężką głowę i zeszywniałe ciało.

Jeśli sen zasnuł wczorajsze potworności woalem oddalenia (wcale zresztą nie przynosząc ulgi), pozwolił jej przynajmniej zaakceptować okoliczności, które zmniejszyły jej winę. Obudziwszy się wcześniej rano, przeprowadziła długą rozmowę z Thomasem.

Cały czas podkreślał znaczenie obrony, usprawiedliwiający popełniony przez nią czyn, który ocalił jej życie.

W końcu padło słowo, które tak bardzo przerażało Yael, że musiał ją uspokoić: policja.

Chciała pójść na posterunek, wszystko wyjaśnić, usprawiedliwić swój czyn, krzyczeć na całe gardło, że nie zrobiła tego celowo, że wcale nie pragnęła śmierci tamtego człowieka. Że po prostu się broniła.

Thomas milczał przez chwilę, po czym zapytał, co zamierza powiedzieć policjantom, którzy będą ją przesłuchiwać.

Cienie w lustrze. Słowa w wyłączonym komputerze i cała reszta – jak mogli udowodnić to wszystko?

Nic. Tylko słowa Yael.

– Jedyne dowody, jakimi dysponujesz – podkreślił z naciskiem – to banknot jednodolarowy z twoimi odciskami palców i czarna świeczka. To niewiele. – Położył dłoń na kolanie Yael. – Jestem pewien, że rozwiązanie wszystkich tych osobliwości znajduje się

bardzo blisko, wystarczy poszukać we właściwym miejscu. Może ta świeczka nam pomoże.

– Jak? – zapytała.

– Zrobimy małe zakupy – odparł z uśmiechem.

Wyszli. Ich hotel znajdował się przy Porte de Versailles, naprzeciwko ogromnej kopuły Pałacu Sportów. Krążyli po ulicy Vaugirard, po czym wstąpili do sklepu dla majsterkowiczów, gdzie Thomas kupił klej, następnie zaś udali się po kolejne sprawunki, głównie artykuły żywnościowe, za które mężczyzna uparł się zapłacić.

W drodze powrotnej przygnębiona Yael podskakiwała na każdy głośniejszy warkot silnika. Widząc, że zacięła się w milczeniu, Thomas postanowił wyjaśnić sytuację.

– Teraz, skoro mamy trochę czasu, muszę się przed tobą wytłumaczyć z tego, co zrobiłem wczoraj po południu.

Ponieważ nie odpowiedziała, mówił dalej:

– Poszedłem za tym facetem aż do metra obok biblioteki. Chciałem się przekonać, co on knuje, ale on mnie od razu namierzył i zaczął wiać. Pobiegłem za nim, ale to się źle skończyło. Jedno jest pewne: gość wiedział, co robi. Namierzył mnie w jednej chwili, miał cholernie dobrą kondycję i ani na moment nie stracił zimnej krwi. Przeciwnie: on wcale nie pobiegł byle gdzie, tylko podprowadził mnie do metra, gdzie czekał jego wspólnik. Kiedy się zorientowałem, byłem uziemiony w wagonie.

Na wzmiankę o mężczyźnie, którego zabiła, Yael zakręciło się w głowie. Oczy zaszyły jej mgłą.

– Przysunęli się do mnie – ciągnął Thomas, który niczego nie zauważył – i ten pierwszy powiedział, żebym pilnował własnego nosa. Że ciekawość to bardzo brzydka rzecz i że już oni się postarają, żeby mi się odechciało węszyć. W tym czasie pociąg dojechał do następnej stacji. Na linii numer czternaście drzwi otwierają się automatycznie, skorzystałem więc z tego i wyskoczyłem z wagonu, wrzeszcząc do nich – odegrał całą scenę napastliwym głosem: – „No, chodźcie! Chodźcie przerobić mi buźkę przed kamerami! Chętnie nagram to na wideo!”.

Próbował się roześmiać, spod maski pewności siebie ciągle jednak wyzierało wzburzenie.

– Wtedy do nich dotarło, że jeśli wyjdą z wagonu, wpadną wprost pod obiektywy kamer bezpieczeństwa, tylko że wcale nie mieli ochoty na taką reklamę. Potem pojechałem do Saint-Denis, żeby zabrać kilka rzeczy. Miałem nadzieję, że uda mi się do ciebie wprosić, dopóki nie zrozumiem, co się dzieje. Przyszedłem wczesnym wieczorem, zapukałem do drzwi i usłyszałem twój krzyk. Resztę już znasz.

Zbliżali się właśnie do hotelu Mercure. Przyjrawszy się ciągle milczącej Yael, Thomas dostrzegł na jej twarzy łzy. Postawił torby na ziemi i chwycił ją za ramiona.

– Wiem, że wszystko zważyło się jednocześnie – przyznał łagodnie. – Ale akurat teraz musisz być silna. Ci ludzie to byli prawdopodobnie zawodowcy. Mieliśmy niesamowite szczęście, że udało nam się z tego wyjść cało i, szczerze mówiąc, uważam, że gdybyś się zawahała i tego nie zrobiła, w tej chwili to ty leżałabyś w błocie. Rozumiesz? Yael, spójrz na mnie.

Popatrzyli sobie w oczy.

– Obraz, którym tak się zadrezczasz – szepnął stanowczym głosem – uratował ci życie! Może wolałabyś tam zostać? Właśnie tego byś chciała? Skończyć tak jak on, znaleźć się na jego miejscu? Bo wierz mi, on nie zawahałby się ani przez sekundę! Wbij to sobie do głowy. Albo on, albo ty. Kropka!

Przełknęła ślinę, po czym skinęła głową na znak, że rozumie, że się z nim zgadza. Przetrawienie tego to była zupełnie inna sprawa, która wymagała czasu. „O ile to w ogóle możliwe” – pomyślała.

Thomas z powrotem złapał torby.

– Jak na razie najważniejsze to trzymać się razem. Kto chce cię skrzywdzić? Dlaczego? Właśnie tego spróbujemy się dowiedzieć, żeby policja ci uwierzyła. Wyciągniemy cię z tego, zgoda?

Kiedy zdołała się uśmiechnąć, pocałował ją w czoło.

Gdy znaleźli się w holu, wjechali na czwarte piętro i otworzyli drzwi do pokoju.

Ułożywszy zakupy w minibarku, Yael wrzuciła Kardecowi paszteciki do nowej miski, podsypała mu ściółkę do kuwety i wyjęła czyste ubranie.

– Idę wziąć kąpiel, żeby się odprężyć – oznajmiła.

Zjawiała się godzinę później, wyprostowana i zdeterminowana. Thomas z trudem rozpoznał w niej kobietę, którą musiał uspokajać przez cały ranek.

Leżąc w pianie, Yael siłą przywołała obraz całej sceny, zmuszając się do obejrzenia strasznej sekwencji, aż wreszcie odwróciła

role. Zastąpiła twarz mężczyzny swoją, patrząc, jak umiera, podczas gdy on czyhał na jej cierpienie, z tą swoją ordynarną gębą, z zimnym i okrutnym wzrokiem, zadowolony, że wykonał zadanie. Przecież w tym właśnie celu przybył do katakumb. Żeby ją zabić. To on był uzbrojony, a nie ona. Thomas miał rację: ona była ofiarą, która przeżyła, a nie morderczynią. To on spowodował własną śmierć.

– Co zamierzasz zrobić ze świeczką? – zapytała z zupełnie nową energią.

Zaskoczony nieoczekiwaną zmianą, Thomas odpowiedział dopiero po pięciu sekundach:

– Ee... sprawdzić, czy nie ma na niej odcisków palców. I modlić się, żebym je znalazł.

Wskazał biurko w kącie pokoju.

Odciał wcześniej dno od plastikowej butelki. Pięć centymetrów wyżej wyłobiał poziome nacięcie, umieścił w nim łyżeczkę do kawy, której rączka wystawała w dwóch trzecich z drugiej strony. Tuż pod spodem paliła się świeczka, której płomień lizał łyżeczkę. Przywiązawszy do wiszącego sznurka czarną świeczkę, Thomas zakorkował butelkę.

– Ta ciecz to superglue – wyjaśnił. – Cyjanoakryl. Dokładnie tej samej substancji używa się w laboratoriach kryminalistycznych do zdejmowania odcisków palców techniką odymiania. Na przykład w kabinie samochodu zamiast rozsypywać wszędzie proszek, zamyka się szyby i odymia całe wnętrze cyjanoakrylem, żeby pojawiły się odciski palców. Zobaczysz, kiedy klej osiągnie temperaturę pięćdziesięciu

stopni, zacznie wrzeć, a uwolnione substancje chemiczne osadzą się na aminokwasach, kwasach tłuszczowych i białkach zawartych w odciskach palców, jeśli takie są.

– Gdzie się tego nauczyłeś?

– Przecież jestem dziennikarzem, nie? – odparł, udając tajemniczego. – Kilka miesięcy temu pracowałem z jednym facetem z laboratorium kryminalistycznego, robiąc reportaż na temat ich metod pracy. A to, co właśnie usiłowałem tu odtworzyć, to mała komora dymna.

– Jeśli się uda, co zrobimy? Zaniesiemy to glinom?

Gwałtownie potrząsnął głową.

– Nie. Skontaktuję się z tym przyjacielem i poproszę go w ramach przysługi, żeby przepuścił odcisk przez Automatyczny System Identyfikacji Daktyloskopijnej w nadziei, że naprowadzi nas to na jakiś interesujący ślad. Inaczej trzeba będzie znaleźć coś innego. Kiedy tylko zdobędziemy pewność, że mamy wystarczająco dużo informacji, aby przekonać policję, że pewni ludzie usiłują ci zaszkodzić i że nie jesteś słodką idiotką, razem pójdziemy na komisariat.

– Wziąłeś pod uwagę możliwość, że nic nie znajdziemy? Że nic nie udowodnimy?

– Nie zaczynaj przynosić nam pecha.

– Czyżbyś był przesądny? – zadrwiła, pragnąc stłumić niepokój, który znów zaczął w niej narastać.

– Mam w sobie irlandzką krew po ojcu – odrzekł, pochylając się nad plastikową butelką. – Irlandia i przesądność to pleonazm.

Wnętrze stopniowo mętniało, przybierając mleczny odcień.

Thomas otworzył sobie butelkę mrożonej herbaty, nie spuszczać z niej oka.

– Dlaczego akurat ten hotel? – zapytała znienacka, jakby wreszcie dotarło do niej, gdzie się znajduje.

– Bo jest wygodny i stoi w bardzo ruchliwej dzielnicy. Właśnie w halach wystawowych i w Pałacu Sportów będziemy mniej się rzucać w oczy. A poza tym tak jest praktycznie: bez względu na to, czy człowiek chce wjechać do miasta ulicą Vaugirard, która przechodzi prawie przez wszystkie dzielnice aż do Ogrodu Luksemburskiego, czy też wyjechać zeń obwodnicą, wszystko jest możliwe w ciągu jednej chwili.

Zjedli kanapki domowej roboty, cierpliwie czekając. Leżący na grzbiecie z łapami w górze Kardec bawił się tymczasem paczką surimi, napełniając pokój odrobiną wesołości i niewinności.

Chociaż proces chemiczny trwał już od godziny, czarna świeczka ciągle tkwiła w swojej przezroczystej skorupie.

Na wosku pojawiły się dziesiątki maleńkich bruzd nawzajem się przeplatających. Odciski palców tworzyły wypukłe kiście.

Dziennikarz przykleił nos do plastiku.

– Te niewyraźne plamy, które widzisz na górze, na pewno są moje. Za to mogę kategorycznie stwierdzić: nie dotknąłem niczego poniżej. – Posłał Yael uspokajające spojrzenie. – Teraz pozostaje nam tylko wierzyć we własne szczęście i w to, że nasz ustawiacz świeczek jest w kartotece policyjnej.

Z głośników popłynął młodzieńczy głos Cyndi Lauper. Śpiewała *Time after time* w samochodzie Yael.

Ona zaś siedziała właśnie za kierownicą i mordowała piosenkę, wypowiadając co drugie słowo – to, które jej się akurat przypomniało. Zaparkowawszy przy quai de l’Horloge, czekała na Thomasa na Ile de la Cite, wśród wysokich haussmannowskich kamienic z jednej strony i szeregu starych latarni ciągnących się wzdłuż Sekwany z drugiej, w oddali zaś miała widok na dachy Luwru.

Muzyka była przebojem w okresie dorastania Yael. Przypominała czasy niepozbawione wątpliwości, obaw i złości. Co tak naprawdę zmieniło się od tamtej pory? Motywy pretensji i lęków i, rzecz jasna, ciężar odpowiedzialności. Yael nie żałowała jednak minionych lat w przeciwieństwie do niektórych przyjaciółek, wychwalających zalety tej utraconej beztroski. Ona w to nie wierzyła. Stworzyła sobie własną definicję wieku. Jej zdaniem starzeć się oznaczało łagodzić kontury przeszłości, spojrzeć pod innym kątem na swoje wspomnienia. „Dobrze się zestarzeć” – to z kolei umieć nie hodować w sobie zbyt wielu koleców, zbyt wielu zadr, które mogą pokaleczyć duszę. I to nie po to, żeby upiększyć własny wizerunek w cudzych oczach albo okłamywać samego siebie, lecz dlatego, że zapominanie o własnych ranach to najlepszy sposób, by pogodzić się ze starością.

W bramie dziewiętnastowiecznej kamienicy pojawił się

Thomas; trzymał w dłoni szarą kopertę.

Poszedł się zobaczyć ze swoim przyjacielem policjantem, aby ten pomógł mu ustalić, do kogo należą odciski palców zdjęte ze świeczki.

Yael przyjrzała mu się uważnie, usiłując odgadnąć, czy jest zadowolony, czy też przybity. Nie dał po sobie nic poznać. Nie mogąc się doczekać, pochyliła się i otworzyła mu drzwi.

– No i co? – wrzasnęła, przekrzykując muzykę, którą czym prędzej wyłączyła.

– Ty też staniesz się przesadna – rzucił, wsiadając do samochodu. – Mamy... szczęście.

Zatrzasnąwszy drzwi, wysypał sobie na kolana zawartość koperty.

Świeczka spoczywała w plastikowej torebce, do której był przypięty cienki stosik kartek. Thomas zaczął czytać na głos to, co było na nich napisane.

– „Olivier Languin, notowany za posiadanie broni bez pozwolenia, uszkodzenia ciała, stwarzanie zagrożenia...” – Popatrzył w oczy Yael, uśmiechając się z zadowoleniem. – Jednym słowem: dobry klient. Skoro ma taką kartotekę, nikt mi nie wmówi, że jego odciski palców znalazły się tu przypadkowo. Mój przyjaciel zadzwonił do jednego gliny, który go zna, bo sam go przyskrzypił dwa razy. Jego zdaniem Languin to szczywany lis, który maczał palce w sporej liczbie lewych interesów, nie dając się złapać, ale to tylko płotka. Raczej w rodzaju tych, których werbuje się do mokrej roboty, a nie mózg

operacji.

– Zaraz, zaraz, czegoś tu nie kumam... Nie rozumiem, jaki jest związek między tym całym Languinem a Cieniami, które pojawiają się w lustrach. Jak to możliwe?

– Nie mam pojęcia. Widzę tylko faceta, który ma zwyczaj zatrudniania się przy podejrzanych interesach i który usiłował zaciągnąć cię do paryskich katakumb.

– Sądysz więc, że pracuje dla kogoś?

– Głowę daję, że tak.

Yael zagłębiła się w fotelu, opierając obie dłonie na kierownicy.

– Mam tutaj wszystkie potrzebne informacje – ciągnął Thomas, potrząsając dokumentami. – Adres, zawód...

– To on ma oficjalną pracę?

– Tak... Pracuje w...

Thomas zaczął przerzucać kartki i nagle spuścił głowę z rozdziawionymi ustami.

– Co się stało? – zaniepokoiła się Yael.

– On... pracuje w fabryce produkującej lustra.

Yael zeszywniała.

– Gdzie?

– Ee... W Pantin, w pobliżu kanału l'Ourcq.

Yael przekręciła kluczyk w stacyjce, po czym silnik jej peugeota 206 natychmiast ruszył z kopyta.

Wzdłuż drogi, pod lśniącym okiem geody, rozciągało się

miasteczko nauki i przemysłu ze stali i szkła – La Villette.

Samochód pędził obwodnicą górującą nad północnowschodnim Paryżem.

Skręciwszy w prawo, przejechał przez Porte de Pantin, po czym wtopił się w sznur pojazdów, które w samym środku popołudnia oddalały się od stolicy.

– Powinnaś zwolnić, to nie jest odpowiednia chwila, żeby nas zatrzymali – ostrzegł trzymający się kurczowo klamki Thomas.

– Wyjmij plan ze schowka na rękawiczki – odparła Yael.

– I pokaż mi drogę na miejsce.

Thomas przestał się upierać i zajął do schowka.

– Nie uważasz, że to zbyt łatwe? – zapytała Yael, stając na czerwonym świetle.

– Niby co?

Zrobiła nieokreślony ruch ręką.

– To... że mieliśmy szczęście i znaleźliśmy odciski palców, które na dodatek pasują do notowanego mężczyzny. Czy to nie jest trochę... zbyt proste w stosunku do tego, co przeżyliśmy?

– Aha, więc twoim zdaniem to łatwe? – zdziwił się Thomas. – Tylko że trzeba było wpaść na pomysł ze świeczką, zdjąć odciski palców, mieć możliwość ich analizy... Nic więcej! Tylko że to wcale nie jest łatwe. Ale my o tym pomyśleliśmy, ot co! A zresztą nie ma nic dziwnego w tym, że facet jest notowany, przeciwnie, byłoby dziwne, gdyby nie był. Wyobraź sobie, że chcesz zatrudnić typa od mokrej roboty, czy zwrócisz się z tym do twojego bankiera, piekarza albo

kelnera, który podaje ci kawę? Nie, poszukasz kryminalisty, zawodowca.

– Jeśli spojrzeć na to z tej strony...

Wcale się nie pomylił. Przecież nie trafiła do filmu, w którym każdy mógł być płatnym mordercą.

Kiedy światło zmieniło się na zielone, Yael wcisnęła pedał gazu.

Niebieski peugeot lawirował po labiryncie wąskich i krętych uliczek, nim wjechał do przemysłowej dzielnicy, w której część budynków była opuszczona, otaczające je zaś tereny leżały odłogiem.

Skręciła w zaułek kończący się kanałem l’Ourcq. Po lewej stronie ciągnęła się rampa załadunkowa dla naczep, prawą zaś zajmował mur przedzielony pośrodku otwartą bramą. Za murem wyłoniła się zniszczona dwupiętrowa budowla, zajęta w dwóch trzecich przez blaszany magazyn.

– Zaparkuj tam – polecił Thomas, wskazując wnękę na początku uliczki. – Teraz musimy obrać właściwą strategię.

– Masz jego zdjęcie?

Thomas poszperał w dokumentach i podał jej odbitkę ksero. Chociaż nie była najlepszej jakości, dało się rozróżnić mężczyznę o okrągłej twarzy, gęstych wąsach i bujnej czuprynie. Na wydruku wydawało się, że ma bardzo grube, jakby spuchnięte powieki.

– Parszywa gęba – stwierdził Thomas.

– Mam nadzieję, że tam będzie.

– Jest – zapewnił dziennikarz.

– Skąd wiesz?

– Według moich informacji jeździ czerwonym fiatem. Tym, który tam stoi – dodał, wskazując samochód brodą.

– Zostaniesz tu na czas...

– Mowy nie ma!

Thomas oparł głowę o zagłówek.

– Ten cały Languin jest niebezpieczny, Yael.

– I ma taki czy inny związek ze wszystkim, co mi się przydarza. Możesz więc sobie mówić, co chcesz, a i tak ledwie przekroczysz ten próg, będę ci deptać po piętach.

Thomas przesunął językiem po zębach, z trudem hamując rozdrażnienie.

– Dobrze – powiedział wreszcie. – Ale trzymasz się z tyłu.

Wydostawszy się z peugeota, Yael zmieniła plan:

– Nie będziemy ryzykować, że zwieje, kiedy nas zobaczy. Ty pójdiesz do magazynu, a ja zajmę się biurem. Ten, kto go pierwszy zauważy, zaczyna wrzeszczeć.

– To nie jest dobry pomysł.

Yael zaczęła się już oddalać zdecydowanym krokiem.

– Ale to mój pomysł. Jesteś przesadnym Irlandczykiem? A ja upartą Bretonką...

Kiedy przekroczyła próg, usłyszała, jak Thomas burczy pod nosem:

– Co mają do tego Bretończycy...

Yael przemierzała dziedziniec fabryki tak pewnym i stanowczym krokiem, jakby tu pracowała.

Mijając czerwonego fiata, pochyliła się, żeby sprawdzić, co ma w środku. Zauważyła po drodze, że tylna szyba jest opuszczona o jakieś dziesięć centymetrów, drzwi od strony pasażera zaś niezablokowane, o czym świadczyła pozycja klamki.

Ideąłem byłoby umieścić gdzieś nadajnik, aby móc go śledzić na bieżąco. Śmiała się z samej siebie, zbliżając się do zewnętrznych schodów wiodących do biur, które znajdowały się nad magazynem.

„To prawda, że kobieta nigdy nie powinna wychodzić bez GPS-u! Dzięki temu mogłaby namierzyć przystojnych facetów...”

W miarę jak wspinała się po stopniach, w jej głowie kielkowała coraz mocniej pewna myśl.

Przypomniała sobie nagle pracę opiekunki do dzieci w Anglii oraz sposób, jakim posłużyła się pewna matka, żeby mieć na oku swoją nastoletnią córkę. Child Locate. Otóż pozwalał on rodzicom, by za pośrednictwem telefonu komórkowego dziecka mogli w każdej chwili sprawdzić, gdzie ono się akurat znajduje, dzięki technologii GSM, nawet jeśli aparat był wyłączony. Wystarczyło proste podłączenie do Internetu i abonament, aby zobaczyć na ekranie plan miasta i czerwony punkt oznaczający komórkę.

Yael już zaczęła żałować, że nie może położyć łapy na telefonie Languina. Prędko zamieniłaby go w szpicla.

Dotarłszy na górę, nie zadała sobie nawet trudu, żeby zapukać, tylko od razu weszła do środka. Wzdłuż korytarza biegły dwa rzędy drzwi, te na końcu zaś były otwarte i prowadziły do pokoju, w którym Yael spostrzegła sofę, dystrybutor napojów i plastikowe rośliny, czyli wszystko to, czym charakteryzuje się typowe pomieszczenie socjalne. Na całej długości znajdowały się ogromne okna, przez które można było zajrzeć do środka olbrzymiego hangaru.

Yael przemierzyła korytarz, pozwalając sobie na krótki rzut oka na każde mijane biuro. Teraz, kiedy tu trafiła, uświadomiła sobie całą głupotę własnej bez troski i uporu. Co zrobi, jeśli stanie oko w oko z Languinem? Prawdopodobnie on zna jej twarz, wiedziałby, że został zdemaskowany, a przecież to człowiek, który nie stronił od przemocy.

„W jakie bagno znowu się wpakowałam, co?”

Po chwili wróciła do poprzedniego wątku swoich rozmyślań – do tego, co się w niej zmieniło od czasów młodości. „Nic. Ciągłe jesteś tak samo głupia i ograniczona”.

Kiedy doszła do pomieszczenia socjalnego, zaczęła się wpatrywać w widok ponad setkami palet. Między kolumnami worków z piaskiem przeciskał się wózek widłowy marki Fenwick, z zamiarem załadowania drewnianej skrzynki.

Dno magazynu lśniło w słońcu niczym diadem.

O regały stały oparte lustra we wszystkich możliwych kolorach i wymiarach.

Yael przebiegł dreszcz.

Przed największym z nich przemknął cień.

„To jakiś mężczyzna krążący po alejce” – uspokoiła samą siebie.

Na dole dostrzegła pięć zajętych czymś osób. Ani śladu Languina.

Nagle rozpoznała Thomasa, wchodzącego właśnie przez jedne z drzwi, przez które przedostawało się światło dnia.

Po czym obróciła się na pięcie akurat w chwili, gdy w jednym z biur zadzwonił telefon.

Nie od razu jednak zwróciła na to uwagę.

Wtem na migoczącym przed jej oczyma ekranie monitora pokazała się strzałka.

Thomas przemierzał alejki między stosami palet wysokimi na cztery do pięciu metrów.

Po drodze minął go krępy mężczyzna, brzuchaty rudzielec około czterdziestki, trzymający w dłoni czarne pudełko, coś w rodzaju palmtopa, na którym odliczał towary za pomocą rysika.

– Przepraszam pana – zaczepił go Thomas. – Szukam Oliviera Languina. Nie wie pan, gdzie go mogę znaleźć?

Rudzielec pokręcił głową.

– Nie widziałem go dzisiaj, ale wiem, gdzie teraz jest. Proszę zajrzeć do szkła, tędy...

– Niech no pan powie, dobrze pan zna Languina?

– A bo co? Pan jesteś z policji?

Thomas rozciągnął usta w krzywym uśmiechu.

– Nie. Od dawna tu pracuje?

– Trzy albo cztery miesiące, to szef go zatrudnił. Czego pan od niego chce?

– Nic złego – rzucił Thomas odchodząc.

Robotnik patrzył za nim z powątpiewaniem.

Thomas powoli sprawdził wszystkie alejki, przyjrzał się dokładnie każdemu mijanemu pracownikowi, których zresztą było niewiele. Wolał nie ryzykować w najmniejszym stopniu, przede wszystkim zaś nie dopuścić do tego, żeby on i Languin zetknęli się z sobą bezwiednie i aby powiedziano mu, że ktoś go szuka.

Przynajmniej był spokojny, że Yael nie idzie obok niego... Wolał mieć pewność, że jest w biurze, gdzie istniały niewielkie szanse na natknięcie się na Languina, skoro ten jest magazynierem.

Czuł jednak, że ona jeszcze może go zaskoczyć. Jej reakcje nigdy nie były takie, jak się spodziewał. Rano przybita, po południu już tryskała energią jak gejzer. To było niczym rykoszet. Powinien jej pilnować przez najbliższe godziny.

Nagle rozsunęły się z ciężkim skrzypieniem drzwi, wpuszczając do środka ostre słońce. Thomas zasłonił oczy, usiłując oswoić wzrok ze światłem.

Tymczasem na zewnątrz jacyś mężczyźni wyładowywali z ciężarówki szklane płyty.

Próbował namierzyć Languina, ale bez powodzenia. Aż wreszcie zobaczył człowieka, przed którym otworzyły się drzwi. Pchał przed sobą wózek transportowy, na którym leżał olbrzymi szklany prostokąt. Miał zniekształconą twarz, jakby pływał w basenie. Te ordynarne rysy, gęste wąsy i okrągła głowa nie były jednak obce Thomasowi.

Olivier Languin.

W chwili, gdy obaj mężczyźni zastygli, mierząc się wzrokiem, Thomas rozpoznał krótkie wahanie myśliwego, który dostrzegł zwierzyne. Wiedział, że tamten zaraz zaatakuje.

– Proszę zaczekać! – zawołał dziennikarz. – Musimy porozmawiać.

Wózek gwałtownie ruszył naprzód.

Znajdujące się trzy metry wyżej niebo runęło na Thomasa.

Dziennikarz odskoczył do tyłu, potknął się i uderzył o ziemię w tym samym momencie co szklana tafla, która roztrzaskała się na tysiąc migoczących drobinek, zasypując nimi całe jego ciało.

Nie zważając na odpryski, które wbijały mu się w przedramiona, Thomas zerwał się na równe nogi, napięty niczym cięciwa kuszy. Languin zaś oddalił się pędem.

Odepchnąwszy jakiegoś mężczyznę, który przyszedł sprawdzić, co się stało, Thomas rzucił się na stos palet.

Languin skręcił między dwa ciasne rzędy, Thomas zaś pomknął za nim. Ścigali się przez minutę po słabo oświetlonym labiryncie, ocierając się o ścianę, wyłaniając się na chwilę spomiędzy stert worków z piaskiem, przeskakując ponad wózkami, aż wreszcie Thomas wypadł z ciasnego zakrętu na oślep na otwartą przestrzeń. Po przestępcy nie było śladu. Nigdzie.

Większą część miejsca zajmowały zapasy szkła.

Thomas przestał biec i ruszył wolniej, zdyszany. Czujnie rozglądał się dokoła, spodziewając się, że tamten zaraz się pojawi.

Kryjówek tutaj nie brakowało, toteż z każdym krokiem mijał jedną z nich.

Przed nim piętrzyły się dziesiątki luster, w ich srebrnej powierzchni zaś odbijał się blaszany magazyn.

Wystarczyła sekunda nieuwagi, by usłyszał silnik fenwicka dopiero w ostatniej chwili.

Jego stalowe widły sunęły niczym kły szarżującego słonia.

Odruchowo przycisnął ramiona do boków, aby się na nie nie nadziać, po czym cofnął się dwa metry pod jego naporem, dopóki nie uderzył plecami o stos kartonów.

Widły przebiły zgromadzone za nim towary, roztrzaskując szyby na szerokie tafle, które zaczęły opadać wokół niego niczym gilotyny.

Yael przystanęła na progu biura, żeby zastanowić się nad tym szalonym pomysłem, który tłukł jej się po głowie. Jednym susem dopadła do klawiatury, chcąc sprawdzić, czy komputer jest podłączony do Internetu. Upewniwszy się, że tak, zaczęła wpisywać w *Google* słowa-klucze, usiłując znaleźć jakąś francuską stronę stanowiącą odpowiednik angielskiego Child Locate.

Ootay.

Na stronie głównej Ootay wychwalano zalety pilnowania dziecka za pomocą telefonu komórkowego w każdym zakątku Francji, umieszczono także interesujący cennik opłat. Yael przeszła zatem na stronę, gdzie można się było zapisać.

Umieściwszy fałszywe dane w rubryce „Nazwisko i imię”, podała adres mejlowy, którym posługiwała się na czacie w Meeticu, stronie dla samotnych mających trudności z randkami, a także wpisała numer telefonu komórkowego w ostatniej kratce.

Następna operacja polegała na uruchomieniu hasła.

Jeszcze nie zdążyła przeczytać treści widniejącej w ramce, kiedy jej telefon wydał krótki przenikliwy sygnał oznaczający nadejście esemesa.

To program Ootay przesłał jej właśnie hasła, które wpisała w komputerze, po czym wcisnęła Enter.

Teraz musiała dokonać autoryzacji GPS-u operatora swojej sieci, co uczyniła w ciągu dwóch minut, wchodząc na jego stronę i

wpisując swój login i hasło.

Yael zapłaciła niebieską kartą kredytową, pospiesznie wbijając numer.

Wtem ktoś wszedł do budynku i ruszył korytarzem.

Yael delikatnie pchnęła stopą drzwi.

Już prawie skończyła.

Musiała wysłać kolejny esemes ze swojej komórki i w ten sposób zakończyć procedurę, aby uruchomić usługę.

Tymczasem intruz rozgościł się w pokoju obok, po chwili zaś Yael usłyszała, jak dokąś dzwoni, przedstawiając się jako Calmus.

Zatem to nie ten, którego szukała.

Zaczęła jeździć i klikać myszą, aby wejść na swoje osobiste konto na Ootay. Chciała przeprowadzić próbę.

Wpisawszy własny pseudonim, uruchomiła GPS.

Wówczas otworzyło się okno z planem dzielnicy. Niebieskie kółko zaś wskazywało umiejscowienie telefonu.

– To działa... – szepnęła.

Powiadomiono ją esemesem, że właśnie została zlokalizowana. Wyłączyła dźwięk, aby nikt nie usłyszał.

Zamierzała poświęcić własną komórkę, wcale jednak nie czuła żalu. Stawka, o jaką grała, znacznie przewyższała koszt urządzenia.

Wymknąwszy się z biura, zbiegła po schodach i upewniła się, że nikt jej nie widział, po czym wsiadła do fiata Languina. Zawahała się na widok grubej rolki brązowej taśmy samoprzylepnej, czy dla większej dyskrecji nie przymocować komórki za zderzakiem, w razie stłuczki

mogłaby ją jednak stracić. Zajrzała do schowka na rękawiczki, w końcu wybrała fotel pasażera i umieściła czarny aparat pod spodem, w fałdzie pokrowca.

Oddalając się, doszła do wniosku, że właśnie zabawiła się w szpiega doskonałego. Przez najbliższe dwa lub trzy dni, w zależności od aktualnego stanu baterii, mogła liczyć na swobodę i prawdziwą dokładność. Była mile zaskoczona własną zdolnością do przystosowania się i improwizacji.

Zrozumiała też, jak łatwo znaleźć się po drugiej stronie prawa.

I wcale nie poczuła zakłopotania z tego powodu.

Zażenowanie wywołało w niej natomiast podekscytowanie, że w ten sposób postępuje.

Wokół Thomasa padał śmiertelny deszcz, jednakowo przezroczystry co milczący, trwający długie sekundy.

Z rozbebeszonych kartonów wysypywały się szklane ostrza, prześlizgując się jedno po drugim, po czym bezszelestnie zlatywały w próżnię.

Thomas przywarł z całej siły do regału, który miał za plecami, aby się osłonić. Zamknął oczy, zacisnął pięści i czekał, aż lustrzany potop rozetnie go aż po serce.

Przeszywające powietrze szklane odłamki roztrzaskiwały się o beton. Hałas wstrząsnął całym budynkiem, po czym powstał obłok migoczącego pyłu, który natychmiast się rozwiął.

Thomas otworzył oczy, żeby stwierdzić, że żyje.

Miejscami na jego skórze widniały szkarłatne smugi, żadna jednak naprawdę nie krwawiła.

Jakimś cudem zdołał się z tego wywinąć.

Tymczasem Languin uciekał aleją z zamiarem przedostania się do królestwa luster, ostatniego zaułka po prawej stronie przed wyjściem. Zbyt daleko jak dla niego.

Nagle Thomas spostrzegł postać Yael, którą przyciągnął do magazynu huk tłuczonego szkła. Zawahała się, w którą stronę skrócić, zanim ruszyła wprost na niego.

Między lustrami.

Zaraz nadzieje się wprost na Languina – dzieli ich zaledwie

jeden zakręt.

Zebrawszy wszystkie siły, Thomas wydostał się z przezroczystych szczątków, które trzeszczały pod jego stopami.

Kiedy przyspieszył kroku, prawe udo przeszył mu ostry ból. Poczł, jak cieknie mu krew przylepiająca lniane spodnie do kolana.

Languin i Yael zniknęli za gablottami. Kulejący Thomas również zanurzył się w kanionie niedokończonych perspektyw.

Każde lustro odbijało swój kwadrat rzeczywistości, po czym obraz ten był przechwytywany przez następne, które przesyłało go dalej, aż w końcu wszystkie szczegóły zaczynały się mieszać i gubić.

Każdy ruch rozbijał się na tysiąc innych, każdy krok na tysiąc kroków. Ta aleja srebrnych okien pozwalała nagle błędzić w czasie i przestrzeni.

Thomas, który musiał zwolnić z powodu rany w nodze, miał wrażenie, że odległość wcale nie maleje, że każdy jego krok trwa całą minutę.

Kątem oka dostrzegał eksplozję tak wielu powielających się w nieskończoność gestów, że już sam nie wiedział, który należy do niego, i obawiał się, że nie zdoła odróżnić siebie od Languina.

Kiedy wreszcie wyłonił się zza zakrętu, ze zdumieniem ujrzał przed wyjściem linię prostą. I nikogo w zasięgu wzroku.

Yael i Languin ulotnili się, jakby zostali wciągnięci przez lustra.

Nagle w tym wyczerpującym balecie do jego postaci dołączyło tysiąc innych.

Były to odbicia Yael, która wychynęła ze swojej kryjówki

między dwiema ramami.

Szła w jego kierunku, on zaś wpatrywał się w nią, nic nie rozumiejąc.

– Pozwoliłam mu zwiać – krzyknęła, znalazłszy się jakieś niecałe dziesięć metrów od niego. – Kiedy go tylko zobaczyłam, schowałam się i pozwoliłam mu uciec.

W jednej chwili Thomasa opuściło całe napięcie.

Zamknął oczy.

– Dobrze zrobiłaś. To by było zbyt ryzykowne.

Znajdowała się już dość blisko, toteż zaniepokoiły ją liczne czerwone ślady na ubraniu Thomasa.

Zasłoniła wilgotną dłonią usta.

– Co ci się stało? – zapytała przerażona. – Jesteś cały we krwi.

– Wszystko w porządku – usiłował ją uspokoić. – To tylko zadrapania.

Yael zawahała się z powątpiewaniem.

– Jeszcze nic straconego – oświadczyła w końcu. – To będzie ciekawe śledzić, dokąd teraz pędzi. Chodź, wszystko ci wyjaśnię.

– Yael, nie jestem w stanie biec za nim.

– To nie będzie konieczne.

Wsparła ręce na biodrach, spoglądając wyzywająco.

W Thomasie nadal wszystko się w środku gotowało.

Aż dwie godziny czekał na ostrym dyżurze w szpitalu Bichat, przy Porte Saint-Ouen, zanim założono mu szwy.

Było ich tylko osiem. Prawdziwy cud. Przedramiona miał usiane drobnymi skaleczeniami, lekarz dyżurny wołał mu jednak zabandażować całe ręce niż przyklejać opatrunki.

Yael dołączyła do niego w chwili, gdy wychodził z gabinetu zabiegowego, lekko kulejąc.

– Do weekendu będę idealnie zdrowy – zapewnił. – To tylko powierzchowne zadrapania. Mam szczęście.

Ona jednak nie była tak pogodna jak on.

– Thomas, przykro mi z powodu tego, co się stało. Postaram się zdobyć wystarczająco dużo dowodów przeciwko Languinowi, zidentyfikuję jego zleceniodawcę i pójdę na policję. Nie musisz mi dłużej towarzyszyć i tak dużo już zrobiłeś. Nie chcę cię więcej narażać.

Dziennikarz z powrotem spoważniał.

– Postaw się przez chwilę na moim miejscu. Wyobraź sobie, co właśnie przeżyłem: nasze spotkanie, Cienie, tamci ludzie w metrze, jednym słowem: wszystko, co mi spadło na łeb przy tobie! Naprawdę myślisz, że mógłbym cię teraz zostawić samą? Czuję, że siedzę w tej historii równie głęboko jak ty. O rozstaniu rozmawiamy więc po raz ostatni, dobrze?

Yael w końcu przytaknęła, spuszczać wzrok jak mała

dziewczynka. Na wzmiankę o niebezpieczeństwie, na jakie się dla niej naraził, coś ścisnęło ją za gardło.

– Co teraz proponujesz? Ryzykować jeszcze bardziej, stawiając czoło takiemu człowiekowi jak Languin?

– Iść tropem Languina! – zawołał żywo, podnosząc głowę. – Wiedząc, że został zdemaskowany, nie wróci do domu ze strachu, że gliny już tam na niego czekają. Gdzie w takim razie ma się skryć taki facet jak on, który sam nie organizuje skoków i który jest raczej wykonawcą niż mózgiem?

– Nie u tego, kto mu płaci! W ten sposób ściągnąłby mu na łeb gliny, a tamten by go sprzątnął! On nie jest tak głupi!

– Chcesz się założyć?

Thomas z powątpiewaniem wzruszył ramionami.

Po drodze do szpitala Yael wyjaśniła mu, jak wykombinowała nadajnik.

– Potrzebny nam komputer – stwierdził dziennikarz.

– Musimy wiedzieć, gdzie on się teraz znajduje.

– Zrobione. Kiedy cię zszywali, ja weszłam do Internetu. Telefonistka była sympatyczna i w ciągu pół godziny sprawdziłam jego lokalizację pięć razy. Languin jest na zachodnim przedmieściu, blisko Sekwany.

Thomas z trudem ukrył uśmiech zadowolenia.

– Byłabyś groźnym gliną.

– Może jeszcze nie jest za późno... Jedźmy. Miasto, o które nam chodzi, jest mniej więcej dwadzieścia kilometrów stąd. To Herblay,

strefa w okolicach kościoła. Sęk w tym, że GPS nie jest zbyt dokładny. Jeśli ukrył się w jakimś budynku znajdującym się wśród innych domów, i to na ograniczonym obszarze, możemy go nie namierzyć.

– Będziemy się martwić na miejscu.

Kiedy zjechali z drogi A-15 do małego miasta, gdzie tanie mieszkania sąsiadowały z bogatymi willami i kilkoma budynkami – nowoczesnymi i z, lat sześćdziesiątych, z typową dla nich ponurą architekturą – właśnie kończyło się popołudnie. W centrum było mnóstwo szyldów banków, agencji nieruchomości i fryzjerów. Za sprawą dziur w jezdni, głębszych niż leje po bombach, licznych rond i mieszkańców, którzy nie byli ani całkiem paryżanami, ani całkiem prowincjuszami, Herblay sprawiało wrażenie spokojnej osady na zachodnim przedmieściu.

Musieli się trzymać drogowskazów, żeby zjechać po górującym nad Sekwaną zboczu, po czym w połowie skręcili ku esplanadzie. Znajdowali się w bogatej dzielnicy pełnej eleganckich pawilonów i luksusowych domów. Roślinność kipiała z ogrodów miejscami na ulicę, mimozy zaś porastały wzdłuż całego zaułek aż do gotyckiego kościoła, który było widać z daleka.

Do świątyni przylegał stary cmentarz, na którym ogołoczone i poobtlukiwane groby ciągnęły się przez dziesiątki kilometrów po horyzont, od ogromnych wież la Defense aż do sąsiednich osiedli, wijących się aż do lasu Saint-Germain, naprzeciwko, na drugim brzegu rzeki.

Peugeot 206 zatrzymał się w cieniu drzew okalających maleńki parking. Yael i Thomas wysiedli, rozglądając się czujnie po pustej okolicy.

– Strefa wspomniana przez Ootay powinna się znajdować raczej za kościołem – stwierdziła dziewczyna, wskazując uliczkę znikającą między starymi kamieniami prezbiterium a murem prywatnej posiadłości.

Zagłębili się w nią, potykając się na kocich łbach.

Za murem wznosił się stary, wysłużony, szary i posepny dwór.

– Zdaje się, że to jedyny dom mieszkalny po tej stronie – zauważyła Yael. – Zaczekaj na mnie.

Obróciwszy się na pięcie, ruszyła ku masywnej bramie zamykającej wejście do domostwa i pochyliła się, wypatrując jakiejś szczeliny, przez którą dojrzałyby fasadę dworu, po czym natychmiast podbiegła do Thomasa.

– Tam jest olbrzymi park, a w nim... samochód Languina.

– Świetnie. Proponuję, żebyśmy okrążyli posiadłość w poszukiwaniu jakiegoś sposobu, aby się przedostać... przez to – odrzekł Thomas, wznosząc wzrok pięć metrów w górę, gdzie kończyło się ogrodzenie.

Ruszyli wzdłuż uliczki, która prowadziła do trawnika u stóp kościoła. Po ubitej drodze prowadziły schody.

Po tej stronie zbocze było zadrzewione i bardziej dzikie, wśród liści tu i ówdzie były widoczne dachy domów sięgające aż ku płynącej w dole Sekwanie.

W jednym miejscu okalający posiadłość mur był w złym stanie, zaprawa zdążyła się już wykruszyć między wystającymi kamieniami, łatwo było zatem wspiąć się po nich do góry. Yael i Thomas wymienili porozumiewawcze spojrzenie. Tylko że nie byli sami.

Na schodach siedziało czterech wyrostków, którzy rozprawiali o czymś ze śmiechem, nie zwracając uwagi na przepiękny krajobraz.

Thomas podszedł bliżej i przywitał się.

– Dzień dobry, jestem nowy w tym mieście. Zamierzam kupić dom i zastanawiałem się właśnie, czy nie wiecie, kto tutaj mieszka. Moim zdaniem ta chata jest naprawdę wypasiona.

Wtedy podniósł się z miejsca chłopak z włosami związanymi w koński ogon, wychylił się na drogę i zawołał w kierunku zbocza:

– Ej, Antoine! Chodź na chwilę!

Wezwany pojawił się po kilku sekundach, wyłaniając się spomiędzy korzeni i wysokich traw. Podkoszulek z napisem RAMMSTEIN, który miał na sobie, cały był w żdźbłach, włosy zaś przypominały wronie gniazdo.

Z gąszczu wychynęła również twarz jakiejś dziewczyny.

– Czego? – zapytał Antoine.

– Znasz to miasto, wiesz, kto tutaj mieszka?

– Co ja, książka telefoniczna, czy co?

– To dla nich – odrzekł kudłacz, wskazując parę przybyszów. – Chcieliby kupić tę posiadłość.

Antoine wzruszył ramionami.

– Wszystko jedno. Nie mam pojęcia!

Thomas podszedł bliżej.

– Wiesz, czy to jakaś rodzina, czy może ktoś samotny?

– Jedyna osoba, jaką tu widziałem, to paskudny gość, który w ogóle się nie odzywa. Jest już stary, na pana miejscu wstrzymałbym się więc trochę. Niedługo dom będzie na sprzedaż, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

– Rozumiem. Dzięki, miłego wieczoru.

Odchodząc, Thomas odwrócił się na pięcie i zapytał Antoine'a:

– Tak na wszelki wypadek, nie wiesz, czy ten pan ma psy? Moja żona ma uczulenie, może nie warto więc sobie zawracać głowy.

– Nigdy nie widziałem żadnego kundla... Jeśli chciałby pan rzucić okiem, tam są stare podziemia – dodał, wyciągając ramię w kierunku dziczalego zbocza. – Stąd ich nie widać, ale są wystarczająco szerokie, żeby się zmieścić, a wychodzą na sam środek parku.

Thomas zawahał się przez moment. Jeśli sprawy przybiorą zły obrót, dzieciaki zostaną w to wplątane.

– Nie... Nie trzeba, dziękuję.

Gdy dołączył do Yael, oboje zawrócili.

– Mimo wszystko chciałbym wiedzieć, z kim mamy do czynienia – powiedział Thomas. – Zjemy gdzieś kolację i powészemy trochę, dopóki dzieciaki się nie rozejdą.

– Jeśli Languin w tym czasie zwieje?

– Zawsze można go namierzyć i dowiedzieć się, z kim się spotykał.

W centrum miasta zapytali, czy można się gdzieś podłączyć do

Internetu. W końcu wylądowali w sklepie ze sprzętem komputerowym, w którym sprzedawca uprzejmie pozwolił im skorzystać z własnego łącza.

Przypomniawszy sobie odzywkę Antoine'a na temat książki telefonicznej, Thomas wpisał adres siedziby i uzyskał nazwisko właściciela, które nie znajdowało się na zastrzeżonej liście.

Serge Lubrosso.

Na wszelki wypadek Thomas wpisał je w wyszukiwarce *Google*, chcąc sprawdzić, czy coś się z nim łączy, ale bez skutku. Podziękowawszy sprzedawcy, zaczęli się wałęsać po mieście, robiąc bilans tego, co wiedzą. Oboje wątpili w sens przeciągania tej wizyty. Nie można zadzwonić do drzwi i zapytać, nie mogli też włamać się do środka – zwłaszcza gdyby się okazało, że ten cały Lubrosso nie ma sobie nic do zarzucenia.

– Mimo wszystko zdziwiłabym się, gdyby był czysty jak łą! – wykrzyknęła Yael. – Inaczej co by robił u niego o tej porze Languin?

Pochłonęli pizzę, siedząc przy stolikach ustawionych na chodniku w spokojnej uliczce, przed maleńkim lokalem Pizza Nino, z którego rozchodził się zapach pieczonego ciasta.

Powoli zapadł zmrok. Nagle Thomas zerwał się i, ciągle jeszcze przeżuując, pognął w stronę kucharza, który powitał go z uśmiechem. Owszem, dostarcza pizzę na terenie całego Herblay, tak, zna posiadłość za kościołem, ale nie wie nic konkretnego na jej temat poza tym, jak nazywa się człowiek, który tam mieszka. Nic nie wskórawszy, Thomas wrócił i dokończył kolację.

Właśnie zbliżali się do peugeota, gdy Yael zauważyła starszą panią dziękującą wylewnie pewnemu typowi w okularach, koszuli i krawacie, który przyczepiał do futryny okna tabliczkę z napisem NA SPRZEDAŻ. Na kolorowym kartonie widniała nazwa agencji ImmoNico oraz numer telefonu.

– To miłe, że zechciał pan przyjechać tak późno – powtórzyła z naciskiem starsza pani.

– To żaden kłopot, proszę pani, jeśli tylko mogę się na coś przydać.

Agent nieruchomości miał doskonały humor. Yael postanowiła spróbować szczęścia.

– Przepraszam bardzo... Dobry wieczór, chciałam tylko o coś zapytać...

Mężczyzna odwrócił się ku niej, a gdy zobaczył piękną młodą kobietę, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– „Nico to właśnie to, czego wam potrzeba!”, oto moja dewiza – powiedział, wybuchając śmiechem. Po chwili jednak spoważniał i dodał: – Czym mogę służyć?

– Otóż wpadła mi w oko pewna posiadłość, ta wielka za kościołem. Skoro nie jest na sprzedaż, przyszło mi do głowy, że może pan wie, kto tam mieszka. Nigdy nie wiadomo...

– Dwór za kościołem! Nie, nie sądzę, żeby go sprzedał. Moim zdaniem właściciel kocha ten dom. Już mu proponowałem dobrą cenę dla bogatych klientów, ale nic z tego!

– Zna go pan?

– Trochę... – odparł, wzruszając ramionami. – Pan Lubrosso nie jest zbyt rozmowny. Ale wszyscy wiedzą, kto to jest. Dzieciaki się go boją. Malcy z Herblay znają ten dwór; zbliżanie się do niego to dla nich wielkie wyzwanie. Ale nie zmusiłaby pani żadnego z nich, żeby zrobił to po raz drugi! Odczuwają potworny strach przed panem Lubrosso.

– Dlaczego? Strzela do nich solą?

Agent nieruchomości rozejrzał się ostrożnie po ulicy, po czym przysunął do Yael i rzekł:

– Gorzej! On uprawia czarną magię!

Yael parsknęła śmiechem.

– Niech się pani nie śmieje! – nakazał, rechocząc w najlepsze. – Każdy dzieciak to pani powie. To czarownik!

W głowie Yael zapaliła się czerwona lampka.

– Przypuszczam, że jest na emeryturze, zgadza się? Przywiązany do swojej własności...

– Nie, nadal pracuje. Jest właścicielem jakiejś fabryki we wschodnim Paryżu. To właśnie on zaopatruje urzędowe gmachy w mieście w lustra.

Yael zeszywniała. Jej ramiona pokryły się gęsią skórką.

– Słucham?

– Pan Lubrosso – powtórzył – produkuje w swojej fabryce lustra i zaopatruje w nie nasze miasto, między innymi merostwo, szkoły, centrum kulturalne...

Podziękowała mu czym prędzej, osłupiała, chcąc od razu wrócić do Thomasa. Musiała jednak przyjąć grzecznie wizytówkę od tego

narwańca, któremu udało się jeszcze wtrącić, że jest bardzo ładna.

Yael powtórzyła Thomasowi całą rozmowę.

– To musi być zleceniodawca – oświadczył dziennikarz. –
Lubrosso jest szefem Languina. Myślę, że tym razem trzeba mu złożyć
wizytę.

Ścieżka pod wysokim parkowym murem była pełna dżdżownic.

Wyrostki zdążyły się ulotnić, rozpadających się nagrobków cmentarza strzegła brunatna bryła kościoła z czarnymi witrażami.

Mrok panował od ponad godziny.

Yael zaczęła macać kamienie w poszukiwaniu tych najsolidniejszych, aby móc się po nich wspiąć na górę, Thomas zachęcił ją jednak gestem, żeby podążyła za nim. Przekroczył paprocie i ruszył w dół z boczem, wkrótce zranione udo przypomniało mu o sobie, musiał więc zwolnić.

– Szukasz podziemi?

– Właśnie. Mniej się rzucają w oczy.

Ledwie skończył zdanie, gdy między dwoma drzewami pojawił się otwór. Tylko pięć lub sześć metrów od drogi.

Tunel zagłębiał się prosto w pagórek, po czym prowadził ku górze, kończąc się w samym środku parku. Nie był zbyt długi, toteż stojąca na jego początku Yael mogła dostrzec niebieskawy wylot. Przemierzyli go w milczeniu, po czym wyłonili się na powierzchnię wśród krzewów i kwiatów.

Blask księżyca, który zalewał poświatą całą posiadłość, tonął w kałuży.

Przed ich oczyma pysznił się przysadzisty, blady i popękany gmach.

Na piętrze, po obu stronach wejścia, mrok przecinały dwie

wiązki światła. Za sprawą głęboko osadzonych okien i wiodących do drzwi wypaczonych schodów dom przypominał gigantyczną czaszkę.

Rosnąca po prawej stronie kępa kwiatów była skąpana w nieco bardziej rozproszonym blasku. Yael i Thomas zbliżyli się do niej. Ze ściany wyrastała zniecka stuletnia weranda z obudową z zardzewiałego metalu, podobna do bańki mydlanej. Wyglądała, jakby wypłynęła wprost z powieści Juliusza Verne'a. Belki, zakrzywione niczym pajęczne nogi, przytłaczały salon pełen antyków.

Między sofami obitymi szkarłatnym, wypłowiałym aksamitem bez ładu i składu poniewierały się niezliczone ilości stołów, stolików i pulpitów uginających się pod zbieraniną najróżniejszych bibelotów: sekstansów z epoki, lunet, kawałków zbroi, kolekcją gryzmołów i rolek tapet leżących wśród żeglarskich map... Wszystkie te zapomniane przedmioty pokrywał grubą warstwą kurz.

Jedną ze szklanych ścian, łączącą dwie belki, wyposażono w zawiasy i służyła jako drzwi, przez których otwarte skrzydło przedostawały się teraz skrzeczące dźwięki starej melodii Cole'a Portera, odtwarzane na adapterze.

Dwie małe lampki o abażurach z rubinowego szkła dawały więcej mroku niż światła.

Siedzący naprzeciw siebie Languin i jakiś mężczyzna, zapewne był to Lubrosso, popijali – jeden jakiś likier, drugi zaś kawę.

Widoczny w półcieniu Lubrosso budził niepokój.

Tylko blask płonący w źrenicach jego oczu zdawał się świadczyć o tym, że ten suchy i wysoki człowiek o orlim nosie, zbyt

wąskich ustach i bladej cerze w ogóle żyje. „Mieszanka Borisa Karloffa i Beli Lugosiego” – stwierdziła Yael, którą przytłaczała posępna atmosfera tego miejsca.

– Musimy podejść bliżej – szepnęła.

Thomas wskazał głową trzciny okalające z jednej strony szklarnię. Uklękli, żeby się do nich dostać.

Teraz muzyka grała głośniej. Po chwili zaś usłyszeli ochrypy głos Lubrossa.

– ... ma dziewiętnaście lat. To moja prawnuczka. Chociaż jej matka uważa, że jest zbyt frywolna.

Nagle Languin wstał, podszedł do drzwi i stanął, a jego stopy znalazły się w ogrodzie, niecałe dwa metry od Yael i jej towarzysza. Wyglądał na zdenerwowanego. Wyjąwszy z kieszeni dzinsów paczkę papierosów, zapalił jednego, z lubością napelniając płuca dymem.

Gdyby tylko odrobinę się odwrócił, z pewnością dostrzegłby dwie ludzkie postaci przycupnięte u jego stóp. Yael chwyciła dłoń Thomasa i ścisnęła z całej siły. Musieli natychmiast się stąd wycofać.

Przeniosła część ciężaru ciała na lewe kolano i łokieć, po czym zaczęła się czołgać bardzo powoli.

Trawa zafalowała, a suche łodygi zaszeleściły leciutko.

Thomas złapał ją za rękaw, żeby przestała się ruszać.

– Co mam więc jutro zrobić? – zapytał Languin nerwowym tonem.

Z wyniszczonego gardła Lubrossa wydostał się głos, który rozbrzmiał w salonie:

– Już panu powiedziałem: musi się pan ulotnić. Mam nadzieję, że nikt pana nie namierzył. Niech pan zniknie za granicą albo zaszyje się gdzieś na wsi.

– To mnie specjalnie nie urządza – burknął wąsacz.

– Proszę nie przeciągać struny. Znalazłem panu pracę na cztery miesiące, a zamiast podziękowania pan się tu pakuje!

– Ejże! Niech mnie pan nie traktuje jak kretyna! Zatrudnił mnie pan wyłącznie po to, żeby mnie mieć pod ręką.

– Zaczął go przedrzeźniać z pogardą: – „Niech pan będzie gotów, Languin, proszę być w formie, prawdopodobnie jutro będzie wielki dzień!”. Wszystko po to, żeby mi kazać sterczeć jak kołek!

– Otrzymywał pan zapłatę przez ten czas.

– Ale za mało! Skoro mam wyjechać, potrzebuję szmalu!

Koniec z tymi ochłapami!

Yael spostrzegła nagle, że Thomas jest zdenerwowany. Był gotów rzucić się na Lajiguina, żeby go uciszyć. Powstrzymała go, ściskając stanowczo jego dłoń.

– Nawet mi pan nie powiedział, czemu ma służyć cały ten cyrk! Czuję się jak pionek na szachownicy...

– Taki jest los nas wszystkich – odparł mężczyzna o ostrych rysach, nie ruszając się z sofy.

Odstawiwszy filizankę na niski stolik, otworzył szkatułkę z rzeźbionego drewna i ostrożnie wyjął z niej złoty pierścień ozdobiony mieniającym się perłowo kamieniem.

– Proszę mi powiedzieć, panie Languin, wierzy pan w czary?

– Czary? Też coś! To wymysły, żeby manipulować miernotami! Średniowieczne idiotyzmy, żeby palić na stosie tych, którzy byli niewygodni!

Myśl ta zdawała się sprawiać panu Lubrosso przykrość. Z lubością wsunął pierścień na środkowy palec.

– Szkoda, bo, widzi pan, ten wspaniały klejnot jest właśnie narzędziem czarów.

Languin odwrócił głowę ku starcowi.

– Jak głosi legenda kraju, z którego go przywiozłem, podobno ma on moc zabijania na rozkaz tego, kto go nosi. Dzięki potędze księżycy. To niesłychane, prawda?

Languin westchnął ze znużeniem.

– Proszę sobie wyobrazić, że skieruję go na pana – szepnął Lubrosso, robiąc to, co powiedział. – I że zażądam pańskiej śmierci. Jak pan sądzi, co się wtedy stanie?

Languin zaciągnął się dymem z papierosa, wzruszając ramionami.

– Nic! *Nada!* – odrzekł, wypuszczając dym. – Właśnie pan to zrobił, a ja mam się dobrze. To jakieś bzdury.

Lubrosso wpatrywał się w niego uporczywie.

Yael przełknęła ślinę, przekonana, że jest jednak inaczej. Powietrze było naładowane elektrycznością, coś się właśnie działo. Lubrosso był jakiś dziwny, oczy mu błyszczały.

Nagle Languin przytknął dłoń do piersi, wykrzywiając twarz. Najpierw zaczęła mu drżeć szyja, potem brzuch. Na próżno usiłował się

uczepić metalowej konstrukcji werandy, po czym zwałił się na podłogę, z paznokciami wbitymi w dłonie, tocząc z ust krwawą pianę.

Yael przywarła do Thomasa.

Teraz Languin znajdował się na tym samym poziomie co oni, wpatrując się w nich nieruchomo. Jego kończynami wstrząsały gwałtowne konwulsje, ale w miarę jak życie ulatywało z jego spojrzenia, uspokoiły się, pozostawiając jego ciało bez czucia.

Languin był jedynie trupem.

Trzęsąc się całą, Yael ukryła twarz w dłoniach.

Już miała wstać i jak najprędzej stamtąd uciec, gdy Thomas przygniótł ją do ziemi.

Rozpłaszczona na trawie, ujrzała wówczas Lubrossa stojącego na progu, u wejścia do ogrodu, tuż obok nich. Przemieścił się bez najmniejszego hałasu i napawał się śmiercią.

Był znacznie wyższy niż się spodziewała. Prawdziwy siwowłosy olbrzym. Nagle stał się godny tego wnętrza, w szlafroku z czarno-czerwonej satyny, który łopotał wokół jego postaci niczym płaszcz.

– Powinien pan okazywać więcej szacunku dawnym tradycjom
– powiedział do trupa, pieszcząc pierścień.

Przez otwarte na mrok nocy drzwi kładł się na ogrodzie cień Lubrossa. Dotknąwszy ciała Languina końcem stopy, wrócił do przestronnej werandy i schował pierścień z powrotem do drewnianej szkatułki, po czym spojrzął na stos starych dokumentów piętrzących się na blacie przed nim.

Yael wyswobodziła się z uścisku Thomasa.

– Widziałeś to, co ja? – szepnęła.

Drżała ze strachu albo być może z zimna, bo przecież długo leżała na trawie... Sama już nie wiedziała.

– Tym razem pójdę na policję – uprzedziła.

– Nie, zaczekaj – szepnął Thomas. – Twoja opowieść o gadających cieniach wzbogaciła się właśnie o starca, który zabija za pomocą czarodziejskiego pierścienia! Wyobrażasz sobie, co zrobią gliny? Wyślą cię prosto do wariatkowa, tarzając się ze śmiechu!

Nagle zastygli bez ruchu na dźwięk ochryplego głosu Lubrossa.

– Proszę mi wybaczyć, że dzwonię tak późno, ale miałem pewien kłopot.

Trzymał przy uchu telefon.

– Właściwie to żaden dramat, po prostu Languin przyszedł do mnie dziś wieczorem trochę spanikowany. Tak, była w fabryce. Tak, dzisiaj po południu. Co prawda nie przewidziałem tego, ale załatwiłem sprawę Languina. Nie, nie kulka w łeb, nie mam broni. Wiem, że nie taki był plan, ale trzeba było działać. Proszę tu kogoś przysłać, żeby go

zabrał.

Lubrosso wyraźnie się zmuszał, żeby zapanować nad rozdrażnieniem.

– Languin był nędznym złodziejem, wystarczy więc to tak zaaranżować, żeby wyglądało na porachunki, a nikt nie będzie drążył sprawy. Tak, całkowicie. – Słuchał przez chwilę, nim powtórzył: – Za godzinę? Dobrze. Czekam na pańskiego człowieka. Co z nią zrobimy? Cała ta sprawa z Languinem psuje nam szyki, ale jestem pewien, że istnieje jakiś sposób, żeby...

Yael zeszytniała.

– Tak. Nie ma jej w domu. Właśnie zamierzałem jej przesłać przez Internet kolejną wiadomość, ale to nie będzie takie proste.

Olbrzym pogładził się po srebrnych włosach, kiwając głową.

– Doskonale. Panu zostawiam resztę. Może pan być spokojny, powysyłam następne wiadomości. Najważniejsze, żeby dostawała je stopniowo. Tym razem może się okazać, że dotkniemy czulej struny. Rodzina zawsze skutkuje.

Yael zjeżyła się i odruchowo wysunęła naprzód. Thomas chwycił ją za ramię i odciągnął do tyłu. Wpił w nią wzrok, nakazując milczenie.

– Zniszczę je później i zaczekam na pańskiego człowieka. Do zobaczenia wkrótce.

Rozłączywszy się, Lubrosso opadł na wolterowski fotel. Wydał z siebie przeciągłe westchnienie.

Minuty mijały, on zaś trwał nieruchomo.

Yael miała straszliwą ochotę rzucić się na niego. Aż się dusiła z wściekłości.

Jej rodzina ograniczała się tylko do jednej osoby: ojca. Dopóki zostanie w Indiach, nic nie mogą mu zrobić – kraj jest zbyt rozległy, on zaś należy do tych, którzy nawet nie kiwną palcem, żeby znaleźć telefon i dać znak życia, nie zdołają więc go znaleźć. Miała zatem trzy tygodnie, a nawet miesiąc spokoju.

Lubrosso musi za wszystko zapłacić.

Ona musi zdobyć dowody.

„Ciało Languina! To jest dowód!” Nie była jednak o tym przekonana. Jeśli przyjedzie policja i oskarży Lubrossa o zamordowanie zbrodni, to i tak nie ma pewności, że uda im się natrafić na ślad współnika, do którego właśnie dzwonił. „Może przez telefon?” – Yael w ogóle nie znała się na telekomunikacji. Czy policja byłaby w stanie namierzyć połączenie zrealizowane w nocy? Nawet z telefonu stacjonarnego? Nawet jeśli numer jest zastrzeżony?

Oznaczałoby to mimo wszystko ryzyko, a przecież chodzi tu o jej życie. I prawdopodobnie o życie jej ojca.

Na samą myśl o tym złość Yael nieco wzrosła.

Lubrosso nadal siedział w fotelu.

Thomas pociągnął Yael za rękaw na znak, że czas się zwijać. Ona jednak pokręciła głową. Kiedy dziennikarz zaczął nalegać, wypowiedziała kategorię: „Nie!”. Thomas przewrócił oczami z rozpaczą.

Yael nie miała pojęcia, jak długo czeka, gdy nagle Lubrosso

podniósł swój potężny szkielet, przemknął wśród zagraconych mebli i otworzył szufladę sekretarzyka z wiśniowego drewna.

Kiedy podczołgała się nieco, chcąc zajrzeć do środka, otarła się o nogę Languina, z której przez nogawkę spodni wydzielalo się osobliwe ciepło. Denat wpatrywał się w nią intensywnie, niczym satyr, z pianą na ustach i ze sflaczałymi policzkami. Nozdrza Yael wyczuły zjęłczały odór niestrawionego pożywienia. „To tylko moja wyobraźnia. On dopiero przed chwilą umarł. Trup nie zaczyna śmierdzieć tak szybko”. Teraz zaczynała rozróżniać motywy rzeźb w gabinecie – reliefy przedstawiające diabełki. Tymczasem Lubrosso chwycił plik kartek i podszedł do kropielnicy umieszczonej na marmurowym postumencie. Wrzuciwszy dokumenty do środka, rozejrzał się wokół. Z braku jakiegoś łatwopalnego środka wziął karafkę bursztynowej barwy i wylał jej zawartość do kropielnicy. Następnie zapalił zapałkę i przytknął ją do naczynia. Wówczas zmaterializowała się z sykiem zjawa w kształcie niebieskiego kwiatu, a płomień zaczęły lizać papier.

Twarz Lubrossa okrył drgający woal o barwie lapis-lazuli. Zadowolony opuścił werandę szybkim krokiem i wszedł do wnętrza domu przez pomieszczenie, które zapewne było jadalnią, gdzie zniknął.

Yael nie wahała się ani chwili. Rozprostowała ścierpnięte kończyny i rzuciła się do wnętrza. Zanim Thomas zdążył się zorientować, co się dzieje, już sunęła niczym wąż po grubych dywanach. Prześliznęła się między setkami rozrzuconych chaotycznie przedmiotów. Znajdujące się na jej drodze wahadelka zaczęły się poruszać.

Tymczasem kartki w kropielnicy zamieniały się w zwęglone strużyny i popiół, a płomień zaczęły czynić nieodwracalne szkody w jeszcze nietkniętych fragmentach.

Kiedy Yael zanurzyła dłoń w ogniste języki i wyciągnęła resztki z paleniska, uniósł się obłok sadzy.

Stojący w progu Thomas dawał jej wyraźne znaki.

– Chodź tu! Wylaż stamtąd! – wrzeszczał bezgłośnie.

Zignorowawszy go jednak, zabrała się do szukania w tym całym bałaganie telefonu, z którego przed chwilą rozmawiał Lubrosso. Zamierzała poznać numer, z jakim się połączył. Przy odrobinie szczęścia mogło się okazać, że to telefon z wyświetlaczem cyfrowym, na którym da się sprawdzić ostatnie wybrane cyfry. W najgorszym razie powinien mieć klawisz z funkcją REDIAL, a wtedy zaryzykuje i postawi wszystko na jedną kartę.

Kiedy podniosła jedną z książek, spostrzegła słuchawkę.

Był to model z lat pięćdziesiątych, z bakelitu i z obrotową tarczą, o wiele za stary, żeby mieć jakiegokolwiek przydatne funkcje.

Widząc, że Yael się nie pojawia, Thomas również wszedł do środka. Ruszył ku niej, ale na widok szkatułki, w której spoczywał tak zwany zabójczy pierścień, zmienił kierunek. Podniósł wieczko.

Był tam – złoto pochłaniało odrobinę blasku, a oczko z masy perłowej dotykało zielonego sukna wypełniającego wnętrze szkatułki. Thomas wziął go do ręki. Pierścień był ciężki i zimny. Obejrzał go dokładnie, nie znalazł jednak nic szczególnego poza tym, że był na pewno stary. Odłożył go więc ostrożnie i już miał podbiec do Yael,

żeby wyciągnąć ją na zewnątrz, gdy dostrzegł na niskim stoliku szklanke, z której pił Languin. Przytknął do niej nos. Nie wydzielala żadnego podejrzanego zapachu.

Zbadawszy jej zawartość, zauważył na dnie czerwony osad.

– Truczna... – szepnął. – Numer z pierścieniem to była zwykła szopka.

Skinął na Yael, żeby poszła za nim.

– Chodźże wreszcie! Zaraz zjawi się tu ktoś po zwłoki, musimy spadać! – przynaglił.

Yael wsunęła uratowane papiery pod bluzkę i podbiegła do czekającego na nią Thomasa. Po czym odwróciła się, żeby spojrzeć po raz ostatni na dziwną werandę.

I właśnie wtedy go zobaczyła.

Lubrosso dopiero co wszedł do jadalni. Miał spuszczone wzrok, toteż ich nie dojrzał.

Yael z całej siły wypchnęła Thomasa do ogrodu, po czym rozplynęli się w ciemnościach nocy.

Kiedy wsiadali do peugeot, dziennikarz skrzywił się, trzymając za udo. Oboje ledwie dyszeli i ociekali potem.

Cała dzielnica była pogrążona w ciszy.

– Udało ci się coś uratować? – zapytał w końcu Thomas, wskazując jej koszulkę.

Yael wyprężyła się, żeby wydostać spod niej zwęglone kartki.

– Niewiele.

– Wystarczy, żeby od razu pójść z tym na policję, czy nie?

– Powiem ci, jak to rozszyfruję.

Jej szarobiałe oczy zanurzyły się w oczach Thomasa. Czuł, że dziewczyna jest kłębkim nerwów.

– Lubrosso wspominał coś o mojej rodzinie. Nie zamierzam nikogo narażać. Jeśli gliny palną jakąś głupotę przy aresztowaniu, nie chcę żyć w nieświadomości, podczas gdy główny podejrzany pozostanie na wolności. Ten człowiek wydaje się zdolny do wszystkiego.

Yael zapaliła światło, co zdenerwowało nieco Thomasa – zaczął się wpatrywać w plac przed kościołem, chcąc się upewnić, że nikt ich nie śledzi. Obejrzała uważnie wszystkie trzy zwęglone kartki, które rozpadały się przy każdym dotknięciu. Zawiedziona pokręciła głową bliska łez.

– Nie, wszystko jest... Wszystko jest spalone...

Środek pierwszej kartki był poczerniały, ale jeszcze się trzymał. Yael przechylała ją na wszystkie strony w świetle samochodowej lampki. Udało jej się rozróżnić kształty, zaokrąglenia. Wyodrębniła nawet jedno słowo:... *diabeł*... Potem kolejny fragment – *jeszcze kipi*... I wreszcie:... *albo piekło*...

Nic jednak takiego, co dałoby się zrozumieć. Yael odrzuciła głowę do tyłu. Pokładała sporo nadziei w tych dokumentach.

– Daj popatrzeć – poprosił Thomas, biorąc do ręki kruche ślady.

Po drobiazgowych oględzinach wykazał słaby optymizm.

– Może da się z tego coś wydobyć.

– Jak? Przez twojego kumpla z laboratorium policyjnego?

– Nie, bo szybkie sprawdzenie komputerowej bazy danych to jedno, a postawienie na nogi policyjnego laboratorium to całkiem co innego. Jednym słowem: sami przeprowadzimy ekspertyzę.

Yael pokręciła głową, przygnębiona.

– Gdzie zamierzasz przeprowadzić tę twoją ekspertyzę? – zapytała.

– Spędzając trochę czasu w gabinecie kosmetycznym.

Yael i Thomas wrócili do hotelu po pierwszej w nocy. Nad skrzącym się Paryżem przepływały kolejne godziny. W miarę jak gasły latarnie, budynki odnajdywały powoli swoją samotność.

W końcu nadeszła godzina zawieszenia. Ta, kiedy miasto śpi pogrążone w głębokim śnie, miniony dzień staje się dniem wczorajszym, a tuż przed tym zanim ranne ptaszki wsiadają do pierwszego metra, hulający zaś swobodnie po Paryżu wiatr jest głośniejszy niż motocykle.

W czarnym samochodzie z napędem na cztery koła czekały dwie postaci w czerwonej poświacie szyldu z napisem HOTEL, który odbijał się w przedniej szybie.

Luc rozmasował sobie kark. To niekończące się czekanie przypominało mu zasadzki na przemytników narkotyków. Minęły już trzy lata, jak opuścił psiarnię. Praca w policji skończyła się dla niego. Niczego mu nie brakowało.

Co zaś do adrenaliny, miał jej teraz równie dużo. Nawet więcej. Zmieniły się tylko cele, to wszystko. Co najważniejsze – miał bez porównania większą swobodę manewru w terenie. Mógł działać i w pełni się tym cieszył.

Wynagrodzenie też było o niebo wyższe.

Same plusy. Pod warunkiem jednak, że człowiek nie zadaje zbyt wielu pytań.

I że potrafi znosić takich popaprańców jak Dimitri.

Dimitri drzemał obok niego. Ten Ukrainiec mieszkał we Francji od pięciu lat. Nie był zbyt rozmowny, za to przeraźliwie skuteczny. On nie zadawał żadnych pytań. W biurze przebąkiwano nawet, że brał już udział w „sprzątaniu”.

W operacji usuwania. Kiedy równanie na tablicy się nie zgadzało, wszystkie zaś sposoby obejścia go okazywały się nieskuteczne, wtedy przystępowano do sprzątania. Raz a dobrze.

Ci, którzy rozpowiadali takie plotki, twierdzili również, że Dimitri sam się zgłaszał do makabrycznych zadań i że to lubił. Był przerażający.

Najemnik zwerbowany z polecenia.

„Jak większość z nich – pomyślał Luc. – Wszyscy przyzwyczajeni do pracy w terenie, głównie byli żołnierze, jak Michaël”.

Nagle ktoś zapukał w szybę. Dimitri podskoczył, klnąc po rosyjsku.

Był to nie kto inny, tylko Michaël we własnej osobie.

– Namierzyliśmy ją – oświadczył, otwierając drzwi.

– Chodźcie.

Stanęli za terenówką. Upewniwszy się, że w pobliżu nie ma nikogo, Luc sprawdził broń.

– Właśnie dostałem potwierdzenie. Zapłaciła za hotel niebieską kartą. Yael Mallan. Przy takim nazwisku trudno się pomylić. W recepcji brakuje klucza do jej pokoju. Idziemy.

Wszyscy trzej ruszyli chodnikiem w kierunku hotelu. Z

zabójczą zgodnością mięśni i nerwów, z niszczycielskim doświadczeniem, które już dawno pozbawiło ich złudzeń. Niczego nie pozostawiali przypadkowi.

Luc miał szczególne powody do zachowania czujności. Znalazł bowiem zwłoki swojego partnera w katakumbach.

Yael Mallan okazała się zaś znacznie sprytniejsza niż przypuszczali. Strach sprawił, że stała się niebezpieczna.

Luc zamierzał postępować według zasady „oko za oko, ząb za ząb”. Jedynej, jaką wyznawał.

Życie Yael za życie jego partnera.

Zamierzał także zabić faceta, który jej towarzyszył. Tym gorzej dla niego. Przecież widzieli go w metrze.

„Nigdy nie zostawiać świadków”.

Kiedy weszli do holu, Luc i Michaël stanęli przy windzie, a Dimitri ruszył w stronę recepcji.

Z przyległego pokoiku wyłonił się portier.

– Dobry wieczór. Czym mogę...

Portier ujrzał wpatrujące się weń małe czarne oko i rozbłyskujące światło.

Zanim zdążył usłyszeć cichy dźwięk tłumika, jego mózg rozprysł się na kawałki, które poprzyklepiały się do znajdujących się za nim przegródek na listy.

Przeskoczywszy przez ladę, Dimitri zrobił niezły bałagan, zanim w końcu znalazł klucz. Następnie sprawdził w księdze gości numer pokoju Yael, po czym rzucił elektroniczną kartę wstępu dwóm

pozostałym, którzy natychmiast wsunęli się do windy. Na koniec zaś przetrząsnął kieszenie zabitego w poszukiwaniu pieniędzy, które dopiero co mu wręczyli w zamian za informacje.

Znalazłszy się na piętrze, Luc wsunął kartę do zamka, po czym zapaliło się zielone światelko. Bardzo powoli nacisnął klamkę. Zaraz po wejściu podzielili ciemny pokój między siebie, aby mieć na oku wszystkie zakamarki. Każdy z nich miał rękawiczki i trzymał w dłoni sig-sauera 9 milimetrów.

Oba złączone łóżka były zajęte przez śpiącą spokojnie parę.

Pierwszy otworzył ogień Michaël.

Uderzenie gorącej stali w ciało narobiło więcej hałasu niż sam wystrzał. Krew rozprysła się po ścianach, ale para nie wydała żadnego krzyku.

Blog Kamela Hasira. Fragment piąty

Jeśli człowiek wspomni o konspiracyjnej działalności rządu amerykańskiego skierowanej przeciwko własnemu narodowi, od razu biorą go za krościatego wyrostka paranoika. Moim zdaniem oznacza to jednak zbyt szybkie puszczenie w niepamięć tego, czego nauczyła nas historia.

Czy nazwisko Allena Dullesa z niczym wam się nie kojarzy? Przyznaję, że niewiele się o nim mówi – z czasem „zapomniano” o tym człowieku. Mockingbird i Northwoods też wam nic nie mówią? Przecież to skandale bardziej dramatyczne niż afera Watergate! Dulles stracił robotę właśnie z ich powodu, chociaż wtedy twierdzono, że przyczyną była afera w Zatoce Świń.

Drzę na myśl o takich ludziach, jak Allen Dulles, który kierował CIA i stał na czele operacji Mockingbird, mającej na celu infiltrację amerykańskich mediów i wywieranie na nie wpływu, a czuję się jeszcze gorzej na myśl o operacji Northwoods, polegającej na zamachach na naród amerykański w celu usprawiedliwienia interwencji wojskowej na Kubie. Zwłaszcza, że Dulles nie działał sam. Projekt wyszedł bowiem z dowództwa armii. Żeby zwiększyć napięcie, zamierzali wysadzić własny okręt, po czym oskarżyć o to Kubę. Planowali nawet porwanie albo napady na samoloty cywilne... To wcale nie jest fikcja, ale starannie przemyślany plan, opracowany i spisany przez generałów armii amerykańskiej, mający dostarczyć pretekstu do ataku na Kubę! Istnieją dowody na poparcie wszystkiego. (Sprawdźcie jeszcze raz! Istnieją

nawet raport, od 1992 roku odtajniony, sporządzony osobiście przez Roberta McNamarę!). Mimo to niewiele się o nim mówi, zupełnie jakby medialne imperia założyły dziennikarzom kagańce w związku z pewnymi tematami. Jednocześnie się słyszy, że rząd Blaira oddał w prywatne ręce konserwację dokumentów państwowych – włącznie z oznaczonymi jako ŚCIŚLE TAJNE – i że od tej pory ma się tym zajmować firma (TNT Express Services) należąca do miliardera Ruperta Murdocha, tego samego, który rządzi medialnym imperium News Corporation, a wchodząca w skład tego imperium słynna stacja Fox News wspierała prezydenturę Busha. Jest się nad czym zastanawiać.

Kiedy się pomyśli o tych projektach, o zabójstwie Kennedy'ego, o światowym kłamstwie rządu, żeby wywołać wojnę w Wietnamie, można zacząć sobie zadawać pytania na temat zamachów z 11 września... Czy to rzeczywiście jakaś klątwa ciężąca nad światem?

Przecież od razu mówi się o przejściu do natarcia. O Osamie bin Ladenie, Saddampie Husajnie, chociaż jednocześnie nigdy nie wspomina się o tym, żeby ten ostatni miał bezpośredni związek z terroryzmem, dzięki sprytnym manipulacjom łączy się jednak ich obu w umysłach Amerykanów, aby usprawiedliwić napaść na Irak.

Tylko że nie da się zaatakować Iraku w pierwszej kolejności, gdy obwieszcza się wszem i wobec, że bastionem islamskiego terroryzmu jest Afganistan. Ze względu na opinię publiczną najpierw trzeba ruszyć na Afganistan, żeby rzekomo złapać bin Ladena. Dlaczego więc wysłała się tam tylko jedenaście tysięcy ludzi? „To mniej niż jest policjantów na Manhattanie!” – jak twierdzi Richard Clarke,

były doradca Białego Domu do spraw terroryzmu. Wystarczy, żeby zdławić reżim talibów i umieścić tam Hamida Karzaia, ale na pewno nie wystarczy, żeby przeczesać cały kraj w poszukiwaniu wroga publicznego numer jeden. Jeśli przy tym wiadomo, że Karzai ma powiązania z koncernami zbliżonymi do rządu Busha... Zresztą zaraz jak przejmie władzę w Afganistanie, umożliwi zbudowanie ropociągu, o którym Stany Zjednoczone bezskutecznie marzyły... Poza tym – czy rzeczywiście chciano znaleźć Osamę bin Ladena?

Przecież po pierwszym zamachu na World Trade Center w 1993 roku tajne służby już wiedziały, że to on jest za niego odpowiedzialny i że rodzina królewska z Arabii Saudyjskiej dostarczyła mu środków na wszystko, co chciał zrobić, w zamian, jak powiadają, za pewien spokój wewnętrzny. Osama bin Laden ukrył się wówczas w Sudanie. W lutym 1996 roku Bill Clinton zleca ściśle tajną misję, której celem jest zniszczenie al Kaidy i zabicie Osamy bin Ladena, jej wykonaniem mają się zaś zająć służby CIA, które utrzymują, że nie wiedzą, gdzie on się znajduje.

Tylko, że w marcu tego samego roku Sudan proponuje Stanom Zjednoczonym, że odda w ich ręce Osamę bin Ladena, aby poprawić swoje stosunki z krajem wuja Sama. I tu następuje coś dziwnego: Stany Zjednoczone odmawiają. Uzasadniają to brakiem jakichkolwiek dowodów przeciwko niemu, wolą pozostawić go na wolności. Z kolei CIA, która zwykle nie wzbrania się przed nieczystymi zagraniami ani przed podejrzanymi zabójstwami, nic nie robi, rząd zaś wcale nie wywiera nacisku na Arabię Saudyjską, żeby wzięła Osamę bin Ladena z

powrotem i osadziła w więzieniu. I nic. Sudan poprzestaje na wypędzeniu terrorysty, który udaje się do Afganistanu.

Jeśli się po tym wszystkim krzyczy, że Stany Zjednoczone dostaną w swoje ręce bin Ladena, ale że w tym celu trzeba napisać na inny kraj raptem z jedenastoma tysiącami ludzi, zakrawa to na kpinę... Zwłaszcza w porównaniu z pięciuset pięćdziesięcioma tysiącami ludzi, których wysłano na przykład podczas pierwszej wojny w Zatoce w 1990 roku. Człowiek miałby prawo się z tego śmiać, gdyby sprawa nie była tak poważna.

Tylko że w 1990 roku jest ropa naftowa.

Natomiast w Afganistanie – poza ropociągiem – Stany Zjednoczone nie mają zbyt wielu interesów... Wyobrażam sobie wasze uśmiechy, kiedy czytacie te słowa. Pewnie sobie myślicie: „W porządku, ale przecież wszyscy wiedzą, że Stany znalazły się w Iraku ze względu na ropę, do czego więc właściwie zmierzasz?”. Cierpliwości. Wkrótce zrozumiecie.

Wizja całości jest jednak trochę zbyt drastyczna, żeby przedstawić ją za jednym zamachem. Lepiej układać puzzle jeden po drugim.

Zanim nastąpi wielki końcowy klaps.

W ogromnej hotelowej restauracji zapach bekonu mieszał się z aromatem słodkiego pieczywa i kawy.

Yael i Thomas jedli śniadanie nieco na uboczu, pod jednym z szerokich okien, przez które słońce wpraszało się raźnie już od wczesnego poranka. Pozostałe stoliki, bliżej bufetu, zajmowały grupy turystów, w większości przybyłych z rodzinami.

Yael trzymała przy uchu telefon komórkowy.

– Dzięki, Lionel, odwdzięczę ci się za to. Kilka dni, tak. Będziemy w kontakcie, do zobaczenia wkrótce.

Rozłączyła się, po czym oddała aparat Thomasowi.

– Załatwione, nie będzie mnie w pracy przez cały tydzień.

Thomas skinął głową. Jego włosy, jeszcze wilgotne po prysznicu, skręcały się w loczki, a świeżo ogolone i skropione perfumowanym płynem po goleniu policzki lśniły. Tamtego poranka jego oczy przybrały zieloną barwę w orzechowe cętki. Kiedy Yael mijala go, wychodząc z łazienki, na widok mięśni drgających pod cienką lnianą koszulą owładnął nią nagły przyptyw pożądania. Nieodparte pragnienie, żeby poczuć jego ciało przy swoim. Zwierzęcą, szaloną chuć. Zdumiało ją, że podobne myśli mogą jej krążyć po głowie w tych okolicznościach – pewnie z powodu napięcia nerwowego...”To zmęczenie” – powtarzała sobie. Teraz, gdy popijał sok pomarańczowy, a spod rozpiętej koszuli dojrzała lekko zarysowujące się mięśnie, Yael znów poczuła ten niemal bolesny przyptyw pożądania.

– Kiedy brałaś prysznic, skorzystałem z hotelowego komputera i połączyłem się z Internetem, żeby wydrukować listę paryskich salonów piękności – powiedział Thomas.

Yael zamrugała oczami, usiłując powrócić do rzeczywistości.

– Na... naprawdę uważasz, że uda nam się rozszyfrować tę spaloną kartkę w... salonie piękności? – wyjąkała.

– Nie zaszkodzi spróbować – oznajmił spokojnie.

On również zdawał się błądzić gdzieś myślami, ale był pochłonięty czymś, co działo się za plecami Yael. Dziewczyna zerknęła pospiesznie przez ramię. Dwaj pracownicy hotelu rozprawiali właśnie między sobą ze zmartwionymi, niemal przygnębionymi minami. Po chwili podeszła do nich trzecia osoba, kobieta, pytając, co się dzieje. Yael nadstawiła uszu, żeby złowić choć strzępki rozmowy.

– Tak, obok... W hotelu... Dziś w nocy kogoś... owano.

– Zamordowano? – powtórzyła nieco głośniejszą kobietą.

Kolega nakazał jej, żeby zachowała większą dyskrecję.

– Portiera i... arę.

Obrócił się tak, by stanąć plecami do stolika, Yael nie zdołała więc usłyszeć dalszego ciągu rozmowy. Kiedy spojrzała w twarz swojego towarzysza, stwierdziła, że jest bardzo spięty.

– Coś nie tak? – zaniepokoiła się.

Zawahał się przez moment.

– Od tej chwili przestajesz się posługiwać kartą kredytową – rozkazał.

– Jak to?

Potań brodę ze wzrokiem zatopionym we mgłę własnych myśli.

– Mów! – przynagliła Yael.

Odepchnął krzesło, wstał, po czym znów popatrzył na nią.

– Jestem ci winien wyjaśnienie – przyznał w końcu. – Ale nie tutaj. W jakimś spokojnym miejscu.

Opuszczali właśnie restaurację, gdy nagle Thomas zastygł przed ekranem telewizora, na którym widać było jakąś dziennikarkę stojącą z mikrofonem w dłoni na znajomym tle.

Ścisnął Yael za rękę.

– ... od dwóch strzałów w kark. Według naszych źródeł, z budynku nic nie zginęło, ale policja nadal jest na miejscu zdarzenia, aby wyjaśnić okoliczności tego tajemniczego zabójstwa. Kiedy mieszkańcy usłyszeli o zbrodni, zaczęli sobie zadawać pytania: Kto mógł zabić z zimną krwią takiego spokojnego starca? Dlaczego?

Yael również rozpoznała widniejącą na dalszym planie sylwetkę dworu Lubrossa.

– Nic nie rozumiem – powiedziała, nie przyjmując do wiadomości oczywistych faktów.

Twarz Thomasa spochmurniała.

– Dziś w nocy zabili Lubrossa. Po naszym wyjściu.

Yael zaczęła się przechadzać po holu.

– To niedobrze... – stwierdziła, kręcąc głową. – Niedobrze. – Zatrzymawszy się nagle, dodała: – Możemy zawiadomić policję. Trzeba im powiedzieć, kto jest mordercą.

– Kto nim jest? – spytał zdziwiony Thomas.

– Mężczyzna, na którego czekał Lubrosso, a który miał zabrać trupa Languina. Kiedy wychodziliśmy, było późno, Lubrosso zaś czekał na tego... sprzątacza. Nie wyobrażam sobie, że kto inny mógłby to zrobić.

Thomas przysunął się do niej przybity.

– Ależ tak – upierała się. – Przecież mogliby namierzyć numer telefonu, pod który Lubrosso dzwonił w nocy... W policji potrafią to zrobić, nie?

Thomas upewnił się, że nikt ich nie słyszy.

– Yael... Posłuchaj mnie uważnie – powiedział, starając się, aby jego głos zabrzmiał spokojnie. – Wiele osób może zaświadczyć, że widziały nas wczoraj w Herblay, niektóre mogą nawet przyznać, że zbieraliśmy informacje na temat Lubrossa. Następnie wtargnęliśmy nielegalnie do jego domu, żeby go szpiegować. Przede wszystkim, moim zdaniem, ten cały sprzątacznik na pewno usunął ciało Languina. Sądząc po tym, co na nas spadło, zaczynam myśleć, że mamy do czynienia z bardzo potężnymi ludźmi. Nie zaryzykowałiby pozostawienia ciała Lubrossa, gdyby mógł ich zdradzić numer telefonu. Wierz mi, gdybyśmy poszli teraz na policję, moglibyśmy wszystko stracić. Przypomnij sobie cienie w lustrach, świeczki i zabijającą magię. Rozumiesz, do czego zmierzam?

Po pewnym czasie Yael się z nim zgodziła.

– Tak, oni mi nigdy nie uwierzą – podsumowała cicho.

Opadła na jeden z foteli, z długim westchnieniem znużenia.

Thomas pogłaskał ją po włosach.

– Będziemy robić wszystko zgodnie z planem, Yael. Będziemy prowadzić własne śledztwo, dopóki nie udowodnimy, że jesteśmy niewinni i że potrafimy wskazać winnych. To jedyny sposób, żeby się z tego wyplątać.

– Naprawdę myślisz, że jest ich wielu? Cała organizacja?

– Jestem o tym przekonany. Są zbyt dobrze zorganizowani i dysponują zbyt dużą ilością środków jak na jednego człowieka.

Yael siedziała przez chwilę ze wzrokiem utkwionym w pustkę, zastanawiając się nad tym, co właśnie przeżywała. Dlaczego akurat ona?

Bez względu jednak na to kim są, nie zamierza im niczego ułatwiać – będzie walczyć kłami i pazurami. Oto, jaką obierze linię postępowania: nie ugnie się i będzie działać w myśl zasady „oko za oko, ząb za ząb”. Jednak w tym celu musi się dowiedzieć więcej o ich mocodawcy. Wstała, mobilizując całą swoją energię, po czym skinęła na Thomasa, żeby poszedł za nią w kierunku wind.

Znalazszy się w pokoju, zabrali jedyny w miarę cały świstek, jaki udało im się wyciągnąć z płomieni, po czym wrócili do holu, a Kardec miauczał, żeby wzięli go z sobą. Yael wsunęła dokument między kartki jakiegoś czasopisma, chcąc mu zapewnić choć namiastkę ochrony, i umieściła w małym płóciennym plecaku.

Szli w tłumie klientów, którzy rozprawiali, wychodząc z planem Paryża albo kamerą wideo. Blask błękitnego nieba napełniał hotel lekkością, która wprawiała gości w dobry nastrój.

Yael szła naprzód, przyglądając się mijanym postaciom i choć

zdawała sobie sprawę, że przesadza, nie potrafiła się powstrzymać. Zastanawiała się nad tym, co ukrył przed nią Thomas, nad morderstwem Lubrossa. Zbliżała się do szklanych drzwi z wyostrzonymi zmysłami i nic jej nie umykało.

Uśmiechy.

Szmer radosnych rozmów.

Wszystkie te podniecone spojrzenia, te zaciekawione twarze, te kudłate czupryny, te pstrokate ubrania... Hotelowa fauna gotowa ruszyć na ulice stolicy.

Wśród nich zaś dwie masywne sylwetki rozpychające się łokciami, jedna niosąca elektroniczny organizer, druga wypatrująca kogoś uważnie w tłumie.

Dwaj mężczyźni w czarnych skórach. Z bardzo zdeterminowanymi minami.

Obejrzawszy się na Thomasa, Yael stwierdziła, że zupełnie nie zwrócił na nich uwagi.

Do wyjścia brakowało nie więcej jak pięć metrów.

Yael obserwowała ich kątem oka – akurat kierowali się w stronę schodów.

Właśnie wtedy drugi mężczyzna ją zauważył.

Zmarszczył czoło.

Chwycił swojego kolegę za ramię, żeby się zatrzymał.

Tamten się zawahał. Sprawdził coś w organizerze, odwrócił głowę ku schodom, po czym znów spojrzał na nią.

Obaj zmienili kierunek.

Ruszyli wprost ku niej.

Yael szturchnęła łokciem Thomasa, który natychmiast zareagował. Wziąwszy dziewczynę pod rękę, przyspieszył kroku. Dwa kolosy zrobiły to samo, roztrzając przechodniów bez słowa. Kiedy Thomas pchnął drzwi, oboje wypadli na zewnątrz.

– Tamten facet z prawej był przedwczoraj w metrze. Gotowa?

Yael chciała zapytać, o czym mówi, ale on już pociągnął ją gwałtownie do przodu.

Pomknęli w kierunku samochodu, który zaparkowali nieco dalej. Zbyt daleko – błąd! Dwaj mężczyźni za nimi wyskoczyli właśnie z hotelu i rzucili się w pościg. Byli nie dalej niż dziesięć metrów od nich.

Krzywiąc się z powodu bólu w nodze, Thomas dopadł kilku zielonych pojemników na śmieci i zaczął je przewracać, Yael natychmiast zrobiła to samo. Kiedy odpadki się rozsypały, butelki zaś potoczyły pod nogi ich prześladowców, tamci zwolnili.

Tymczasem Thomas i Yael już pędzili dalej.

Yael przestała się klepać po kieszeniach i przerzuciła plecak do przodu, żeby wyjąć kluczyki do samochodu, jednocześnie nie zwalniając tempa. Peugeot 206 był coraz bliżej.

Podobnie jak pościg.

Yael grzebała w plecaku, nie mogąc znaleźć cennych kluczyków.

– Kluczyki...! – wydyszał Thomas.

Słyszała sapanie za plecami.

Odsunęła palcami portfel, następnie notes z adresami...
Samochód stał najwyżej sześć susów od nich.

Wreszcie jej palec dotknął klucza. Chwyliła go w dłoń i pociągnęła. Jednym gestem szarpnęła kluczyki i otworzyła drzwi. Oboje rzucili się do środka. Włożywszy kluczyk do stacyjki, dziewczyna uruchomiła silnik.

Ponieważ szybszy z mężczyzn znajdował się już przy niej, nie zdołała zatrzasnąć drzwi.

Wcisnąwszy pedał gazu, skrzyła gwałtownie, by oddalić się od krawężnika.

Na samochód padł cień mężczyzny, który chwycił się szyby.

Yael ścisnęła kurczowo kierownicę i wdusiła pedał gazu. Peugeot śmignął po asfalcie, drzwi zaś zamknęły się siłą przyspieszenia, przygważdżając napastnika do karoserii.

Yael oderwała lewą dłoń od kierownicy, ugięła rękę w łokciu i z całej siły rąbnęła mężczyznę w spłot słoneczny.

Powietrze nagle uszło z jego płuc, palce się rozwarły, po czym napastnik poleciał do tyłu.

W lusterku wstecznym Yael ujrzała, jak przesuwa się tyłem kilka metrów, po czym uderza nogami o bagażnik zaparkowanego samochodu i nieruchomieje.

Wówczas złapała za klamkę i zatrzasnęła drzwi, oddychając głęboko, żeby uspokoić bicie serca.

– Dobra robota! – zawołał Thomas, sam oszołomiony

zawrotnym tempem wydarzeń.

Kiedy peugeot dotarł do skrzyżowania przy placu de la Porte-de-Versailles, paliło się czerwone światło. Zwolnił.

Thomas skorzystał z tego, żeby zerknąć w lusterko.

Za nimi zwolnił właśnie czarny samochód z napędem na cztery koła.

– Cholera! – zaklął. – Już są!

Yael nie spuszczała wzroku z sygnalizatora, który ciągle palił się na czerwono. Przed nimi stała jakaś ciężarówka. Dziewczyna dwa razy szybko wypuściła powietrze. Po czym ruszyła z kopyta, żeby wyminąć ją z lewej strony. Wyprzedziła ciężarówkę, widząc, że terenówka zbliża się w szybkim tempie.

– W prawo! W boczną ulicę! – ryknął Thomas.

W chwili, gdy peugeot skręcał w skrzyżowanie, z prawej strony wyłonił się nagle skuter, dotychczas zasłonięty przez ciężarówkę.

Yael pomknęła w lewo, chcąc uniknąć zderzenia z jednośladem, który zdołał skręcić w ostatniej chwili, ocierając się o nich. Kierowca zahamował i odwrócił się, by zmieszać ich z błotem, Yael zdążyła już jednak zniknąć w ulicy Vaugirard, wciskając pedał gazu do oporu.

Motocyklista wyrzaskiwał przekleństwa.

Usłyszawszy zbyt późno pisk opon, obejrzał się, żeby sprawdzić, co się dzieje. Nagle jego oczom ukazała się osłona chłodnicy. Olbrzymia. Rąbnęła weń z całej siły. Po czym wyrzuciła niczym kukłę cztery metry dalej, prosto w witrynę jakiegoś sklepu.

Yael wydawało się, że widzi, jak z czarnej terenówki wyskakuje

jakaś postać i znika w witrynie, nie zdążyła się jednak dokładnie przyjrzeć, musiała bowiem skupić całą uwagę na wąskiej uliczce, w którą wjechał peugeot. Zerknęła na licznik. Dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

I terenówka, która ciągle siedziała im na ogonie.

Pojazdy stojące po obu stronach drogi zdawały się zbliżać do siebie w miarę jak wzrastała prędkość.

Fasady domów tworzyły lej, na którego dnie oba samochody toczyły śmiertelną walkę.

Kiedy Yael dotarła do rogu Convention, paliło się zielone światło, mimo to zwolniła i zablokowała klakson, aby bez przerwy trąbił. Przechodnie aż podskoczyli, gdy wóz przeciął skrzyżowanie, po czym natychmiast rozplynął się w powietrzu.

Podniósłszy głowę, ku swemu zdziwieniu Yael spostrzegła w lusterku, że terenówka jest tuż, tuż.

– Nie uda nam się ich zgubić! – zawołał Thomas.

Zdekoncentrowana Yael nieco zboczyła w prawo.

W samochodzie rozległ się huk uderzenia. Właśnie zahaczyła lusterkiem o lusterko sedana zaparkowanego na poboczu. Za oknami mignął im Szpital imienia Pasteura.

– Uwaga! – krzyknął Thomas, wskazując autobus, który znajdował się mniej więcej sto metrów przed nimi. Pojazd zajmował całą szerokość jezdni.

Yael się zawahała.

Po czym rzuciło ją do przodu. Właśnie ktoś w nich uderzył.

W pierwszej chwili poczuła, że siła uderzenia spadła na jej mostek, przy akompaniamencie zgniatanej blachy, następnie na kark, po czym cały tułów poleciał do przodu, ponieważ nie zapięła pasów. Uczepione kierownicy dłonie zamortyzowały cios, dlatego jej nos uniknął twardego uderzenia, do którego brakowało kilku centymetrów.

Właśnie walnęła w nich terenówka.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Kątem oka dostrzegła, że Thomas, który miał mniej szczęścia, uderzył o tablicę rozdzielczą.

Peugeot zjechał z drogi w prawo, z terenówką przyklejoną do tylnego zderzaka.

Zaraz autobus zmusi ją do zahamowania i zablokuje.

W ułamku sekundy Yael spojrzała na pas przed sobą – stary renault 4L zbliżał się powoli, w sporej odległości.

Yael ruszyła pod prąd, a peugeot wyrwał do przodu, wypuszczając z rykiem kłęby spalin i ocierając się o autobus.

Renault zamrugał światłami.

Yael znacznie przekroczyła dozwoloną prędkość.

Obejrzawszy się za siebie, stwierdziła, że terenówka znajduje się tylko dwa metry za nimi! Oceniała odległość, jaką musi pokonać, zanim będzie mogła skręcić.

Autobus nie miał końca.

Ona zaś jechała zdecydowanie za wolno.

Yael uświadomiła sobie, że nie da rady. I że nie ma żadnej drogi ucieczki.

Zaraz wpakuje się na renault, który jest tuż przed nimi!

Usłyszała krzyk Thomasa.

Rozległ się pisk hamulców renault 4L, po czym jego cztery koła otoczyła chmura dymu.

Yael wstrzymała oddech. Chyba uda się jej skręcić. To konieczne.

Peugeot tak ostro rzucił się pod autobus, że o mało nie wylądował na prawym boku. Renault 4L mignął mu w szybie niczym flesz.

Nagle Thomas wyprostował się w fotelu.

– Dranie! – wrzasnął.

Zerknąwszy w prawe lusterko boczne, Yael o mało nie puściła kierownicy. Terenówka pędziła po chodniku, siejąc strach i przerażenie.

Po czym znów usiadła im na ogonie.

Gnali ku sercu stolicy z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę.

Yael przecinała właśnie bulwar Montparnasse, gdy spostrzegła, że jeden z zabójców wychylił się przez okno i wymierzył. Do broni był dokręcony tłumik.

Thomas przycisnął Yael do kierownicy, ryzykując, że może stracić panowanie nad wozem.

Kiedy rozległy się dwa uderzenia, jedno po drugim, uzmysłowiła sobie, że to pociski, które trafiły w samochód.

Kolejna kula przeszła ze świstem tylną szybę, przecięła brzeg fotela kierowcy i utkwiała w radiu, które eksplodowało, wzbijając snop

syczących iskier.

Zbliżali się do bulwaru Raspail. Paliło się czerwone światło. Zatrzymanie się – tak jak i dalsza jazda – oznaczały śmierć.

Yael nie zdążyła jeszcze podjąć decyzji, gdy światło zmieniło się na zielone.

Przejechała, nie odrywając stopy od pedału gazu.

Żeby natychmiast zwolnić.

Za śmieciarką posuwał się w ślimaczym tempie długi sznur samochodów. Znajdowali się na wysokości Ogrodu Luksemburskiego.

– Chodnik! – wrzasnął Thomas. – Jedź!

Nie mieli już nic do stracenia.

Yael natychmiast wjechała na asfaltowy trotuar, trąbiąc na przechodniów, aby się rozstąpili. Kilka metrów dalej przejście się zwiężało i groziło im zablokowanie. Znajdująca się po prawej stronie furtka do Ogrodu Luksemburskiego była otwarta.

– Jedź! – powtórzył Thomas.

Peugeot wpadł w aleję, wzbijając oponami tumany piasku, za nim zaś pognąła terenówka.

Możliwości peugeota były już na wyczerpaniu, gdy goniący go wóz sprawiał wrażenie, że dopiero się rozkręca.

Na widok pościgu dziesiątki spacerowiczów rozpierzchły się na wszystkie strony, z kolei ci na leżakach ledwie zdążyli uciec.

Nagle drzwi obu pojazdów znalazły się obok siebie. Wówczas znów pojawiła się dłoń z bronią.

Jechali właśnie wzdłuż południowej ściany budynku senatu, za

którą zaczynał się duży staw.

Na prawo, pod kątem ostrym, otwierała się droga.

Yael zahamowała błyskawicznie i gwałtownie skręciła.

Peugeot zdołał ominąć mały kiosk ze słodyczami, ale przewracał stojące w rzędzie leżaki.

Aluminiowe rurki rąbnęły wprzód samochodu, rozbijając reflektory i dziurawiąc maskę. Jedna z nich podskoczyła do góry i uderzyła w przednią szybę. Przez całą jej długość przeszły dwie grube rysy, sprawiając, że przy najlżejszym uderzeniu mogła się roztrzaskać na kawałki.

Wjechawszy na środek alei, Yael odetchnęła z ulgą. Nikogo nie potrąciła. Niestety, stracili lusterko.

– Gdzie oni są? Widzisz ich? – zaniepokoiła się.

Thomas rozejrzył się wokół. Spozrzegł terenówkę po drugiej stronie nasypu, na szerokiej drodze.

– Tam! Zostań tutaj. Przy tej szybkości nie dadzą rady tak przejechać, żeby nas dogonić.

Kilka pocisków utkwilo jednak w karoserii. Tylne szyby się roztrzaskała.

Droga wiodła jeszcze kawałek dalej, po czym skręcała, na końcu łącząc się z inną – tą, po której pędziła terenówka – tworząc zarys litery „U”. Pośrodku, między betonowymi pustakami, wznosił się niewielki podjazd prowadzący na podwyższoną esplanadę.

Na podjeździe nie było miejsca dla dwóch samochodów.

Yael, tracąc coraz bardziej trzeźwość umysłu, zdecydowała się

postawić wszystko na jedną kartę.

Przekroczyła sto czterdzieści kilometrów na godzinę, potem sto pięćdziesiąt. Licznik wskazywał sto siedemdziesiąt kilometrów na godzinę.

Thomas spojrzął na nią zdumiony.

– Zwolnij! – wrzasnął. – Jedziesz za szybko! Zabijesz nas!

Nie odpowiedziała, przez cały czas trzymając nogę na pedale gazu.

Zbliżali się do zakrętu, a Yael jechała przy samej balustradzie, żeby nie musieć skręcać. Pędzili prosto na podjazd.

Krzewy musnęły przód samochodu tak szybko, że aż je ścięło.

Mknęli prosto na wąski podjazd.

Thomas zacisnął dłoń na klamce i zamknął oczy.

W ostatniej chwili Yael zahamowała z wściekłością. Peugeotem zarzuciło najpierw w prawo, potem w lewo. Yael chwyciła kurczowo kierownicę i ruszyła na podjazd z prędkością blisko stu kilometrów na godzinę.

Najpierw trysnął snop iskier, potem koła się uniosły, na koniec zaś cały samochód oderwał się od ziemi i wzbił w powietrze. Yael przyspieszyła, żeby nie stracić tempa... Minęła całą wieczność, nim wrócili na ziemię, kiedy zaś peugeot rąbnął z całej siły o podłoże, na przedniej szybie pokazały się dwa nowe pęknięcia.

Opony przywarły do drogi, popychając maszynę naprzód.

Nagle w szybie pojawiła się jakaś kobieta. Yael doskonale zdawała sobie sprawę, że przy tej prędkości rozpląszczy ją na placek.

Wrzasnęła. Kobieta zrobiła krok do tyłu, jej ubranie załopotало od powiewu peugeot, który tylko ją musnął.

Yael nie wierzyła własnym oczom.

Wjechała wreszcie między drzewa, chcąc się wydostać.

Daleko z tyłu znów wyłoniła się terenówka.

Po kilku sekundach na ulicy Auguste-Comte rozległ się dźwięk syreny. Do zabawy przyłączył się właśnie wóz policyjny.

Yael skrzyła gwałtownie, żeby wjechać w jakąś uliczkę, zanim ją zobaczą, i przyspieszyła.

Thomas wykręcił szyję, żeby patrzeć, co dzieje się za nimi.

Po minucie poprosił, by zwolniła.

– Dali sobie spokój na widok policji – stwierdził. – Teraz gdzieś zaparkuj.

Do Yael dopiero zaczęło docierać, co właśnie zrobiła.

Adrenalina zamieniła się w lęk.

Nogi całkiem się pod nią ugięły. Zaczęła się trząść. Zdoławszy zaparkować na poboczu, opadła na kierownicę.

Thomas odczekał długą chwilę, po czym, przytykając chustkę na przemian to do nosa, z którego ciekła mu krew, to do guza, który ozdabiał czoło, stwierdził głucho:

– Sytuacja jest krytyczna, Yael. Zdaje się, że jestem ci winien wyjaśnienie.

– Na jaki temat? – szepnęła, nie podnosząc głowy.

– Na temat czegoś, co zrobiłem... Czegoś bardzo poważnego.

Yael wyprostowała się powoli.

– O czym ty mówisz? – zapytała, bojąc się dalszego ciągu.

– Przy robieniu reportaży zdarzało mi się pracować nad służbami informacyjnymi i ich metodami działania. Napisałem długi, bardzo dobrze udokumentowany artykuł o Echelonie, systemie przechwytywania elektronicznego, stworzonym przez Amerykanów do szpiegowania całej planety: naszych telefonów, korespondencji mejlowej i całej reszty.

Zamilkł na moment i dotknął grzbietu nosa: nie był złamany. Yael domyślała się, że dzięki temu drobnemu zabiegowi nie musiał patrzeć jej w oczy. „To, co ma mi do powiedzenia, musi mu cholernie ciążyć” – stwierdziła w duchu, ogarnięta coraz większym niepokojem.

– W tamtym okresie stykałem się z całą bandą radosnych świrów i przyznaję, że nauczyłem się kilku odruchów.

Szukając odpowiednich słów, odwrócił się wreszcie ku Yael. Tym razem przemówił zdecydowanym tonem, z ogromnym uczuciem:

– Nawet nie masz pojęcia, ile opracowano systemów, żeby nas szpiegować. Każdy twój krok jest zanotowany i zarchiwizowany, i przysięgam, że nie przesadam ani trochę. Jeżeli facet ze służb wywiadowczych uzna, że jesteś warta uwagi, będzie wiedział o tobie wszystko. Doświadczenie to pozostawiło po sobie parę... śladów.

– Co takiego? Coś ci zrobili? – wykrztusiła Yael ze ściśniętym gardłem.

– Nie, nie, nic z tych rzeczy, udało mi się napisać artykuł i sprzedać go kilku gazetom, ale... zmieniłem się pod wpływem tego doświadczenia. Na co dzień jestem taki jak wszyscy, tylko, że... Kiedy dzieje się coś podejrzanego, przechodzę na system „świra” i zaczynam się zachowywać jak wariat.

– To znaczy?

– Na przykład kiedy wracam wieczorem do domu i wydaje mi się, że niektóre moje rzeczy zmieniły miejsce...

– Masz na myśli, że ktoś się do ciebie włamał? – zdumiała się Yael.

Thomas zrobił zakłopotaną minę. Prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu zwierzył się komuś ze swoich drobnych nerwic.

– Cóż, nigdy nie byłem zbyt formalistą, może to ja się mylę, ale kiedy to się zdarza, kiedy mam wrażenie, że ktoś złożył mi wizytę, stawiam krzesło pod drzwiami... Te sprawy.

Yael westchnęła.

– Posłuchaj, każdy ma swoje drobne dziwactwa, ale nie wiem, co to ma wspólnego z nami.

Tym razem na twarzy Thomasa pojawiły się bruzdy.

– Ma, Yael. Tamtej nocy, kiedy poszliśmy do hotelu i kiedy się upewniłem, że śpisz, wyszedłem.

Yael czekała na dalszy ciąg, nagle pełna obaw.

– Pożyczyłem sobie twoją kartę kredytową. Po czym zszedłem do kabiny telefonicznej, żeby zarezerwować pokój w innym hotelu niż nasz. Podałem przez telefon numer twojej karty, a następnie zrobiłem

rundkę po mostach pod obwodnicą, chociaż wcale nie musiałem daleko chodzić, żeby znaleźć parę kloszardów, która by się w miarę dobrze prezentowała.

Na twarzy Yael odmalowało się przerażenie.

– Powiedziałem im, jakie nazwisko mają podać w recepcji i że pokój jest opłacony na trzy noce.

– Boże święty! – szepnęła do siebie Yael.

– Przesadziłem, przyznaję. Na początku pomyślałem sobie, że posłużenie się tymi biednymi ludźmi to nic takiego i że przynajmniej spędzą noc w cieple. Mówiłem sobie, że na pewno nic się nie stanie, jeżeli moja paranoja nie jest szaleństwem, a wtedy w najgorszym razie para zostanie aresztowana, przesłuchana i wypuszczona bez dalszych ceregieli. Ale to by nam przynajmniej dało jakąś wskazówkę na temat ludzi, którzy cię prześladowają. Po sprawie z tamtymi dwoma facetami w metrze i naszej wędrownicy po katakumbach zacząłem się poważnie zastanawiać nad tożsamością osób, które tak bardzo mają z tobą na pieńku. Chciałem się tylko upewnić, czy...

– Czy co? Czy jestem wyplącalna? – dokończyła Yael z nutą rozdrażnienia w głosie.

Thomas pokręcił głową z kamienną twarzą.

– Czy ci, którzy chcą ci zaszkodzić, nie są w jakiś sposób powiązani z rządem.

– Z kim?

– Z rządowymi służbami informacyjnymi. Z wywiadem, policją, służbą wywiadowczą, z kim tylko chcesz.

– Twoje rozumowanie jest całkiem pokręcone! Dlaczego gliny miałyby...

– Ale właśnie tak się stało! – przerwał. – Dziś w nocy zastrzelono dwoje bezdomnych. Słyszałem rano rozmowę dwóch kelnerów z naszego hotelu. To dużo, nie? Jacyś goście usiłują cię zabić, po czym ludzie zarejestrowani na twoje nazwisko dostają kulkę w łeb! Tylko dzięki twojej niebieskiej karcie mogli dotrzeć do tego pokoju. Właśnie karta kredytowa jest pierwszą rzeczą, którą starają się wyśledzić ci ze służb rządowych, kiedy szukają jakiegoś zbiega.

– To... To dlatego nie chciałeś, żebym za cokolwiek płaciła? – przypomniała sobie.

– Tak. Na wszelki wypadek. Zapłaciłem za nasz pokój, nie podając nigdzie twojego nazwiska – zamilkł na chwilę, żeby zebrać myśli. – Usiłuję ci uświadomić, że tylko oficjalne służby mogą mieć dostęp do twojej kartoteki bankowej.

Yael nie chciała tego słuchać.

– Nie mów głupstw! W całym moim życiu nie zrobiłam nic nielegalnego! Nawet nie paliłam marihuany! Nic, powtarzam! To głupie, że tak myślisz. Nie jesteśmy w amerykańskim filmie. Tacy ludzie jak ja nie bywają wplątani w żadne podejrzane spiski!

Thomas przeczekał burzę – Yael musiała wyrzucić z siebie strach, który tak naprawdę krył się za tym buntem.

– Daj sobie czas, żeby się zastanowić – powiedział w końcu. – Przecież sama twierdzisz, że nie masz sobie nic do zarzucenia. Ktoś usiłował cię jednak zabić w samym środku Paryża i to wiele razy. To

nam się wcale nie wydaje. – Pokazując przestrelone radio, dodał: – To jest całkiem realne. Podobnie jak ty nic z tego nie rozumiem. Ale za to wiem, że zabójcy mieli dostęp do twoich najświeższych danych bankowych. Serwery bankowe należą do najlepiej strzeżonych na świecie. Czasami słyszy się o hakerach, którzy włamują się na strony internetowe FBI albo centrali atomowej w Korei, ale nigdy do banku. Tylko organy rządowe mają do nich dostęp. Policja, tajne służby, armia.

Yael pokręciła głową. Nie mogła w to uwierzyć.

– Potrafili cię namierzyć w ciągu dwudziestu czterech godzin. Kiedy zdali sobie sprawę z własnego błędu, nadal szukali, aż w końcu dopadli nas dziś rano.

– Jak im się udało do nas dzisiaj dotrzeć? – zapytała cicho. Po policzkach płynęły jej łzy.

– Nie mam pojęcia, ale lepiej, żebyśmy się dowiedzieli, zanim zaczną na nowo. Z obawy, że mogli ci podłożyć nadajnik, pójdziemy ci kupić nowe ciuchy.

Podniosła dłoń w geście bezradności.

– Jak... Jak mam to zrobić? – Rozpłakała się. – Nie... Nie mogę przecież za nic zapłacić.

Thomas pogładził ją po włosach.

– Ejże, coś za szybko zapomniałaś, że ja jestem z tobą, nie? Za kilka godzin pewnie sprawdzą nazwisko, na jakie zarezerwowaliśmy pokój, i dojdą też do mnie. To oznacza, że muszę zasuwać do najbliższego bankomatu. – Po czym dodał chcąc ją rozweselić: – Jak myślisz, prędko damy radę wyczyścić moje konto?

Bez powodzenia.

– Thomas – rzekła po długim milczeniu. – Ci... ludzie, którzy zginęli dziś w nocy.... Dlaczego oni ich zabili?

Dziennikarz nerwowo przygryzł wargę.

– Bo trzeba cię zlikwidować, Yael. Za wszelką cenę.

Zamknęła oczy – Skoro oni nie żyją... To moja wina – dodał. – To ja ich w to wciągnąłem.

Sama już nie wiedziała, czy powinna być na niego wściekła, czy dziękować mu za to, że jeszcze żyje.

Widząc w jego oczach ogromny smutek i ból, wołała się nie odzywać. Thomas dźwigał ciężar winy. Od tej pory będzie żył ze świadomością, że zabił dwie osoby. Usiłując ją chronić.

– Co teraz zrobimy? – zapytała niemal z czułością.

– Najpierw wybierzemy pieniądze. Następnie poszukamy nowego lokum. Później czeka nas mnóstwo roboty, pamiętasz?

– Spalona kartka...

– Tak, to pilniejsze niż kiedykolwiek. Nikt tego za nas nie zrobi, a ten dokument może pozwoli nam zyskać trochę na czasie.

Yael złapała się za głowę.

– Jeżeli masz rację, to jak zdołamy się z tego wyplątać? Jak mogę udowodnić, że jestem niewinna? Komu mam to udowodnić?

Znów zaczęła panikować.

Thomas zmusił ją, żeby spojrzała mu prosto w oczy, mówiąc:

– Yael, wszystko w swoim czasie, dobrze? Znajdziemy. Wyplącemy się z tego. Panuj nad sobą, bo potrzebuję tego. Pamiętaj,

że jestem przy tobie.

Nagle uświadomiła sobie jak bardzo on, który niczego od niej nie żądał, jest jej bliski. To ona wciągnęła go w to polowanie na tajemnice, którego stali się ofiarami. Teraz zaś, czy tego chciał, czy nie, nie mógł jej już zostawić. Jak sam zauważył, zabójcy z pewnością odkryją jego tożsamość za pośrednictwem hotelu, ponieważ to on płacił. Yael pomyślała, że jest straszną egoistką. On nigdy się nie skarżył, zawsze pomagał jej bez wahania. Naraził się dla niej na szalone ryzyko.

– Wybacz mi, Thomas – powiedziała. – Nikt nie zrobiłby tego, co ty robisz dla mnie.

Spojrzał w jej jasne oczy na wpół wzruszony, na wpół radosny. Krótko ją pocałował w kącik ust.

– Jazda, skupmy się na tym, co mamy do zrobienia. Po pierwsze, pieniądze, po drugie, ubranie, po trzecie, mieszkanie.

Yael wzięła się w garść, po czym zrobiła w myślach listę przyjaciół. Wszyscy w sierpniu wyjechali.

Oprócz Tiphaine, która spędzała weekend ze swoim facetem.

– Możemy pójść do mojej przyjaciółki, jeżeli już wróciła. Pozwoli nam u siebie zamieszkać bez problemu.

– Nie ma mowy. Nie wiem, kim są ci ludzie. Możliwe, że sporo o tobie wiedzą, także o twoich znajomych. Niewykluczone, że obserwują jej dom.

– Czy ty masz jakichś znajomych, u których moglibyśmy zamieszkać? Może ci, u których spałeś przez ostatnie tygodnie...?

Thomas miał zakłopotaną minę.

– Yael... Ja... Ja nie chcę ich w to mieszać, rozumiesz?

Natychmiast zmarszczyła brwi, wściekła na samą siebie.

– Przepraszam – odparła czym prędzej. – Ja... Masz rację, jestem egoistką. I tak już wpakowałam cię w ten koszmar – dodała zmieszana. – Naprawdę mi przykro.

Chwycił ją za rękę stanowczym gestem.

– Wyobraź sobie, jaki z tego wysmażę artykuł! – zażartował. – Nie! Jaka z tego powstanie książka!

Osiągnął jednak tylko tyle, że się skrzywiła.

– Kardec! – wykrzyknęła. – Zostawiłam kota!

Thomas pokręcił przecząco głową.

– Dobrze wiesz, że nie możemy po niego pójść.

Zacisnęła dłonie na kierownicy.

– Przecież to mój kot!

– Zobacz, w jakim stanie jest twój samochód. Miałaś niesamowite szczęście, że uszłaś z tego cało. Drugi raz to się nie powtórzy.

Yael westchnęła głęboko, jakby chciała stłumić gniew.

– Co do mieszkania, masz rację – mówił dalej. – Poproszę... kogoś, żeby nam pomógł.

– Thomas, sam powiedziałeś, że nie powinniśmy go w to wciągać...

– To nie on. To raczej znajomy niż przyjaciel, ale potrafi zachować dyskrecję, może nawet będzie umiał nam udzielić konkretnej

pomocy. To trochę... dziwny facet, ale bardzo sympatyczny. Jest... Jest adeptem teorii spisku. Chodzący okaz tego, co możemy oglądać wyłącznie w telewizji, jakby żywcem wzięty z odcinka *Archiwum X*. To w drogę, przynajmniej nie zostaniemy zbyt długo w okolicy.

Peugeot zawarczał i zjechał z chodnika.

Gdy mknęli ku prawemu brzegowi, Yael oznajmiła:

– Powiedziałaś, że miałam niesamowite szczęście, że wyszłam z tego cało, ale chyba przyznasz, że sama też mam w tym swój udział! Pragnę to wyraźnie podkreślić. Sama jestem zdumiona.

Thomas wybuchnął śmiechem.

– To prawda – zgodził się. – Napędziłaś mi największego stracha w życiu, ale stanęłaś na wysokości zadania!

Uczepiła się tych słów. To już było coś.

Szczypta otuchy w oceanie przeciwności losu, który ją zalewał.

Pugeot czekał z włączonym silnikiem, gotów ruszyć przy najmniejszych oznakach zagrożenia. Yael wpatrywała się nerwowo w stojącego przy bankomacie Thomasa. Jej samochód zamienił się we wrak: bagażnik był całkowicie wgnieciony, jedna szyba boczna zbita, w tylnej widniała dziura na wylot, z kolei wystarczyłby byle podmuch, żeby przednia zwała im się na kolana. Co zaś do pocisków, które podziurawiły karoserię... Yael miała ochotę jak najprędzej ukryć gdzieś auto i przemieszczać się piechotą.

„Pospiesz się, Thomas...”

Dziennikarz wrócił energicznym krokiem i usiadł obok niej.

– Mam trzy tysiące euro, czyli tyle, ile wynosi tygodniowy limit mojej karty. To całe moje oszczędności – dodał z udanym żalem. – Na jakiś czas musi nam wystarczyć. A teraz jedź, bo jeśli śledzą na bieżąco operacje na moim koncie, to pewnie już są w drodze.

Yael włączyła się do ruchu i dotarła do bulwaru Voltaire w Jedenastej Dzielnicy, szerokiej alei z typowo haussmannowskimi fasadami domów. Zaparkowali w bocznej ulicy, nie chcąc wjeżdżać na nafaszerowany kamerami podziemny parking. Kupiwszy torbę podróżną w jednym z licznych butików azjatyckich, udali się na zakupy do sklepów z ubraniami. Thomas wyjaśnił, że korzystniej jest dla nich zaopatrzyć się właśnie tam, wspólnota chińska jest bowiem znana ze swojej dyskrecji, jeśli tylko płaci się gotówką, aby nie zostawiać śladów. Rzadko rozmawiali z kimś, kto przychodził zadawać pytania,

zwłaszcza z policją. Chińscy imigranci starali się robić jak najmniej szumu wokół siebie, wtapiając się w czynną zawodowo ludność Paryża, i czynić wszystko, żeby o nich zapomniano. Stosowali taktykę trzech małp: nic nie widzieć, nic nie słyszeć, nic nie mówić.

Na wszelki wypadek Thomas kupił jej nową portmonetkę, po czym Yael przełożyła do niej zawartość starego portfela, nie dostrzegając w nim nic, co mogłoby wzbudzić jej niepokój.

Dziewczyna wyszła ze sklepu w dżinsowych ogrodniczkach i podkoszulku z długim rękawem, dzięki czemu wyglądała bardzo młodzieńczo.

– Od dawna o tym marzyłam! – oznajmiła w drodze do samochodu.

– O czym? Żeby nosić ogrodniczki?

– Nie, żeby łązić po butikach z facetem, który za wszystko płaci!

Thomas się uśmiechnął. Znow potrafiła żartować – to dobry znak.

Nie musieli długo jechać, żeby dotrzeć na ulicę Vacquerie, gdzie Thomas wskazał drewnianą bramę. Wysiadł, żeby zadzwonić domofonem i wydawał się uspokojony, słysząc odpowiedź. Zamienił kilka słów ze swoim rozmówcą, po czym zamek się otworzył. Peugeot wjechał na maleńki brukowany dziedziniec, za którym znajdowała się pracownia artystyczna.

Yael zgasiła silnik i dołączyła do Thomasa.

– Schowamy go tutaj – powiedział.

– Czy to nie jest trochę niebezpieczne zostawić go tak blisko nas?! Jeżeli rzeczywiście umieścili nadajnik w samochodzie...

– Trzeba zaryzykować. Pozbyliśmy się przecież całej reszty. A poza tym oni sami narazili życie, gwiżdżąc na dyskrecję, żeby nas nie wypuścić z łap. To może oznaczać, że w twoim samochodzie nie ma żadnego nadajnika.

Yael zgodziła się z nim, jego rozumowanie bowiem miało sens.

Gdy drzwi się otworzyły, ukazał się w nich mężczyzna około trzydziestki, o maghrebskim typie urody, dość długich kręconych włosach, które okalały jego głowę czupryną barwy hebanu, o pociągłej twarzy i sportowej sylwetce. Yael zauważyła, że podkreślał swój naturalny wdzięk starannym strojem: jasnymi płóciennymi spodniami i koszulą z wykrochmalonym kołnierzykiem.

– Thomas! – wykrzyknął. – Kopę lat!

Na widok Yael skłonił głowę.

– Witam.

– Yael, przedstawiam ci Kamela, przyjaciela, którego poznałem w zeszłym roku, kiedy robiłem reportaż o służbach informacyjnych.

– Co was sprowadza? – zapytał Kamel, zapraszając ich do środka. – Przynosicie jakąś dobrą wiadomość?

– Niezupełnie – mruknęła Yael.

Kamel zamilkł pełen niepokoju.

– Coś nie tak?

– To... trudne do opowiedzenia – odrzekł Thomas.

Widząc zmartwione miny swoich gości, Kamel dał znak, że

rozumie. Nie dodał nic więcej, poprzestając na wprowadzeniu ich do salonu, po czym poszedł na poszukiwania czegoś pokrępijącego.

Duży loft z kuchnią w amerykańskim stylu był cały wyłożony parkietem, pomalowane zaś na biało ściany ozdabiał kamień. Schody wiodły na piętra: dwa podesty w formie antresoli.

Yael usiadła obok Thomasa na białej skórzanej kanapie, tymczasem Kamel wrócił, niosąc wschodnią tacę, na której stał imbryk i szklanki ze złotą obwódką.

– Herbata powitalna – obwieścił gospodarz. – Zaraz mi |
wszystko opowiecie.

– Kamel – zaczął dziennikarz – przede wszystkim muszę cię
uprzedzić, że nasza obecność tutaj może cię narazić na
niebezpieczeństwo.

– Jak to?

Thomas szukał natchnienia masując sobie czoło.

– To przeze mnie – wtrąciła Yael. – Ktoś chce mnie zabić.

Kamel czym prędzej odstawił imbryk, który właśnie podniósł.

Po czym uważnie wysłuchał ich opowieści.

Kiedy skończyli, w lofcie zapadła taka cisza, że usłyszeliby
nawet muchę pocierającą łapką o łapkę. Thomas i Yael spoglądali po
sobie zakłopotani milczeniem Kamela.

Ten ostatni nagle klasnął w dłonie.

– Możecie być przynajmniej pewni, że dostaniecie dach nad
głową i gorące posiłki, a to już coś – stwierdził.

Ciągle zakłopotana Yael upierała się przy tym, co najl

istotniejsze:

– Pomagając nam, może pan zostać w to wciągnięty, i to ze wszystkimi konsekwencjami.

Kamel machnął ręką.

– Gościnność to wielowiekowa cnota w mojej kulturze, ona zaś wymaga czasem poświęceń.

Thomas pochylił się ku niemu.

– Kamel, pomijając twoją wspaniałość, usiłujemy dać ci do zrozumienia, że jeśli pozwolisz nam tu zamieszkać, twoje życie może się wywrócić do góry nogami.

Gospodarz zagłębił się w fotelu naprzeciwko i położył dłonie na kolanach. „Postawa lwa” – pomyślała Yael.

– Przyszliście do mnie, bo mnie znasz, prawda, Thomas? – odparł, starannie wymawiając każde słowo, aby nadać mu jak największą siłę. – Przecież wiesz, że żyję tylko po to: dla geopolitycznej prawdy na naszej planecie. Wasza historia może mnie więc tylko pasjonować. I wiesz także, że w tym celu jestem gotów ponieść każde ryzyko. Prawdziwe prawa opierają się na szacunku dla innych, a nie na kłamstwie. Zamierzam zaofiarować wam nie tylko gościnę, ale także pomoc.

Thomas i Yael równocześnie pospuszczali głowy.

– Dziękuję – powiedzieli po kolei.

– Jeśli uda nam się z tego wyjść cało, odwzajemnię się panu – zapewniła dziewczyna. – To może być trudne, ale...

– W moim domu należy przestrzegać tylko jednej zasady –

oznajmił Kamel, podnosząc palec. – W tych ścianach nikt nie mówi do nikogo na „pan”. Tu są sami przyjaciele.

Po czym wstał, aby zaprowadzić ich na samą górę, do jedyne wolnego pokoju, jakim dysponował. Ani Yael, ani Thomas nie ośmielili się zaprotestować na widok podwójnego łóżka, żadne z nich nie wyjaśniło też, że nie są razem. Zadowolwszy się pozostawieniem w nim swoich skromnych bagaży, zeszli z powrotem na dół.

– Można włączyć telewizor? – zaproponował Thomas.

– Chciałbym usłyszeć, co powiedzą w dzienniku o trzynastej.

Włączyli akurat na zapowiedzi wiadomości.

Pierwszym tematem okazał się pościg. Wspominano o szalonej jeździe przez Paryż dwóch samochodów, której następstwem jest jeden zabity i kilku lekko rannych.

Yael przełknęła ślinę, słysząc ten bilans.

Prezenter podkreślił, że obaj szoferzy uciekli mimo interwencji wozu policyjnego i że jak na razie wszystko wskazuje na wzajemne porachunki. Wielu świadków widziało, jak pasażer terenówki wycelował pistolet, zresztą tej samej terenówki, która uderzyła w motocyklistę na skuterze. Mężczyzna zmarł w szpitalu.

– Musimy rozszyfrować kartkę, którą zwinęliśmy Lubrossowi – stwierdził Thomas z poważną miną.

Yael chwyciła plecak i otworzyła czasopismo, żeby sprawdzić, w jakim stanie jest cenny dokument.

„To niesamowite, że człowiek może pokładać wszystkie swoje nadzieje w takim drobiazgu...” Był nietknięty, dokładnie w takim

stanie, w jakim go ocaliła.

W reportażu telewizyjnym zabrali teraz głos politycy, na ekranie pokazał się więc minister spraw wewnętrznych i oświadczył:

– Potworność tej tragedii wzmagą fakt, że winni zdołali uciec, zanim ktokolwiek zdążył zanotować numery tablic rejestracyjnych. Jest to przyczynek do dyskusji na temat umieszczenia w Paryżu kamer i stanowi dowód na to, że należy jak najprędzej podjąć tego typu kroki. Jestem oburzony, że po raz kolejny trzeba było śmierci niewinnych ofiar, aby uciszyć umysły przeciwnie bezpieczeństwu i aby umożliwić przegłosowanie ustaw, które zapewnią naszym współobywatelom legalną ochronę i spokój, jakich oczekują!

Kamel wyłączył dźwięk pilotem.

– Właśnie to mnie oburza! – wrzasnął, starając się zapanować nad narastającą w nim zimną furją. – Za każdym razem trzeba odszyfrowywać informacje i doszukiwać się prawdy za manipulacją! Popatrz na tego polityka – ciągnął, biorąc Yael na świadka. – Mówi ci, że to potworna tragedia, robi dobrą minę, ale wiesz, co naprawdę robi? Wykorzystuje pierwszą nadarzającą się okazję, żeby przeforsować swój projekt śledzenia za pomocą kamer wideo. I tak jest co tydzień! Demagogiczna hipokryzja, która dawno już przekroczyła granice etyki, i nikt nie protestuje!

Odstawiwszy szklanę z herbatą, Yael odrzekła:

– Thomas mi mówił, że jesteś czymś w rodzaju specja od informacji, zgadza się?

– Niezupełnie, raczej bojownikiem o prawdę. Walczę o jasny

obraz naszej rzeczywistości. O to, żeby ludzie mieli dostęp do informacji. A nie do jej interpretacji.

– A czy tak nie jest?

Kamel wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

– Gdyby tak było, mielibyśmy rewolucję.

Zdumienie Yael było aż namacalne.

– Ależ tak! – upierał się Kamel. – To, co do nas dzisiaj dociera, to nie jest informacja, tylko manipulacja. A to różnica.

– Więc ty... śledzisz wszystko to, co się dzieje za kulisami naszej historii współczesnej, tak?

– W rzeczy samej.

– W takim razie wiesz, jak działa CIA i oni wszyscy.

– To podstawy. Tajemnice historii. Wielkie i małe kłamstwa. Od JFK do chipów w naszych dowodach osobistych.

– Wiesz, kto zabił JFK? – zażartowała Yael.

Kamel odpowiedział po prostu, z całkowitą powagą:

– Oczywiście.

Yael uniosła brwi.

– A więc kto?

Kamel wyprostował się w fotelu.

– Porozmawiamy o tym przy kolacji, a na razie, zdaje się, mamy coś do roboty, nie?

– Trzeba zmusić popiół do mówienia – zgodził się Thomas.

Kosmetyczka otworzyła szeroko swoje umalowane oczy.

– Słucham? – zapytała.

– Chciałbym wynająć kabinę solarium na pół godziny dla nas trojga – powtórzył Thomas.

Położywszy przed nią 30 euro, wyjaśnił:

– Proszę się nie obawiać, to będzie tylko drobny eksperyment.

– Mam nadzieję, że jej nie zepsujecie ani nie zabrudzicie?

– Zostawimy ją w takim stanie, w jakim była.

Kobieta wzięła banknoty i spojrzała w grafik.

– Jak przypuszczam, potrzebujecie trzech par okularów?

– Poproszę.

Poprowadziła ich na koniec korytarza, jej obcasy zaś stukały po kafelkach podłogi.

– To tutaj. Mam uruchomić maszynę?

– Tak, na dwadzieścia minut, to powinno wystarczyć – odparł Thomas. – Aha, czy... nie ma pani przypadkiem chusteczek? Wie pani, chusteczek nawilżających.

Popatrzyła na niego, jakby przybył z innego świata, po czym odeszła bez słowa.

– Nie to nie, trudno.

Kamel już miał zamknąć drzwi, kiedy kosmetyczka podała mu pudełko chusteczek.

Usiedli wokół cylindra, który zajmował dwie trzecie pokoju.

Musieli uklęknąć, żeby znaleźć się na poziomie łóżka. Po chwili włączył się wentylator, urządzenie zaś zaczęło buczeć. Zamrugały fioletowe rurki.

Thomas złapał chusteczki, usiłując odnaleźć ich skład na opakowaniu.

– Dobra. Yael, podaj mi, proszę, kartkę.

Wręczyła mu cienką kartkę, poczerniałą i pofalowaną.

– Ostrożnie, jest bardzo krucha.

Thomas rozprostował jedną chusteczkę, po czym rozłożył na niej dokument, zostawiając zapisany fragment w powietrzu.

– Co robisz? – zapytała Yael.

– W substancjach nawilżających często występuje gliceryna. Zaraz wsiąknie w papier, nada mu odrobinę spójności, a przede wszystkim go zmiękczy, żeby się nie pokruszył. Dzięki temu będzie można łatwiej nim manipulować.

– Studiowałaś chemię? – zdziwił się Kamel.

– Nie, spędziłem sześć miesięcy z naukowcem z policyjnego laboratorium. Wydaje mi się, że zdążyłem poznać wszystkie ich drobne sztuczki.

Neony świeciły pełnym blaskiem, toteż cała trójka musiała włożyć okulary, aby nie uszkodzić sobie wzroku.

Thomas zaczął mówić nieco głośniejszym głosem, żeby zagłuszyć buczenie maszyny.

– A skoro nie mamy odpowiedniego sprzętu, fundujemy sobie lekturę ultrafioletem za pomocą tego, co jest dostępne.

Otworzywszy całkowicie cylinder, wsunął doń czarny prostokąt.

– Promienie ultrafioletowe powinny uwidocznić atrament na papierze, ponieważ każde z nich odbija fale o innej długości. To znaczy... jeśli dobrze zapamiętałem lekcję.

Thomas opuścił nieco górną część, aby przybliżyć lampę, i zaczął powoli obracać kartką, usiłując dojrzeć pismo.

Wreszcie pojawiły się ledwie dostrzegalne kreski i zaokrąglenia nieco jaśniejsze niż tło.

– Chyba... chyba da się coś odczytać! – wpadła w entuzjazm Yael.

Nie potrafiła odszyfrować pisma z dostateczną precyzją... Zdjęła więc okulary i zmrużyła oczy, aby czytać mimo oślepiającego światła promieniującego z sarkofagu.

– *Kiedy faza czynna będzie... gotowa, uruchomić ją wraz z następującą wiadomością: Historia ludzkości jest... sumą odbić... historii ludzkich – przeczytała.*

Mimo zastosowanej metody niektórych liter nie dało się odszyfrować, toteż Yael musiała się ich domyślać na podstawie znaczenia całego wyrazu. Po chwili zdołała ogłosić resztę:

– *Gromadzimy je. Porządkujemy. Ten, kto ma kontrolę nad ludźmi i zwycięstwami, ma kontrolę nad historią. Twoja, Yael, jest ukryta w wąwozie, pod Diabelskim Mostem. W największym kotle wirowym, gdzie ciągle i ciągle wre, czekając, aż ją poznasz. Zacznij od odnalezienia prawdy pod powierzchnią, tam, gdzie piekło wznosi się ku niebu.*

Wróciwszy do Kamela, zainstalowali się na pierwszym poziomie, górującym nad loftem: w biurze, gdzie pracowały trzy komputery z płaskimi monitorami. Duży fragment ściany przykrywała olbrzymia tablica, do której były przypięte pinezkami wycinki z gazet, statystyki, zdjęcia różnych osobistości i odbitki kserograficzne depesz z AFP.

Kamel wyjaśnił, że jego działalność polega głównie na propagowaniu strony internetowej, którą sam stworzył i na której ujawniał wszystkie kłamstwa polityczne i geostrategiczne, szczególnie umieszczając na niej artykuły prasowe opisujące codzienne wydarzenia, komentowane następnie przez niego i rozszyfrowywane.

– Prowadzę też blog, czyli bardziej osobisty dziennik internetowy, w którym zdarza mi się przekroczyć ramy zwykłej analizy i przedstawić własne uczucia – wyjaśnił. – Obie te strony wymagają szalonej pracy, od sześciu do dziesięciu godzin dziennie! Niektórzy myślą, że skoro jestem synem ambasadora szczęśliwca, wiodę sobie słodkie życie. Chciałbym, żeby posurfowali sobie po mojej stronie.

Yael przechadzała się właśnie w tę i z powrotem po wykładzinie, krążąc od kanapy do biurka i na odwrót, usiłując opanować wrzenie, jakie wywołała adresowana do niej wiadomość. Dlaczego Cienie, czy ktokolwiek bądź, kto się za nimi ukrywa, wspomniali o jej własnej ukrytej historii? Przecież ona nie miała nic do ukrycia, żadnej tajemnicy, nigdy nie zrobiła nic niezwykłego. Czy to

możliwe, żeby Cienie ją z kimś pomyliły? Nie bardzo w to wierzyła. Przecież to właśnie ją ktoś próbował zabić. Bez żadnego wyraźnego powodu.

– Nic z tego nie rozumiem – stwierdziła. – To nie ma żadnego sensu! Dlaczego Cienie usiłują do mnie przemówić, przekazać mi jakąś wiedzę, skoro jednocześnie ktoś próbuje mnie zabić? To znaczy, że są dwa obozy, tak?

– Oczywiście! – wzruszył ramionami Kamel. – Z twoich słów wynika, że wszystko nastąpiło w tym samym czasie. Z jednej strony są ci, którzy z jakiegoś niewiadomego powodu chcą ci otworzyć oczy, a z drugiej ci, którzy pragną twojej śmierci. Tylko skąd ci drudzy wiedzą, co się dzieje i co ty robisz, jeśli nie należą do tej samej rodziny co tamci? Moim zdaniem te twoje Cienie i zabójcy to dwa przeciwne obozy tej samej organizacji. Po prostu jedni nie podzielają punktu widzenia drugich i próbują cię usunąć, żeby zniwelować tę różnicę, to się wydaje logiczne.

– Ale kto? – zapytała błagalnie Yael. – Kto to jest?

– To jest napisane w dokumencie, który nam dopiero co czytałaś: osoby, które mają kontrolę nad ludźmi, które kontrolują zwycięstwa i naszą historię. Potężni ludzie, którzy mogą kształtować świat. Lincoln i Kennedy. Którzy potrafią dokonać takich manipulacji, żeby na banknocie jednodolarowym umieścić dziesiątki okultystycznych symboli. Z początku Cienie naprowadziły cię na ślad tych „zbiegów okoliczności”, ale teraz, kiedy już weszłaś do kręgu wtajemniczonych, przyznają, że to one za tym stoją.

– Politycy?

Kamel obdarzył ją jednym z tych uśmiechów przeznaczonych specjalnie dla dzieci.

– Nie, oczywiście, że nie. Oni są marionetkami.

– Więc kto?

Thomas przysłuchiwał się tej wymianie zdań, z ciekawością spoglądając to na jedno, to na drugie.

– Przede wszystkim – ciągnął Kamel – trzeba się dowiedzieć, czego oni od ciebie chcą. I dlaczego akurat ty? Co to za historia z tym... Diabelskim Mostem? Musimy pójść twoim własnym śladem, Yael.

Usiadła przed jednym z komputerów i zapisała tekst, którego zdążyła się już nauczyć na pamięć: Kiedy faza czynna będzie gotowa, uruchomić ją wraz z następującą wiadomością: Historia ludzkości jest sumą odbić historii ludzkich. Gromadzi je. Porządkujemy. Ten, kto ma kontrolę nad ludźmi i zwycięstwami, ma kontrolę nad historią. Twoja, Yael, jest ukryta w wąwozie pod Diabelskim Mostem. W największym kotle wirowym, gdzie ciągle i ciągle wre czekając, aż ją poznasz. Zaczynij od odnalezienia prawdy pod powierzchnią, tam, gdzie piekło wznosi się ku niebu.

– Oni nie wiedzą, że mamy tę wiadomość – wtrącił Thomas. – Trzeba to wykorzystać, działać przez zaskoczenie.

– Rozumiesz coś z tego? – odparł Kamel.

– To łamigłówka – oświadczyła Yael.

– Tyle to i ja wiem, ale to nie jest zbyt jasne! – odrzekł Kamel.

– Wręcz przeciwnie. Spójrz: „W największym kotle wirowym”.

Kocioł wirowy to przegłębienia utworzone na dnie koryta rzeki przez głazy, które bez przerwy się obracają i erodują skały, żłobiąc w nim dziury. Musimy tylko odnaleźć strumień na dnie wąwozu, nad którym przechodzi most zwany Diabelskim.

Thomas i Kamel wymienili spojrzenia, zdumieni łatwością, z jaką rozszyfrowywała tajemnice.

– Dobra – powiedział gospodarz. – A co zrobimy z „tam, gdzie piekło wznosi się ku niebu”?

– Nie wiem. Najbardziej irytuje mnie aspekt metaforyczny. To tak, jakby chcieli dać nam do zrozumienia, że mają w rękach życie każdego człowieka na świecie. „Gromadzimy je. Porządkujemy”, jak w jakiejś szafie bez dna. Czyli gdybym znalazła ten cały kocioł wirowy, to tak, jakbym odnalazła własną teczkę, mam rację? Teczkę, w której byłoby zapisane całe moje życie? To jakieś bzdury!

– Nie, jeśli potraktujesz to jak punkt wyjścia do poznania, czym naprawdę jest twoje życie – zaprzeczył Thomas.

– A gdybyśmy tak zaczęli od tego, co mamy? – zapytała Yael. – Kamel, mogę skorzystać z Internetu?

– Wolalbym tego uniknąć.

Nieco zbита z tropu Yael opuściła swoje miejsce przed komputerem.

– Dobrze... – mruknęła.

– Nie chcę, żeby ktoś rozpoznał na odległość, że to nie ja wciskam klawisze – wyjaśnił.

Yael nie zrozumiała.

– Jak to?

– Powiedzmy, że... biorąc pod uwagę... delikatny charakter informacji, które umieszczam na moich stronach, myślę, że amerykańska Agencja Bezpieczeństwa Narodowego ma mnie na oku. Oni dysponują programem analizy nacisku i...

– Ach tak – przerwała mu Yael. – Thomas już mi o tym mówił.

– Wszystkie sygnały pochodzące z mojej klawiatury, które można przebadać, zostały umieszczone w ich bazie danych. Jeśli ty będziesz pisać, od razu się zorientują, a ja wolałbym, żeby nie wiedzieli o waszej obecności, zwłaszcza jeżeli ty sama figurujesz w ich kartotece, bo wtedy od razu cię namierzą, gdy program porówna twój sposób uderzania w klawisze z tym, który ma w pamięci. A poza tym... Skoro Thomas uważa, że w całej tej historii maczali palce ci od francuskich służb, lepiej nie ryzykować. Różne służby informacyjne obcych krajów wyświadczają sobie nawzajem niemało przysług.

– Rozumiem, w takim razie rzeczywiście lepiej nie ryzykować. Szkoda, bo to by nam zaoszczędziło mnóstwo czasu, ponieważ Internet to najobszerniejsze źródło informacji na świecie.

– Ale też najłatwiejsze do kontrolowania – burknął Kamel.

– Ach tak? – zdziwił się Thomas. – A ja myślałem, że wręcz przeciwnie, Internetu nie da się kontrolować, bo jest dostępny dla wszystkich i ma setki milionów drzwi, którymi można do niego wejść.

– Tylko pozornie. Ale jeśli dysponujesz takim sprzętem jak Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, możesz kontrolować wszystko, co się w nim dzieje, posługując się odpowiednimi

programami, inteligentnymi sondami, które sprawdzają miliony stron co godzinę i które sporządzają raporty. Oficjalnie będą utrzymywać, że nie mają takich możliwości, tylko że te cwaniaczki miały już dwadzieścia lat temu komputery, które śledziły rozmowy telefoniczne i analizowały je za pomocą słów-kluczy! Nietrudno więc sobie wyobrazić, co mogą zrobić dzisiaj. Nie twierdę, że informacje przechodzące przez Internet można łatwo kontrolować, ale można mieć na nie oko, żeby zareagować natychmiast, jeśli okażą się one niepożądane.

– Zapomniałem, z kim mamy do czynienia – odparł z przekąsem dziennikarz. – W takim razie zabierzmy się do tego od razu, bo poszukiwania w bibliotece zajmą nam sporo czasu.

– Zbyt dużo czasu! – zaproponował Kamel. – Musimy skorzystać z Internetu. Sam się tym zajmę, dobra? Pójdę po zaufaną przyjaciółkę i zabiorę ją do kafejki internetowej, żeby wpisała to, o co ją poproszę, dzięki temu nie będziemy ryzykować, że jakiś piracki program przechwyci mój sposób uderzania w klawisze i go rozpozna.

– A jeśli twoja przyjaciółka już jest w bazie danych? – upierał się Thomas, który usiłował sprowokować delikatnie Kamela, uważając, że jest zbytnim paranoikiem.

– Jestem jej pewien na sto procent. Ona nie należy do tych osób, które łatwo namierzyć. To raczej typ: zdrowa żywność, obrona zwierząt i codzienna relaksacja za pomocą olejków eterycznych, wiesz, co mam na myśli?

– Tak, wyobrażam sobie.

– Spotkajmy się przy kolacji. Tymczasem czujcie się jak u siebie w domu.

Yael zdawała sobie sprawę, że nie wolno jej dotykać ani telefonu, ani komputera podłączonego do Internetu, i że powinna jak najmniej wychodzić. Wcale jej się nie podobał ten wymuszony szabas. Medytacja duchowa nigdy nie była jej ulubionym zajęciem.

Brak swobody bardzo jej dokuczał. Godziny mijały jedna za drugą, a ona siedziała beczynn timer. Natomiast Thomas oglądał od czasu do czasu wiadomości, żeby posłuchać, co mówią o ich pościgu.

– Myślisz, że istnieje jakieś racjonalne wytłumaczenie dla Cieni, które widziałam w lustrach? – zapytała ni stąd, ni zowąd Yael.

Thomas wyprostował się na kanapie.

– Mam taką nadzieję...

Dziewczyna była zawiedziona, widząc w jego oczach tak mało pewności.

Czyżby sam wątpił w istnienie takiego wytłumaczenia dla tego, co właśnie przeżywali?

– Powiedz mi, że Kamel da radę zlokalizować jakieś konkretne miejsce dzięki tym informacjom.

– Sam nie wiem, Yael. Do tej pory wszystkie wiadomości, jakie otrzymywałaś od Cieni, były łatwe do rozszyfrowania. Ich celem nie jest zawilość, tylko sklonienie cię do zastanowienia.

– Dlaczego one się bawią w ten sposób? Czy nie byłoby prościej powiedzieć, o co im chodzi?

– Moim zdaniem na tym polega ich rozumowanie. Na zmuszaniu cię, żebyś zaczęła sobie zadawać pytania.

– Żebyś bez przerwy pracowała w trybie pytającym?

– Zawahała się. – To by pasowało do informacji, które mi podsuwają. Muszę podważać prawdziwość wszystkiego. Nie mogę w nic wierzyć. Nie traktować niczego jako oczywiste. Muszę szukać prawdy w każdej rzeczy, właśnie do tego mnie nakłaniają.

Nie będąc w stanie usiąść, nadał krążyła po salonie.

– Kiedy tylko się zorientujemy, o jakim miejscu mówią, będę chciała tam pojechać. Muszę się dowiedzieć, dlaczego one wspominają o mojej osobistej historii. Co one rozumieją przez „w oczekiwaniu aż zostanie ci ujawniona”?

Dziennikarz powoli skinął głową.

Znajdowali się u progu długiej podróży. Historycznej wędrówki.

Ku prawdzie.

Blog Kamela Nasira. Fragment szósty

Trudno rozszyfrować działania rządu Busha, nie poświęcając odrobiny uwagi wojnie w Iraku.

Tuż przed przystąpieniem do ataku Bush i jego administracja coraz częściej deklarują, że Saddam Husajn zdobył uran, aby produkować broń atomową, gdy tymczasem Joseph Wilson, ekspert wysłany do Afryki w celu sprawdzenia, czy doszło tam do nielegalnej sprzedaży uranu, wrócił, twierdząc, że to niemożliwe.

Słynna broń masowego rażenia.

Co za tupet!

Zwłaszcza jeśli wiadomo, że Stany Zjednoczone zrobiły wszystko, żeby umieścić Saddama Husajna w Iraku, posuwając się nawet do popierania go w wojnie z Iranem.

Kto po latach jedzie na miejsce, żeby nawiązać dobre stosunki z dyktatorem? Donald Rumsfeld. Między innymi. A wszystko to za wiceprezydentury niejakiego George a Busha seniora... Rząd amerykański popiera dyktatora, przymyka oczy na popełniane przezeń nieustannie ludobójstwa na własnym narodzie, ponieważ ma w tym interes. Co więcej, Stany Zjednoczone dostarczają Irakowi laseczki węgliką pod kontrolą Busha seniora. Dopiero śledztwo przeprowadzone przez senat w 1992 roku wykazuje, że w latach 1985-1989 wojskowe laboratoria irackie otrzymały od Stanów Zjednoczonych sześćdziesiąt dostaw kultur bakteryjnych. Tylko, że sprawa zostaje wyciszona i niewiele się o niej słyszy.

Oczywiście w czasie pierwszej wojny w Zatoce (za którą dług uregulowali, nawiasem mówiąc, Saudyjczycy – przekazali Stanom Zjednoczonym siedemnaście miliardów dolarów oraz cały potrzebny zapas paliwa lotniczego) przed opuszczeniem pokonanego kraju należy się upewnić, że w Iraku nic z tego wszystkiego już nie ma... Ciekawe jest zresztą to, że po zakończeniu konfliktu CIA zaproponowała, że pozbędzie się Saddama Husajna, ale George Bush senior się temu sprzeciwił.

Co do irackiego dyktatora, to czy kiedy w październiku 2005 roku rozpoczął się jego proces, kogokolwiek oburzył fakt, że jest pokazywany w telewizji z dwudziestominutowym opóźnieniem, aby dać amerykańskiej cenzurze czas do działania? Ludzi wokół mnie to bawi – uśmiechają się, wzruszając ramionami z miną fatalistów. A powinni krzyzczeć! Nikt nie protestuje, słysząc, że najpotężniejszy naród świata, przypuszczalnie stanowiący ucieleśnienie wolności, cenzuruje telewizję! Czyżby banalizowanie tych praktyk sprawiło, że dla wszystkich stały się one czymś niewinnym? To poważna rzecz. Bardzo poważna. A poza tym, dlaczego Stany Zjednoczone muszą cenzurować wypowiedzi Saddama Husajna? Ze strachu, że powie za dużo na temat swoich powiązań z państwami zachodnimi, w tym ze Stanami Zjednoczonymi? A może jest jeszcze coś gorszego?

Trzeba mieć niezły tupet, żeby po kilku latach okazać święte oburzenie, jakoby Irak miał pseudo broń masowego rażenia.

Teraz już wiadomo, że było to wierutne kłamstwo.

Pretekst dobry jak każdy inny, żeby zagarnąć bogactwa tego

kraju. I żeby jeszcze bardziej podsyć napięcie polityczne w świecie arabskim, ale do tego wróć trochę później.

Tak czy inaczej, wojna wybucha. A kto na niej korzysta? Wszystkie koncerny, dla których pracowali członkowie rządu: Halliburton, Boeing... i oczywiście Carlyle. Głównie za pośrednictwem spółki United Defense Industries, która produkuje broń. Otóż grupa Carlyle wypuszcza na rynek akcje UDI i w ciągu jednego dnia zarabia dwieście dwadzieścia pięć milionów dolarów.

Cóż, opowieść ta mogłaby się ciągnąć jeszcze na wielu stronach.

Przykład jest wymowny, doskonale bowiem pokazuje, że istotą władzy jest demagogia. Tym razem rząd posunie się bardzo daleko w swoich kłamstwach tylko po to, żeby zadbać o interesy własne i swoich ekonomicznych wspólników. Nieważne, ile istnień ludzkich miałyby to pochłonąć! Przysporzą one w końcu korzyści przemysłowi wojskowemu, głównemu udziałowcowi administracji Busha... A wreszcie – co jest z 11 września, stanowiącym punkt wyjścia tego wszystkiego?

W pierwszej chwili George W. Bush zrobił wszystko, żeby powstrzymać Kongres przed wszczęciem własnego śledztwa dotyczącego zamachów. Usiłował wręcz zakazać tworzenia niezależnej komisji, chociaż zawsze takie powstawały, na przykład po Pearl Harbor czy po zabójstwie Kennedy'ego.

W końcu jednak przeprowadzono dochodzenie, prezydent zaś nie miał już wyboru.

Po miesiącu negocjacji George W. Bush i Dick Cheney zgodzili

się wreszcie spotkać z członkami komisji, ale pod pewnymi warunkami: – będą przesłuchiwani razem, nie oddzielnie, – nie będą wygłaszać przysięgi, – przesłuchanie nie zostanie ani sfilmowane, ani nagrane na taśmę audio, ani upublicznione.

Śledztwo wraz z kolejnymi przesłuchaniami ciągnęło się przez wiele tygodni. Kiedy Kongres ogłosił raport, Biały Dom ocenzurował na wstępie dwadzieścia osiem stron, których treści nigdy już nie poznamy.

Zawiedzione brakiem postępów rodziny ofiar postanowiły złożyć skargę przeciwko Arabii Saudyjskiej, wydawało się bowiem oczywiste, że rodzina królewska finansowała bardziej lub mniej bezpośrednio al Kaidę. Saudyjczycy wynajęli jako obrońców... kancelarię adwokacką klanu Bushów. Na dłuższą metę powiązania między jednymi a drugimi stały się tak oczywiste, że zaprzeczanie im jest głupotą.

Krótko mówiąc: kłamstwa i manipulacje przed całym światem (czy muszę przypominać o Colinie Powellu i jego kłamliwym expose przed ONZ?) służące osobistym interesom.

A jeśli te kłamstwa idą jeszcze dalej?

Im więcej zdobywam dokumentacji, im więcej odkrywam faktów i świadectw, tym więcej zadaję sobie pytań.

Bush i jego ludzie wiedzieli oil wrzeźnia. I to na długo przedtem nim uderzyły samoloty. Wiedzieli, że na ich kraj spadną potworne zamachy. Może nawet na nowojorski World Trade Center. Za pośrednictwem uprowadzonych samolotów rejsowych.

Wiedzieli.

Kamel wrócił około dwudziestej. Przyniósł plastikową torbę, której zawartość wysypał na długi stół.

Yael i Thomas rzucili się, żeby popatrzeć. Po długim czekaniu oboje się zdrzemnęli, znużeni natłokiem wydarzeń. Kamel rozłożył mapę okolic Genewy. W samym sercu tego górzystego terenu rysowało się Jezioro Lemańskie w kształcie rogalika.

– Co wy na to? – zapytał, kładąc kciuk na jakiejś nazwie na południe od Thonon-les-Bains.

Yael odczytała: Wąwóz Diabelskiego Mostu.

– To jedyne miejsce, które tak się nazywa?

– Ee... – skrzywił się Kamel. – W samej tylko Francji jest kilka Diabelskich Mostów. Ale to jedyne wąwozy, jakie znalazłem.

– W takim razie to tam.

Kamel podniósł palec nakazując im cierpliwość.

– Potwierdzeniem jest coś tuż obok. – Pokazał im górujące nad doliną wzniesienie, Piekielną Skalę. – Dwa tysiące dwieście czterdzieści cztery metry wysokości. „Tam, gdzie piekło wznosi się ku niebu”.

Nie zostawiwszy im czasu na gratulacje, poszperał wśród rozmaitych notatek, które zrobił w czasie swoich poszukiwań, aż pod przewodnikiem turystycznym po regionie Chablis znalazł wreszcie kopertę z nadrukiem Francuskich Kolei Państwowych.

– Dwa otwarte bilety w obie strony do Thonon. Oczywiście

opłacone gotówką. Wasz pociąg odchodzi z Dworca Liońskiego jutro rano o ósmej czterdzieści. Pojedziecie beze mnie. Nie mogę zostawić mojej strony bez uaktualnienia, i tak muszę nadrobić dzisiejsze opóźnienie. Macie tutaj kartę kredytową, żeby wynająć samochód; jest na moje nazwisko, ale to nie powinno być problemem. Nie da się za jej pośrednictwem do was dotrzeć.

Thomas chciał mu od razu zwrócić pieniądze, Kamel jednak gwałtownie zaprotestował.

Poszperawszy po kieszeniach, wyciągnął pager.

– Wpadłem do jednego znajomego, żeby go pożyczyć, i właśnie dlatego się spóźniłem. To pewny numer. Możecie mnie złapać przez niego. Wystarczy wysłać mi numer budki, z której dzwonicie, a wtedy ja też pójde do budki i do was oddzwonię. Tu jest numer.

Podał Yael zabazgrany świstek papieru.

– Kamel... Ty...

– Tak, wiem. Na podziękowania przyjdzie czas później. Na razie proszę was tylko o to, żebyście informowali mnie na bieżąco. Chcę śledzić wasze odkrycia i wasze ruchy, na wypadek gdybyśmy stracili z sobą kontakt.

Po czym wdał się w szczegółowe i pełne entuzjazmu wyjaśnienia na temat swoich poszukiwań: jakie obrał metody działania i jak długie było prowadzone przezeń dochodzenie nawet po tym, gdy odnalazł wąwozy. Yael nie wiedziała, co powiedzieć – czuła jednocześnie wdzięczność i niepokój. Kamel przejawiał tak wielką radość z udziału w tej historii, że w ogóle nie uświadamiał sobie

zagrożenia, jakie ona stwarza. Kiedy Yael rozmawiała o tym z Thomasem po południu, dziennikarz wyjaśnił, że status syna ambasadora zapewnia Kamelowi pewne bezpieczeństwo, toteż nie powinni się martwić. Poza wyjątkowymi wypadkami, nawet, a właściwie zwłaszcza, tajne służby nie bawią się w zaczepianie rodzin dyplomatów. W świetle tego, co właśnie przeżyła, Yael uznała, że sama jest wyjątkowym wypadkiem.

– Spodziewam się, że wiadomość od Cieni nabierze sensu dopiero na miejscu – stwierdził Thomas. – „Zacznij od znalezienia prawdy pod powierzchnią, tam, gdzie piekło wznosi się ku niebu”. To do mnie wcale nie przemawia.

– Kiedy wspinasz się po wydmach, nie trać energii na opisywanie tego, co jest po drugiej stronie, zaczekaj, aż znajdziesz się na szczycie, żeby to odkryć – powiedział Kamel pod pełnym obaw wzrokiem Yael.

– Czy to jakieś arabskie przysłowie? – pokręcił głową Thomas.

– Skoro sam je wymyśliłem, to przysłowie wielokulturowe – uśmiechnął się gospodarz. – Tak czy inaczej, wszystko w swoim czasie.

Przeszli do stołu, gdzie czekała już na nich sałatka i orientalne wypieki, po które Kamel jeździł na drugi koniec Paryża dla ich wyjątkowego smaku. – I co, Yael? – zaczął młodzieniec o kociej sylwetce. – Nadal intryguje cię śmierć Kennedy’ego?

– Każdego intryguje – odparła, przełknąwszy plaster pomidora. – Ale czy rzeczywiście jesteśmy w stanie określić, kto go zabił, biorąc pod uwagę zarówno prawdę, jak i mity?

– Nie dostrzegam tutaj nawet cienia mitów. Widzisz, ten, kto zabił JFK, nie ma w sobie nic niezwykłego. Kusi mnie nawet stwierdzenie, że każdy może się tego dowiedzieć; to tylko kwestia zdrowego rozsądku, logiki i wnikliwych poszukiwań.

– Więc kto? – zapytała błagalnie, rozbawiona.

Kamel dołożył sobie kilka krewetek.

– Kiedy Kennedy przejął władzę – zaczął – Eisenhower, poprzedni prezydent i były generał, jeśli trzeba o tym wspomnieć, zarekomendował młodego Johna Fitzgeralda.

Kamel wstał od stołu i poszedł po książkę do historii, którą położył przed Yael, otwartą na zdjęciu prezydenta Eisenhowera. Obok widniał cytat z jego przemowy pożegnalnej, wygłoszonej 17 stycznia 1961 roku, którą Yael przeczytała na głos.

– W pracy rządu musimy strzec się przed świadomym i nieświadomym zagarnięciem nieuzasadnionych wpływów przez kompleks militarno-przemysłowy. Istnieje i będzie istniała możliwość zgubnego wzrostu niewłaściwie użytej władzy. Nie wolno nam pozwolić, żeby to połączone niebezpieczeństwo zagroziło naszym wolnościom i procesom demokratycznym. Nie wolno nam zgodzić się na żadne gwarancje. Tylko czujne i świadome społeczeństwo obywatelskie może skutecznie połączyć działanie ogromnej maszyny przemysłowo-wojskowej służącej obronności kraju z naszymi pokojowymi metodami i celami tak, aby wolność i bezpieczeństwo mogły razem zaistnieć.

– I proszę – stwierdził po prostu Kamel. – W tym się zawiera wszystko.

– Czyżby Kennedy ego zabił kompleks militarno-przemysłowy?

– zdumiał się Thomas. – Wiesz, że twoja teoria wcale nie jest nowa?

– To nie teoria, tylko prawda. Posłuchajcie: w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku niejaki Allen Dulles zostaje dyrektorem CIA. Stanie się on dla CIA tym, czym John Edgar Hoover był dla FBI: dyrektorem posiadającym pełną władzę, bezkompromisowym, wykorzystującym swoje biuro do celów, w których granica między osobistymi interesami a interesami narodu nie zawsze będzie wyraźnie zarysowana. Ten cały Dulles ma bogatą przeszłość. Jako członek OSS (poprzednika CIA) podczas drugiej wojny światowej organizował spotkania z wysokimi dygnitarzami Rzeszy, aby negocjować z Niemcami przejście na Zachód i, o ile to możliwe, spróbować przygotować traktaty pokojowe, żeby wziąć Rosjan z zaskoczenia. W tamtym okresie urządził też w Szwajcarii spotkania z kilkoma Francuzami, a wśród nich z niejakim François Mitterrandem czy Andre Bettencourtem z imperium L’Oreal, przedsiębiorstwa, które skłaniało się wtedy ku skrajnej prawicy... Krótko mówiąc, w chwili, gdy staje na czele najbardziej tajemniczej i najpotężniejszej agencji wywiadowczej, ma już doświadczenie w sprawach międzynarodowych, w tajnych operacjach, i niezły notes z adresami.

Kamel schrupał krewetkę, po czym mówił dalej:

– Kiedy Allen Dulles kieruje CIA żelazną ręką, udaje mu się usunąć ze stanowiska wielu polityków, w tym premiera Iranu w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku i prezydenta Gwatemali w pięćdziesiątym czwartym, mimo że obaj zostali wybrani w

demokratycznych wyborach. I wiecie co? To spółka United Fruit naciskała na rząd amerykański, żeby obalił Jacobo Arbenza w Gwatemali, ponieważ narzucił niewielki podatek na towary eksportowane przez nią w jego kraju. Jakiś naród chce legalnie zarobić trochę pieniędzy na własnych zasobach, wykorzystywanych przez obcy koncern, a tymczasem CIA postanawia się w to mieszać. Możecie w to uwierzyć? To epoka, w której panuje kolonialny sposób myślenia... Jeśli wam powiem, że Allen Dulles zasiadał w radzie nadzorczej United Fruit, to cały mechanizm stanie się dla was jasny... Wówczas Stany Zjednoczone uznały, że liczy się wyłącznie „bezpieczeństwo narodowe” i że ich interesy są ważniejsze niż demokracja innych krajów.

– Czy są na to dowody? – chciała wiedzieć Yael.

– Wszystkie fakty, które wymieniam, są udowodnione. Wszystkie. Ale wróćmy do Allena Dullesa: poza tym, że wykorzystuje CIA do gospodarczych celów własnych i swoich wspólników, to również on wspiera operację Mockingbird, której celem jest nic innego jak infiltrowanie mediów i manipulowanie nimi! Jesteście w stanie w ogóle to sobie wyobrazić? Szef CIA, który mnoży rozmaite strategie, żeby przeniknąć do mediów! Nie wiem, jakie jest wasze zdanie na ten temat, ale ja uważam takie metody za faszystowskie! Dulles należy do tych ludzi, których wizja władzy polega na... Jak by to powiedzieć? Na przywilejach garstki osób! I dla ucieleśnienia ich wizji wszystkie chwytaki wydają się dozwolone. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku, po fiasku inwazji w Zatoce Świń na Kubie, kiedy to

Kennedy nie zgodził się na wysłanie tam wojsk amerykańskich, Dulles wraz ze sztabem generałów przygotowuje operację Northwoods, która jest równie prosta co makiaweliczna: zorganizować zamachy na własną armię i naród, a następnie oskarżyć o nie Kubańczyków, fabrykując fałszywe dowody za pośrednictwem bardzo wyszukanych forteli. Celem było nastawienie opinii publicznej przeciwko Kubańczykom, żeby usprawiedliwić inwazję wojskową.

– Co? – oburzyła się Yael. – Zaczekaj! Szef CIA i kilku generałów armii amerykańskiej zorganizowali zamachy na cywilów i wojskowych z ich własnego kraju, żeby wyruszyć na wojnę?

– Nie do wiary, co? To brzmi zupełnie jak *science fiction*, ale to „tylko” nasza historia! Kiedy Kennedy dowiaduje się o istnieniu tego planu, zdejmuje Dullesa ze stanowiska w CIA, chociaż oficjalnie znajduje pretekst łatwiejszy do przełknięcia. Operacja Northwoods wyszła na jaw dopiero w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku, niemal przez przypadek, kiedy to Bill Clinton, chcąc wyjaśnić sprawę zabójstwa Kennedy’ego, wydał decyzję odtajnienia wielu dokumentów z tamtego okresu. Rzecz jasna, wszystkie osoby zamieszane w operację Northwoods zadbały o zniszczenie dokumentów, poza Robertem McNamara, będącym wówczas sekretarzem obrony, który sprzeciwił się temu projektowi i który roztropnie zachował egzemplarz szczegółowego raportu dotyczącego tej operacji.

– Jaki to ma związek ze śmiercią Kennedy’ego? – zapytał Thomas, odsuwając pusty talerz.

– To proste. Z jednej strony jest Kennedy, który stanowczo się sprzeciwia zbrojnej interwencji w rozwiązywaniu konfliktów takich jak na Kubie i w Wietnamie (gdzie już huczy), z drugiej zaś wpływowe jednostki, które stoją na czele wywiadu wojskowego, armii i CIA. Ludzie ci mają ścisłe powiązania z konsorcjami przemysłowymi, wojskowymi, rolnymi i innymi. Forsują oni zbrojne rozwiązanie zgodne z ich wizją tego, czym powinny być Stany Zjednoczone, a zwłaszcza z interesami grupy, z którą mają powiązania. – Po chwili Kamel postanowił położyć nacisk na pewien szczegół. – Należy pamiętać, że Kennedy był wyjątkowym prezydentem, który zwyciężył o włos, a więc, zdaniem pewnych ludzi, bezprawnie, i który kierował się w swojej polityce głównie własnym osądem. Był to człowiek z charakterem, uparty, nie z tych, którzy, za namową brata Roberta, idą na ustępstwa czy boją się gróźb. A jeśli zawsze szukał pokojowych rozwiązań i zmienił społeczeństwo amerykańskie, nie robił tego z powodu altruizmu czy filantropijnych pobudek, ale dlatego, że czuł, że to oznacza iść z duchem czasu. Nie był aniołem, o nie! W gruncie rzeczy Kennedy’ego nie bardzo obchodziła kwestia praw obywatelskich, ale był tak dobrym demagogiem, że stał się ich obrońcą i gdyby miał więcej czasu, odnosiłby na tym polu coraz większe sukcesy. Obrął linię postępowania, która przewróciła do góry nogami porządek i zwyczaje ludzi sprawujących władzę w kraju. I sprzeciwiał się osobom kierującym tajnym aparatem narodu, osobom wspieranym przez koncerty prowadzące ogromne interesy. W pewnej chwili trzeba było działać. Czy finansowe imperia miały postawić krzyżyk na

miliardach dolarów zysków tylko z powodu polityki „pyskowania” wyznawanej przez jednego człowieka? Czy miały poświęcić astronomiczne dochody, trzymając w garści nie lada atuty strategiczne: swoich ludzi na kluczowych stanowiskach w wywiadzie i w armii?

Kamel pokręcił głową zdegustowany.

– Moim zdaniem długo się nie wahali – odparł. – John Fitzgerald Kennedy zginął pewnego pięknego listopadowego dnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku, bo nie chciał prowadzić polityki wojennej na usługach krajowych holdingów przemysłowych, które i tak już zaminowały teren, umieszczając swoich ludzi gdzie trzeba. Co ciekawe, Ngô Diuh Diem, który sprzeciwiał się amerykańskiej interwencji zbrojnej w swoim kraju, również został zamordowany w listopadzie sześćdziesiątego trzeciego roku. Można by głupio stwierdzić, że „przypadek dobrze załatwia sprawy”. Przed chwilą przedstawiłem wam w skrócie postać Allena Dullesa. Chciałbym to samo zrobić z niektórymi generałami z tamtych czasów.

– A więc JFK został zamordowany przez... – usiłowała podsunąć Yael – zgromadzenie magnatów, prezesów wyjątkowo potężnych koncernów oraz kilku ludzi stojących na czele administracji wojskowej albo wywiadu? Skoro to takie „proste”, dlaczego nikt o tym wcześniej nie napisał?

Kamel roześmiał się cynicznie.

– Po pierwsze, dlatego, że potrzeba wielu lat, a nawet dziesięcioleci, żeby poskładać wszystkie fragmenty układanki. Po drugie, to już zostało napisane, ale nikomu się nie chce wierzyć, że żyje

dzięki zgniłemu jabłku i że na nim siedzi. To cały system jest skorumpowany. Nie zapominajmy, że w tamtych czasach panowała jeszcze kowbojska mentalność, dyplomacji nie stawiano za wzór, a najpoważniejsze problemy (przynajmniej w ich mniemaniu) rozwiązywano za pomocą radykalnych środków. Dowodem na to jest fakt, że każdy, kto w latach sześćdziesiątych zdobył potęgę i poparcie, a kto usiłował zaszokować społeczeństwo, burząc jego obyczaje i „kasty”, został... zamordowany. Każdy, i na dodatek w tajemniczych okolicznościach. JFK w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku, Malcolm X w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym, Martin Luter King w sześćdziesiątym ósmym. Wszyscy. Można by wydłużyć tę listę o takie nazwiska, jak Che Guevera w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym czy Robert Kennedy w sześćdziesiątym ósmym. Morderstwa te świadczą o pewnej zaciekłości w eliminowaniu na wszelkie możliwe sposoby ludzi, którzy wywarli zbyt silny wpływ na społeczną ewolucję narodu i którzy w konsekwencji mogli podważyć panujący porządek i układ władzy w kraju. – Rąbnął pięścią w stół. – Polityka i władza w ogóle – ciągnął – to tylko jedna wielka szachownica, cała zaś sztuka polega na odpowiednim ułożeniu figur i pionów. Po śmierci JFK zwołano komisję, komisję Warrena, do zbadania przyczyn morderstwa. Było w tym za dużo dziwnych elementów. Otóż jednym z wpływowych członków tej komisji był nie kto inny jak... Allen Dulles. Praktyczne, jeśli chce się wpłynąć na śledztwo i przeinaczyć to, co zostało powiedziane.

– A jaka była w tym wszystkim rola Lee Harveya Oswalda,

tego, który oficjalnie strzelał do Kennedy'ego? – zapytała Yael.

– Kozła ofiarnego. Jest jednym z pionków na szachownicy, jednym z najbardziej widocznych, które można rzucić na pożarcie. Podobnie jak Jack Ruby, który go zabił. Jak mordercy Malcolma X, Roberta Kennedy'ego i innych. To tylko biedne palanty, którymi manipulują potężne siły, którymi z kolei manipuluje ktoś inny, który... i tak dalej aż do samego szczytu.

– Król szachownicy – dokończył Thomas.

– A właśnie że nie! Jeszcze wyżej! Gracz. W każdej partii zaś jest zawsze dwóch przeciwników. To dlatego za wszystkim, co ci się przytrafia, Yael, stoją dwa obozy z jednej drużyny: ci, którzy z tobą grają, i ci, którzy chcą twojej śmierci, są z sobą ściśle powiązani. Jak dwóch graczy, którzy dzielą się władzą i mierzą jeden drugiego z cynicznym uśmiechem na ustach! Zawsze jest jakiś pojedynek, zawsze istnieją dwie wizje tej samej rzeczy.

To ostatnie zdanie przeszło Yael dreszczem. Właśnie to napisały jej przecież Cienie. Zawsze szukać drugiej strony pozoru. Czy to możliwe, żeby Kamel dotykał prawdy, mówiąc o swoich wielkich teoriach?

Yael wymieniła spojrzenie z Thomasem, który zdawał się podzielać jej wątpliwości i pytania. Postanowiła nie drażnić tematu.

Kamel jednak już wsiadł na swojego konika:

– Zawsze w cieniu byli ludzie wpływowi, którzy przejmowali kontrolę nad historią: za Kennedy'ego były to jeszcze siły, które przejęły władzę wskutek drugiej wojny światowej, za Nixona to wojna

w Wietnamie pozwoliła na tak częste łamanie wolności jednostek, a dzisiaj... Moim zdaniem historia właśnie się pisze, musi więc minąć trochę czasu, żeby móc na to spojrzeć obiektywnie.

– Mówisz tak, jakby wszystkie nasze szkolne książki to był tylko stek kłamstw – obruszyła się Yael. – Nie można przesadzać, nie uważasz?

– Książki nie są kłamstwami, one podają tylko wiadomości w przybliżeniu, opisują fakty poddane „subiektywizacji” przez zwycięzców. Właśnie to chcą ci dać do zrozumienia Cienie, pisząc: „Ten, kto sprawuje kontrolę nad ludźmi i zwycięstwami, sprawuje kontrolę nad historią”. Weźmy na przykład rozpoczęcie wojny w Wietnamie przez Stany Zjednoczone. Tajne służby w Waszyngtonie stwierdziły, że dwa ich okręty zostały zaatakowane w Zatoce Tonkińskiej przez wojska północnowietnamskie, czemu załogi obu okrętów później kategorycznie zaprzeczają. Był to po prostu pretekst, żeby wywołać wojnę. Kolejna sprawa. Z pewnych dokumentów i zeznań świadków wynika, że prezydent Roosevelt wiedział o zbliżającym się ataku na Pearl Harbor. Co dziwniejsze – akurat tego dnia w porcie nie było żadnego lotniskowca, stanowiącego element strategiczny o kapitalnym znaczeniu, podobnie jak nie było żadnej sieci przeciwtorpedowej, żeby chronić statki na redzie. Podobno Roosevelt nic nie zrobił, żeby mieć wreszcie wytłumaczenie, że wciągnął swój kraj w wojnę światową. Trzeba pamiętać, że Roosevelt został wybrany, ponieważ obiecał, że nie będzie się mieszał do konfliktu! Kiedy więc objął stanowisko, nie mógł się włączyć do wojny, chyba że by go do

tego „zmuszono”. Rozpoczął zatem politykę nękania Japonii, żeby ją sprowokować, zamrażając japońskie aktywa na terytorium amerykańskim i ogłaszając embargo wobec Japonii na stal i ropę. Aż do zniszczenia Pearl Harbor cały kraj jest przeciwko przyłączeniu się Stanów Zjednoczonych do wojny, począwszy od Kongresu. Po ataku zaś Amerykanie masowo zaciągają się do wojska, deklarując chęć zemsty.

Kamel zakończył swój wykład czymś, co uważał za najbardziej haniebne:

– I wreszcie mamy przykład Hiroszimy. Przeważająca większość filmów dokumentalnych pomija fakt, że w chwili, gdy zrzucono bombę atomową na Japonię, toczyły się rozmowy między dyplomatami japońskimi i amerykańskimi w sprawie pokoju. Naloty amerykańskie zniszczyły do tej pory, cytuję z pamięci, pięćdziesiąt jeden procent miasta Tokio, pięćdziesiąt osiem procent Jokohamy, czterdzieści procent Nagoi, dziewięćdziesiąt dziewięć procent Toyamy, trzydzieści procent Osaki i tak dalej. Z powierzchni ziemi zniknęło od pięćdziesięciu do dziewięćdziesięciu procent ludności dużych miast Japonii. Dlaczego więc zrzucono bombę atomową? Wojna została strategicznie zakończona, negocjacje były w toku. – Kamel znów walnął pięścią w stół, dając się ponieść złości. – Ponieważ Rosjanie i Stany Zjednoczone już podjęli wyścig, żeby podzielić Europę między siebie, należało więc pokazać Sowietom, że Amerykanie to naród znacznie potężniejszy i bardziej niebezpieczny. Spuszczenie bomby na Hiroszimę szóstego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego

roku, a trzy dni później jeszcze większej na Nagasaki, w gruncie rzeczy stanowiło dla Stanów Zjednoczonych sposób, żeby wytoczyć swój arsenał na komunistów i prawdopodobnie okazję do przeprowadzenia podwójnego testu w naturalnych warunkach. To jest właśnie rzeczywista historia, a nie kłamliwe wymówki Trumana. A wiecie, kto to jest generał LeMay?

Ponieważ nie było odpowiedzi, Kamel wyjaśnił:

– To generał, który wydał rozkaz spuszczenia bomb atomowych na Japonię. Ten sam, który kilka lat później, w czasie kryzysu kubańskiego, znajdzie się u boku Kennedy’ego i który będzie nalegał, żeby Stany Zjednoczone zaatakowały wyspę za wszelką cenę. Wobec pacyfistycznego uporu Kennedy’ego LeMay wpadnie w gniew. Ale to przede wszystkim on przyzna, że gdyby jego kraj przegrał drugą wojnę światową, po aktach ludobójstwa zostałby osądzony jako zbrodniarz wojenny. W ostatecznym rozrachunku to zawsze zwycięski obóz decyduje, co jest moralne, a co nie jest, narzuca swój punkt widzenia i usprawiedliwia wszystkie swoje działania, nawet te najgorsze, dobrymi powodami. Spróbujmy o tym nie zapominać. Zwycięzcy to ci, którzy piszą historię. A to właśnie ta historia jest zawarta w podręcznikach szkolnych, a nie ta prawdziwa, nie taka, jaka rzeczywiście się wydarzyła, ale historia, która schlebia zwycięskiemu obozowi. Dawno już historia przestała być sumą wszystkich narodów, dzisiaj należy ona zaledwie do garstki jednostek. To my musimy umieć czytać między wierszami, co jest, niestety, rzadkie i trudne. Spróbujmy po raz kolejny odsunąć na bok kozły ofiarne i spójrzmy dalej na to, co się knuje w

tajnikach naszej historii. Zresztą jeśli Cienie, które do ciebie przemawiają, Yael, i zabójcy rzeczywiście mają powiązania z rządem, na twoim miejscu uważałbym, by nie wpaść w coś w rodzaju pułapki. Żebyś z kolei ty nie stała się kozłem ofiarnym.

Yael zeszywniała na krześle.

„Bycie kozłem ofiarnym”. Właśnie takiego uczucia doświadczała coraz silniej, od kiedy w jej otoczeniu zaczęli ginąć ludzie.

Tylko kozłem ofiarnym z jakiego powodu? I dla kogo?

Oto pytania, na które powinna teraz znaleźć odpowiedzi.

Raczej prędko, miała tego świadomość.

Gdzieś pod Diabelskim Mostem, u stóp Piekielnej Skały czekała na nią tajemnica.

Żadna zaś z aluzji do Lincoln, do dolara, do Kennedy ego, a nawet do zatopienia Titanica – żadna z tych rzeczy bynajmniej nie budziła jej zaufania.

Domyślała się, że tajemnica ta nie będzie wyłącznie osobista.

Będzie miała związek z historią.

Z historią ludzi.

Na peronie Dworca Liońskiego tłoczył się tłum letników. Dwie grupy młodzieży, poszturchującej się wzajemnie i śmiejącej się hałaśliwie z plecakami u stóp, zajmowały całą szerokość przejścia.

Przepchnąwszy się między nimi, Yael i Thomas wsiedli do TGV jadącego do Genewy, z nosem utkwionym w biletach: wagon 05, miejsca 81 i 82.

Yael czuła się ociężała. Mimo obecności Thomasa źle spała. Przeżyła noc lepką od koszmarów, pogrążona w czymś, co nazywała otchłanią: w wyczerpującym stanie między krótkimi okresami snu a apatycznym czuwaniem. Gdy wstała, zaczęła się w końcu zastanawiać, jak długo jeszcze pociągnie w tym stresie. Nie była pewna, czy wytrzyma to nerwowo. Czuła nieustanny niepokój na myśl, że właśnie została wpisana w historię. Jaki był jej udział w tym, co zaledwie tydzień temu stanowiło jedynie zbiór map i fotografii w szkolnych murach? Jaką rolę mogła odegrać? Nigdy nie zdawała sobie sprawy, że każdy jej gest, każde słowo, każda myśl mogą wywierać bezpośredni wpływ na historię lub oddziaływać na nią na zasadzie efektu domina. Historia była dla niej czymś nienamacalnym, zaledwie zbiorową pamięcią, czymś pozbawionym substancji. Była jak nieuchwytnie powietrze wokół spadochroniarza.

Nigdy dotąd Yael nie spadała aż tak szybko.

Pozwalała, żeby pochłonęła ją zawrotna świadomość dziejowa.

Kiedy Thomas umieścił ich torbę na półce, rozsiedli się w

wygodnym, wyciszonym wagonie. Yael rozmyślała o Kamelu i jego przemowie na temat Kennedy ego, którą ciągnęli jeszcze na progu pokoju, kiedy stwierdził, że nie należy oczekiwać żadnych wielkich rewelacji. Z ust byłego dyrektora CIA padło bowiem zapewnienie, że akta Kennedy'ego dawno już zostały wyczyszczone od wewnątrz, natomiast to, co ma zostać odtajnione za kilka lat, okaże się jedynie pustą skorupą.

Pasażerowie pozajmowali miejsca, po czym pociąg powoli ruszył. Zagłębili się w miejski i ponury krajobraz poszatowany serią ciemnych tuneli, po którym przyszła kolej na złote i szmaragdowe pola, urozmaicone lasami i wioskami o czerwonych i szarych dachach.

Yael przyjrzała się towarzyszom podróży: jedni czytali, inni spali, kilku rozmawiało. Jakaś para kłóciła się szeptem, siedząc ze skrzyżowanymi ramionami.

Chociaż Yael z trudem zasnęła poprzedniej nocy, ciepło Thomasa leżącego tuż obok dodało jej otuchy. Wiele razy szukała jego ciała, nie odważyła się jednak na żaden gest. On zresztą postępował podobnie. Rozumiał, że to nie jest właściwy moment, że ona do niego przyjdzie w odpowiedniej chwili. I trzymał się na dystans.

– O czym myślisz z tą ponurą miną? – szepnął.

Posłała mu zmęczony uśmiech.

– O ludziach. O parach.

Thomas wyprostował się i przysunął bliżej, wsparty na łokciu.

– Dopadła cię chandra? – drażył łagodnie.

– Nie wiem. To tak, jakby wszystko, co przeżywamy od kilku

dni, wystawiło mi rachunek... powiedzmy uczuciowy. To idiotyczne, ale to nie najlepsza pora.

Thomas wzruszył ramionami.

– A czy w ogóle jest jakaś dobra pora? A ty na czym stoisz w tym względzie?

– Właśnie do mnie dotarło, że muszę otworzyć oczy na rzeczywistość. Należę do pokolenia wychowanego na romantycznych legendach, poezji i przede wszystkim kinie. Miłość to rodzaj wyścigu po księcia z bajki. Nigdy nikt mi nie mówił, że miłość to wypadkowa całego mnóstwa czynników chemicznych, które mi umykają, podobnie jak zgodność genów! W moim świecie miłość od pierwszego wejrzenia jest prawie boska, nie chemiczna, pojęcie miłości za pośrednictwem czynnika poznawczego do mnie nie przemawia. Nie wiedziałam, że mój organizm produkuje hormon, aby na początku związku stworzyć zależność od drugiej osoby, po czym z czasem przestaje go produkować. Miłość, na którą czekam, jest wspaniała, roi się w niej od stereotypów. Miłość, jaką można znaleźć w naturze, jest wyłącznie chemiczna i ulotna, istnieje tylko po to, żeby połączyć dwie istoty w celu prokreacji.

– Dlaczego mówisz o miłości chemicznej?

– Czytam książki na ten temat. Chciałam się przekonać, co nauka ma do powiedzenia o miłości. Otóż nauka twierdzi, że miłość jest bestialska i niemal... logiczna. Przyroda nie ponosi żadnego ryzyka: od samego początku uruchomiła wszystkie elementy, aby mieć pewność, że jej stworzenia potrafią przeżyć, a więc się rozmnażać. Chemia jest po

to, żeby zmusić nas do tego, byśmy się wzajemnie przyciągali, dobierali w parę. Problem polega na tym, że ja w mojej wizji miłości kieruję się własną wiedzą, własnym wychowaniem. Miłość, na którą czekam, ma pochodzić od człowieka męskiego, a zarazem wrażliwego, uprzejmego, przy tym dzikiego, romantycznego, choć mocno stąpającego po ziemi. W żadnym razie nie opiera się na konfliktowej wizji dwóch istot wiedzionych naturalnym instynktem, aby przetrwać.

– W gruncie rzeczy to... podstawowa wizja tego, czym jesteśmy.

– Nie, realistyczna. Dzisiaj muszę się nauczyć, jak się przeformatować. Bo właśnie tacy jesteśmy: sformatowani przez określoną epokę, przez cywilizację i obowiązujące w danym momencie zwyczaje. Weźmy na przykład kryteria urody. Zmieniają się w ciągu wieków. Gdyby mężczyzna naprawdę słuchał swojego instynktu, pociągałyby go kobiety o rozłożystych biodrach, wydatnym biuście, gotowe do noszenia dzieci, a nawet z kilkoma kilogramami nadwagi, oznaczającymi, że posiadają zapasy na ciężkie czasy, ale nie za dużo, bo z kolei nie świadczyłyby to o dobrym zdrowiu. Właśnie taka kobieta powinna się podobać większości mężczyzn, nie zaś te o budowie kija od szczotki, a nawet anorektyczki, które określa się mianem top modelek, ale na widok których ślinią się faceci. Zostali oni od dziecka „wyedukowani” przez społeczeństwo, żeby zapomnieli o własnym instynkcie i robili jak wszyscy: odpowiadali na wymagania dyktowane przez środowisko. – Zawahawszy się, dodała: – Jesteśmy tylko igraszką w rękach systemu, który się nami bawi. To system złożony z milionów ludzi, którzy strzelają na oślep dopóty, dopóki jakieś silniejsze napięcie

nie zepchnie ich na jakiś tymczasowy tor. Ale w świetle tego, co odkrywam od kilku dni, zaczynam się zastanawiać, czy ten system nie jest w gruncie rzeczy wytworem garstki jednostek, które kształtują go według własnego widzimisię, wmawiając wszystkim, że jest inaczej... – Potrząsnęła głową. – Nie mogę się wykluczyć z tego systemu, nie mam wyboru. Muszę być jego częścią, wobec tego muszę się na nowo nauczyć, czym jest miłość, i umieć zaakceptować ją taką, jaka jest: jako stan ukształtowany przez nasze społeczeństwo. Miłość, o jakiej marzyłam, jest spokojna i... sielankowa. Miłość, jaka może mnie czekać, jest wojownicza i kulturalna.

Skończywszy swój cyniczny wywód, Yael nie odważyła się spojrzeć Thomasowi w oczy. Bała się, że wyczyta w jej wzroku, co naprawdę czuje. Że mimo tych słów, mimo wyznania zimnej mądrości, on ją pociąga. Że w pewnym sensie jest on ucieleśnieniem tego, co zgodnie z jej twierdzeniem nie istnieje. Thomas ucieleśniał te ponętne sprzeczności, był opiekuńczy i wyrozumiały, a także męski. I jak tu się nie zakochać?

Tylko na jak długo? Dopóki jej ciało nie przestanie produkować oksytocyny, hormonu miłości? A potem? Euforia opadnie, psychiczna i fizyczna potrzeba drugiego człowieka zaś osłabnie wraz z zaprzestaniem wytwarzania hormonu. Powinna albo postawić na nim krzyżyk, albo rozpocząć batalię wykształconego umysłu, żeby go zatrzymać. Batalię, która musi być wzajemna.

Yael westchnęła.

Thomas położył dłoń na jej ręce.

Nic nie mówił, przeciwstawiając jej łagodne, niemal smutne spojrzenie. Nie mieli już nic więcej do powiedzenia. Wszystko, co wyszłoby z ich ust, mogło być tylko bolesne.

Za oknem przesuwał się nijaki krajobraz.

Osady zagubione w lesie lub na skraju pól. Stare mury, wśród których następowały po sobie kolejne pokolenia, bardziej zaprzątnięte tym, żeby przeżyć niż żeby buntować się przeciw własnemu losowi... Czasy się zmieniły. Dzisiaj człowiek ma wybór. Wraz z nim zaś pojawiły się żądania...

Z zamyślenia wyrwał ich niemal mechaniczny głos:

– Proszę bilety do kontroli.

Po czym ukołysana spokojną monotonią podróży Yael zasnęła w końcu na ramieniu Thomasa. Obudziła się po przejechaniu dwóch trzecich trasy, kiedy ziemia zaczęła się wypiętrzać, gdyż TGV zanurzył się między strome wzniesienia całkowicie porośnięte gęstą roślinnością. Wysoko w górze falezy wycinały białe i czerwone sierpy wśród krzewów i świerków.

W Bellegarde przesiedli się na bardziej prymitywny pociąg i tym razem nadeszła kolej Thomasa, żeby się zdrzemnąć. Yael tymczasem zagłębiła się w lekturze przewodnika turystycznego, w który zaopatrzył ich Kamel. Przeczytała opis regionu Chablis, dokąd się właśnie udawali. Wkrótce strony połączyły się w całość. Yael zaś uświadomiła sobie, że Cienie po raz kolejny zadziały w sposób prosty. Ale że wszystko nabiera sensu, Wjechali na dworzec Thonon-les-Bains o trzynastej, po czym Thomas obudził się, przeciągając

zdrętwiałe kończyny. Yael przyglądała mu się błyszczącymi oczyma.

– Co jest?

– Znalazłam to, od czego powinniśmy zacząć. Wiem, gdzie znajduje się „prawda pod powierzchnią, tam, gdzie piekło wznosi się ku niebu”.

Podsunęła otwartą książeczkę pod nos swojego towarzysza podróży:

– U stóp Piekielnej Skały leży Jezioro Walońskie. Sztuczne jezioro, które przykryło osadę w latach czterdziestych.

Thomas usiadł za kierownicą opla corsy, który właśnie wynajęli za dworcem. Wpłacając kaucję, wstukał pin, który podał mu poprzedniego dnia Kamel, jednocześnie modląc się, żeby się udało. Kobieta w okienku ani razu nie sprawdziła nazwiska na karcie – po prostu czekała, aż bilet wyjdzie z maszyny, żeby odprowadzić ich do samochodu.

Yael rozłożyła mapę regionu, kupioną dziesięć minut wcześniej. Znalazła Jezioro Walońskie.

– Trzeba jechać prosto drogą do Bellevaux. Jestem pewna, że to właśnie to jezioro u stóp Piekielnej Skały. „Zacznij od znalezienia prawdy, pod powierzchnią, tam, gdzie piekło wznosi się ku niebu”. To właśnie to. Przypomnij sobie słowa z kapliczki w katakumbach: „Jedyną prawdą jest to, co znajduje się po drugiej stronie. Każda rzecz jest tylko pozorem. Trzeba patrzeć z drugiej strony. Miasta to pozór. Podziemia miasta to naga dusza jego cywilizacji, jego tajemnice. Tak jest ze wszystkim. Tajemnice człowieka tkwią w jego fundamentach. Jego historii. Przejdź na drugą stronę” – wyrecytowała jednym tchem.

Każde słowo napisane przez Cienie wryło się w jej pamięci niczym wypalone rozgrzanym do czerwoności żelazem.

– Jezioro Walońskie istnieje od... tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku – ciągnęła, zaglądając do przewodnika. – Osuwająca się ziemia, która zsunęła się aż do doliny, utworzyła tamę, dzięki czemu przepływająca tamtędy woda z rzeki nagromadziła się i

tak powstało jezioro. Około pięćdziesięciorga mieszkańców straciło dach nad głową. Strumień płynął wolno, pierwszy dom został zabrany w nocy, górale zdążyli jednak opuścić gospodarstwa, nie było więc żadnych ofiar. To konkretna ilustracja tego, co mówiły Cienie, czyż nie! – Yael poniosło. – Pod odbiciem powierzchni kryje się miasto! – zawołała. – Pozór to jezioro, prawdą są gospodarstwa leżące na dnie. Jezioro wysyła odbicia tak jak lustro, ale chowa w sobie tajemnicę.

– Co mamy zrobić, kiedy już się tam znajdziemy?

– Szukać prawdy. Czyli to, co robimy od samego początku: szukać prawdy pod banknotem jednodolarowym, pod zabójstwem Kennedy’ego, pod Paryżem w katakumbach, a teraz pod... jeziorem.

– Co? – obruszył się Thomas. – Chyba mi nie powiesz, że mamy zejść na dno?

– Głębokość jeziora sięga czterdziestu metrów, więc to chyba mało prawdopodobne. Zobaczymy na miejscu.

Droga prowadziła zboczem góry, wśród lasów świerkowych, skał i górskich chat, które wyłaniały się gdzieniegdzie pośród pastwisk. U stóp masywów połyskiwało kryształowe Jezioro Lemańskie, znikając co jakiś czas, kiedy zaś samochód wspiął się na stok, okrążył go i wjechał w dolinę, stało się zaledwie wspomnieniem.

Oboje podziwiali krajobraz, zastanawiając się, co ich czeka na miejscu. Co będą musieli zrobić? Ponieważ wykradli dokument, przybywali bez zaproszenia. Cienie – albo ci, którzy się za nimi ukrywali – w ogóle się ich nie spodziewały. Jeżeli podkładają na miejscu każdą wskazówkę tuż przed pojawieniem się Yael, w takim

razie nic nie znajdują.

Opel wspinał się po zygzakowatej nitce asfaltu, uczepionej zbocza ogromnych stromych mas skalnych, nabierając wysokości, przecinając wioski po wąskich drogach.

Kiedy wyłonili się zza zakrętu, ściana drzew zagradzająca szosę otworzyła się nagle na bezmiar Jeziora Walońskiego.

Thomas zaparkował natychmiast przed szałasem służącym turystom jako miejsce postoju. U ich stóp woda lizała maleńką dolinę na odległość blisko półtora kilometra. Pośrodku jeziora, najeżonego czarnymi palikami, jakby chciało się obronić przed wszelkim zagrożeniem i uprzedzić o niebezpieczeństwie każdego, kto się zbliży, miejscami sterczały pnie. Jego brzegi były to wyłącznie lasy, łąki, ostre grzbiety i cisza.

Wysiedli z samochodu i stanęli oniemieli, ze wzrokiem i umysłem pochłoniętym przez mgłę osobliwości unoszącą się nad tym zakątkiem ziemi.

Yael chwyciła Thomasa za rękę.

– Brr... – powiedział.

– Co za miejsce! – szepnęła.

Po czym otrząsnąwszy się, ruszyła energicznym krokiem do szałasu, gdzie stoły i krzesła służyły jako bufet na wolnym powietrzu. Weszła do sklepiku z pamiątkami, po czym zaraz wyszła z butelką wody, którą schowała w plecaku.

– Jest droga, która okrąży jezioro, o tam – oświadczyła.

– Z tego, co mówi właściciel, z przeciwległego brzegu można

zobaczyć gospodarstwo pod wodą. To wszystko, co pozostało z katastrofy z tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Wszystkie inne budowle porwała lawina błota.

Thomas podążył za nią. Bez trudu odnaleźli ścieżkę zagłębiającą się między drzewa iglaste. Przemierzyli strumyk, krocząc po drewnianym moście i wpatrując się w niebieskozieloną taflę jeziora. Następnie dotarli do kamiennej drogi, która była wystarczająco szeroka, żeby mógł się na niej zmieścić samochód, i wiodła wzdłuż dywanu z trzciny przy akompaniamencie szelestu roślin.

Nad nimi wznosiła się Piekielna Skała, niczym rosnący tam olbrzymi ząb. Wydawało się niemożliwe, aby taki blok kamienia mógł sterceć z ziemi. Przeciwnie – sprawiał wrażenie, że spadł z nieba, zamykając dostęp do doliny przez siłę uderzenia i strzegąc jej swoim bezkresnym cieniem.

Czyżby to dla ochrony przed nim jezioro wystawiło nad wodę tak wiele rannych drzew?

„Muszę przestać sobie wyobrażać takie rzeczy... – upomniała samą siebie Yael. – To pozostałości po lesie, który tu był przedtem, nic więcej!”

„Półwieku później? – szepnął powątpiewający głos w jej głowie. – Może...”

Droga zawróciła, oddalając się od brzegu, toteż zeszli z niej na ścieżkę biegnącą wśród wysokich traw. Długa, odsłonięta przestrzeń przecinała las na pół. Wielobarwne kwiaty nadawały wszystkiemu niespodziewanie wesoły akcent.

– Przypuszczam, że to dawna lawina błotna – wyjaśniła dziewczyna.

Na łące koncertowały setki świerszczy i cykad, grając nieprzerwaną melodię.

– Słyszysz ten zgiełk? – roześmiał się Thomas. – Będziemy musieli krzyczeć, żeby z sobą rozmawiać!

– Na południu, kiedy byłam małą, mama mówiła na to polna samba – odparła z nutką nostalgii w głosie.

Część turystów pozajmowała porośnięte trawą pagórki, aby podziwiać widok, inni zaś zeszli nad jezioro, żeby urządzić sobie piknik.

Yael pieściła dłońmi łodygi tańczące w lekkiej bryzie wśród żółtych i purpurowych goryczek oraz niebieskich ostów, które akurat zrobiły sobie sjęstę.

Przystanęli na krawędzi stromego zbocza, skąd do jeziora było pięć metrów w dół. Poniżej wędkarze wpatrywali się w wędkę, siedząc w cieniu na skałach.

– Tam! – wykrzyknęła Yael, pokazując na pomarańczowy prostokąt pod lśniąca powierzchnią wody. – To zatopione gospodarstwo.

Czuwający nad spokojnymi wodami rybacy obejrzeni się na nich z niezadowoleniem.

Ruszyli dalej, aż znaleźli się w cieniu, jaki dawał rząd świerków, pod wodą zaś, około czterdziestu metrów od brzegu, spostrzegli plamę. Zdołali nawet rozróżnić geometryczne kształty

domu, a obok niego stodoły.

– Nie wygląda, żeby w tym miejscu było zbyt głęboko – zauważył Thomas.

– Musimy mieć sprzęt do nurkowania – odparła Yael.

Thomas przyjrzał się jej uważnie.

– Cóż, od samego początku Cienie nakłaniają mnie do przejścia na drugą stronę pozorów – powiedziała. – Muszę zejść na dół, zbadać to życie, poszukać prawdy poza tym, co wszyscy są w stanie zobaczyć.

– Yael, nie możemy sobie tak po prostu wskoczyć do wody na oczach tych wszystkich ludzi, żandarmeria zaraz nas zwinie, to...

– Pójdziemy, kiedy nikogo nie będzie.

– W sierpniu zawsze są tłumy!

Cofnęła się i powoli zawróciła, Thomas zaś szedł obok niej.

Mieli sporo do zrobienia, za to mało czasu.

– Ale nie dzisiaj w nocy – odrzekła.

Zapłaciwszy gotówką za pokój w niemal całkiem zapełnionym hotelu o niskim standardzie, żeby nie rzucać się w oczy, Thomas i Yael zaczęli się rozglądać za jakimś klubem dla pletwonurków nad brzegiem Jeziora Lemańskiego. Yael pozwoliła, żeby jej towarzysz targował się o cenę wynajmu sprzętu. Nie mieli ani licencji, ani karty kredytowej, by zostawić kaucję (Thomas nie chciał posługiwać się kartą Kamela ze strachu, że ktoś może sprawdzić jego tożsamość i odkryć, że nie jest jej właścicielem), mogli zatem liczyć wyłącznie na łut szczęścia i ludzką życzliwość. Po nieudanej próbie w klubie, w jakim nie wypożyczano sprzętu, Thomas trafił na kierownika, który nie przejmował się zbytnio regulaminem i zgodził się, żeby za wszystko zapłacił gotówką.

Załadowawszy butle i torby na tył samochodu, zawrócili do Thonon-les-Bains, żeby kupić wszystko, co potrzebne, po czym zjedli kolację w małej restauracji naprzeciw hotelu.

Wyruszyli około dwudziestej drugiej, nie śpiesząc się, by nie ryzykować wypadku na ostrych zakrętach. Do Jeziora Walońskiego dotarli po czterech kwadransach. Posuwali się w zwolnionym tempie w poszukiwaniu przejezdnej drogi, aż wreszcie corsa wjechała na wyboistą, kamienistą ścieżkę, na której paprocie chłostały karoserię. Powoli zbliżyli się do łąki, która miała im posłużyć jako baza wypadowa. Samochód wynurzył się z lasu i zatrzymał w wysokiej trawie. Thomas zgasił światła.

Wyładowali wszystko z bagażnika przy akompaniamencie

powtarzających się ostrzegawczych pohukiwań puszczyka.

Księżyc z trudem wspinał się ponad otaczającą dolinę szczyty, aby przejrzeć się w czarnych wodach jeziora. „Krażek z kości słoniowej ślizgający się po hebanowej kałuży” – pomyślała Yael.

– Nurkowałeś już kiedyś? – zapytał Thomas.

– Nie.

– Wyjaśnię ci dwie, trzy najważniejsze zasady, to nie jest trudne.

Yael schowała się za samochodem, żeby się przebrać. Rozejrzała się dokoła. Drzewa iglaste stanowiły jedynie ciemne plamy. Noc otoczyła góry ciasną skorupą. Każda skała, każdy przewrócony pień drzewa, widziane kątem oka nabierały niespodziewanego znaczenia.

Wśród tych niekończących się stoków Yael czuła się krucha i niepewna. Tutaj przyroda odzyskiwała swoje prawa, narzucając ludziom głęboką tajemnicę ciszy, przytłaczających cieni...

Yael zdjęła w pośpiechu ubranie, zostając w samych majtkach, po czym włożyła kombinezon, który niedawno zdobyli. Podeszła do Thomasa, który zrobił to samo. Spod rozpiętego zamka błyskawicznego wystawał mu umięśniony tors. Yael spuściła wzrok.

– Weź torbę i chodź za mną – polecił dziennikarz, niosąc na grzbiecie obie butle.

Zbliżyli się do krawędzi zbocza, pod którym rozciągała się spokojna tafla. W ciemnościach jezioro przypominało olbrzymie oko; demoniczne czarne oko przeszyte białą wypukłą źrenicą.

Yael pragnęła zagłębić się w samo wnętrze czaszki tej bestii.

Thomas znalazł sposób, żeby zejść na dół, z butlami przyciśniętymi do piersi, utrzymując równowagę za pomocą dłoni uczonej korzeni. Kiedy Yael ruszyła za nim, dotknęli stopami zimnych otoczków. W nocy zatopiony dom był niewidoczny.

– Powinien się znajdować tuż przed nami. Kiedy tylko schowamy się pod wodą, zapalimy latarki.

Yael zauważyła, że Thomas szepcze. Byli sami, na horyzoncie nie widzieli żadnego budynku z wyjątkiem ruiny, którą mijali po drodze. Czego się obawiał?

„To moc tego miejsca – pomyślała. – Ono wzbudza respekt”.

Ona także odczuwała potrzebę zachowania dyskrecji, jakby monumentalna sylwetka Piekielnej Skały groziła, że ją połknie, jeśli tylko ją zobaczy.

Thomas sprawdził zapas tlenu w każdej butli, po raz ostatni obejrzał sprzęt, po czym pomógł Yael włożyć go na siebie, jednocześnie udzielając jej podstawowych lekcji.

– Czy nóż jest naprawdę konieczny? – zdziwiła się dziewczyna, popatrzawszy na swoje wyposażenie.

Thomas nie odpowiedział.

– Posługuj się rękami jak najrzadziej – wyjaśnił. – Ramiona powodują utratę równowagi bardziej niż cokolwiek innego. I pamiętaj: głęboko nabieraj powietrza, żeby klatka piersiowa rozszerzała się w linii pionowej, i wydechaj, żeby opaść na dół.

– Powinam dać sobie radę.

Yael nie mogła się doczekać.

– I nie zapominaj o podstawowych sygnałach: szeroki łuk latarką znaczy, że wszystko w porządku, a ruch z góry na dół, że coś nie gra. Jesteś gotowa?

Kiedy kiwnęła głową, podał jej maskę, po czym sam założył uprząż.

– I jeszcze jedno: unikaj gwałtownych ruchów płetwami, kiedy będziesz się zbliżać do dna, bo inaczej całkiem stracimy widoczność. I trzymaj się blisko mnie bez względu na to, co się stanie.

– Zrozumiałam.

Przykazania Thomasa były proste – nalegał jedynie, żeby nie oddalała się od niego, kiedy się już znajdują pod wodą, i żeby ograniczyli się do swobodnego nurkowania na głębokość do pięciu metrów, co powinno pozwolić uniknąć poziomemu dekompresji.

Yael weszła do wody pierwsza, trzymając płetwy w jednej dłoni, w drugiej zaś latarkę.

Woda była lodowata.

Niecały metr od brzegu dno opadało niespodziewanie, poziom wody zaś podniósł się do kolan. Kombinezon dobrze ją chronił – zapewniał wystarczającą izolację, żeby mogła nurkować przez kilkanaście minut bez ryzyka hipotermii.

Wkrótce pojawiły się wodorosty, które zaczęły ją muskać po łydkach. Yael prędko znalazła się w prawdziwym lesie. Woda sięgała jej teraz do bioder.

– Włóż płetwy – polecił Thomas. – I nie zapominaj, że maska

ogranicza pole widzenia. Wszystko, co zobaczysz, w rzeczywistości będzie powiększone o jedną trzecią.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Nie wiem, jakie tu są ryby, ale jeżeli na jakąś się natkniesz, dobrze by było pamiętać, że ona wcale nie jest taka wielka, jak się wydaje. Dzięki temu nie wpadniesz w panikę.

Yael spełniła polecenie, po czym umieściła na twarzy maskę i zgodnie z instrukcjami Thomasa przygryzła ustnik aparatu oddechowego. Całe jej ciało weszło do tego zimnego kokonu, po czym tafla wody zaczęła powoli znikać, w miarę jak zanurzała twarz w ciemnościach.

Chociaż rośliny uczepliły się jej kończyn, wyswobodziła się z ich gąszczu trzema uderzeniami płetw. Wkrótce ogarnął ją niepokój z powodu braku jakichkolwiek punktów odniesienia. Ledwie znalazła się pod powierzchnią wody, straciła poczucie wysokości. Orientację zapewniało jej jedynie białawe halo pochodzące od księżyca.

Dźwięki również były dziwne. Głuche, a zarazem bardzo wyraźne. W końcu Yael uświadomiła sobie, że słyszy własny oddech i pisk unoszących się bąbelków.

Nagle pochwyciła ją smuga eksplodującego białego światła. To Thomas właśnie zapalił latarkę. Yael zamruwała powiekami i zrobiła to samo. Podpłynąwszy bliżej, położył jej dłoń na ramieniu, po czym zatoczył koło latarką na znak, że u niego wszystko w porządku. Yael odpowiedziała w ten sam sposób i pomknęli na środek jeziora, przebijając nogami bez pośpiechu, starając się zaoszczędzić jak

najwięcej energii.

Chłód szczypał w kostki i palce.

Obie latarki otwierały w ciemnościach wąskie korytarze przytłoczone żółtozieloną barwą.

W oddali, na skraju światła własnej latarki, Yael zdawała się dostrzegać jakiś cień. Podpłynęła bliżej, lecz nic nie zobaczyła. Śniła na jawie.

Znajdowali się zaledwie na głębokości czterech metrów, ale z powodu nieprzeniknionej, ciemnej wody Yael miała wrażenie, że porusza się w jakiejś przepastnej jamie.

Wtem przed jej pole widzenia przesunął się kolejny cień. Tym razem Yael zaczęła go szukać, omiatając latarką lewą stronę, ale również bez powodzenia.

Bąbelki ulatujące rytmicznie do wody tworzyły w samym sercu ciszy koncert, który dodawał jej otuchy. Chwilami jej ramię ocierające się o sprzęt wywoływało krótki, natychmiast stłumiony dźwięk.

Yael poruszała się w tej smole wpatrzona w postać Thomasa, który wyprzedzał ją o metr, płynąc z jej prawej strony. Starła się oddychać jak nurek, wyłącznie ustami i coraz lepiej rozumiała ostrzeżenie jej towarzysza, który zapowiadał, że z początku to nie będzie takie oczywiste, na powietrzu bowiem człowiek przez większą część czasu oddycha nosem, nie zdając sobie z tego sprawy, i że ona poczuje się trochę niepewnie, nie mogąc tego robić. „To tak, jakby się miało katar” – dodał ze śmiechem.

Tym razem ruch był bardzo ulotny, Yael nie miała jednak

żadnych wątpliwości: coś widziała. Jakiś kształt po lewej stronie, tuż przed sobą. Kiedy jednak tam dotarła, nic nie znalazła.

„Ryby...” – pomyślała uspokajająco.

I nagle wyłonił się przed nimi, uchwycony przez łukowate strumienie światła obojga nurków: zatopiony dom.

Najpierw był zamazany mur, przyczajony za tą gęstą mgłą, następnie otwarte drzwi tworzące czyhającą na nich niezgłębioną dziurę.

Pokazawszy na nią palcem, Thomas powoli podpłynął bliżej. Chwycił się nadproża, aby łatwiej się prześliznąć, nie uszkodzając butli, po czym zniknął w środku. Yael obejrzała się za siebie.

Wpatrzyła się w otaczającą ją nicość. Czowała się tak, jakby ktoś ją obserwował. Czy to możliwe, czy też to tylko stres wywołany odkryciem nieznanego miejsca?

Chociaż omiotła latarką otoczenie na odległość niecałych trzech metrów – maksymalną długość promienia jej światła – nie dostrzegła niczyjej obecności.

Wtem czyjaś dłoń zacisnęła się na jej kostce.

Yael drgnęła, serce zamarło jej na trzy sekundy. Thomas wołał ją właśnie, zachęcając, żeby doń dołączyła.

Dziewczyna prześliznęła się przez otwór i również wpłynęła do domu, mając osobliwe przeświadczenie, że zakrada się do kogoś w czasie jego nieobecności.

Nawet dwie latarki nie zdołały rozświetlić w wystarczającym stopniu nieprzeniknionych ciemności. Yael ruszyła wzdłuż ściany,

macając dłonią, aż natrafiła na zagłębienie.

„To była szafa. Dziś już nic z niej nie zostało”.

Woda i czas wszystko zniszczyły, ocalały jedynie stare, zardzewiałe gwoździe wystające z kamienia.

Thomas, który przemknął za jej plecami, klepnął ją w plecy, pokazując coś, co zapewne było kiedyś kolejnym pokojem, po czym odepchnąwszy się płetwami, wpłynęli do środka.

Yael już miała ruszać za nim, gdy nagle ujrzała otwór w przeciwległej ścianie. Podpłynęła bliżej.

Komin.

Latarka wysunęła jej się z palców.

Patrzyła, jak spada, nie zdołała jej jednak złapać. Gdy dotknęła dna, snop światła zniknął.

Yael pogrzyżyła się w mroku, który rozświetlała tylko słaba aureola, znikająca z sekundy na sekundę tam, gdzie oddalił się Thomas, przekonany, że ona płynie za nim.

Stosując się do niedawno otrzymanych nauk, wypuściła z płuc całe powietrze i obróciła się powoli głową w dół. Jeden ruch płetw wystarczył, żeby znalazła się na dnie. Jej palce zanurzyły się w mule. Przeszukała go metodycznie, skupiając się w jednakowym stopniu na tym, czego dotykała, co na zachowaniu za wszelką cenę zimnej krwi.

Mimo ciemności potrafiła rozróżnić drobinki ziemi i osadów, które unosiły się tuż nad jej głową.

Musnąwszy latarkę, cofnęła dłoń.

Nie. To nie była latarka.

Powoli obmacała przedmiot wypełniający całe dno komina. Szkatułka. W miarę jak badała ją palcami, uświadomiła sobie, że to skrzynia i to dość okazała.

Kiedy odnalazła zamek, zaskoczyło ją, że nie ma kłódki, tylko zwykły zatrzask. Jedną ręką nadal macała w poszukiwaniu światła, drugą zaś usiłowała odsunąć zasuwkę.

Znalazłszy wreszcie latarkę, czym prędzej ją włączyła, czując w sercu ukłucie na myśl, że mogła się zepsuć.

W rzeczywistości był to kufer.

Kiedy wreszcie zasuwka ustąpiła pod naporem Yael, dziewczyna podniosła skobel.

Kufer natychmiast się otworzył, uwalniając szklaną butelkę, która uniosła się powoli na powierzchnię. Odprężona Yael złapała ją w locie.

Kiedy nagle spostrzegła przed sobą ogromną falę, pojęła, że poruszyło się coś wielkiego. Tuż obok niej.

Na nią.

Ledwie zdążyła pochylić głowę, tajemniczy kształt rzucił się jej na twarz.

Yael zaś zniknęła w miriadach bąbelków i wśród zduszonych wrzasków.

Śmierć. Jej wychudzona i włóknista twarz o olbrzymich czarnych oczach, dwóch pustych oczodołach, wykrzywionych ustach, bez nosa, i ta mazista substancja, która oblepiała cały szkielet i zaczęła się od niego odklejać... Znajdująca się na głębokości czterech metrów Yael wrzasnęła, wypuszczając ustnik aparatu oddechowego. Wydała szaleńczy okrzyk przerażenia, natychmiast pochłonięty przez jezioro, które tylko czekało na najmniejszy znak, żeby wtargnąć do jej gardła. Do płuc.

Śmierć odwróciła głowę w drugą stronę.

Jej dolna szczęka oderwała się i odpłynęła wśród resztek zgniętego mięsa.

Yael wreszcie zamilkła. I zastygła.

Do jej zamulonego mózgu dotarło, że to trup.

Trup, który przepływał kilka centymetrów od jej twarzy. Otwierając kufer, uwolniła go, toteż wyskoczył niczym diabeł z pudełka.

Zaczęła się dusić.

Zaczęła macać wokół siebie w poszukiwaniu ustnika aparatu oddechowego, po czym przełożyła ręce do tyłu, żeby dotknąć butli i cennego przewodu... nie zdając sobie sprawy, że ciągle ścisła w dłoni szklaną butelkę.

Nie mogła już dłużej wytrzymać bez tlenu.

Rozsadzało jej płuca, zaraz nabierze powietrza.

Już miała wrażenie, że oczy zasnuwa jej czarna mgła.

Wtem wyłoniła się przed nią czyjaś dłoń trzymająca ustnik i siłą rozchylająca jej wargi, żeby go do nich wsunąć.

Yael nabrała powietrza.

Znów oddychała.

Thomas chwycił ją za ramię i pociągnął, oświetlając trupa pokrytego jakąś zielonkawą gnijącą substancją, która nie przestawała się rozpadać w wodzie na setki drobinek, przylepiając się do ich kombinezonów i masek...

Thomas zataczał przed sobą koła latarką.

Yael przypomniała sobie szyfr. W ten sposób pytał ją, czy wszystko w porządku.

Czuła łomotanie w skroniach. Zdoławszy jednak wziąć się w garść, po krótkim wahaniu dała odpowiedź twierdzącą.

Thomas obejrzał się na trupa.

Oświetlił go.

Jego stan pozwalał przypuszczać, że spędził w kufrze sporo czasu i że nie mógł zostać pozbawiony ciała przez wodę i ryby. Thomas wycelował palec w kufel, po czym powoli zszedł na ten sam poziom.

Uderzył głową w piszczel szkieletu. Cała noga się rozpadła, kości zaś się rozsypały, wydzielając jakąś śluzowatą maź.

Yael zrobiło się od tego niedobrze.

Zamknawszy oczy, żeby się opanować, podpłynęła do swojego towarzysza.

Oglądał kufel w poszukiwaniu jakiegoś napisu, jakiejś

wskazówki.

Yael uzmysłowiła sobie, że ciągle trzyma w dłoni butelkę. Ścisła ją tak mocno, że aż pobieleły jej kłykcie. Strach sprawił, że chwyciła ją kurczowo i natychmiast o niej zapomniała.

Pokazała ją Thomasowi. Była to zupełnie zwyczajna szklana butelka zatkana korkiem. W promieniach latarek spostrzegli, że w środku znajduje się nienamoknięty zwitek papieru.

Oto mieli swoje trofeum.

Yael zapragnęła wracać.

Thomas zastygł bez ruchu, zastanawiając się nad czymś. Wreszcie odwrócił się twarzą do trupa.

„On ma rację – pomyślała Yael. – Nie można go tak zostawić. Trzeba go wyciągnąć...” Tylko komu by go oddali? Pozostawienie go tam także nie wchodziło w rachubę. Prędzej czy później trafi na brzeg. Tam, gdzie codziennie przechadzają się rodziny. Z dziećmi.

Myśl ta utkwiała w głowie Yael, wypierając chęć zastanawiania się nad czymkolwiek innym. Nagle dziewczyna złapała miednicę szkieletu, która oderwała się od reszty.

Musi umieścić te kości z powrotem w kufrze, z dala od ludzkich spojrzeń.

Zamierzała chwycić tułów za dryfujące żebra, ale osiągnęła tylko tyle, że do reszty się rozpadły. Czaszka się oddzieliła, podobnie zresztą jak kości ramienia.

Thomas znów złapał ją za ramię i odciągnął do tyłu.

Chociaż usiłowała się opierać, nie popuszczał, jej próby na nic

się więc nie zdały.

Niechętnie się wycofała.

To, co było kiedyś ludzką istotą, rozlatywało się na jej oczach, pograżając się w chłodzie i zapomnieniu.

Wyłonili się na powierzchnię dziesięć metrów od brzegu.

Yael wypluła ustnik i zerwała maskę, wciągając czyste powietrze, delektując się normalnym oddechem.

Uniosła twarz ku rozświetlającym niebo miriadom gwiazd.

– Nigdy jeszcze nie cieszyłam się tak na ich widok – przyznała, drżąc.

Miała ściśnięte gardło, była bliska załamania. Ogarniała ją przemożna chęć, żeby się rozplakać. Dlatego, że wróciła właśnie cała i zdrowa, czy też z powodu tego, co widziała na dole? Nie potrafiła na to odpowiedzieć.

Thomas płynął spokojnie, w milczeniu, w kierunku lądu.

Kiedy go dogoniła, pozbyli się butli z tlenem i wyciągnęli na kamieniach.

Yael szczękała zębami, podniosła się więc z trudem – nogi miała jak z waty. Nie mogła tu dłużej zostać. Chciała stąd iść, uciec z tego miejsca.

Thomas nadal się nie odzywał.

– Wszystko w porządku? – zapytała Yael.

Pokiwał głową, nie odrywając wzroku od jeziora.

– Chodź – dodała miękko. – Wyszuszmy się. Nie mamy tu już

nic do roboty.

Wstał bez słowa, krzywiąc się.

„Boli go zranione udo”. Złapała się na tym, że gorąco pragnie, żeby rana się nie otworzyła. Zamierzał wziąć butle z tlenem i wdrapać się po stromym zboczu, nie pozwoliła mu jednak, tylko zarzuciwszy je sobie na ramiona, ruszyła pierwsza do samochodu.

Wtem zaskoczyło ich jakieś osobliwe buczenie.

Warkot silnika.

Yael ścisnęła szyjkę swojego cennego skarbu.

W ciągu sekundy oceniła sytuację: ranę Thomasa i konieczność natychmiastowej ucieczki.

Dała znak dziennikarzowi, żeby się nie ruszał. Kiedy zaś oparł się o drzewo, by zmniejszyć ból w nodze, wyrzuciła butle i zaczęła się wspinać na wzgórze.

Drogą nadjeżdżał samochód z włączonymi światłami.

Znad rozsuwanego dachu wystawała jakaś ludzka postać. Mężczyzna przeczesywał okolicę, przyświecając sobie latarką.

„Strażnicy leśni...”

Rozpoznawszy jednak przedmiot, który mężczyzna trzymał w drugiej dłoni, zrozumiała.

Zwłaszcza wtedy, gdy samochód złowił w krąg światła ich opła corsę i nagle przyspieszył.

Yael skuliła się w sobie, po czym zaczęła skradać się po stoku, czując w trzewiach strach.

„Oni nadchodzą”.

Yael chwyciła jedną butelkę z tlenem i szarpnęła w pośpiechu.

– To oni! Są tutaj!

Porwawszy resztę ekwipunku, Thomas pomknął za dziewczyną, która ruszyła wzdłuż jeziora, żeby jak najprędzej oddalić się od samochodu.

Tymczasem za ich plecami zatrzymało się auto i szybko otworzyły się drzwi. Obejrawszy się na Thomasa, Yael stwierdziła, że bardzo utyka. Ich podwodne wyczyny nie wpłynęły na niego najlepiej.

Przyspieszyła kroku w nadziei, że zdoła ją dogonić, pragnęła bowiem jak najszybciej schronić się wśród drzew.

Mijając zarośla, pomyślała, że wkrótce broń zacznie wypływać pociski.

Pod pierwszym drzewem skuliła się, wypuszczając z rąk wszystko oprócz butelki z wiadomością, po czym podała dłoń Thomasowi, którego zdążyła wyprzedzić o dobre pięć metrów.

Wtem na szczycie skarpy, tam, gdzie sama stała zaledwie minutę wcześniej, pojawiła się uzbrojona postać.

Thomas ciągle znajdował się na otwartej przestrzeni.

Mężczyzna rozejrzał się dokoła.

Kiedy tylko dziennikarz się zbliżył, chwyciła go za kombinezon i pociągnęła gwałtownie ku sobie. Upadli jedno na drugie.

Po czym zastygli w bezruchu na jakieś dziesięć sekund.

Wreszcie Thomas szepnął:

– Moja noga...

Yael skinęła głową, kładąc palec na ustach.

Czuła dotyk jego ciała, jego nogę między swoimi. Natychmiast jednak przywołała się do porządku.

Nie namierzyli ich. Jeszcze nie.

Wsparty na łokciach Thomas przekreślił się na prawą stronę. Pokazał szczyt wzgórza, po czym zaczął się wspinać do góry, niosąc część sprzętu.

Yael przeszedł dreszcz. Palce zdrętwiały jej z zimna. Powinna się jak najprędzej wysuszyć i ogrzać, bo inaczej nie będzie mogła skutecznie działać. Odkorkowawszy butelkę, wydobyla z niej list i wsunęła za kombinezon na piersiach, po czym ją wyrzuciła.

Podążała za Thomasem, który przywarł właśnie do ziemi, wypatrując pozycji ich prześladowców.

Było ich trzech: jeden stał przy samochodach, oświetlając latarką wysoką trawę, pozostali dwaj szli po stoku ponad jeziorem.

Wszyscy uzbrojeni.

Gdy jeden z nich odwrócił się i powiedział coś do swoich kumpli, Yael wyteżyła słuch mimo znacznej odległości.

– ... idź sprawdzić. Rzuć okiem... w lesie na górze. Tam jest stary kościół... widziałem na mapie, pewnie tam są.

Po czym zniknął, kierując się ku jezioru. Znajdujący się najbliżej nich mężczyzna ruszył ścieżką wiodącą do lasu, gdzie wkrótce także rozpląnął się w ciemnościach. Pozostał tylko jeden zabójca. Ten między samochodami.

– Musimy odzyskać nasz wóz! – szepnęła Yael.

Thomas zaczął rozważać wszystkie możliwości.

– Zajmijmy się tym facetem, dopóki jest sam – powiedział. – To nasza szansa! Tylko że to są zawodowcy, niewiele więc możemy im zrobić!

– Nie mamy wyboru! – odparła Yael czując, że nie ma czasu do stracenia. – Oni zaraz wrócą! – Po czym chwyciwszy go za nadgarstek, dodała z uporem: – Z tą twoją nogą nie dasz rady skradać się po cichu, zostaw więc to mnie.

Już miał zaprotestować, lecz wstała, trzymając w dłoni butlę z tlenem.

– Muszę to zrobić.

Co dziesięć kroków Yael wystawiała głowę zza wysokiej trawy, śledząc swoją ofiarę. Mężczyzna odłożył właśnie reflektorek i zapalił papierosa.

Dziewczyna słyszała łomotanie własnego serca i była mokra od potu mimo chłodu, od którego drętwiała coraz bardziej. Gdyby jeden z tamtych niespodziewanie wrócił, nie miałyby żadnych szans.

Pozostało jej zaledwie dziesięć metrów.

Przyspieszyła kroku, przyciskając do piersi ciężką butlę z tlenem, gotowa popieścić nią każdego, kto się nawinie.

Wilgotne włosy przeszkadzały jej, stale opadając na czoło.

Pięć metrów.

Da radę. To jest możliwe.

„Zaczekam aż do ostatniej chwili i dopiero zamierzę się butlą.

Do ostatniej chwili. Żeby nie zdążył zareagować”.

Kiedy zaciągnął się dymem, całą twarz rozjaśnił mu czerwony blask.

Na serdecznym palcu załśniła obrączka.

To żonaty mężczyzna. Ma rodzinę.

W ułamku sekundy Yael zdała sobie w pełni sprawę z tego, że ma przed sobą ludzkie życie. I że może je zniszczyć, uderzając zbyt mocno.

A może jest ojcem? Czy dziś rano przed wyjściem przytulił do siebie dzieci? Ten facet to nie wyłącznie „zagrożenie”, to istota ludzka, która potrafi się śmiać, ma za sobą jakieś dzieciństwo, żywi jakieś nadzieje.

Wahanie pożerało cenne sekundy.

Po czym mężczyzna odwrócił ku niej głowę.

Jego idealnie zgrane dłonie przypominały wrzeczono zegara. Podczas gdy jedna opadła, wyrzucając papierosa, druga się uniosła.

Wycelowując w nią czarną otchłań lufy pistoletu.

Miał na muszce tę małą sukę, która przysporzyła mu tylu kłopotów w tak krótkim czasie.

Jedna kulka.

Prosto w czoło.

Maleńka lśniaca dziurka i wydobywająca się z niej smużka dymu.

I mózg tej laski eksplodujący w środku nocy, jej krew czarniejsza niż śmierć w blasku księżycy.

Była martwa.

I to właśnie on zakończył tę robotę.

Jego palec musnął spust.

Fantazjował.

Cios przyszedł niespodziewanie.

Prawdziwy szok.

Nie zdążył zobaczyć, co zmiażdżyło mu twarz – coś potężnego, co spadło jak piorun z jasnego nieba.

Ból z potrzaskanych kości nie zdążył nawet dotrzeć do mózgu. Pod wpływem siły uderzenia w jego głowie nastąpiło zwarcie, jakby ktoś nagle przeciął dopływ prądu. Wszystko zgasło.

Yael odzyskała oddech.

Chociaż Thomasowi zajęło to nieco więcej czasu z powodu rany w nodze, ich plan i tak zadziałał. Wzięli go w kleszcze, okrążywszy z dwóch stron dość szybkim krokiem. Ten, kto dopadnie go pierwszy,

miał zadać cios, gdyby zaś któreś z nich zostało namierzone, to drugie miało się na niego rzucić i zabić.

– On nie... On... – wykrztusiła Yael.

– Chodź! – rozkazał Thomas i pognął do samochodu.

Wskoczył do środka rzucając cały sprzęt na tylne siedzenie. Kluczyki ciągle tkwiły w stacyjce, żaden z zabójców bowiem nie pomyślał, żeby je zabrać.

Yael już miała wsiąść do wozu, gdy nagle zmieniła zdanie i wyciągnęła nóż. Okrążyła auto prześladowców, z całej siły wbijając ostrze w każdą z opon, po czym biegiem wróciła.

Thomas zapalił silnik i ruszył z kopyta.

– Schowaj głowę! – rozkazał.

Yael spełniła polecenie. Opel zawarczał, szarpnął gwałtownie, po czym przeciął zarośla, kierując się w stronę lasu.

Jego śladem pobiegło dwóch mężczyzn. Jeden z nich popędził za nim, drugi zaś strzelił kilkakrotnie w ruchu, nie zadając sobie trudu, żeby dokładnie wycelować. Pociski nawet nie drasnęły auta.

Opel mknął między iglakami, które tworzyły ogromną zasłonę.

Gdy Thomas wziął zakręt zbyt gwałtownie, samochód wpadł w poślizg i o mało nie uderzył w pień świerka, którego gałęzie podrapały cały tył.

Rozpędziwszy auto do maksymalnej prędkości, dziennikarz z trudem pokonywał kolejne wiraże.

W końcu udało im się jednak wydostać na boczną drogę i jej gładki asfalt.

– Zwolnij – poprosiła Yael. – Oni są teraz daleko.

– Znaleźli nas – odparł ponuro. – Nie zostawiliśmy żadnych śladów, a mimo to nas znaleźli. Jak to wytłumaczysz?

Yael nic nie odpowiedziała. Wszystko toczyło się dla niej jeszcze zbyt szybko.

Po kilkunastu minutach zapaliła światło, rozsunęła kombinezon i wydobyla skrawek papieru, który wydostali z jeziora.

Rozwinęła i przeczytała.

Zamknęła oczy na krótką chwilę.

Jej jedyne słowa brzmiały:

– Muszę się rozgrzać.

Pokonując ostatni zakręt przed hotelem, Thomas zapytał:

– Czy Kamel wie, w którym hotelu się zatrzymaliśmy?

– Nie, zapłaciliśmy gotówką i nie dzwoniliśmy do niego od przyjazdu.

– Tym lepiej.

– Słucham?

– Tak jest bezpieczniej. Wyłumacz mi, jakim cudem ci faceci dali radę nas znaleźć tam, na górze, w samym środku nocy? Tylko Kamel wiedział, że mamy być w Thonon.

– Przecież to twój przyjaciel! – pokręciła głową Yael.

– Jak możesz tak myśleć?

– Mówiłem ci, że znamy się od roku, od mojego reportażu. To nie czyni z niego jeszcze przyjaciela. Byłem przekonany, że można mu zaufać, jego paranoja sprawiła, że w moich oczach wydawał się kimś, kogo nie można przekupić.

Thomas zaparkował za jakąś ciężarówką. Wyłączył silnik i zastygł na siedzeniu.

– Zaszliśmy się w samym środku gór, z dala od Paryża, nikt więc nie powinien był nas znaleźć – powtórzył.

– Kamel nie ma z tym nic wspólnego.

– Chciałbym w to wierzyć.

– Mówię ci, że jest niewinny. Nawet nie wiedział, że mamy jechać nad Jezioro Walońskie! Był przekonany, że udaliśmy się do

wąwozów pod Diabelskim Mostem. A nawet gdyby wyczytał to z przewodnika, tak jak my, jak zdołaliby przewidzieć, że będziemy tam dziś w nocy, a nie za dnia?

– Nie mam pojęcia... – westchnął Thomas.

– Z kolei jeśli to nie on, to znaczy, że znaleźli jakiś sposób, żeby nas namierzyć. I to jest prawdziwy problem, z którym musimy sobie poradzić natychmiast.

Thomas milczał przez chwilę, po czym się wyprostował, mówiąc:

– Pogadamy z Kamelem.

Oddalili się od hotelu w poszukiwaniu budki telefonicznej, z której prawie o drugiej w nocy zadzwonili na pager.

Po czym odłożyli słuchawkę, czekając, aż zabrzęczy telefon.

Thomas skorzystał z tego, żeby zaspokoić swoją ciekawość:

– Czy mam prawo wiedzieć, jak brzmi wiadomość w butelce?

Yael uniosła brwi.

– Że potrzebna nam Biblia.

– Jak to?

– Pokażę ci, jak załatwimy tę sprawę. Wzięłam z sobą Biblię, którą znaleźliśmy pod czarą w kaplicy, mam ją w torbie.

– Tak jakby to wszystko było zaplanowane, co?

– Przecież wszystko jest zaplanowane. Od samego początku Cienie przewidują każde moje posunięcie, bo to one mną kierują.

W kabinie rozległ się głośny dzwonek.

– Wszystko w porządku? – zapytał Kameleł stłumionym głosem.

– Tego bym nie powiedziała, ale jesteśmy cali i zdrowi – odrzekła Yael, która podniosła słuchawkę.

Streściła mu pokrótce, co się stało w ciągu dnia, a zwłaszcza to, co znaleźli przed napadem.

– Martwimy się, Kamelu. Możliwe, że znaleźli jakiś sposób, żeby nas namierzyć.

– To mało prawdopodobne, przebraliście się od stóp do głów. Jeżeli przyczepili ci pluskwy do ubrania, to i tak wszystkie stracili. Nie zostawiłaś sobie chyba starych okularów ani spinki do włosów?

– Nie, wszystko zmieniłam.

Wtedy odezwał się Thomas, który stał przyklejony do słuchawki:

– Ja mam ciągle stare okulary przeciwsłoneczne.

– O ile dobrze zrozumiałem, aż do wczoraj cię nie znali, nie mogli więc przyczepić ci pluskwy.

– Mam też przy sobie komórkę, ale jest wyłączona.

– Od kiedy? – zapytał natychmiast Kamel.

– Spoko, nie używam jej od wczoraj rano. Zostawiłem ją tylko na wszelki wypadek, ale nigdzie nie dzwoniłem.

– Ale ci faceci, ci zabójcy, cię rozpoznali, prawda?

– Na pewno, bo zapłaciłem za nasz hotel przy Porte de Versailles kartą.

Głos Kamela się zmienił – teraz było w nim słycać nutkę strachu:

– Zupełnie wyłączyłeś telefon?

– Tak, ja...

– Bo nawet jeśli nigdzie nie dzwonisz, i tak można cię namierzyć, wystarczy że jest na czuwaniu! Operatorzy muszą zlokalizować swoich klientów, żeby „wysłać” im rozmowy przychodzące i wychodzące, dlatego przez cały czas wiedzą, gdzie jesteś.

– Jest wyłączony, uspokój się.

Obawy Kamela wydawały się tylko odrobinę mniejsze, kiedy powiedział:

– Powinieneś wiedzieć, że nawet jeśli wyjmiesz baterię, musi upłynąć co najmniej pół godziny, aby kondensatory przestały dostarczać dość energii na wysyłanie sygnału, który pozwala namierzyć aparat. A wszystkie telefony są wyposażone w kondensatory.

– Jest całkowicie wyłączony od wczoraj.

– W porządku, w takim razie to nie to. Nie mam pojęcia, jak im się udało. – Po krótkim milczeniu dodał: – Na razie bądźcie ostrożni, znajdźcie sobie jakiś inny nocleg niż planowaliście, i bądźcie czujni, ja tymczasem postaram się wybadać, w jaki sposób dają radę was namierzyć.

Rozłączyli się, wcale nie uspokojeni.

Rozejrzawszy się pośpiesznie po okolicy, wynajęli pokój w hotelu naprzeciwko, a nawet zdołali wytargować u nocnego recepcjonisty, żeby miał okna od ulicy. Dzięki temu będą mogli śledzić każdego, kto wchodzi i wychodzi z budynku.

Yael postawiła torbę podróżną na jednym z łóżek, po czym

natychmiast wyjęła z niej coś do przebrania. Thomas zajął miejsce przed oknem.

– Skoro nasz samochód stoi na parkingu po drugiej stronie ulicy, łatwo będzie zauważyć, czy ktoś się do niego nie zbliża – stwierdził.

– Musimy się zmieniać – odrzekła Yael z łazienki, odkręciwszy wodę. – Jedno z nas będzie spało, a drugie stało na czatach.

Mówiąc te słowa, uświadomiła sobie, jak bardzo cała sytuacja przypomina fikcję. Stać na czatach. To aż do tego doszło? W jaki koszmar się władowała? Wierna linii postępowania, jaką narzuciła sobie przedwczoraj rano, zmusiła się, żeby przestać myśleć w takich kategoriach, przestać się nad sobą uzalać, lecz skupić na tym, co dzieje się tu i teraz, aby móc lepiej zaplanować przyszłe czynności. Najpierw się rozgrzać.

Wzięła bardzo gorącą kąpiel, w której o mało nie zasnęła. Kiedy wyszła z łazienki, Thomas czuwał, siedząc na krześle, jakie zdążył przystawić do okna, nogawkę lnianych spodni zaś podciągnął do góry, odsłaniając świeżo zabandażowaną ranę na udzie. Był blady i miał sine wargi. Na przedramionach widniały czerwone strupy.

– Znowu się otworzyła?

– Nie, ale boli.

– To i tak dobrze, że szwy nie popękały. Weź gorący prysznic, ja cię zastąpię.

Kiedy Thomas wrócił po kwadransie, wyglądał o wiele lepiej.

Yael pokazała mu starą, oprawioną w skórę Biblię, którą zabrała

z katakumb. Między kartki była wsunięta wiadomość od Cieni. Gdy Thomas rozłożył list, jego oczom ukazało się przesłanie skreślane wąskim, wytwornym pismem:

Historia się nie toczy, ona się pisze, dzieje się. Niektórzy potrafią ją przewidzieć, czerpiąc z przeszłości, aby napisać przyszłość, aby ukształtować ją zgodnie ze swoim pragnieniem.

Nasza przyszłość jest już zapisana, ona jest wszędzie, naucz się na nowo czytać, widzieć, rozumieć.

*Daliśmy człowiekowi łańcuchy, kształtując podstawowe ogniwo
cywilizacji.*

APOKALIPSA ŚWIĘTEGO JANA 13, 16-17

Nasze piętno jest wszędzie, w twoich rękach, na twoich

Wszystko zostało przewidziane.

Przejdź na drugą stronę, Yael, do nas.

Thomas usiadł na brzegu łóżka.

– Mówi ci to coś?

– Chyba tak – odrzekła.

Ruchem głowy zachęcił ją, żeby rozwinęła temat.

– Pierwszy akapit przypomina o tym, co Cienie od początku

dają mi do zrozumienia – wyjaśniła. – Że w świecie i w naszej historii aż roi się od symboli, które mogą odczytać tylko wtajemniczeni, czyniąc to zaś, potrafią oni... naprawdę zrozumieć świat, a czasem nawet przewidzieć, co się stanie. Moim zdaniem one przewidują historię dlatego, że nadają jej zdecydowany kierunek. W świetle wydarzeń można by nawet stwierdzić, że Cienie wykorzystują to, co istnieje, niekiedy nawet tajemnice, które same pozostawiły po sobie w ciągu dziejów, aby tworzyć przyszłość.

– Dlaczego nie? I co dalej?

– W drugim akapicie „my” odnosi się do Cieni, do ludzi, którzy pozostają w mroku świata i którzy nim rządzą: „Daliśmy człowiekowi łańcuchy, kształtując podstawowe ogniwo cywilizacji”. Łańcuchy to podstawowe ogniwo, to kolejny symbol, ale co jest podstawą cywilizacji?

– Religia – podsunął Thomas po krótkim namyśle.

– Nie, to jedno z ogniw, ale nie najważniejsze. Nie jestem ekspertem, ale czytałam wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że religia rozwijała się w kulturach w taki sposób, aby umocnić władzę określonej grupy osób. Jest ważna, zgoda, ale to nie serce cywilizacji.

– W takim razie kultura?

– Też nie. Kultura może ewoluować, wyzwolić się. To nie są pęta, przeciwnie; to nie ona jest esencją cywilizacji, ona ją czasami podsyca. Spójrz, w sercu cywilizacji następuje zjednoczenie ludzi. Dlaczego? Bo we wzajemnym oddziaływaniu, we współdziałaniu tworzy się postęp wszystkich. Ale dla uzyskania tego zjednoczenia

potrzeba wymiany, podziału...

– Handlu – pojął Thomas.

– Tak, we wszystkich jego postaciach, prymitywnych i nieprymitywnych. Właśnie dla tej wymiany ludzie jednoczyli się do tego stopnia, że tworzyli cywilizacje. W grupie są silniejsi, ponieważ wzajemnie sobie pomagają. Jeśli ja robię coś dla ciebie, dzielę się z tobą moją siłą lub inteligencją, co ty mi dajesz w zamian? Dzisiaj handel zawsze zajmuje czołowe miejsce w systemie, określa nasze przetrwanie.

– Czyli że Cienie wymyśliły nawet handel? – zakpił Thomas. – To mi zakrawa z lekka na egocentryzm, nie uważasz?

– Nie według ich rozumowania. Twierdzą, że ukształtowały łańcuchy człowieka i handel w obecnej formie. Cienie mówią, że wpłynęły na handel w dzisiejszym kształcie, że go zbudowały, a nie że go stworzyły. To nie to samo.

Thomas położył palec na dalszym ciągu.

– A cytat z Biblii?

– Spójrz na otwartą stronę.

Thomas przeczytał głośno:

– I sprawia, że wszyscy:

mali i wielcy,

bogaci i biedni,

wolni i niewolnicy

otrzymują znamię na prawą rękę lub na czoło

*i że nikt nie może nic kupić ni sprzedać,
kto nie ma znamienia – imienia Bestii
lub liczby jej imienia.*

– Liczbę Bestii napisano tuż pod spodem.

– *A liczba jego: sześćset sześćdziesiąt sześć* – dodał Thomas, odkładając Biblię na łóżko.

– Można by wysnuć logiczny wniosek, że Bestia to Cienie – zauważyła Yael.

– Tak, symbol cienia, wszystkich knozań, jakie odbywają się za plecami ludzi. Wyobrażenie manipulacji, bo w rzeczywistości Cienie i Bestia to jedno. Tak czy inaczej, diabeł, Bestia, zawsze służył do ukierunkowywania innych, do rządzenia nimi zgodnie z własną wolą, do narzucania im wszystkiego za pomocą strachu, kłamstwa. Przecież to właśnie robią Cienie, nie? One tylko zmieniły nazwę. Przystosowują się do społeczeństw, w których żyją.

– Powiedziałabym raczej: do społeczeństwa, które kształtują.

Thomas odczytał ostatni akapit:

*– Nasze piętno jest wszędzie,
w twoich rękach, na twoich oczach,
cała ludzkość należy do nas.*

Wszystko zasiało przewidziane.

Przejdź na drugą stronę, Yael, do nas.

– Piętno, które jest wszędzie, to...

– Pieniądze!

– Tak – przyznała Yael. – Popatrz na fragment Biblii: znamię Bestii na ręce albo na czole.

– Żeby zapłacić, albo wyciągam rękę, albo posługuję się... hasłami bankowymi! Ręka symbolizuje gotówkę, a czoło rozum, pamięć, które służą do innych transakcji.

Ich dedukcje nie w pełni przemawiały do Yael.

– To wszystko jest słuszne, ale bardzo... metaforyczne. Jak dotąd Cienie zawsze unaoczniały swoje działania, pokazując mi konkrety.

– Pieniądze to jest konkret! Popatrz na banknot jednodolarowy! Jest naszpikowany odniesieniami ezoterycznymi, handel międzynarodowy opiera się na dolarze; wszyscy się nim posługują, ale nikt nie zdaje sobie sprawy, że odtwarza biblijne teksty apokaliptyczne!

– Jestem pewna, że istnieje coś jeszcze. Coś bardziej posępnego.

– To i tak dużo! Bestia ma w swoim władaniu ludzkość! Manipulowała ludźmi, żeby oparli swój system przetrwania na znamieniu!

– Zgadzam się z tobą, ale brakuje jeszcze liczby sześćset sześćdziesiąt sześć.

Całe podniecenie Thomasa opadło.

– Kto wie? Może to kod wymiany międzynarodowej... – rzucił bez przekonania. – Zaczekaj chwilę... Właśnie to było napisane na drzwiach do katakumb pod twoim mieszkaniem!

– Zgadza się. Piętno Bestii. Cienie już wtedy kierowały nas na trop diabła, bez względu na rozmaite mity i imiona, jakie mógł przybierać w ciągu dziejów. I właśnie w katakumbach znaleźliśmy tę Biblię.

Thomas skrzyżował ręce na piersiach.

– Mimo wszystko nie bardzo w to wierzę – powiedział.

– Naprawdę myślisz, że jakaś grupa ludzi, coś w rodzaju sekty, przekazywała sobie władzę i... szyfr, system symboli począwszy od średniowiecza?

– Myślę, że od kilkudziesięciu lat istnieje grupa wpływowych jednostek, ludzi, którzy zbierają się pod przykrywką rozmaitych ezoterycznych i zamkniętych stowarzyszeń, jak na przykład słynny Skull and Bones, i że te osoby manipulują światem, zawłaszczając władzę, żeby nim kierować. Jednocześnie zawsze istniały grupy takie jak ta – w jednych epokach byli to zakonnicy, w innych arystokraci – które oszukiwały, żeby utrzymać władzę, żeby sprawować kontrolę nad narodami. Może właśnie to chcą powiedzieć nam Cienie. W pewnych epokach władza religijna opierała się wyłącznie na strachu wiernych: posługiwano się Bestią, żeby budzić przerażenie wśród wiernych i zmusić ich do przestrzegania ścisłych zasad z korzyścią dla Kościoła. I zabijano opornych. Bestia to był pretekst, środek. Za wizerunkiem Bestii kryli się w rzeczywistości ludzie władzy, Cienie zaś posługują się tą metodą, która jest tak stara jak nasze cywilizacje. Istoty, które nami kierują z ukrycia, zmieniają się wraz z upływem wieków, ale ich sposób działania pozostaje taki sam.

Yael opuściła posterunek i wyciągnęła się na łóżku obok posłania Thomasa. Zmęczenie dawało już o sobie znać.

– Prześpij się – powiedział dziennikarz. – Ja obejmę pierwszą wartę.

Usiadł przy oknie.

– Obudzę cię, kiedy tylko wydarzy się coś podejrzanego.

Podczas gdy Thomas snuł rozważania nad metodami, jakimi posłużyli się zabójcy, żeby ich odnaleźć, Yael zastanawiała się nad znaczeniem tego piętna Cieni, piętna Bestii.

Nie zdając sobie sprawy, że jest ono obecne w pokoju w wielu miejscach.

A jeszcze bardziej obecne na zewnątrz. Wszędzie.

Święcąc triumf Bestii nad Człowiekiem.

Blog Kamela Hasira. Fragment siódmy

To, że rząd Busha wiedział o przygotowywanych na amerykańskiej ziemi zamachach, jest dzisiaj niezaprzeczalnym faktem. Wiedział, że będą to z pewnością ataki przy użyciu samolotów. W lutym 2001 roku Izraelczycy poinformowali Stany Zjednoczone, że piraci zamierzają uprowadzić jeden lub więcej samolotów rejsowych i wykorzystać je jako broń. Tę samą wiadomość przekazali Pentagonowi król Jordanii, prezydent Mubarak i kanclerz Schroeder. Gorzej, CIA śledziła islamskich ekstremistów, którzy ćwiczyli się w porywaniu samolotów na ziemi, na starym wraku, w grupach po czterech lub pięciu, jako jedyną broń mając żyłетки. CIA dysponowała zdjęciami satelitarnymi tego treningu. Zdawano sobie wówczas sprawę, że wielu ludzi bierze lekcje pilotażu wyłącznie po to, by nauczyć się poruszać w powietrzu, natomiast wcale nie chcieli umieć lądować! W 2000 roku jakiś mężczyzna zadzwonił do FBI z Newark w New Jersey, zapewniając, że słyszał o planie zamachu terrorystycznego na World Trade Center przy użyciu samolotów.

To nagromadzenie pogłosek nie wzbudziło jednak żadnego alarmu.

Oficjalnie amerykańskie służby informacyjne tłumaczą się tym, jakoby się spodziewały, że w samolotach dojdzie do wzięcia zakładników. Wolały poczekać na rozwój wydarzeń, nie przypuszczały bowiem, że to aż tak pilne.

Aż trudno uwierzyć, że służby informacyjne mogły tak postąpić.

24 sierpnia 2001 roku francuskie tajne służby przekazują raport paryskiej komórce FBI. Dokument na temat Zacarias Moussaoui, wskazujący na jego powiązania z al Kaidą, na odbywane przezeń ćwiczenia w Afganistanie w obozach bin Ladena oraz na jego kontakty z wieloma ważnymi członkami siatki terrorystycznej. Dokument ten nigdy nie dotarł do komórki FBI w Minneapolis, gdzie mieszkał Moussaoui. Dyrekcja nie przekazała informacji.

Rząd miał wszystko czarno na białym, większość tajnych służb na świecie podała mu to na talerzu, krzyczały o tym jego własne służby informacyjne, ale oni i tak nic nie zrobili. Nic.

Na dłuższą metę człowiek zaczyna się zastanawiać.

Czy to możliwe, że politycy miliarderzy rządzący krajem pozostają na usługach super potężnych konsorcjów, a co za tym idzie – są gotowi poświęcić własnych wyborców?

Dzisiaj sama myśl, że jakieś państwo mogłoby zorganizować zamachy na własnych obywateli, wydaje się szaleństwem. Wraz z upływem lat ludzie w końcu zapominają, przestają się tym przejmować.

Operacja Northwoods.

To było właśnie coś takiego.

A ponieważ Kennedy się jej sprzeciwił, operacja nie doszła do skutku.

Nie od razu.

Wiem, że wysuwając szaloną teorię spisku, przekraczam wszelkie granice. Wiem.

Wobec tego zaklinam was, żebyście po przeczytaniu tego

fragmentu zrobili tylko jedną rzecz: poszukajcie informacji na temat operacji Northwoods. Sami się przekonacie, że niczego nie zmyśliłem. Grube ryby w amerykańskiej armii opracowały plan zamachu terrorystycznego na własny kraj! Było to w latach sześćdziesiątych, bardzo niedawno temu! Niektóre z nich nadal żyją.

I wreszcie, nawet gdybyśmy się mieli posunąć dalej, można dodać do tego tezę podłożenia ładunku wybuchowego pod World Trade Center. Chociaż sam uważam tę teorię za szaloną, a nawet fantastyczną, nie mogę się oprzeć, by się jej nie przyjrzeć z pozornym roztargnieniem:

Morgan Reynolds prowadził dochodzenie w sprawie zawalenia wież. Wszyscy byli szczerze zdumieni, że mogły one tak szybko runąć po uderzeniu przez samoloty, do niektórych ekspertów nie przemawia zaś żadne z podawanych obecnie wyjaśnień – ich zdaniem wręcz wzajemnie sobie przeczą. Poza tym Frank de Martini (kierujący budową World Trade Center) stwierdził na krótko przed zamachami: wieże zostały tak skonstruowane, aby wytrzymać uderzenie kilkunastu odrzutowców typu 707, które w okresie, gdy je budowano, były najpotężniejszymi samolotami. De Martini zniknął 11 września.

Ponadto należy przypomnieć, że podczas pierwszych zamachów, tych z lutego 1993 roku, w podziemiach jednej z wież, tuż przy fundamentach, wysadzano ładunek równy 820 kilogramom TNT (!), a one nawet nie drgnęły.

Reynolds, były doradca ekonomiczny Busha, a obecnie doświadczony profesor ekonomii na uniwersytecie A&M w Teksasie,

twierdzi, że na temat rzeczywistych przyczyn zawalenia się wież toczy się dyskusja naukowa. I dodaje coś jeszcze poważniejszego: że – zdaniem niektórych ekspertów – jedynie profesjonalny wybuch kontrolowany może usprawiedliwić wszystkie fakty, jakie wyszły na jaw w śledztwie. Na koniec raportu Reynolds przypomina, że przez cały czas trwania dochodzenia, prowadzonego przez komisję rządową Keana, eksperci od materiałów wybuchowych i budownictwa byli systematycznie odsuwani, a nawet zastraszani.

Właśnie ten ostatni punkt skłania mnie ku tej szalonej hipotezie. Dlaczego nie pozwolono żadnemu ekspertowi od materiałów wybuchowych i budownictwa zbliżyć się do gruzów?

Każdy sam może wysnuć własne wnioski.

Yael otworzyła oczy o ósmej. Thomas ciągle siedział przy oknie, wpatrując się w ruch na zewnątrz. Yael przyjrzała mu się, mrugając powiekami. W białym świetle, w którym był widoczny tylko jeden jego profil, mężczyzna o twarzy noszącej ślady braku snu emanował dodającą otuchy siłą, rozgrzewającą jej duszę, zlodowaciałą po nocnych koszmarach.

– Nie obudziłeś mnie – powiedziała z wyrzutem, jeszcze pogrążona w oparach snu.

Odwrócił ku niej głowę i rysy jego twarzy natychmiast złagodniały. Yael podobała się ta przemiana. Lubiła sposób, w jaki na nią patrzył.

– Spałaś niespokojnie, potrzebowałaś snu, a ja nie byłem zmęczony. Dobra wiadomość jest taka, że nie zauważyłem nikogo podejrzanego.

Minęły długie minuty, zanim Yael wyłoniła się z łóżka i z obrazów swoich koszmarów.

Wzięli prysznic, ubrali się i spakowali swoje rzeczy, które umieścili następnie w bagażniku samochodu. Oboje bacznie rozglądali się wokoło, bojąc się, że w każdej chwili pojawią się zabójcy. Nikt się jednak nie pokazał.

Przed wyjazdem zadzwonili na pager Kamela z innej budki telefonicznej. Po kilkudziesięciu minutach bez odpowiedzi postanowili dać sobie spokój i spróbować ponownie później. Ruszyli w kierunku

Morzine, po czym zatrzymali się przed piekarnią, by kupić kilka rogalików.

Podczas gdy Thomas prowadził, Yael czytała przewodnik turystyczny, który opowiadał legendę o Diabelskim Moście.

– To stara miejscowa historia, ale jej warianty można spotkać po trosze w całej Francji i na świecie. Dwa miasteczka, które dzieli przepaść i których mieszkańcy proszą Boga, żeby dał im most, aby mogli się połączyć, nie chodząc naokoło. Ponieważ Bóg nie spełnia ich prośby, zwracają się do diabła, ten zaś buduje im most w zamian za duszę pierwszej istoty, która po nim przejdzie. Mieszkańcy wypuścili kozę, co nie spodobało się diabłu, który przeklął most, obiecując, że zrobi wszystko, aby jak najwięcej ludzi spadło do przepaści... I rzeczywiście, począwszy od średniowiecza było sporo wypadków śmiertelnych. Wielu ludzi musiało wykorzystać złą sławę przepaści do załatwienia własnych porachunków, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Wyobrażam sobie! – przytaknął Thomas, ziewając.

– Myślisz, że Cienie chcą nam coś powiedzieć za pośrednictwem tej historii?

– Nie wybrały tego miejsca przypadkowo. Widzę w tym unaocznienie różnicy między rzeczywistością zawartą w faktach a tą przekazaną przez historię, w każdym razie przez ludową legendę.

Yael przewróciła kartkę.

– W istocie – przeczytała – cały region raczej lubuje się w... okultyzmie. W Morzine zanotowano jeden z najbardziej widowiskowych wypadków zbiorowego opętania.

– Zbiorowego opętania? – powtórzył Thomas z rozbawieniem. –
Co to takiego?

Yael przystąpiła do dalszej lektury rozdziału dotyczącego
Morzine:

– W latach od tysiąc osiemset pięćdziesiąt siedem do tysiąc
osiemset sześćdziesiąt trzy w Morzine zostało opętanych ponad
dwieście osób. Głównie kobiety i dzieci.

– Żartujesz?

Yael położyła książkę na kolanach.

– To mi coś mówi, już o tym gdzieś słyszałam. Wielu
historyków i socjologów zajęło się tym wypadkiem, ponieważ nie ma
on nic wspólnego z legendą, są na to setki świadków i tyleż samo
protokołów z przesłuchania. Zdaje się, że to było bardzo daleko.

Zagłębiła się w przewodniku, żeby uzyskać więcej szczegółów.

– O, jest. Opętani mieli konwulsje, napady szaleństwa albo
oddawali się czynnościom obscenicznym wyłącznie na widok Kościoła,
albo instytucji publicznych. Kobiety rozbrajały się przed ołtarzem albo
na przykład w obecności gminnych urzędników. Mimo powtarzających
się próśb kościoła w Morzine biskup Annecy nie zgodził się na
egzorcyzmy, sytuację przybyli więc zbadać uczniowie Charcota [Jean
Martin Charcot (1825-1893), neurolog. Jego badania nad histerią i
hipnotyzmem stały się podstawą pierwszych prac Freuda.] ze szpitala
Salpetriere. Do zakładu dla umysłowo chorych wysłano tak dużo ludzi,
że do utrzymania porządku musiano wezwać regiment dragonów i
wprowadzono godzinę policyjną. Stopniowo wszystko wróciło do

normy, a opętania ustały.

– Nie mogę w to uwierzyć!

– Mimo to przynajmniej raz w tego typu historii mamy do czynienia z taką liczbą dowodów i świadków. Pomyśl tylko: ponad dwieście osób dotkniętych w ciągu sześciu lat!

– I nie ma żadnego... racjonalnego wytłumaczenia?

Yael dokończyła czytanie.

– O, to powinno cię uspokoić. Eksperci zajmujący się tym wypadkiem znaleźli przyczynę. Po pierwsze socjologiczną. Były to czasy, kiedy większość okolicznych mężczyzn musiała wyjechać w poszukiwaniu pracy. Oddalali się na długo, zostawiając swoje żony same z dziećmi. W tym okresie (w tysiąc osiemset sześćdziesiątym roku) Sabaudia została przyłączona do Francji, natomiast Morzine było wtedy miasteczkiem trochę wyizolowanym, a wszystkie zmiany budzą strach. Otóż osada o charakterze wiejskim miała zostać wchłonięta przez społeczność przemysłową i nowoczesną. Kobiety z Morzine słysząc pogłoski o przyłączeniu, o tym, jakie zmiany ono przyniesie, o przejęciu rządów przez władze francuskie, wyobrażają sobie to, co najgorsze. Nie mając przy sobie mężczyzn, są wzburzone, zaniepokojone. Ze strachu zaś zwracają się przeciwko Kościołowi i instytucjom reprezentującym władzę, państwo, ponieważ nie potrafią one zapewnić bezpieczeństwa, ponieważ nie są po ich stronie. Rozpamiętywany ciągle na nowo lęk wzmaga się do tego stopnia, że w końcu jedna z kobiet przechodzi do czynu: jej napad szału jest skierowany przeciwko Kościołowi, który staje się z czasem kozłem

ofiarnym. W ślad za nią poszły następne.

– To trochę... przesadna reakcja, nie?

– Właśnie tutaj pojawia się druga przyczyna: żywieniowa. Otóż kobiety z Morzine spożywały duże ilości żyta, często porażonego przez sporysz. Sporysz zbóż to choroba wywołana grzybem, która powoduje rozwijanie się dużej ilości alkaloidów, w tym ergotaminy, odpowiedzialnej za zatrucie sporyszem, i lysergamidu o silnych właściwościach halucynogennych... LSD.

– Cierpiały na zaburzenia psychiczne z omamami?

– Tak, majaczenia ukierunkowane i wzmocnione efektem grupowym. Następnie fakt, że Sabaudię przyłączono do Francji w łagodny sposób, nie wywołując zmian w ich życiu, stopniowo uspokoił umysły i piekielna spirala zniknęła.

Minęli ciężarówkę, która zmusiła ich, żeby zjechać na pobocze skarpy.

– Podsumujmy: są pozory i prawda – stwierdził Thomas.

– Cienie wybrały właściwe miejsce!

Yael omiotła krajobraz mglistym spojrzeniem.

– Myślę, że to nie okolica powinna przyciągać naszą uwagę – odrzekła.

Thomas zatrzymał się na parkingu. Znajdowali się na zboczu wzgórza, ponad wąską zalesioną doliną, w której nie było widać nic poza gęstym listowiem.

Zapłaciwszy za wstęp przy okienku budowli, gdzie sprzedawano różne wyroby rzemieślnicze Chablis, ruszyli krętą ścieżką do lasu.

Przechodziła ona między imponującymi blokami skalnymi porośniętymi mchem.

Wśród pni stała gęsta mgła, niczym oddech jakiejś olbrzymiej istoty nawiedzającej przepaść.

W miarę jak ścieżka prowadziła coraz niżej, jesiony i klony przesłaniały niebo, zbliżając się do krystalicznego szumu dochodzącego z dna doliny.

Między dwiema skałami zbudowano drewniany dach. Nad przepaścią górował pomost. Postawiwszy na nim stopy, Yael ujrzała falezy dręczone przez płynący tędy od wieków potok, spadające stromo w otchłań cieni, grzbietów górskich i spienionej wody, ponad sześćdziesiąt metrów w dół.

Przed siatką garstka turystów czekała na znak przewodnika, żeby rzucić się do aparatów fotograficznych i kamer. Yael i Thomas wmieszali się w to niewielkie stado, po czym wysoki, krzepki, jasnowłosy dwudziestolatek otworzył zamkniętą na kłódkę bramę.

– Uwaga na schody – ostrzegł. – Są strome i zdradliwe, proszę dobrze patrzeć pod nogi! Diabeł i tak pochłonął już dość ofiar!

Yael posłała swojemu towarzyszowi ironiczny uśmiech.

Zwiedzanie rozpoczęło się od przejścia pod olbrzymim łukiem skalnym, kamiennym blokiem, który oberwał się ze szczytu góry wiele tysiącleci wcześniej, po czym zaklinował się nad przepaścią własną masą. Przewodnik objaśnił, skąd się wzięła przepaść i jak powstała w wyniku erozji marmuru wywołanej nieustannym działaniem wody, ubarwiając swój wywód zabawnymi anegdotami, które wszystkim się

spodobały.

Yael nadstawiała ucha, usiłując wyłowić z jego opowieści jakiś element, który mógłby mieć coś wspólnego z Cieniami.

Przechodzili po metalowych kładkach przymocowanych do ścian w połowie wysokości, osłonięci przed słońcem dzięki dużej głębokości i zatopieni w jednostajnym szumie potoku, który bombardował mózg natłokiem decybeli.

– A teraz przejdziemy pod słynnym Diabelskim Mostem – oznajmił młody przewodnik, wywołując okrzyki dzieci.

Wilgoć zasnęła powietrze białawym welonem. Yael przywiódł on na myśl lustro w łazience po gorącym prysznicu – miała ochotę przetrzeć horyzont gąbką.

Diabelski Most okazał się w rzeczywistości po prostu naturalnym sklepieniem łączącym obie krawędzie przepaści, długą skałą, która zawałiła się przed tysiącami lat, a którą w średniowieczu odkryli przypadkowo wieśniacy. Przewodnik wyjaśnił, że jedyna nadająca się do chodzenia ścieżka znajdująca się powyżej jest wąska i porośnięta śliskim mchem.

W dziejach Diabelskiego Mostu nie brakowało upadków na dno wąwozów. W ciągu wieków pozwoliła ona jednak zaoszczędzić wielu ludziom siedem kilometrów drogi.

Yael przypomniała sobie napisany przez Cienie tekst, który ich sprowadził tutaj.

Ten, kto sprawuje kontrolę nad ludźmi i zwycięstwami, sprawuje kontrolę nad historią. Twoja, Yael, ukryta jest w wąwozie pod

Diabelskim Mostem. W największym kotle wirowym, gdzie ciągle i ciągle wre, czekając, aż zostanie przed Tobą odsłonięta.

Podeszła do balustrady i zaczęła się wpatrywać w dno kanionu.

Na różnych wysokościach, w miarę jak potok drażył skałę, usiłując przebić się coraz niżej, widniały dziesiątki kotłów wirowych.

Jeden z nich rzucał się jednak szczególnie w oczy z powodu swojej wielkości: tuż pod mostem, jakieś piętnaście metrów pod stopami Yael. Znajdował się nieco powyżej potoku. Chwilami woda wpadała do środka, kłębiąc się, po czym wypływała niżej przez dziurę.

Yael szturchnęła lekko Thomasa, chcąc pokazać mu swoje odkrycie. Skinął głową, sam bowiem również je zauważył.

Z miejsca, w którym się znajdowali, w tym kamiennym kręgu wielkim niczym okrągła wanna, nic szczególnego, ani ślad, ani przedmiot, nie rzucało się w oczy.

– Zwiedzamy dalej – zaproponował Thomas. – I tak nie możemy zejść.

Na koniec wspięli się po schodach, które kończyły się w środku lasu, nieco z dala od huku. Odczekawszy, aż turyści podziękują przewodnikowi i rozproszą się, Yael podeszła bliżej.

– Mam jedno pytanie. Czy organizuje się wycieczki na poziomie wody?

– W żadnym wypadku! – potrząsnął gwałtownie głową mężczyzna. – Powyżej jest tama. Kiedy otwierają się śluzy, poziom wody podnosi się błyskawicznie o kilkanaście metrów. To zbyt niebezpieczne i nieprzewidywalne.

– Nikt więc tam nigdy nie schodzi?

– Teoretycznie nie, z wyjątkiem młodych lekkoduchów!

Yael zrobiła rozbawioną minę.

– Ach tak? Często się to zdarza?

– Na szczęście nie. Zeszłego lata była grupa holenderskich nastolatków, ale nie zrobili sobie kuku, bo nie otwarto śluz. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – I zdaje się, że dziś w nocy! – dodał.

Yael nie dała po sobie poznać, jak wielki przyływ adrenaliny wywołała u niej ta wiadomość.

– Dziś w nocy?

– Tak, ktoś przeszedł przez siatkę i musiał przymocować swój sprzęt do kładki, bo ją trochę uszkodził. Tym razem to na pewno nie był wybryk dzieciaków, które spędzają wakacje w okolicy, raczej jakiś amator wspinaczek, coś w tym guście.

– Dlaczego?

– Bo tutaj znamy ten uskok. W górnym odcinku rzeki to wapiień, który rozszerza się u wylotu. Dzieciaki schodzą tamtędy i idą wzdłuż strumienia aż dotąd, żeby dotrzeć do przepaści. Ale tamten gość posłużył się sprzętem do wspinaczki. W ten sposób można się szybciej dostać na dół, ale trzeba przejść przez siatkę, a następnie umieć korzystać z liny!

Yael i Thomas wymienili krótkie spojrzenie.

– Ale chyba nie zamierzają państwo tam zejść? – zapytał przewodnik z nagłym niepokojem.

Thomas z miejsca uciął wszelkie spekulacje, pokazując

legitymację prasową, zrobił to jednak wystarczająco szybko, żeby przewodnik nie zdążył przeczytać jego nazwiska.

– Piszemy serię artykułów na temat letnich tras wycieczkowych – wyjaśnił. – Jesteśmy złaźnieni wszelkich możliwych anegdot.

Podziękowawszy, ruszyli ku ścieżce prowadzącej na górę.

Ledwie się oddalili, Yael dała upust podekscytowaniu:

– To oni! Cienie wysłały tutaj dzisiaj jednego ze swoich zbirów.

– Co oznacza, że depczemy im po piętach. Jesteśmy całkiem blisko. Myśląc, że jesteś w Paryżu, znaczą drogę. Nie wiedzą, że masz już pewne wskazówki. Jeśli się pospieszymy, damy radę nakryć ich następnym razem.

Chwyciwszy Yael za rękę, pociągnął ją ku wyjściu, pełen ekscytacji.

– A teraz – powiedział – musimy zejść do tego kotła.

Sprawdziwszy godziny zwiedzania przepaści, Thomas wrócił do samochodu] gdzie czekała Yael.

– Zamykają o osiemnastej!

– Zdamy w ropie do Thonon na obiad i spróbować złapać Kamela. Nie podoba mi się, że nie odpowiedział dzisiaj rano. Boję się.

Minęło zaledwie południe, gdy przemierzyli skwer Aristide-Briand, żeby usiąść na tarasie, z dala od ludzkich spojrzeń, osłonięci olbrzymią donicą z kwiatami i parasolem. Yael zniknęła na chwilę, by zatelefonować do Kamela. Oddzwonił prawie natychmiast, mówiąc, że nie posunął się w ogóle do przodu, że nie znalazł żadnego dowodu na to, że zabójcy wpadli na ich trop.

Odłożyła słuchawkę, wpatrując się w plac, po którym niedbale spacerowali przechodnie.

Na pewno istniało jakieś wyjaśnienie. Przecież zabójcy nie mogli dotrzeć aż do Jeziora Walońskiego w środku nocy tylko dzięki dedukcji. Albo zdołali gdzieś umieścić nadajnik, albo dostali cynk. Pierwsze przypuszczenie nie trzymało się kupy. To było technicznie nieprawdopodobne. Zostawiła sobie tylko to, co naprawdę niezbędne: paszport, prawo jazdy, karty kredytowe, klucze, czyli przedmioty, w których nie sposób ukryć nadajnika. Wyrzuciła nawet nawilżający balsam do ust. A gdyby nawet jakiś szpicel zdołał się przedrzeć przez sieć, zabójcy zdążyliby już dać o sobie znać. Jeśli ją namierzyli, nie zdołała jeszcze oddalić się tak bardzo, by nie dali rady jej odnaleźć.

Pozostawała więc druga hipoteza.

Ale kto mógł wiedzieć, gdzie ona się znajduje w środku nocy?

Nikt. Absolutnie nikt. Nawet człowiek, który wypożyczył im sprzęt do nurkowania.

„Z wyjątkiem Thomasa...”

Yael natychmiast skierowała wzrok na przeciwległy koniec placu, na stoliki restauracji. W zmienionej perspektywie poczuła się oddalona o tysiąc mil od swojego towarzysza, dostrzegając zaledwie jego dłoń trzymającą szklanę, resztę ciała przysłaniała bowiem donica z kwiatami.

To idiotyczne. Nie mogła go oskarżyć. Thomas nic nie zrobił. Nigdy by jej nie zdradził. Nie on. Choć Yael знаła go krótko, intensywność przeżywanej wspólnie przygody zmuszała oboje do zrzucenia masek, do obnażenia się i do gotowości, by działać, pokazując, że mają ikrę, reagują błyskawicznie, aby przeżyć, podjąć właściwą decyzję. Thomas był z nią całą duszą, bez żadnych kompromisów.

„A jednak to jedyna osoba, która wiedziała, gdzie nas znaleźć dziś w nocy...”

Wróciła myślami do Cieni. Zamknęła oczy i przyłożyła dłoń do czoła.

Cienie mówiły to od samego początku: wszystko zostało przewidziane.

Cienie manipulują historiami poszczególnych jednostek, żeby manipulować historią ogółu.

Postawiły Thomasa na drodze Yael.

W jaki sposób go poznała?

Yael wpadła w panikę. Zmusiła się, żeby oddychać, żeby szybko ocenić sytuację. Jej dłuższa nieobecność wzbudzi podejrzenia Thomasa.

„W barze... Wysłałam... To było... w piątek wieczorem. Nie zamierzałam iść sama, miałam się spotkać z Tiphaine! Wcale nie miałam iść do tego pubu. Nikt nie mógł przewidzieć, że tam będę”.

Yael rozwinęła przed sobą wszystkie wydarzenia i domysły, jakby rozkładała ubrania, żeby wybrać któreś z nich.

„To ja do niego podeszłam! To ja go poderwałam! On nawet nie zwracał na mnie uwagi...” Powtórzyła sobie w myślach całą scenę: minęli się przy wyjściu z toalety, ona zaś bez przerwy się w niego wpatrywała przy barze. On nic nie zrobił, żeby się spotkali, to ona wszystko zaaranżowała. Cienie nie mogły się posunąć aż do tego, by zmusić kogoś do określonych czynów lub uczuć, one nie wywierają nacisku. Im głębiej się zastanawiała nad Thomasem, tym mocniej utwierdzała się w przekonaniu, że to wszystko nie mogło zostać zaplanowane.

Przez cały czas jej pomagał, to właśnie dzięki niemu miała dzisiaj tak dużą przewagę w stosunku do Cieni.

Przypomniła sobie wszystkie te chwile, w których jej towarzyszył, jego uspokajającą obecność. Potrząsnęła głową.

Jak mogła stać się aż taką paranoiczką?

„Okoliczności, to z powodu okoliczności...” – powtarzała sobie.

– „Nieustannie odkrywam, że nic nie jest takie, jak się wydaje, że wszystko to tylko pozory...”

Yael skupiła się. Właśnie stawiała się tym, czym starały się ją uczynić Cienie. Paranoiczką. Kimś poza nawiasem. Powoli sama wykluczy się ze społeczeństwa, zacznie budzić strach wśród innych, przestanie być akceptowana i nikt nie będzie jej wierzył. Właśnie tak... Sama stanie się... cieniem! Cieniem wśród żywych.

Musi wziąć się w garść, nie może dać się zdominować. Powinna zachować tę nędną przewagę, którą jeszcze posiada, i wykorzystać ją jak najlepiej, żeby zyskać pole i popsuć Cieniom szyki.

Odnaleźć to, co czeka na nią w tym całym kotle wirowym, a co dotyczy jej własnej historii. Dowiedzieć się, czym jest to piętno Bestii, którym wszyscy się posługują i które noszą wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety świata.

Yael pospiesznie wróciła do Thomasa.

– Wszystko w porządku? – zapytał z niepokojem.

– Tak. Rozmawiałam z Kamelem. Jak na razie nic nie znalazł. Ale ciągle szuka. – Zawahała się przed przyznaniem do własnych wątpliwości. – Zostaliśmy namierzeni w taki czy inny sposób. Mam tylko nadzieję, że to się więcej nie powtórzy – dodała wreszcie. – Ja... posunęłam się nawet do tego, że zaczęłam podejrzewać ciebie.

W oczach Thomasa na bardzo krótką chwilę załśnił błysk rozczarowania. Yael dostrzegła w nich urazę, on jednak zaraz się opanował.

– Spodziewałem się tego.

– Tylko się nie denerwuj...

Przerwał jej podnosząc rękę:

– To normalne. Sam bym tak pomyślał na twoim miejscu.

Zapadła niezręczna cisza. Zamówili dwa tatarskie, po czym rozmowa stopniowo zaczęła się kleić. Yael zaczęła go wypytywać, jaki był jako nastolatek, pragnąc w ciągu jednego posiłku odgrodzić się od wszystkiego, co przeżywali od sześciu dni.

Thomas się zawahał, zanim zaczął swobodnie wyrażać, co myśli. Wątpliwości Yael boleśnie go zraniły, mimo że mówił co innego. Powoli jednak o nich zapomniał, ukołyszany wspomnieniami pierwszych miłości, szczeniackich wybryków młodości i lat studiów.

Zapłacili, niebo tymczasem powoli zasnuwały chmury, zmieniając jego barwę z bładoniebieskiej na niepewną szarobiałą. Na horyzoncie pojawiła się czarna smuga. Noc zapowiadała się deszczowa.

Ruszyli deptakiem, żeby zjeść lody w rożku. Yael uświadomiła sobie, że wzajemne zwierzenia dobrze im zrobiły, że te chwile wyciszenia pozwoliły im naładować baterie, uspokajając napięte do ostateczności nerwy.

Krótki moment wytchnienia.

Mijając wszystkie te kobiety, mężczyzn i dzieci, Yael zastanawiała się, czym jest piętno Bestii. Co może ich wszystkich łączyć i co jest aż do tego stopnia wszechobecne i zarazem niewidzialne? Piętno odcisnięte na istotach ludzkich, w samym sercu esencji ich cywilizacji: handlu. To nie tylko pieniądze we wszelkich możliwych postaciach.

Przypatrując się jednak, jak wszyscy ci ludzie płacą, posługują się często prawą ręką, Yael zadała sobie pytanie, czy naprawdę trzeba szukać dalej.

Gdy mijali dużą księgarnię, pociągnęła Thomasa do środka. Rozejrzała się po półkach i rozmaitych działach. Jej uwagę przykuł EZOTERYZM. Przebiegła wzrokiem po tytułach. Nic nie budziło w niej natchnienia.

Nie tracąc otuchy, ruszyła ku EKONOMII w poszukiwaniu dzieła, w którym byłyby mowa o symbolach we współczesnej ekonomii. Zawahała się przy jednym z tytułów, przekartkowała książkę, postanowiła ją jednak odłożyć – nie odpowiadała jej.

Wtedy nadszedł moment wahania.

Po czym z ciekawości sprawdziła, czy jej przeczucia się potwierdzą.

Całe jej ciało zeszywniało.

Rozwiązanie nie znajdowało się w jednej książce. Lecz we wszystkich książkach.

Niecałe dwa kilometry od Thorton ze szpitala wyszło właśnie dwóch mężczyzn, którzy skierowali się do samochodu. Wyższy, Dimitri, rzucił stek przekleństw po rosyjsku.

– Kurwa mać, nawet własny dzieciak nigdy go nie pozna! – krzyknął tym razem po francusku.

Jego kolega posłał mu zimne spojrzenie.

– Luc spieprzył sprawę. Wszyscy wiemy, jakie jest ryzyko – stwierdził, nie pozbywając się niewzruszonej maski.

– Jak przyskrzynimy tę laskę, już ja się z nią policzę. Zapłaci za to, że uszkodziła mi kumpla.

Michaël nie odpowiedział. Yael Mallan stwarzała mnóstwo problemów.

Mimo to należało się trzymać tradycyjnych metod, żadnych odstępstw od reguł. Dimitri powinien być przywołany do porządku.

Po krótkim wahaniu doszedł do wniosku, że lepiej poczekać trochę, aż emocje opadną. Właśnie rozmawiał z lekarzem, który opiekował się Lukiem – wyrok był nieodwołalny: oszpecony.

Cała twarz zapadła się do środka czaszki.

Mózg został uszkodzony przez kości i musi upłynąć jeszcze trochę czasu, żeby stwierdzić, czy spustoszenia te są odwracalne. Została zaburzona strefa zdolności ruchowych.

Michaël załatwił formalności z pomocą Firmy. Oni wiedzieli, jak postępować w tak delikatnych sytuacjach.

Wy tłumaczył lekarzom, jak to Luc po kilku piwach zaczął się wygłupiać w górach, po czym spadł i uderzył głową o skałę. Dimitri potwierdził jego słowa.

Firma natychmiast przysłała pewną zaufaną kobietę, żeby dołożyła swoje trzy grosze, tak aby przekonać lekarzy i zapobiec w mieszaniu się w to policji.

Dotarli do samochodu, w którym czekała Magali. Była to wysoka elegancka brunetka w białym kostiumie od znanego krawca, ze skośnie przyciętą grzywką, zgodnie z najnowszą modą, i makijażem podkreślającym wystające kości policzkowe, usta i długie czarne oczy.

– I jak?

– To warzywo – odparł Dimitri ze zwykłą sobie subtelnością.

– Są jakieś wieści o naszej zdobyczy? – zapytał Michaël.

Magali odpowiedziała przecząco.

– Musimy wznowić procedurę. To zajmie dużo czasu. Kiedy tylko technicy będą coś wiedzieli, dadzą nam znać.

Michaël usiadł za kierownicą.

– Niech się pospieszą. Nie chcę, żeby nam związała. Teraz, kiedy już wiemy, czego się po niej spodziewać, koniec z amatorszczyzną. Nie chcę już żadnych wpadek. Jasne?

Spojrzał znacząco na Dimitriego.

– Ta laska ma ikrę – ciągnął – przestańmy się więc zachowywać jak krety, bo już dwa razy nam się wymknęła.

– Na dodatek Firma jest wściekła z powodu paryskiej wyspy – dodała Magali. – Dość tych idiotyzmów!

Michaël skinął potakująco głową. Miała rację. Jeszcze jedna taka katastrofa, a będą się musieli ukrywać do końca swoich dni. W wersji optymistycznej.

Na znak Michaëla Dimitri otworzył schowek na rękawiczki i wyjął z niego małą walizeczkę.

Zawierała ona cenny ładunek dostarczony przez Magali.

NAB – niewykrywalną aparaturę do bioinokulacji.

Broń produkowaną z początku przez CIA, wystrzeliwującą maleńkie zatrute żądło. Jeśli dobrze wycelować, ofiara nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, że została trafiona. Trucizna na bazie potasu działa w ciągu minuty. Żądło jest trudne do wykrycia, poza tym, jeśli nie przeprowadzi się drobiazgowej sekcji zwłok, aby dostrzec ledwie widoczny ślad ukłucia, zgon traktuje się jako naturalny: niewydolność serca. Zabójczy potas miesza się bowiem z tym, który zostaje uwalniany w ciele w chwili śmierci, każda zaś istota ludzka uwalnia spore jego ilości.

Michaël złapał pistolet.

Mieli kilkanaście dawek. Wystarczy, żeby załatwić sprawę Yael Mallan raz na zawsze. A przy okazji również jej tajemniczego towarzysza.

Michaël wziął swój telefon i położył na desce rozdzielczej obok przenośnego ekranu GPS. Kiedy tylko komórka zadzwoni, informacje zostaną przekazane na GPS, Yael zaś zacznie świecić na planie niczym choinka. Trzeba tylko cierpliwie czekać. Dopóki nie zostanie uruchomiony na nowo cały system naprowadzający, który w dużej

mierze zależy od wielkich sieci dystrybucji. Zdobycie kodów danego osobnika zawsze jest skomplikowane i delikatne. Mimo to Firmie się udało. Zidentyfikowała numer przyporządkowany Yael Mallan i wysłała go bez niczyjej wiedzy do wszystkich pirackich programów zainstalowanych w komputerach sklepowych. Dzięki ci, Internecie.

Jeżeli Yael Mallan przejdzie w pobliżu systemu wykrywającego – wiele dużych sieci handlowych je ma – zostanie namierzona przez komputer, który natychmiast wyśle e-mail do Firmy. To całkowicie nielegalne, za to jakże praktyczne. Firma nazywa to „dzikimi badaniami marketingowymi”.

Wczoraj mieli szczęście. Wyniki nadeszły szybko. Znajdowała się nad Jeziorem Lemańskim – namierzył ją sklep na przedmieściach Thonon-les-Bains. Następnie zlokalizowano ją w pobliżu jednego z górskich jezior – sygnał został przechwycony omyłkowo przez telefoniczną stację przekaźnikową. Firma otrzymała wiadomość od szpiegowskiego programu zainstalowanego w komputerze przedsiębiorstwa telekomunikacji, który śledził wszystkie rozmowy przychodzące i wychodzące w komórkach Yael Mallan i Thomasa Brokta. Program jest sprzężony ze wszystkimi monitorowanymi informacjami, toteż natychmiast wysłał ostrzegawczy e-mail do siedziby Firmy.

Zanim Michaël i jego grupa ruszyli w drogę i dotarli na miejsce, sygnał zdążył wygasnąć. Na tym właśnie polegał problem z pluskami masowego użytku. Łatwo zgubić wysłany przez nie sygnał. Kolejne modele sobie z tym poradzą.

Pojechali w góry w nadziei, że ją znajdą, ale na próżno. Podążając za przeczuciem Luca i z braku lepszego pomysłu, nocą wrócili nad jezioro.

Ona rzeczywiście tam była. Luc zaś słono za to zapłacił.

Michaël zacisnął pięści.

Teraz wystarczy czekać, aż zadzwoni telefon.

Tym razem jednak ją dopadną.

Thomas usiłował zrozumieć, co się urodziło w głowie Yael. Chwytała bowiem z półek książki na chybił trafił i rzucała krótkie spojrzenie na tył okładki każdej z nich. Po czym przemierzyła salę i zrobiła to samo z kalendarzami.

Wyszedłszy bez uprzedzenia, wskoczyła do sklepu naprzeciwko, sprzedającego wyroby z safianu. Obejrzała wiele artykułów, każdy inny, a następnie dołączyła do Thomasa na ulicy. Sprawiała wrażenie osłupiałej.

– Co jest?

Nie odpowiedziała, ciągle zbyt przejęta własnym odkryciem.

– Jak można było na to pozwolić i nikt nie wspomniał o tym ani słowem? – rzuciła.

– Pozwolić na co, Yael?

Klasnęła w dłonie, doznawszy nagłego olśnienia.

– Muszę mieć Internet!

– Yael, jesteś prawdziwą maniaczką komputerową, wiesz?

– Nie, naprawdę muszę sprawdzić, czy to nie jest wielki zbieg okoliczności.

Thomas nie mógł zrobić nic innego, jak iść za nią. Prawie biegła, z nosem w górze, wypatrując najmniejszego szyldu kafejki internetowej czy choćby wzmianki o komputerach. Znalazłszy wreszcie salę gier w Sieci, za 10 euro uzyskała dostęp do Internetu w kącie pomieszczenia, gdzie walczyły z sobą rozmaite nastolatki.

Zaczęła prędko przebierać palcami po klawiszach.

– Yael, przypomnij sobie naszą rozmowę z Kamelem. Nie bardzo mi się to podoba. Jeżeli program Agencji Bezpieczeństwa Narodowego porównuje dynamikę twoich uderzeń ze swoją bazą danych, zaraz cię namierzą.

– Może wcale nie figuruję w ich bazie – odparła, nie odrywając wzroku od ekranu. – A poza tym to potrwa tylko kilka minut.

Thomas westchnął i zerknął na drzwi wejściowe. Wcale mu się to nie podobało. Najwyraźniej było tu tylko jedno wyjście. Jeżeli zabójcy ich namierzą, on i Yael zginą.

W niespełna pięć minut Yael uzyskała potwierdzenie tego, czego szukała. Miała rację.

– To... nie do wiary. I tak banalne, że każdy ma to w nosie.

– O czym ty właściwie mówisz?

Yael odwróciła się do niego przodem. Rozejrzawszy się wokoło, wstała i złapała książkę o programowaniu, która leżała na ladzie.

– Popatrz na tył okładki.

Thomas spełnił polecenie.

– Nic nie widzę. .

– Nawet tego, co tkwi w samym sercu handlu?

– Co? Nic nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć?

Położyła palec wskazujący na małym prostokącie znajdującym się u dołu okładki.

– Kod kreskowy. Jest wszędzie. We wszystkich krajach.

– No i?

– Wiesz, jak to działa?

– To zakodowana informacja oparta na cyfrach.

– Każda cyfra, od zera do dziewiątki – przytaknęła Yael – jest zakodowana według procesu, który przyporządkowuje jej jedną kreskę lub więcej czarnych kresek różnej grubości i bardziej lub mniej odpowiedniej białej przestrzeni. Gwoli ścisłości cyfra sześć jest kodowana za pomocą dwóch cienkich czarnych kresek tej samej grubości, przedzielonych dość wąskim białym polem.

Thomas spojrzął na kod kreskowy podręcznika. Cyfry zostały umieszczone pod równoległymi liniami. Nie było jednak ani śladu szóstki.

Kod zaczynał się jednak od dwóch cienkich kresek, symbolu szóstki, mimo że sama cyfra tam nie występowała. Thomas zauważył ten sam symbol na środku kodu kreskowego i na końcu.

– Sześć, sześć i sześć – powiedział, kładąc na nim palec.

– Sześćset sześćdziesiąt sześć, liczba Bestii.

– Właśnie! Wszystkie kody kreskowe są skonstruowane na tej samej zasadzie: początek, środek i koniec każdego kodu składa się z szóstki. Czasami kreski tworzące szkielet są dłuższe niż inne, a czasem nie. Ale zawsze są obecne. Na ogół jest liczba, która poprzedza kod kreskowy, ale ona nie jest zakodowana, to po prostu sama cyfra identyfikacyjna, na przykład we Francji na książkach występuje dziewiątka, a za nią kod kreskowy.

– I wszystkie kody kreskowe są takie? – oburzył się Thomas.

– Najbardziej rozpowszechniony jest kod kreskowy EAN. To

kod wzorcowy, oparty na północnoamerykańskim UPC. Z wyjątkiem prasy, która ma osobny kod, prawie wszystkie towary sprzedawane w krajach uprzemysłowionych mają kod EAN lub UPC, z podwójną cienką kreską oznaczającą szóstkę na początku, na środku i na końcu.

Thomas zanurzył dłoń we włosy nerwowym gestem.

– Jak to możliwe? Jak Cienie mogły narzucić obecność trzech szóstek na wszystkich kodach kreskowych?

Yael pokazała na ekran monitora i stronę, po której właśnie surfowała.

– Prawdopodobnie tak samo jak w wypadku banknotu jednodolarowego i całej reszty. Wywierają nacisk. Ktoś podejmuje decyzje na wysokim szczeblu, a następnie umieszcza pionki na strategicznych pozycjach Jako dziennikarz na pewno znasz technikę kreta: do instytucji, które zamierza się infiltrować, wprowadza się własnych ludzi, którzy zaczynają rozbijać instytucję od wewnątrz, albo dezorganizując ją i niszcząc, albo przejmując nad nią kontrolę.

Yael zamilkła na chwilę, żeby przełknąć ślinę, po czym dodała:

– Najbardziej szalone jest nie to, jak im się to udało, tylko to, że nikt o tym nie mówi! Zaledwie kilka stron internetowych, w większości nawiedzonych, i to wszystko. A wystarczy przecież wejść do pierwszego lepszego sklepu, żeby popatrzeć na kody kreskowe i sobie to uświadomić.

– Trzeba wiedzieć, jaki jest symbol szóstki, te dwie cienkie kreski...

– To nie takie trudne. I pomyśleć, że od kilkudziesięciu lat nasz

handel odbywa się pod „piętnem Bestii”... Dlaczego? Dlaczego Cienie to robią? Jak dotąd nie było żadnego eschatologicznego szaleństwa, żadnych zapowiedzi końca świata. Wszystko wydawało się bardzo... konkretne!

– Coś mi mówi, że wkrótce się tego dowiesz. Dobra, może byśmy tak stąd poszli. Nie czuję się tutaj zbyt swobodnie.

Wstali i przemierzali salę.

„Oni tam są – szepnęła do siebie Yael. – Wszędzie. Kształtują historię według własnego widzimisię, manipulują naszym życiem, fałszują świat kodów. Tylko z jakiego powodu?”

Przystanęła tuż przed wyjściem.

– Zaczekaj, muszę coś sprawdzić.

Tym razem Thomas burknął coś pod nosem, mimo to zawrócił wraz z nią, świadom, że nie warto próbować przemówić jej do rozumu.

Usiadłszy przed klawiaturą, Yael jęła surfować od strony do strony, po izbach handlowych i przemysłowych, następnie zmieniając wyszukiwarki, spróbowała zgromadzić informacje na temat firmy Deslandesów, jej pracodawcy.

– Co ty robisz?

– U... upewniam się, że od dłuższego czasu sama nie podlegam manipulacjom...

Po kilkunastominutowej analizie pokręciła głową.

– Nie widzę u Deslandesów niczego, co mogłoby mieć takie czy inne powiązania ze mną albo z Cieniami. To już coś.

Odsunęła od siebie klawiaturę.

– Hm... Pozwolisz, że teraz ja spróbuję? – zapytał Thomas. – Właśnie podsunęłaś mi pewien pomysł.

Poszedł jej śladem, surfując po stronach administracyjnych i po wirtualnych archiwach czasopism elektronicznych.

– Moim zdaniem można bez ryzyka pomyłki stwierdzić, że Cienie to bardzo potężni ludzie – oznajmił – którzy się kryją za rządzącymi albo coś w tym rodzaju, nie? Tak jakby za tym, którego uważamy za sprawcę, bez przerwy ktoś stał. Cóż, chciałbym po prostu dopasować to rozumowanie do naszej sytuacji i do konkretnych elementów, które mamy.

Yael nie była pewna, czy za nim nadąza.

– Jakich?

– Jak na razie znamy nazwiska tylko dwóch osób.

– Languina i jego mocodawcy: Lubrossa.

– Zgadza się. A gdzie jest powiedziane, że Lubrosso nie miał nad sobą szefa? A jeżeli ten, kto wydał rozkazy Lubrossowi, był jego hierarchicznym zwierzchnikiem?

– Myślałam, że był właścicielem firmy. To on był szefem fabryki, prawda?

– Co nie znaczy, że nad nim nie było jeszcze kogoś.

Thomas błędził po pogrupowanych systematycznie wycinkach prasowych.

Po dziesięciu minutach, w czasie których zapomniał, że powinien pilnować drzwi, powoli położył palec na ekranie.

Zakup huty szkła Lubrosso przez szwajcarskiego bankiera Henri

Bonneviela w celu zaszczepienia na terytorium francuskim...

Yael przebiegła wzrokiem artykuł, którego jedynym celem było podanie wiadomości, że fabryka od niedawna wchodzi w skład grupy inwestycyjnej należącej do szwajcarskiego miliardera. Już miała powiedzieć, że to nie wystarczy do wyciągnięcia choćby najmniejszych wniosków co do udziału genewskiego bankiera, gdy spostrzegła fotografię ilustrującą artykuł.

Henri Bonneviel uśmiechał się do obiektywu w szytym na miarę garniturze.

Yael oparła się o krzesło Thomasa, żeby nie upaść.

Doskonale znała tego całego Bonneviela.

Pod innym nazwiskiem.

Henri Bonneviel był zbiorem paradoksów. Miał równie sflaczałe ciało co twarde i ostre spojrzenie. Jego beztroski uśmiech budził zaufanie w tym samym stopniu, w jakim zaciśnięte usta budziły lęk. Na zdjęciu w gazecie biznesmen był pewny siebie. We wspomnieniach Yael był nieśmiały i niezdarny.

Shoggoth.

– To jeden z moich klientów – rzuciła, sama nie mogąc w to uwierzyć.

Thomas przyjrzał się jej uważnie.

– Chcesz powiedzieć, że jest podobny do jednego...

– Nie, to on! Im dłużej mu się przyglądam, tym mniej mam wątpliwości. Nie istnieje drugi taki ktoś jak on! Ten... bankier to mój piątkowy klient. Ten, który kupuje szklane oczy.

– Jak to?

– To sympatyczny gość, który robi sobie biżuterię ze szklanych oczu. Wszędzie je sobie przyczepia.

– Jakby chciał powiedzieć, że dwoje oczu to za mało, żeby wszystko widzieć?

Myśląc o tym, co się wydarzyło w ostatnich dniach, Yael sprostowała:

– Jakby chciał powiedzieć, że choćby człowiek sobie dodał tyle oczu, ile mu się żywnie spodoba, i tak to niczego nie zmieni, i tak nie będzie lepiej widział. Duża liczba wcale nie jest konieczna...

– ... trzeba wiedzieć, jak patrzeć.

Yael odrzuciła głowę do tyłu.

– Nie mogę uwierzyć, że ten facet jest... bankierem.

– I to nie byle jakim – dodał dziennikarz, przysuwając sobie klawiaturę, żeby zgłębić temat.

Za szklanymi drzwiami salonu gier migały jakieś postaci, pod światło wyglądające jak cienie.

Thomas znalazł sporo informacji dotyczących Henri Bonneviela. Po chwili pojawiła się lista pięćdziesięciu największych fortun ogłoszona przez magazyn „Forbes”.

– Znajduje się na trzydziestym siódmym miejscu.

– Jest dostatecznie bogaty, żeby robić, co chce, jednocześnie się nie afiszując – domyśliła się Yael. – Ale dlaczego ten człowiek przebierał się od... od czterech miesięcy, w każdy piątek, żeby się ze mną zobaczyć?

– Mógł cię śledzić z daleka, pewnie więc dla... zabawy? Ej, popatrz na to!

Podświetlił kilka linijek tekstu z jakiegoś artykułu zamieszczonego w prasie specjalistycznej:

... dla pana Bonneviela, który co piątek przyjeżdża do Paryża na posiedzenie rady nadzorczej holdingu Lodvan, której jest członkiem, a której aktywa...

– Wykorzystywał obowiązki zawodowe, żeby złożyć ci wizytę, zbliżyć się do ciebie. Chciał cię poznać.

– To on stoi za wszystkim, co mi się przydarza, prawda? To on

mi więc powie, o co chodzi. On mi wyjaśni, w jaki sposób udało im się namieszać mi w głowie tak bardzo, że aż zaczęłam widzieć cienie w lustrach. Przejąć kontrolę nad moim komputerem. Gdzie dokładnie mieszka, w Genewie?

– Yael, nie sędzę, żeby to był dobry pomysł...

– Chcę jego adres – powiedziała zimno.

Thomas spojrział jej w oczy i wstał.

– To potworna głupota, Yael. Wcale tego nie pochwalam.

Dziewczyna usiadła na krześle i przystąpiła do dalszego śledztwa. Wprawdzie nie znalazła nigdzie prywatnego adresu bankiera, zebrała jednak wystarczająco dużo informacji na temat jego rozmaitych wspólników, żeby spróbować zagrać *va banque* w przyływie bezczelności. Wypożyczyła więc od kierownika sali telefon i zadzwoniła do banku Bonneviela. Podając się za sekretarkę jednego z przedsiębiorców prowadzących interesy ze szwajcarskim miliarderem, uzyskała połączenie z asystentką Bonneviela i wmówiła jej, że w podziękowaniu za ostatnią transakcję jej szef pragnie wysłać skrzynkę wybornego wina panu Bonnevielowi. Oczywiście na adres prywatny. Henri Bonneviel mieszka w willi w Cologny, niedaleko centrum Genewy.

Yael zapisała informacje i odłożyła słuchawkę.

Thomas nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie opuszczą to miejsce, w którym, jak na jego gust, przebywali zbyt długo.

Dumnie pomachała mu przed nosem świstkiem papieru.

– Mam go!

Thomas bezzwłocznie wyciągnął ją na zewnątrz.

– Najwyższy czas wrócić do przepaści – powiedział. – Zanim tam dojdziemy piechotą, zdążą ją zamknąć.

– A dziś wieczorem cała naprzód na Genewę – dodała dziewczyna.

Thomas otworzył usta, ale zdołał się powstrzymać. Nie ma sensu się upierać. Zaczynał ją już lepiej poznawać.

Wszystko to się źle skończy. Takie miał przeczucie.

Zaparkowali niecały kilometr od przepaści pod Diabelskim Mostem, przy tabliczce kategorycznie zabraniającej schodzenia na brzeg potoku, ponieważ poziom wody może gwałtownie wzrosnąć. Stopniowo zaczęli się przyzwyczajać do górskiego krajobrazu: do falez i lasów, morza roślinności i skalistych grani wylaniających się z pofałdowanych zboczy. Z podziwem zabarwionym lękiem Yael patrzyła na szare, okolone grubym dywanem iglaków jezioro Jotty, które rozciągało się aż do zapory łukowej. Czuła się małeńka przy tej masie betonu, a niecka, nad którą górowała tama, wcale nie budziła jej zaufania.

To właśnie tam mieli jednak zejść.

Powietrze było ciężkie, naładowane elektrycznością. Niskie czarne chmury budziły obawy, że wieczorem rozpęta się burza.

Yael miała nadzieję, że zdąży wrócić przed nawałnicą, a zwłaszcza że nie będzie się znajdowała w przepaści akurat w chwili, gdy z nieba zaczną lać jak z cebra.

Thomas ruszył pierwszy, znalazłszy coś w rodzaju ścieżki, która prowadziła aż do stóp ogromnego gładkiego muru. Kiedy tylko Yael dotarła na dół, okrążyła kałużę powstałą po ostatnim otwarciu spustów, ominęła stos zmurszałych pni, po czym podążyła śladem swojego towarzysza, który szedł wzdłuż małego strumienia. Potok zajmował zaledwie połowę skalistego koryta.

Okalające go ciasno pagórki pokrywały zarośla, krzewy i skały;

Yael miała nadzieję, że trzymają się mocno podłoża. W miarę jak posuwali się naprzód; ściany stawały się coraz bardziej strome, więząc ich na dnie dołu głębokości trzydziestu, później czterdziestu i wreszcie pięćdziesięciu metrów.

Yael miała wilgotne dłonie. Mimo że nad ich głowami widniał antracytowy płat nieba, czuła się tak, jakby zakopano ją pod ziemią. Nieprzyjemne wrażenie potęgował dodatkowo ogłuszający huk potoku.

– Thomas, czy to jedyna droga powrotna? – ośmieliła się zapytać, gdy lęk stał się zbyt silny.

– Obawiam się, że tak...

Dopiero teraz zaczęła do niej docierać cała siła ostrzeżenia, które zignorowali, parkując. Ten cholerny spacer mógł się okazać fatalny w skutkach. Jeśli tama otworzy śluzy, nie będzie żadnej drogi ucieczki, woda zabierze ich z sobą i roztrzaska o skały. Zbocza zaczęły przybierać formę szarych skał, jednocześnie osiągając idealny pion. Tam, gdzie stawiali stopy, panowały ciemności. Yael spojrzała na zegarek – była godzina 18.45.

Przepaść była teraz zamknięta dla zwiedzających, nikt więc nie zauważy, że nadchodzą.

Bardzo szybko się ściemniało. Thomas był zły na siebie, że nie zabrał latarki.

Przepaść znajdowała się za zakrętem.

Huk potoku bezustannie bombardował echem ściany.

Yael popatrzyła tęsknie na kładki, po których przechodziła rano, zawieszona kilkanaście metrów nad nimi.

Stąd miejsce to nie miało już takiej magii.

Poranna fascynująca kontemplacja otchłani i chaotyczna geometria ustępowały miejsca przytłaczającemu zawrotowi głowy. Przepaść potrafiła oszołomić nie tyle za sprawą głębokości, ile bezkresnej wysokości i wąskiej przestrzeni.

– Zapomniałem o pewnym szczególe – powiedział Thomas i zaklął. – Kocioł wirowy znajduje się po drugiej stronie, musimy się tam przedostać.

Odurzona bezkresem krajobrazu Yael wzruszyła ramionami. Ona również była winna temu przeoczeniu, nie potrafiąc myśleć o niczym innym jak tylko o narastającej klaustrofobii.

Thomas zbadął potok na przestrzeni mniej więcej stu metrów w poszukiwaniu brodu, którym dałoby się przejść.

– Tędy, Yael. Przy odrobinie równowagi powinno się udać.

– A jeśli spadnę?

– Jest mniej niż metr wody. Będziesz przemoczona i zziębnięta, ale żywa.

Mimo że brakowało jej pewności siebie, ruszyła za nim, powtarzając sobie, dlaczego tu jest. Czego tutaj szuka.

Thomas rozłożył ręce jak linoskoczek, przeskakując po kamieniach, aż bezpiecznie dotarł na drugi brzeg. Yael poszła w jego ślady, wykazując się większą pewnością siebie i zwinnością niż się spodziewała.

Kiedy znaleźli się pod Diabelskim Mostem, zaskoczyła ją nagle ciemność.

W tym miejscu faleza była wyżłobiona – nad potokiem piętrzyły się kolejno naturalne platformy. Gdy otwarto przepaść dla zwiedzających, ponad sto lat temu, wykuto w kamieniu schody umożliwiające przedostanie się z jednej strony na drugą i podziwianie panoramy. Tarasy były podziurawione kotłami wirowymi przypominającymi leje po intensywnym bombardowaniu.

Wypatrzwszy największy z nich, ten, który ich interesował, Yael podeszła bliżej.

Wówczas rozległ się potworny huk podobny do armatniego wystrzału. Cała przepaść wypełniła się ciężkim hałasem. Umysłem Yael zawładnął obraz olbrzyma walącego maczugą w górę.

Po czym grzmot rozległ się znowu, od chmur aż po dolinę, zbiegając po zboczach i wprawiając na swojej drodze w drżenie wszystko, co przypominało żywą istotę.

Rozpętała się burza.

Pierwsze krople deszczu dotarły do przepaści dopiero po jakimś czasie. Yael wskoczyła do kotła wirowego, brudząc rozbryzgiem Thomasa, który czatował na brzegu otworu.

Yael przykucnęła, macając wśród kamieni, które nagromadziły się w korycie w ciągu minionych lat. Pośrodku stała kałuża zasilana przez potok, podczas gdy niewielka fala uderzała o skałę, unosząc się dość wysoko.

Niecka miała niecałe dwa metry średnicy, była zaokrąglona i idealnie wygładzona przez tysiąclecia. Yael spostrzegła na środku bardziej wyraźny stos kamyków przypominający kopczyk.

Zanurzyła w nim dłonie. Zimne otoczaki rozsypały się z chrzęstem.

Wtem rozległ się kolejny grzmot, tym razem jednak gęsta ulewa zaczęła już chłostać ciemność.

Yael poczuła pod palcami plastik i coś twardego.

Błyskawica rozświetliła przepaść, kładąc na obojgu cień Diabelskiego Mostu.

Deszcz stał się mocniejszy niż prysznic.

Yael pociągnęła za to, co czekało tutaj na nią od minionej nocy.

Była to przezroczyta torebka zawierająca zwitek papieru.

Błyskawica uderzyła w górę w tej samej chwili, gdy rozległ się wściekły grzmot.

Yael trzymała w dłoni kolejną wiadomość.

I rewolwer.

– Musimy stąd iść! – wrzasnął Thomas, przekrzykując bębniący deszcz i szum potoku.

Yael odwróciła się, podnosząc wysoko torebkę. Thomas wpatrywał się w nią z twarzą w strugach wody.

– Bierz wszystko – zawołał wreszcie. – Potem zobaczymy.

Opuścili pospiesznie skarpe, idąc przez bród, który był teraz mocno wzburzony. Deszcz energicznie wypełniał szczelinę, uderzając z łomotem o ściany. Thomas i Yael wkrótce przemokli do suchej nitki. Chwyciwszy dziewczynę za rękę, dziennikarz pociągnął ją w przeciwną stronę, chcąc dotrzeć do tamy, zanim potok się wzburzy.

Niebo zamieniło się w niskie sklepienie o jednorodnej szaroczarnej barwie. Noc była już blisko, musieli stąpać z największą ostrożnością, żeby nie skrócić nóg.

Potop zalewał okolicę, chłoszcząc tak wściekle, że odbierał zdolność widzenia, zasnuwając horyzont zasłoną, która przykryła całe góry.

Yael puściła dłoń swojego towarzysza, żeby odgarnąć mokre włosy do tyłu, zdejmując je z twarzy. Nie zdążyli jeszcze pokonać nawet jednej czwartej drogi, a wody już zaczęły się pienić, liżąc im podeszwy.

Wtem błyskawica rozcięła jarzmo ciemności, zaciskające się nad doliną. Piorun uderzył w zbocze.

Yael miała stopy w wodzie. Ciągłe biegli.

Nic nie słyszała ani nie widziała, jej zmysły były nasycone aż do

ostateczności. Po prostu stawiała stopy jedna za drugą, najszybciej, jak się da, uważając, żeby nie stracić równowagi.

Błyskawice regularnie rozświetlały niebo przy akompaniamencie ryczącego kolosa. Potok zaś nie przestawał przybierać i przyspieszać. Zamieniał się w strumień kipiącej piany.

Biegli, łydki zaś chłostały im coraz bardziej gwałtowne przyływy fal.

Wtedy wynurzyła się z gęstej mgły. Monumentalna.

Tama wyrosła z gruntu tuż przed nimi.

Yael spostrzegła czarne ruchome plamy, które pojawiały się i znikwały rytmicznie między łukami na szczycie. Potok w każdej chwili mógł wystąpić z brzegów.

– Prędko! – wrzasnęła.

Thomas rozejrzał się za ścieżką, którą tu wcześniej zesłi.

Między skałami i zaroślami spływały w dół dziesiątki strużek błota. Nie mógł jej odnaleźć. Ponieważ czas naglił, zaczął się wdrapywać na oślep do góry, torując drogę metr po metrze.

Po zboczu toczyły się, podskakując, kamienie.

Thomas wspiął się po omacku, czepiając się jedną ręką tam, gdzie było to możliwe, drugą zaś trzymając się za skaleczone udo. Yael podążała za nim, unikając śliskich lawin, z powodu których o mało nie spadła.

Ledwie schronili się w samochodzie, zamilkli, starając się odzyskać siły, ukołysłani kakofonią uderzającą o przednią szybę i rytmicznym „kap, kap” wody z ich obficie ciekących ubrań.

Yael otworzyła oczy po minucie. Trzęsła się z zimna.

Przed nimi bogowie toczyli walkę między sobą.

Zadając potężne ciosy rozżarzonymi strzałami, rozświetlającymi olbrzymią nicość, pośrodku której dryfował ich samochód.

Ziemię atakowały iskrzące miecze, sękate lance lśniące w mroku niczym śmierć.

W wieku dwudziestu siedmiu lat uświadomiła sobie właśnie, że nigdy nie widziała burzy w górach.

Piekielne drzewce badały ten mroczny świat. Wyrzucały swoje ładunki na podobieństwo przerażających macek. Burza się rozdzielała, ukazując prawdziwe oblicze: czarnej ośmiornicy skrywającej swoje łby i paszcze.

– Wszystko w porządku? – zapytał Thomas, który także dygotał z zimna.

Yael uśmiechnęła się w odpowiedzi. Wiedziała, że w samochodzie jest bezpieczna, nawet jeśli uderzy weń piorun, opony izolowały go bowiem od ziemi, a całość działała jak klatka Faradaya. Miała przynajmniej nadzieję, że dobrze zapamiętała te wiadomości z fizyki.

– A więc? – ponaglił. – Sprawdźmy co to?

Plastikowa torebka leżała na jej kolanach.

Rewolwer.

Ostrożnie otworzyła opakowanie i wyjęła zwitek papieru, dbając o to, żeby nie dotykać broni. Rozwinęła go, wiedząc, że być może trzyma w ręku sposób na dotarcie do Cieni, jeśli się tylko pospieszą.

Tekst został skreślony odręcznie, tym samym wąskim i starannym, niemal gotyckim pismem co list w butelce.

Kłamstwo jest jednym ze spoiw historii. Umyślnym albo przypadkowym. Każda rodzina ma jakąś tajemnicę. Każda. Tajemnicę, o której najczęściej nikt nie wie. Te rodzinne sekrety opierają się na kłamstwie.

Co wiesz o swojej rodzinie, Yael? Czego nie wiesz? Duchy nawiedzają jedynie tych, którzy potrafią je zobaczyć. Czy widziałś swojego ducha pod powierzchnią pozorów?

Niektórzy wiedzą. Zawsze istnieją tacy, którzy wiedzą. Diabelski Wąwóz to studnia pełna kłamstw, ale jeśli oddasz duszę diabłu, on zawsze przemawia.

Ośmiornica światła po raz ostatni rozczapierzyła swoje macki, po czym powoli odpłynęła na wschód.

Yael czytała tekst ciągle na nowo, aż w końcu nauczyła się go na pamięć.

Zaczęła się oswajać z retoryką Cieni. Sens zdań, pozornie zagadkowych, docierał do niej coraz szybciej.

Tym razem słowa sprawiły jej ból. Nie tylko ścisnęły trzewia, ale waliły w żołądek, godziły prosto w serce.

Co wiesz o swojej rodzinie, Yael? Czego nie wiesz?

– Pokaż – powiedział Thomas, biorąc od niej tekst. Yael potarła skronie.

– Zdaje się, że dotarliśmy do samego sedna – szepnęła. Thomas wyprostował się w fotelu, żeby spojrzeć jej w twarz.

– Obawiam się, że... wybiła godzina prawdy. Ty... Co ty wiesz o swoich krewnych?

Yael pokręciła głową.

– Nic podejrzanego. Właśnie to się nie trzyma kupy. Mam wrażenie, że ktoś robi sobie ze mnie jaja!

Thomas przyglądał się jej, nie mając odwagi przemówić. Czekał, aż pogodzi się z tym, co oczywiste. Postępowanie Cieni nie miało nic z żartu, a wszystkie ich dotychczasowe działania ukazywały nagą prawdę o świecie.

Gniew Yael natychmiast opadł. Wiedziała.

– Trzeba... Trzeba działać metodycznie – oświadczyła.

– Zaczynam się oswajać z ich pismem, przyzwyczajam się do

ich sposobu wyrażania się. Zacznijmy od pierwszego akapitu.

Przeczytała głośno:

– *Kłamstwo jest jednym ze spoiw historii. Umyślnym albo przypadkowym. Każda rodzina ma jakąś tajemnicę. Każda. Tajemnicę, o której najczęściej nikt nie wie. Te rodzinne sekrety opierają się na kłamstwie. Nie ma w tym nic szczególnego, żadnego symbolicznego znaczenia, po prostu stwierdzenie faktu.*

– To sposób na uświadomienie ci, że prawdopodobnie nie zdajesz sobie sprawy z... z rodzinnej tajemnicy, czyż nie?

Yael ponuro pokiwała głową.

– *Drugi akapit... Co wiesz o swojej rodzinie, Yael? Czego nie wiesz? Duchy nawiedzają jedynie tych, którzy potrafią je zobaczyć. Czy widziałas swojego ducha pod powierzchnią pozorów?*

– „Pod powierzchnią pozorów” to jezioro.

– A mój duch to ten trup w zatopionym domu...

Yael głęboko zaczerpnęła tchu, żeby dodać sobie odwagi.

Wiedziała, że ten szkielet nie przestanie jej dręczyć.

– *I na koniec: Niektórzy wiedzą. Zawsze istnieją tacy, którzy wiedzą. Diabelski Wąwóz to studnia pełna kłamstw, ale jeśli oddasz duszę diabłu, on zawsze przemawia... Musimy znaleźć tych, którzy wiedzą.*

– Twój duch pochodzi z tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, kiedy powstało jezioro. Na pewno szukamy osoby starszej.

– *Diabelski Wąwóz to studnia pełna kłamstw, ale jeśli oddasz*

duszę diabłu, on zawsze przemawia... – powtórzyła Yael. Bez trudu rozszyfrowała znaczenie ostatniego zdania.

– Nikt nie zechce mówić albo będą nas okłamywać. Chyba że będę szczerą. Muszę powiedzieć, kim jestem. Prawdopodobnie mam jakichś przodków, którzy mieszkali w tym regionie.

– Co wiesz o swoich rodzicach?

– Człowiek zawsze wie wszystko i nic o swoich rodzicach – westchnęła Yael. – Wie tylko tyle, ile zechcieli mu powiedzieć. Jeszcze gorzej jest z dziadkami i tak dalej. Nie znam żadnych wielkich tajemnic, tylko dramaty. Moja matka zginęła w wypadku samochodowym kilka miesięcy temu. Ojciec był sierotą, ot i wszystko! To wszystkie nasze rodzinne tajemnice!

Thomas wolno pokiwał głową. Pamiętał zwierzenia dziewczyny podczas pierwszej wspólnej kolacji.

– Przepraszam – ściszyła głos Yael, usiłując opanować narastający gniew. – Po prostu... Moi rodzice to byli porządni ludzie. Odkąd mamy już nie ma, wspomnienie o niej sprawia mi ból. Mój ojciec to dobry człowiek, zasługuje na same piękne rzeczy, rozumiesz? Nie chcę, żeby ktoś ich zbrukał albo zaśmiewał mi umysł czymś, co... co mnie nie dotyczy.

– Może to nie ma z nimi nic wspólnego, wiesz?

– Tak naprawdę on nie jest sierotą, tylko nie był w dobrych stosunkach ze swoją matką i prawie nie znał ojca, który zmarł, gdy on miał rok.

– Mogę zapytać, w jaki sposób?

– Nie wiadomo. Była wojna. Pewnego dnia rano wyszedł do pracy i więcej nie wrócił. Jego żona zawsze podejrzewała Niemców, ale nie miała żadnych dowodów.

– Wiesz, gdzie mieszkali?

– Moja babcia nie lubiła o tym mówić, to było dla niej bolesne. Wiem tylko tyle, że dorastali w okolicach Lyonu.

Thomas potrzebował trochę czasu, żeby zebrać myśli. Obawiał się, że odgadł, kim był ów rozkładający się trup, którego uwolnili.

– Zagadka mówi o wąwozach pod Diabelskim Mostem – przypomniała Yael. – Moim zdaniem ten lub ci, którzy wiedzą, znajdują się tutaj. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym, żebyśmy tam zajrzeli, dzisiaj rano widziałam jakiś dom naprzeciw wejścia do wąwozów.

Thomas skinął głową i włączył silnik, ona tymczasem wepchnęła torebkę z bronią do plecaka.

Przejechali zaledwie kilometr, zanim znów zaparkowali, tym razem przed starym budynkiem z kamienia. Wycieraczki nie przestawały pracować.

Yael zapukała do drzwi, chowając się przed deszczem pod bramą. Nad pękniętym dzwonkiem wisiała mała pożółkła tabliczka z nazwiskiem MALINVAL.

Drzwi otworzył starszy mężczyzna, który na widok przemoczonej pary zmarszczył brwi.

– Cóż... od wody rosną tylko rośliny!

Yael obdarzyła go sympatycznym uśmiechem.

– Proszę pana, ja... Nazywam się Yael Mallan, przepraszam za najście. Muszę panu zadać kilka pytań.

Starzec spojrział na nią znacząco i cofnął się.

– Proszę, proszę dalej.

Weszli do prosto umeblowanego salonu, gdzie unosił się gorący aromat rosółu, który pobudził apetyt dziewczyny.

– Przede wszystkim potrzebujecie ręcznika – powiedział gospodarz, po czym podał im spłóviałą przez lata używania ściereczkę.

– Proszę pana... – zaczęła Yael.

– Mam na imię Lucien.

Otworzywszy zakurzony bufet, wyjął z niego butelkę likieru z bylicy i napełnił trzy kieliszki.

– To was uchroni przed katarem – wyjaśnił.

– Proszę wybaczyć to pytanie, ale czy tutaj mieszka dużo osób? To znaczy wokół Diabelskiego Mostu? Osób, które... które są tutaj od dawna.

Cienie wyraźnie powiedziały, że to ma być wąwóz pod Diabelskim Mostem. Czyli tutaj, a nie dziesięć kilometrów stąd.

– Lucien, czuję się skrepowana własną bezpośredniością, ale szukam pewnych informacji. Prawdopodobnie mających związek z moją rodziną.

Starzec wypił łyk likieru, unikając jej wzroku.

– Nazywam się Mallan, mówi to panu coś?

Tym razem spojrział jej prosto w oczy. Następnie popatrzył na Thomasa.

- Powinna pani o tym porozmawiać ze swoją rodziną – poradził.
- Nie można powiedzieć, żeby ci, którzy z niej zostali, byli...

gadatliwi.

– Już to mówiłem pani... ojcu, jak przypuszczam. To stara historia, której nie trzeba wywlekać.

– Mój ojciec był tutaj?

– Myślę, że to był on. Pan Mallan, około pięćdziesiątki.

Yael natychmiast przejrzała kieszenie ogrodniczek w poszukiwaniu portfela. Znajdował się w plecaku, u jej stóp. Wyjęła z niego rodzinne zdjęcie przedstawiające ją i jej rodziców.

– Czy to on?

Lucien Malinval pokręcił głową.

– Nie. Ale powiedział, że nazywa się François Mallan. Do końca życia nie zapomnę tego nazwiska.

Yael podniosła na niego wzrok pełen niepokoju. François Mallan to było nazwisko jej ojca.

Thomas zauważył, że Yael zeszywniała. Domyślił się, że ktoś podał się za jej ojca, aby skłonić starca do mówienia.

– Jak dawno to było?

– Sam nie wiem... Zdaje się, że zeszłego lata, prawdopodobnie w czerwcu albo w lipcu, ponad rok temu.

Mimo zaskoczenia Yael starała się nie stracić wątku. Cienie ścigają ją zatem już od dawna.

– Panie Malinval, to dla mnie ważne, co mu pan powiedział?

Stary góral dopił swój likier, wyraźnie zakłopotany.

– Wolałbym o tym nie mówić.

– To dla mnie ważne – powtórzyła. – Muszę wiedzieć.

– Nikt nie musi wiedzieć takich rzeczy, proszę mi wierzyć.

Chwyciwszy go za rękę, wbiła weń spojrzenie zapłakanych oczu.

– Nie sprawię panu kłopotów, przysięgam. Muszę wiedzieć. Przecież to moja rodzina... – dodała błagalnie.

Wyswobodził dłoń, po czym zaczął bawić się kieliszkiem. Otworzył usta i zaraz je zamknął. Nie miał warg, jakby zniknęły z upływem czasu. Rzucił szybkie spojrzenie na czarno-białą fotografię kobiety w sukience i w fartuchu stojącą na kredensie.

– Opowiem pani tę historię, ponieważ wszyscy jej uczestnicy dzisiaj już nie żyją, ale nie chcę żadnych kłopotów, zgoda? Nic nie powiem żandarmerii. Nie chcę też więcej o tym słyszeć.

Kiedy skinęła głową, zrobił głęboki wdech. Tak głęboki, jakby musiał zejść daleko w głąb siebie i czerpać z gorzkiej kopalni pamięci.

– Kiedyś żyli w tej okolicy jacyś Mallanowie. W osadzie Malatraix. To miasteczko, którego już nie ma.

– Zostało zabrane przez osuwającą się ziemię w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku. Byliśmy tam.

Lucien Malinval przyjrzał się jej dokładnie, jakby nagle pojawiła się przed jego oczami.

– Właśnie – przytaknął. – Facet, Armad Mallan, raczej nie był duszą towarzystwa, jego żona zresztą też nie.

Yael wymieniła z Thomasem krótkie spojrzenie.

„Moi dziadkowie” – przeczytał z ruchów jej warg.

– W czasie wojny w okolicy było sporo partyzantów, synów tej ziemi, którzy nie przepadali za Niemcami i chowali się w górach. Mallan był natomiast zwolennikiem milicji, zdaje się, że sympatyzował z rządem Vichy. Robił niezbyt chwalebne rzeczy. Wydał wielu partyzantów. Okolicznych mężczyzn, a nawet chłopców. Było wielu zabitych. Rozstrzelanych. On wyszedł z tego cało. To się nie podobało, zwłaszcza że i tak nie był zbyt lubiany z powodu swoich manier. Wśród chłopaków, na których doniósł, byli również ci z Malatraix, ich rodziny ciągle mieszkały w miasteczku. Napytał sobie przez to biedy. Ale członkowie milicji mieli na niego oko, nikt więc nie odważył się nic zrobić ze strachu przed represjami. W tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku, kiedy nastąpiło osunięcie ziemi, mieszkałem razem z bratem w tartaku, wyżej, na wzgórzu. To my pierwsi zauważyliśmy

lawinę błota i pędzące po zboczach pnie. W nocy przez nasz pokój przetoczyła się fala.

Jego zniszczone przez dziesiątki lat oczy błyszczały na wspomnienie tych odległych wydarzeń.

– W ciągu następnych dni zorganizowaliśmy się jakoś w dolinie. Przygotowaliśmy się do przeprowadzki. Ale wtedy ludzie zaczęli snuć domysły. Pewnego dnia widziałem, jak mężczyźni z osady zbierają się, żeby pójść do Mallanów. Mallan dopuścił się wielu świństw, miał krew na sumieniu, ale to, co się stało tamtej nocy, wcale nie było lepsze. Była rozróbka w jego domu, jego żona krzyczała i w ogóle. Wszystko słyszałem, byłem razem z bratem. Mężczyźni wyszli stamtąd ze złym błyskiem w oczach, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Nieśli Mallana. Żona i synek zostali w środku. Tamci chcieli tylko zdrajcy. Mówili coś o wykorzystaniu gospodarstwa, które zaczęło już pogrążyć się w wodzie. Później ja wróciłem z bratem do domu. Dość już usłyszeliśmy.

Dolał sobie kieliszek i opróżnił go jednym haustem.

– Jeśli Armad Mallan gdzieś jeszcze jest, to pod wodami jeziora – oświadczył na koniec. – To nie jest piękna historia, panienko, ale proszę ich nie osądzać. To były inne czasy. Nie takie jak dzisiaj.

Yael nie miała najmniejszej ochoty nikogo osądzać.

Przypatrywała się z niemal podejrzliwą drobiazgowością własnej obojętności. Osobliwa rzecz – nic nie czuła. Mężczyzna, który przyszedł tutaj wcześniej, podając się za jej ojca, był zwykłym kłamcą, z pewnością na usługach Cieni. Jej własny ojciec w życiu nie słyszał o tej ponurej historii. Ponieważ nie znała dziadka, mogła rozmawiać o

jego śmierci bez najmniejszego żalu, a człowiek, którym był, nie zasługiwał na litość, mimo że zniknął w tragicznych okolicznościach. Teraz lepiej rozumiała, dlaczego jej babka była kobietą zgryźliwą i małomówną, dlaczego kłamała na temat ich pochodzenia, zataiwszy, że tu mieszkali.

– Co panu powiedział ten cały François Mallan, który tutaj był?

– Powiedział, że jego rodzice kiedyś mieszkali w tych stronach. Że jego matka niedawno zmarła i że natrafił w swoich papierach na jakieś dokumenty, w których była wzmianka o ich pobycie tutaj. Chciałby się rozliczyć z przeszłością i dowiedzieć, dlaczego nikt mu o tym nigdy nie mówił. Wypytywał sporo ludzi w okolicy, ale nikt nie potrafił udzielić mu informacji. Tylko ja.

– Powtórzył mu pan to samo co mnie?

– Z początku nie miałem takiego zamiaru. Ale w końcu mu powiedziałem, że to prawda. Jego krewni mieszkali tutaj przez kilka lat. Aż do tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego, później wyjechali nie wiadomo dokąd. Ale on naciskał. Musiał wiedzieć. Powiedziałem mu, że nie znałem ich dobrze, byłem wtedy młody. Pogadaliśmy sobie. Chciał zrozumieć. Pociągnął mnie za język.

Usta starca zacisnęły się na chwilę. Yael pojęła, że bez względu na to, jak bolesne były jego wspomnienia, Lucien Malinval odczuwał potrzebę, żeby je wyrazić. Podzielenie się nimi z kimś oznaczało pozbycie się ich. Zgodził się wszystko powiedzieć tak naprawdę bez oporu, ponieważ czuł takie pragnienie.

– Wyrzucenie tego z siebie dobrze mi zrobiło – przyznał. – W

ten sposób on się dowiedział. Może to nie było zbyt piękne, ale lepiej, że wiedział. Nie pytał mnie o nazwiska, nic. Po prostu chciał wiedzieć.

– Nie starał się poznać szczegółów?

– Nie. Właściwie tak, wypytywał o zatopione gospodarstwo. Zastanawiał się, czy to możliwe, żeby ciało jego ojca nadal tam było. Nie umiałem na to odpowiedzieć. Nikt nie wie i nikt nie chciałby się dowiedzieć więcej.

Yael usiłowała uporządkować kłębiące się w jej głowie myśli. Jakim cudem Cienie zdołały dotrzeć aż tutaj?

„Zaraz po śmierci mojej babki, wiosną, półtora roku temu. Udało im się do niej zakraść, szperać w jej papierach, pogwałcić jej wspomnienia”.

To oznaczało, że nie tylko ona – Yael – jest śledzona, ale cała rodzina. Przez głowę przemknęła jej nieznośna myśl na temat wypadku jej matki. Odpędziła ją natychmiast ze ślełą furią.

„Cienie wdarty się do mojej babki złaknione wszelkich informacji. Są do tego przyzwyczajone. Wiedzą, że zawsze trzeba szukać, przewracać do góry nogami rodzinną przeszłość, aby wydobyć na powierzchnię jakąś starannie skrywaną tajemnicę”.

Może postąpiły tak z każdym członkiem rodziny? Drażąc bez ustanku i nie znajdując żadnych dowodów, aż do tej chwili. Musiały wykazać dużo cierpliwości i zawziętości, skoro miały nadzieję, że coś osiągną.

Następnie Cienie zanurkowały w tajemnicy, aby się przekonać, czy trup ciągle tam jest. Odkryły walizkę, może nawet wyciągnęły ją na

powierzchnię, żeby włożyć do środka butelkę z listem, nie uszkadzając szkieletu.

Od jak dawna śledziły Yael?

Od półtora roku? Od dwóch lat?

Wydawało jej się to szaleństwem. Po co aż tyle zaangażowania? Środków, ludzi, energii? Co takiego szczególnego miała Yael, co mogło ich zainteresować aż do tego stopnia?

Henri Bonneviel na pewno znał odpowiedź.

Jej stopa uderzyła o plecak i coś ciężkiego, co znajdowało się wewnątrz.

Przypomniała sobie o rewolwerze.

Miał się przydać jeszcze przed końcem tej historii.

Blog Kamela Masira. Fragment ósmy

Można się uśmiechać, czytając moje słowa. Oczywiście można uważać mnie za paranoika, za spiskowca. Ale ja tylko łączę z sobą informacje, których wszędzie jest pełno. Sami włączcie wasze komputery i poszukajcie w Internecie. Poszperajcie trochę na temat tych „majaków”, a przekonacie się, że są całkiem realne. Zajrzyjcie do archiwów poważnych gazet. Zapytajcie kilku historyków dysponujących mocną dokumentacją. Szukajcie. Sami się przekonacie.

Ale bądźcie ostrożni, bo zupełnie jak w filmach (!) zdarza się, że chcąc głosić prawdę, człowiek wpada w końcu w tarapaty.

Mam tutaj na myśli agenta CIA Roberta Baera, który zdecydował się wreszcie stanąć przed amerykańskim Kongresem, aby wyjaśnić, jak to wszystko działa, szczególnie zaś jak potężne wpływy na politykę państwa mają rozmaite lobby. Nie tylko Kongres go nie wysłuchał, ale na dodatek prokurator wybił mu z głowy chęć przyjścia jeszcze raz, grożąc mu. W dniu, kiedy Baer zeznawał przed Kongresem, jego mieszkanie „odwiedził” złodziej, który niczego nie zabrał. Powoli wszczęte przez Baera dochodzenie na temat funkcjonowania administracji odwróciło się przeciwko niemu. W końcu zażądano od niego zgody na zbadanie przez biegłego psychiatrę. Przerażony na myśl, do czego może dojść, Baer postanowił wycofać się ze wszystkich zarzutów i dochodzenie zostało przerwane.

Mam jeszcze bardziej ponure myśli dotyczące ludzi pokroju Jamesa Hatfielda. Autora książki o rodzinie Bushów opartej na

rzetelnej dokumentacji. Otóż dwóch krewnych Busha groziło mu śmiercią i to na dodatek publicznie (błądzić jest rzeczą ludzką!). Znalaziono go martwego 18 lipca 2001 roku. Według oficjalnej wersji, popełnił samobójstwo. Między innymi ujawnił powiązania Bushów z bin Ladenami. Poszukajcie trochę informacji o nim, a także na temat Johna Arthura Paisleya i wszystkich innych „samobójców”, którzy od dawna wytyczają historię Białego Domu. Tak jak najśłynniejsza z nich – Marilyn Monroe. Były pełnomocnik ujawnił jej notatki psychiatryczne, odkrywając, że absolutnie nie miała tych „skłonności samobójczych”, o których mówiły ówczesne władze, aby usprawiedliwić rzekome samobójstwo za pomocą barbituranów. Przeciwnie, snuła rozległe plany, miała po co żyć przez najbliższe miesiące, nie była więc ani trochę kandydatką do samozniszczenia. Tylko że Marilyn utrzymywała zbyt bliskie stosunki z wpływowymi osobistościami – jak na przykład Kennedy – za dużo wiedziała i nie należała do tych, którzy potrafią dochować tajemnicy przez całe życie. Gdzieś tam istnieli ludzie, którzy bali się, że zacznie mówić. Uciszone ją na zawsze, a wraz z nią podejrzliwość całego narodu.

A jeśli paranoja stała się cnotą?

Czyż w świecie sterowanej ultrakomunikacji, gdzie narodami rządzą i manipulują kłamstwa garstki osobników, którzy dbają wyłącznie o własne interesy, paranoja nie jest nowoczesnym narzędziem przetrwania? Spotykam w Sieci wielu ludzi. Sporo z nich uważa ludzką rasę za stado baranów, które pasą się grzecznie, przy czym każdy z nich robi dokładnie to, co wszyscy, nie przejmując się tym,

co go otacza, ani kierunkiem, w jakim zmierza. Niektórzy z tych, którzy tak mówią, uśmiechają się, słysząc moje słowa – nazywam ich „psami pasterskimi”, ponieważ wydaje im się, że wiedzą wystarczająco dużo i mają wystarczającą inteligencję, by wybić się ponad stado. Wydaje im się, że są dostatecznie przebiegli, żeby nie dać sobą manipulować. Inteligencja nie ma tutaj nic do rzeczy.

Tu potrzeba czujności. Oraz tej szczypty paranoi, która okazała się zbawienna.

Oni mówią, że to wszystko to problem Amerykanów. Że przecież Bush i tak niedługo odejdzie. I że we Francji nie ma takich problemów.

Falsz. Falsz. Jeszcze raz falsz.

Nie lekceważmy cudzych istnień pod pretekstem, że są daleko od nas. Nie lekceważmy wolności pod pretekstem, że naszej nic nie zagraża. Wolność ludów i narodów to bowiem kruche klocki domina. Działające obecnie siły doskonale rozumieją, że przewrócenie kostek domina jest zbyt ryzykowne, dlatego pozwalają im stać, wysysając z nich jednocześnie od środka cały szpik i zostawiając jedynie puste skorupy.

Francja wcale nie jest wyjątkiem od reguły.

Przy użyciu wszelkich możliwych pretekstów, okrojonych statystyk albo faktów wyjętych z kontekstu można nas skłonić do zaakceptowania wielu rzeczy, wielu ustaw, wielu środków restrykcyjnych.

Współczesna geopolityka nie jest niczym innym, jak ogromnym gobelinem, który ciągle leży na krosnach. Wyciągnięcie jakiejś nitki

wywołuje konsekwencje dla całego dzieła. Niekiedy bardziej dramatyczne niż można by sądzić na pierwszy rzut oka.

Francja jest taka jak wszystkie inne kraje – tworzy własne kłamstwa, zręcznie ukrywa swoje tajemnice, ot, i wszystko. Wystarczy pogrzebać.

Nie bądźmy ślepi ani pogardliwi pod przykrywką pewnego rodzaju finezji.

Wręcz przeciwnie – zachęcam wszystkich do uprawiania ogródka zwanego paranoją.

Dzisiaj to jedyny klucz, żeby naprawdę zrozumieć świat.

Opel torował sobie światłami drogę przez deszcz, który zasnuł góry szarą mgłą.

Yael i Thomas skorzystali z gościnności Luciena Malinvala, aby się osuszyć i przebrać, zanim wyruszyli do Thonon-les-Bains. Yael była rozdarta między rozczarowaniem a zimnym podekscytowaniem. Poszli aż do końca za wskazówkami Cieni zawartymi w ich przesłaniach, nie znaleźli jednak nic konkretnego. Najwyraźniej stary góral nie miał wiele wspólnego z ich historią, chyba że odegrał w niej rolę świadka.

Dokąd Yael powinna się teraz udać?

Cienie nie wiedzą, że zdemaskowała Shoggotha.

Czy Henri Bonneviel był mózgiem organizacji? Wszechwiedzącym okiem na szczycie świętej piramidy utrwalonej na banknocie jednodolarowym?

Chociaż Yael uważała, że jest bliska zdemaskowania go, czuła się zbита z tropu. Czego chciały Cienie? Po co ją tu przywiodły? Wyjawienie jej historii rodziny miało jakiś cel, którego nie pojmowała.

– Nie rozumiem, po co przyciągnęły nas aż tak daleko – przyznała, gdy Thomas siedział za kierownicą. Skupił całą uwagę na krętej szosie.

– Nie zapominaj o umieszczeniu swojej historii w szerszym kontekście – upomniał ją. – To Cienie tworzą historię.

Yael zastanawiała się nad sensem, jaki mogła nadać swoim ostatnim przeżyciom, umieszczając je w szerszym kontekście.

– „Każda rodzina ma swoje tajemnice”. Właśnie tak powiedziały. „Oparte na kłamstwach”. Tak samo jak historia. Jak możemy uważać, że znamy historię, skoro nie znamy nawet naszej własnej? Czy o to chodzi?

– Tak. Poza tym udowadniają, że mają nieograniczoną władzę, że wiedzą o tobie wszystko, nawet najintymniejsze rzeczy. Cienie są zdolne do wszystkiego, nawet do odkopania tajemnicy rodzinnej, której nie zna większość jej członków.

– Pokonawszy ostry zakręt na mokrej szosie, dodał: – Może chęć powiedzieć: spójrz, co się dzieje na twoim podwórku, i porównaj to z tym, co odbywa się na skalę ludzką, ziemską. Jak jest podobnie. Mikro i makro. Ciągłe w myśl zasady „otwórz oczy”. Moim zdaniem to mniej więcej to.

– Ale dokąd to prowadzi? Jaki ma cel? I dlaczego właśnie ja? Co jest we mnie takiego szczególnego?

Pokręciła głową, usiłując spoglądać na krajobraz poprzez mrok. Ponieważ jej się to nie udało, opuściła osłonę przeciwsłoneczną, a wówczas w lusterku ukazało się odbicie jej twarzy.

Szerokie usta i jakże jasne oczy pod czarną jak węgiel czupryną.

– To spory wysiłek jak na jedną małą osobę – dodała.

Zaczęła się zastanawiać nad pierwszymi słowami Cieni:

Jesteśmy po drugiej stronie. W ciemnościach. W tych po drugiej stronie luster. Jesteśmy wszędzie. Musisz wiedzieć. Być z nami. Szukaj. Zrozum. To dla ciebie ważne. Uwierz. A będziesz gotowa.

Znajdują się po drugiej stronie systemu – tam, gdzie władza.

Ukryte pod pozorami. Właściwie na co ona ma być gotowa? Na ostateczne objawienie?

Z zamyślenia wyrwał ją głos Thomasa:

– Musimy zadzwonić do Kamela. Staniemy przed hotelem.

– Nie, jedziemy do Genewy.

– Yael, to zbyt duże niebezpieczeństwo. Nic nie wiemy na temat tego całego Bonneviela.

– Jak dotąd zawsze cię słuchałam i miałeś rację. Tym razem to ja podejmuję ryzyko. – Zwróciwszy się do niego twarzą, powiedziała: – Zrozumiem, jeśli teraz nie będziesz mi towarzyszył.

– Nie gadaj głupstw. Dobrze wiesz, że cię nie zostawię. Ale wcale tego nie pochwalam. To o wiele za wcześnie. Jesteś zmęczona, działasz pod wpływem złości i...

– Nie jestem zła. Po prostu chcę wiedzieć. To wszystko. Kierunek Genewa, współniku.

Droga wiodła wzdłuż Jeziora Lemańskiego, które znikło pod osłoną wciąż panującej burzy. Od czasu do czasu pojawiały się migoczące prześwity, dlatego stało się podobne do cudownej ryby zagubionej we mgle.

Przekroczyli granicę, unikając kontroli – ku ogromnej uldze Thomasa, który nie przestawał powtarzać, że igrają z ogniem. Na kolację zjedli gotowe kanapki na stacji benzynowej i wypili po puszcze napoju gazowanego.

Gdy dotarli na przedmieścia Colongny, deszcz zmalął, zmieniając

się w nieustającą mżawkę. Samochód wolno krążył po dzielnicy, którą wskazano im pięć minut wcześniej w aptece. Ciągłe gubili drogę. Thomas zatrzymał się przed niewielkim hipermarketem. Było tuż przed zamknięciem, Yael pobiegła kupić plan miasta.

– Ja tymczasem spróbuję złapać Kamela – oznajmił Thomas i pognął do budki telefonicznej.

Dziewczyna wróciła do samochodu, żeby przestudiować plan w suchym miejscu, podczas gdy jej towarzysz czekał cierpliwie przy telefonie, mając nadzieję, że zaraz zadzwoni. Nie otrzymawszy odpowiedzi w ciągu dziesięciu minut, dał sobie spokój i usiadł za kierownicą. Wreszcie udało im się odnaleźć długą ulicę, przy której mieszkał Henri Bonneviel.

Ligustrowe żywopłoty odgradzały wille ukryte przed wzrokiem ciekawskich. Była to wytworna i odludna dzielnica, gdzie luksusowe samochody sąsiadowały z bezkresnymi basenami o najbardziej ekstrawaganckich kształtach.

– To tutaj – wskazała Yael, gdy minęli drewnianą bramę.

Mało nie wywichnęła sobie szyi, usiłując dojrzeć kawałek posiadłości.

– W oknach pali się światło.

Thomas się nie zatrzymał, tylko jechał powoli wzdłuż parku.

– Jaki masz plan? Zadzwonimy do jego drzwi? Wprosimy się, żądając wyjaśnień?

– Jedź dalej, wolę, żeby samochód był daleko, to przynajmniej nas nie zobaczą. O, skręć tutaj, w tę ulicę, która schodzi w dół.

Kiedy Thomas spełnił polecenie, zajęli pozycję w równoległej, znajdującej się poniżej alei, skąd mieli idealny widok na cały dom Bonneviela. Z tej strony wznosił się on na palach, wiele okien było oświetlonych, podobnie jak duży taras, z którego rozciągała się panorama jeziora.

– Co teraz?

Yael wychyliła się i wyjrzała na ulicę.

– Zaczekamy trochę, żeby sprawdzić, czy jest ich wielu.

Thomas położył dłonie na kierownicy, wpatrując się w to, co zdołał dostrzec z ogromnego parku położonego u stóp metalowych filarów willi.

Nikogo nie widział. Nawet żadnej kamery.

Yael zerknęła na zegar na tablicy rozdzielczej.

23. 10.

Co powinna zrobić? Zaczekać, aż właściciel domu zaśnie, żeby zakraść się do środka? Nagle wszystko zaczęło przybierać nieoczekiwany obrót, nad którym przestała panować. Oto ona, która jeszcze tydzień temu nigdy nie miała do czynienia z policją, zamierzała właśnie włamać się do domu szwajcarskiego bankiera.

Przyjrzała się po raz kolejny posiadłości miliardera. Olbrzymiej, zagłębionej we wzgórzu niczym rampa kolejki linowej.

Może trzeba było jeszcze poczekać. Aż pogasną światła.

Mineła godzina.

Przestało padać.

Yael nie mogła już dłużej wytrzymać. Chwyciła plecak i

zarzuciła go sobie na ramiona. W środku znajdowała się broń.

– Idę zobaczyć.

Thomas już miał przekręcić kluczyk, żeby zapalić silnik, dała mu jednak znak, żeby tego nie robił.

– Wolę pójść piechotą. Tak jest ciszej.

Thomas wysiadł, by jej towarzyszyć, zanim zdążyła mu zaproponować, żeby na nią zaczekał. Wspięli się po rozmokniętej ścieżce, wzdłuż ściany rosnących pośrodku krzewów. Gdy dotarli do bramy, Yael sprawdziła domofon. Czarny prostokąt zdradzał obecność kamery uruchamianej, kiedy naciskało się guzik. Upewniwszy się, że oprócz nich na ulicy nie ma nikogo, na oczach osłupiałego Thomasa wdrapała się na drewniany słup. W jednej chwili znalazła się po drugiej stronie.

– Niech to szlag! – zaklął dziennikarz, po czym poszedł w jej ślady.

Po drugiej stronie ogrodzenia willę otaczał idealnie utrzymany trawnik, a do przyległego do niej garażu na trzy samochody wiodła kręta alejka. Droge aż do samego wejścia znaczyły metrowe lampy.

– Zastanów się, co ty wyprawiasz! – szepnął, dogoniwszy ją Thomas. – Za minutę będzie za późno!

– Już jest za późno.

Przyspieszyła kroku, zmierzając do głównych drzwi. Miały framugę z ozdobnej szyby. Yael przywarła do niej, żeby zajrzeć do środka.

– Widzę światło.

Położyła dłoń na klamce.

– Yael! – sprzeciwił się Thomas, tłumiąc krzyk.

Zmierzyła go od stóp do głów, porównując własną determinację z obawą swojego towarzysza.

Prawda znajdowała się za tymi murami. Odpowiedź na wszystkie pytania.

Dlaczego jej życie przewróciło się do góry nogami aż do tego stopnia i to w tak krótkim czasie?

Dlaczego właśnie ona?

Czego od niej chcą?

Nacisnęła klamkę.

Wystrój i umeblowanie holu były surowe i proste: nowoczesny stolik, na nim lampa, impresjonistyczny obraz, o którym Yael nie umiała powiedzieć, czy to słynne dzieło sztuki, czy też płótno namalowane przez amatora. Otwarte drzwi prowadziły do garderoby, w której znajdowały się płaszcze i buty, również oświetlonej. Yael zbliżyła się na palcach. Pachniało skórą i woskiem.

Nikogo.

Następnie otwierał się przed nią długi salon oświetlony dziesiątkami kinkietów, które skąpały pokój w ciepłym i przytłumionym blasku. Sufit znajdował się na imponującej wysokości – co najmniej siedmiu metrów, jak oceniła Yael. Poza tym jedna ze ścian była w całości oszklona i wychodziła na tekowy taras, niemal tak wielki jak salon.

Yael pochyliła się, chcąc zajrzeć w każdy kąt, omieść wzrokiem każdą kanapę. Nikogo nie dostrzegła. Weszła do salonu wolnym krokiem.

Na ścianie wisiał najnowszy model telewizora plazmowego, na ekranie było widać wiadomości, a dźwięk był wyłączony.

Na niskim stoliku z przydymionego szkła i marmuru zauważyła szklanekę. Była napełniona w jednej trzeciej. Powąchała.

„Whisky” – stwierdziła, odstawiając ją z powrotem.

Bonneviel był gdzieś w pobliżu.

Thomas oddalił się, żeby zajrzeć do przyległego pokoju, który

okazał się jadalnią. Wrócił, przecząco kręcąc głową.

Obok przesadnie wielkiego kominka znajdowały się schody wiodące na piętro. Thomas zdecydował się wspiąć na górę.

– Może w sypialni! – szepnął.

Yael już miała ruszyć za nim, gdy jej uwagę przyciągnęły drzwi, których jedno skrzydło było uchylone, wpuszczając na parkiet smugę światła. Podeszła bliżej.

Masywne biurko, na którym piętrzyły się stosy książek i dokumentów, otaczały regały na książki z ciemnego drewna. Blask lampki oświetlał skórzany przycisk do papieru i baterię piór marki Mont-Blanc.

Yael weszła do środka, tonąc w puszystym dywanie.

Odsunęła ciężki fotel, żeby na nim usiąść.

Spostrzegła umieszczone na suficie dwa ekrany, na których wyświetlano notowania giełdowe.

Nie było ani odrobiny kurzu – słabe światło wystarczyło, żeby uchwycić blask drewna, żeby podkreślić łagodne krzywizny mebli. Każdy przedmiot, który przykuł jej spojrzenie, każdy najdrobniejszy ołówek czy okładka, wszystko zostało wykonane ze szczególną starannością.

Yael wdychała atmosferę dyskretnego luksusu, która wypełniała gabinet.

Siedząc tak, czuła potęgę władzy. Wagę każdego słowa wystukanego na klawiaturze laptopa, który leżał po jej lewej stronie, każdego e-maila, każdego faksu, który mógł przynieść milionowe zyski

bądź straty, przyczyniając się do powstania miejsc pracy, do zwolnień, rodząc nowe fortuny albo bankructwa. Znajdowała się właśnie w samym sercu jednego z newralgicznych punktów światowego systemu finansowego. Chociaż on sam nie miał aż takiej mocy, żeby wszystko wyrzucić do góry nogami, to jednak człowiek sprawujący kontrolę nad sporą liczbą takich miejsc na kuli ziemskiej mógł wpływać na gospodarkę świata. Zmienić w jednej chwili życie milionów, miliardów istot ludzkich.

Kim była ona w środku tego wszystkiego? Ona, Yael Mallan, młoda, dwudziestosiedmioletnia kobieta zarabiająca tysiąc euro netto miesięcznie. Trybem w maszynie?

Zaledwie.

Otworzyła usta, by nabrać powietrza. To nie była odpowiednia pora na myślenie o tym. Znajdowała się w gabinecie osoby, która manipulowała jej przeżyciami. Nadszedł moment, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Teraz albo nigdy.

Nie miała jednak odwagi niczego dotykać. Uświadomiła sobie, że prawie się boi. Boi się przestawić jakiś przedmiot, a także konsekwencji, jakie to może mieć. Ruszyć jakiś zły plik w komputerze. Stać się przyczyną potężnych następstw.

„Chyba mnie pogięło. Przecież to nie guzik, którym zrzuca się bombę atomową... Jazda, ruszaj się!”

Zmusiwszy się, by stłumić niestosowny kompleks niższości, dotknęła klawiatury i uaktywniła komputer. Na ekranie pojawiło się granatowe tło z szarym okienkiem, w które należało wpisać hasło.

– Nic z tego...

Zdając sobie sprawę, że poszukiwanie hipotetycznego hasła jest z góry skazane na niepowodzenie, skupiła swoją uwagę na skrzynce na listy i posortowała je pospiesznie na służbowe i prywatne. Przejrzała je pobieżnie, nie znalazła jednak nic interesującego. Następnie zajęła się stosem dokumentów, czytając nalepki na każdej teczce – były to głównie akta bankowe.

Potem przysła kolej na książki – znajdowały się tam dzieła na temat gospodarki światowej. Nic ważnego.

Wstała i już miała obejść dokoła pokój, gdy spostrzegła szuflady pod biurkiem. Pominąwszy dwie pierwsze, które zawierały wyłącznie rozmaite przybory do pisania, otworzyła ostatnią. W teczkach były umieszczone następujące akta:

PILNE SPRAWY BIEŻĄCE
FUNDUSZ EMERYTALNY
PRYWATNE

Zaczęła od tej ostatniej.

Wśród skoroszytów szczególnie jeden przykuł jej uwagę: STOWARZYSZENIA UNIWERSYTECKIE. Po tym, co przeczytała na temat Skull and Bones, tajnego bractwa dysponującego ogromną władzą, była wyczulona na takie informacje. Otworzyła skoroszyt i przejrzała go pobieżnie. Henri Bonneviel sponsorował liczne

stowarzyszenia uniwersyteckie w całych Stanach Zjednoczonych, Anglii i Szwajcarii. Nazwy zawsze były te same – co roku wpłacał na ich konta dziesiątki tysięcy dolarów. W spisie kwot wpłaconych w zeszłym roku rzuciła jej się w oczy jedna nazwa. Właściwie była to liczba.

322

UNIWERSYTET: YALE

STOWARZYSZENIE: 322

WYASYGNOWANA KWOTA: 55 000 USD

DATA: II SEMESTR

Od razu było widać, że to największy czek, jaki wypisał. Przejrzawszy listy z poprzednich lat, Yael stwierdziła, że stowarzyszenie 322 systematycznie otrzymywało większą część jego darowizn.

„322” to liczba widniejąca w herbie Skull and Bones. Nigdy nie do końca potwierdzony, ale możliwy hołd upamiętniający dzień śmierci Adama Weishaupta, założyciela iluminatów.

Yael porządkowała te informacje, w miarę jak powracała do nich pamięcią. Podejrzewano, że iluminaci swego czasu zdemoralizowali władzę i że umieścili symbole swojego tajemniczego istnienia wszędzie po trosze, między innymi na słynnym banknocie

jednodolarowym. Wyglądało na to, że Skull and Bones – równie tajemnicza sekta – przejęła pałeczkę, tworząc nieoficjalne powiązania z obiecującymi studentami, którzy zajmowali bardzo strategiczne stanowiska w instytucjach władzy politycznej, gospodarczej i informacyjnej.

Cienie nakierowały Yael na te dwie grupki, które pociągały za sznurki historii.

Wszystko samo ułożyło się w jej głowie w logiczną całość.

Cienie są przedłużeniem tego wszystkiego. Skuli and Bones służą jedynie jako wylęgarnia – jedna z wielu – Henri Bonneviel zaś prawdopodobnie wywodzi się właśnie z nich.

Yael przypomniała sobie, słowa napisane w lustrze:

Illuminaci... Skull and Bones... Złudzenia... wszystko drzewa, za którymi kryje się las. Władcy marionetek, mimo to kukły.

Tak, to jest to. Wszystkie tajne, mimo to znane – przynajmniej z nazwy – organizacje to tylko przykrywki, dalekie filie albo „szkoły” tego, co panoszy się wyżej: grupy osobników zgromadzonych potajemnie w tym samym celu: kształtowania historii według własnych upodobań.

Yael pokręciła głową. Rozumiała, że można w to nie wierzyć.

Odłożyła dokumenty, po czym zabrała się do szperania w pozostałych papierach.

Wtem na progu drzwi pojawił się czyjś cień.

Serce zaczęło walić jej jak młotem, zaraz się jednak uspokoiła, widząc wchodzącego Thomasa.

– Zajrzałem do każdego pokoju w willi. Wszystkie są puste. Nikogo nie ma. Bonneviela też.

– Już nie ma. Wyszedł w pośpiechu, nie dopiwszy whisky, której sobie nalał, ani nie pogasiwszy świateł, nawet lampy w tej „szafie na buty”.

– Zastanawiam się, czy nas nie namierzyl.

– To mało prawdopodobne, tylko przejechaliśmy koło jego domu.

Thomas uważnie obejrzał pokój.

– Znalazłaś coś?

– W sam raz tyle, żeby potwierdziły się moje przypuszczenia na temat Cieni.

Thomas podszedł do małych drzwi w głębi i sprawdził pomieszczenie, które okazało się jedynie małą łazienką, a na które Yael w ogóle nie zwróciła uwagi.

– Nie traćmy czasu. Jeżeli Bonneviel uciekł w pośpiechu, mógł wezwać gliny.

Yael wprawdzie się z nim zgodziła, najwyraźniej jednak nie zamierzała wstać. Nie przestając przeglądać dokumentów, otworzyła dossier ze sprawami bieżącymi. Pod jej zręcznymi palcami zaczęły się przesuwać wielobarwne teczki.

Nagle – błysk.

Nazwisko, które pali źrenice. Przeszywa duszę brutalnym pchnięciem.

Napisane na grzbiecie drobnymi literkami:

Yael Mallan

Teczka z jej nazwiskiem była czerwona.

Yael otworzyła ją tak gwałtownie, że oderwała dolną część. Rozczarowanie okazało się jednak równie wielkie jak nadzieje, które żywiła. Akta zawierały zaledwie dwie nieszczęsne kartki wypełnione odręcznym pismem i mały zadrukowany plik.

Na zadrukowanych stronach znajdowały się osobiste dane Yael. Od daty jej urodzin po miejsce ostatnich wakacji, które spędziła na Rodos w Grecji. Wszystko tam było. Jej rodzice, śmiertelny wypadek matki. Studia na wydziale humanistycznym. Nawet nazwiska jej byłych chłopaków.

Yael się zachwiała.

Znalazła kopie własnych wyciągów z konta bankowego. Kwoty zostały podkreślone różnymi kolorami, tworząc zestawienia, które nie od razu pojęła.

Następne strony obejmowały listy jej zakupów w supermarketach. Tytuły napisano małymi literkami: BADANIA MARKETINGOWE KLIENTA NR 54621, pod nimi zaś widniały daty zakupów. Niektóre marki i nazwy produktów podkreślono, wyróżniając kolorami.

Badali ją. Analizowali jej zwyczaje konsumenckie.

To, co lubi, to, czego nie lubi.

Częstotliwość niektórych zakupów.

Jej upodobania artystyczne widoczne dzięki kupowanym przez

nią książkom i płytom kompaktowym. W jaki sposób zdołali sporządzić taką listę? Większość zakupów została tu zarejestrowana, miała je przed oczyma.

Wiedzieli o niej wszystko.

Jakie są jej ulubione marki, co czyta, dokąd chodzi, jakie sklepy z ubraniami odwiedza.

Nie mogła w to uwierzyć.

Niespodziewanie wszystko się urwało. Do ostatniej strony była przytwierdzona karteczka samoprzylepna: ANALIZA DALSZEGO CIĄGU W TOKU – PATRZ CHRISTIANE.

Thomas tymczasem wrócił do biurka i zaczął czytać Yael przez ramię.

– Christiane to pewnie jego sekretarka – powiedział.

– Jak... W jaki sposób mogli zdobyć tyle informacji na mój temat?

– Przypuszczam, że to czysta informatyka. Wystarczy mieć dobre układy w kluczowych instytucjach albo dobrego hakera.

Thomas pochylił się, żeby samemu przejrzeć szuflady.

– Czego szukasz?

– Chcę się upewnić, czy nie ma tu mojej teczki! – odparł, nie patrząc na nią.

– To niemożliwe. Cienie cię nie znają, przecież pojawiłeś się w moim życiu w zeszły weekend!

– Nie ufam im. Mogli mnie zidentyfikować wcześniej i wysmażyć odpowiedni raporcik.

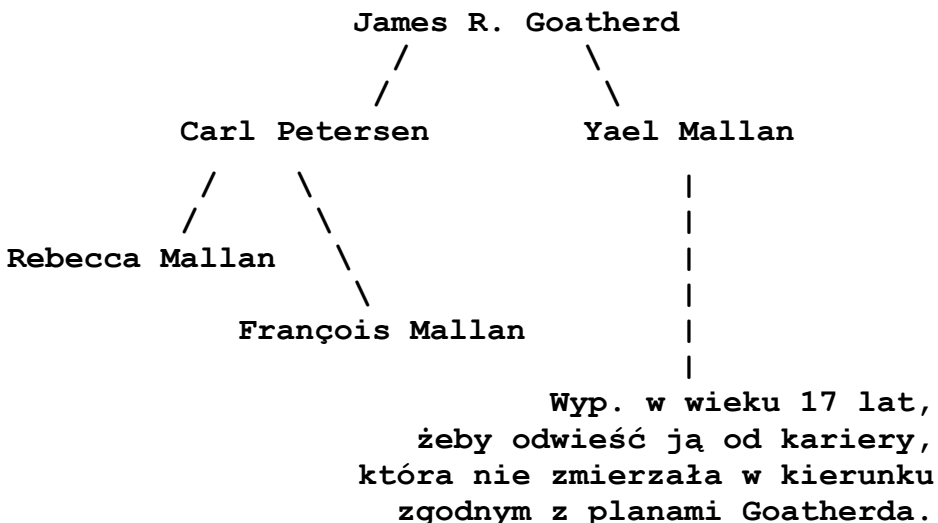
Nie znalazłszy niczego, wyprostował się i omiół pokój spojrzeniem, sprawdzając, czy nie ma gdzieś jakiejś szafki na akta.

– Na pewno ma gdzieś schowaną skrzynię – mruknął, opierając ręce na biodrach.

– Tak czy inaczej, nie damy rady jej otworzyć.

Thomas kołysał się lekko, miną zaś dawał wyraźnie do zrozumienia, że to już jego zmartwienie. Nie mogli mieć dostępu do najtajniejszych informacji.

Yael chwyciła dwie ostatnie kartki ze swojej teczki, te zapisane ręcznie. Zawierały niewiele tekstu, trochę notatek. Na pierwszej widniała piramida nazwisk:



Pod spodem napisano:

Yael musi wiedzieć. Musi znać prawdę. Petersen jej powie. Niech znajdzie ten szkic narysowany na zaparowanym lustrze w łazience.

Papier zaczął drżeć.

Na widok nazwisk rodziców na kartce po krzyżu przebiegł jej dreszcz. Kim są ci dwaj ludzie?

I ten dopisek: „Wyp. ”, bez wątpienia oznaczający wypadek, ten, który miała w wieku siedemnastu lat na skuterze i po którym trafiła do szpitala na wiele tygodni. Ten, w którym doznała uszkodzenia miednicy. Który zmusił ją do porzucenia sportu wyczynowego.

Pod czaszką kłębiły się jej najrozmaitsze hipotezy, jedna bardziej szalona od drugiej.

Zmusiła się, żeby zajrzeć na ostatnią stronę.

Znalazła tam garść słów rozrzuconych niczym kawałki niedokończonyj układanki.

François Mallan, lot AF148 New Delhi.

Hotel Janpath w N. D. – noce od 15/08 do 20/08 i od 04/09 do 05/09.

Rezerwacje w Jaipurze, hotel Umaid Bhawan – noc z 21/08 na 22/08 i z 03/09 na 04/09.

Trekking do 03/09.

Powrót z New Delhi lot AF257Paryż 05/09.

Widząc osłupiałą minę Yael, Thomas również zabrał się do czytania.

– Spróbujmy się skontaktować z twoim ojcem, żeby go ostrzec i poprosić, by wrócił – powiedział.

– Dlaczego Bonneviel chce zdobyć informacje na jego temat?

Była wstrząśnięta. Thomas się obawiał, że dostanie napadu lęku.

– Dlaczego na tej liście są nazwiska moich rodziców? Co to znaczy? – powtórzyła głośno.

Najgorsze odpowiedzi ciążyły jak kamień, nie pozwalając oddychać.

– Chcę się zobaczyć z Bonnevielm, chcę z nim porozmawiać! – zawołała.

Thomas złapał ją za ramię i pomógł wstać.

– Chodź. Musimy stąd zniknąć.

Automatycznie ruszyła za nim, wyjęła mu jednak z rąk teczkę, którą zamierzał właśnie odłożyć na miejsce.

– Zatrzymam ją.

– Yael, nie możemy. W ten sposób Bonneviel się dowie, że tu byliśmy.

Wpiła swoje jasne, niemal przezroczyste oczy w jego twarz.

– O tak, dowie się! Może nawet tu na niego zaczekam!

– Jeśli wpadną tutaj gliny, to będzie koniec. Będziesz mogła się pożegnać ze wszystkimi twoimi planami – westchnął z rozdrażnieniem.

– Chcesz Bonneviela? Świetnie! – zagrmiał. – Przygotujemy się jednak do tego spotkania, upewnimy się, że nie będzie mógł uciec ani

schować się za armią asystentów, damy ci wszelkie możliwe szanse rozmowy w cztery oczy. Tymczasem chodźmy stąd.

Pociągnął ją ku drzwiom.

Yael znalazła się z powrotem w salonie. Spojrzała po raz ostatni na pokój, aby zapamiętać miejsce, w którym być może całe jej życie zostało przewrócone do góry nogami.

Właśnie przekraczała próg, gdy zobaczyła się na ekranie telewizora.

Było to zdjęcie z jej prawa jazdy.

Obok pokazywano prezentera wiadomości, jego usta poruszały się bezgłośnie. Yael wyrwała się z uścisku Thomasa i rzuciła w kierunku pilota, by włączyć dźwięk.

– ... pozwoliłoby odnaleźć Yael Mallan. Policja wyraża zaniepokojenie tym zniknięciem, ponieważ to właśnie jej kartą kredytową zapłacono za pokój w hotelu dla pary bezdomnych, których zabito z zimną krwią w nocy z poniedziałku na wtorek. Świadkowie widzieli młodą kobietę w towarzystwie niezidentyfikowanego mężczyzny w poniedziałek w Herblay. Według ich zeznań, oboje wypytywali o Serge'a Lubrosso. Przypomnijmy, że ciało Serge'a Lubrosso znaleziono nazajutrz podziurawione kulami. Policja nie potwierdza związku między tymi faktami i odmawia wszelkich komentarzy.

Obraz na ekranie się zmienił, prezenter zaś przeszedł do spraw politycznych. Yael wyłączyła głos.

Thomas ukrył twarz w dłoniach. Koszmar trwał nadal. Zdołał

wypchnąć Yael na zewnątrz, przez cały czas trzymając się za udo. Rana nie chciała się zagoić, ponieważ od wielu dni ustawicznie nadwierała nogę. Znajdowali się niemal przy bramie, gdy usłyszeli, że przed domem zatrzymuje się gwałtownie jakiś samochód.

Thomas przywarł do ligustrowego żywopłotu. Yael zastygła pośrodku alei.

– Schowaj się! – szepnął Thomas.

Spojrzała na niego z wahaniem. Pojął, że jest o krok od załamania. Myślała o tym, co właśnie odkryła, a nie o chwili obecnej.

Trzasnęły drzwi.

Jeśli Yael nie padnie na ziemię, za sekundę ją zobaczą. Thomas dał jej znak, żeby się położyła, ona jednak nie zwracała na to uwagi.

Było słyhać zbliżające się kroki. Zaraz wejdą do środka.

Thomas wyciągnął szyję, spoglądając na wóz. Jeśli to samochód policyjny, znajdują się w katastroficznej sytuacji.

Wystarczyło, że dostrzegł profil, po czym z powrotem się schował.

Rozpoznał tę twarz.

To było coś gorszego niż policja.

Wypadł z krzaków, chwycił Yael za rękę i pociągnął ją w kierunku zbocza.

– To oni, Yael! – wykrztusił z trudem, biegnąc. – Zabójcy!

Popędzili po schodach z drewnianych bali, po czym wskoczyli za ciężki filar podtrzymujący taras. Odzyskawszy oddech, Thomas wyjaśnił:

– Ten, którego widziałem, niósł takie samo pudełko jak to, które mieli w hotelu w Paryżu. Wyglądało, jakby mu wskazywało drogę. Jestem pewien, że mają nadajnik, żeby nas śledzić.

Yael zamruła oczami. Adrenalina chyba postawiła ją na nogi. Przełożyła plecak na brzuch, by włożyć do niego teczkę, którą ukradła. Wtedy spostrzegła rewolwer. Zapytała swojego towarzysza wzrokiem, co powinna zrobić. Jak daleko mieli się posunąć? Thomas zawahał się.

– Nie teraz – powiedział w końcu. – Nie, jeśli możemy tego uniknąć.

Chwyciwszy ją za rękę, puścił się pędem przez ogród, który schodził w dół mniej więcej sto metrów, aż do stóp wzgórza, i kończył

na ulicy, gdzie zaparkowali samochód. Przeskoczyli nad trawą i przedostali się przez krzewy służące jako ogrodzenie.

Thomas chodził z coraz większym trudem. Noga nie była już w stanie go dźwigać.

Wynajęty opel stał około dziesięciu metrów dalej.

Gdy Thomas wkładał klucz do zamka, Yael obejrzała się za siebie.

Nikt ich nie gonił. Na tarasie też nie było nikogo.

Po drodze do samochodu koło przystanku autobusowego spostrzegła budkę telefoniczną. Wpadła do środka i wystukała numer pagera Kamela.

Skoro zmienili całe ubranie łącznie z butami, Yael nie mogła pojąć, jakim cudem nosili jeszcze przy sobie pluskwę. Czasy wszczepianych chipów jeszcze nie nadeszły.

Odłożyła słuchawkę i czekała, modląc się, żeby telefon zadzwonił.

Thomas, który siedział już w samochodzie, dawał jej wyraźne znaki, by wracała. Ona jednak pokręciła przecząco głową. Nie mogą bez przerwy uciekać, żeby przeżyć. Trzeba znaleźć wreszcie jakiś sposób, żeby pozbyć się raz na zawsze prześladowców.

Wtem zadzwonił telefon.

– Dzięki, Kamel! – zawołała, wyszarpując słuchawkę z widełek.

– To ja! Co u was? – rozległ się serdeczny głos chorobliwie podejrzliwego bohatera.

Słowa wytrysnęły jej z ust niczym wartki potok:

– Kamel, ci faceci tu są. Właśnie tutaj, niedaleko. Szukają nas. Są tak wyposażeni, jakby podłożyli nam nadajnik, za każdym razem zajmuje im to trochę czasu, ale potrafią nas śledzić. Powiedz, że wiesz, jak to robią.

– W porządku, uspokój się... Ja... Nie, zastanawiałem się nad tym przez cały dzień, ale nie mam pojęcia, nic nie znalazłem. To...

– Kamel, jeśli wsiądziemy do samochodu, żeby ich zgubić, może się zdarzyć, że zginiemy na drodze albo że tym razem nas załatwią. Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby się od nich odczepić raz na zawsze! Powiedz, że masz jakiś pomysł, wszystko jedno jaki. Przecież musi być jakiś cholerny powód, dla którego potrafią nas namierzyć!

Słyszała jego oddech w słuchawce. Jego umysł pracował jak szalony.

– Nie. Próbowałem wszystkiego: nowych technologii, strawiłem całe popołudnie, żeby sprawdzić, czy nie dotarli do agencji wynajmu samochodów, ale to niemożliwe.

– W takim razie to musi być coś klasycznego, coś, co nam umknęło!

Thomas zaczął mrugać światłami. Powinna się pośpieszyć – muszą jak najszybciej stąd odjechać. Yael już miała się rozłączyć, traciła bowiem cenne sekundy.

– Wyrzuć wszystko z plecaka – rozkazał zniecka Kamel.

– Nie mam czasu...

– Wyrzuć!

Yael wyrzuciła plecak do góry dnem i rozsypała jego zawartość po blacie budki.

Na szczycie wzgórza rozległ się pisk opon.

– Oni tu jadą, Kamel!

– Powiedz, co masz, szybko!

Ogarnięta paniką Yael straciła dodatkową sekundę zastanawiając się, od czego zacząć.

– Nowy portfel, paczkę gumy do żucia, którą niedawno kupiłam za gotówkę, bilet na TGV... – Zawahała się przy broni, którą w końcu pominęła. – Paszport, kartę do metra, teczkę, którą właśnie zdobyłam...

Nagle w górze na końcu ulicy pojawił się samochód z włączonymi światłami. Pędził po mokrym asfalcie. Yael się odwróciła. Musi zostawić telefon. Thomas właśnie ruszył, po czym przyspieszył i stanął tuż przed nią.

– Co to za karta do metra? – wrzasnął Kamel.

– Klasyczna. Nic podejrzanego, to tylko... Cholera, jak to się nazywa? Wejściówka Navigo! Kamel, muszę...

Tym razem Kamel ryknął na całe gardło:

– To jest to! To właśnie to! Śledzą chip RFID! Wyrzuć ją! Wyrzuć kartę!

Yael zmiotła ramieniem wszystkie rzeczy z blatu budki do plecaka i wskoczyła do samochodu.

Thomas ruszył z kopyta, wbijając ją w siedzenie, zanim zdążyła zamknąć drzwi.

Trzymała w ręce wejściówkę Navigo.

– Coś się tak grzebała?! – krzyknął Thomas.

– Mam! Wiem, w jaki sposób nas namierzają! Zawieź nas do centrum miasta.

Thomas jechał najszybciej, jak się dało. Na wirażu, przy którym cały samochód przechylił się na jedną stronę, zgubił kołpak, kiedy zaś rąbnął tylnym kołem w krawężnik, dziękowali swojej szczęśliwej gwiazdce, że opona nie pękła od uderzenia.

Dotarłszy do centrum, mieli sporą przewagę nad zabójcami, którzy nie pozwolili sobie na takie ryzyko.

Yael rozejrzała się za innym pojazdem, żeby wrzucić do niego nadajnik i zmylić pościg. O tej porze nocy nikt się nie ważył po Coligny.

Dała znak Thomasowi, żeby jechał dalej, po czym wychyliła się przez okno i z całej siły cisnęła swoją wejściówkę Navigo. Patrzyła, jak leci w ciemności i znika w którymś ogrodzie.

Thomas zawrócił w miejscu, chcąc oddalić się od ulicy. Skręcił po raz kolejny w nadziei, że stanie się niewidoczny, krążąc po ciasnych zaułkach. Posuwali się powoli, przyglądając się uważnie każdej uliczce, nim zdecydowali się w nią wjechać. Zabójcy jednak zniknęli. Zgubili ich. Thomas przystanął na nieoświetlonym parkingu przed sklepem meblowym.

– Jakim cudem udało im się umieścić nadajnik w twoich rzeczach?

– To było coś innego, co nie bardzo zrozumiałam. Kamel mówił o chipie RFID. To moja wina, wyrzuciłam wszystko, co wydawało mi

się podejrzane, oprócz kilku zdjęć i karty Navigo, bo myślałam, że dzięki niej będę mogła się poruszać po Paryżu. Przestałam sobie zawracać głowę tym chipem! A przecież jest widoczny! Ale nie mam pojęcia, jak mogli nas namierzyć dzięki temu. Kamel nam to wyjaśni.

Thomas wpatrywał się w ulicę.

– Musimy wrócić do Paryża – powiedział łagodnie.

Yael opuściła szybę, żeby wpuścić trochę świeżego nocnego powietrza.

– Najpierw chcę porozmawiać z Henri Bonneviem. Chcę, żeby mi powiedział, co robią na liście moi rodzice i co ta lista znaczy. Rozumiesz?

– Yael, nie możemy tutaj zostać. Genewa to miasto strzeżone równie mocno jak Monaco, wszędzie jest pełno kamer, na każdym rogu stoją gliny. Twoje zdjęcie pokazali w dzienniku telewizyjnym. Musimy wrócić do Paryża. Tam będziemy bezpieczni. U Kamela, prowadząc niezbędne poszukiwania i przygotowując cię do spotkania z Bonneviem.

Yael wyprostowała się.

– Jaki dziś dzień? – zapytała.

– Czwartek późno w nocy albo piątek wcześniej rano, jak wolisz.

– Masz rację, wracajmy do Paryża.

Thomas przyjrzał się jej uważnie, zaskoczony tą nieoczekiwaną potulnością.

– Musimy wsiąść w pierwszy pociąg.

– Za dużo ludzi. Wracamy samochodem. Kamel zadzwoni, żeby

odstawiono go do agencji w Thonon, a my mu oddamy pieniądze.

Po chwili milczenia dodał:

– Mogę zapytać, skąd ta nagła zmiana?

– Polityka Lagerdere’a.

– Co?

– Mówisz lepiej niż niektórzy Francuzi, ale pewnie nie znasz filmu *Garbus* z Jeanem Marais. Garbus to w rzeczywistości mściciel, który przebrał się, żeby załatwić porachunki. Właśnie on powiedział: „Jeśli ty nie przyjdiesz do Lagerdere’a, to Lagerdere przyjdzie do ciebie!”.

Uderzyła dwa razy w tablicę rozdzielczą, dając Thomasowi do zrozumienia, żeby ruszył.

– Będziemy prowadzić na zmianę, żeby dojechać do samego Paryża – zdecydowała. – Musimy tam być najpóźniej rano.

– Ciągłe nie pojmuję twojej... polityki Lagerdere’a.

– Zastosuję ją na odwrót. Skoro ja nie mogę pójść do Bonneviela, zaczekam, aż on przyjdzie do mnie.

Znów dali się wykołować.

Michaël był wściekły.

„I to mają być zawodowcy!”

Minęła już godzina od momentu, gdy rozplynęła się w powietrzu. Można by pomyśleć, że ma jakiegoś anioła stróża.

– Co to za facet, ten, który z nią jest? – wrzasnął pod adresem Magali.

Siedząca na tylnym siedzeniu wypielegnowana wysoka brunetka zmierzyła go wzrokiem. Nie lubiła, kiedy tak do niej mówił.

– Właśnie sporządzamy jego portret – odparła oschle. – Nic specjalnie oryginalnego: Thomas Brokten, niezależny reporter. Współpracował z wieloma znanymi pismami. Moim zdaniem to chwilowy amant, którego wzięła z sobą.

Michaël podrapał się w szyję i splunął przez okno.

– Jej facet?

– Być może.

– Myślałem, że jest sama! – zdenerwował się. – Kurwa, jeżeli informacje, które nam dostarczają, są do dupy, nie posuniemy się naprzód. Chcę, żeby prześwietlono wszystkie jej zakupy z ostatnich czterech miesięcy: czy kupowała kondomy, czy kupiła tabletki antykoncepcyjne, niech przejrzą jej kartę medyczną, żeby sprawdzić, kiedy ostatni raz była u ginekologa. Musimy mieć pewność, że to facet, którego zgarnęła po drodze, a nie chłopak, z którym chodzi od pół roku,

tylko, że żaden kretyn z naszej ekipy jeszcze się nie zorientował.

Z jakiejś uliczki wyłonił się Dimitri, zapinając rozporek z wyraźną ulgą.

– Co to zmienia? – zapytał.

– To zmienia, że jeśli facet dopiero się pojawił w jej życiu, może przy nadarzającej się okazji dałoby się go przeciągnąć na naszą stronę. Gdyby niedawno się poznali, byłoby to łatwiejsze niż gdyby się znali od pół roku.

Dimitri wzruszył swoimi ramionami kolosa, nie pojmując.

– Jak chcesz to zrobić?

– Proponując mu szmal, napędzając piekielnego stracha... Bo ja wiem? Ale muszę znać całą prawdę. Mamy kupę pieprzonej roboty. Patrz, cośmy zrobili od niedzieli!

Nagle zadzwoniła komórka Magali. Kobieta otworzyła klapkę i po krótkiej wymianie zdań z powrotem zamknęła.

– Firma zidentyfikowała właściciela willi, w której byli – oznajmiła. – Prawdopodobnie to jakiś znajomy dyrekcji. Chcą, żebyśmy się tym zajęli. Wyznaczyli ekipę, która właśnie sporządza dossier. On ma kochankę. Sprawdzą, czy ona ma alibi na dzisiejszy wieczór, i postarają się go znaleźć. Na razie musimy czekać.

Michaël westchnął.

Nie cierpiał tych planów na ostatnią chwilę. Miał wówczas wrażenie, że nad nimi nie panuje, że jest tylko narzędziem. Kazano mu odnaleźć i zlikwidować pewną kobietę, a teraz nagle się okazało, że złożyła wizytę „przyjacielowi” dyrekcji, którego trzeba usunąć. Już nic

z tego nie rozumiał.

Późnym popołudniem Magali dostała telefon z Firmy. Sklepy wielkich sieci nadal poszukiwały osobistego identyfikatora RFID Yael Mallan. Komputery, których zadaniem jest zazwyczaj odbieranie licznych sygnałów RFID (maleńkich chipów umieszczonych w towarach i przeznaczonych do kontroli zapasów), odbierały również pewien konkretny sygnał za pośrednictwem drobnego oprogramowania internetowego, pod samym nosem sklepów. Jeśli jeden z komputerów wykryje sygnał Yael Mallan, oprogramowanie natychmiast wyśle e-maila do Firmy.

Właśnie tak się stało wczesnym wieczorem. Obiekt znajdował się w Szwajcarii.

W Cologny. Został namierzony przez oprogramowanie pewnego supermarketu.

Od razu pognali na miejsce. Michaël nastawił swój przenośny GPS na częstotliwość RFID przyporządkowaną Yael. Kiedy zbliżyli się na odległość niecałego kilometra, pojawiła się na ekranie. Sygnał regularnie znikał lub występowały zakłócenia spowodowane falami wysyłanymi przez telefony komórkowe, ale zawsze powracał po minucie lub dwóch minutach.

Po raz kolejny im uciekła.

Gorzej – pozbyła się chipa RFID, który ją zdradzał. Znaleźli go między dwoma śmietnikami.

Zgubili wszelki ślad.

Teraz zaś tamci chcą, żeby on i Dimitri ni stąd, ni zowąd zajęli

się likwidacją człowieka, u którego była. Coraz lepiej.

Michaël zdrzemnął się na fotelu kierowcy, czekając na dodatkowe informacje i zielone światło. Przed świtem obudził go warkot silnika. Obok nich zatrzymał się szary sedan. Magali wysiadła i podeszła do tylnych drzwi, w których właśnie opuszczono szybę. Otrzymała małą walizkę wraz z instrukcją:

– Wszystko w porządku, zlokalizowaliśmy Henri Bonneviela. Zapłacił za hotel kartą kredytową, adres jest na kartce razem z numerem pokoju. Wydrukowaliśmy plan hotelu. To plany przeznaczone dla strażaków. W tak krótkim czasie nie znaleźliśmy nic lepszego, ale powinno wystarczyć, żeby wejść do środka, nie będąc zauważonym przez personel. Jeśli pojedziemy od razu, nie będzie nikogo, jest jeszcze wcześniej.

Głos mówiącego mężczyzny nie brzmiał zbyt męsko.

– Co do kochanki Bonneviela, właśnie zdobyliśmy potwierdzenie, że spała u siebie, bez świadków, nikt nie jest więc w stanie dowieść, czy tam była, czy nie – ciągnął.

– Nie będzie miała alibi. Byliśmy w jej biurze i zdjeliśmy odciski palców z klawiatury komputera. Znaleźliśmy nawet kilka włosów. Zlikwidujcie Bonneviela, a potem podłóżcie broń w jej mieszkaniu; rano, kiedy będzie w pracy. Właśnie kończymy hakować linię telefoniczną hotelu i billingi, żeby można było wykazać, że dzwonił do niej w nocy. Poza tym przelewamy pieniądze z jego konta na konto kochanki. Wszystko musi świadczyć przeciwko niej. Bogaty bankier wykończony przez kochankę z powodu ponurej historii ze

szmałem.

Kiedy Magali chwyciła walizkę, sedan odjechał.

Michaël nie zdołał dostrzec twarzy mężczyzny. Tak jest lepiej. Dyskrecja w Firmie zapewniała szacunek i długowieczność.

Gdy Magali podeszła do niego, otworzył walizeczkę z czarnego aluminium.

Zawierała pojemnik z włosami, sporą liczbę lateksowych palców, na których umieszczono odciski palców kochanki, buteleczkę serum do posmarowania sztucznych palców przed pozostawieniem odcisków w pokoju hotelowym, rozpylacz do rozsypania resztek prochu na ubraniu kochanki, jednym słowem – cały sprzęt, żeby oskarżyć niewinną kobietę o morderstwo.

Znali się na swojej robocie.

Michaël przygotowywał się już w myślach do działania. Pamiętać, żeby strzelić do Bonneviela z broni automatycznej przez poduszkę. To wyjaśni, dlaczego nikt nie słyszał huk.

Nie poprzykleja odcisków wszędzie, na pewno nie. Umieści je na umywalce i lekko zamaże, jakby usiłowała je zetrzeć. Następnie na stoliku nocnym. I oczywiście na kranie, w jego ulubionym miejscu. Gliny pogratulują sobie, że je znalazły, rechocząc między sobą na temat „babskiej potrzeby częstego sikania”, potrzeby, która miała zgubić tę zbrodniarkę.

Później włosy na łóżku, jeden czy dwa w wannie i jeden na trupie bankiera.

Poza tym, co oczywiste, podczas krótkiej i bardzo dyskretnej

wizyty u niej w domu zostawi odciski na broni, którą ukryje na dnie worka na śmieci, jakby zamierzała się jej pozbyć. Następnie rozpyli resztki prochu na spodniach lub bluzce w pojemniku z brudną bielizną.

Sprawa Bonneviela zostanie rozstrzygnięta w ciągu kilku godzin.

Michaël zdecydowanie bardziej przejmował się kwestią Yael Mallan.

Zaczął ją traktować jak sprawę osobistą. Firma musi znaleźć jakiś inny sposób, żeby ją namierzyć.

I znajdzie.

Firma nigdy nikogo nie gubi.

Świat to tylko szeroka przestrzeń podzielona na kwadraty.

Wystarczy jedynie wiedzieć, jaką metodą się posłużyć.

Yael Mallan wpadnie jak wszyscy inni.

Dostanie kulkę w łeb.

Kamel przywitał ich filiżanką kawy i grzankami z dżemem.

To, że wrócili cali i zdrowi, sprawiło mu tak ogromną ulgę, że nie przestawał im się przyglądać. Zapewnił, że zajmie się wynajętym samochodem, jednocześnie kategorycznie odmawiając przyjęcia od nich pieniędzy.

Zaczynał się wczesny piątkowy, ponury poranek. Niebo nad Paryżem było szare, przez okna wpadało anemiczne światło, podkreślając zmęczenie obojga młodych ludzi, którzy pokonali trasę z Genewy do Paryża bez odpoczynku. Thomas opowiadał właśnie o ich przygodach. Na wspomnienie o szkielecie, a następnie o teczce Yael znalezionej w willi, dziewczyna poruszyła się na krześle.

– Co zamierzacie zrobić? – zaniepokoił się Kamel. – Wasze zdjęcia codziennie są na pierwszych stronach gazet. Policja was szuka.

– Chcę porozmawiać z Bonneviem – oświadczyła Yael.

– Niech mi wszystko wyjaśni.

Kamel i Thomas wymienili spojrzenia.

– Wcześniej czy później będziemy musieli pójść na policję – zauważył Thomas. – Dysponując maksymalną liczbą dowodów twojej niewinności i tego, że nie masz nic wspólnego z tymi zabójstwami, które... idą naszym śladem. Nie dręcz za mocno bankiera, bo inaczej gliny nie uwierzą w twoją historyjkę o spisku. Rozumiesz, do czego zmierzam?

Skinęła głową podnosząc do ust filiżankę. Upiwszy łyk, odparła:

– Na początek trochę odpoczniemy. Wieczorem będzie łatwiej obmyślić plan działania.

– Masz tę kartkę, o której mi mówiłaś? – zapytał Kamel.

– Szukając informacji do mojej strony, przy okazji spróbuję coś znaleźć na temat tych nazwisk.

Yael wyjęła z plecaka teczkę, otworzyła i podała mu kartkę ze schematem.

– Uważaj na nią.

Tymczasem Thomas wziął swój bagaż z silnym postanowieniem, że weźmie odprężający prysznic, i poszedł na piętro. Yael – zbyt zdenerwowana, żeby zasnąć – wolała wyciągnąć się przed telewizorem, a Kamel pożegnał się i wyruszył pograsować po stolicy w poszukiwaniu najświeższych wiadomości.

Odczekawszy pół godziny, Yael wzięła prysznic, po czym wydobyła z szuflady w łazience nożyczki. Następnie bez chwili wahania obcięła sobie włosy.

Jej bujne ciemne loki za bardzo rzucały się w oczy. Upadły na posadzkę.

Yael nie obcinała włosów od wielu lat, ale chociaż robiła to na chybił trafił, radziła sobie doskonale.

Skróciwszy kosmyki aż do wysokości karku, związała je z tyłu, żeby złagodzić rysy twarzy. Zastanawiała się, czy ich nie ufarbować, doszła jednak do wniosku, że naturalny brąz nie przyciąga uwagi aż tak jak rudy czy blond.

Brązowa szminka, wytuszowane rzęsy i podkreślone

konturówką oczy, żeby zmienić nieco wygląd. Dzięki temu trudniej będzie ją rozpoznać. Zdjęcie pokazywane w mediach przedstawiało ją bez makijażu.

Włożyła szerokie płócienne spodnie i bluzkę wiązaną na karku. Całość dopełniały adidasy. Przejrzała się w lustrze.

Ktoś, kto nie był zbyt czujny, z trudem rozpoznałby w niej dziewczynę z gazet.

Chwyciwszy plecak, wyszła, starając się nie robić hałasu.

Kierunek – metro.

Chociaż Yael nie wiedziała dokładnie, o co chodzi z tym całym chipem RFID, zdawała sobie sprawę, że znajduje się on w karcie Navigo, a nie w zwykłym jednorazowym bilecie. Wobec tego niczym nie ryzykuje, kupując taki bilet. Dwadzieścia minut później spacerowała po dzielnicy, gdzie od dwóch lat przyjeżdżała co rano do pracy.

Rozejrzała się za budką telefoniczną, uświadamiając sobie, że wraz ze wzrostem liczby telefonów komórkowych było ich coraz mniej. Zadzwoiła na informację, żeby uzyskać numer hotelu Umaid Bhawan w Jaipurze, po czym natychmiast zatelefonowała do Indii. Przy różnicy czasu u nich musiało być popołudnie.

Według dokumentów, które ukradła Bonnevielowi, jej ojciec właśnie w tej chwili powinien uprawiać trekking, mimo to wolała jednak spróbować szczęścia. Odebrał mężczyzna o niemal kobiecym głosie. Jego angielski był żalorny.

Yael, która płynnie mówiła językiem Szekspira, poprosiła o jak

najszybsze połączenie z François Mallanem. Poinformowano ją, że wyjechał 22 sierpnia rano i że wróci 3 września.

Yael nie dawała jednak za wygraną. Czy nie mógłby mimo wszystko spróbować go odnaleźć? To pilne. Recepcjonista zalał ją potokiem przeprosin, wyjaśniając, że dbają o swoich klientów, ale poza hotelem nie mogą nic zrobić. Jeszcze mniej w wypadku osób uprawiających trekking, kiedy to pan Mallan będzie przemierzał obszary bez telefonu, bez możliwości komunikacji. Trzeba czekać. Poza tym o tej porze roku jest bardzo dużo turystów.

Zrozumiała, że nie ma sensu nalegać.

Oparła się o ścianę budki, żeby pomyśleć.

Czy mogła wyjechać do Indii? To mało prawdopodobne. Zatrzymaliby ją na lotnisku, jeszcze zanim zdążyłaby wsiąść do samolotu. Nawet gdyby znalazła jakiś potajemny środek transportu, co zrobiłaby na miejscu? Gdyby zlokalizowała ojca, musiałaby na niego zaczekać, miał bowiem wielodniową przewagę.

Musi znaleźć szybsze rozwiązanie. Bardziej skuteczne.

Skoro nie może ostrzec ojca, powinna się zająć źródłem problemu. Sprawcą całego zła.

Henri Bonnevielem.

Shoggothem.

Shoggoth zaś odwiedzał ją od czterech miesięcy w każdy piątek. Ona, która widziała w nim sympatycznego, niemal wzruszającego faceta, miała do czynienia z drapieżnikiem bawiącym się swoją ofiarą.

Yael opanowała złość.

Musi wśliznąć się do firmy Deslandesów niezauważona, na wypadek gdyby budynek był obserwowany przez policję...

Zdecydowała się na podwórze, wchodząc przez szerokie drzwi znajdujące się nieco z dala od wejścia do sklepu, bliżej schodów służbowych. Kiedy Lionel pracował, zostawiał je otwarte przez większą część dnia, dzięki czemu dostawcy mogli się poruszać swobodnie, nie zwracając mu głowy.

Na schodach Yael poczuła długi dreszcz. Zakazała sobie myśleć o tym, co się wydarzyło w piwnicy, o cieniach w lustrach. Wspomnienia te na nic się już teraz nie zdadzą. Mogą tylko wywołać strach. Yael zaś przysięgła sobie, że będzie unikała strachu.

Pchnęła skrzydło drzwi wiodących na piętro, odnajdując poruszającą atmosferę dobrze znanej sali. Miała wrażenie że opuściła ją wieki temu.

Lionel siedział za kontuarem, przeglądając zamówienie. Odwrócił ku niej głowę, spodziewając się dostawcy.

Drgnął.

– Coś takiego? Co ty tu robisz?

– Czy gliny są tutaj?

– Nie – pokręcił głową. – Wczoraj przyszli zadać kilka pytań i tyle. Powiedz, w coś ty się wpakowała? Chyba nie wykończyłaś tych wszystkich ludzi?

– Tylko nie ty, proszę.

– Dobrze wiem, że nic nie zrobiłaś, i właśnie to powiedziałem policji. A oni nic tylko: „Niech pan nie wierzy w to, co się panu

wydaje. Zbyt często zdarzają się niespodzianki”.

Yael cicho zamknęła drzwi i podeszła bliżej, upewniając się, że w długim, wyłożonym boazerią korytarzu nie ma żadnego klienta.

– Posłuchaj, nie mam czasu, żeby ci wszystko wyjaśnić, ale to nieprawdopodobna historia – szepnęła. – Czy Shoggoth był tu od mojego wyjazdu?

– Nie widziałem go. On też w tym siedzi? Coś ci zrobił? Naprawdę byłeś w tym mieście, gdzie zastrzelono faceta? Znałeś tych zabitych meneli? To ty zapłaciłaś za pokój czy ci ukradziono kartę? Masz gnata?

Yael uciszyła go, prosząc, żeby włączył radio, chciała bowiem usłyszeć, co się mówi na jej temat. Kiedy spełnił polecenie, głośnik wypuł przebój Prince’a z lat osiemdziesiątych.

Wystrój pomieszczenia, z popiersiami zwierząt wyglądającymi jakby wyrastały ze ścian i ze szklanej kopuły, przypominały Yael ten burzowy dzień, kiedy zeszła do piwnicy.

– Lionel, chciałabym wiedzieć... Czy to zwierciadło, które stoi na dole, w piwnicy, jest twoje?

– Co takiego? – – Lustro przechylne.

– Ach to? Nie. Ono jest tam od... lata. Zdaje mi się, że to właścicielka je tam zaniosiła.

– Ona nigdy tam nie schodzi. Zawsze prosi ciebie.

– Może tym razem sama to zrobiła, jak duża dziewczynka.

Lustro było ciężkie, właścicielka zaś unikała wszelkiego wysiłku.

– Jak długo tam stoi? – naciskała dziewczyna.

Lionel westchnął z zastanowieniem, unosząc brwi.

– Chyba... Chyba od końca lipca lub początku sierpnia.

– Czyli kiedy byłam na urlopie.

– Tak.

Yael stuknęła nerwowo stopą. Kojarzyła fakty, wyciągała wnioski.

– Czy kiedy miałam urlop, były jakieś niezwykle wizyty?

– Co rozumiesz przez niezwykle?

– Wszystko, co odbiega od normy: gliny, pracownicy telekomunikacji, tego typu sprawy...

Lionel otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Nie, przynajmniej nic takiego sobie nie przypominam. Ach tak, był ten facet od strażaków.

– Czego chciał?

– Tylko sprawdzić, czy budynek spełnia normy przepisów przeciwpożarowych.

– Chodził po pomieszczeniach?

– Tak. Wszędzie zaglądał.

– Schodził do piwnicy?

Lionel skinął potakująco głową.

– Tak, poprosił mnie nawet o klucze.

– Dałeś mu je?

– *Keep cool!* Przecież to był strażak! Oddał mi je zaraz po południu.

Yael zaczynała rozumieć. Cienie były dobrze zorganizowane, wysłały fałszywego strażaka, który postarał się zatrzymać klucze na godzinę, akurat tyle, żeby dorobić duplikat. Podobnie musieli tak przerobić drzwi w korytarzu, aby poruszały się i trzaskały na rozkaz. W jaki sposób? Na przykład za pomocą dwóch magnesów o różnych natężeniach pola i różnych biegunach umieszczonych w drewnie drzwi futryny... Dzięki temu można pchnąć oba skrzydła, by drzwi się otworzyły, albo przeciwnie – przyciągnąć je, by się zamykały, przy czym siła warunkuje szybkość ruchu. Yael nie bardzo się na tym znała, mogła jednak bez trudu sobie wyobrazić rozmaite rozwiązania.

Zatem tamtego dnia jakiś mężczyzna znajdował się tuż obok niej. Na służbowych schodach. Posługując się dorobionymi kluczami, wszedł do środka, żeby pozapalać świece i zwabić ją na dół.

Yael zadrżała.

Przypomniała sobie czarę z rtęcią, na której pojawiały się słowa w kaplicy w katakumbach. Rtęć to metal. Zmyślna aparatura wykorzystująca właściwości magnetyczne – strefy przyciągania i odpychania – poruszająca ciecz pod wpływem precyzyjnego sterowania na odległość, aby sprawić, by w czarze pojawiły się litery.

Cienie uciekały się do trików. Zupełnie jak iluzjoniści. Tylko w jakim celu? Po co cała ta maskarada?

– Pójdę rzucić okiem na piwnicę – oznajmiła.

W radiu właśnie rozpoczęły się wiadomości. Yael nadstawiła ucha. Pierwsze informacje dotyczyły jakiegoś wypadku na drogach. Następne polityki. Yael zdążyła już zniknąć z nagłówek, stając się

zwykłym wydarzeniem czekającym na swoją ewolucję.

Tak było lepiej.

Dziennikarz mówił dalej ciepłym głosem:

– Szwajcarska policja właśnie podała, że dziś rano znaleziono w pokoju hotelowym zwłoki pewnego szwajcarskiego bankiera. Henri Bonneviel, dyskretny milioner, został zastrzelony w nocy. Śledztwo jest w toku. Sport. W mistrzostwach pierwszej ligi w weekend...

Lionel nie zdążył się jeszcze odwrócić, gdy Yael zbiegła po schodach po cztery stopnie naraz.

Lustro znajdowało się dokładnie tam, gdzie Yael pozostawiła je sześć dni wcześniej.

Goła żarówka ledwie oświetlała piwnicę.

Yael okrążyła zwierciadło.

Pomacała tylną ścianę. Wszystko było solidne, masywne.

Odbicie było wyraźne, ale przyciemnione przez mrok, jakby na morzu oleju.

Nie musiała długo się rozglądać – wystarczyło spojrzeć tuż za siebie, na stół do pracy. Chwyliła młotek, po czym cała frustracja i gniew uleciały wraz z miriadami odłamków rozsypujących się po piwnicy.

Dziesiątki fragmentów rzeczywistości przemieszały się w powietrzu, nim roztrzaskały o podłogę.

W ramie zostało kilka ostrych trójkątów.

Yael natychmiast dostrzegła cienką błonę pokrywającą gładką powierzchnię. Teraz, gdy lustro było w kawałkach, stała się wyraźnie widoczna.

Rozejrzawszy się po stole, dziewczyna złapała lupę służącą Lionelowi do pracy. Zabrała się do badania tej osobliwości.

W regularnych odstępach były rozsiane powiększone przez lupę maleńkie pryzmaty odbijające. Yael obejrzała uważnie krawędzie. Zobaczyła czarne obiekty, których wielkość stanowiła wyzwanie dla współczesnej nauki.

Kamery?

„Nie! Projektory o wymiarach łąbka od szpilki!
Nanotechnologia!”

Z każdą sekundą w głowie Yael powstawała coraz bardziej dokładna wizja systemu.

Otóż projektory wysyłały cienie, każdy w ściśle określonym kierunku, wykorzystując grę pryzmatów, które je odbijały, po czym zgodnie z programem, zapewne zdalnie sterowanym, przemieszczały cienie albo ich wiązki, by zmieniać pryzmaty, aby cienie się poruszały i rysowały to, co trzeba.

Wszystko to odbywało się w przezroczystej, bardzo cienkiej i przylegającej warstwie.

W rzeczywistości cienie nakładały się na obraz w lustrze.

Technologia ta musiała sporo kosztować. I wymagała poważnych środków.

Yael wyprostowała się nagle.

Właśnie przeoczyła ostatni punkt. Najistotniejszy.

Żeby uruchomić program, dzięki któremu Cienie mogły wkroczyć do akcji, należało wiedzieć, czy Yael znajduje się naprzeciw lustra, czy też nie.

Ona zaś widziała tylko jeden sposób, by to zrobić. Najprostszy.

Kamera filmująca pomieszczenie.

Co oznaczało, że ktoś ją obserwuje, i to w tej chwili.

Cienie wiedzą, że tutaj jest.

Yael pospieszenie przeanalizowała sytuację. Cienie nigdy nie

starały się jej skrzywdzić. Chciały ją informować. Zatem informacja, że ona tu jest, nie stanowi dla niej zagrożenia.

„Nie, nie, myślę się! Cienie... Cienie są potężne, to różne osoby mające różne cele... Henri Bonneviel do nich należy. Robiąc... On usiłował się ze mną porozumieć. Sprawić, żebym odkryła ich istnienie. Ale inni się z tym nie zgadzają. Nasłali zabójców, żeby mnie zlikwidować. Skąd wiedzieli? Śledzili Henri Bonneviela? W takim razie pewnie śledzą też jego sprzęt”.

Co może ich doprowadzić aż do niej, do tej piwnicy.

Yael popędziła do drzwi, wbiegła po schodach tak szybko, że omal nie straciła tchu, po czym porwała plecak, obserwowana przez osłupiałego Lionela.

– Już idziesz? Ale Shoggoth...

– On nie żyje! – zawołała, dysząc ciężko. – Dzięki za wszystko, Lionelu. Kiedyś się odwdzięczę... Mam nadzieję.

I zniknęła na służbowych schodach.

Wiedziała, że to bezdenna głupota.

Mimo wszystko pchnęła drzwi do swojego mieszkania.

Yael znajdowała się w salonie, który tak bardzo kochała, a który teraz budził w niej tyle strachu.

Wszyscy – policja, Cienie, zabójcy – w taki czy inny sposób pilnowali jej domu. Zmęczenie i rozpacz kazały jej jednak rzucić się w paszczę lwa. Chciała schronić się na kilka minut wśród tych murów. Dopóki się nie odnajdzie. Nie odzyska własnej tożsamości.

Jej życie zmieniło się całkowicie w jednej chwili. Tydzień wcześniej była równie wesoła jak przyjaciółki, przeżywała codzienne radości i smutki, dzisiaj zaś się ukrywa. Jej rodzinie grozi niebezpieczeństwo. A ona zaczyna podejrzewać to, co niepojęte.

Że wypadek samochodowy, w którym zginęła jej matka, wcale nie był wypadkiem.

Że jej ojciec może być w niebezpieczeństwie.

Jeśli go śledzą, żeby mieć pewność, że Yael nie przekazała mu żadnej wiadomości? Ona za dużo wie o tych ludziach. Może chcą mieć jej ojca na oku na wszelki wypadek. W takim razie nie powinna się do niego zbliżać i z nim kontaktować.

Żeby go chronić.

Henri Bonneviel nie żyje. Został zamordowany.

Przez kogo? Przez kolejne Cienie? Te, które nie chciały dzielić z nim tajemnicy? Prawdopodobnie tak.

Yael przebiegła przez znane jej terytorium, mimo wyczerpania wcale nie czując ochoty, by usiąść, by przystanąć.

Nagle zobaczyła się w lustrze przy wejściu. Jej spojrzenie powędrowało ukradkiem na antresolę, w stronę komputera, po czym wróciło do lustra. Do siebie samej, do krótkich włosów związanych nad karkiem i do makijażu-przebrania. Stwierdziła, że się zmieniła. Że ma bardziej wyraziste rysy. Że jest doroślejsza.

Czy wkrótce zobaczy pierwsze siwe włosy?

Zaczęła wpatrywać się w narożniki dużego lustra, czekać, aż Cienie się pojawią.

Nic się nie wydarzyło.

Wówczas Yael chwyciła świecznik i rąbnęła z całej siły. Szkło roztrzaskało się z hałasem.

Cofnęła się o krok w samym środku zgiełku.

Pozostałe resztki pokrywała ta sama cienka błona.

Yael spuściła wzrok. Na podłodze widniały porozrzucane szczątki jej ciała i umysłu. Cała jej istota się rozpadła.

Pobiegła ku schodom.

Komputer rozbił się o ścianę, ekran został rozbity, stacja dysków była rozbebeszona. Podzespoły leżały na podłodze niczym mechaniczne trzewia robota. Yael uklękła i pozbierała dymiące wnętrzności.

Nie знаła się wprowadzić specjalnie na informatyce, ale małeńka czarna skrzynka umieszczona przy dysku z pewnością nie była częścią fabryczną. Musi działać jak coś w rodzaju połączenia z Internetem albo pilota Wi-Fi... Tak czy inaczej, było to coś, co umożliwiło Cieniom przejście kontroli nad jej komputerem.

Czy powinna wejść na górę i zbić także lustro w łazience?

Odwróciła się w stronę balustrady. Widziała stąd salon i podłogę z ciemnego szkła.

Jak sprawili, że pojawiła się widmowa twarz?

Yael pognęła do kuchni, znalazła latarkę i zeszła na dół.

Studnia rozbrzmiewała łoskotem kolektorów.

Yael przestała już być więźniem przerażenia i poczucia przymusu, które ogarnęły ją ostatnim razem, kiedy tu była. Doskonale

też wiedziała, czego szuka.

Stała w połowie wysokości tego słupa wilgotnego powietrza, z czubkami palców w próżni, nad drabiną.

Strumień światła lizał szklaną tafłę od spodu, pieszcząc szare i brudne ściany.

Długa minuta sondowania murów.

Yael już miała dać spokój, gdy jej uwagę przyciągnął metaliczny błysk. W skale był umieszczony czarny karabińczyk. Poświeciwszy wokół, znalazła następny, później jeszcze jeden. Trudno było je dostrzec. Bez odrobiny szczęścia mogła szukać na próżno godzinami.

Wystarczyło, żeby odpowiednio ucharakteryzowany i zaprawiony we wspinaczkę mężczyzna przywarł do ściany tuż pod szkłem i ją zaskoczył. Zejście nie zajęło mu więcej niż kilka sekund, podobnie jak usunięcie i ukrycie całego sprzętu... Na przykład w zbiorniku, a następnie ucieczka korytarzem wiodącym do katakumb po uprzednim przygotowaniu wszystkiego: czerwonej farby na drzwiach, świec, które zapalał po drodze. Gdy tylko wykonał zadanie, rozplynął się w labiryncie.

Nie, było ich dwóch. Ucharakteryzowany mężczyzna, który straszył, i Languin, który zapalał świece. Chyba że wszystko zrobił sam, spełniając polecenia Lubrossa bez szemrania i malując się w razie potrzeby, a następnie, dając dowód cierpliwości, wyczekując na reakcję Yael.

Przy odpowiednich przygotowaniach wszystko to było

dziecinną igraszką.

Yael spuściła głowę. Teraz wszystko rozumiała. Działali podczas jej urlopu, wyposażając dom w potrzebny sprzęt. Posunęli się aż do tego, żeby zastąpić jej lustra kopiami czy po prostu zamontowali swój zmyślny system?

Co z hałasami w ścianach?

Odpowiedź była oczywista, logiczna. Układ miniaturowych głośników.

Yael wróciła do salonu.

Czuła się niemal winna, że w to wszystko uwierzyła.

„Okoliczności” – powtarzała sobie. I wiedziała, że to prawda. Każdy by uwierzył, gdyby przeżył to, co ona. Kto mógłby stwierdzić zaraz po pierwszej wizycie: „To manipulacja milionerów przy użyciu nanotechnologii”?

Rzuciwszy latarkę na kanapę, Yael położyła dłonie na ścianie i zaczęła macać. Potężne skrzypienie, które słyszała, dochodziło zewsząd.

„Głównie z góry” – przypomniała sobie.

Weszła na antresolę i przystąpiła do dalszych skrupulatnych oględzin.

„Gdzie głośniki byłyby najmniej widoczne?”

Z dala od źródeł światła, które zwróciłyby uwagę na wszelkie wybrzuszenia czy świeże ślady po farbie. I w kątach.

Yael wypatrzyła sporo miejsc, które odpowiadały tym wymaganiom.

Miała rację. Było znacznie łatwiej, jeżeli człowiek wiedział, czego szuka.

Spostrzegła głośnik w plamie farby, która miała trochę inny odcień niż reszta ściany. Poszła po nożyczki do paznokci i posłużyła się ich ostrymi czubkami, by rozdrapać tynk i wydłubać czarny krążek wielkości pięciocentowej monety. Nieco dalej znalazła kolejny.

Dom był nimi naszpikowany. Wszystkie miały te same wymiary, wszystkie były zsynchronizowane i zasilane na odległość.

Po prostu Cienie wynajęły sąsiednie mieszkanie.

Jeśli nadal tam są, zapewne śledzą ją właśnie w tej chwili. Musi stąd uciec.

Zamiast tego Yael przemyślała jednak cały schemat organizacyjny.

Henri Bonneviel na samej górze. Wiele o niej wiedział i – jak się wydaje – to właśnie on usiłował ją o wszystkim powiadomić. Aby wykonać to zamierzenie, posłużył się współnikiem, prawie pracownikiem: Sergem Lubrosso. To on werbował ludzi i planował operacje w terenie za pośrednictwem osobników pokroju Oliviera Languina. Musiał mieć ich wielu, choćby do noszenia sfabrykowanych luster.

Czy teraz może iść na policję?

Wszystko im pokazać, wszystko wyjaśnić. Że nie ponosi winy za morderstwa bezdomnych i Serge'a Lubrosso. Ani Bonneviela.

Wszystko, co uczyniła, zrobiła dla ratowania własnej skóry.

Nawet wówczas, gdy pchnęła tamtego mężczyznę w

katakumbach.

Poczuła ściskanie w żołądku.

Będzie zeznawać przeciwko ludziom, którzy usiłowali ją zlikwidować. Będzie mówiła o Cieniach.

„Co z ojcem? Co się z nim stanie? Skoro Bonneviel go śledził, pozostałe Cienie z pewnością mogą zrobić to samo”. Yael pomyślała o matce. Zacisnęła pięść.

„To był wypadek... – powtarzała sobie bez przerwy. Nie była już jednak tego taka pewna. Musi się dowiedzieć. Zidentyfikować resztę Cieni. Znaleźć jakiś środek nacisku, żeby przestały ją zastraszać. One są wystarczająco potężne, żeby ją zlikwidować, nawet wtedy, gdy policja usłyszy całą prawdę. A zresztą, czy gliny jej uwierzą? Miała już sporo namacalnych dowodów, mimo to nie dostatecznie udokumentowanego, żeby oskarżyć konkretną osobę.

Nawet instalacja techniczna nie wystarczy, żeby kogoś oskarżyć. Zanim francuski, a nawet międzynarodowy system prawny zabierze się do działania, Cienie zdążą ją zlikwidować i zadać cios jej ojcu.

Yael sama już nie wiedziała, czego się trzymać. Zawrót głowy zmusił ją, by usiadła.

Wrócić. Odnaleźć Thomasa. Oto, co powinna zrobić przede wszystkim.

Tak. Opowiedzieć o tym Thomasowi i Kamelowi. Oni jej pomogą.

Ale najpierw musi się przespać. Odpocząć.

Wyszła, zatrzasnąjąc za sobą drzwi, ale nie zamykając ich na klucz – miała to w nosie.

Przemierzyła dziedziniec.

Dokładnie w tej samej chwili, gdy przekroczyła próg głównego wejścia do budynku, na ulicy zawył silnik samochodu.

Yael przełknęła ślinę, nie będąc w stanie uciec. Nie miała już na to ani siły, ani odwagi. Zamknęła oczy, wyczerpana. Wtedy zrozumiała, że igrała z diabłem o jeden raz za dużo.

Blog Kamela Masira. Fragment dziewiąty

„Historia obfituje w sytuacje, w których człowiek ignorował ostrzeżenia i opierał się zmianom aż do chwili, gdy jakiś czynnik zewnętrzny, uznawany do tej pory za «nieprawdopodobny» zmusił do działania ostrożne biurokracje. Nasuwa się pytanie, czy Stany Zjednoczone wykażą się dostateczną mądrością, by działać odpowiedzialnie i zredukować jak najszybciej swoją kosmiczną słabość. Albo czy, jak to już działo się w przeszłości, jedynym czynnikiem zdolnym pobudzić energię narodu i zmusić rząd Stanów Zjednoczonych do działania okaże się niszczycielski atak na kraj i jego mieszkańców, kosmiczny «Pearl Harbor» ”.

ZADZIWIAJĄCO WIZJONERSKIE PRZEMÓWIENIE
WYGŁOSZONE PRZEZ DONALDA RUMSFELDA
11 STYCZNIA 2001 ROKU,
CZYLI DZIEWIĘĆ MIESIĘCY PRZED ZAMACHAMI
Z 11 WRZEŚNIA.

W samochodzie Yael spoglądała na przemykający za szybą krajobraz, tak naprawdę go nie widząc. Przytłumiony warkot silnika kołysał ją do snu, toteż zamknęła oczy.

Wyszła na ulicę, żeby dać się wcisnąć na tylne siedzenie wozu.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Thomas piorunował ją wzrokiem, odwrócony ku niej na siedzeniu pasażera z przodu.

– Co cię napadło? – warknął. – To cud, że nie było tam glin ani zabójców!

– Daj jej spokój, ona musi odpocząć – mitygował go Kamel, biorąc zakręt.

Thomas pokręcił głową z wściekłością, po czym wyprostował się w fotelu.

Kiedy przekroczyli próg domu Kamela, Yael natychmiast poszła na górę, żeby się położyć. Spała długo, nie śniąc o niczym, ale i nie mając koszmarów. Był to dobroczynny sen, który z każdą godziną coraz bardziej przywracał równowagę jej zachwianemu umysłowi, napełniając ją energią, odwagą i zimną krwią.

Gdy otworzyła oczy, było ciemno. Leżała, wpatrując się w sufit i w okno wychodzące na tyły jakiegoś budynku. Następnie wzięła prysznic i przebrała się, kiedy zaś zeszła na dół, zastała obu mężczyzn siedzących przy stole. Znajdowało się na nim również trzecie, nietknięte, nakrycie.

– Nie mieliśmy śmiałości cię budzić – oznajmił z uśmiechem Kamel. – Chodź, kolacja czeka.

Pożarła łąpczywie każdy kęs – od rana nie miała nic w ustach. Pozwolili jej jeść w spokoju. To ona przemówiła pierwsza, skończywszy swój twarożek.

– Która godzina?

– Prawie dziesiąta – odrzekł łagodnie Thomas.

Przełknąwszy ostatni kęs, szepnęła:

– Przepraszam za dzisiejszy dzień. Spieprzyłam sprawę.

– Napędziłaś nam stracha.

Spuściła wzrok na talerz.

– Kiedy Kamel wrócił na obiad, przeraził się, że zostawiłaś otwarte drzwi. Wszedł na górę, sprawdzić, czy jesteśmy w domu, ale zastał tylko mnie. Obudził mnie, żeby się dowiedzieć, gdzie jesteś, a wtedy zaczęliśmy sobie wyobrażać najgorsze. Czekaliśmy na ciebie przez godzinę, po czym popędziliśmy do twojego mieszkania. Bałem się, że tam wróciłaś. Tam albo do pracy.

– Wpadłam tam wcześniej.

Thomas zrobił zakłopotaną minę.

– Yael, muszę ci powiedzieć...

– Bonneviel nie żyje, wiem.

– Usłyszeliśmy o tym w dzisiejszych wiadomościach – dodał Kamel. – Aresztowali podejrzaną. Dziennikarze twierdzą, że to kochanka Bonneviela.

– Z pewnością jest tak samo winna jak ja śmierci Lubrossa...

– Gliny nie powiedziały nic ponad to, że dysponują dowodami, które pozwalają przypuszczać, że śledztwo zostanie szybko zakończone.

Yael odsunęła talerz.

– Oczywiście! – wykrzyknęła. – Ci, którzy zabili bankiera, są wystarczająco dobrze zorganizowani i przyzwyczajeni do takich podłych numerów, żeby zwalić winę na każdego!

Kamel wstał, żeby nalać wszystkim miętowej herbaty.

– Yael – powiedział Thomas. – Nie rób więcej takich hec. Na szczęście nic ci się nie stało.

Nie miała najmniejszej ochoty wdawać się w szczegóły, mówić o zmęczeniu i nerwowości, które ją ogarniały. Załamała się – to była cała prawda.

Z pomocą przyszedł jej Kamel.

– Mam nadzieję, że mi wybaczysz – powiedział. – Przejrzeliśmy twoje rzeczy, żeby się upewnić, że nie ma w nich jeszcze jednego chipa RFID...

Yael pochyliła się ku niemu.

– Mógłbyś mi wyjaśnić tę historię z chipami RFID?

Podniósł rękę na znak, że to będzie długi wykład.

– To chipy z krzemu wyposażone w antenę. Są malutkie, nie mają nawet milimetra! Prawdziwy koncentrat technologii. Tylko że teraz produkuje się je w takich ilościach, że prawie nic nie kosztują. RFID to skrót oznaczający system identyfikacyjny o radiowej częstotliwości, którego zakres jest bardzo szeroki: niektóre modele mają

nawet ultra wielką częstotliwość. Mają pamięć około jednego kilobita.

– Ale co to jest?

Kamel obdarzył ją tajemniczym uśmiechem.

– Raj dla agencji informacyjnych stworzony przez potężną sieć dystrybucji.

– Nic z tego nie rozumiem – skrzywiła się Yael. – Myślałam, że ma związek z moją kartą Navigo.

– Zaraz do tego dojdę. Chip RFID został rozpropagowany na szeroką skalę przez producentów artykułów codziennego użytku. Na początku miał służyć do śledzenia drogi, jaką pokonuje dany towar od zejścia z taśmy produkcyjnej aż do chwili, gdy dotrze do nabywcy, przez rozmaite magazyny. Dzięki temu można zaoszczędzić czas, nie trzeba przeprowadzać ręcznie żadnej inwentaryzacji, to dokładny i pewny system. Wystarczy mieć aparat, który odbiera określone częstotliwości, a po kilku sekundach już wiesz, ile towaru masz na składzie i gdzie dokładnie się on znajduje. Są wszędzie: na płytach CD, DVD, opakowaniach szczoteczek do zębów, zabawkach, a nawet w ciuchach!

– Chcesz powiedzieć, że... mamy je na sobie?

– Tak! Tak! Problemem konsumentów, to znaczy jednym z problemów, jest to, że chip zostaje aktywowany podczas produkcji i nie można go wyłączyć, działa więc dopóty, dopóki mu się bateria nie wyczerpie, co może potrwać bardzo, bardzo długo. Co oznacza, że gdy wychodzimy ze sklepu, chip nadal wysyła sygnał. Najzabawniejsze jest to, że wielkie sklepy modyfikują pierwotne zastosowanie chipów RFID.

Mając dosyć tracenia kupy forsy z powodu kradzieży, zaopatrzyły się więc w systemy pozwalające śledzić na bieżąco, na ekranach komputerów, ruchy poszczególnych artykułów aż do opuszczenia sklepu, a to wszystko za pośrednictwem chipa. W ten sposób można mieć pewność, że towar został opłacony po drodze. Rzecz jasna, jeśli ma się odpowiedni sprzęt, nie trzeba być wielkim sklepem, żeby śledzić daną osobę, wystarczy wiedzieć, na jakiej częstotliwości nadaje chip RFID, który nasz obiekt nosi na sobie, na przykład w adidasach...

– Przypuszczam, że nie jest łatwo zdobyć taką częstotliwość, co?

– Cóż... Towar przechodzi przez tak wiele miejsc, że dla kogoś dobrze zorganizowanego to nie jest trudne. Problem stanowią przede wszystkim dzikie badania marketingowe.

– Dzikie badania marketingowe? – powtórzył Thomas.

Kamel czym prędzej przystąpił do wyjaśnień:

– Tak, każdy klient przechodzi przez kasę, jego towary zostają odnotowane dzięki kodom kreskowym albo chipowi RFID, który z czasem zastąpi kody kreskowe, jeśli zaś kupujący ma kartę stałego klienta opatrzoną jego własnym numerem albo po prostu płaci kartą bankową lub czekiem, jego dane zostają zapamiętane wraz z tym, co kupił. Jeśli na dodatek jest to klient, który już robił podobne zakupy i figuruje w banku danych, porównuje się jego zakupy, aby sprawdzić, co lubi, co kupił tylko raz i więcej po to nie sięgnął. Te kartoteki są przechowywane w komputerach i służą dużym markom do badań marketingowych. To całkowicie nielegalne, wszyscy krzyczą więc na

całe gardło, że sprawa nie istnieje, mimo że stała się powszechnie stosowaną praktyką. Jeśli tego typu kartoteka wpadnie w ręce ludzi o złych intencjach, będą mogli wiedzieć o tobie wszystko!

Wpatrywał się w nich przez chwilę, by nadać moc wypowiedzianym przed chwilą słowom.

– Dzisiaj chipy RFID można znaleźć w wielu różnych miejscach, a będzie coraz gorzej. Na przykład w karcie, którą płacisz za autostradę albo parking, w identyfikatorze służbowym, wreszcie w karcie Navigo. Właśnie ten chip umożliwia gromadzenie twoich osobistych danych, a wysyłając własny sygnał, informuje odbiornik w bramce metra, że karta jest ważna. Nie trzeba już wyjmować biletu i wkładać do kasownika, wystarczy przytknąć torebkę do maszyny bez wyciągania karty, sygnał przedostanie się bez trudu!

– W jaki sposób można odnaleźć akurat mnie za pośrednictwem mojej karty? – zdziwiła się Yael. – Przecież mają je tysiące ludzi!

– Bo kiedy wykupujesz kartę po raz pierwszy lub ją doładowujesz, wypisujesz określony formularz zawierający twoje dane albo płacisz, najczęściej kartą kredytową lub czekiem, rzadziej gotówką. Wtedy wystarczy, że mordercy włamią się do systemu Zarządu Transportu Miejskiego, aby dopasować twoje dane do numeru chipu, który znajduje się w twojej karcie, a co za tym idzie, do jego częstotliwości.

– Częstotliwości, którą można potem wszędzie złapać? – upewnił się Thomas.

– Właśnie. Gorzej: jeśli włamiesz się do komputerów w

supermarketach, które przeprowadzają dzikie badania marketingowe, możesz sprawdzić, czy nie wychwyciły ostatnio szukanego przez ciebie chipu.

Yael nie wierzyła własnym uszom.

– Skąd wiedzieli, że mam kartę Navigo?

– Dziecinnie prosta sztuczka! Mieli dostęp do wyciągów z twoich kont bankowych, żeby sprawdzić między innymi, czy nie było przelewu na rachunek Zarząd Transportu Miejskiego.

– Myślisz, że dali radę włamać się do mojego banku i do Zarządu Transportu Miejskiego?

– Prasa regularnie donosi, że młodocianym geniuszom informatycznym udało się zdobyć dostęp do ściśle tajnych baz danych armii, FBI, a nawet CIA! Wobec tego dla ludzi dobrze zorganizowanych, mających odpowiednie środki, Zarząd Transportu Miejskiego czy twoje konto w banku to żaden problem, mimo całego szacunku, jaki żywię dla naszego dobrego, starego paryskiego metra.

– Wydawało mi się, że dostęp do informacji bankowych mają tylko organy rządowe – zauważył dziennikarz.

– Teoretycznie tak. W praktyce jeżeli masz dużo pieniędzy i dysponujesz sprzętem przewyższającym wszystkie normy, a do tego dobrze się rozejrzysz, żeby zapewnić sobie usługi wyjątkowego hakera, możesz otworzyć wszystko za pomocą Internetu.

– To tak zabójcy nas znaleźli w hotelu przy Porte de Versailles – doszła do wniosku Yael. – Tamtego dnia widziałam w holu jednego z tych facetów, który szedł według wskazówek skrzynki podobnej do

GPS-u.

Yael dopiła herbatę, wymieniając spojrzenie z Thomasem.

– Nie mogę w to uwierzyć... – przyznała. – W całą tę historię z chipami, które są wszędzie...

– Na szczęście za ubrania zapłaciliśmy gotówką! – wtrącił Thomas.

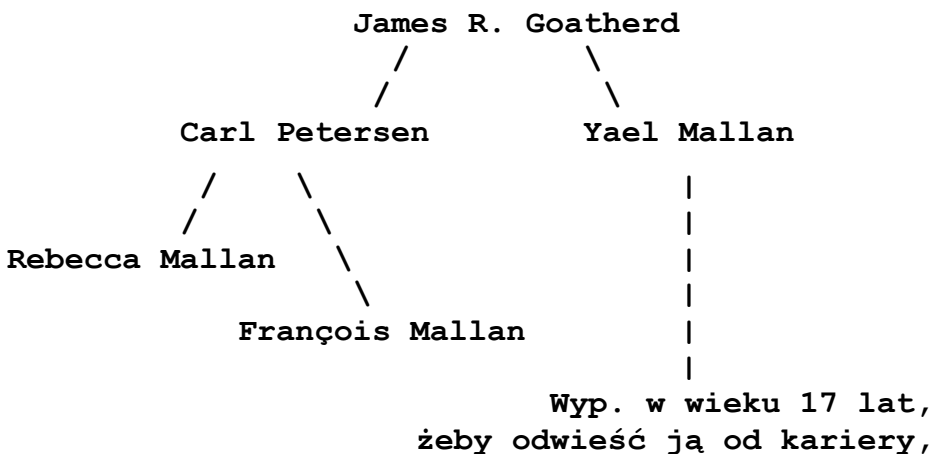
– Jutro wam pokażę – zapewnił Kamel. – Ale tymczasem... Chciałem ci powiedzieć, że zrobiłem postępy w naszej sprawie. Właśnie rozmawialiśmy o tym z Tomem, kiedy weszłaś.

Yael przysunęła krzesło bliżej stołu.

– Jak to?

– Przeprowadziłem własne śledztwo na temat nazwisk, które znalazłaś u Bonneviela.

Kamel wyjął z kieszeni kartkę ze schematem i położył przed nimi.



**która nie zmierzała w kierunku
zgodnym z planami Goatherda.**

Yael musi się dowiedzieć. Musi poznać prawdę. Petersen jej powie. Niech znajdzie szkic narysowany na zaparowanym lustrze w łazience.

Kamel położył palec na nazwisku Petersena.

– To starszy pan. Były generał armii amerykańskiej. I, moja droga Yael, skoro Cienie wywarły nacisk na Kennedy’ego, to znaczy, że to nie przypadek! Bo Petersen był generałem w czasach Kennedy’ego, na dodatek należał do tych, którzy zajmowali najlepsze pozycje, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Yael przytaknęła. Doskonale pamiętała wykład Kamela na temat zabójców prezydenta.

– Od pewnego czasu jest na emeryturze, niedługo stuknie mu dziewięćdziesiątka! Mieszka na przedmieściach Filadelfii. O, tutaj masz jego namiary.

Podsunał Yael kartkę ze wszystkimi danymi.

– Dzięki!

– Powinnaś podziękować ambasadzie mojego ojca. Nie dałem rady zlokalizować Petersena przez Internet. Tak czy inaczej, stary wojskowy jest blisko władzy, zna wielu, wielu ludzi, którzy przewijają się przez Biały Dom. Nie znalazłem dokładnych powiązań między nim a Goatherdem, chociaż ten ostatni jest wymieniony nad nim na

schemacie. Ale za to się dowiedziałem, że generał Carl Petersen i nasz bankier, Henri Bonneviel, byli starymi przyjaciółmi. Znali się od...

– Czasów uniwersyteckich – wpadła mu w słowo, przypuszczając, że łączyło ich Skull and Bones.

– Nie, wcale nie byli w tym samym wieku. Bonneviel był dużo młodszy. Znali się od chwili, kiedy Bonneviel zaproponował mu posadę konsultanta w jednym ze swoich koncernów. Co miesiąc Petersen otrzymywał spory czek od towarzystwa zarządzania kryzysem należącego do szwajcarskiego miliardera w zamian za rady strategiczne.

– Krótko mówiąc, Bonneviel zapewnił mu złotą emeryturę – stwierdził Thomas.

– Zgadza się. Na pewno w zamian za prawdziwe usługi, a posada konsultanta była tylko fikcją, żeby usprawiedliwić przepływ pieniędzy. Niestety, nie wiem, jakie to były usługi.

Yael pochyliła się nad stołem.

– W porządku, w takim razie mamy coś, co łączy tych dwóch: Petersen był winien Bonnevielowi przysługę i można przypuszczać, że tamten poprosił go, aby ze mną porozmawiał i stąd ta uwaga na dole strony, pod schematem. Masz coś na temat tego... Jamesa R. Goatherda?

Kamel wyrecytował bez notatek to, czego się dowiedział:

– James Rhodes Goatherd, urodzony w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku w porządnej rodzinie w Nowej Anglii. Ukończył uniwersytet Yale...

„Tym razem związek ze Skull and Bones jest możliwy...”.

– ... przejmując rodzinne imperium: zbrojenia i ropa naftowa, i zarządza nim po mistrzowsku. Mąż Marthy Goatherd, z którą ma córkę France. Posiadają liczne rezydencje, z czego jedną w naszym uroczym kraju, najważniejsza jednak znajduje się na północ od Nowego Jorku. Jeśli pasjonują was liczby, wiedźcie, że facet jest na jedenastym miejscu wśród najbogatszych ludzi świata.

– Na jedenastym miejscu na świecie? – zdumiał się Thomas. – To ciekawe, nigdy o nim nie słyszałem.

– Gdybyś zobaczył nazwiska pierwszych trzydziestu, zdziwiłbyś się bardziej. Oni są, powiedzmy... dyskretni. Goatherd też stara się nie rzucać w oczy.

– On należy do Cieni – stwierdziła Yael. – Jestem tego pewna. Ukończył Yale, kolebkę Skull and Bones, które zasilają Cienie w niezłym stopniu. Jest miliarderem, czyli człowiekiem wpływowym i dyskretnym.

– Figuruje też na liście znalezionej u Bonneviela – dodał Thomas.

Kamel dołąił im herbaty. Wokół nich zaczął się unosić zapach mięty.

– Muszę się dowiedzieć, co łączy tych ludzi z moją rodziną – westchnęła Yael. – I zrozumieć, co oznacza ten schemat.

– Zadzwoń do Petersena! – powiedział Kamel. – Jest napisane, że z tobą porozmawia. Znalazłem jego numer telefonu.

Yael pokiwała głową. Powstrzymała się przed rzuceniem się na aparat. Coś nie dawało jej spokoju. Od początku tej historii ciągle

mówiło się o technologii, która pozwala się włamywać, śledzić, oszukiwać. Nie wyobrażała sobie, żeby Petersen, były generał z czasów Kennedy ego, wyjawiał jej cokolwiek przez telefon.

– Sama do niego pójde – oświadczyła bez entuzjazmu.

– On i Goatherd to nasz ostatni trop – przypomniał Thomas. – Nie mamy nic więcej.

Kamel odważył się podsunąć rozwiązanie, które uważał za ostateczne, najbardziej radykalne:

– Chyba że... oddacie się w ręce glin. Bez względu na to, co myślę, nigdy nie wiadomo. Może oficjele zdołają wam pomóc.

– Podjęłam już decyzję – przerwała Yael. – Nie będę narażać życia własnego ani ojca, dopóki nie dowiem się dokładnie, kto jest kim i co robi w całej tej historii. Nie musicie iść ze mną.

Thomas i Kamel spoglądali na nią bez słowa... Jak porażeni.

– Znasz moje zdanie na ten temat – uciął Thomas.

– Ja chciałem tylko powiedzieć, że to by była ostateczność... – usprawiedliwił się Kamel.

Yael wzięła kartkę z zamiarami byłego generała.

– Spróbuję zadzwonić do Carla Petersena – rzekła.

Odwróciła się i ruszyła do drzwi. Obaj mężczyźni zamierzali jej towarzyszyć, ale ich powstrzymała. Musiała odetchnąć świeżym powietrzem i zastanowić się nad tym wszystkim w drodze do budki telefonicznej. Wiedziała, że to się nie spodobało Thomasowi, który martwił się o jej bezpieczeństwo.

Nie było jej kwadrans.

Kiedy wróciła, jej zacięta mina wystarczyła, żeby pojęli, że nie nie wskórała.

– Nie zastałaś go? – zapytał Kamel.

– Zostałam, nawet z nim rozmawiałam.

– I co? – chciał wiedzieć Thomas.

– Przedstawiłam się, ale on nic nie powiedział. Kiedy nalegałam, odłożył słuchawkę.

Thomas podszedł do niej. Położył dłoń na jej ramieniu.

– Zdaje mi się, że wszyscy myślimy o tym od pewnego czasu.

Wiesz, co nam pozostało...

Zaczęła się nad tym zastanawiać, gdy tylko przeczytała te dwa brzmiące z amerykańska nazwiska.

„Wyjechać”.

Znaleźć sposób, żeby przekroczyć Atlantyk bez przechodzenia przez kontrolę paszportową, i spotkać się z Carlem Petersenem.

Bo tak było napisane.

On musi z nią porozmawiać.

CZEŚĆ TRZECIA

IMPERIUM CHAOSU

Thomas wstał wcześniej, musiał bowiem wyjść na cały dzień.

W nocy długo dyskutowali na temat konieczności wyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Była to ryzykowna i długa podróż, bez gwarancji powodzenia. Od samego początku istniało jednak zbyt wiele powiązań z krajem Wuja Sama. Poza tym, jak zauważył Kamel, Stany Zjednoczone są lokomotywą świata w dziedzinie gospodarki, polityki i strategii. Skoro ludzie pragną mieć wpływ na świat, a nawet nim rządzić, to właśnie tam należy szukać Carla Petersena i Jamesa Rhodesa Goatherda.

Następnie wyjaśnił im swój plan przekroczenia oceanu, a zwłaszcza granic, bez konieczności przechodzenia przez kontrolę paszportową. Musi zebrać informacje i w razie potrzeby zorganizować wyjazd.

Gdy Kamel wyszedł z łazienki, jego zazwyczaj rozczochrana czupryna była przylizana przez wodę. Ładnie pachniał.

– Dzisiaj zabieram cię na ćwiczenia praktyczne! – zawołał.

Skinąwszy głową, Yael poszła umyć filiżankę po kawie nad zlewem.

– Pasjonujesz się... tym wszystkim od dawna?

– Masz na myśli szpiegostwo, teorię spisku i cały ten bałagan? Od studiów na naukach politycznych! – Zapatrzył się w dal. – To choroba, Yael. Kiedy się nią zarazisz, będzie cię zżerać, bo kłamstwo jest rozsiane wszędzie. Nie potrafię już oglądać dziennika

telewizyjnego, nie oburzając się na uogólnienia, które wszystko zmieniają, na manipulacje, na zakłamanie. Dzisiejsze dziennikarstwo jest umiędzynarodowione, wszyscy robią takie same wiadomości, wykorzystując te same depesze. Czujemy presję natychmiastowych wyników, ciągłą potrzebę bycia pierwszym, wobec czego nie zagłębia się w temat, nie mamy czasu się wgryzać. Nie mamy ani czasu, ani możliwości, żeby przeprowadzić własne śledztwo. Dzisiejszy dziennikarz musi mieć krótką pamięć. I skupiać całą uwagę na informacji dnia, nic więcej. Dam ci przykład wypaczonej informacji: dziennikarz piszący o wojnie w Zatoce będzie zapewniał, że ta wojna jest bardziej czysta niż wszystkie inne wojny w historii, ponieważ ranni umierają rzadziej niż w innych konfliktach. Powie ci również, że podczas wojny w Wietnamie umierał jeden ranny na czterech, z kolei obecnie statystyki mówią o jednym na ośmiu lub dziesięciu. Tylko, że ten dziennikarz powinien wiedzieć, że producenci broni od dwudziestu lat robią wszystko, aby produkować mniej zabójczą broń, która powoduje więcej ran. Wiesz dlaczego? Bo zabity nic wroga nie kosztuje, natomiast ranny oznacza większe obciążenia finansowe, w ludziach i w energii, a poza tym na dłuższą metę niszczy jego morale. Kiedy człowiek to zrozumie, moim zdaniem powinien przestać chwalić wojnę, w której są ranni, i zacząć postrzegać te liczby w innym świetle. Wtedy informacja nie brzmi już tak samo.

– Myślę, że to nie jest wina dziennikarzy, którzy nie mają czasu na zagłębianie się w temat – wtrąciła Yael.

– Oczywiście! Ja ich nie potępiam, oni wykonują pracę, którą

każe im się wykonywać, i to wszystko. Odpowiedzialność ponoszą dyrekcje stacji, to one domagają się wyników, codziennie nowych obrazów, dostarczania wiadomości ze świata przy jak najmniejszej liczbie reporterów. Mówiąc „dyfekcja stacji”, powinienem podać nazwiska tych kilku właścicieli, miliarderów, którzy trzymają w garści medialne imperia.

– Ciągłe do nich wracamy, co?

Kamel spuścił głowę.

– Trudno zaprzeczyć. Spójrz, pokażę ci coś, co mnie bawi.

Otworzył szufladę i zaczął szperać w stosie gazet. Wydostał stamtąd dwa numery „Science et Vie”, które położył obok siebie. Pierwszy był zniszczony, dawno wydany, drugi znacznie świeższy.

– Spójrz. Ta sama gazeta, a między oboma egzemplarzami tylko kilka lat różnicy. Pierwszy ma tytuł: *Dlaczego Oswald nie mógł zabić Kennedy’ego*, z kolei drugi zamieszcza wstępniak z wyjaśnieniem, dlaczego Oswald jest jedynym możliwym zabójcą Kennedy’ego. Sam fakt, że gazeta sama sobie zaprzecza, szczególnie mnie nie zaskakuje, przeszkadza mi natomiast to, że nie wspomina w drugiej wersji o pierwszej. Postanowiono zarzucić teorię spisku, wobec tego gwizdże się na wszystko, co się do tej pory mówiło, w tym także u nas, po czym wysuwa się wątpliwe twierdzenia, że tylko Oswald strzelał tamtego dnia. Teraz nie szuka się już prawdy.

Kiedy byli gotowi do wyjścia, wręczył jej granatową czapkę z napisem NEW YORK YANKEE.

– Przykro mi, że musisz sobie zepsuć wygląd, bardzo mi się

podoba twoja nowa fryzura, ale lepiej, żebyś to włożyła ze względu na kamery – Jakie?

– Wszystkie... Na ulicy, na przykład przed bankami, na parkingach, w galeriach handlowych.

Yael się nie opierała, tylko włożyła czapkę, chowając pod nią włosy, i opuściła daszek na twarz.

– Ślicznie mi w niej, prawda?

Poszli do samochodu Kamela, który usiadł za kierownicą i ruszył w kierunku północnego przedmieścia.

– Dziewięćdziesiąt pięć procent ludzi nie ma pojęcia, jak funkcjonuje świat – zaczął. – Myślą, że wiedzą, akceptując fałszywy obraz, który się im przedstawia. Są manipulowani. Weźmy na przykład Stany Zjednoczone: za każdym razem, kiedy następował upadek purytanizmu i moralności, rodził się wielki kryzys polityczny zagrażający spójności państwa. Kryzys ten służył zacieśnieniu więzi w narodzie amerykańskim, umocnieniu moralności, uchwaleniu bardziej restrykcyjnych ustaw, które zagrażają stopniowo swobodom obywatelskim. Każdy kraj funkcjonuje w ten sposób. Wystarczy dostosować typ kryzysu do mentalności narodowej i można odzyskać kontrolę.

Yael opuściła szybę, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

– Nie uważasz, że trochę przeginasz? – zapytała. – Nie bierz tego do siebie, ale... Wszędzie widzisz zło, prawda?

– Jesteś typowym przykładem globalizacji! To genialna metoda, żeby rozpowszechnić na całym świecie środki kontroli nad narodami!

Jest tak skuteczna, że jeśli facet chce coś ujawnić albo naruszyć obowiązujące normy, natychmiast zaczyna się go traktować jak paranoika! Czy to nie genialne?

Od razu pożałowała, że tak pomyślała. Przecież Kamel im pomaga, narażając się na ogromne niebezpieczeństwo, tylko dlatego, że ich lubi.

„Albo dlatego, że moja historia utwierdza go w jego przekonaniach”.

– Każdy sposób jest dobry, żeby cię szpiegować. Każą ci płacić kartą, żeby wiedzieć, gdzie jesteś i co kupujesz. Zresztą oni nie cierpią gotówki, chętnie zastąpiłoby ją małymi kartami w stylu Moneo albo wszystkim, co po niej nastąpi, byleby tylko wyeliminować *cash*. Nie możesz wejść do zakładu pracy, nie pokazując przy drzwiach identyfikatora, albo karty magnetycznej, udając się do stołówki, jeśli nie ma tam po prostu komputera, który służy jako szpicel. Jeżeli sprawdzasz pocztę albo pracujesz na ekranie, komputer archiwizuje wszystkie twoje operacje. Podobnie jest z komunikacją: z kartą Navigo, która z czasem się upowszechni, z kartą na autostrady, z automatycznym radarem, który zdradza twoją pozycję, z kartą do bankomatu, która pokazuje, gdzie byłeś, kiedy tankowałeś na stacji benzynowej, z parkingiem, który wie, że na nim jesteś, bo pokazałaś swoją kartę, z telefonem komórkowym, który bez przerwy cię lokalizuje, nie mówiąc o wszystkich tych kamerach...

Yael przezornie milczała. Byleby tylko nie wdawać się w dyskusję.

Kamel prowadził swój monolog przez wiele kilometrów. Wymieniał potężne dynastie rządzące światem, wspominając rzecz jasna o klanie Kennedych, ale także o Bushach, nie omieszkał przy tym zaznaczyć, że dziad – Prescott Bush – robił interesy z nazistami. Został mianowany dyrektorem generalnym Union Banking Corporation, założonej przez rodzinę Thyssenów, finansistów Hitlera. Pod koniec lat trzydziestych Prescott Bush przyjechał do Polski, żeby nadzorować wydobywanie w kopalni, gdzie pracowali więźniowie z obozu w Auschwitz. Widząc, że Yael nie odzywa się ani słowem, Kamel dodał, że Prescott Bush studiował w Yale i oficjalnie wiadomo, że był członkiem Skull and Bones.

Kiedy dotarli w pobliże centrum handlowego, Kamel zadbał o to, żeby nie stawać na parkingu – wołał krążyć przez dziesięć minut i znaleźć mniej strzeżone miejsce.

Ledwie weszli do galerii handlowej, przypomniał Yael, by spuściła głowę, po czym nakazał jej poczekać na ławce przed kasami supermarketu, gdzie popędził po żyletki, za które zapłacił gotówką.

– Co będziemy z tym robić? – zapytała Yael, która zaczęła się niecierpliwić.

– Wolalbym, żebyś traktowała mnie poważnie. To nie ze względu na moje *ego*, bo sram na nie, ale na twoje bezpieczeństwo. Zaraz ci pokażę.

Yael przewróciła oczami, ale i tak ruszyła za nim w kierunku baru przy wyjściu. Otworzył paczkę żyletek, z której zostawił tylko opakowanie.

– Spójrz, to tylko papierek, co?

– Tak.

Minąwszy gotowe dania i tablice, na których wypisano rozmaite menu, zatrzymali się przed pojemnikami zawierającymi sosy i przyprawy. – Zgadzasz się, że wkładając karton do mikrofalówki, niczym się nie ryzykuje?

Przytaknęła nieco rozdrażniona.

– Natomiast absolutnie nie wolno wkładać metalu, bo inaczej kuchenka może wybuchnąć, i wszyscy o tym wiedzą.

Otworzył jedną z kuchenek mikrofalowych do podgrzewania potraw, po czym wsadził do niej kartonowe pudełko.

Włączywszy maksymalną moc, ustawił podgrzewanie na jedną minutę.

Talerz w środku zaczął się obracać.

Nie wydarzyło się nic szczególnego.

Po czym nastąpiły dwa krótkie silne błyski, którym towarzyszył trzask. Kamel natychmiast wcisnął przycisk z napisem STOP. Wyjął ostrożnie opakowanie i wrzucił do kosza na śmieci.

– Ciekawe, jak na karton, co? Odradzam ci próbowanie tego w domu. Za pierwszym razem, kiedy to zrobiłem, moja kuchenka eksplodowała, a odłamek plastiku mało nie przebił mi tętnicy szyjnej!

Pociągnął ją czym prędzej do wyjścia, zanim ktokolwiek zdążył zauważyć ich manewry.

– Spowodował to chip RFID – wyjaśnił. – W tym wypadku znajdował się w opakowaniu, ale coraz częściej umieszcza się je w

samym produkcie, na przykład w ubraniach. Teraz mi wierzysz?

Yael otworzyła usta, żeby mu powiedzieć, że nie potrzebuje dowodów, wołała jednak uniknąć konfrontacji.

– Tak – powiedziała tylko.

Kamel zaczął krążyć po galerii.

– Ważne jest uświadomienie sobie, że ten chip nie jest czymś niewinnym. Duże sklepy zmieniły jego pierwotną funkcję, co było... do przewidzenia. Na samym początku wymyśliła go pewna firma należąca do niejakiego Aleksa Mandla, którego wuj jest jednym z dyrektorów amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego! Jeśli ci powiem, że na dodatek Alex Mandl zarządzał towarzystwem IN-Q-TEL, które w rzeczywistości było finansowane przez CIA i mieściło się w jej siedzibie, być może zaczniesz sobie zadawać pytania. IN-Q-TEL zajmuje się kryptografią i bezpieczeństwem Internetu dla rządu amerykańskiego. Firma ta wytwarza również i inwentaryzuje nowe technologie dla agencji rządowych: CIA, NSA, FBI... To trochę sporo, co?

Tym razem Yael musiała przyznać, że ten natłok ją zaskoczył.

– Następnie chip RFID przeszedł do konsumpcji masowej. Gorzej, powoli zakrada się on do naszych zwyczajów, mając cel średnioterminowy: zastąpić dowód tożsamości. Pewnego dnia każdemu z nas wszczepią pod skórę chip zawierający nasze osobiste informacje: imię, nazwisko, stan cywilny, prawo jazdy, numer ubezpieczenia społecznego i wszystko, co tylko zechcą tam umieścić. Zastąpi on karty kredytowe, karty zdrowia, wszystko. Już trwają przygotowania: w

niektórych szpitalach robi się testy za zgodą pacjentów, w kilku nocnych klubach dla VIP-ów wpuszcza się wyłącznie osoby mające chipy. Następne pokolenia będą dorastały z tym urządzeniem, uważając, że to zupełnie normalne, a nawet że ci, którzy go nie mają, to zwykły plebs, wtedy zaś chip RFID stanie się czymś całkowicie zwyczajnym.

– Już je wszczepiają zwierzętom, prawda?

– Zgadza się, umieszcza im się chip RFID, a w niektórych państwach jest to nawet obowiązek właściciela psa. Niezły pomysł, co? Można śledzić pana, obserwując psa na ekranie!

Wyszli na zewnątrz i ruszyli między zaparkowanymi samochodami. Yael trzymała ręce w kieszeniach, daszek czapki zakrywał jej twarz.

– Zgoda, to wszystko jest... oszłamiające – przyznała.

– Ale dokąd właściwie zmierzasz?

– Wszystko, czego pragnę, to żebyś otworzyła oczy na świat, w którym żyjesz. On nie jest taki, jak ci się wydaje. Różnice zaś są naprawdę duże. Mówi się, że żyjemy w świecie komunikacji, a powinno się raczej powiedzieć: w świecie manipulacji. W tym systemie nie ma już miejsca na przypadek. Każda decyzja kosztuje miliony, ba!, często miliardy dolarów, taka masa pieniędzy wymaga więc maksimum kontroli. Decydentów jest niewielu i znajdują się na samym szczycie, w stratosferze naszej cywilizacji.

Yael nie miała odwagi powiedzieć, że zna już tę przemowę. I że od kilku dni zmusza się ją, żeby uświadomiła sobie jej rzeczywiste

znaczenie.

– Wiem, potrafię być czasem nudny, powtarzając w kółko tę samą śpiewkę, ale wszyscy przywykli do tego systemu i uważają go za normalny. Jak obudzić stado, które szuka swojego skrawka pastwiska?

Kiedy samochód policyjny mijali ich, jadąc wzdłuż krawężnika, jak najbardziej naturalnym gestem chwycił Yael pod ramię i zasłonił jej twarz ręką.

– Jesteśmy jak ta żaba, która nie zdaje sobie sprawy, że woda wrze! Wiesz, jeśli włożysz żabę do wrzątku, natychmiast wyskoczy z rondla, ale jeśli zanurzysz ją w zimnej wodzie i zaczniesz podgrzewać na małym ogniu, będzie tak siedzieć, nie zdając sobie sprawy, że woda staje się zbyt gorąca, a wtedy spokojnie możesz ją ugotować. Tak samo jest z nami. Wystarczy nas podgrzewać na wolnym ogniu, stopniowo, i hop! Jesteśmy ugotowani!

– Serwujesz mi powiastkę: wszystko przez rewolucję francuską?

– Nie, rewolucja to była tragedia. Ale pozwoliła nam wkroczyć w nową erę, która mogła się okazać zbawienna. Przelano krew narodu, ale kto pokierował rewolucją, kto poprowadził ją tak, żeby czerpać z niej zyski? Mieszczanstwo, wielcy kupcy, ówcześni bankierzy! Przy całym swoim sprycie zbudowali nowy, korzystny dla siebie system, starannie unikając powtarzania błędów poprzedniego: umieszczenia jednej głowy na szczycie piramidy władzy Głowy, która może spaść, kiedy tylko lud się rozzłości. Opracowując to, co miało stać się nowym systemem, odczłowieczyli piramidę władzy, żeby nie można się już było więcej buntować. Bo przeciw komu? Gdyby dzisiaj Francja

chciała wszystko zmienić, gdyby miała dosyć płacenia podatków, podporządkowywania się niesprawiedliwym ustawom i braku warunków do godziwego życia, co by mogła zrobić? Wyjść na ulicę i obalić prezydenta? Żeby wsadzić na jego miejsce nowego i zacząć wszystko od początku... Nie, wszyscy dobrze to wiedzą! Nie można nawet wyjść i wszystkiego rozwalić, jesteśmy za bardzo uzależnieni od systemu. Tryby to przecież my!

– Ludzie, którzy przeprowadzili rewolucję, mieli dosyć głodu, to nie byli zawodowi spiskowcy!

– Lepiej byś zrobiła, czytając historię między wierszami. Kto podsycił wzajemną wrogość, później zaś podzegał do wyrównania rachunków, żeby zdobyć władzę? Przede wszystkim przestuduj daty rewolucji i ogłoszenia deklaracji niepodległości, a sama się przekonasz, jak często pojawiają się one w tajemnych symbolach przypisywanych określonym sektom. Na przykład na dolarze...

– To normalne, że cyfra tysiąc siedemset siedemdziesiąt sześć widnieje na banknocie dolarowym! – przerwała mu Yael. – Przecież to ich deklaracja niepodległości!

– Przyjrzyj się uważniej! Przekonasz się, że data znajduje się u stóp piramidy symbolizującej królestwo oka! Wszechwiedzącego, wszechpotężnego oka, które króluje niepodzielnie nad całą resztą piramidy! Oka symbolizującego małą grupę ludzi. Data znajduje się u stóp piramidy, na samym dole, w punkcie wyjścia! To data wydrukowana pośrodku symboli ezoterycznych, u stóp trzynastopiętrowej piramidy, data umieszczona między dwoma

mottami: „(Bóg) spojrzal życzliwie na nasze przedsięwzięcie” i „Nowy porządek wieków”! Niczego nie zmyślam. Przyjrzyj się po powrocie, tak jest napisane! Nowy porządek świata! Dzisiaj iluminaci, czy jak tam się nazywają, nie walczą już o to, żeby zmienić świat; oni już to zrobili! Żyjemy pod ich panowaniem od końca osiemnastego wieku! Oni już robią, co chcą! Wojny, kłamstwa... Świat należy do nich. My zaś jesteśmy zabawkami w ich rękach!

Tego było już za wiele dla Yael, miała dosyć dopatrywania się wszędzie ukrytych znaków, ciągłego słuchania, że żyje w świecie zakłamania, że jej życie to tylko jedna wielka manipulacja. Chciała o tym zapomnieć. Wrócić do swojej wprawdzie ślepej, ale spokojnej egzystencji. Móc wyjść z domu i słuchać telewizyjnych wiadomości bez zadawania sobie tysiąca pytań.

– Kamel, chyba potrzebuję przerwy – wypaliła jednym tchem.

Właśnie miał coś dodać, słowa zamarły mu jednak na ustach. Niewiele jednostek jest dzisiaj w stanie wytrzymać presję prawdy.

– W porządku. Rozumiem – stwierdził.

Yael poszła w kierunku samochodu.

Wrócili na obiad. Thomas przyjechał późnym popołudniem. Ledwie zdążył zamknąć za sobą drzwi, Yael zerwała się z kanapy, ciekawa nowin. Czy wpadł na jakiś trop w związku z ich podróżą?

– Yael, jutro rano wyjeżdżamy do Hawru. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, w ciągu tygodnia będziemy w drodze do Stanów.

Yael westchnęła głęboko. Cała niecierpliwość i stres gdzieś odpłynęły. „Wyjechać”. Tylko to miała teraz w głowie.

I stawić czoła ludziom, którzy uważają, że wszystko im wolno.
Nawet ukraść jej życie.

Thomas opowiedział im o tym, jak zrobił rozeznanie w kompaniach transportu morskiego. Liniowce go nie interesowały, ponieważ wymagano na nich paszportu. Skupił się zatem jedynie na statkach towarowych i tankowcach. Doskonale wiedział o istnieniu statków handlowych, które dysponują wolną kabiną i za niewielką opłatą zabierają na pokład jednego czy dwóch ciekawskich. Jest to zresztą forma turystyki, która zaczyna się rozwijać, chociaż na razie zarezerwowana tylko dla wtajemniczonych, oferuje za to podróż inną niż wszystkie, sprzyjającą kontemplacji i refleksji.

Thomas zdobył nazwy okrętów, które prowadzą tego typu usługi, w małym biurze podróży specjalizującym się w oryginalnych wycieczkach, a położonym niedaleko Gieldy. Następnie sporządził listę tych, które pływają z Francji na Wschodnie Wybrzeże Stanów Zjednoczonych. Mniej więcej dziesięć z nich powinno wyruszać z portu w Hawrze w ciągu najbliższych dni. Muszą spróbować szczęścia. Pogadać z kapitanami. Znaleźć takiego, który nie będzie się bał zgarnąć kilka tysięcy euro i zabrać ich na pokład bez dokumentów, bez deklaracji celnych.

Wieczorem przy kolacji Thomas zwrócił się do Kamela:

– Czy mógłbyś zdobyć informacje o tych statkach i ich kapitanach przez ambasadę?

Kamel uniósł brwi.

– Zapytam ojca, zobaczymy.

Yael miała słaby apetyt.

– Nie znam się w ogóle na nielegalnych podróżach – powiedziała w końcu. – Wydaje mi się jednak, że to dużo kosztuje. Bardzo dużo...

Thomas pokiwał głową.

– Tak. Majątek.

– Co więc zrobimy? Nie mam forsy na koncie... Zresztą i tak nie mam do niego dostępu.

– Już wszystko załatwione.

Thomas i Kamel wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Tak – potwierdził ten ostatni. – Ja... ja wam pomogę.

– Kamel? Ty... Nie mogę wziąć od ciebie pieniędzy! – zawołała dziewczyna.

– Nie zwracaj sobie tym głowy. Jakim byłbym człowiekiem, gdybym ściubił moje pieniądze, gdy przyjaciele są w potrzebie? Skoro ja mam, niech się komuś przydadzą! Właśnie o tym rozmawialiśmy wczoraj wieczorem, kiedy zesłaś na dół.

Oszołomiona Yael szukała właściwych słów.

– Ja... Dziękuję, Kamel. Oddam ci, kiedy tylko będę mogła, przyrzekam.

Kamel roześmiał się cicho.

– Nie przejmuj się tym. Kiedy to się skończy, dostaniesz tak duże odszkodowanie i zadośćuczynienie, że zwrócisz mi zawiązką.

Wzmianka na temat przyszłości, jaka miała nastąpić po Cieniach, dobrze jej zrobiła. Odwzajemniła uśmiech. Thomas przywiózł

z pobytu w Paryżu butelkę wina, którą wspólnie wypili, dziewczyna zaś stwierdziła ze zdziwieniem, że się śmieje, do czego nie była zdolna od wielu dni.

Tymczasem Kamel oddalił się, żeby przefaksować ojcu listę statków z prośbą o pilne rozeznanie.

Thomas opowiedział jej, że od zawsze marzył o tym, żeby malować, i jak spróbował swoich sił w zeszłym roku, uczęszczając na lekcje. Prawdziwa katastrofa. Yael uśmiechała się, znów ufnie patrząc w przyszłość, która wydawała jej się mniej ponura.

Położyli się z nową lekkością.

Nie zadając sobie już żadnych pytań, Yael wśliznęła się w ciepło Thomasa, przywierając do jego ciała.

Odszukała jego usta i przytknęła do nich swoje. Trochę kręciło jej się w głowie.

Spletli się w namiętym uścisku. Pod wpływem pieszczot Yael Thomas zdjął ubranie, po czym ściągnął z niej długi podkoszulek.

Powstrzymawszy go, dziewczyna obdarzyła Thomasa figlarnym spojrzeniem.

– Muszę cię przeprosić za moją „seksowną” bieliznę – szepnęła.
– Chińskie majtki po trzy euro za dwie pary.

Zaśmiali się wtuleni w siebie, po czym czas okazał się dla nich łaskawy i się zatrzymał.

Blog Kamela Hasira. Fragment dziesiąty

Jeśli jakiś otwarty umysł doczytał aż do tego miejsca, to znaczy, że zastanawia się dlaczego.

Jeśli przyjąć szaloną hipotezę, że rząd Busha wiedziało mających nastąpić zamachach, a nawet że za nimi stał, nasuwa się pytanie: Dlaczego?

Poza finansową manną, jaką to za sobą pociąga.

Istnieją dwie podstawowe kwestie:

– Stan strachu.

– A, na koniec, ustanowienie nowego porządku świata.

Strach?

Dokonom zestawienia wszystkich faktów, później zaś wyciągnę wnioski. Są szaleńcze, a jednak tak prawdopodobne dla ludzi, którzy pociągają za sznurki. Tej skrajnej, zadufanej w sobie prawicy.

Wyobraźcie sobie przymierze garstki miliarderów z różnych krajów, głównie ze Stanów Zjednoczonych i Arabii Saudyjskiej, chociaż moim zdaniem ci pierwsi manipulują drugimi. Wyobraźcie sobie tych gotowych na wszystko ludzi, których etyka i moralność zniknęły w ciągu wielu lat, gdy żądza władzy i pieniądza zżerała ich niczym narkotyk, bo tym jest w istocie. Wyobraźcie sobie, jak ci ludzie przenikają do systemu, stopniowo przejmując władzę, od Białego Domu po Pentagon. Ludzi, którzy zrozumieli, jak działa naród.

Naród przyzwyczajony do przyjemnego i dającego poczucie bezpieczeństwa komfortu moralnego i materialnego. Nagle sprawiacie,

że w ten komfort zakrada się chaos. Burzycie jego równowagę strachem, niepewnością. Naród będzie gotów na wiele poświęceń, byleby odzyskać ten komfort. Gotów zaakceptować wiele rzeczy nie do przyjęcia, jeśli wyczuje obietnicę przepędzenia strachu, który ściska jego trzewia. Obietnicę odzyskania dawnego życia.

Właśnie tak się stało.

W listopadzie 2002 roku Bush wykorzystał pretekst zagrożenia terroryzmem i bezpieczeństwa narodowego, żeby wprowadzić TIA, czyli Total Information Awareness (całkowitą znajomość informacji). Jej założenie jest proste – zainstalować system szpiegowski umożliwiający rządowi amerykańskiemu dostęp do wszystkich baz danych świata, aby zgromadzić wszelkie informacje na temat określonej jednostki: jej życia zawodowego i prywatnego – wszystko, absolutnie wszystko, bez żadnych ograniczeń. Sam Donald Rumsfeld mianował szefa TIA, którym został niejaki John Poindexter, osobnik nader kontrowersyjny, ponieważ mocno podejrzany o zorganizowanie słynnego handlu narkotykami związanego z aferą Irangate. Pozwolę sobie tu przypomnieć, że kiedy Poindexter został oskarżony, pozbył się wszelkich dokumentów świadczących o jego winie, nie wiedząc, że ochrona zarejestrowała ten akt zniszczenia. W końcu 11 czerwca 1990 roku został skazany za zniszczenie dowodów na osiemnaście miesięcy więzienia, których nie odsiedział dzięki uchynieniu wyroku przez kolejny sąd z powodu „błędów formalnych”. I to właśnie ten człowiek stoi na czele TIA, ma zatem prawo wiedzieć wszystko o wybranych przez siebie jednostkach.

Wobec okrzyków oburzenia, jakie wywołała jego nominacja,

TIA oficjalnie znika po jej upublicznieniu, tylko że natychmiast zastąpiły ją inne projekty pod innymi nazwami. Na przykład Matrix (Multistate Anti-Terrorism Information Exchange). Co pół roku pojawiają się kolejne projekty. Niektóre potem znikają, na ogół po to, żeby ustąpić miejsca nowym, tym samym, ale pod inną nazwą i zawsze w bardziej „uspokajającym” opakowaniu.

Nie licząc Patriot Act.

Patriot Act to zabójcza dla wolności ustawa przegłosowana 26 października 2001 roku, dla zwiększenia możliwości szpiegowskich rządu przy jednoczesnym osłabieniu możliwości obronnych. Bez względu na to, czy ta ustawa pewnego dnia zniknie, zostanie przedłużona albo zastąpiona przez inną, tę samą, ale pod inną nazwą i z takim samym zastosowaniem, już i tak została wprowadzona w życie i będzie trwać wiecznie w praktyce. Ustawa ta drastycznie zmniejsza wolność osobistą, jednocześnie zwiększając represje policyjne, legalizując pogwałcenie życia prywatnego, a szczególnie ograniczając prawo do wolności słowa. Dzięki tej ustawie można przetrzymywać w areszcie bez limitów czasowych i bez postawienia zarzutów każdą osobę uznaną za terrorystę. Tylko kto jest terrorystą w oczach rządu? Czyja nim jestem ze względu na moje wypowiedzi? Czy za mówienie tego, co myślę, mogę pójść do więzienia pod pretekstem, że sprzeciwiam się słownie aktualnemu rządowi? Możliwe...

Kiedy człowiek się dowie, że John Ashcroft (były prokurator generalny) i jego poplecznicy przygotowali w tajemnicy (ukrywając projekt przed Kongresem i Senatem przez sześć miesięcy!) jeszcze

bardziej zabójczą dla wolności ustawę Patriot Act II, może zacząć się bać. Zwłaszcza, że kiedy podano to do wiadomości publicznej i podniósł się szum, musieli udać, że to tylko „przedwcześnie upubliczniona wewnętrzna notatka”! Prawda bez żadnych upiększeń jest taka, że w największym sekrecie zamierzali wprowadzić jeszcze bardziej karygodne ograniczenia wolności, żeby przeforsować ustawę w ostatniej chwili!

Wystarczy czytać prasę i interesować się naszym społeczeństwem chociaż w minimalnym stopniu, żeby się przekonać, że tego typu ustawy zakiełkowały po trosze w całym świecie. Szczególnie we Francji, pod nazwą ustawy Perben II. Być może z czasem nazwa się zmieni, ale musimy uważać, czy politycy nie spróbują zmienić samego opakowania... Tymczasem zachęcam was, żebyście sami prześledzili ustawę albo te, które przegłosowano w waszym kraju czy gdziekolwiek jesteście. Zabawcie się w drobną grę, równie zabawną co przerażającą: postarajcie się określić, czym jest waszym zdaniem wolność, i porównajcie ją z rzeczywistością najnowszych tekstów.

Odwagi.

To niesamowite na co jesteśmy w stanie się zgodzić, jeśli napędzą nam stracha.

Dzień 11 września pozwolił chwycić naród za mordę, kontrolować jego swobody, zarazem przyznając rządowi i jego partnerom większą władzę. Po to, by przygotować dalszy ciąg wydarzeń.

Nowy porządek świata.

Niedziela, 26 sierpnia. Późne popołudnie, pogoda wilgotna i ponura.

Rafinerie ropy naftowej porastały krajobraz niczym kolczaste rośliny, wyciągając w górę stalowe łodygi i zasłaniając widok ogromnymi zbiornikami położonymi wśród rurociągów, które wiły się całymi sforami na przestrzeni kilometrów. Co jakiś czas nad tym martwym lasem górowały totemy lizane przez niebieski płomień, który wzbijał w niebo słupy czarnego dymu.

Kabinę samochodu napelniał oleisty odór benzyny.

Kamel prowadził w milczeniu. Zadanie, jakie sobie postawił, dobiegało końca: zbliżali się do Hawru. Wkrótce pożegna się ze swoimi towarzyszami, żeby powrócić do codzienności, mając nadzieję, że dzień po dniu będzie otrzymywał od nich wiadomości.

Minął tablice wskazujące strefę portową i przemierzył dzielnicę mieszkalną, złożoną z długich, szarych, wielopiętrowych bloków. Następnie pojawiły się magazyny.

Przed nimi znajdował się port, schowany za hangarami i olbrzymimi dźwigami. Z daleka było widać maszty oraz kominy tankowców, statków handlowych i zbiornikowców przewożących skroplony metan.

Kamel zatrzymał wóz, po czym wjechał w ulicę, która wiodła do portu przez biuro celne.

– Nie wolno wam pokazywać dowodów tożsamości –

przypomniał Kamel – musicie się więc przedostać do statków przez mur. Tam, za drzewami, jest pusta strefa, chyba damy radę się prześliznąć.

– Dalej widziałem tory – dodał Thomas. – Na pewno nie są pilnowane na całej długości, musimy tylko iść wzdłuż nich.

– Dobra, w takim razie chyba nadszedł czas, żeby się pożegnać. Masz faks, który ojciec przysłał dziś rano?

Thomas przytaknął.

Rozstali się niezwłocznie, od razu przystępując do działania.

Yael i Thomas, z torbą na ramieniu, ruszyli wzdłuż portowego muru.

Zgodnie z przewidywaniami Thomasa tory kolejowe biegły za porzewiałą i podziurawioną siatką, którą pokonali bez trudu. Podążali wzdłuż szyn w kierunku portu, który odznaczał się wysokimi terminalami zbożowymi i silosami.

Gdy zbliżyli się do pierwszych zabudowań, Thomas zachęcił Yael, by usiadła na opuszczonych paletach, gdzie mieli zaczekać do zmroku, tak żeby ich nikt nie zauważył. Znajdowali się z dala od ludzkich spojrzeń, wciśnięci między dwa zmurszałe magazyny i wysokie poźółkłe trawy.

Nagle Yael roześmiała się cicho, zaskakując tym Thomasa.

– A ja się trzęsłam przy najmniejszym niebezpieczeństwie... – powiedziała.

– Jak znajdziemy statek, który nas zabierze – oznajmił – co wcale nie jest takie pewne, stanjemy się zbiegami. Nikt oprócz załogi

nie będzie wiedział, że jesteśmy na pokładzie.

Dopóki będziemy się znajdować na morzu, nasze życie pozostanie w zawieszeniu. Rozumiesz, jakie ryzyko mam na myśli?

– Już to mówiłeś: mogą się nas pozbyć.

Samo wyobrażenie o tym wywołało panikę. Muszą jednak przedostać się przez Atlantyk.

– Wiem, powtarzam się, ale powinnaś być czujna. Jeżeli znajdziemy kapitana, który zechce nas zabrać, zrobi to tylko pod warunkiem, że zapłacimy z góry. Takie są zasady. Ale kiedy tylko wypłyniemy w morze, niewykluczone, że on i załoga postanowią zachować szmal, nie ryzykując, że zostaną przyłapani przez władze amerykańskie ze zbiegami na pokładzie. Nie wspominając o amerykańskich celnikach... znanych z surowości.

– Myślisz, że mogą nas wyrzucić za burtę?

– Wiem, że tysiące ludzi podróżują w ten sposób, szczególnie z Afryki i Azji, i że takie dramaty się zdarzają. Często. Istnieją nawet miejsca, które są z tego znane, jak choćby we Włoszech, gdzie całe miasteczko wiedziało, że pewnego dnia z jakiegoś statku wyrzucono za burtę trupy zbiegów, ale żaden mieszkaniec nic nie powiedział.

– Nie mamy wyboru.

– Pozostaje nam zachować czujność. Obiecujesz?

– Jasne.

– Można być jednak pewnym, że nawet jeśli trafimy na sprzedajną załogę, to dwa razy pomyślą, zanim zakatują dwoje dobrze ubranych białych. Będą się bali śledztwa. Ale i tak trzeba zachować

ostrożność.

Właśnie minął ich powoli pociąg towarowy. Jego ciężkie koła wybijały jednolity rytm. Yael powędrowała za nim wzrokiem, przypominając sobie jednocześnie amerykańskie powieści i filmy, w których ludzie przemierzali cały kraj w bydłych wagonach, pędząc po torach, aby dostać się do pociągu podążającego w nieznaną, ku nadziei.

Zamierzała uczynić to samo.

Na wielkiej metalowej skarpie, pośrodku nicości.

Gdy zapadła noc, przytuliła się do Thomasa i ruszyli w dalszą drogę.

Ojciec Kamela wykonał całą tę zbawienną pracę w bardzo krótkim czasie. Sporządził szczegółowe zestawienie na temat wszystkich statków stojących w porcie. Thomas zakreślił na liście cztery nazwiska. Kapitanów podejrzanych lub skazanych za przestępstwa – od odgazowania w pobliżu brzegów po przewóz zbiegów. Największe nadzieje budził zwłaszcza jeden z nich, podejrzany, ale nigdy nie zatrzymany z braku dowodów. Dowodził Absolute Conquerorem.

Pokręcili się wśród terminali z kontenerami, kiedy zaś mijali chłodnie, przeskakując z pokładu na pokład w poszukiwaniu Absolute Conquerora, którego znaleźli na końcu nabrzeża, mieli nad głowami mosty przeładunkowe.

Zostawiwszy Yael z tyłu, za hangarem, Thomas wsiadł na statek. Wrócił po niecałym kwadransie nic nie mówiąc. Chwycił torbę, skinął na dziewczynę i udali się ku innej masywnej sylwetce kołyszącej

się w ciemnościach.

Wraz z nadejściem nocy port uległ przemianie. Zaczęły się obracać reflektory dźwigów, a w głośniejszej atmosferze skrobania, metalicznego szczęk, warkotu silników, świstu kołowrotów, krzyków i wycia syren lśniły na czerwono i zielono światła masztów.

Po drugiej próbie Thomas znów wrócił z niczym, pełen niepokoju. Obawiał się, że kapitan powiadomi władze o ich obecności. Czym prędzej ruszyli więc do kolejnego statku na liście, transportowca, który miał już spory ładunek.

Tym razem rozmowa trwała dłużej.

Yael czekała godzinę.

Niepokój zaczął zatruwać jej umysł czarnymi wątpliwościami. Minęło jeszcze pół godziny.

Yael nie mogła już wytrzymać. Zaczęła krążyć w tę i z powrotem, wypatrując nieufnie wózków podnośnych, które pędziły ze swoim ładunkiem na zapalonych wszystkich światłach.

Wtem na pokładzie ukazał się Thomas, który skinął na nią, żeby doń dołączyła.

Serce zabiło jej mocniej.

Chwyciła torby i opuściła betonowe nabrzeże.

Postawiwszy stopę na trapie, odwróciła się, żeby spojrzeć po raz ostatni na ład.

Jaką kobietą będzie, kiedy powróci?

Gdy usłyszała wołanie Thomasa, wsiadła na statek, nie oglądając się więcej. Od tej pory musi się liczyć tylko dotarcie do celu,

nic poza tym.

To, z czym ma się zmierzyć na miejscu.

Po drugiej stronie oceanu.

Na pełnym morzu największe wrażenie zrobiła na niej potęga wiatru.

Siła wiatru wiejącego niemal bez przerwy nad Atlantykiem, mżawka, jaką wyrywał z powierzchni wody, pokrywając pokład transportowca warstwą śliskiego lakieru. Wiatr świszczwał w uszach, odurzał, Yael zaś potrzebowała aż trzech dni, by do niego przywyknąć.

Okręt Baltic był tak wielki i tak ciężki, że jeśli morze się nie rozszalało, nie czuło się chybotańca ani kołysania. Yael była zafascynowana liczbą ustawionych na pokładzie kontenerów, które kontrastowały z bezkresnym horyzontem fal i chmur. Żegnając się ze światem ludzi, uświadomiła sobie, jak kruchy i maleńki jest Baltic – łupina orzecha na łasce żywiołów. Nigdy dotąd nie czuła się taka malutka. Śmieszna na tle wszechświata.

Później oswoiła się z tym ruchomym bezkresem. Bardzo szybko doszła do wniosku, że jego nieprzeniknioność jest jej współniczką. Nie widzieć, co kryje się w tej głębi, w tej otchłani, było dla niej błogosławieństwem. Lubiła wyobrazać sobie ocean jako solidną powłokę, która ich niosła, gęstą powierzchnię, która potrafiła odizolować ją od przerażającej przepaści.

Zapomniała nawet o uciekających pod jej stopami kanionach wraz z ich florą i fauną. Co do wiatru zaś, mogła go jedynie znosić i pogodzić się z jego obecnością.

Ich kajuta znajdowała się obok komina, toteż pierwszej nocy

Yael nie mogła zasnąć, warkot silników był bowiem zbyt natarciwy, a olbrzymi szyb przechodzący tuż obok jej głowy co jakiś czas rozbrzmiewał głośnym echem.

Załoga była dyskretna, ledwie miała kontakt z oficerami, Yael i Thomas na polecenie kapitana jadali jednak oddzielnie. Często przypominał im, że nie są pasażerami, tylko zbiegami i że powinni zachowywać się cicho, a nawet być niewidzialni. Im mniej zapadną w pamięć, tym lepiej dla wszystkich. Z tego, co zdołała się dowiedzieć, załoga pochodziła z Filipin, oficerowie zaś z Panamy. Na pokładzie mówiło się wieloma językami, w tym niepewnym angielskim.

Upływ dni dało się zauważyć na zegarach ściennych w mesie, które wskazywały mijane przez nich strefy czasowe.

Na pokładzie wyrażenie Nowy Świat nabierało sensu.

Zanurzenie się na wiele dni i nocy w tym nieposkromionym *no mans land* oznaczało wybranie się w osobliwą podróż wewnętrzną. Kołysany połyskującym bezkresem człowiek bardzo szybko zaczyna badać własne odruchy, obnażoną duszę, nagle mogąc swobodnie dokonać obrachunku i wyboru, a następnie podjąć decyzję, kim chce się stać. Poddaje się powolnemu, głębokiemu oczyszczeniu, uwalniającemu serce od póż, wybiegów i kłamstw.

Rankiem czwartego dnia Yael włożyła adidas, szorty i podkoszulek, po czym wyruszyła na samotny bieg dookoła statku. Wielobarwne zbiorowisko stalowych płyt tworzyło olbrzymie zamczysko, wokół którego zaczęła uprawiać jogging. Po raz pierwszy od dłuższego czasu. Tupot jej kroków uderzających o pokład ginął w

łoskocie fal rozbijających się o szkielet statku i wyciu wiatru, które ginęło między kontenerami. Yael unosiła się w rześkim powietrzu. Czowała, że żyje. Przebiegając po raz drugi pod mostkiem kapitańskim, zauważyła jakiegoś mężczyznę z załogi, który siedział, paląc papierosa, i obserwował ją.

Dostrzegła w jego oczach coś w rodzaju pożądania. Chciwy grymas, którego nie cierpiała.

Yael zawahała się, czy biec dalej. Jeśli znów skręci, znajdzie się w długiej strefie towarów, gdzie można ją będzie zaciągnąć między kontenery. Wówczas nikt jej ani nie zobaczy, ani nie usłyszy.

Nie zwolniła jednak, lecz biegła dalej. „Nie okazywać strachu” – pomyślała. Udowodnić własną siłę, żeby zniechęcić gościa, który się waha. Pozostały jeszcze cztery dni, a więc to nie najlepsza pora, żeby pękać, bo inaczej reszta podróży zamieni się w koszmar. Zakończywszy trzecie okrążenie, wróciła do swojej kajuty.

Gdy wychodziła spod prysznic, czekał na nią Thomas.

– Rozmawiałem z kapitanem, będziemy w Nowym Jorku w poniedziałek wieczorem. Pozostaną na kei przez dwa dni, bo tyle im zajmie rozładunek i załadunek. Potem płyną do Savannah w Georgii. Ta sama śpiewka i cała wstecz do Bostonu po ostatni ładunek przed powrotem do Francji trzynastego września. Powiedział, że jeżeli chcemy wrócić, możemy ich złapać tego dnia. To nam daje dziesięć dni na spotkanie z Carlem Petersenem i zastanowienie się co dalej.

Skinęła głową, nie rozwijając tematu. Nie miała żadnego konkretnego planu. Po prostu potrzebowała rezultatu. Musiała wiedzieć.

I mieć pewność, że ani jej, ani jej ojcu nic już nie grozi. Co do reszty... Będzie improwizować na miejscu w zależności od sytuacji. Powinna zacząć od Petersena.

Po południu udali się na spacer po pokładzie, kołysani spokojnym buczeniem silników, kojącym drżeniem. Dziobnica przecinała fale na zachód, tam, gdzie chowało się słońce.

Rozmawiali o własnym życiu, o swoich oczekiwaniach wobec niego, jednocześnie pilnując się, żeby nie wspomnieć o Cieniach. Tutaj, tysiące kilometrów od najbliższego miasta, delectowali się tymi chwilami wytchnienia. Z dala od cywilizacji i kłamstw.

Zjedli kolację i położyli się wcześniej. Tego wieczoru Yael wprosiła się na wąską koję swojego towarzysza. Od tej nocy, którą dzielili wspólnie w domu Kamela, przestała sobie zadawać pytania na temat tego, co ich łączy. Nie chciała tego definiować. Liczyła się tylko chwila obecna, wzajemne pieszczoty, pocałunki i to, że go pożąda, pragnie jego ciała. Przyciągnęła go do siebie.

Nie zaprzętała sobie głowy antykoncepcją. Ani przez moment nie starała się zachować żadnych środków ostrożności – ona, zazwyczaj taka zapobiegliwa, pragnęła, aby był nieokiełznany i spontaniczny.

Kiedy w nią wszedł, jęknęła z rozkoszy. Z powodu dokonanego wyboru, z powodu tej podróży, którą jej zaofiarował, a w której chciała się zatopić. Podróżą scalającej, z prędkością zapomnienia, dotknięcia duszą, za pośrednictwem ciała, jedynej rzeczywistości wszechświata: ekstatycznej wędrówki między nicością a materią, stanu prenatalnego i *post mortem*. Chciała podróżować poprzez siebie, poprzez niego,

poprzez samą kwintesencję ludzkości.

Wtedy zaznała rozkoszy.

Płynęli osiem dni.

Kiedy Baltic zbliżył się do amerykańskiego wybrzeża, od czterech godzin panował zmrok. Yael dostrzegła jedynie światła w oddali. Stojący na mostku kapitan wyjaśnił im, jak mają opuścić statek.

Cała operacja opierała się na dyskrecji. Kiedy okręt przybije do kei, a silniki zostaną wyłączone, przejdą na przeciwną stronę i zsuną się po schodkach aż do poziomu wody. Następnie wsiądą do pontonu i oddalą się, wiosłując, niezauważeni przez patrolujące łodzie. Muszą wydostać się z portu i przybić do brzegu w jakimś spokojnym miejscu. Przede wszystkim zaś muszą zachować maksymalną ostrożność, bo jeśli jakiś tankowiec podniesie kotwicę, mogą się dostać między śruby, które ich zmielą, ponieważ żaden wielki okręt ich nie zauważy.

Jeżeli dadzą się złapać, kapitan zaprzeczy, jakoby ich kiedykolwiek widział. Muszą sobie radzić sami, a zwłaszcza zapomnieć o Balticu.

Tymczasem zaprowadził ich do ładowni, ciasnej klitki, gdzie mieli się ukrywać, dopóki ktoś po nich nie przyjdzie, na wypadek gdyby straż przybrzeżna dokonała niespodziewanego nalotu na pokład.

Czekali dwie godziny ściśnięci jedno obok drugiego, czując mrówki w nogach, drętwotę w ramionach i zawroty głowy. Wreszcie uwolnił ich jeden z oficerów. Łamaną angielszczyzną polecił, żeby podążyli za nim razem z bagażem. Wyszli na świeże powietrze, w noc

łśniącą od latarni nowojorskiego portu. Prześliznęli się schowani za kontenerami, po czym oficer pokazał im schody w kształcie ślimaka wiodące do wody, wręczając każdemu plastikowe wiosło. Podczas gdy pokonywali kolejne stopnie, przełożył przez burtę dmuchany ponton, który ledwie wystarczał dla dwóch osób, i spuścił go na linie.

Yael nie czuła się bezpiecznie przy ogromnej ścianie statku, plusk czarnej wody pod spodem też nie napępiał jej otuchą.

Thomas zdołał złapać ponton, wsiąść do środka i się nie wyrzucić. Następnie pomógł Yael zrobić to samo i umieścić torby między nogami. Była to zaimprovizowana tratwa, nadająca się co najwyżej jako zabawka dla dzieci, którą można kupić na każdej plaży. Przy najmniejszej fali wywróci się do góry dnem. Kiedy Thomas odwiązał linę, zaczęli wiosłować cicho, żeby oddalić się od Baltica.

W mroku było widać jego olbrzymi kadłub.

Krucha łódeczka zniknęła w ciemnościach, opuszczając redę i okrążając latarnię morską.

Wkrótce rozboleły ich ramiona. Walczyli z prądem.

Ponton zaczął się niebezpiecznie kołysać. Woda była lodowata.

– Nie widzę brzegu – powiedziała z niepokojem zdyszana Yael.
– Widzę tylko światła.

– Po naszej lewej stronie, skały.

Jakby na potwierdzenie słów Thomasa Yael usłyszała huk fal. Zaczęli wiosłować szybciej, chociaż mięśnie paliły niczym rozżarzone żelazo, lawirując jak najzręczniejszy, żeby uniknąć zderzenia z podwodnymi skałami, ale prąd i tak ich pochwycił i popchnął wściekle

do brzegu.

Kiedy przemknęli z błyskawiczną prędkością między dwiema ostrymi krawędziami, ponton wjechał na plażę, szorując po piasku.

Wypadli na ląd, przyciskając bagaże. Bez tchu, obolali, lecz żywi.

Udało się.

Byli w Stanach Zjednoczonych. W kraju, o którym śniło tylu wygnańców.

The land of the free, jak nazywali go pierwsi osadnicy, pełni nadziei i spragnieni wolności.

Yael przybyła tutaj odzyskać swoją.

Wtorek 4 września.

Pennsylvania Station. Wczesny ranek.

Za ofiarowane przez Kamela dolary Yael i Thomas wynajęli na resztę nocy pokój w hotelu w Queens. Przespawszy się trochę, wyruszyli w stronę Manhattanu, żeby złapać pociąg.

Dworzec rozbrzmiewał echem wielu kroków. Podróżni mijali ją tak szybko, że Yael nie potrafiła dostrzec ich twarzy. Kiedy oboje szukali miejsca, gdzie można kupić bilety, tłum potraçał ich we frenetycznym rytmie, dopóki wreszcie nie dopadli do okienka, w które Yael wsunęła banknot pięćdziesięciodolarowy.

Niecałą godzinę później wsiedli do pociągu linii Amtrak pędzącego do dawnej stolicy Stanów Zjednoczonych.

Dotarli do Filadelfii w porze obiadu.

Z torbami przewieszonymi przez ramię kupili hot dogi u wędrownego sprzedawcy, po czym zaopatrzyli się w plan miasta, aby zlokalizować poszczególne dzielnice. Generał w stanie spoczynku Carl Petersen mieszkał na przedmieściach, w północno-zachodniej dzielnicy, nad rzeką Schuylkill.

Yael zaproponowała, żeby zameldowali się w pobliskim hotelu, wsiedli więc do autobusu, który wjechał do Fairmont Park, na szeroki teren zielony pełen ścieżek rowerowych i miejsc do urządzania pikników. Autobus dowiózł ich pod sam motel położony przy parkowej bramie. Thomas wynajął pokój, płacąc gotówką, po czym kupił kartę

dostępu do Internetu, żeby mogli sprawdzić informacje po francusku. Nie było mowy, by Yael odgrywała turystkę bez paszportu. Musiała pozwolić mu mówić za nich dwoje. Usiadłszy przed ekranem, dokonała pospiesznego przeglądu wiadomości, przede wszystkim usiłując się upewnić, że żaden obywatel francuski nie został zamordowany w Indiach.

W Sieci nie było nic na ten temat.

Yael przypomniała sobie daty zapisane na kartce z marszrutą. François Mallan wrócił z trekkingu wczoraj. Piątego września, czyli pojutrze, miał wyruszyć w drogę powrotną do Paryża.

Yael westchnęła.

Przejrzała artykuły prasowe opisujące ich sprawę. Śledztwo raczej nie posunęło się do przodu, policja odmawiała wszelkich komentarzy, dziennikarze zaś nie potrafili ustalić, czy Yael Mallan uważa się za podejrzaną, czy też za ofiarę.

Jeśli chodzi o morderstwo Henri Bonneviela, to zatrzymano jedną podejrzaną i postawiono jej zarzuty. Jego kochankę. Śledczy zapewniają, że zdobyli wystarczająco dużo obciążających ją dowodów. Kobieta jednak ciągle twierdzi, że jest niewinna.

Na koniec Yael sprawdziła pocztę.

Nie znalazła nic pilnego. Całe wagony spamu, tych nikomu niepotrzebnych reklam. Już miała je usunąć, gdy nagle jedna z nich przykuła jej uwagę. Nie było nadawcy, tylko biała przestrzeń, nadano ją zaś 30 sierpnia, czyli przed pięcioma dniami. Nosiła tytuł *Knock-knock*. Yael zawahała się przez chwilę – może to jednak nie był spam.

Kliknęła, aby ją otworzyć, mając jednocześnie nadzieję, nie uruchomi żadnego wirusa.

Wiadomość była krótka.

I bezpośrednia.

Jej palce zacisnęły się na myszy.

Cienie znów nawiązały kontakt.

Skoro historia tak Cię fascynuje, czytaj dalej, nie przerywaj tego, co zaczęłaś, przejdź do dalszego ciągu,! Posługując się banknotami o nominale 5, 20 i 100 dolarów. Składając je, ale nie obcinając, powinnaś uzyskać interesujące rezultaty, pozwalające przewidzieć przyszłość... Ale miej się na baczności. Poznanie przyszłości może drogo kosztować. Tylko nielicznym udaje się potem przeżyć. To gra dla wtajemniczonych. Potraktuj to jako ostrzeżenie.

Yael natychmiast wydrukowała tekst, po czym się wylogowała.

Zastała Thomasa w pokoju.

– Zmieniamy hotel! – oświadczyła, wchodząc. – Spieprzyłam sprawę. Sprawdziłam pocztę internetową i znalazłam jeden list od... Cieni. One są zdolne ustalić, skąd nastąpiło połączenie, nawet tutaj.

Thomas milczał. Nie obsztorcował jej też za to, że naraziła się na takie ryzyko. Po prostu wziął swoje rzeczy i wyszedł.

Znaleźli wprawdzie inny hotel niecałą milę dalej, woleli go jednak zignorować i poszukać następnego.

Mimo wszystko pozostali w niewielkiej odległości od Carla Petersena.

Thomas zamknął za sobą drzwi na klucz.

– Pokaż tę wiadomość.

Podawała mu kartkę.

– Mam wrażenie, że... zmienili ton – stwierdziła Yael.

– Rzeczywiście – przytaknął Thomas, skończywszy czytać.

Yael wzruszyła ramionami.

– Ale to przecież logiczne! – dotarło do niej wreszcie.

– Bonneviel nie żyje, a skoro to on się ze mną kontaktował, Cienie nie powinny mi wysyłać wiadomości...

– Chyba że zrobiła to druga frakcja – dokończył Thomas. – Ta, która próbowała cię zabić.

– Myślisz, że to pułapka?

Thomas jeszcze raz przeczytał wiadomość mejlową.

– Wysłali go pięć dni temu. Od tamtej pory zgubili nasz ślad. – Pokiwał głową. – Tak, to na pewno pułapka. Sposób, żeby nas zlokalizować. Mail mógł zawierać coś w rodzaju wirusa, *trackera*, który miał nas namierzyć. Nie wiem, czy był mocny, ale jeżeli zadziałał, już wiedzą, że jesteśmy w Stanach.

– Nie mamy więc ani chwili do stracenia. Idziemy do Petersena.

Jeszcze nie minęła szesnasta, gdy wezwali taksówkę, żeby pojechać do generała w stanie spoczynku.

Była to dzielnica willowa, pełna szerokich i długich parterowych domów, oddzielonych cienkimi parkanami i otwartymi na ulicę – otaczały je jedynie trawniki i klomby. Każdy z nich miał aleję wiodącą do imponującego garażu. Ulicę otaczał zapach mieszczańskiego dobrobytu w stylu amerykańskim.

Yael i Thomas kazali się wysadzić przed numerem, którego szukali, po czym dalej ruszyli piechotą.

Było słycać szelest gałęzi młodych buków, rosnących w

równym rzędzie na skraju chodnika.

– To tutaj – szepnęła Thomas. – Idź dalej. Chcę się upewnić, że nikt na nas nie czeka.

Kątem oka zlustrował nieliczne samochody stojące w pobliżu, pragnąc się przekonać, czy są puste.

– Moim zdaniem powinniśmy poobserwować dom, zanim wejdziemy – zaproponowała Yael. – Wołałabym nie nadziać się na jego żonę, która mogłaby go ostrzec. Chodź, mam pomysł.

Zaciągnąwszy go na koniec ulicy i posadziwszy na ławce, skąd mieli widok na wszystkie posiadłości, wyjęła z plecaka kartki i ołówki.

– Wspomniałeś kiedyś, że malujesz, nie? Wobec tego narysuj mój portret na tym tle.

Obdarzyła go porozumiewawczym uśmiechem i puściła doń oko.

– Nie będziesz rozczarowana...

Czekali w ten sposób, podczas gdy Thomas regularnie podnosił do góry swój szkic, aby pokazać nielicznym przechodniom, co tu robią.

Późnym popołudniem przed domem generała zwołał lexus, który skręcił w alejkę, aby zaparkować. Od strony kierowcy wyskoczył dziarski, wysoki blondyn i otworzył tylne drzwi, przez które wysiadł starszy mężczyzna.

– To na pewno on – stwierdziła Yael. – Ma szofera, tylko tyle!

Osilek podszedł do drzwi wejściowych i nacisnął dzwonek. Otworzyła mu kobieta około czterdziestki. Jej wygląd i postawa świadczyły o tym, że to służąca. Wpuściwszy obu do środka, zamknęła

je z powrotem.

– Jest ich troje – szepnął Thomas. – To nie ułatwi nam zadania.

– Chyba zdarzają się chwile, kiedy jest sam, nie?

– Zważywszy jego stan, wcale nie jestem pewien.

Po godzinie oczekiwania i spekulacji ujrzeni, jak szofer wychodzi, żegnając się z pokojówką, wsiada do lexusa i znika na końcu ulicy.

– Jeden mniej – stwierdził Thomas.

– Idziemy.

Thomas się skrzywił.

– Przecież nie będziemy tu sterczeć cały tydzień! – upierała się Yael. – Skoro Bonneviel napisał, że Petersen ze mną porozmawia, to porozmawia.

Kiedy zeskoczyła z ławki i ruszyła naprzód, Thomasowi nie pozostało nic innego, jak zrobić to samo.

Zadzwonili do białych drzwi.

Pojawiła się w nich pokojówka.

– Dobry wieczór – powiedziała lekko zaskoczona.

– Przyszliśmy zobaczyć się z panem Petersenem, to bardzo ważne – oświadczyła Yael płynną angielszczyzną.

– Państwo są...

– Proszę mu powiedzieć, że jesteśmy od Henri Bonneviela. Proszę mu powiedzieć, że Bonneviel nie żyje.

– Sądzę, że byłoby lepiej, gdyby zadzwonili państwo jutro...

– Nie, musimy z nim porozmawiać teraz. To bardzo ważne.

Nazywam się Yael Mallan.

Pokojówka zacisnęła usta, rozdarta między instynktem obronnym a natarczywym, lśniącym wzrokiem młodej kobiety.

– Proszę zaczekać, zobaczę, co da się zrobić – ucięła, zamykając drzwi.

Otworzyła je z powrotem po niecałej minucie.

– Proszę za mną.

Yael i Thomas przeszli przez salon na werandę, za którą rozpościerał się wspaniale utrzymany ogród. Stary generał, spoczywający na długim drewnianym szezlongu, z bosymi stopami położonymi na trawie, mierzył wzrokiem to jedno, to drugie. Następnie wskazał dłonią dwa krzesła, na których usiedli. Przed zachodzącym słońcem osłaniał ich parasol wbity w ziemię.

– Maggy, proszę przynieść oranżady – polecił świszczącym głosem.

– Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć, generale Petersen – powiedziała Yael.

– Kto to jest? – zapytał generał, pokazując na Thomasa.

– Mój anioł stróż.

Petersen przypatrzył się jej uważnie. Jego niebieskie oczy iskrzyły się jak rozżarzone węgle. Mimo wieku zachował całkowitą przytomność umysłu. Yael odwzajemniła jego spojrzenie. Pod jego niemal przezroczystą skórą okrywającą kości było widać zielone żyłki. Był całkowicie łysy.

Yael wpatrywała się niemal w stulecie historii. Oto te dłonie dotykały Kennedy’ego, te usta z nim rozmawiały.

Jeśli wierzyć opowieściom Kamela, to one wydały rozkaz zabicia prezydenta.

– A więc przysyła panią ten łajdak Bonneviel! – zaświszczał.

– On nie żyje...

– Oczywiście, że nie żyje, uparty muł! – zaśmiał się szyderczo starzec. – Nastąpił na odcisk Goatherdowi, posunął się za daleko.

Słyszając nazwisko, które figurowało na szczycie schematu, dziewczyna pochyliła się do przodu.

– Jak to?

Twarz generała wykrzywiła się w grymasie zadowolenia.

– Chciałaby pani wiedzieć, co?

Yael skrzyżowała ręce przed sobą, – Henri Bonneviel kazał mi tu przyjść. Powiedział, że pan ze mną porozmawia.

Wtem znów pojawiła się pokojówka, która postawiła dwie szklanki na niskim stoliku, po czym zniknęła. Petersen wyciągnął ramię, żeby dosięgnąć parasola, i złożył go jednym pstryknięciem, a wtedy zalało go światło zachodzącego słońca.

Złote promienie spadły na sylwetkę starca, otulając go płomiennym płaszczem. Jego oczy zamieniły się w szparki.

– W tym celu trzeba umieć zadawać właściwe pytania – powiedział cicho.

– Dlaczego ja? Dlaczego Bonneviel postanowił przysłać mi te wszystkie wiadomości?

– Bo grał w pewną grę.

– Ze mną?

Petersen milczał przez chwilę.

– Nie, pani jest tylko pionkiem. Jedyna rzecz, jaka się liczy w tej grze, to gracze i sposób, w jaki zwyciężą. Pani zaś była pionkiem jego przeciwnika, Jamesa Goatherda.

– Ja?

Petersen powoli skinął głową, zatopiony we własnych myślach.

– Dlaczego w papierach Bonneviela obok mnie była wzmianka o moich rodzicach?

– Najpierw musi pani zrozumieć, na czym polega gra. Proszę przyjąć do wiadomości, że nie używam tu metafory, oni rzeczywiście grają. To coś więcej niż rozrywka. To gra, która nie ma końca, planszą zaś jest cały świat. Celem jest władza. Nieustanna demonstracja między graczami. Przy pewnego rodzaju hierarchii, która zmienia się w zależności od pozycji każdego z nich.

– Jest ich więcej niż dwóch?

– Tak. Nie znam dokładnej liczby, ale jest ich zaledwie garstka.

– Cienie – mruknął Thomas.

– Rzeczywiście, taką nazwę przyjęli między sobą, chociaż ona się zmienia w różnych epokach.

– Jak się gra w tę grę? – zapytała przez zaciśnięte zęby.

– To wyścig po pieniądze?

– Nie, pieniądze to nagroda dla zwycięzców. W tym celu należy zdobyć punkty. Drabiną tych punktów zaś jest Historia przez duże „H”. Właśnie w Historii są zapisane zwycięstwa.

– W jaki sposób?

– Przez manipulację. Każdy gracz dysponuje funduszami swoimi i swoich partnerów. Musi znaleźć sposób (nieważne jaki), żeby je nie tylko zachować, ale na dodatek pomnożyć. Z tym, że nie może postępować byle jak! Musi koniecznie igrać z Historią. Manipulować

nią, bawić się ludźmi. Najczęstszym zaś sposobem używanym przez graczy są...

– Zbiegi okoliczności – dokończyła Yael, przypomniawszy sobie wszystko, czego dowiedziała się w ciągu ostatnich tygodni. – Zabójstwo Lincolna, Kennedy’ego...

Petersen przyglądał się jej przez spowijający ją woal światła.

– Zgadza się. Widzę, że Bonneviel naprowadził panią na właściwą drogę. Ta gra to owoc megalomanii i ambicji miliarderów w niepohamowanym wyścigu po władzę, po „ciągle więcej”. W końcu zebrali się razem i zaczęli sobie rzucać wyzwania. Te tajne wyzwania stały się potrzebą. Zasada, którą należy się kierować, żeby dodać pieprzyku codziennemu życiu.

– To... patetyczne – przerwała Yael.

– Nie tak znowu! Proszę sobie wyobrazić tubylcze dziecko, które żyje gdzieś w głębi amazońskiej puszczy. Nie będzie się ono czuło nieszczęśliwe tylko dlatego, że nie ma najnowszej zabawki Star Wars. Skacząc na splecionych lianach, które służą mu do zabawy, jest tak samo spełnione jak dzieciak amerykański. To kwestia środowiska, punktów odniesienia. Tak samo jest z Cieniami. To ludzie, którzy dorastali, mając wszystko, absolutnie wszystko, a przynajmniej mają wszystko dzisiaj. Tylko, że zamiast poprzestać na rządzeniu własnym imperium, każdy w swoim kącie, w paranoicznej samotności, wymyślili sposób, aby nadać sens, bardziej monumentalne znaczenie swoim czynom. Po prostu dostosowali reguły do własnego środowiska, do własnego poziomu.

– Obliział spierzchnięte wargi, po czym mówił dalej: – Kiedy pewne osoby należące do Cieni zdecydowały, że Kennedy sprzeciwia się ich interesom, opracowały plan mający na celu wyeliminowanie go. Jednocześnie dbając o to, żeby nastąpiło ono według starannie określonych kryteriów. Wiem, że to wielka sprawa, ale proszę sprawdzić, ile jest zbieżności między zabójstwami Lincolna i Kennedy’ego, a sama się pani przekona. „Przypadek” nie jest praktyczny aż do tego stopnia. W Historii przez duże „H” występuje zbyt wiele zbiegów okoliczności, żeby można było zaprzeczyć istnieniu jakiejś siły zewnętrznej.

Yael walczyła z sobą, by zapanować nad własnym oburzeniem.

– Kim obecnie są Cienie?

– To mężczyźni i kilka kobiet. Podzielili między siebie duchowe dziedzictwo przodków. To ludzie, którzy zawsze potrafili się poruszać w kręgach politycznych, jednocześnie sami rzadko rzucając się w oczy. Wiedzieli, jak pokierować społeczeństwem. Postawili na ropę przed dwudziestym wiekiem i po cichu zrobili wszystko, żeby stała się ona kurą znoszącą złote jajka. Zainwestowali w transport i zapewnili rozkwit ery komunikacji. To logiczne, że stopniowo przejęli media, aby utworzyć imperia w erze informacji. W pierwszej wojnie światowej wywłachali potencjał, jaki stanowi przemysł wojskowy, i zagarnęli go dla siebie. Druga wojna światowa potwierdziła ten potencjał i przyniosła im jeszcze większe bogactwa. To jeden z najbardziej smakowitych interesów świata, ale trzeba o niego dbać. Kennedy ostro się przeciwstawił tej polityce. Nie zgodził się na interwencję zbrojną na

Kubie i przeciwko Rosjanom, nie chciał konfliktu z Wietnamem.

– Wobec tego Cienie go zlikwidowały.

Znów na jego twarzy ukazał się szyderczy grymas.

– Tylko niech pani nie robi świętego z JFK. Niektórzy mówią, że ostry sprzeciw wobec tych ludzi miał na celu jedynie faworyzowanie własnego klanu, jeśli pani rozumie, co mam na myśli...

Yael otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, Petersen nie dał jej jednak dojść do słowa.

– On nie należał do kompleksu militarno-wojskowego, jak go nazywacie. Interesy Kennedy’ego wcale nie opierały się na wojnach. Może pani być jednak pewna, że gdyby nie zginął, troszczyłby się o imperium należące do własnej rodziny, tak jak wszyscy inni.

– Był pan w tamtych czasach generałem – wtrącił Thomas dwuznacznym tonem.

Petersen przestał się uśmiechać.

– Nie jestem Cieniem, jeśli chcecie wiedzieć – odparł.

– Moja praca zawsze polegała na odgrywaniu roli pośrednika.

Właśnie dlatego Bonneviel odesłał panią do mnie, panno Mallan.

Yael dostała gęziej skórki, słysząc, jak mężczyzna wymawia jej nazwisko świszczącym głosem.

– Co pan wie o mojej rodzinie?

– To, co James Goatherd raczył mi powiedzieć.

– Goatherd?

– Tak. Chciała pani nazwisko jednego z Cieni, to proszę. Na dodatek postaci historycznej. Zdaje się, że jego dziadek należał do tych,

którzy zrobili najwspanialszy numer wszech czasów: Titanica!

– Czytaliśmy takie pogłoski – wtrącił Thomas. – To bzdura. Nikt nigdy nie dokonałby czegoś takiego. To niemożliwe do zorganizowania!

– Tak pan sądzi? Doprawdy ich pan nie docenia. Proszę zaczekać na to, co nam szykują, słyszałem, że ma nastąpić coś wielkiego. Tak potężnego, że nikomu nigdy nawet nie przyjdzie do głowy, że to zaplanowany numer.

– Co takiego?

Thomas się wyprostował.

– O tym się szepcze w kularach...

Wówczas Yael przejęła pałeczkę:

– Czego Goatherd chce od mojej rodziny?

– Tego, czego chcą wszystkie Cienie! Manipulowania wami, kontrolowania was. Dlaczego? Tego nie wiem. Za to wiem jak.

Yael wstała, nie mogąc tego dłużej znieść.

– Proszę usiąść – rozkazał lodowatym tonem.

Yael natychmiast posłuchała.

– Często postępują w ten sposób. Jak już mówiłem, wiem, jak to się odbywa, często byłem przecież pośrednikiem między Cieniami a tymi, którzy mogli im się przydać. Kiedy tylko upatrzą swoją ofiarę, zbierają wszystkie możliwe informacje na jej temat. I powoli ją osaczają. Goatherd wybrał panią z nieznanego mi powodu, prawdopodobnie dlatego, że pani rodzina jest dość spokojna i mniej związana niż inne. Śledził panią. Jego ludzie co jakiś czas sporządzali

raporty na pani temat, a on aprobował przedstawione propozycje albo nie. Na przykład wiem, że w wieku szkolnym była pani bardzo dobrą biegaczką. Do tego stopnia, że mogła pani myśleć o karierze sportowej. Ale to się kłóciło z jego planami. Sportsmenka wysokiego kalibru jest za bardzo oblegana, otoczona zbyt wielkimi względami, Goatherd miałby więc kłopot w śledzeniu pani, przede wszystkim zaś nie mógłby z panią robić tego, co chciał. Wobec tego kazał zorganizować... wypadek.

Yael zakręciło się w głowie. Wpiła palce w poręcz fotela.

– To było ryzykowne. Mogła pani równie dobrze wyjść z tego z kilkoma siniakami, a potem wrócić do sportu, jak i zamienić się w warzywo. Goatherd wolał podjąć ryzyko niż postawić na pani krzyżyk. Wypadek okazał się majstersztykiem. Spowodował dokładnie to, co trzeba: nie uszkodził żadnych organów wewnętrznych, tylko jedno biodro, za to w wystarczającym stopniu, żeby na zawsze przekreślić karierę sportową.

Yael otworzyła usta, żeby nabrać powietrza. Serce tłukło jej się jak szalone.

Podszedł do niej Thomas. Wziął ją za rękę.

Petersena rozbawiła jego reakcja.

– Goatherd wykorzystuje panią – ciągnął – podobnie jak dziesiątki innych osób. Niech pani nie stara się dowiedzieć dlaczego, bo nigdy się pani tego nie dowie. Tylko on to wie. Najczęściej zadowala się kontrolowaniem cudzego życia wyłącznie po to, żeby mieć w ręku pionki rozsiane po całej ziemi, tak na wszelki wypadek. To jego sposób

gry.

– Dlaczego pańskie nazwisko pojawia się obok nazwisk Jamesa R. Goatherda i moich rodziców? – wykrztusiła zimno Yael.

Petersen dostrzegł w jej szarych oczach determinację zabarwioną głuchą wściekłością.

– Właśnie do tego zmierzamy. Skontaktował się ze mną w zeszłym roku, żeby mi powierzyć pewne zadanie.

Yael zeszywniała.

– Jakie zadanie?

W jej oczach było tyle gniewu, że stały się tnące niczym brzytwa.

– Takie, jakie zazwyczaj dla niego wykonywałem. Mam sieć znajomych, wypracowaną przez dziesiątki lat. Przez jakiś czas byłem pośrednikiem między życzeniami pana Goatherda a ich realizacją, wcielaniem jego woli w życie. Tego typu przysługi oddawałem również Henri Bonnevielowi. Jestem trochę jak... organizator, jeśli można tak powiedzieć. To znaczy byłem.

– Czego chciał od moich rodziców?

Petersen odczekał chwilę, spoglądając Yael prosto w oczy.

– Zlikwidować ich.

Yael poczuła się tak, jakby otrzymała cios w splot słoneczny. Musiała zaczerpnąć spory haust tlenu, żeby utrzymać się na nogach.

Carl Petersen płonął, odsłaniając prawdę. Zachodzące słońce pożerało go stopniowo.

– Dokładnie rok temu James R. Goatherd wręczył mi teczkę z informacjami o pani rodzicach. Powierzył mi zadanie zabicia pani matki w wypadku. Chciał, żeby to się stało szybko, w miarę możliwości w piątek trzynastego, po prostu dla symboliki. Co do pani ojca, Goatherd chciał, żebyśmy przygotowali wszystko dużo wcześniej i żeby to się stało podczas jego podróży do Indii. Z tego, co wiem, pani ojciec ma zwyczaj planowania swoich tras i był śledzony już od wielu miesięcy. Miałem w rękach kompletne dossier. Mimo to nie kazałem nic zrobić. Powiedziałem Jamesowi R. Goatherdowi, że jestem tym wszystkim zmęczony. Zmęczony całą tą pracą w cieniu, wszystkimi tymi drobiazgowymi planami. Zlikwidowanie ojca rodziny i matki dla uwieńczenia mojej długiej kariery nie stanowiło dla mnie... motywacji. Odrzuciłem prośbę. Goatherd źle to przyjął, ale zdaje sobie sprawę, że zdarzało mi się pracować także dla innych Cieni. Głównie dla Bonneviela. Wobec tego po prostu odebrał teczkę i o mnie zapomniał. Przypuszczam, że przekazał sprawę innemu współpracownikowi.

Yael zebrała wszystkie siły umysłu, żeby się nie załamać. Ścisnęła dłoń Thomasa.

Skradziono jej życie.

Jej matka została zamordowana. Przez Goatherda.

Koszttem bolesnego wysiłku odsunęła na bok cierpienie, aby

skupić całą uwagę na istocie, którą miała przed sobą. Na potworze.

– Skoro pan odmówił, jak pan wytłumaczy fakt, że pańskie nazwisko figuruje w dokumentach Henri Bonneviela?

– Bo ten idiota szpieguje Goatherda, to część ich gry! Ale jego informacje nie są aktualne!

– Mógł go pan ostrzec – zasugerował Thomas – skoro był pańskim „przyjacielem”.

– Chodzę jeszcze po tym świecie właśnie dlatego, że nigdy nie kąsam ręki, która mnie karmi. Ani Goatherda, ani nikogo innego. A kiedy nadeszła pora... bilansu, po prostu postanowiłem odejść całkowicie na emeryturę. Goatherd na pewno to rozumie. Myślę, że on... – Petersen musiał po raz kolejny zwilżyć spękane wargi. – Bonneviel jest taki jak ja – ciągnął. – Stwierdził, że to wszystko zabrnęło za daleko, o wiele za daleko. On chce... Chciał położyć temu kres. Ale gdyby działał wprost, nie tylko naraziłby na niebezpieczeństwo swoje finansowe imperium, ale miałby na karku Goatherda wraz ze wszystkimi konsekwencjami, które może sobie pani wyobrazić. Bonneviel musiał się więc zwrócić do kogoś innego. Kogoś, kto nie należy do Cieni. Kto nie ma z nimi nic wspólnego, z kim nie można by go powiązać.

Yael przełknęła ślinę. Domyślała się reszty. Tymczasem Petersen mówił dalej:

– Przypuszczam, że uruchomił swoją siatkę, żeby szpiegować Goatherda, żeby się dowiedzieć, co on knuje. I wtedy natrafił na panią. Postanowił, że musi pani się wszystkiego dowiedzieć, poznać całą

prawdę. Prawdopodobnie miał nadzieję, że kiedy wszystko wyjdzie na jaw, wydobędzie to pani na światło dzienne. Ale zdaje się, że Goatherd przejrzał zamiary przeciwnika i że mu się to nie spodobało. W ostatecznym rozrachunku Bonneviel wszystko stracił.

– Dlaczego Goatherd interesował się mną i moją rodziną?

Głos Yael drżał, policzki płonęły. Pod powiekami miała łzy, które mogły zaraz popłynąć.

– Tylko pani go interesuje, osaczenie pani rodziny miało na celu wyłącznie ugodzenie w panią. Dlaczego? Tego nie wiem. Podobnie jak nie znam przyczyn i motywów decyzji Goatherda. Zadowolam się spełnianiem jego życzeń w zamian za wygodną emeryturę i pewność, że moje dzieci i wnuki będą miały za co godziwie żyć w świecie, gdzie pieniądze stanowią jedyne zabezpieczenie.

– Skoro Bonneviel chciał wszystko zwalić, jednocześnie sam się chroniąc, to dlaczego odkryłam, że był zamieszany w moją historię? – zapytała, zaciskając pięści.

– Przypuszczam, że tego nie chciał. Musiała pani być sprytna. Gdyby wszystko odbyło się tak, jak zaplanował, nigdy by pani nie odkryła nawet jego nazwiska. Działał zbyt szybko, to błąd, którego nigdy nie wolno popełniać! Możemy bez problemu przejąć kontrolę nad cudzym życiem, pod warunkiem, że będziemy mieć wystarczająco dużo czasu. To jedyny warunek.

Yael źle się czuła. Mdłości spowodowała ta mieszanina buntu, strachu i żalu, która ścisła jej trzewia.

– Dlaczego Goatherd chce zabić mojego ojca?

– Nie mam pojęcia.

– Jak mogę go powstrzymać przed zabiciem ojca?

Petersen zwilżył wargi.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Nie pytam pana o zdanie. Chcę wiedzieć, co mam zrobić! –
wykrzyknęła.

– Pani nie rozumie – pokręcił głową. – Nawet jeśli pani ojciec
nie został zamordowany aż do tej chwili, machina jest tak wielka, że nie
można jej już zatrzymać. To sieć, na której uruchomienie potrzeba dużo
czasu i którą rzadko da się zahamować, jeszcze rzadziej niż torpedę!

Yael nagle olśniło. Rewolwer w plecaku. Tuż przy niej.

– Chcę wiedzieć – powiedziała powoli – co mam zrobić, żeby
uniemożliwić Goatherdowi zabicie mojego ojca. Nie zamierzam tracić
cennego czasu i dziesięć razy powtarzać. Nadąza pan za mną?

Starzec obdarzył ją zmęczonym uśmiechem.

– Żeby zrozumieć Goatherda, musi pani wiedzieć, jak to
wszystko działa. Weźmy przykład. Proszę sobie wyobrazić grupę
terrorystów, biednych fanatyków zwerbowanych w dzielnicach nędzy,
ludzi pozbawionych nadziei i pełnych nienawiści, którym zrobiono
pranie mózgu za pomocą doktryn anty-co-tylko-chcesz, przez
precyzyjne i dokładnie wyważone bombardowanie ideologiczne. Jak
dotąd, nie ma w tym nic specjalnie oryginalnego. Tylko kto werbuje
tych nieszczęśników, kto ich kształtuje i przygotowuje do służenia
terrorystycznej sprawie? Ludzie, którzy siedzą w tym jeszcze głębiej,
którzy pozostają pod wpływem jednej czy dwóch ważnych osób

przekazujących im rozkazy, te zaś z kolei są wspierane przez ludzi będących u władzy, przez finansistów tej grupy. Zawsze rozkazy wydaje ten, kto wykląda pieniądze. A z kim pracuje ten cały sponsor? Kto umożliwia mu robienie interesów? Czy nim też ktoś manipuluje? Piramida między drobnym terrorystą, który wysadza się w tłumie przechodniów, a wysoko postawionym osobnikiem jest dosyć... monumentalna. Często trudna do odtworzenia. A skoro piramida ma silną strukturę, za fanatycznymi, religijnymi czy innymi może skrywać prawdziwe cele, które nie mają nic wspólnego z motywacją kamikadze.

– Co pan usiłuje mi powiedzieć?

– Że pewien bardzo potężny człowiek z Wall Street może być życiowym partnerem... na przykład saudyjskiego milionera. Ich fortuny są ogromne, ale kruche, i opierają się na ich serdecznym porozumieniu. Może się zdarzyć, że przez ogniwa łańcucha ten nowojorski finansista ponosi odpowiedzialność za zamachy terrorystyczne dokonane przez młodego fanatyka na drugim końcu świata.

– Jak pan może tak mówić? To... podle!

– Biedna naiwna istoto, zdziwiłaby się pani, wiedząc, na co jest gotowych wielu bez skrupułów za kilkaset milionów dolarów!

– Po co Amerykanin miałby zlecać zamach terrorystyczny dziesięć tysięcy kilometrów od własnego domu? To nie ma żadnego sensu!

Petersen splótł dłonie przed twarzą i zacisnął usta. Najwyraźniej koczyło go, żeby odpowiedzieć, ale się powstrzymał.

– Geopolityka jest złożona, moja droga – odrzekł tylko.

– Ale ten przykład powinien pani pomóc zrozumieć imponujący łańcuch dowodzenia istniejący między tym, kto podejmuje decyzje, a tym, kto je urzeczywistnia. Temu ostatniemu nawet nie przyjdzie do głowy, że to, co robi, nie ma nic wspólnego z tym, w co wierzy i dla czego oddaje życie. To tak skomplikowane, że nawet sam zleceniodawca nie może przewidzieć, jak i kiedy się sprawy potoczą. Jest tak wiele trybów, że nawet gdyby zleceniodawca postanowił wszystko odwołać, trwałoby to całe tygodnie, o ile w ogóle byłoby jeszcze możliwe! Nie wystarczy podnieść słuchawkę. Wracając do naszego przykładu, nowojorczyk musiałby się skontaktować ze swoim saudyjskim współnikiem, dać mu do zrozumienia, lecz nie mówić wprost, że wolałby przerwać działania destabilizacyjne, następnie Saudyjczyk przekazałby rozkaz tym, którzy grają rolę duchowych przywódców, często działających w ukryciu, a więc trudnych do uchwycenia, oni z kolei powinni nawiązać kontakt z szefem komórki, który przygotował akcję w terenie i który powinien porozumieć się ze swoimi ludźmi, żeby odwołać, zmodyfikować operację lub przełożyć ją na inny termin. To wymaga tygodni, a nawet miesięcy. Właśnie ta złożoność schematu organizacyjnego powoduje powolność, ale jednocześnie sprawia, że jest tak doskonały, niemożliwy do rozgryzienia. Nigdy nie da się ustalić związku między kilkoma nieszczęsnymi fanatykami, którzy wysadzają ambasadę, a prawdziwym mózgiem operacji. Potrafię zrozumieć, że wielkie wydarzenia historyczne nie mają w sobie nic z przypadku. Historia jest w rękach garstki jednostek. Ich jedynym sumieniem zaś są władza i pieniądze.

Yael myślała tylko o jednym: o ojcu.

– Panie Petersen, właśnie pan powiedział, że Goatherd wydał rozkaz zamordowania mojego ojca, ale że pan nie jest w stanie go odwołać, zgadza się?

Gospodarz natychmiast uniósł dłoń.

– Ja nie wydałem rozkazu. W żadnym razie nie ponoszę odpowiedzialności za ewentualną śmierć pani ojca! Zerwałem współpracę z Jamesem Goatherdem jakiś czas temu. Jestem tym wszystkim zmęczony. Ale chcę pani uświadomić, że jeśli Goatherd uruchomił tę operację, prawie niemożliwością jest ją odwołać. Nawet gdyby zaraz wydał rozkaz.

– Zawahał się nieco, po czym dodał: – Nawet gdyby Goatherd umarł dzisiaj, nie sądzę, żeby dało się powstrzymać to, co puścił w ruch.

Starzec pokręcił głową i rzekł na koniec ponuro:

– Jeśli mogę pani dać dobrą radę: proszę się nie zastanawiać „dlaczego akurat ja”, Goatherd nigdy pani tego nie powie. Nigdy. Ale może być pani pewna, że nie przeżyje spotkania z nim. Proszę więc cieszyć się życiem i uciekać.

Blog Kantela Kasira. Fragment Jedenasty

Strach pozwoli zapewne garstce osobników ukształtować społeczeństwo według własnego widzimisię. Strach pozwoli zmienić twarz społeczeństwu.

Pozwoli na kontrolę nad narodem. I nad światem.

Na nowy porządek świata.

Oto, co dzieje się na naszych oczach.

*Nowy porządek świata, który może się okazać bardziej szczegółową wizją tego słynnego Project for the New American Century – PNAC (projektu dla nowego amerykańskiego stulecia), organizacji mającej na celu „militarną i gospodarczą dominację Ziemi, cyberprzestrzeni i przestrzeni wokół Ziemi przez Stany Zjednoczone, aby ustanowić ich panowanie nad światem na co najmniej jeden wiek”. We wrześniu 2000 roku PNAC opracowuje raport zatytułowany *Rebuilding America’s Defenses*, który proponuje i planuje atak na Irak, wskazując jednocześnie, że aby usprawiedliwić atak na Irak i dominację Stanów Zjednoczonych nad światem, potrzeba „nowego Pearl Harbor”.*

To nie jest żart! Organizacja, której założenia kojarzą się nieodparcie z pewną starą, przerażającą doktryną, zakładającą panowanie przez tysiąc lat, ma swoją siedzibę w Waszyngtonie, pod numerem 1150 przy Siedemnastej.

Chcicie wiedzieć, co jest w tym najbardziej szalone? Otóż wśród starych i nowych członków znajdują się między innymi Dick Cheney, Donald Rumsfeld, Paul Wolfowitz, Jeb Bush (brat prezydenta)

oraz Richard Perle. Ciągłe ci sami. Ludzie pozostający w cieniu prezydenta, ci, którzy naprawdę rządzą krajem.

Mając zatem na uwadze, że ludzie ci głoszą tego rodzaju idee, warto skupić się nad ostatnimi wydarzeniami.

Jestem taki, jak wiele osób – interesuję się trochę geopolityką. I jakoś nie mogę uwierzyć, że w całym Pentagonie, we wszystkich ministerstwach, wszystkich agencjach informacyjnych i w całym Białym Domu pracowali wyłącznie skończeni idioci. Może pozornie... ale nie w rzeczywistości. Podobnie jak wszyscy ludzie na ziemi, oni doskonale wiedzieli, jakie będą skutki inwazji na Irak, jakie wywoła ona napięcia. Po co więc to robić?

Dla zapewnienia krajowi bogactw ekonomicznych?

To jedno.

Ale nie tylko, bo inaczej Stany Zjednoczone zaraz napadłyby na Wenezuelę dla jej ropy naftowej, na Nigerię dla uranu oraz na Afrykę Południową dla złota i tak dalej. Za tym wszystkim kryje się coś innego.

Od samego początku oni robią wszystko, żeby napięcia rasowe się wzmogły.

Nie ma sensu dodawać, że w Stanach Zjednoczonych postępowano tak jak na całym świecie – ustalano, skąd się bierze terroryzm i na czym się opiera. Oni doskonale wiedzą, że napadając na Irak, podsycą już i tak nieźle tłący się ogień.

Zwłaszcza jeśli ciągle będą cytować Słowo Boże, twierdzić, że Bóg zapewni im całkowite zwycięstwo nad terroryzmem... Jestem skłonny uwierzyć, że George W. Bush nie ma dość sprytu, żeby pojąć,

co się dzieje na świecie, ale wszyscy ci, którzy pozostają w jego cieniu i którzy rzeczywiście rządzą narodem, oni dobrze wiedzą, co robią.

Postępując w ten sposób, rząd amerykański nie tylko nie wypłeni terrorystów, ale wręcz przeciwnie, przysporzy ich jeszcze więcej, ciągle nowych... Oni zaś zapewnią spójność narodu amerykańskiego w opowiedzeniu się za ultrakonserwatywnymi wartościami wyznaczanymi przez skrajną prawicę, która w rzeczywistości rządzi krajem, jednocześnie umożliwiając zawarcie setek kontraktów koncernom przemysłowym zbliżonym do Białego Domu, które to kontrakty pozwolą z kolei sprawić, że naród amerykański przelknie bez szemrania jeszcze wiele restrykcji ograniczających jego wolność osobistą.

Celowość: na użytek mas tworzy się prawdziwie manichejską wizję świata, z dobrymi niewiernymi z Zachodu z jednej strony i sympatycznymi Arabami-terrorystami z drugiej, podczas gdy autorzy tej wizji nabijają sobie kabzę, upewniając się zarazem, że są przywódcami i że nimi pozostaną, przynajmniej przez jakiś czas, nawet po opuszczeniu Białego Domu.

Wizję manichejską, ale dwustronną, gdzie każdy klan żywi przekonanie, że to on jest tym dobrym i prześladowanym, i że ma wszelkie prawa, żeby się zemścić i zniszczyć wroga w spirali bez końca, która może trwać dziesiątki lat. Najbardziej jaskrawym tego przykładem jest mesjasz narodów: telewizja. Na CNN oglądamy konflikt izraelsko-palestyński wraz z obozami żydowskich dzieci okaleczonych przez bomby palestyńskich terrorystów, gdy tymczasem Al-Dżazira pokazuje dzieci palestyńskie rozrywane przez bomby Tsahalu. W ten sposób

każdy klan, który uzyskuje subiektywne informacje, jest przekonany, że to on padł ofiarą drugiego, okrutnego wroga, z którym należy walczyć.

Członkowie PNAC to nie są niewiniątka.

Głoszą niepodzielne panowanie Stanów Zjednoczonych.

I od dawna przygotowują swoje plany.

Opanowali Biały Dom. Aby rozprzestrzenić własne ideały na całym świecie. I aby znaleźć swojemu krajowi nowego wroga.

Terroryzm.

Pretekst. Żeby zasiać strach, żeby przeforsować nowe ustawy, żeby zapewnić sobie władzę, żeby zdobyć bogactwo i kontrolować świat.

Taka jest rzeczywistość. Rzeczywistość nowego świata, który powstaje z naszej niewiedzy.

Yael zerwała się na równe nogi, szukając czegoś w plecaku.

W jej dłoni pojawił się rewolwer wycelowany w Carla Petersena.

– Niech pan tak nie mówi! – wrzasnęła cała we łzach.

Mężczyzna spoglądał na nią twardo.

– Lepiej by pani zrobiła, zamykając gębę – rzucił ze spokojem.

– Sąsiedzi zaraz wezwą policję.

Thomas również wstał, zbity z tropu z powodu szalonego gestu swojej towarzyszki, po czym wyciągnął ręce, żeby ją uspokoić.

– Chcę wiedzieć, gdzie jest Goatherd! – warknęła.

– Panno Mallan, sądziłem, że jest pani bardziej pojętna. Dla tych ludzi pani nie istnieje. Robak. Oto, czym pani jest w ich oczach. Jeśli się pani do nich zbliży, rozgniotą panią. Ale może właśnie tego pani pragnie...

Thomas powoli wyciągnął dłoń ku Yael, która ciągle trzymała broń wycelowaną w Petersena. Lufa rewolweru drżała.

– Nie zamierzam czekać, aż mój ojciec da się zabić, żeby spełnić tajemnicze pragnienia jakiegoś porąbańca, który wziął mnie sobie za cel – powtórzyła, zmieniona na twarzy.

Generał potarł czubek nosa.

– W takim razie – odrzekł – wybór jest prosty: albo pani wyładuje swoją złość, idąc do Goatherda, a wtedy zginie pani na miejscu, albo przelknie pani dumę i emocje, i zgodzi się zapłacić cenę

za świadomość, jaki naprawdę jest świat. Owszem, już zawsze będzie pani tłumić w sobie tę zimną wściekłość, przynajmniej jednak będzie pani żyła. Być może pozostanie pani kukłą Goatherda, jego zabawką, ale za to będzie pani wiedziała. Stanie się pani jedną z tych osób, które uważa się za paranoików, bo wiara w to, co mówią, byłaby zbyt bolesna. Jedną z nawiedzonych.

Yael z trudem przełknęła ślinę. Rewolwer na końcu ramienia ważył tonę. Huk w skroniach i łomotanie serca dostroiły się do jednakowego rytmu.

Opuściła broń, mrugając oczami. Thomas rzucił się natychmiast, aby ją podtrzymać i przytulić.

Chwycił jej twarz w swoje gorące, pełne życia dłonie, zmuszając, by popatrzyła mu w oczy, i napełniając czułą otuchą.

Uspokoila się.

Po czym ruszyła powoli ku wyjściu, nie zaszczycając Carla Petersena ani jednym spojrzeniem.

Thomas zrobił krok w jej stronę, zatrzymał się jednak i odwrócił ku starcowi.

– Jak na człowieka, który przez całe życie dochował tajemnicy, sądzę, że sporo jej pan powiedział.

Petersen uśmiechnął się zagadkowo.

– Nigdy nie zdradzę sekretu żadnemu dziennikarzowi. Ale byłem winien Bonnevielowi tę ostatnią przysługę. Teraz ona wie, a ja dotrzymałem słowa. Niebiosa lubią, kiedy ludzie płacą swoje rachunki.

Yael zniknęła ze świata żywych.

Przez kilka pierwszych minut, siedząc na chodniku pod budką telefoniczną, słyszała ciągle i ciągle na nowo, jak w uszach rozbrzmiewa jej głos mężczyzny, który właśnie oznajmił przez telefon:

– Z przykrością muszę panią poinformować o śmierci ojca, który zginął dziś rano podczas eksplozji minibusu wiozącego turystów na drodze do New Delhi. Właśnie otrzymałem potwierdzenie jego tożsamości i...

Po rozstaniu z Petersenem biegła ulicą, oszalała z rozpacz, dopóki Thomas jej nie dogonił i nie powstrzymał. Odprowadził ją do hotelu, gdzie padła na łóżko wykończona. W środku nocy wstała z powrotem niczym zombie. Poszła do budki telefonicznej, żeby spróbować się dodzwonić do hotelu, w którym mieszkał jej ojciec. Nie mogli jej z nim połączyć, ponieważ wyjechał. Zadzwoiła na lotnisko w New Delhi, nie dowiedziawszy się jednak niczego, zwróciła się w końcu do ambasady francuskiej w Indiach. Powiedziała, że musi się natychmiast skontaktować z ojcem, to sprawa życia lub śmierci. Wyrzeszczała swoje nazwisko do słuchawki. Wówczas nastąpiła długa cisza, po czym poproszono ją, żeby zaczekała. Następnie zajął się nią jakiś bardzo uprzejmy mężczyzna. Poprosiwszy, by powtórzyła swoje nazwisko, zmienił ton, zapytał, czy jest córką François Mallana, i unaoczniał jej cały koszmar.

Potem zapytał, gdzie ona teraz jest. Musi się stawić jak

najszybciej na Quai d'Orsay. Ale Yael już nic nie słyszała. Ostrze bólu przeszło już bowiem jej ciało i duszę, oddech zaś zamarł, sparaliżowany czkawką. Po czym zasnęła na długo, wyrzucając z siebie nienawiść, wyrwaną z serca miłość, straszliwy bezsilny gniew.

Thomas znalazł ją godzinę później, wstrząsaną niepohamowanym łkaniem. Zaniósł ją do łóżka, gdzie spała dalej.

Cała jej istota jęła się powoli rozpalać. Z godziny na godzinę.

Wszystko, czym była. Wszystko, co kochała. Wszystko, czego pragnęła. Wszystko się pomieszało, po czym zniknęło ze świadomości, obracając się powoli wokół centralnego punktu, jakim jest zapomnienie.

Wszystko zapadło w iluzję, w nierzeczywistość jej egzystencji.

Nic nie było prawdziwe.

Uczucia się rozpląnęły w niej samej.

Wspomnienia również.

To nie było jej życie.

Od jak dawna manipulowano jej dniem codziennym?

Czy jej pierwsza miłość była prawdziwa? Czy nie postawiono jej na drodze jakiegoś chłopca, żeby wepchnąć następnie w jego ramiona? Czy studia były owocem jej własnego wyboru, czy też wynikiem manipulacji?

„Kłamstwa”.

Wypadek na skuterze.

Tamten mężczyzna, który wymusił pierwszeństwo pod jej domem. Tak sympatyczny i jeszcze bardziej zaszokowany od niej, że ją potrafił.

„Kłamca”.

Matka... Rozwód rodziców.

Wypadek samochodowy...

„Kłamstwa”.

Kontury zaczęły się zacierać.

Płynęła między dwiema rzeczywistościami. Pijana od zawrotów głowy.

Spała. Obudziła się zrana potem.

Biały świt.

Który zabija, ponieważ przywraca nas do rzeczywistości lęku i bólu, uświadamiając nam, że to nie był tylko zły sen.

Zaczęła na nowo. Wstrząsana cichym krzykiem.

Snem-schronieniem, sarkofagiem łez, gdzie dzień nie chciał zaglądać.

Gdzieś z daleka dochodził do niej głos Thomasa. Który do niej mówił. Który ją poił.

Głosy, które znała, ale których nie była w stanie rozpoznać, robiły harmider. Twarze nakładały się jedna na drugą.

Po czym z tego szkwału zrodziła się faza odbudowy.

Jej umysł zamienił się w gigantyczną salę archiwum, w którym wszystko zaczęło się porządkować i rozdzielać według odmiennego systemu. Stare szufladki wyskoczyły, w otchłaniach nieświadomości zaś miały powstać nowe powiązania.

Pewnego poranka Yael obudziła się wyczerpana.

Nie doznawała żadnego szczególnego uczucia.

Nic, tylko wrażenie, że tuż za oczami znajduje się buczący mur. Który odgradzał ją od zbyt świeżego bólu.

Nie czuła się ani dobrze, ani źle, była po prostu rozbudzona. Wiedziała, że może tak trwać, pod warunkiem że będzie uciekała od emocji. Że nie wyłobią one szczelin w tym ochronnym murze.

Nie będzie więcej płakać. Nie będzie więcej sięgać do pamięci.

Może działać. To już jakiś plus.

I wiedziała, co robić.

Thomas przyglądał jej się bez słowa. Niepokój, jaki dostrzegła w jego oczach, nie robił na niej wrażenia. Informacja została zarejestrowana, ale nie dotarła do głębi.

Oświadczyła drewnianym głosem:

– Muszę odnaleźć Jamesa Goatherda.

Niedziela, 9 września.

Róg Sto Ósmej i Lexington Avenue.

Manhattan, Nowy Jork.

Przyjechali poprzedniego dnia, dosyć późno, po tym, jak Yael wydostała się z długiego i niepokojącego otepienia.

Kamel przekazał adres Goatherda do Nowego Jorku.

W pierwszej chwili Thomas chciał przemówić Yael do rozsądku, żeby dała sobie czas na dojście do siebie, żeby odpoczęła i przemyślała wszystko. Prędko jednak zdał sobie sprawę, że uczepliła się celu, jakim było znalezienie Goatherda, tylko po to, aby się nie załamać. Nie pograżyć w otchłani. Ten mężczyzna stał się piekłem jej życia.

Wbrew temu, czego można by się spodziewać po reputacji Upper East Side, kilka bloków na północy nie miało w sobie nic mieszczańskiego. Wędrowali ulicą pełną opuszczonych domów, w których wszystkie otwory zostały zamurowane. Z jeszcze zamieszkanymi budynkami dobiegała muzyka latynoska, sklepy zaś – obskurne spożywcze sprzedające wszystko i byle co – niknęły za lepkiem od brudu wystawami.

Zajmowali mały, przytłaczający pokój w nędznym, ale dyskretnym hotelu, gdzie nie trzeba było dużo płacić i nie zadawano pytań. Klimatyzacja już nie działała, toteż musieli wziąć zimny prysznic, żeby móc zasnąć.

Thomas zjawił się późnym rankiem, niosąc plik gazet i trochę zapasów. Pocił się obficie; ulice zdawały się wyparowywać pod ostrym słońcem, które paliło miasto od trzech dni.

Potrzebował trochę czasu, żeby po oślepiającym świetle na zewnątrz oswoić się z półmrokiem panującym w pokoju. Yael siedziała na łóżku wsparta plecami o ścianę, z nogami pod brodą, w wilgotnej pościeli.

– Przyniosłem wszystko, co znalazłem na temat gospodarki – oznajmił Thomas. – W nadziei, że będzie tam coś o Goatherdzie.

– Dzięki Internetowi zaoszczędzilibyśmy tydzień szukania.

– To zbyt ryzykowne – uciął od razu.

Odsunąwszy brzegi zasłon, zerknął na dół, ocierając czoło grzbietem dłoni.

– Co zamierzasz zrobić, kiedy się już o nim czegoś dowiesz? – westchnął Thomas.

– Spotkać się z nim.

– Po co?

Nie odpowiedziała.

Thomas usiadł obok niej.

– Zabicie go nie rozwiąże problemu – szepnął. – Naciśniesz spust i co potem? Widok jego eksplodującej czaszki nie przywróci życia twoim rodzicom.

Wstała i poszła do łazienki, żeby się odświeżyć. Nowy Jork dosłownie się roztopiał.

Przeglądali dokładnie prasę z całego tygodnia, pilnie

wypatrując, czy nie pojawi się gdzieś nazwisko Goatherda. Pogryzali kanapki, nie opuszczając pokoju, i pili mnóstwo butelkowanej wody.

Wczesnym popołudniem Yael przykryła twarz mokrym ręcznikiem. Po czym zapytała, zwrócona do Thomasa:

– Nie mógłbyś poprosić właściciela, żeby nam dał chociaż wentylator?

Thomas zszedł do recepcji i musiał czekać pięć minut, zanim ktoś zareagował na jego dzwonicie. Wrócił z pustymi rękami.

Kiedy pchnął drzwi do pokoju, spostrzegł, że plecak Yael zniknął.

Zajrzał do łazienki wiedząc, że to nie ma sensu.

Na stoliku leżała kartka. Krótki list napisany w pośpiechu.

Nie mogę dłużej Cię w to wciągać. Muszę to zrobić. Wybacz mi.

Opadł na łóżko z dłońmi splecionymi za głową.

Teraz był wóz albo przewóz. Nie mógł się dłużej wtrącać. Już i tak dużo zrobił.

Znacznie więcej niż to było w planach.

Thomas nie miał żadnych wątpliwości, że dziewczyna sobie poradzi i znajdzie Jamesa Rhodesa Goatherda nawet bez jego pomocy. Ale czy będzie brnęła aż do końca?

Prawdopodobnie.

Co się z nią wtedy stanie? Aresztują ją. Czy uznają ją za wariatkę? A może popełni samobójstwo?

Thomas wołał o tym nie myśleć. Zresztą to i tak już nie zależało od niego. Zrobił więcej niż powinien.

Uśmiechnął się ze ściśniętym sercem.

To zadanie nie należało do najmniej przyjemnych.

Trzeba przyznać, że tym razem zaangażował się, przekraczając granice rozsądku. Naprawdę coś wspólnie przeżyli.

Trudno będzie o niej zapomnieć.

Ale właśnie w tym celował, wykonując swój zawód.

I słono mu za to płacili.

Yael wsiadła do metra, chcąc oddalić się od Thomasa.

On nie może jej odnaleźć.

Spoglądała na migające za oknami stacje, usiłując zapomnieć twarz człowieka, który ofiarował jej tak wiele w ciągu ostatnich miesięcy. Opuszczała go, celowo zapominając o poczuciu winy. Uciekała, żeby nie wciągać go w tę spiralę.

Cały ten koszmar to była wyłącznie jej sprawa. Jej życie, a nie życie Thomasa. Dzięki temu miał szansę na nowo rozpocząć egzystencję, chociaż po powrocie do Francji będzie potrzebował trochę czasu i będzie musiał złożyć parę wyjaśnień.

Dla niej wszystko zatrzymało się u Petersena.

Niewiele ją obchodziło, co się z nią stanie. Teraz myślała wyłącznie o jednym: znaleźć Goatherda i kazać mu zapłacić. Co do reszty... nie zaprzętała tym sobie głowy. Jej życie nie wybiegało poza zemstę.

Ruszyła Bleecker Street Station i po kilku minutach znalazła kafejkę internetową. Na Manhattanie rozkwitały one tak szybko jak piekarnie we Francji.

Wyjąwszy z kieszeni garść banknotów, które wzięła z zapasu powierzonego im przez Kamela, zafundowała sobie czterogodzinne połączenie.

James Rhodes Goatherd.

Już sama tylko ogólna wyszukiwarka wyrzuciła dziesiątki stron.

Wchodziła po kolei na każdą z nich, przeglądając je w pośpiechu.

Zajęło jej to blisko trzy godziny.

Zatrzymała się dłużej na zdjęciach.

Na każdej fotografii Goatherd miał jakieś pięćdziesiąt lat, szpakowate włosy, głębokie zmarszczki na nieskazitelnie ogolonej twarzy. Nie było w nim nic oryginalnego. Yael czuła niemal rozczarowanie. Był to zwyczajny, niewyróżniający się wśród innych biznesmen, który o sobie dbał. Obwód w pasie wskazywał na nieznaczne odchylenia od zbilansowanej diety w stronę wykwintnych dań. Miał całkowicie banalną twarz.

Zrobiła sobie krótką przerwę, żeby kupić kawę w automacie.

Zlokalizowanie Goatherda zajmie jej więcej czasu niż przypuszczała. Musi wynająć pokój w hotelu. W jakimś spokojnym miejscu. Poza Manhattanem, w dzielnicy nieco bardziej oddalonej od *skyline* przemysłowców wysokich lotów. W Queens albo na Brooklynie.

Wróciła do komputera z postanowieniem, że przystąpi do bardziej szczegółowych poszukiwań według dokładniejszych kryteriów. Najpierw pełne imiona i nazwisko z różnymi dopowiedzeniami typu „mieszka”, „adres” albo „siedziba”, następnie spróbowała ze słowem „wrzesień”.

Właśnie na stronie, która wyświetliła się po wpisaniu miesiąca, przeczytała, że James Goatherd ma spotkanie na Manhattanie w poniedziałek, 10 września.

„Jutro”.

O piętnastej, przed udaniem się na wieczorny wernisaż, miał przewodniczyć zebraniu rady nadzorczej. Jego rozkład zajęć widniał na stronie internetowej artysty, który podkreślał, jaki to wyczyn i zaszczyt mieć wśród gości na wernisażu samego pana Goatherda. Goatherd był jego sponsorem.

„Kolejne oszustwo” – pomyślała Yael.

Miliarder bawił się tym malarzem, podobnie jak robił to zapewne z większością otaczających go ludzi, aby zrealizować swoje tajemne zamiary.

Na ulicy w ogóle nie zwróciła uwagi na mężczyznę ze słuchawkami od walkmana na uszach, który właśnie się pojawił i który się szykował, żeby ruszyć jej śladem.

Yael zjadła kolację w małej restauracji w Queens, nad brzegiem East River. Żuła bez apetytu i odeszła od stolika wczesnym wieczorem.

Po drodze do hotelu zrobiła coś, co ją zaskoczyło. Podniosła słuchawkę telefonu publicznego, zadzwoniła do informacji i poprosiła o numer hotelu, w którym zostawiła Thomasa.

Właściciel połączył ją z pokojem dziennikarza, który odebrał po trzecim dzwonku. W jego głosie słychać było nieufność.

– Thomas, to ja.

– Yael! Gdzie jesteś?

– Posłuchaj... Chciałam ci to powiedzieć głośno i wyraźnie: nie bierz tego do siebie, po prostu nie powinienesz dłużej mi towarzyszyć. To zaszło zbyt daleko. Wróć do dawnego życia. Przy mnie nie spotka cię nic dobrego.

– Nie mów tak. Powiedz lepiej, gdzie jesteś, to zaraz przyjadę.

– To, co powiedziałam Petersenowi, było szczere: naprawdę uważam cię za mojego anioła stróża. Spełniłeś swój obowiązek. I dzięki tobie byłam bardzo szczęśliwa. Szkoda, że nie spotkaliśmy się wcześniej...

– Yael, jestem gotów pójść za tobą bez względu na to, co zrobisz, rozumiesz?

Zawahała się. Nie, nie może mu tego wyjawić. To idiotyczne. Zamknęła oczy.

– Wybacz mi – powiedziała miękko.

I odłożyła słuchawkę.

Pokonawszy chwiejnym krokiem jakieś sto metrów, wdrapała się po schodach do pokoju, zostawiając za sobą opustoszałą, gorącą ulicę.

Wtem z zaułka wyłoniła się czyjaś postać i podeszła do telefonu.

Osobnik włożył plastikową rękawiczkę, chwycił słuchawkę i nacisnął klawisz REDIAL.

– Hotel Raglio – odezwał się męski, ochryply głos.

Postać zastanawiała się przez moment, co zrobić dalej.

– Przed chwilą dzwoniła tutaj moja żona, ale zapomniała zapytać naszego przyjaciela o najważniejsze. Proszę mnie połączyć z jego pokojem.

– Ach... Ee... to była zdaje się dwudziestka czwórka. Proszę zaczekać.

Dłoń jednak odłożyła słuchawkę, aby przerwać połączenie.

Mężczyzna zaczął bębnić palcami o pulpit w kabinie.

Namierzył dziewczynę.

I prawdopodobnie jej współnika.

Jeśli padnie rozkaz, żeby ich zlikwidować, zakończy robotę jeszcze przed świtem.

Kiedy będą spali.

Nie będą się bronić. Nawet nie zdadzą sobie sprawy z tego, co się dzieje.

Yael wstała wcześniej, wyprzedzając upał.

Poszła na spacer brzegiem rzeki, po czym wróciła po bagaż, zanim nastąpiło południe.

Opuszczając pokój, sprawdziła rewolwer. Kule były lśniące, ciężkie. Włożyła je z powrotem do bębena i zamknęła. Przed całą tą sprawą nigdy jeszcze nie miała broni palnej. Czuła w ramieniu coś w rodzaju drżenia. Broń ciążyła jej w dłoni. Myśl, że od jednego naciśnięcia palcem czyjeś życie może się zakończyć, sprawiała dziwne wrażenie. Wystarczy wycelować we właściwą osobę, a cała historia obierze inny kierunek. Rewolwer przypominał pilota.

Zaprogramowanie przyszłości. Sposób na pozbycie się kłopotu i przeskoczenie na inny kanał w ciągu jednej sekundy.

Yael schowała go do plecaka i zamknęła drzwi.

Dotarłszy na Manhattan metrem, wysiadła przy Piątej Alei i aż do Pięćdziesiątej Szóstej szła w palącym słońcu.

Czarny biurowiec, w którym James Goatherd miał spotkanie, znajdował się przed jej oczami. Był to lśniący, czarny wieżowiec, w którym odbijały się fasady otaczających go budynków i błękitne niebo, nie sposób było jednak dojrzeć, co dzieje się w środku.

Yael dostrzegła w tym ironię. Po tym, co przeżyła z lustrami, to była wisienka na czubku tortu.

Zaczekała po drugiej stronie ulicy. Pot zaczął odmierzać kolejne minuty, spływając dużymi kroplami wzdłuż kregosłupa.

Wkrótce przed piętnastą przed wejściem zatrzymała się biała limuzyna. Wysiadł z niej James Goatherd. Mimo upału miał na sobie nieskazitelny garnitur, pod pachą zaś trzymał teczkę z czarnej skóry. Niemal natychmiast zniknął wewnątrz budynku.

Yael nie zauważyła postaci stojącej niecałe dwa metry od niej. Gotowej ruszyć do akcji.

Przeszła na drugą stronę, żeby dostać się do holu. Cień deptał jej po piętach.

Za obrotowymi drzwiami rozciągał się świat świeżości, uśmiechów na zawołanie i wygody.

Yael poszukała wzrokiem Goatherda. Właśnie wchodził do windy.

Rzuciła się naprzód, żeby zdążyć, nim drzwi się zasuną. Postać z tyłu również puściła się biegiem.

Goatherd, Yael i jej strażnik znaleźli się razem w obszernej chromowanej kabinie.

Dziewczyna nie zwróciła uwagi na kolosa, który szykował się, żeby ją unieszkodliwić.

Wpatrywała się w Goatherda.

Miliarder pochylił się ku niej, by obejrzeć ją od stóp do głów.

Jego skóra miała niemal elastyczną fakturę. Garnitur podkreślał postawę, dłonie zaś były starannie wypielegnowane. Od całej postaci aż biło dobre samopoczucie i elegancja.

Yael zajrzała mu głęboko w oczy.

Goatherd powoli zamrugnął powiekami.

Jego rysy nie zdradzały najmniejszych emocji.

Mimo to Yael wiedziała, że ją poznał.

Włożyła dłoń do plecaka.

Wtem w jej uszach, niczym trzaśnięcie biczem, rozległ się głos trzeciego pasażera:

– Proszę zostawić ręce na widoku.

Na karku poczuła oddech pachnący miętą, który musnął jej włosy.

– Na pani miejscu bym posłuchał – powiedział sucho Goatherd.

Yael ogarnął gniew.

„Ale nie jesteś na moim miejscu. Nie zmusisz mnie do posłuszeństwa”.

Złapała za kolbę i wyciągnęła broń z plecaka.

Nagle cała kabina zawirowała, twarz Goatherda zaś zaszła mgłą, gdy biała błyskawica oślepiła Yael, a ból powędrował aż do mózgu.

Nogi się pod nią ugięły, po czym zwała się na podłogę, nie zdolawszy zamortyzować uderzenia ramionami. Głowa rąbnęła o czerwoną wykładzinę.

Ostatnią rzeczą, jaką widziała, był James Goatherd, który kręcił głową z pogardliwym grymasem i poprawiał węzeł krawata.

Głowa zmiądzona w imadle.

Yael otworzyła oczy... Dwie stalowe szczęki ścisnęły jej czaszkę, rozgniatając mózg.

Leżała wyciągnięta na skórzanej kanapie, z dłońmi skrupowanymi cienką plastikową taśmą, która kaleczyła jej nadgarstki.

Spróbowała się podnieść, aby sprawdzić, gdzie się znajduje, lecz o mało nie rozsądziło jej czaszki. Nie było to żadne imadło, po prostu piekielna migrena.

Powolutku przewróciła się na łokciu.

Był to salon przypominający angielski pub, cały w lakierowanym drewnie. Jedna ściana składała się z samego szkła. Na szczycie czarnego wieżowca. Na jej oczach Manhattan wyruszał właśnie na podbój nieba, rysując horyzont złożony z fasad, które prześlizgiwały się w zawrotnej wysokości.

Widząc słońce przez ciemną szybę, Yael domyśliła się, że nad miastem ciąży przytłaczający upał. Salon był wyposażony w klimatyzację, toteż panował w nim prawie chłód.

Opadła z powrotem oszołomiona.

Po czym znów pogrążyła się w nieświadomości.

Kiedy otworzyła ponownie oczy, było ciemno.

W skroniach nadal jej huczało, z każdym uderzeniem serca

czuła ból.

Tym razem nie spieszyła się z siadaniem.

Miała zdrętwiałe ramiona, plastikowe kajdanki zaś przecinały skórę.

W pokoju, oświetlonym jedynie miejską luną Manhattanu, było ciemno.

W rogu świeciło małe czerwone oko. Kamera...

Oblizwała wargi, miała sucho w ustach i zeszywniały kark.

Za stojącymi naprzeciwko dwiema kanapami Yael dostrzegła biurko, całkowicie wolne od papierów.

Wtem czerwona dioda kamery zgasła.

Jakieś dziesięć minut później otworzyły się drzwi do salonu.

Do pokoju wkroczył James Rhodes Goatherd, kiedy zaś przechodził, zapalił się rząd kinkietów na ścianie.

– Należy pani do uparciuchów, prawda? – powiedział w nienagannej francuszczyźnie.

Zdjął marynarkę.

Przemierzywszy bezszelestnie pokój, otworzył minibarek.

Yael była zamroczona.

Nalał sobie bourbona, po czym przyniósł szklanekę wody, którą postawił przed Yael na niskim stoliku. Zauważyła na serdecznym palcu obrączkę, na małym zaś sygnet. Następnie chwycił ostry nóż i wycelował w nią.

– Niech pani uważnie posłucha, nie należę do cierpliwych. Nie dam pani drugiej szansy na rozmowę. Jeden nieodpowiedni gest i

koniec naszej krótkiej pogawędki.

Co mówiąc, przeciął jej więzy.

Yael patrzyła, jak się cofa i siada naprzeciwko.

Złapała szklanekę i wypila duszkiem.

– Mogłem kazać panią zlikwidować wczoraj w nocy, ale tego nie uczyniłem. A co pani robi w zamian? Przychodzi tu pani z bronią w torebce, żeby... właściwie co? Grozić mi? Zabić mnie? – Pokręcił głową. – Niezbyt sprytny plan – roześmiał się kpiąco.

Yael usłyszała własny głos, daleki i zachrypnięty:

– Pieprzę pana...

Goatherd przewrócił oczami.

– Ależ... Proszę zauważyć, że nie czuję wobec pani niechęci. Mam prawie ochotę powiedzieć, że to nie pani wina.

– To pan mnie do tego doprowadził...

Zamknęła oczy na krótką chwilę, aby odpędzić brzęczenie bombardujące uszy.

– Jak pan mógł mi to zrobić! – wycodziła powoli. – Moje życie, rodzina...

Na twarzy Goatherda odmalowało się rozdrażnienie.

– Dość tego! Niech mi tu pani nie zgrywa zapłakanej ofiary, nie znoszę, jak ktoś się nad sobą uzala.

Yael wpatrywała się weń z uwagą. Gniew powrócił.

Tymczasem miliarder mówił dalej:

– Codziennie na miliony ludzi spadają dramaty, ale oni się z nich otrząsają i idą dalej. Prowadziła pani ciche, banalne życie, my

tylko dodaliśmy mu odrobinę pieprzyku...

– Proszę nie mówić „my”, niech pan ma odwagę powiedzieć „ja”! Ukradł pan to, kim jestem. Moje wybory. Rodziców.

– Ja? – zdumiał się Goatherd z uśmiechem. – Ja? Niezupełnie ma pani rację. Proszę przyznać, że to by było głupie z mojej strony, gdybym to wszystko zrobił. I po co? Po to, żeby pewnego dnia wpadła tu pani z bronią w rękę? – Wzruszył ramionami. – Proszę się zastanowić, moja droga! To by nie miało sensu!

– Nie przewidział pan tego... Przykro mi, że niszczę pańskie marzenia, Goatherd. Nie może pan wszystkiego kontrolować.

Skrzyżował ręce na piersi, wyraźnie znudzony, że ona może tak myśleć.

– To prawda, że odnalezienie pani po wyjeździe ze Szwajcarii zajęło nam sporo czasu. Wie pani, Agencja Bezpieczeństwa Narodowego to olbrzymia instytucja. Jej dyrektorzy to wojskowi i cywile, którzy pracowali kiedyś w różnych firmach i mają poparcie polityczne. Człowiek taki jak ja kontroluje część tego poparcia i tych firm. To oznacza, że mam swoje dojścia w agencji. Ścigali panią dla mnie. A wczoraj, kiedy wpisała pani moje nazwisko do wyszukiwarki, szpiegowski program, mający za zadanie śledzenie każdego, kto skutecznie poszukiwania określonych nazwisk, w tym mojego, zaczął panią namierzać. Dokonał analizy pani dynamiki uderzeń i... Cudownym zrządzeniem losu pasowała ona do niejakiej Yael Mallan, umieszczonej w bazie danych na podstawie jej komputera osobistego w Paryżu. Zapewne to pani nie zdziwi, że program dotarł do punktu, w

którym połączyła się pani z Internetem, niedaleko stąd, i przekazał wiadomość człowiekowi zajmującemu się tą sprawą. Pani nazwisko figurowało na liście, którą dostarczyłem Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Kiedy tylko mnie powiadomiono, wysłałem swojego człowieka, żeby panią namierzył. – Rozłożył ręce. – I tyle. Podoba mi się wyraźna prostota tego wszystkiego. Mogłem panią zlikwidować już dziś w nocy.

Nagle spochmurniał.

– To prawda, że moi ludzie usiłowali panią zlikwidować kilkakrotnie, ale im się nie udało. To z powodu ich nieudolności. Ci kretyni z pewnością pani nie docenili.

Yael nie była pewna, czy za nim nadąża.

– Pan jest... Po co mnie pan szpiegował przez te wszystkie lata, po co manipulował moim życiem, żeby w końcu i tak mnie zabić? Bo Bonneviel zamierzał mi wyjawić prawdę? O to chodzi?

Zaczął w niej narastać gniew.

Goatherd pokręcił głową ze smutkiem.

– Grubo się pani myli. Oszczędziłem panią dzisiejszej nocy, ponieważ została pani namierzona, a więc w pewnym sensie unieszkodliwiona. Z początku w Paryżu, później w Szwajcarii zleciłem jednej z moich agencji bezpieczeństwa, która ma nieco „specjalny” wydział, zlikwidowanie pani. Za dużo pani wiedziała. Usłyszawszy jednak, że jest pani tutaj, w Nowym Jorku, uznałem za słuszne dać pani szansę spotkania się ze mną. Po tak długiej podróży, skoro wykazała się pani taką zmyślnością... jest pani kobietą zaskakującą i... zasługującą na

pochwałę. Moi ludzie upewnili się, że nie stracą pani więcej z oczu aż do tej chwili. Z kolei co do pani życia, którym ktoś... manipuluje, to nie mam z tym nic wspólnego.

Yael zmarszczyła brwi. Kpił z niej. Zacisnęła pięści.

Upokorzył ją uśmiechem.

– Zdecydowanie nic pani nie rozumie... Nawet teraz, kiedy Bonneviel powiedział pani tak dużo na temat Cieni, ciągle pani nie rozumie? My nie zdajemy się na przypadek. Lubimy mieć kontrolę. Delikatnie wpływać na ludzi, żeby służyli naszym celom. Przecież to proste! Proszę otworzyć oczy, na litość boską! – Zatoczył ręką koło. – Wszystko albo prawie wszystko, co pani robiła, było zaplanowane! Łącznie z pani obecnością u mojego boku, razem z tą bronią.

Yael przełknęła ślinę. Serce zaczęło jej bić szybciej.

Wówczas Goatherd zadał ostateczny cios, żeby skrócić jej męczarnie.

– To Henri Bonneviel stał za tym wszystkim. Od samego początku. Tak dużo pani wie o naszych metodach, a mimo wszystko nie zauważyła „zbiegów okoliczności”, które miały doprowadzić do zamordowania mnie?

Siedząca na skórzanej kanapie Yael drżała.

– Rozczarowuje mnie pani! – krzyknął Goatherd, przybierając patetyczną minę. – Zagarnąłem sporą część teczki Bonneviela na pani temat. Widziałem, na jakie ścieżki zamierzał panią pokierować. Banknot jednodolarowy, zabójstwa prezydentów... i mimo wszystko nic pani nie zobaczyła? Jakże to? Przecież od początku miała to pani przed samym nosem!

Yael zagłębiła się w kanapie.

– Skull and Bones z Yale, uniwersytetu, na którym studiowałem – zaczął miliarder. – Yale! Przecież to anagram od Yael! A moje nazwisko, które po angielsku znaczy „koziarz”! To zabawna ironia w stosunku do znaczenia pani imienia po hebrajsku, czyż nie? Yael: kozica górską. Jest też imię mojej córki: France, pani kraj. I moje drugie imię: Rhodes. Wraca pani z wakacji, prawda? Była pani na Rodos...

Yael otworzyła usta, ale nie była w stanie mówić.

– Zastanawia się pani, jak on to zrobił, co? – Goatherd aż tryskał radością. – Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Zmyślne połączenie technik komunikacji, marketingu i środków. Na przykład jeśli chodzi o wakacje, jego ekipa zajęła się bombardowaniem pani przez cały rok reklamami zachwalającymi zalety Rodos. Namierzyli agencję biura podróży, którą mijiała pani najczęściej, i załatwili z biurem macierzystym, żeby zaoferowała jej atrakcyjne ceny, dzięki czemu zaczęła ona szczególnie zachwalać wycieczki na Rodos, umieszczając

ten kierunek na wystawie. Dzień w dzień wszędzie widziała pani Rodos po konkurencyjnych cenach. Wystarczyło postawić obok pani w kolejce dwie osoby, które zaczęły rozmawiać o Rodos i o tym, jakie tam były szczęśliwe, a pani umysł, świadomie lub nie, zaczął się interesować tym kierunkiem. To zasada obrazu podprogowego w reklamie wizualnej. Na panią podziałało! Istnieje tak wiele sposobów, żeby „ukierunkować”, „poprowadzić” daną osobę w jej wyborach!

Yael kręciło się w głowie. Gniew osłabł, ustępując miejsca całkowitemu przygnębieniu. Czuła się przygnieciona. Do oczu napłynęły jej łzy.

Tymczasem Goatherd nie przestawał mówić:

– Myślę, że jest tutaj wystarczająco dużo elementów, które nas łączą, żeby Bonneviel mógł dopisać kilka punktów na swojej tablicy wyników. To nie jest niezwykle, ale i tak niezłe. Bo, widzi pani, Bonneviel, kilku innych i ja jesteśmy... współnikami i rywalami, jeśli można tak powiedzieć.

– W ohydnej grze! – rzuciła Yael drżącym głosem.

Goatherd uniósł jedną brew, bardzo zdziwiony.

– Bonneviel zaszedł dalej niż sądziłem! – przyznał. Stwierdziwszy nagle, że się myli, podniósł palec, aby się poprawić: – Jednak nie użyłbym określenia „gra”, to pomniejsza jej wartość i jest wulgarnie. Powiedziałbym raczej, że ustaliliśmy pewne zasady, aby ustanowić i wzmocnić naszą władzę; zasady, które zmuszają nas nie tylko do pójścia w kierunku filantropii, ale pozwalają nam się wyróżniać. Tu nie chodzi wyłącznie o pieniądze, o władzę, Yael. Godna

podziwu jest sztuka sprawowania tej władzy. Weźmy waszego Ludwika XIV: czy zdobyłby aż taką sławę, gdyby był jednym z wielu królów? Nie, oczywiście, że nie! Szanujemy go, ponieważ sprawował władzę z czymś, co określiłbym mianem sztuki. Naznaczył historię własnymi wyborami, własnymi budowlami!

Yael nie wierzyła własnym uszom. Oto on, James Goatherd, amerykański miliarder posiadający nieograniczone wpływy gospodarcze i polityczne, miał własną wizję historii Francji.

– Nasi przodkowie marzyli o nowym, bardziej harmonijnym świecie, o nowym porządku, my zaś usiłujemy go osiągnąć. Nasze metody zapewne nie przypadły pani do gustu, ale są dostosowane do ludzkości.

Goatherd podniósł kieliszek, żeby delektować się aromatem bourbona.

– Z czasem – ciągnął – o ile uda nam się ziścić nasze plany, przyszły świat będzie kładł jeszcze większy nacisk na bezpieczeństwo publiczne. Sprawimy, że kontrolowanie ludzi stanie się równie łatwe jak kontrolowanie towarów. Prawa stopniowo ulegną zmianie, aby zapewnić nam więcej wolności i swobodniejsze rządzenie obywatelami świata, niezbędne dla dobrobytu ludzkości.

– Jak może pan używać słowa „obywatel”? Mówi pan o ludziach, jakby byli pańskimi niewolnikami! Jest pan odrażającym faszystą.

Goatherd uniósł brwi.

– Jest pani naiwną ignorantką, panienko. Nie cierpię ludzi,

którzy uzurpują sobie prawo do rozprawiania o polityce albo gospodarce, chociaż zupełnie się na tym nie znają. Co pani sobie wyobraża? Że ludzie to istoty odpowiedzialne? Że można im pozwolić swobodnie wybierać? Że robią to, co trzeba, żeby sobą zarządzać i zapewniać sobie dobrobyt? Cóż za nedorzecznosc! Cóż za brak przenikliwości! – Na jego twarzy pojawił się nerwowy uśmiech. – Ależ pani się lubuje w wielkich słowach: „Wolność!”, „Demokracja!”, „Faszyści!”. To pojęcia równie uwłaczające i ordynarne jak pani brak obycia w tej materii. Proszę zostawić kwestie polityki tym, którzy wiedzą, co to takiego! Proszę nam pozwolić zadbać o dobro ludzkości!

– Dobro ludzkości pana nie obchodzi, liczy się tylko pańskie. Pańskie bogacenie się! Pańska władza! Oto, co się dla pana liczy.

– Mam mniej uwłaczającą definicję własnych priorytetów! To duchowe dziedzictwo, które panią przerasta. Ja i mnie podobni musimy pomnażać nasze bogactwa, aby móc nadal się znajdować na końcu łańcucha dowodzenia. To nam pozwala nadać społeczeństwu właściwy kierunek, ludzkość jest bowiem w stanie przetrwać jedynie pod kuratelą garstki ludzi. Wszyscy ludzie razem, masy są zbyt kapryśne, żeby pozostawić im całkowitą swobodę. Są jak dziecko pozostawione samo w wielkim domu. Nasza rola polega na czuwaniu nad nimi.

Yael odrzuciła głowę do tyłu. Nagle zaczęła się zastanawiać, jaki jest cel dyskusowania z takim szaleńcem. Powiedziała powoli:

– Bonneviel zniszczył moje życie dla pańskiej głupiej zabawy we władzę, żeby pewnego dnia mogła tu przyjść i pana zabić.

– Proszę tego źle nie odbierać. Bonneviel położył sporo zasług,

żeby wszystko dopiąć na ostatni guzik. Byliśmy rywalami, to prawda. Pragnął zająć moje miejsce, w tym celu zaś musiał mnie wyeliminować. Ale nie było jak! Grając według naszych reguł. Tak, aby z czasem można było się przyjrzeć mojej śmierci i mojemu morderstwu, odsłaniając wiele uderzających zbiegów okoliczności. Wtedy Bonneviel zdobyłby kilka punktów i wzniósłby się nieco wyżej w naszej hierarchii. Tylko, że on oszukał...

Yael wpatrywała się w miliardera.

– Istnieje zasada, której nigdy nie wolno złamać. Polega na tym, żeby nie zdradzać, jak działamy osobom niewtajemniczonym, takim jak pani. Łamiąc ją, wykluczył się z naszego kręgu. Kazałem go zlikwidować, ale tym razem bez ceregieli, nie zasługiwał na żadne starania.

Yael przywołała w pamięci ostatnie tygodnie życia. Bonneviel naszpikował jej mieszkanie najnowszą technologią, żeby ją przestraszyć. Uświadomić istnienie Cieni i ich metod. Sprawić, żeby ogarniał ją coraz większy gniew. Jednocześnie Goatherd odkrył gierki swojego szwajcarskiego rywala, szpiegując go, następnie zaś postanowił wysłać swoich ludzi, aby ją zabili. Pierwszy raz u niej w domu. W chwili, gdy schodziła do katakumb. Podążyli za nią, prawdopodobnie zaniepokojeni światłem pod szklaną taflą w salonie. Yael przeżyła za cenę śmierci kogoś innego.

Która nie budziła w niej już żadnych wyrzutów.

Wszystko zostało skalkulowane. Nawet rewolwer w wąwozie pod Diabelskim Mostem znajdował się tam w ściśle określonym celu.

Kiedy go znalazła, miała wystarczająco zszargane nerwy i wystarczającą paranoję, żeby go wziąć i zatrzymać.

Coś jednak nie dawało jej spokoju.

Nie postępowała przecież dokładnie według logiki Bonneviela.

Wiele razy zachowała się dokładnie odwrotnie. Najpierw wówczas, gdy poznała tożsamość Lubrossa. Następnie samego Bonneviela. Niewiele brakowało, aby jego strategia poniosła zupełne fiasko.

Jakby dla potwierdzenia jej wątpliwości, Goatherd wyjaśnił:

– Chwilami była pani szybsza niż wiatr. Czytałem dossier przygotowane przez Bonneviela, to nie było proste. W gruncie rzeczy jednak wszystko dobrze poszło. Ponieważ pomyślał o najważniejszym: dokładnie panią osaczyć.

Yael spoglądała nań, nie rozumiejąc.

– Zorganizowanie tego było dość delikatną sprawą. Ale Bonneviel musiał się nieźle bawić, zdobywając pani zaufanie.

– O czym pan mówi?

– Raczej o kim?

Posłał jej sadystyczny uśmiezek, bawiąc się kieliszkiem.

– Cóż, aby się upewnić, że wszystko pójdzie jak po maśle, Bonneviel umieścił u pani boku człowieka całkowicie oddanego sprawie, moja droga Yael. Całkowicie oddanego pani sprawie...

Yael rozejrzała się wokół, przerażona. Traciła kontakt z rzeczywistością. Nie... Goatherd kpi sobie z niej. On ciągle gra...

– Thomas... – szepnęła.

– Tak. Pani... towarzysz to nikt inny, jak człowiek na usługach Bonneviela. Włamałem się do jego akt, mogę więc pani powiedzieć więcej na jego temat. Jest naprawdę niezależnym dziennikarzem. To praktyczna przykrywka, żeby podróżować po świecie. W rzeczywistości należy do kręgu Bonneviela. Szwajcarski bankier albo jego współpracownicy płacą mu, kiedy potrzebują wtyczki. Thomas to jego prawdziwe imię. Nie okłamał pani we wszystkim, to dżentelmen.

Yael miała wrażenie, że ziemia usuwa jej się spod nóg. Całe ciało jej zesztywniało. To musi być blef. Jeszcze jeden blef. Żeby jej odebrać rozum.

– Był w kanadyjskim wojsku – ciągnął Goatherd.

– Z jego akt wynika, że następnie zgłosił się na ochotnika do oddziału najemników. Jego motywację stanowiły adrenalina i godziwa zapłata. Właśnie tam zwerbował go człowiek Bonneviela.

– Kłamie pan! Spotkałam Thomasa przypadkowo w barze. Spodobał mi się i to ja go zaczepiłam, a nie odwrotnie.

Istniały niewielkie szanse, że to się stanie. I niech mi pan nie wmawia, że co wieczór siedział w barach, do których chodzę. Thomas ma taki wygląd, że gdybym go zobaczyła, to bym zapamiętała.

Na te słowa Goatherd wyciągnął ku niej otwarte dłonie na znak,

że ma rację.

– Właśnie! – zawołał ubawiony. – Ma taki wygląd, że wpadł pani w oko. Yael, dlaczego po tym, czego dowiedziała się pani o naszych metodach, nie potrafi się pani pogodzić z tym, że to wszystko zostało ukartowane! Jeśli wspomni pani coś o „miłości” i „uczuciach”, odpowiem: hormony, badania psychosocjologiczne pacjenta. Właśnie tym była pani dla Bonneviela i jego ludzi: pacjentką, którą należało przebadać i poznać jej szyfr miłosny. Szpiegowali panią, żeby się dowiedzieć, jakim jest pani typem kobiety! – Założył nogę na nogę, żeby mu było wygodniej. – Statystycznie rzecz biorąc, pary, które długo z sobą wytrzymują, są do siebie podobne. Dotyczy to zarówno cech fizycznych (to nie przypadek, że nasze zaufanie łatwiej wzbudzają osoby wykazujące fizyczne podobieństwo do nas, co zresztą udowodniono naukowo), jak i osobowościowych oraz poziomu wykształcenia. Jak dotąd, nie ma w tym nic szczególnie nowego. – Goatherd podniósł palec. – Widzę, że podchodzi pani do tego sceptycznie, ale proszę mi pozwolić wyjaśnić. Naukowcy już dzisiaj wiedzą, że instynktownie przyciągają nas istoty płci przeciwnej posiadające pewne geny układu odpornościowego, HLA, najbardziej odmienne od naszych. Natura tak to urządziła, żeby dzięki reprodukcji mieszanie się genów wzmacniało naszą odporność. Sprytne! Postrzegamy zaś tę różnicę w większości przez węch! Informacje o genach naszego układu immunologicznego są przenoszone w sygnałach chemicznych, które wydzielamy, głównie za pomocą potu. Skoro jakaś osoba się pani podoba, to znaczy, że ma geny HLA bardzo odmienne od

pani. Oczywiście to instynktowne, ale nasz mózg analizuje otrzymane sygnały węchowe, klasyfikując je w dość prosty sposób binarnie: atrakcyjny lub nie.

Oczy Goatherda błyszcząły, był dumny, że rozszyfrował mechanizm stosowany przez Bonneviela.

– Do tego dochodzi oksytocyna, hormon miłości. Uwalniany przez nasze ciało, kiedy jesteśmy z kimś szczęśliwi. To właśnie również oksytocyna opanowuje mózg w czasie stosunku seksualnego. Teraz, kiedy pani to wszystko wie, może sobie pani wyobrazić działanie Bonneviela. Poszukał wśród pracujących dla niego mężczyzn kogoś, kogo cechuje najwięcej podobieństw fizycznych do pani i kogo geny HLA są najbardziej odmienne od pani genów. W miarę możliwości postarał się również, aby choć trochę przypominał pani ojca, tak samo obcięte włosy, intonacja głosu albo coś innego, żeby przy okazji nakarmić pani Edypa. Następnie dokładnie go poinstruował, co ma mówić. Wystarczyło zaszczepić mu pewną ilość technik, jak choćby patrzenie rozmówcy prosto w oczy, aby wzmocnić jego reakcje uczuciowe, całe abecadło programowania neurolingwistycznego... Nie zapominając o kodach ubraniowych, które się pani podobają... I gotowe.

Yael pokręciła głową. Przecież nie mogli jej kontrolować aż do tego stopnia.

– Bonneviel miał dostęp do najnowocześniejszych laboratoriów, bez trudu mógł więc opracować system, o ile wcześniej taki nie istniał, aby dostarczyć pani oksytocynę za każdym razem, kiedy była pani z

Thomasem. Dolać do szklanki albo wstrzyknąć przez kontakt za pomocą sygnetu czy małych plastrów, sam nie wiem. W dzisiejszych czasach istnieje tyle możliwości nie do wykrycia! Dzięki temu pani mózg otrzymał jasny przekaz: „W obecności Thomasa czuję się dobrze, muszę się więc z nim widywać”. Wystarczyło obserwować, dokąd pani chodzi, i umieszczać tam wcześniej Thomasa. Trzy do czterech dni w miesiącu, nie częściej, i czekać na ten właściwy wieczór. – Puścił do niej oko. – Ostatnia rzecz: jak wiadomo, potrafimy bardzo łatwo określić daty, kiedy ma pani okres, toteż ludzie Bonneviela zadbali o to, aby spotkała pani Thomasa w czasie owulacji, kiedy kobieta jest najbardziej wrażliwa na męskie zapachy. Badania nad pani osobą z pewnością potrafiły wyodrębnić poszczególne czynniki poznawcze, które muszą być spełnione, aby mogła pani poczuć bliskość w stosunku do mężczyzny, Thomas zaś zapewne został odpowiednio poinstruowany. – Usta rozciągnęły mu się w szerokim uśmiechu. – Co do pani, to kiedy tylko uzyskali potwierdzenie spotkania z Thomasem, zwiększyli natężenie przekazów od Cieni, żeby panią nastraszyć i pchnąć w jego ramiona. Idealnie wybrali moment: skoro pani przyjaciele i ojciec wyjechali na wakacje, była pani odizolowana. Tylko Thomas mógł pani pomóc. Iście... diaboliczny plan!

Yael nie była w stanie wykrztusić ani słowa.

Thomas kłamcą? Zdrajcą?

Thomas, który tak bardzo jej pomógł.

Bez którego nigdy nie zdołałaby dotrzeć aż tutaj. Który wydał jej się ostrożny, kiedy chciała za wszelką cenę odnaleźć Henri

Bonneviela. Sprzeciwił się temu. Powstrzymał ją, żeby tam nie szła. Zresztą Bonneviela i tak już nie było, jakby przez przypadek. Yael przypomniała sobie, że gdy byli w hipermarkecie, oddalił się mówiąc, że idzie spróbować złapać Kamela. Czy właśnie wtedy zawiadomił Bonneviela? Thomas posłużył się nią tak samo, jak wszyscy inni. Wspomniał nawet o powrocie do Francji, żeby ją uspokoić, żeby zyskać jej zaufanie!

Yael zamknęła oczy.

– To trudne do przelknięcia – stwierdził Goatherd – przyznając. To jednak nic innego, jak zastosowanie wiedzy naukowej. Z pewnością największą trudność stanowiło znalezienie odpowiedniego mężczyzny. Ale świat jest duży, powiązania i znajomości Bonneviela też, dlatego z czasem i dzięki setkom próbek krwi... wszystko staje się możliwe.

Yael otworzyła oczy, żeby przyjrzeć się siedzącemu naprzeciwko miliarderoi.

– Proszę mi pozwolić zgadnąć – ciągnął. – W ciągu ostatnich dni często zadawała sobie pani pytanie: „Dlaczego akurat ja?”. Prawda? Dlaczego Yael Mallan, młoda, zwyczajna kobieta, została wciągnięta w tak szaloną historię?

Ponieważ milczała, mówił dalej:

– Nie ma w pani nic szczególnego. Nic. Absolutnie nic. Jest pani taka jak wszyscy. Właśnie to nas pasjonuje: mnie, Henri i resztę. Pani bazy danych, przepraszam, informacje na temat pani historii bankowej, ubezpieczenia społecznego, korespondencji mejlowej, dossier podatkowego, medycznego u pani lekarza i psychiatry,

wszystko zostało shakowane, po czym nasze oprogramowanie dokonało weryfikacji. Odpowiadała pani profilowi, jakiego szukał Bonneviel. Oczywiście w pani wypadku obywatel się bez Internetu; w czasach, kiedy szukał kogoś, kto by był podobny do mnie, to była długa, mrówcza praca. Za to dzisiaj wystarczy strzelić palcami. Dzięki, informatyko!

– Ale dlaczego... ja? – szepnęła do siebie Yael.

– Na tym polega niesprawiedliwość systemu! Pasowała pani do tego, czego potrzebował Bonneviel, żeby mnie wyeliminować! Żeby stworzyć maksimum zbiegów okoliczności! Och, mógł zrobić to lepiej! Jednym słowem: była pani interesującą ofiarą. Yael, anagram od Yale. Moje nazwisko, Goatherd, i pani imię po hebrajsku. Imię mojej córki i nazwa pani kraju. Moje drugie imię i pani wakacje... Tak, nadal twierdzę, że mógł to zrobić lepiej. To nigdy nie dorówna powiązaniom między Lincolnem a Kennedym!

– Zniszczył mi pan życie tylko dlatego, że istniało wystarczająco dużo podobieństw między mną a panem, żebym pasowała do pańskiej gry? – upierała się Yael, kręcąc głową.

– Nie było w tym nic osobistego. Pani czy inna, to nie miało znaczenia. Proszę nie myśleć, że mówiąc to, jestem wyprany z wszelkiej empatii. Przeciwnie. Usiłuję oświecić pani drogę, podać pani wszystko na tacy, niech chociaż to do pani dotrze! Wszystko to spadło na panią, ale to mógł być ktokolwiek inny. To się zdarza codziennie ludziom, którzy nie mają sobie nic do zarzucenia. Wystarczy, że mamy taką potrzebę, a znajdziemy odpowiednią osobę. Bez względu na to, gdzie i kim ona jest. Nieważne. Kiedy tylko Bonneviel wkroczył w pani

życie, wiedział o pani wszystko. Bawił się panią, żeby panią psychicznie złamać, żeby panią manipulować do tego stopnia, aż mnie pani zabije. Taki miał cel.

Yael zacisnęła pięści.

– To takie proste. Proszę nie oczekiwać ostatniej fantastycznej rewelacji. Bo takiej nie ma.

Uszczypnął się delikatnie w nos, dumny z siebie.

– Pan ma to w dupie! – zdołała wykrztusić przez łyzy Yael.

Goatherd przyglądał jej się z zainteresowaniem.

– To prawda, mam to w dupie – przyznał okrutnie.

– Tym bardziej że to mój wspólnik panią ukształtował. Pani porażka jest jego porażką, to jego stracony czas, nie mój. Dla mnie jest pani tylko sylwetką w masie. Jutro już pani nie będzie.

– Zabije mnie pan, tak?! – wykrzyknęła.

– Och, proszę się uspokoić, moja śliczna. Gdybym chciał pani śmierci, nie dotarłaby pani aż tutaj. Zgoda, przyznaję, w pierwszej chwili próbowałem panią wyeliminować. Jest pani twarda. Teraz, skoro pani już wszystko wie, pora to nieco wykorzystać, nie? Chciałbym, żeby była pani obecna przy moim zwycięstwie nad Bonneviem. Zgarnę mnóstwo punktów za jednym zamachem: dla siebie, dla interesów własnych i moich wspólników w biznesie. To ja będę rzeźbił przyszłą historię. Z początku w powiązaniu z przeszłością, żeby podwoić wyniki, a potem... żeby poszerzyć moją strefę wpływów.

Wypowiedział ostatnie zdanie niemal z dziecięcą starannością:

– I chcę, żeby siedziała pani w pierwszym rzędzie, kiedy to

nastapi.

Yael spróbowała wstać, lecz doznawszy silnego zawrotu głowy, opadła z powrotem na kanapę.

– Życzy sobie pani odejść? – zapytał Goatherd. – Doskonale. Każę panią odprowadzić. Dzisiejszej nocy będzie pani spała w ciepłe, wygodnie. Spodziewam się, że to panią odmieni.

Odstawiwszy kieliszek bourbona, którego nawet nie tknął, ruszył do biurka, po czym wyjął z jednej z szuflad telefon. Nacisnął jakiś klawisz i wrócił do Yael, trzymając w dłoni żółtą kopertę.

– Proszę ją otworzyć dopiero w obecności Thomasa. Proszę uszanować moją wolę, nawet jeśli go pani teraz nienawidzi! Po tym, co wspólnie przeżyliście, zasługuje tak samo jak pani, żeby przeczytać, co jest w środku.

Położył kopertę na stoliku.

– Ja... Nie sądzę... – wyjąkała Yael – ... żebyśmy miały go jeszcze zobaczyć...

Wcale nie czuła się dobrze. Obraz zaczął jej się zamazywać.

– Moi ludzie odnaleźli jego trop dzięki temu, że pani do niego zadzwoniła. Może być pani pewna, że poinformujemy go o tym, co się stało. *Primo*, nie zabiła mnie pani, *secundo*, wie pani o nim wszystko, *tertio*, nie... wyeliminowaliśmy pani. Myślę, że w związku z tym będzie miał ochotę się z panią zobaczyć wcześniej lub później. Wtedy podzielicie się zawartością tej koperty Wycelował palec w kierunku żółtego prostokąta.

– Brakuje wam prawdy – wyjaśnił. – I pewności mojego triumfu. Przekona się pani. Jutro nastanie nowy dzień, pełen obietnic dla ludzi takich jak ja. Świat zaś się zmieni.

Wycofał się aż do drzwi. Yael chciała się podnieść po raz drugi, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Goatherd przekroczył próg. I posłał jej ostatni uśmiech.

Pełen pobłażliwości.

Yael znów spróbowała wstać, żeby za nim pójść.

Pokazał palcem „nie” i skierował go ku szklance wody, którą przyniósł jej nieco wcześniej.

– Żegnam, panno Mallan.

Pokój zawirował przed oczyma Yael.

Straciwszy równowagę, zwała się na kanapę. Po czym straciła przytomność.

Blog Kamela Hasira. Fragment dwunasty

Znając wszystkie elementy, które właśnie wyluszczyłem, jest rzeczą oczywistą, że wyobrażamy sobie ludzi rządzących Stanami Zjednoczonymi, członków PNAC i garstkę miliarderów u ich boku, dumnych z tego, że w tak krótkim czasie narzucili niemal totalną kontrolę swoim obywatelom i przyznali sobie całkowitą władzę, zwłaszcza że się postarali, aby amerykański Senat 11 października 2002 roku przegłosował rezolucję, pozwalającą od tej pory prezydentowi Stanów Zjednoczonych, ich marionetce, na wypowiedzenie wojny komu tylko chce, kiedy chce, bez przechodzenia przez Senat, a więc bez pytania o zdanie narodu.

Mogę sobie teraz bez trudu wyobrazić tych ludzi, jak przed zamachami z 11 września opracowują makiaweliczny plan. Och, nic nadzwyczajnego, po prostu powyciągali z szuflad kilka starych wojskowych projektów... Unowocześnicie operację Northwoods. Tylko że tym razem okażecie więcej sprytu niż wasi poprzednicy i nie powierzycie jej armii, nie, nie! Sprzymierzycie z waszymi współnikami ekonomicznymi. Każdy klan będzie musiał dostarczyć odpowiednie środki. I każdy klan będzie musiał także dostarczyć własną marionetkę.

Kogo wziąć do tej roli?

Czarną owcę z każdej rodziny.

Dwóch religijnych ekstremistów, żeby na długo zasiać nienawiść. Dwóch osobników, którymi łatwo manipulować. Wystarczy otoczyć ich właściwymi ludźmi. Wystawia się ich na światło słoneczne,

czyniąc z nich symbole nowego konfliktu, który zagraża światu, chociaż tak naprawdę to tylko kukły, których przeznaczeniem jest podsycać tę wojnę.

Żeby jednak rozpalić ogień, trzeba iskry. I to nie małej, bo inaczej nic z tego. Trzeba zadać jednemu z narodów cios w samo serce, aby nim wstrząsnąć, aby był gotów zgodzić się na wszystko. Wobec tego ukierunkowuje się jednego z ekstremistów, dostarczając mu środków, które zapewnią powodzenie. Teraz nikt już nie ma wątpliwości, że terrorizm jest sponsorowany przez petromonarchie. W tym samym czasie robi się wszystko, żeby drugi ekstremista przejął władzę w swoim kraju, aby przygotować ciąg dalszy.

Wiadomo, że Osamą bin Ladenem kierowali i mieli na niego wpływ tacy ludzie, jak Abdullah Azam, ale kto stał za nim, by podsunąć mu właściwy kierunek działania?

Dzisiaj ogień zapłonął - rozprzestrzenił się wszędzie tam, gdzie zadbano o podkładanie materiału łatwopalnego. Ze znanymi nam konsekwencjami oraz tymi, które dopiero nadejdą, a które możemy sobie wyobrazić. Teraz nie sposób już kontrolować tych terrorystów, którzy im sprzyjali, a nawet ich stworzyli, ale to nie takie złe, zapewnia bowiem dziesiątki konfliktów i strach umożliwiający kontrolę współobywateli, zawieranie kontraktów wojskowych, dostarczających pretekstów dla rozszerzenia hegemonii amerykańskiej gospodarki (wraz z saudyjskimi wspólnikami, dopóki ich także nie pożre jankeski ogr) na świecie.

Patrząc, jak wszystko idealnie się ułożyło po 11 września,

można zacząć sobie zadawać pytania. Wojna w Iraku została wcześniej zaplanowana i przygotowana. Wszystkie kłamstwa wysane z palca. Przemysłowe imperia powiązane z Białym Domem i Pentagonem umieszczane w blokach startowych. Zadbano o to, żeby „nakierować” służby informacyjne, takie jak Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, ku bardziej ekonomicznym celom (na przykład za pośrednictwem Echelonu), jednocześnie od ponad dziesięciu lat odbierając CIA wpływy i władzę, aby zastąpić ją prywatnymi firmami, które podzieliły między siebie rynek iracki, te paramilitarne organizacje o super wyposażeniu rekrutują się często z byłych totalitarnych reżimów, jak choćby południowoafrykański apartheid. Prywatne armie, nad którymi ani amerykański Kongres, ani żaden organ reprezentujący jakikolwiek naród świata nie ma żadnej władzy i które słuchają rozkazów wyłącznie przemysłowców...

Kiedy następuje łańcuch zbyt wielu zbiegów okoliczności, może należałoby poszukać innego wytłumaczenia niż „przypadek”. Historia obfituje w niekiedy szalone zbiegi okoliczności. Gdy zaś mieszają się one z silnymi symbolami, trudno nie dostrzec w tym, w taki czy inny sposób, ręki człowieka.

Niedawno pewien gość w Internecie podzielił się ze mną swoimi spostrzeżeniami na temat 11 września. Powiedział, że nie było w tym żadnego przypadku. W dacie zresztą też nie.

11 września 1990 roku George Bush senior wygłosił bowiem przemówienie dotyczące „nowego porządku świata”, który miał nadejść. Jedenaście lat później, dokładnie tego samego dnia, zamachy

wytyczyły oś zmian. Następnie 11 września 2000 roku George Bush junior potwierdził tę wizję, publikując Narodową Strategię Bezpieczeństwa.

11 września 1973 roku demokratycznie wybrany prezydent Chile – Salvador Allende – zginął, ponieważ szkodził i zagrażał polityce zagranicznej i amerykańskim koncernom mającym udziały w wielu krajach. Istnieją poważne podejrzenia, że Henry Kissinger, za pośrednictwem CIA zorganizował zamach stanu, który rozpoczął się od upadku ważnych symboli w Santiago – od zniszczenia dwóch wież: Radio Portales oraz Radio Corporacion. Przez samoloty.

Tego roku Kissinger otrzymał pokojową Nagrodę Nobla.

11 września 2001 roku walą się dwie, jakże symboliczne, wieże World Trade Center, zaatakowane przez samoloty. Henry Kissinger zostaje przewodniczącym komisji śledczej. Ładne zbiegi okoliczności...

A więc tak-przypuszczam, więcej: stwierdzam, że świat nie jest naprawdę taki, jak pokazują w telewizji. Tajemnice geopolityczne rodzą się raczej w gabinetach przedsiębiorców niż rządzących.

I dzisiaj nie wstydzę się już tego napisać: istnieje zbyt wiele elementów obciążających, które się nawarstwiają, żebyśmy mogli nadal przymykać oczy, wierząc w „zbieg okoliczności”, chociaż w rzeczywistości to „manipulacja”.

Do licha, przecież już wiadomo, że rząd Busha otwarcie skłamał na temat broni masowego rażenia, żeby napaść na Irak, oni SKŁAMALI, żeby rozpętać wojnę! Czego więcej trzeba? Mimo oszalałającej listy faktów nadal szukać dla nich usprawiedliwień i

wytłumaczenia?

I pomyśleć, że to było ich najniewinniejsze kłamstwo.

Yael obudził telefon.

Leżała w wielkim, miękkim łożu.

Wszystko zawirowało przez chwilę, po czym stanęło.

Nad jej głową znajdowało się rusztowanie z kutego żelaza. Na ścianach pastelowe tkaniny, wykwintne meble. Duża sypialnia z zasłoniętymi oknami, przez które przenikało słabe światło – musiało być jeszcze wcześniej.

Kolejny dzwonek.

To nie telefon, lecz dzwonek u drzwi.

Yael się wyprostowała. Serce podjechało jej do gardła, kiedy stwierdziła, że została całkowicie rozebrana. Pobieгла do łazienki, której obecności domyśliła się po otwartych drzwiach. Otuliwszy się ciężkim białym szlafrokiem, wielokrotnie ochlapała sobie twarz.

Zobaczyła się w lustrze.

Bruzdy na twarzy. Czerwone oczy.

Gość pod drzwiami uparcie dzwonił.

Na mydlach widniał napis PLAŻA HOTEL.

Yael poszła otworzyć.

Posłaniec w liberii wręczył jej ćwiartkę papieru.

– Dzień dobry pani. Przepraszam, że niepokoję o tak wczesnej porze, ale powiedziano mi przez telefon, że to bardzo pilne.

Yael odebrała wiadomość i zamknęła drzwi.

Przeczytała:

Muszę z Tobą porozmawiać.

Pod spodem widniał adres restauracji z widokiem na panoramę miasta i godzina spotkania – 8. 15.

Całość opatrzone podpisem: THOMAS.

Yael spojrzała na budzik w sypialni – była siódma. „Zaprasza mnie na pożegnalne śniadanie – pomyślała. – Żeby się usprawiedliwić. Albo żeby mnie...”

Nie! Odsunęła od siebie tę myśl. Nie zrobi jej krzywdy.

A przecież był zdolny do najgorszego. Manipulował nią. Wykorzystał ją, otwarcie okłamując, bawiąc się jej uczuciami. Tego, co zrobił, nie da się usprawiedliwić.

Nie ma mu nic więcej do powiedzenia.

Czuła wobec niego jedynie bezgraniczną nienawiść.

Mimo to od razu wiedziała, że pójdzie. Na dnie serca tliła się jeszcze nikła iskierka nadziei: że wyczyta w jego oczach, że to wszystko nie było niczym innym, jak perfidnym kłamstwem Goatherda.

„Nie bądź idiotką...”

Miało to być spotkanie w miejscu publicznym. Żeby uniknąć scen? Żeby jej pokazać, że nie musi się go obawiać?

Yael przełknęła ślinę. Gorzką ślinę.

Miała ściśnięte gardło i żołądek.

Tak bardzo pragnęła, żeby to było kłamstwo, żeby mogła go znów zobaczyć i się do niego przytulić.

Pozwoliła płynąć łzom. Nie zasługiwał nawet na to.

Ruszyła do łazienki, żeby spędzić dwadzieścia minut pod

gorącym prysznicem.

Wkładając ubranie z poprzedniego dnia, spostrzegła leżącą na nim żółtą kopertę. Wzięła ją do ręki delikatnie, nieufnie. Zaskoczyła ją jej lekkość. Spodziewała się niemal wyczuć pod palcami zapalnik bomby. Potrząsnęła. W środku był tylko papier.

Po co czekać z otwieraniem?

Nie miała żadnych zobowiązań wobec Goatherda, mogła ją równie dobrze otworzyć teraz.

Dziwnym trafem nic nie zrobiła. Thomas. Jakaś część jej czepiała się jeszcze kurczowo wspomnienia tego, przez co razem przeszli.

Schowała kopertę do plecaka. Rewolwer zniknął.

Po czym wyszła z budynku na spotkanie prawdy.

Położona na ostatnim piętrze wieżowca restauracja górowała nad całym Manhattanem. Wszystkie stoliki były niemal puste, z wyjątkiem kilku zajętych przez garstkę pracujących na niższych kondygnacjach mężczyzn i kobiet, którzy wpadli tutaj na poranną kawę.

Yael spostrzegła Thomasa, który siedział przy oknie. Wpatrywał się w horyzont i w słońce, którego promienie rozpraszały się na setkach drobinek na szybie.

Zajęła miejsce naprzeciwko niego, bez słowa.

Ich spojrzenia się spotkały.

Wtedy się upewniła, że Goatherd nie kłamał.

Koniec z uwodzeniem, koniec z porozumiewawczym uśmiechem. Nic, tylko mężczyzna, który ją obserwuje, dźwigając ciężar tego, co zrobił.

– Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie – powiedział spokojnie. – Zrobiłem to, bo taką mam pracę.

Ściskając całą siłą woli zasuwę jazu, który utrzymywał łązy, Yael zdołała nad sobą zapanować. Zwarła szczęki, gardło zaś pęczniało od łez, o mało jej nie dusząc.

– Ty... – wyszeptała. – Ty jesteś najohydniejszy z nich wszystkich.

Cofnął się na krzesło, zaciskając usta.

Po kilku chwilach, podczas których podziwiał krajobraz, oświadczył:

– Chociaż nie to chciałybyś usłyszeć, streszczę ci moją rolę, ale nie wstawaj, żeby ulotnić się przed końcem mojej opowieści. Robię to dla ciebie, żeby przepędzić z twojego umysłu ducha Thomasa, którego znałaś.

Po czym opisał, jak się do niej zbliżył, potwierdzając wszystko, co mówił James Goatherd. Był przy niej, żeby ją ukierunkować, pomóc jej posuwać się naprzód, aby na koniec poszła zabić Goatherda. Opowiedział również o tym, co nie zostało zaplanowane: że popędził zobaczyć się z Olivierem Languinem. Zgodnie z założeniem, Thomas miał zdobyć nazwisko Languina, ale pod żadnym pozorem się do niego nie zbliżać. Bo Languin miał umrzeć w nocy. Żeby wystraszyć Yael. Tylko, że ona dotarła aż do jego miejsca pracy. Thomas zrobił wszystko, żeby złapać go przed Yael, chciał z nim bowiem porozmawiać, ale facet się przeraził. Wprawdzie Lubrossowi udało się załatwić z nim porachunki, ale wszystko o mało się nie zawaliło, bo Yael akurat tam była. Thomas obawiał się, że powiedzą o jedno słowo za dużo, a wtedy ona może wszystko zrozumieć.

Przypomniała sobie, jaki był nerwowy, gotów skoczyć na Languina, w tamtej chwili pomyślała sobie, że to po to, żeby ją chronić, tymczasem chodziło o to, by go uciszyć.

Yael zaskoczyła Thomasa, kradnąc spalone dokumenty, chociaż gdy popatrzeć z dystansem, pozwoliło im to zyskać na czasie. Bo nie wszystko szło zgodnie z planem. Ludzie Goatherda postanowili się bowiem włączyć i wyeliminować Yael, zmuszając ją do opuszczenia mieszkania, dokąd Bonneviel mógł przesyłać jej wiadomości. Trzeba

było improwizować. Zdążyć, zanim rzezimieszki Goatherda zidentyfikują Thomasa i wszystko zepsują.

Pozwalając przemówić spalonym papierom, Thomas odzyskał kontrolę, żeby wciągnąć dziewczynę w dalszy ciąg zagadki.

Broń, którą znalazła, posłużyła wcześniej do zabicia Lubrossa. Początkowo miała służyć do zabicia Languina, ale skoro został on otruty przez swojego szefa, Bonneviel rozkazał zmienić plany. Poświęcili Lubrossa. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, Yael strzeliłaby w końcu z tego rewolweru do Goatherda, władze zaś odkryłyby wreszcie krwawy szlak, jakim podążała. Uznano by to za atak szału ładnej samotniczki, która zabiła starego człowieka w Herblay bez żadnego wyraźnego powodu, po czym napadła na nowojorskiego miliardera. Wywołałoby to powszechne zdziwienie, później jednak by się z tym pogodzono, tak jak historia uczyniła to w wypadku Lee Harveya Oswalda, Sirhana Sirhana czy innych słynnych morderców. Najwyżej na kilku stronach internetowych pojawiłaby się wzmianka, że istnieją podobieństwa między Yael a Goatherdem. Bonneviel pozbyłby się swojego wielkiego rywala zgodnie z regułami gry, zdobyłby punkty za podobieństwa między Yael a Goatherdem i zająłby wyższą pozycję w hierarchii Cieni. Na tym polegał jego plan.

Największy kłopot sprawiła sama Yael i jej przenikliwość, gdy dotarła aż do Bonneviela. Najgorsze zaś było to, że sam Thomas podsunął jej ten trop, szukając w Internecie informacji na temat Bonneviela. Czując, że zaufanie Yael do niego słabnie, musiał jeszcze bardziej się przyłożyć i zdobyć kilka punktów przez wykazanie się

bystrością umysłu. Działał w sposób naiwny, sądząc, że tylko podsycą jej paranoję, i umacniając ją w przekonaniu, że Cienie to ludzie bardzo potężni. Nazwisko jednak nie wystarczyło – chciała go zobaczyć. Thomas robił wszystko, aby odwieść ją od tego zamiaru. Jak słusznie się domyśliła, ledwie zdążył ostrzec szwajcarskiego bankiera, tuż przed ich przybyciem, wykonując błyskawiczny telefon rzekomo do Kamela.

Kamel stanowił totalną improwizację.

Zbity z tropu przez to, że zabójcy niespodziewanie zaczęli im deptać po piętach, Thomas musiał się zgodzić na nagłe rozwiązanie. Trzeba było znaleźć kogoś, kto nie może ich zdradzić, kogoś, o kim wiedział, że za wszelką cenę pozostanie neutralny. Wtedy przypomniał sobie o Kamelu.

Z początku skontaktował się z nim, podając jako pretekst pewien artykuł, chociaż tak naprawdę chodziło o to, żeby go pilnować. Otóż przyjaciele Bonneviela w rządzie amerykańskim zaniepokoiili się, że syn dyplomaty może prowadzić śledztwo na ich temat z takim zapalem. Poza tym wiedział o wiele za dużo. Powiązania z dyplomacją ocaliły mu jednak życie. Zdecydowano, że lepiej mieć na niego oko niż poważnie ryzykować, likwidując go, co bez wątpienia przysporzyłoby fenomenalnej wiarygodności teoriom, których tak gorąco bronił.

Thomas przypomniał sobie o nim wiele miesięcy po tym spotkaniu.

Kamel im pomógł. W gruncie rzeczy wykazał się ogromną skutecznością.

Później, na wieść o zgonie Bonneviela, Thomas o mało nie

stracił zimnej krwi. Objawiło się to pewną agresywnością, nad którą jednak szybko zapanował. Śmierć Bonneviela nie zakłóciła dalszego toku misji. Thomas zawsze mógł się skontaktować z ludźmi z otoczenia bankiera. Nie dość, że miał otrzymać zapłatę, to jeszcze spłynąłby na niego splendor z powodu sukcesu podobnej misji. Musiał doprowadzić ją do końca. Zawieźć Yael do Stanów Zjednoczonych, stale się upewniać, że jest coraz bardziej spięta, że jej stan psychiczny coraz bardziej się pogarsza, że paranoja się wzmacnia, aby była gotowa. Gotowa na zabicie Goatherda.

Yael znalazła u Bonneviela dokumenty – wprawdzie to nie było przewidziane, ale po raz kolejny pozwoliło zyskać na czasie. Thomas bał się, że wpadnie na coś innego, co mogłoby go skompromitować.

Był bliskim współpracownikiem bankiera, znajdował się w ścisłym gronie jego ludzi. Tę wyjątkową pozycję zawdzięczał wyłącznie – Thomas nie miał złudzeń, że jest inaczej – tej szczególnej misji, która sprawiała, że musiał o wszystkim wiedzieć.

Yael połknęła haczyk. Zainteresowała się Petersenem i Goatherdem.

Podróż statkiem towarowym również była kontrolowana.

Carl Petersen zaś przyrzekł swojemu przyjacielowi Bonnevielowi, że kiedy tylko dziewczyna przekroczy próg jego domu, powtórzy jej wszystko, co trzeba.

Mimo sporej ilości niespodzianek plan uknuty przez Bonneviela zadziałał.

Prawie do końca.

Tylko, że bankier nie docenił swojego najpoważniejszego rywala w całej tej historii: swojej ofiary, Jamesa R. Goatherda.

– Nie jestem dumny z tego, co ci zrobiłem – oświadczył na koniec Thomas. – To... nic osobistego, rozumiesz?

Ręka Yael wystrzeliła do góry, stykając się gwałtownie z policzkiem Thomasa.

Kiedy pochylił się, żeby na nią znów popatrzeć, miał lodowaty wzrok. Po chwili jednak stał się na powrót obojętny.

Mnóstwo osób obejrzało się na nich. Po sekundzie każdy wrócił do swoich spraw.

– Nic osobistego – powtórzyła sucho Yael. – Mam przynajmniej nadzieję, że po takim numerze będziesz mógł się tarzać w forsie. Bo właśnie w tym celu to zrobiłeś, nie?

Położyła dłonie na stole, aby nie ulec pokusie wyładowania złości po raz kolejny.

– Mam nadzieję, że spanie ze mną nie było najbardziej obrzydliwą częścią twojej misji – powiedziała.

– Yael...

– Zamknij się. Nie chcę słuchać twoich kłamstw.

Rzuciła na stół żółtą kopertę od Goatherda.

– Masz, twój nowy przyjaciel chciał, żebyśmy otworzyli ją razem.

Thomas zmarszczył brwi, zaskoczony i zaniepokojony.

– Co to jest?

– Nie wiem. Nasza nagroda. Jak powiedział Goatherd: brakująca

prawda, jego triumf.

Ciągle niezbyt uspokojony, Thomas otworzył kopertę.

Na stół wysypało się kilka mniejszych welinowych kopert.

Były ponumerowane od jednego do trzech.

– Kolejna zagadka? – zdumiał się Thomas. – Co to znowu za kretyństwo?

Otworzył pierwszą z nich.

Thomas miał rację. Właśnie rozpoczęła się pierwsza tura zgaduj-zgaduli.

Restauracyjny zegar wskazywał 8. 35.

Pierwsza koperta zawierała trzy banknoty.

Pięć, dwadzieścia i sto dolarów.

Yael natychmiast przypomniała sobie e-mail, który otrzymała na ten temat. Wiadomość przesłaną przez Goatherda, który usiłował ją namierzyć.

Taki sam tekst dołączony był do banknotów:

Skoro historia tak Cię fascynuje, czytaj dalej, nie przerywaj tego, co zaczęłaś, przejdź do dalszego ciągu! Posługując się banknotami o nominale 5, 20 i 100 dolarów. Składając je, ale nie obcinając, powinnaś uzyskać interesujące rezultaty, pozwalające przewidzieć przyszłość... Ale miej się na baczności. Poznanie przyszłości może drogo kosztować. Tylko nielicznym udaje się potem przeżyć. To gra dla wtajemniczonych. Potraktuj to jako ostrzeżenie.

Wziąwszy do ręki jeden z banknotów, Thomas stwierdził, że złożono je mocno, aż został ślad zagięcia.

– Mam po dziurki w nosie tego gówna – oświadczyła Yael, zamierzając wstać.

Thomas chwycił ją za rękę.

– Nie, zaczekaj! Goatherd nie należy do tych, którzy dają prezenty, skoro więc to zrobił, to znaczy, że miał w tym jakiś cel. Wierz

mi, ci ludzie nigdy nie działają przypadkowo.

Już miała odpowiedzieć, że teraz to i tak nie ma znaczenia, gdy nagle również spostrzegła ślady zgięć na banknotach. Jej umysł natychmiast zaczął intensywnie pracować.

– Zmniejszyć bez cięcia to złożyć – wyjaśniła, biorąc je do ręki.

Dość szybko nadała im pożądaną kształt.

Położone jeden obok drugiego, tworzyły ciąg powiązanych z sobą rysunków. Każdy z nich osobno był niezrozumiały, razem jednak nabierały określonej treści.

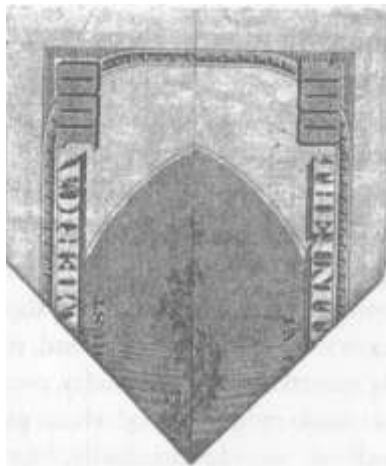
Pierwszy, banknot pięciodolarowy, przedstawiał wieżę, budynek:



Drugi banknot dwudziestodolarowy ukazywał tę samą wieżę w ogniu:



Na trzecim widniał długi pióropusz dymu po tym jak się zawaliła:



Yael pokiwała głową. To było logiczne, że skoro Cienie naszpikowały banknot jednodolarowy symbolami, usiłowały zrobić to

samo z pozostałymi banknotami.

Po raz kolejny toczyły między sobą grę.

– Ja nie... rozumiem, do czego zmierzają – wykrztusił Thomas.

Yael otworzyła drugą kopertę.

Wydarta kartka. Z Biblii:

Księga Rodzaju 11, 9.

Dlatego to nazwano je Babel, tam bowiem pomieszał Pan mowę mieszkańców całej ziemi. Stamtąd też Pan rozproszył ich po całej powierzchni ziemi.

Umysł Yael, biegły w tego rodzaju ćwiczeniach i zelektryzowany silnymi emocjami, jakich doznawał, natychmiast znalazł związek.

– Skąd skojarzenie banknotów z Biblią? Przez upodobnienie do prowokacji, do świętokradztwa? – zapytał Thomas.

– Raczej dla podkreślenia, że istnieją między nimi współzależności – wyjaśniła zimno Yael. – Pieniądze z religią to dwa cycki władzy. Dolar uosabia przemysł międzynarodowy, a także punkt wyjścia nowego porządku świata. Poza tym, teraz to już wiemy, banknoty są naszpikowane symbolami umieszczonymi na nich przez tych, którzy pozostają w cieniu. Żyją oni wyłącznie po to, żeby pociągać za sznurki historii. Bawią się, trzymając świat w garści.

Obmyślają różne podłe numery i robią to według określonych zasad, nigdy przypadkiem. Skupiają wszystkie narzędzia władzy, pieniądze, religię, i właśnie w ten sposób mogą odcisnąć własne piętno na historii.

– Zastanowiła się przez krótką chwilę, żeby zebrać myśli.

– Nowy porządek świata, który ustalili po rewolucjach i który bezustannie zasilają, aby go umocnić, stopniowo zbliżyć do ideału, trochę przypomina narodziny nowego systemu, nie? Można by powiedzieć... geneza. Spójrz.

Rozłożyła przed nim trzy zagięte banknoty i fragment Biblii.

– Moim zdaniem, żeby zaznaczyć punkty wyjścia albo raczej puścić w ruch ten ich nowy porządek świata, zburzą jakąś wieżę. Wielką, symboliczną wieżę. I zrobią to dzisiaj.

– Dzisiaj? Dlaczego?

– Bo to rozdział jedenasty, wers dziewiąty Księgi Rodzaju, Genesis. Jedenasty września. Dzisiejsza data.

Dziobnęła palcem we fragment Biblii.

– Ten ustęp, w którym zostaje zniszczona wieża Babel. Wieża Babel. Jakie miasto jest najbardziej kosmopolityczne na ziemi, a przynajmniej stanowi silny symbol zjednoczenia wszystkich języków w jednym pionowym miejscu, gdzie wszyscy mówią, ale mało kto rozumie, co jest definicją wieży Babel?

– Nowy Jork. Ten, który określa się także mianem Nowego Babilonu.

Chwyciwszy trzecią i ostatnią kopertę, Yael oświadczyła bez emocji:

– Mogę się założyć, że w tej kopercie Cienie mówią, w którą wieżę uderzą.

Trzecia koperta zawierała jedynie kartkę, do której przyklejono dwa wycinki z gazet.

Yael odczytała na głos pierwszy z nich:

Historia należy do nas, narody zaś tworzą ją po to, by zbudować lepsze społeczeństwo. Salvador ALLENDE, 11 września 1973 roku.

– To dzień, w którym zginął Allende. Chilijski prezydent poniósł śmierć w czasie zamachu stanu – przypomniła.

– Data – zauważył Thomas. – Goatherd zamierza po raz kolejny igrać z historią.

Yael usiłowała sobie przypomnieć, co wie na temat zamachu stanu Pinocheta.

– Allende doszedł do władzy w sposób demokratyczny, ale to się nie spodobało niektórym chilijskim wojskowym.

– Ani Amerykanom, bo widzieli w tym sukces polityczny unii lewicy, której się obawiali. Podobno to Henry Kissinger przygotował zamach stanu, prosząc CIA, aby pomogła juncie wojskowej się zorganizować. Zasiał chaos sprzyjający obaleniu władzy, sprzymierzając się z koncernami, które miały wystarczające wpływy, żeby uderzyć w chilijską gospodarkę.

Yael przeczytała drugi wycinek.

Samoloty zaatakowały naród. Rozpoczęły od zburzenia obu wież komunikacyjnych, Radia Portales i Radia Corporación, symbolu dróg naszego miasta. Potem nasz naród się zmienił. To było 11 września 1973 roku.

Yael podała kartkę Thomasowi.

Oparła czoło o wnętrze dłoni.

– Obie wieże, dwa symbole miasta – szepnęła.

Thomas pokręcił głową.

– Nie... To niemożliwe – powiedział. – Wieże World Trade Center...

– Dokładnie tutaj.

Thomas wstał.

– Dlaczego wyznaczyłaś mi tutaj spotkanie? – zapytał.

– Co?

Zatkało ją. Przecież to on...

– Oczywiście... – nagle zrozumiała.

Zaśmiała się krótkim nerwowym śmiechem.

– James Goatherd nie należy do tych, którzy pozostawiliby nas przy życiu po tym wszystkim. Ale chciał, żebyśmy oglądali jego triumf, siedząc w pierwszym rzędzie. Jego własny „numer”. Zwabił nas tutaj...

Thomas chwycił Yael za rękę, chcąc pociągnąć ją do wyjścia, lecz jej dłoń mu się wyśliznęła. Odwrócił się ku niej.

Yael wpatrywała się w błękitny horyzont nad oknami.

Zegar wskazywał 8. 46, W wieżę uderzył całym pędem

pierwszy samolot.

Szyby się roztrzaskały, budynek zaś zaryczał niczym brzuch tortuowanego potwora.

Znajdujący się w restauracji kobiety i mężczyźni podnieśli wrzask. Rzucili się do wind, by zjechać na dół. Czekali na próżno, aż drzwi się otworzą, nie mając pojęcia, że szybami tryskały już gejzery paliwa lotniczego.

Inni pobiegli do schodów. Nie wiedzieli, że kilka pięter niżej schody zniknęły, wyrwane wskutek uderzenia ponad ziejącą piekielną dziurą.

Błakali się z krzykiem, będąc już duchami w swoim więzieniu w niebie.

Yael patrzyła, jak Thomas próbuje ją zaciągnąć do wyjścia ewakuacyjnego, nie ruszyła się jednak z krzesła.

– Chodź! – wrzasnął.

Yael wołała się odwrócić. W szybach otwierały się, skrzypiąc, szczeliny.

Czekała tak, na drżącej podłodze.

Kiedy wstała i ruszyła powoli wśród poprzewracanych krzeseł, spostrzegła, że Thomas zniknął wraz ze wszystkimi, którzy byli tu jeszcze kwadrans wcześniej.

Temperatura wzrosła błyskawicznie. Podłoga zaczęła parzyć, a podeszwy Yael przyklejały się do niej jak guma do żucia. Zrobiło się potwornie duszno. Yael potykała się lekko na dachu świata, z

wysokości zawrotu głowy.

Ze ścian poodpadały plakaty.

Szyby się roztrzaskały, do ogromnego holu wtargnął wściekły wiatr, na kilka chwil przynosząc zbawienny chłód. Który trwał krótko.

Na zewnątrz tymczasem dym zasłonił horyzont niczym woal ciemności, po czym wiatr zaczął parzyć.

Budynek zamienił się w wirujący piec. Powietrze drżało.

Yael nie miała już siły, żeby się ruszać. Każdy oddech stanowił torturę dla płuc. Skóra ją bolała, jakby ktoś ją natarł papierem ściernym. Włosy zaczęły zaciskać się wokół głowy. Zaraz się roztopią. Z trudem otwierała powieki.

Yael trzymała się dzielnie. Nie przewróciła się na tę wrzącą płytę, w którą zamieniła się podłoga.

Wtem w gęstej, falującej mgłę ujrzała otwierające się skrzydło drzwi.

To Thomas pchnął drzwi na schody. Był sam.

Opary zgniotły powietrze holu, pochłaniając obie postaci. Dwie zjawy obserwujące się nawzajem w świętym sercu historii.

Thomas ruszył ku niej powoli, z trudem.

Wpatrywał się w nią czujnie.

Czekał, aż da mu jakiś znak.

Najpierw zawaliła się wieża południowa.

Druga zniknęła w niecałe pół godziny później.

Grzyb pyłu pęczniał coraz bardziej, rak w pełnym rozkwicie,

pustoszący ulice, wrywający fasady domów, zasypujący powierzchnię wód Hudsonu, zaraźliwy rak, który oplótł swoimi mackami najwyższe tarasy, przedostając się aż do najgłębszych ścieków.

Dzięki zjawiskom optycznym oraz wyobraźni tego dnia widziano wiele znaków w tym przerażającym pióropuszu, który szturmował niebo, żeby okryć je żałobą.

Jutro nadejdzie nowy dzień pełen obietnic dla ludzi takich jak ja. I świat się zmieni.

Wieże zachwiały się na oczach osłupiałych widzów, przyglądających się tragedii na żywo, w telewizji.

Zwały się, pochłaniając znacznie więcej niż tylko ofiary i symbole.

A wówczas świat się zmienił.

EPILOG

Blog Kamela Hasira

Kilka lat temu znalazłem pewną parę, Yael i Ihanui ut, którzy włożyli palce między tryby maszyny władzy.

Nie byli ochotnikami.

Nie mieli wyboru.

Zostali wciągnięci.

Nie wiem, co się z nimi stało.

Żadne z danych, które przekazałem wam na niniejszych stronach, nie są ściśle tajne. Są to informacje, które można zdobyć, jeśli się dobrze szuka. Ale są tutaj, jasno wyłożone, dalekie od konspiracyjnych mitów, są to wyłącznie rzeczywiste informacje. Wystarczyło je tylko posklejać, wzajemnie dopasować. W pewnym sensie ci ludzie, którzy z nami igrają, którzy nas okłamują, wykorzystują naszą niewiedzę, zbytnią tolerancyjność, właśnie na to liczą. Nie okazaliśmy się wystarczająco czujni właśnie dlatego, że uważaliśmy pojęcia wolności i demokracji za zdobyte raz na zawsze.

Odpowiedzcie, że jest teraz tak wiele rzeczy, na które trzeba uważać, tak wiele frontów w życiu osobistym, na których trzeba walczyć. Codzienna praca, rachunki do zapłacenia, życie małżeńskie, problemy w relacjach z innymi ludźmi, dzieci... To prawda.

Ale właśnie na tych podstawach opiera się nasz nowy świat.

Nowy porządek świata.

Na naszych wątpliwościach, obawach, codziennie staczanych bitwach, które sprawiają, że stajemy się mniej wyczuleni na problemy świata.

Nie zapominajcie, że ta historia jest prawdziwa.

Przekażcie ją dalej. Tylko miejcie świadomość, że jesteśmy obserwowani. Zawsze.

Zresztą oni już wiedzą, że czytaliście tę opowieść. W jaki sposób trafiła w wasze ręce? Kupiliście ją? Płaciliście czekiem czy kartą kredytową? W takim razie figurujecie w ich bazie danych.

Pożyczyliście ją w miejskiej bibliotece? W takim razie figurujecie w ich bazie danych.

Ściągnęliście z Internetu? Też w bazie danych.

Pożyczyliście od przyjaciela? Prawdopodobnie też was namierzyli przez chip RFID, gdyż sam przyjaciel już jest w ich bazie danych.

Uważacie, że przesadzam? W takim razie poczekajcie kilka lat. Tylko że wtedy pewnie będzie już za późno.

Mój dziadek mawiał, że w tym smutnym systemie paranoja przestaje być ułomnością, lecz staje się zaletą pozwalającą przetrwać. Co można o tym sądzić?

Myślmy. To już coś. Przynajmniej ta wolność zastała nam w zaciszu naszych mózgów.

Tylko jak długo jeszcze?

Do moich wniosków dochodzę, całkiem słusznie, za

pośrednictwem dwóch światowych myślicieli, którzy, mam taką nadzieję, powinni do nas wszystkich przemówić. Jednym z nich jest właśnie Amerykanin, Benjamin Franklin, który powiedział:

Ci, którzy zamieniliby swoją fundamentalną wolność na iluzoryczne bezpieczeństwo, nie zasługują ani na wolność, ani na bezpieczeństwo.

Musimy być czujni, ponieważ tu imię wolności i bezpieczeństwa systemu i zbiorowości pomniejszamy naszą wolność osobistą. Właśnie na tym polega zagrożenie. Właśnie tak narodziły się państwa faszystowskie.

Przy poparciu narodu.

Podczas gdy prawa naszych cywilizacji stają się coraz bardziej twarde, chętnie przypominam sobie słowa Monteskiusz i drzę:

Wolność to prawo, żeby robić wszystko, na co pot, wala ją ustawy.

KAMEI. NASIH

12 września 2001 roku

W hołdzie dwojgu zaginionym przyjaciołom